



GREG GINDICK

TESTAMENT BAPHOMETA



Krzyżowcy, mordercy, klasztory
czyli "na tropie legendarnego
skarbu templariuszy"

Wydawnictwo Dolnośląskie





GREG GINDICK

TESTAMENT BAPHOMETA



Krzyżowcy, mordercy, klasztory
czyli "na tropie legendarnego
skarbu templariuszy"

Wydawnictwo Dolnośląskie



GREG GINDICK

TESTAMENT

BAPHOMETA

Wydawnictwo Dolnośląskie

Projekt okładki Mariusz Banachowicz

Redaktor Zofia Smyk

Korekta Iwona Gawryś

Redaktor techniczny Adam Kolenda

O Greg Gindick & Publicat S.A. MMXI

ISBN 978-83-245-9100-8

Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

oddział Publicat S.A, w Poznaniu

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

www.wydawnictwodolnoslaskie.pl

PROLOG. 27 MARCA, 17.44

Śmierć jest tak blisko nas, że stale żyjemy w jej cieniu.

Geiler van Kaysersberg

Nic nie zapowiadało nieszczęścia.

Niebo było jasne i czyste, ptaki ćwiczyły występy, wieczór był cichy i - jak na koniec marca - ciepły. Lekki wiatr nie dokuczał - zanim dotarł do siedzących na tarasie kobiet, przemykał przez gąszcz czereśni i moreli z troskliwie pobielonymi

pniami. Mimo że na drzewach wzbierały dopiero pąki, powietrze nabierało między białymi pniami niepowtarzalnego aromatu, a to wystarczało, by chłodniejsze powiewy odpłacały się z nawiązką. Zresztą spędzające większą część dnia w zimnych, grubych i mało wesołych murach klasztoru, otulone kocami kobiety z przyjemnością oddychały świeżym powietrzem, pijąc herbatę z hibiskusa, co większość Polaków, zalewających się zimną mineralną, colą i piwem, uznałaby za przesadę, dziwactwo i silenie się na oryginalność.

Najmłodsza z sióstr zmrużyła oczy i przeciągnęła się.

-

Och, jak dob...

Przerwał jej huk spadającej na kamienny taras donicy; wszystkie trzy kobiety poderwały się spłoszone, ale już po ułamku sekundy zaskoczenie zmieniło się w lęk, a jeszcze mgnienie oka później - w obezwładniające przerażenie: na taras zeskoczył mężczyzna z ogromnym nożem, a może raczej kordelasem, w dłoni. Wylądował łagodnie, bezgłośnie i przyłożył palec do ust. Miękkim, kocim krokiem przesunął się w bok i zanim siostry zdążyły się opamiętać, stał już za tą najmłodszą, trzymając kordelas na jej gardle.

W szpalerze donic na balustradzie tarasu - „A siostra przełożona tyle razy mówiła, że będzie nieszczęście, jak któraś spadnie!” - pomyślała najstarsza z sióstr - pojawił się drugi mężczyzna, wyglądający jak brat pierwszego: smagły, szczupły, z małym cienkim wąsikiem. „Cyganie?! Czego tu mogą chcieć Cyganie?!” - przemknęło przez myśl najstarszej. Zrobiła ruch w kierunku budynku.

-

Tam... - zaczęła drżącym głosem - mamy pieni...

Pierwszy mężczyzna rzucił coś przez zęby i wykonał szybki ruch ręką

5

trzymającą nóż. Z rozplatanego gardła zakonnicy bryznęła na kamienne płyty tarasu krew. Ciało zaczęło się osuwać, morderca trącił je i zrobił krok w tył. Nie chciał, by krew pobrudziła jego ciemnoszare spodnie. Druga z zakonnicy, z myśką na policzku, zachłysnęła się krzykiem, ale uniesione w jej kierunku ostrze zmusiło ją do milczenia.

-

Przecież miałyście być cicho - powiedział, przeskoczywszy przez balustradę, trzeci mężczyzna.

Ten nie był Romem na pewno. Miał bardzo jasne, tlenione włosy, tworzące uczesanie *à la* Piotr Rubik, jasne brwi, wąski nos z małą plamką przebarwienia na lewym skrzydełku. Miał na sobie spodnie z cienkiej tkaniny w maskujący desień, taką samą kamizelkę na czarnym t-shircie z jakimś anglojęzycznym napisem.

-

Na razie milczcie, to nie będzie więcej krwi. Wchodzimy do środka. A tam już dla odmiany będziecie mówić, siostrzyczki.

Starsza się zachwiała, mężczyzna udający Rubika podskoczył i mocno chwycił ją za łokieć.

-

Ja cię nosić nie będę! - warknął, brutalnie szarpiąc kobietę. Odwrócił się do mordercy i rzucił w obcym języku kilka niezrozumiałych, ale z intonacji sądząc, gniewnych słów. Najpewniej wyrzucał mu pośpiech. Wskazał brodą drugą zakonnice, która oparła się o poręcz krzesła i niemal bezgłośnie zwracała

wypitą przed chwilą herbatę i ciasteczka z makiem. Obaj smagli mężczyźni podskoczyli do niej, chwycili pod ramiona i wciągnęli do budynku. „Rubik” pchnął zakonnicę, ale nie puścił jej łokcia. - Idź za nimi!

Weszli do małego pomieszczenia, które, przylegając do refektarza i wychodząc na południe, stanowiło jedno z najjaśniejszych i najcieplejszych miejsc w całym klasztorze. Dlatego pełniło funkcję małej czytelnicy dla tych sióstr, które lubiły przed posiłkiem czy mszą popołudniową oddać się lekturze w jasnym, prześwietlonym kolorowymi, przecedzonymi przez witraże promieniami słońca. Morderca i jego kompan już znikali w drzwiach prowadzących do refektarza, starsza zakonnica, popychana przez mężczyznę, potknęła się na gładkiej posadzce, zupełnie jak człowiek, który źle ocenił liczbę stopni schodów. Szarpnięta do tyłu, odzyskała równowagę, ale widać było, że idzie resztką sił. Zanim przekroczyli próg refektarza, usłyszeli zgrzyt drewnianych nóg masywnego krzesła i głośny jęk, a potem szloch młodej zakonnicy, ale gdy weszli, kobieta już milczała.

6

Miała usta zaklejone kilkoma warstwami srebrzystej, zbrojonej montażowej taśmy, która niedbale owinięta wokół głowy przyciskała do niej welon, przekrzywiony i odstający z jednej strony, przylegający zaś z drugiej. Ale to wszystko jakby nie spodobało się mordercy, bo cofnął się o krok i przyjrzał uważnie siedzącej. Jego kompan w tym czasie przyklejał przedramiona dziewczyny do podłokietników starego drewnianego krzesła. Zabójca wrócił do zakonnicy i niedbale szarpnąwszy welon, odkrył jej głowę. Miała krótkie, ściśle przylegające do głowy włosy nieokreślonego, a raczej tak zwanego mysiego koloru.

Prowadzący najstarszą zakonnice mężczyznę pchnął ją na identyczne krzesło, ruchem oczu ponaglił mordercę, który chwycił rolkę taśmy i podskoczył do kobiety. Ta opadła na siedzisko, ale na widok zbliżającego się zabójcy wbiła się plecami w oparcie, z przerażeniem patrząc na wyciągnięte w jej kierunku ręce. Na wierzchu prawej dłoni prześladowcy, na wysokości serdecznego i małego palca, dostrzegła krwawą plamkę - mimo że poderznął gardło młodej zakownicy szybkim ruchem, który miał mu pozwolić uniknąć plam na ubraniu, nie ustrzegł się tej jednej. Smagłolicy najpierw spoliczkował z obu stron mdlejącą zakonnice, potem oderwał płat taśmy i przykleił kobiecie na ustach, a następnie szybko, wywołując obrzydliwy kleisty odgłos odwijanej z rolki taśmy, przytwierdził do podłokietników ręce ofiary. Na koniec owinął i przymocował do siedziska jej nogi na wysokości połowy ud. Odsunął się, ocenił swoje dzieło i popatrzył na dowodzącego ich działaniami mężczyznę.

- Widzisz, siostrze, że nie wpadliśmy na modlitwę, spowiedź czy roraty - powiedział udający Rubika. - Nie mamy czasu na dyskusje, żarty i przekomarzenia. Albo inaczej: czas by się i znalazł, ale nie mamy ochoty. Jeśli nie powiesz mi teraz i szybko wszystkiego, co chcę wiedzieć, zabijemy też tę drugą siostrzyczkę. Ale przedtem się z nią zabawimy. Na końcu wreszcie dobierzemy się do ciebie i, uwierz mi na słowo, będziesz żałowała swojego uporu i dwóch poświęconych żywotów. - Sięgnął za plecy, gdzieś pod kamizelkę, wyjął ogromny nóż, może nieco krótszy od broni podwładnego, ale za to z przerażającym zębującym grzbietem - ostrze z piekła rodem. Już samo wniesienie go na poświęconą ziemię zdawało się niesłychanym grzechem i bluźnierstwem. Kobieta wytrzeszczyła oczy. Mężczyzna z lubością popatrzył na ostrze i zbliżył się do niej.

-
Gdybym przekładał nazwę tego cacka z angielskiego, to musiałby się

7

nazywać „pruwacz”, może „rozpruwacz”, siostró. - Ustawił nóż bokiem do twarzy kobiety, prezentując jej przerażające narzędzie. - Widzisz napis? „Talonite”. Talonite nie jest nawet stalą. To nowoczesny stop wzięty z głowic wiertniczych, czyli nie zniszczy się go nijak i niczym. Nie zawiera ani węgla, ani żelaza. Ten to stop wanadu, kobaltu i chromu, ma właściwości antymagnetyczne. Nie koroduje, jest odporny na działanie kwasów. Czyli unurzany we krwi tylko się jej napije, nie zaszkodzi mu. Jest też cholernie drogi, ale ponieważ się nie zużywa - warto poświęcić te parę dodatkowych groszy. Mamy z nim na sumieniu czterech ludzi, chcesz być piątą? - Pokręcił nożem tak, że rzucane przez ostrze błyski cięły kilka razy zakonnice po oczach. - Jeśli nie - mów.

Sięgnął do taśmy i wolno, jakby radując się bólem spowodowanym odrywaniem małych włosków z twarzy kobiety, odkleił taśmę.

-
Gdzie ukryto Złotą Głowę? - zapytał.

Kobieta zamrugała gwałtownie. Otworzyła usta, ale uleciało z nich tylko chrypienie, rozkaszała się.

Mężczyzna rozejrzał się po refektarzu.

-
Tej daj pić, a tej - wskazał młodą zakonnice, wpatrującą się w sklepienie szalonymi, pełnymi trwogi i bólu oczami - odetnijcie pierś. Jedną.

-

Nie... egh!... - zachrypiała starsza. - Błag... ham...

Kompan mordercy podszedł do dwóch stojących jeden obok drugiego pękających kredensów, wziął butelkę mineralnej, przyjrzał się etykiecie.

-

Niegazowana czy gazowana? - zapytał. Polski ewidentnie nie był jego ojczystym językiem. Posiadacz koszmarnego noża pochylił się nad ofiarą.

-

Jaką wolisz?

-

Nie róbcie jej krzyw... dy... Przecież to dziecko... Nic nie wie...

-

O czym nic nie wie? - szybko zapytał oprawca.

Nie patrząc, skinął na podwładnego, ten zręcznie i szybko rozciął habit, obnażając piersi młodszej zakonnicy. Ta wywróciła oczami, głowa jej opadła, straciła przytomność. Smągłokóry chwycił lewy sutek i jednym ruchem odciął go od piersi. Cisnął odcięty kawałek ciała pod nogi starszej zakonnicy. Drugi, podchodząc z mineralną, podskoczył, żeby ominąć upadający, zakrwawiony strzęp.

8

Syknął coś w obcym języku. Zapewne coś w rodzaju „uważaj!”. Chlusnął w twarz zakonnicy wodą, odczekał sekundę, zbliżył butelkę, rozchylił szyjką wargi kobiety i zdusiwszy w ręku plastik, z widoczną uciechą trysnął mocnym strumieniem pieniącej się wody w usta nieszczęsnej. Ta się zakrztusiła, rozkaszała i rzeziła długą chwilę. „Rubik” w tym czasie rzucił do stojącego obok mężczyzny

kilka słów. Smagły odwrócił się w milczeniu i wyszedł, by po chwili wrócić z ciałem zamordowanej na tarasie zakonnicy. Włókł je za ręce, unikając kontaktu z lepłą krwią. Był szczupły, ale mocny. Wskoczył na krzesło, potem na stół, wciągnął martwą na krzesło, zeskoczył ze stołu, poprawił jej głowę, ustawił krzesło na wprost przesłuchiwanej zakonnicy.

-

Mów - powiedział spokojnie Polak.

Zakonnica znów zamruła. W jej oczach przywódca morderców zobaczył nagle niespodziewaną i zaskakującą determinację. Był przekonany, że krwawy spektakl, dokładnie zaplanowany, załamanie kobiety, a zwłaszcza tę najważniejszą, bo przecież o nią i tylko o nią chodziło. Ale teraz nagle zrozumiał, że paradoksalnie rodzi się w niej opór, i to taki, którego mogą nie dać rady złamać. Podjął decyzję: trzeba za wszelką cenę, wszystkimi środkami wydobyć zeznania - i niech się dzieje, co chce.

-

Na razie pokażemy ci, co czeka twoją młodszą siostrzyczkę, tę żywą - powiedział.

Wykonał kciukiem gest od wieków oznaczający cięcie, odsunął się, żeby nie zasłaniać widoku. Starsza siostra widziała, jak morderca podszedł do nieboszczki, jak stanął za nią i jak chwyciwszy swój potężny nóż ostrzem w kierunku przedramienia, chlasnął z wysiłkiem, jednocześnie odginając bezwładną głowę do tyłu.

Zakonnica otworzyła usta, wydając przeraźliwy krzyk. Wzbudzone echo długiego, surowego, zbudowanego z kamienia pomieszczenia uderzyło w uszy

obecnych.

-

Mów! - Mężczyzna podskoczył do krzyczącej kobiety i - jakby nie zważając, że duchem jest już nieobecna w tym miejscu - spoliczkował ją, potem wylał resztę wody na głowę.

Nie zareagowała.

Oprawca zaklął przez zęby, rzucił polecenie stojącemu najbliżej. Ten skinął głową i wyszedł.

9

Zakonnica zaczęła odmawiać pacierz, ale nagle umilkła, potem wolno, jakby mięśnie szyi zawodziły ją, a kręgi coś unieruchomiło, odwróciła głowę i powiedziała wyraźnie:

-

Przeklęty jesteś!

-

Tak, tak! - rzucił niedbale. - Martw się lepiej o siebie, siostrze. Masz na sumieniu te dwie duszyczki i nie wiadomo, ile innych, które już zapłaciły za trzymanie w tajemnicy waszych sekretów, a trzeba jeszcze doliczyć te, które zapłacą za dyskrecję. - Podszedł do siostry, wyjął z kieszeni sprężynowy nóż i kilkoma ruchami uwolnił ją z pasm taśmy. Chwycił kobietę za rękę, pociągnął ją do okna. - Widzisz to?

W purpurowych promieniach zachodzącego słońca klasztor płonął świeżo odnowionymi murami.

-

Za chwilę to nie będzie już taki bajeczny widok. O nie! Wylejemy tu dwa kanistry benzyny i tam dwa. Jak myślisz - zapalą się te wasze rusztowania w kaplicy? Bo ja myślę, że z łatwością. A możesz tego spokojnie uniknąć. Powiedz, gdzie jest Złota Głowa, i obejdzie się bez większych strat. Ocaleje klasztor, ocaleją...

Przerwał, brutalnie pchnął kobietę w stronę pomagiera, ciągle stojącego obok bezgłowego trupa zakonnicy, przyłożył do szyby dłoń, żeby zasłonić oczy przed promieniami słońca. Do refektarza wpadł drugi kompan, rzucił kilka słów i brodą wskazał kierunek.

-

Jassssny szlag! - Blondyn podskoczył do rzędu krzeseł, porwał jedno i cisnął nim w kredens. Zacisnął w desperacji zęby. - Bierzemy ją! - wrzasnął.

-

Nie możemy! - powiedział ten, który tak ochoczo mordował. Odsunął się od ciała, wyciągnął rękę i wytarł nóż o habit. - Mamy samochód na drodze, a oni tamtędy wracają.

-

Bie-rze-my! - wyskandował „Rubik”. - Bez niej i jej wiedzy cała ta rzeź nie miałyby sensu!

Teraz pomocnicy zaprotestowali już solidarnie. Było ich dwu i obaj, o czym blondyn wiedział, posiadali potworne kordelasy i umieli się nimi doskonale posługiwać. Od dziecka.

-

No to kończ ją wreszcie! - warknął i ruszył pierwszy w stronę drzwi na

taras, starannie omijając szerokie pasmo ciągle jeszcze świeżej krwi i pojedyncze krople na jego obrzeżu.

CZEŚĆ PIERWSZA

ŚMIERTELNY DOTYK

TAJEMNICY

1. 19 MARCA, 8.11

Krystian wyróżniał ten jeden tydzień spośród pięćdziesięciu dwóch innych berlińskich tygodni z powodu krokusów. W tym roku, po wyjątkowo długotrwałej, choć niezbyt dokuczliwej zimie, wyrzały na świat dopiero w połowie marca.

Jego siostra Urszula - „Ushi”, jak wolą nazywać się teraz - nie szczędziła mu kpin z powodu plebejskich, a kiedyś nawet wyrwało jej się: „polskich” gustów - bzy, malwy i krokusy.

-

Szkoda, że nie gustujesz na dodatek w goździkach i tulipanach.

-

Co jest niedobrego w goździkach i tulipanach? - zapytał wtedy. - Na punkcie tulipanów ma świra ileś tam milionów Holendrów, a goździki są co tydzień w Lidlu.

-

Po pierwsze, Holendrzy nie mają świra, tylko wciskają reszcie świata, że to najpiękniejsze kwiaty na ziemi, i robią na tym kokosy, za które nie kupują tulipanów, ale nieziemsko drogie orchidee. A orchidee hodują w oranżeriach, których utrzymanie w każdym przypadku wystarczyłoby na dwa domy dziecka w

jakimś pieprzonym Bantustanie! A do Lidla tylko ty chodzisz, miłośniku piwa marki piwo.

-

A za moje ulubione malwy ile można utrzymać i czego, droga Ushi?

-

Dwóch takich wałkoni jak ty! - warknęła wściekła.

Nie trzasnęła drzwiami za wychodzącym z mieszkania Krystianem tylko dlatego, że było ono Jurgena i gdyby odpadł kawałek tynku, naprawdę musiałaby

II

wymówić bratu pokój, a do tego jeszcze nie dojrzała.

Krystian ruszył Odenwaldstrasse w stronę Kreuznacher Strasse, żeby wyjść na swój ulubiony - oczywiście najbliższy ulubiony - skwer. Stolica Niemiec oferowała tyle zielonej przestrzeni, co kilka innych dużych europejskich metropolii. Krystian lansował nawet tezę, którą bez trudu zbijał średnio wykształcony Niemiec, ale on się przy niej upierał, że Niemcom nie chciało się odbudowywać wszystkiego po wojnie, dlatego tak ochoczo serwowali berlińczykom place, zieleńce, parki, kompleksy leśne i niemal leśne.

Skręcił w Gritznerstrasse, poklepał się po kieszeni, w której miał portmonek. Zdecydował, że wracając ze spaceru, wstąpi do kawiarenki przy cukierni i pozwoli sobie na duże espresso z pączkiem. Nie, z dwoma, kurczę, pączkami.

Wczoraj skończył dla magazynu komputerowego mały reportaż z wysoce specjalistycznego salonu komputerowego, a właściwie największych w tej części świata targów serwerów i reszty - to była taka cicha, profesjonalna dwudniówka, na którą nie wpuszczano młodzieży szukającej z szalem w oczach najnowszej gry

albo boskiego joysticka z siedemnastoma manipulatorami i możliwością prowadzenia ognia z sześciu luf. Krystian kompletnie nie znał się na serwerach, maszynach obsługujących całe fabryki albo fragmenty globu ziemskiego, ale też i nie musiał. Ranking specjalistów pozwolił mu bez trudu wyłonić zwycięzcę tegorocznego spotkania, potem wystarczyło - bez trudu przecież - zdobyć opis owej maszyny oraz, oczywiście, nazwiska i charakterystyki kilku przegranych, żeby wreszcie skompilować z ulotek, opisów i posterów solidny, na osiem tysięcy znaków tekst. Nie dawało to jakichś wielkich pieniędzy, ale pozwalało spokojnie poczekać na inną tego typu imprezę, poświęconą na przykład głośnikom komputerowym, i znowu zaserwować kilka tysięcy znaków, dobrze przekładających się na kilkaset euro. Dobre pisma, dobre targi... Dobre euro.

Wyszedł na plac przed Patmos Kirche z zamiarem przejścia na drugą stronę, gdy poczuł pod stopą charakterystyczną miękkość.

„Pieprzone niemieckie psy! - pomyślał. - I pieprzeni właściciele! Tu właśnie wychodzi, jak płytki jest ten ich słynny *ordnung*! Wszyscy wiedzą, wszyscy widzą i nikt nie sprząta”. Chodzenie po wąskich chodnikach od dawna przestało być bezpiecznym zajęciem. Metrowe kawałki odsłoniętego gruntu wokół drzew

12

wzbudzały obrzydzenie już nawet w psach, zwierzęta załatwiały się więc na całej długości i szerokości chodnika, i to było najważniejszym powodem, dla którego Krystian nie miał jeszcze psa - wstydziłby się zbierać odchody do woreczków, a zostawiać po sobie kolejnych min nie miał ochoty.

Zatrzymał się gwałtownie, uniósł odruchowo stopę, żeby - trochę masochistycznie - sprawdzić, czego doświadczył. Pisk opon spowodował, że na jednej

nodze odskoczył do tyłu, rozglądając się dokoła. Wąski pas wolnej od zaparkowanych samochodów ulicy nie sprzyjał brawurowym popisom, a częste patrole straży miejskiej i policji nie pozwalały nawet Polakom i Rosjanom, z trudem asymilującym się do niemieckich porządków, na korzystanie z całej mocy ich motocykli i audi.

To był ciemnobordowy golf III, jakich po Niemczech jeździło jeszcze masę, głównie z emigranckimi właścicielami. Krystian ze zdziwieniem patrzył, jak dwóch smagłolicznych młodych mężczyzn o kamiennych oczach wyskakuje z wozu i najwyraźniej zmierza w jego kierunku. Ale nawet nie to sprawiło Krystiana w osłupienie, że ci goście chcą czegoś od Bogu ducha winnego mężczyzny. Nie, zamarł na widok kierowcy, który wycelował w niego pistolet i wycedził przez zęby:

-
Wsiadaj, bez numerów!

Krystian, wciąż stojący na jednej nodze, zachwiał się, oparł o drzewo i nagle odzyskał władze umysłowe i fizyczne: uskoczył i pomknął w kierunku kościoła, mając nadzieję, że wspinały szeroki pień osłania go przed uzbrojonym kierowcą. Właśnie skończyło się nabożeństwo, ze świątyni na otoczony zielenią placzyk wylewał się tłum wiernych. Biegnący w tamtą stronę Krystian wzbudził zdziwienie i zainteresowanie. Dwaj mężczyźni w jakichś mundurach, zaalarmowani przez swoje towarzyski, wykonali po trzy zdecydowane kroki i czekali na Krystiana na krawężniku. Jeden wychylał się, chcąc zobaczyć, przed kim ten człowiek ucieka, drugi wybrał inną metodę: stawał na palcach i zerkał ponad głową Krystiana. Był znacznie wyższy i od swojego towarzysza, i od biegnącego.

No i stał na chodniku.

-

Pomocy! - jęknął Krystian, dotarłszy na odległość pozwalającą prosić o ratunek, ale nie krzycheć.

13

Wstydził się wydierać na całe gardło w obcym mieście, w obcym kraju, w którym krzyżący Polak kojarzony jest albo z pijanym, albo z okradzionym.

-

Ale o co chodzi? - zapytał niższy z mundurowych.

Krystian nie miał pojęcia, do jakiej formacji należy mężczyzna: policyjnej, wojskowej, celnej czy może straży granicznej albo pożarnej. Broni nie miał.

-

Chcą... - Obejrzał się. Ulica była pusta. - Chcieli mi zabrać portfel.

Dwóch na skuterze - wypalił, nie za bardzo rozumiejąc, dlaczego kryje prawdziwą liczbę i zamiary napastników. - Tuż za rogiem...

-

Ale już ich nie widzimy - powiedział wyższy. - Widać za szybko pan działał - uśmiechnął się pokrzepiająco. - Zadzwoń po policję?

Krystian zastanawiał się krótko.

-

Nie. Dziękuję, nie mam nic do dodania - wzruszył ramionami. - Mieli na głowach kaski, warknęli, żebym dawał portfel. Skuter czerwony, jak tysiące tutaj, numerów nawet nie zauważyłem. Szkoda czasu. - Przyłożył dłoń do serca. - Ale dziękuję Panu - popatrzył wyraziście na niebo - że o tej godzinie rozmawia z

wiernymi!

-

Rozmowa z Panem zawsze przynosi korzyść, albo bezpośrednią, albo pośrednią, ale nigdy nie jest to czas zmarnowany - powiedział niższy. Przystąpił z nogi na nogę, widać było, że kończy mu się samarytański nastrój. Zresztą - nie było komu nieść pomocy, nie było z kim walczyć. - Miłego dnia.

-

Do widzenia.

Krystian wszedł w końcu na chodnik i się obejrzał. Nie widział ani napastników, ani ich golfa, przejechało bmw z rudą pięknoscią za kierownicą. Na pewno nie wzbudził jej zainteresowania. Tłum rzedł, coraz mniej osób zerknęło na Krystiana. Zastanawiał się, czy wbrew temu, co powiedział mundurowym, nie powinien udać się na posterunek, ale rozważywszy wszystkie za i przeciw - będą go potem wzywać przy każdym ukradzionym motorowerze, do każdego chuligana w kasku - uznał, że da sobie spokój. Następne pytanie dotyczyło najbliższej przyszłości: kontynuować spacer przez Elisabet-Bergner-Park i skwer wzdłuż Schildhornstrasse, żeby wrócić po Kreutznacher Strasse do domu, czy darować sobie spacer po miłych i spokojnych, ale mało ludnych miejscach. Kusiło go, by postawić się losowi, sobie samemu czy raczej swojemu tchórzostwu... Mógł też

14

wykonać manewr alternatywny: pójść Laubacher Strasse - St. Marienkirche i do Ludwig-Barnay-Platz. Ale tam bywało jeszcze mniej ludzi.

„Dobra, pójdę, udowodnię sobie, że nie jestem cykor - pomyślał. - Ale co

będzie, co sobie pomyślę o swoich władzach umysłowych, jeśli z krzaków wy-

leżą ci dwaj, którzy wyglądają tak, jakby pracowali w rzeźni dla królików, a za nimi ten Polak ze spluwą? No, co sobie pomyślę? Że jestem idiotą. Tak sobie pomyślę, ale wtedy będzie już za późno. I żadna kolejna para mundurowych mi nie pomoże. Nie. Nie kuśmy losu. Dziś raz był łaskawy, za drugim razem nie musi”.

Dołączył do kilkunastu osób zmierzających spokojnym spacerowym krokiem w stronę Kreuznacher Strasse.

„Powiniennem jakoś się zamaskować... - myślał, rozglądając się czujnie na boki. - Dlaczego nie wziąłem komórki? Dobra, i tak by mi nie pomogła, nie zdążyłbym nigdzie zadzwonić. Ale nie powiniennem zmierzać prosto do domu, to pewne. Jeśli ktoś mnie śledzi, nie mogę przecież prowadzić go jak po sznurku. Ci dwaj wyglądali na fachowców. Ale o co im może chodzić? Przecież ani w Polsce, ani tu z nikim nie zadzierałem, nie zadzieraam i nie zamierzam zadzierać! Ani nie mam szmału - zachichotał w duchu z pewną goryczą. - A przynajmniej nic o tym nie wiem. Ale oni najwidoczniej myślą, że jest coś, co mam czy co wiem, a co powinno być ich”.

Robiło się ludniej, ale czerwone golfy się nie pojawiały. Tamten, którego kierowca tak przestraszył Krystiana, miał na lewym przednim kołpaku szczerbę, odprysk małego kawałka plastiku. Polak szedł i zastanawiał się, uważnie patrząc teraz pod nogi, choć wcześniej doszedł do wniosku, że zapewne miłe wdepnięcie w psie odchody uratowało go przed wejściem na jezdnię, z której na pewno zgarnęłaby go trójka napastników. Rozważył też możliwość wywołania siostry z pracy, żeby powoziła go po mieście, zanim wróca do domu, ale wtedy musiałby opowiedzieć ze szczegółami, co się stało. A w efekcie napotkałby jej osądzające

spojrzenie, w którym mógłby bez trudu wyczytać: „Kłamiesz, ale nieudolnie, ja cię znam!”. Rzeczywiście - знаła go, w końcu to starsza siostra, ale przesadzała z tą pewnością swej wiedzy, z protekcyjnym przyglądaniem się wszystkim jego wysiłkom, jej zdaniem - jej zdaniem! - skazanym na niepowodzenie. Przesadzała

15

z tym ocenianiem go jako prostego zwyczajnego obiboka i bardzo zdolnego, ale zawsze jednak lenia.

W pewnej chwili zauważył, że od czujnego marszu i rozważania dalszych, mających pokrzyżować szyki nieznanym napastnikom, kroków, przeszedł już mentalnie nieledwie do uzalania się nad sobą. Czasem w głębi duszy przyznawał, że lubi roztkliwianie się nad własną osobą, ale dziś nie dość, że nie spodobał mu się taki początek dnia, to jeszcze nieuwaga mogła go zaprowadzić wprost pod drzwi bordowego volkswagena. Otrząsnął się ze wszystkich niedotyczących dzisiejszego wydarzenia myśli, usiłował skoncentrować się na...

„Porwanie? - pomyślał. - Może nie ma co się bać tego słowa, tylko powiedzieć wprost: porwanie. Nie chcieli portfela, nie zamierzali mi tak po prostu przyłożyć. Chcieli, żebym wsiadł. I co dalej? Przecież nie szukają tym ekstremalnym sposobem tłumacza na polski czy z polskiego! Facet warknął to swoje: «wsiadaj!». Najczystsza polszczyzną, o ile można sądzić po paru słowach”.

Przeszedł obok knajpki, w której kilka razy już zasiadał nad piwem. Mieli niezłego berlinera i chyba uczciwie płukali przewody prowadzące z kegów do pip, w każdym razie do piwa Krystian nigdy nie miał tutaj zastrzeżeń.

Przystanął, oparł nogę o murek i nachylając się nad starannie zawiązanym sznurowadłem, rzucił okiem do tyłu. Do przodu też, potem, już nie kryjąc się za

bardzo, wskoczył na betonowe podwyższenie i długo lustrował oba końce ulicy.

Kilka przemierzających ją osób nie wzbudziło jego podejrzeń, zresztą oprócz tych trzech osobników żaden z mieszkańców kilkumilionowego miasta nie podpadł dotąd Krystianowi. Zeskoczył na chodnik i szybko wszedł do lokalu.

Było, jak przypuszczał, pusto.

Barmanka, córka właścicielki, z kilkunastoma kolczykami, ale tylko w uszach, co ratowało lokal w oczach Krystiana, uśmiechnęła się na powitanie.

Zamówił berlinera i kierując się impulsem, powiedział:

-

Mam dziwną na pierwszy rzut oka prośbę. Otóż zostałem przed chwilą napadnięty. Udało mi się uciec, ale może ci rabusie idą za mną. Trochę się boję przez jakiś czas pokazywać na ulicy, rozumie pani?

-

To ja zawołam policję - zaproponowała dziewczyna, sięgając po słuchawkę.

16

- Nie, to bez sensu, bandyci byli w kaskach motocyklowych i nic więcej nie zauważyłem, ale moja prośba jest taka: gdyby tu ktoś wszedł i skierował się w moją stronę, a ja... - Zmarszczył czoło i zamyślił się przez moment. - Jeśli po-drapię się po brodzie, to proszę wzywać policję, ale dyskretnie, żeby ten gość czy goście nie słyszeli. Dobrze?

Dziewczyna zastanawiała się chwilę, ale nie znalazła w jego prośbie niczego, co wyglądałoby na podstęp. Z oporem, ale skinęła głową. Krystian postanowił, że odwdzięczy się jej, zamawiając co najmniej dwa piwa. Góra - trzy. W końcu była

dopiero jedenasta.

Zasiadł w kąciaku, ale przy oknie, zasłonięty wybujałym zamiokulkasem, wyjął papierosa, zapalił, przepił pierwsze zaciągnięcie długim łykiem. Przyjrzał się trzymającym papierosa palcom. Nie drżały.

„A niby czemu mają drżeć? - pomyślał zuchowato. - Nawet mnie nie tknęli”.

Przypomniał sobie... No tak, obaj idący w jego kierunku mężczyźni, ci z granitowymi - i z barwy, i z nastroju - oczami, trzymali ręce pod połami kurtek. A ten w samochodzie miał broń. A może nie było to nic innego jak gazówka czy hukowiec, czy też po prostu chińska zapalniczka w kształcie beretty albo innego glocka? Pomyłka? Tak, to mogło w jakiś sposób tłumaczyć incydent. Pomylili go z kimś. Zadowolony z konkluzji, wypił do połowy piwo. I jakby w odwecie za picie chmielowego nektaru o tak barbarzyńskiej porze pojawił się czerw zwątpienia - i to dwojakiego rodzaju. Po pierwsze: co z tego, że pomyłka, skoro zabić też mogą „przez pomyłkę” albo „tylko” przez tę samą pomyłkę porwać? Po drugie: czy napastnicy-porywacze zdali sobie później sprawę, że działają nie w tym, co trzeba, kierunku?

„Tfu! Co to w takim przypadku znaczy: «działać w dobrym kierunku»? Zabić kogoś innego? Niechrześcijańska to myśl, oj nie. A może jednak pójść na policję? Może przypominam jakiegoś prominenta? Prezesa? Wiceburmistrza? Piłkarza? Kogoś, kogo warto porwać? Ale nikt nigdy mi czegoś podobnego nie powiedział! Co najwyżej Urszula: «Przypominasz, za przeproszeniem, psie gówno», ale dotyczyło to zupełnie innych sytuacji - rzadkich, moim zdaniem, ale zdarzających mi się kaców. Stop! A może jakaś, przypuśćmy, zdradzana albo zagrożona rozwodem żona wynajęła Polaka, żeby rozwalił jej chłopa? Ten zaś dobrał sobie

jakichś Rumunów, Turków czy innych Cyganów, cholera wie kogo, w każdym

17

razie zdesperowanych biedaków, żeby załatwili jej mężusia! A ci amatorzy pomylili mnie z... powiedzmy, przedmiotem kontraktu. Tylko co mi z tego?

Żebym mógł się im wylegitymować, ale nie - najpierw poderzną gardło, a potem spluną, że spieprzyli sprawę. Czyli co - jednak policja? A co oni zrobią? Będą ogłaszali wszędzie, że szukają podobnego do mnie faceta, któremu rozjuszona żona czy kochanka postanowiła zrobić kęsim?”

Dopił piwo, zapalił kolejnego papierosa, nawet nie zauważył, kiedy w popielniczce zrobiło się ciasnawo. Teraz palce już drżały.

„Cholera, sam się wpędzam w nerwicę! Ale dobra, jak przekonać... kogo przekonać, że nie mam nic wspólnego z... niczym?”

Nagle przypomniał sobie rozdmuchaną ostatnio sprawę pewnej Angielki - dowiedziawszy się o zdradzie męża, za pieniądze z jego konta wykupiła kilka billboardów, na których poinformowała go, że występuje o rozwód. To by było co najmniej śmieszne, jego twarz na billboardach w całym Berlinie: „Ludzie, nie mordujcie mnie! Jestem tylko podobny do tego, kogo macie zabić!”.

Bardzo śmieszne.

Pomogłoby mu w karierze. Napisałby książkę *Przez pomyłkę niemal zabity* albo thriller *Śmiertelna pomyłka*. Ekranizacja w Hollywood, Brandauer w roli tego Polaka... „Zaraz, czy Klaus Maria jeszcze żyje? Czy umarł? Ale ja żyję...” - *Young lady?* Poproszę piwo! - uniósł rękę i pomachał.

Czuł, że wstawił się tym piwem na czczo, i wiedział, że upije się już nieźle drugim. Dlatego postanowił, że wypije jeszcze tylko jedno.

Dwa następne kupi sobie w Aldim.

Albo i trzy.

2. 23 MARCA, 15.13

Zwiedzający byli już zmęczeni. Krystian dobrze rozłożył siły - zbiegali się po Pergamonie, zaliczyli Humboldta i teraz walili się na nosy, w związku z czym niektórzy zerkali na przewodnika niemal z nienawiścią. Czyli zaoszczędził pół dnia.

18

-

Proszę państwa, możecie albo udać się do hotelu i trochę się odświeżyć...

-

Tak! Tak, tak, wie pan, nogi to już nam wchodzą!

-

...albo przejdziemy się na Ku'damm, młodzież...

-

A to niech se młodzież idzie! - Machnął ręką leciwy, choć bardzo młodzieżowy jeszcze rano biznesmen, teraz zaś zmęczony „dziadźka” z Żyrardowa. -

My panu dziękujemy, tyle wrażeń!...

Odwrócił się i wyprzedzając tylko o półtora kroku resztę, pocwałował do zbawczego hotelu.

-

Do widzenia państwu - rzucił Krystian tonem zawodowca rozczarowanego taką postawą klientów.

„Świetnie mi idzie, coraz lepiej - pomyślał. - Jeszcze ze dwie wycieczki i

dorobię się takiego planu, że wszyscy padną pierwszego dnia i będą mnie błagali, żebym więcej im już nic nie pokazywał. Jeszcze napiwki dadzą na tę intencję”.

Pomachał ręką do jakiejś dzierlatki, której nazwa Ku'damm najwyraźniej coś mówiła i która z wyraźnym żalem odwróciła się po kilkunastu krokach. „Posuwaj, mała, posuwaj, wujek Krystian uda się na zasłużony wypoczynek”.

Prawdę mówiąc, Krystian nie był przesadnie zmęczony. Jedną z jego częstszych rozrywek były długie spacerunki po mieście, które dzięki temu poznał dość dobrze, zachował szczupłą sylwetkę i dorobił się niezłej kondycji. W okresie apogeum przebudowy Potsdamerplatz co drugi dzień przychodził ze Steglitz, wchodził do Infoboxu, kostki dla turystów, i przyglądał się postępowi prac, narobił kupę zdjęć - przegradzanie Sprewy, zakrywanie budynkiem Sony historycznej kawiarni Esplanada i tak dalej.

Przystanął obok małej fontanny, wyjął papierosa, zapalił. Miał zasadę, że z wycieczkami nie palił - to zrównywało go z niepalącymi, którzy zawsze trochę z góry patrzyli na uzależnionych, i wynosiło ponad owych uzależnionych. Teraz jednak zaciągnął się z przyjemnością.

Zastanawiał się. Coś dzisiejszego ranka go zaniepokoiło, ale co? Ani nie pokłócił się z Urszulą, bo jej nie widział, ani nie wkurzył go swoim łagodnym spojrzeniem Jürgen, ani nic złego nie stało się podczas wycieczki, a zwyczajowy napiwek-datek nie odbiegał od normy w górę czy w dół; wycieczki po prostu wiedziały, ile się daje przewodnikowi, by nie trzymał się kurczowo planu, a ulegał zachciankom zwiedzających. Tym, co nie zapłacili, zawsze można było

cyjnego retorycznego pytania: „Wiecie państwo, kto beknie, jeśli komuś coś się stanie na niezaplanowanej trasie?”.

Ale nie, datek był akurat. Trzydzieści osób, po cztery „ojro” każda, sto dwadzieścia w kieszeni. Czyli dobrze. W takim razie - co? Co jest? Kiedy Ushi pytała agresywnie: „Co jest?”, odpowiadał: „Środa!”. A co jest dzisiaj? Właśnie - środa.

Dopalił papierosa i ruszył do zejścia do stacji U-bahnu. Na skrzyżowaniu ulic stały już cztery osoby, czekały na zmianę świateł, przyspieszył, żeby zdążyć na zielony cykl. Ale nie zdążył, zielone zapaliło się wcześniej, Krystian ruszył biegiem, był już na jezdni, gdy światła zmieniły się, nic groźnego - jeszcze dwie sekundy, zanim kierowcy ruszą, tu, w Berlinie, w Niemczech, nikt nie zaryzykuje potrącenia pieszego na pasach. Dlatego spokojnie sadził przez asfalt i dlatego serce skoczyło mu do gardła, gdy nagle usłyszał przeraźliwy pisk opon i kątem oka zobaczył ruszający z pierwszego szeregu oczekujących na zmianę świateł samochód. Wóz ruszył ostro, Krystian przyspieszył, zostały mu niecałe trzy metry jezdni do pokonania, ale samochód ruszył na skos, wcale nie usiłując przemknąć za plecami wystraszonego biegacza. Próbował dopaść go jeszcze na jezdni!

Rozpaczliwie odbił się bardzo mocno lewą nogą, potem prawą... Pomogły nawyki z regularnych treningów w młodości. W końcu był wicemistrzem Wrocławia w chodzie na dwadzieścia kilometrów! Ostatni sus spowodował, że wbił się w rozstępujący się co prawda, ale nieco za wolno tłumek na chodniku po drugiej stronie jezdni. Za plecami usłyszał ryk silnika, dokoła niego rozległy się piski i jęki, a on zderzył się z dwoma młodzieńcami w skórach, ćwiekach i łań-

cuchach i już za chwilę razem z nimi opadał na chodnik.

„Przy moim farcie to jeszcze oni spuszcza mi łomot! - przemknęło mu przez myśl. - Ale lepsze to, niż żebym powalił jakiego «opę» z laską albo wywrócił fajny wózek z kaleką «omą»”. Skórzaści już się podnosili. Klęli pod nosem, rzucali niezbyt przyjazne spojrzenia, ale wobec ogólnego życzliwego współczucia tłumu otrzepywali tylko ubrania, pobrzękując metalowymi elementami.

Krystian otrzepał się również, dokoła słyszał gdakanie zaniepokojonych kobiet

20

i pełne oburzenia powarkiwania mężczyzn. Usiłował ponad głowami tłumu zlokalizować pirata, ale już przesłoniły go inne samochody.

-

Poświadczę pana zeznanie! - wybulgotał wysoki mężczyzna z indyjskim wolem. Miał wypisane na twarzy oburzenie i naciśnięty na głowę zielony tyrolski kapelusik. Jesionka trzy czwarte w jodełkę. - Co za dranie! Polowali na pana! Jak w Moskwie!

„Dlaczego jak w Moskwie? - pomyślał Krystian. - Nieważne...”

-

Dziękuję panu. - Wziął wizytówkę.

Pokazał, że chętnie uściskałby dłoń świadka, ale swoją miał ubrudzoną.

Mężczyzna skinął głową ze zrozumieniem.

-

Młodzieź! - sapnął. - Żadnego szacunku, żadnych świętości. A przecież życie jest największym dobrem. Dla kilku ułamków sekund gotowi unieszczęśliwić człowieka. - Potrząsnął głową. - Inna sprawa, że policja już dawno po-

winna coś zrobić z tymi zdezelowanymi golfami! Niech je ześlomują za dopła...

-

Przepraszam, właśnie: widział pan, co to było?

-

Bordowy golf z dziewięćdziesiątego szóstego. 2.0 GTI 16V. Miałem takiego...

-

Bor... dowy?...

-

Tak, na pewno.

-

Hej, chłopie! - Zza pleców mężczyzny wyłonił się rówieśnik Krystiana, mający około trzydziestu lat, wyraźnie tureckiego pochodzenia, w bojówkach i puchatej, jak nadmuchanej, kurtce z logo jakiejś sportowej sieci. - Mam ich zdjęcie? Chcesz?

-

Pewnie, że tak! - odpowiedział za Krystiana pierwszy gorliwy świadek. -

Prześlij mu na komórkę - zaproponował, przejmując dowodzenie i wykazując się niezłą jak na siedemdziesięciolatka wiedzą o współczesnych metodach komunikacji międzyludzkiej.

-

Tak... na komórkę...

Krystian widział, że drżą mu ręce. Miały prawo, przed minutą uniknął kolizji z rozpędzającym się samochodem, powalił dwóch metalowców i w ogóle...

I ciemnobordowy golf trójka...

Wyjął z kieszeni komórkę, sprawdził, czy działa, podyktował numer, Turek pomanipulował klawiszami swojego wypasionego cudeńka.

21

-

Mam trzy foty - powiedział i widząc zdziwienie na twarzy Krystiana, wyjaśnił: - Akurat chciałem sfotografować tłukące się gołębie. A potem to już poszło.

Z komórki Krystiana rozległo się gdakanie sygnał przyjęcia wiadomości z załącznikiem. Zabrzmiało wyjątkowo głupio, kolejny raz przysiągł sobie, że wróci do domu, siądzie z instrukcją i nie odłoży jej oraz aparatu, póki nie zlikwiduje debilnego dźwięku, jaki ustawiła mu Ushi, dając w prezencie mało używany telefon po Jurgenie.

-

Dzięki, stary - powiedział do puchatego rówieśnika. Zająknął się. - Czy mogę ci się jakoś...

-

E tam! - Turek przyjacielsko trącił pięścią Krystiana w ramię. - Bez takich! Nie lubię takiego chamstwa. Jakby co - masz tam mój numer. Nie przepadam za glinami, ale jakbyś szukał świadka - to się pewnie zgłoszę. *Tschüss*. Rzucił się do przejścia, korzystając z zielonego.

-

Tschüss! - odruchowo powiedział Krystian i zapomniawszy, że ma brudną dłoń, wyciągnął ją do mężczyzny w kapelusiku. - Dziękuję i do widzenia.

Ten pamiętał o umorusanej dłoni, wskazał ją palcem i pokręcił głową.

-

Przepraszam, ale idę do dentysty. Rozumie pan - higiena.

Pokiwali głowami. Pozostali świadkowie już dwa cykle temu znaleźli się po drugiej stronie jezdni. Przechodzili, przesadnie kręcąc głowami w obie strony.

Jakby się bali, że lada chwila pojawi się kolejny idiota w starym golfie.

Wymienili jeszcze ze starszym panem pożegnalne uśmiechy i się rozstali.

Krystian zamierzał pójść w prawo, ale ponieważ w tamtą stronę ruszył „Tyrolczyk”, odczekał chwilę i poszedł prosto. Nawet poczuł się bezpieczniej: ogródek jordanowski, żadnej jezdni.

„Skręcić zawsze zdążę - pomyślał. - Tylko czy to ma sens? Jeśli to oni - usiłował wmówić w siebie, że to przypadek, zwyczajny przypadek, który jakimś losowo wybranym sześciu liczbom przyporządkowuje dwa miliony «ojro», a innemu... innemu przypasowuje dwa przypadki z ciemnobordowym golfem III w roli głównej - to choć nic nie gwarantuje, że tak jest, to jednak... Cholera, zgubiłem się w tych dywagacjach: jeśli to nie oni, to milion «ojro»... Jeśli jednak to oni, to znaczy, że wiedzą, gdzie mieszkam, bo czekali niemal pod domem.

Wiedzą, gdzie i jak pracuję, bo znaleźli się właściwego dnia o odpowiedniej

22

godzinie. Śledzą mnie albo śledzili. Dlaczego? Czy to już powód, żeby iść na policję? Cholera... Zaraz się zacznie: «Gdzie pan pracuje? Ach, renta po niemieckim dziadku?». Znaczące spojrzenia: «Polak, nienawidzi Niemców, ale skrzętnie zbiera okruchy z ichniego budżetowego stołu». A potem dalej: «A ten napastnik mówił po polsku? Nie ma pan w Polsce wrogów? Dlaczego nie

mieszka pan w ojczyźnie? Rentę można i tam odbierać. Ile jest pan winien pieniędzy i komu? Rosjanie i Ukraińcy? Robił pan z nimi interesy?»»”

Poczuł, że zapędza się w matnię wymyślanymi *ad hoc* pytaniami, ale w głębi duszy wiedział, że mniej więcej takie same przyjdą do głowy policjantom. Nawet nie ze złośliwości. To są standardowe i oczywiste pytania. Sam by je zad... No przecież sam je sobie zadał!

Usiadł na ławce i zaczął szukać odpowiedzi na dopiero co wymyślone kwestie.

Ukraińcy i Rosjanie odpadają, nie znalazł żadnych, to znaczy - nie miał znajomości biznesowych. Wrogowie w Polsce? Kto nie ma wrogów? Ale nie takich, którzy jechaliby do Niemiec po to, żeby po latach - bo przecież siedzi tu już lata, dokładnie cztery - przejechać go na pasach! Renta? No, miła rzecz, siedem setek piechotą nie chodzi. O tak, w Polsce by było z tego więcej, ale w Polsce i IKEA jest droższa, i mieszkania... Z trzech tysięcy nie kupi mieszkania, a kredytu nikt mu nie da. Już raz próbował - przyniósł do PKO plik umów, część nieaktualnych, ale tylko on o tym wiedział, i co? I pan dyrektor po tygodniu zastanawiania się orzekł, że kredytu nie da. A jak kolega podpisał mu lewy kwit na kredyt i potwierdził telefonicznie, że taki tu pracuje - proszę bardzo. Dziesięć tysięcy od ręki.

„Nie, dziękuję. To już nie dla mnie kraj. Nie robiłem w nim interesów. W żadnym kraju nie robiłem interesów, cholera! A już na pewno nie takie, za jakie się porywa, zabija... Co to - film polskiej nowej fali zbrodni?”

Zaciągnął się filtrem, zapiekło w gardle, jakby przeciągnął rozgrzanym drutem albo diamentowym brzeszczotem do wyrzynarki. Włożył niedopałek do

będącej w zasięgu ręki urny i zapalił drugiego. Rozejrzał się. Pełno ludzi, ale takich... mało sprawnych: matki z dziećmi, starsi miłośnicy gołębi... Przeszedł go dreszcz. Gdyby coś się działo, mogą co najwyżej cisnąć butelką z ciepłym mlekiem albo torbą z pszenicą.

23

Poderwał się i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Teraz do domu. Zamknąć się, przygotować pałę do bejsbolu... Gdzie ona może być? Pewnie w piwnicy pełnej kłopotów Jurgena, który ciągle przymierzał się do budowy domku w Polsce i gromadził na wystawkach oraz ofertach miliony kiedyś przydatnych rzeczy: kable, butle, kajaki, parasole, deskorolki, wieże, rowery. Kij bejsbolowy musi tam być, gdzieś w tak zwanej pierwszej piwnicy, obok stołu do bilardu. Obok dwóch stołów do bilardu, pliku latawców, za pontonem pewnie.

Rozważał jazdę U-Bahnem, ale najbliższa stacja była dość daleko. „No i gdyby mnie tam dopadli, nic by mi już nie pomogło. Autobus, tak. Tylko co potem? Ile będę siedział w tej piwnicy? Do nocy? Co dalej? Powiedzieć Uli? Nie uwierzy albo zacznie gdakać i kwoczyć, płakać, wrzeszczeć... Boże, co się dzieje? Komu się co popieprzyło, że chce mnie sprzątnąć? Mnie?”

Autobus podjechał jak na zamówienie, kwadrans później Krystian był na początku Odenwaldstrasse, zatrzymał się na rogu i wypalił dwa papierosy, rozglądając się na wszystkie strony. W rękę dzierżył ostentacyjnie komórkę, że niby jakby co - od razu 112. Przemknęła mu myśl, że jeśli jest dla kogoś z jakiegoś powodu ważną osobą, że jeśli śledzą go od jakiegoś czasu, mogli wynająć pokój w okolicy i teraz spokojnie przyglądać mu się zza firany jednego z kilkuset

okien, ale na to już nic poradzić nie mógł.

W końcu zdecydowanym krokiem ruszył lewą stroną ulicy, fryzjer, szkoła jazdy, dom numer szesnaście, osiemnaście. Skręcił, trzymając już klucze w rękę, migiem otworzył drzwi i wpadł do bramy, zadowolony, już nawet nie oglądając się za siebie. Wszedł na osiem pierwszych kamiennych stopni, zawahał się: od razu do piwnicy czy do góry i - mimo wszystko - telefon na policję?

Nie, piwnica, zdecydował. Zszedł kilka schodków niżej, wyszedł na podwórko, przystanął, żeby z pęku kluczy wyłowić ten właściwy. Drzwi domykały się już, gdy usłyszał z bramy trzask, zaraz potem drugi. Lodowaty pot momentalnie oszronił mu czoło. Przykucnął i rozejrzał się rozpaczliwie, ale przecież znał tę cholerną studnię dobrze, spędził na balkonie tyle godzin z papierosem, wiedział doskonale, że stąd nie było ucieczki. Chyba żeby wpakować się wraz z oknem do *Frau Könitchke*. W bramie trzasnęło trzeci raz, coś zabrzęczało.

Przylgnął okiem do dziurki od klucza. Znakomicie widać było całą szerokość

24

bramy - dwaj smagli pędzili do góry, jeden z ogromnym nożem w rękę, za nimi po schodach wbiegł trzeci, ten z rozwianymi prostymi blond włosami.

Krystian okręcił się na pięcie i pochylony dopadł czterech schodków do piwnicy, zbiegł, wsadził do zamka jeden klucz, drugi. Drugi pasował. Wpadł do piwnicy, zamknął drzwi, przekręcił klucz, wymacał automat zapalający światło. Za kostkę automatu Jürgen, uświadomiony przez Krystiana, włożył drewnianą, niewtajemniczonym nic niemówiącą drzazgę. Tą szczapą blokował automat, żeby nie wyłączał światła po pięciu minutach - buszując w swoich skarbach, potrzebował z reguły więcej czasu. Krystian zastanawiał się chwilę, co lepsze:

wygrzebać z piwnicy coś, czym zablokuje drzwi - ale do tego potrzebował światła - czy siedzieć jak mysz pod miotłą. Zdecydował się na to pierwsze, ale gdy tylko zapaliło się chorowite, kojarzące się ze szpitalnym magazynem brudnej bielizny światło, uświadomił sobie, że nie da rady odejść od drzwi, szukać drągów, maczug, palek. Po prostu - nie da rady. Staął plecami do wejścia, zdecydowany zapierać się i bronić do samego końca.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały ten czas trzyma w lewej dłoni komórkę. To musiał być znak. Niepewnie dźgając klawisze, dwa razy kasując prostą sekwencję cyfr, wystukał w końcu 112.

-

Halloo - w słuchawce odezwał się przeciągły, przyjazny kobiecy głos.

Krystian niemal włożył mikrofon do ust, mimo zdenerwowania zdawał sobie sprawę, że szept i to szept beładny tylko mu utrudni komunikację z dyspozytorką czy kimś, kto tam odebrał jego telefon.

-

Dzień dobry. Nazywam się Krystian Sommer. Potrzebuję pomocy policji.

Mieszkam na Odenwaldstrasse osiemnaście. Właśnie uciekłem trzem ścigającym mnie z nożami bandytom do piwnicy swojego domu. Oni pobiegli na górę. Proszę mnie nie wypytywać, tylko wysłać radiowóz! Błagam. Nie będę mówił, bo mogą mnie usłyszeć. Szybko!

-

Proszę pana, już wysyłam patrol, za dwie-trzy minuty będzie u pana. Ale proszę się nie rozłączać i odpowiadać na moje pytania...

-

Kobieto! Nie będę gadał, bo jak wyjdą na podwórko, to mnie usłyszą! - wysyczał.

25

-
Proszę pana, nie będę pana narażała. Proszę odpowiadać „tak”, naciskając jedynekę, i „nie”, naciskając zero. Czy pan mnie rozumie?

„Pewnie chodzi jej o namierzanie - pomyślał, o niebo spokojniejszy po informacji, że patrol już jedzie. - Albo żeby sprawdzić, czy jestem dowcipnisiem, który zaraz się rozłączy”.

Odsunął słuchawkę od ucha, wyszukał wzrokiem i nacisnął jedynekę.

-
Odenwaldstrasse osiemnaście, tak? Jedyńska.

-
Trzej uzbrojeni napastnicy, tak? Jedyńska.

-
Broń palna?

Hm... Jedyńska. Lepiej przesadzić, niż...

-
Pan ich zna? Zero!

-
Czy to wasze pierwsze spotkanie? Zero!

-
Czy rozpozna ich pan? Jedyńska!!

-

Czy wcześniej znajdował się pan w konflikcie z tymi osobami? Zero.

Zero!!

-

Czy wcześniej zgłaszał pan policji jakieś roszczenia względem tych osób?

ZERO!!! ZERO!!! ZERO!!!

„Zwariowała? Na karku mam nożowników, a ona zaraz mnie zapyta o numer kołnierzyka! Idiotka! Albo... Albo i nie. Może właśnie o to chodzi, żebym nie myślał o zagrożeniu? Cholera i cholera! Cała moja wiedza o kryminalnej stronie życia to wywiad z policjantem kupę lat temu i amerykańskie filmy...”

Odsunął słuchawkę od ucha, brzęczała coś, przycisnął ją do brzucha. Z oddali, nasilając się, docierał do niego dźwięk syreny. Zawsze wydawało mu się idiotyczne takie podjeżdżanie na syrenie, jakby chodziło o to, by bandyci zostali ostrzeżeni i uciekli, wzmagając napięcie. Ale to przecież nie był film, do diaska! Gdyby podjechali po cichu, może by zastali bandziorów na klatce schodowej, a tak? Słuchawka zawibrowała. Ciekawe, czy tylko policja tak może - wibrować podczas rozmowy. Nacisnął jedynkę i znowu przycisnął komórkę do brzucha. Niech posłucha, jak mu burczy ze strachu! Syrena wyła już na pewno na Odenwaldstrasse. Apogeum wycia. Cisza.

26

Przyłożył ucho do drzwi, potem wpadł na pomysł i do drugiego ucha przyłożył komórkę.

-

Halllooo? Jest pan tam?

-
Tak! - syknął.

-
Słyszysz pan syrenę?

-
Nieee... Już nie.

-
Do piwnicy idzie jeden z członków patrolu.

Usłyszał skrzypienie drzwi na podwórko, odgłos ciężkich kroków na schodkach, cisza. Stukanie do drzwi.

-
Herr Sommer? - I w słuchawce: - Puka do pana policjant! Słyszysz go pan?

-
Tak, słyszę. - Odsunął się od drzwi. - Jak się pan nazywa? - zawołał.

-
Jetzke!

-
Jak on się nazywa? - zapytał słuchawki. Milczała dwie sekundy.

-
Jetzke. Robert Jetzke.

-
Dobra... - odetchnął. - Dziękuję, otwieram mu drzwi i roz... Rozłączę się za chwilę.

Otworzył drzwi. Stał za nimi wielki rudy policjant. Gdyby miał spodnie w

pienowce pasy i rogaty hełm na głowie, mógłby zabawiać dzieci rolą Obelixa.

Krystian nacisnął czerwoną słuchawkę na komórce i pokiwał głową.

-

To ja was wzywałem. - Ruszył w stronę policjanta.

Ten uniósł rękę.

-

Nie-nie! Poczekamy tu. Koledzy poszli do pańskiego mieszkania. Numer

cztery, tak? - Krystian pokiwał głową. - No to czekamy. To tylko chwila.

Rzeczywiście, po chwili drgnął, uniósł wzrok jak człowiek słuchający roz-

legających się tylko w jego głowie głosów. Miał w uchu słuchawkę, a ta właśnie

przekazywała jakąś informację.

-

Dobrze. Możemy iść.

Krystian zrobił krok, ale policjant znowu podniósł rękę.

-

Światło, panie Sommer.

Krystian oniemiał.

-

Czy... pan zwariował?! Gonią mnie trzech bandyci, jeden z pistoletem,

dwaj z nożami jak szable kirasjerów, a pan mi o żarówkach!

27

- Ale już pana nie gonią, od wyłączenia światła nie zależy ani powodzenie pościgu, ani pańskie bezpieczeństwo. Proszę mi wierzyć, że gdyby było inaczej, nie zaprzętałbym panu głowy takim drobiazgiem - powiedział spokojnie poli-

cjant.

Ale nie usuwał się z drogi.

„On jeszcze gotów wlepić mi mandat! - pomyślał oszołomiony Krystian. -

Albo naśle... Oj, nie! Jeśli administracja się dowie, że Jürgen zajął bezprawnie drugą piwnicę, nie będą się pieprzyć, że to był pustostan od trzech lat...”

Potulnie odwrócił się i poczłapał do włącznika. Wyszarpnął drzazgę ze szczeliny, złamał i nieznacznym gestem cisnął na podłogę, dopiero potem odwrócił się do policjanta. Nagle przestał się bać, a poczuł upokorzenie i złość, wściekłość nawet. Gdyby zobaczył na twarzy stróża prawa choćby cień ironii czy protekcyjnego triumfu, eksplodowałby. Ale nie, glina miał ten sam spokojny, wyważony, służbowy wyraz twarzy.

On po prostu zwrócił uwagę, bo to należało do jego obowiązków.

„To jest tak niemieckie, że aż... że aż zasługuje na szacunek!”

Ruszyli schodami do góry. Prowadził policjant, czujnie wpatrujący się w przestrzeń przed sobą.

Prawa dłoń opierała się na kolbie pistoletu.

3. 23 MARCA, 18.34

Pora dnia sprzyjała bezkolizyjnemu i niewzbudzającemu zainteresowania wyjazdowi z miasta.

-

Jeśli nawet zawiadomi policję, to zanim ci się ruszą... - machnął niedbale

ręką mężczyzna o prostych, jasnych - wyraźnie nienaturalnie jasnych - włosach. -

Na Schönefelder Kreuz zjedziesz na E30. Tak jest najbliżej do Polski.

-

A na granicy oni na nas czekać! - warknął siedzący z tyłu mężczyzna w patrolowce.

Obaj używali angielskiego, ale dla obu był to język obcy, przy czym już po tych kilku słowach wiadomo było, że mężczyzna o aparycji środkowoeuropejskiej znał go lepiej.

28

-
Spokojnie.

-
Spokojnie! - przedrzeźnił go pasażer z tylnej kanapy. - Wezwał policję!

-
Ja też bym wezwał - odezwał się kierowca. Miał smagłą bałkańską cerę, orli nos, w ustach trzymał niezapalonego papierosa. Posługiwał się angielskim lepiej niż jego ziomek w patrolowce. - Nasza wina, że nie udało się go ani zdjąć, ani zlikwidować.

-
Zlikwidowany w niczym nie pomoże.

-
Ale pamięta nasze twarze - zaproponował kierowca.

Ten z tyłu, gdy tylko odezwał się mężczyzna prowadzący samochód, rozparł się na kanapie, jakby chciał powiedzieć, że teraz rozmowa jest w dobrych rękach.

-
Wolę jednak, żeby żył - powiedział blondyn. - Powtarzam - martwy nic nam nie da, a zawsze zostanie jakiś... - Wykonał kilka kolistych ruchów dłonią w

powietrzu przed sobą, demonstrując, jak szuka odpowiedniego słowa. - Jakiś...

-

Kandydat na nieboszczyka? - odpowiedział kierowca. Potem nagle zesztyniał. - Policja za nami!

-

Nie ruszać się! - syknął od razu blondyn. - Siedzimy tak, jak siedzieliśmy. Jego prawa dłoń wolno wpełzła pod klapę Goreteksowej kurtki, i od razu wysunęła się z powrotem. Uświadomił sobie, że jeśli policjanci będą ich po prostu wyprzedzali, to siedzący na miejscu pasażera funkcjonariusz może dostrzec, gdzie Polak trzyma dłoń, i to właśnie może wzbudzić czujność.

-

Możesz zapalić - rzucił, niemal nie poruszając ustami. - Pal!

Kierowca sięgnął do kieszeni i przypalił papierosa. Siedzący obok niego blondyn teatralnie zamachał rękami, opuścił szybę po swojej stronie i zbliżył głowę do krawędzi okna. Ot, jedzie sobie samochód, część pasażerów pali, druga część nie znosi woni dymu, kto by się interesował takim powszednim widokiem i takim popularnym samochodem?

W każdym razie policjanci się nie zainteresowali. Wyprzedzili go i pomknęli, nieco tylko przekraczając dozwoloną prędkość.

-

Teraz zgaś! - polecił blondyn.

-

Jerzy, żartujesz? - Kierowca wymawiał imię szefa, dzieląc je błędnie na dwie sylaby: Jer-zy. Rzucił spojrzenie na szefa i stwierdził, że ten mówi poważ-

nie. Z westchnieniem zaciągnął się pożegnalnie, otworzył okno i pstryknięciem posłał niemal całego camela między wyprzedzające ich samochody.

29

Odruchowo przyspieszył, widząc przesuwaną się z lewej wozy.

-

Langsam, langsam, aber sicher! - warknął Jerzy.

-

What? - Kierowca zrozumiał, że przesadził z żartami. „Polak nigdy nie żartował. - Już, już!

Zwolnił do dozwolonej tu sześćdziesiątki - dojeżdżali do Schönefelder Kreuz

- kierowca wyszukał na tnących przestrzeń na pasy gigantycznych tablicach

informacyjnych kierunek na E30, wsunął się w lukę i po kilku minutach mknął po

lukę, żeby wylądować na kierującej się na wschód E30.

-

A może trzeba było go łapać? - odezwał się znowu niezbyt dobrą, ale

wyraźnie często używaną angielszczyzną, taką, w której nie gramatyka, a sedno

przekazu jest istotne. Tak właśnie mówi się w Afryce, w Turcji, na Bałkanach. -

By był dobry w naszych rękach?

-

Oczywiście, że byłoby lepiej mieć go przy sobie - warknął Jerzy. Wy-

glądało na to, że po próbie żartu jeszcze nie doszedł do siebie. - Salmi, cały czas

trzymaj się kogoś - powiedział do kierowcy.

Tamten skinął głową.

-

Ale myślę, że znajdziemy inne środki nacisku, obejdzie się bez niego. -

Jerzy jakby rozszerzył odpowiedź na wcześniejsze pytanie. Milczał chwilę.

Potem zaklął przez zęby, po polsku. Podwładni milczeli. „Może rzeczywiście

wrócić? Skołować inną furę i dorwać tego padalca? Inna rozmowa: nóż przy

gardle, chlastu-chlastu, jak nie powiesz? - pomyślał. - Ale mogą nas już szukać, a

jego pilnować. Jusuf mówił, że ktoś robił nam zdjęcie na pasach, czyli mogą mieć

numery, może nawet gęby. Nie, za duże ryzyko. No i zawsze możemy wrócić.

Nie mówię «żegnaj», lecz «do widzenia»... - zanucił w myślach. - Ale coś mi się

wydaje, że pierwsza myśl, żeby spieprzać, była najlepsza. W każdym razie już nie

wracamy, niech się dzieje, co ma się dziać. Kismet. Karma. Wóz albo przewóz”. -

Jedziemy do Zakliczyny. Tam się okaże, co było lepsze.

Kierowca zamruczał coś niezrozumiale. Brzmiało to jak jakaś umyślnie po-

składana z trudnych sylab litania, ale on radził sobie z tym bez trudu. Po chwili

dołączył do niego siedzący z tyłu. Jerzy powstrzymał westchnienie, rozsiadł się

wygodnie, oparł głowę o podgłówek, przymknął oczy.

Zakliczyna.

Zakliczyna nie wyróżniała się niczym specjalnym w krajobrazie powiatowej

30

Polski. Były tu dwie konkurujące, nienawidzące się wzajemnie knajpy, co wy-

korzystywali miejscowi, biorąc na krechę i tu, i tu - „Jak nie dos w borg, to se

pójdem do drugiej onej!” - oraz szkoła, trzymająca się mizernie, jak owoc jarzę-

biny w pajęczynie.

I jeszcze klasztor żeński, klasztor Mniszek Bosych Zakonu Najświętszej

Maryi Panny z Góry Karmel. Nikt, oczywiście poza oficjalnymi okazjami, tak ich

nie nazywał. Zawsze i powszechnie mówiono o nim klasztor Sióstr Karmelitanek Bosych.

4. 23 MARCA, 20.02

Urszula wróciła, gdy mieszkanie, a właściwie przedpokój, zostało już doprowadzone do porządku. Niemal idealnego: wyłamane zamki osadzone w zasmarowanych masą szpachlową gniazdach, brudne ślady umyte. Krystian nie zdążył tylko sprzątnąć skrzynek narzędziowych. Zresztą i tak nie zamierzał ukrywać przed siostrą i szwagrem swoich przygód, w końcu dotyczyło to także ich, choćby dlatego, że któreś z nich mogło być w domu podczas wizyty bandziorów.

-

Co się stało? Zapomniałeś kluczy? - Wysoka, szczupła kobieta w koczkach za kolana i mini dużo powyżej kolan popatrzyła z góry na przykucniętego, zmiatającego wióry brata.

-

Nie. Gorzej. Chyba znacznie gorzej. Ale rozbierz się, bo to długa historia.

Zaparzyłem kawę...

-

Wolałabym coś zjeść.

Cała Urszula. Może jeść jak dwa chłopcy z rzeźni i nie odbija się to nijak na jej sylwetce, mężczyźni dokoła wpadali w kompleksy. Jürgen zadrwił kiedyś: „Jej soliter zdechł z przejedzenia!”. Zadrwił raz i tyle.

-

To chodź. Zapiekanka, wczorajsza, ale jest.

Trzy minuty później siedzieli w salonie na drugim końcu dziewięciometrowego korytarza, Urszula jadła, a Krystian opowiadał:

-

Tuż przed kościołem chciałem przejść na drugą stronę ulicy i wdepnąłem w gówno... Przepraszam. - Uświadomił sobie, że siostra je.

-

Nie szkodzi, to przecież twoje gotowanie - uśmiechnęła się i nadziała

31

brokuł na widelec. - No i?

-

Stałem, a wtedy przede mną zatrzymał się golf, wyskoczyło dwóch...

nie wiem - Rumunów, Arabów, Turków? Ciemna cera, rysy - wiadomo, jakieś południowe. Nieważne. W samochodzie siedział Polak.

-

Po czym poznałeś?

-

Pokazał mi paszport! - warknął, zły, że mu przerywa. - Powiedział do

mnie najczystsza polszczyzną, żebym wsiadał. Żebym się nie wygłupiał i wsiadał, czy jakoś tak. Ja stałem na jednej nodze, straciłem... Aha, pokazał mi pistolet!

-

Jaja sobie robisz? - Urszula odłożyła widelec i odsunęła talerz. Pusty. -

Prawdziwy?

-

A skąd mam wiedzieć?! Pistolet, póki nie wystrzeli, dla mnie zawsze jest

prawdziwy. Nie, gazowy nie! Miał dużą lufę, to znaczy otwór taki, jak ma zwykły pistolet... - przypomniał sobie. - Dobra, ja się zachwiałem, uskoczyłem za drzewo i uciekłem. Akurat z kościoła wychodzili ludzie, wpadłem między nich, wrzeszcząc „Hilfe!“. Tamci zwiali, ta trójka. To było cztery dni temu. - Odetchnął i łyknął kawy, Urszula poszła za jego przykładem. - Dzisiaj o mało mnie nie przejechali na przejściu dla pieszych. Musieli mnie śledzić, bo pożegnałem się z wycieczką i ruszyłem do domu. I na zielonym, wyobraź sobie, przebiegam, a tu pisk opon i jakiś ciemno bordowy golf wali na mnie. Cudem i o milimetry przemknąłem przed nim. Wydawało mi się, że lusterkiem trzepnął mnie w dupę. Oczywiście zaraz znalazła się masa świadków, jakiś starszy pan dał mi wizytówkę, a pewien Turek zrobił im nawet trzy zdjęcia. Widać na nich samochód, numery rejestracyjne są zachlapane błotem, ale chyba do odcyfrowania... - Podniósł kubek do ust, odstawił. - Przyjechałem do domu i wpadłem do piwnicy po kij do bejsbolu, to mnie uratowało. Oni wparowali do bramy zaraz za mną i pobiegli na górę, a ja się zamknąłem w piwnicy i zawołałem policję. I to, z grubsza, wszystko.

-

Kurde, tylko tyle? - powiedziała Urszula. Bezmyślnie wzięła widelec i narysowała jednym szpicem spirale w resztkę sosu. - To rzeczywiście nic się nie stało, co? - W miarę mówienia jej głos krzepł, pojawiała się złość, zmieniając timbre i siłę głosu. - Zwalasz nam na kark jakąś bandę muzułmanów czy Cyganów, nawet nie wiesz kogo, i mówisz, że nic się nie stało?

-

Kiedy, droga siostrzyczko, powiedziałem, że n i c się nie stało? Co?

Przypomnij mi?

32

-

Nieważne!

-

No tak, cała ty. Jak nie masz odpowiedzi, to mówisz „nieważne”, co oznacza, że wszystkie racjonalne argumenty mam sobie wsadzić w dupę, bo ty ich nie przyjmujesz do wiadomości!

-

To ty nie przyjmujesz do wiadomości, że paprzesz sobie życie, a przy okazji i innym.

-

Masz siebie, oczywiście, Ushi, na myśli?

-

Siebie też. Ale przede wszystkim ciebie. - Żeby nie miał wątpliwości, wskazała go wspaniale obrobionym paznokciem. - Nieudany prozaik, niespełniony dramaturg, powierzchowny dziennikarz... Kim ty jesteś?

Wzruszył ramionami. Takie awantury, niemal małżeńskie, odbywały się regularnie co trzy miesiące. Do kolejnej mieli jeszcze trochę czasu, ale banda Polaka przyspieszyła eksplozję.

-

Skubiesz życie po trochu, żeby się nie namęczyć, żeby poszło jak najprościej, najłatwiej... - Cicho i starannie odłożyła widelec. - Wydajesz całą oszczędności na wycieczkę do Afryki, że niby napiszesz drugie *Śniegi Kiliman-*

dżaro, i co? Nawet opowiadania nie skończyłeś!

„Dobrze, że nie wie, że nawet nie wszedłem na szczyt, ale skończyłem na ostatnim obozie, a zdjęcia wyprodukowałem za pomocą Photoshopa - pomyślał. - To by dopiero było”.

-

Natchnienie. Takie słowo istnieje. Mówi ci ono coś?

-

Mówi, ale to jest to coś, co cię omija szerokim łukiem, zawsze cię omijało, a ty sobie wmówiłeś, że bez niego nie stworzysz nic. Tymczasem dokoła tysiące „pisaczy” zarabia świetnie na życie, w dupie mając natchnienie. Ale nie, pan Sommer musi czekać, aż mu wena nasra na ramię!? No i tak czekamy... ile to, braciszku?

-

Długo.

Krystian postanowił wycofać się ze sporu, który nigdy nie kończył się jakoś sensownie, w najlepszym razie dąsami, kwiatami, przeprosinami. Wstał.

-

Ja...

-

Nie, nie! Poczekaj! Teraz to trochę inna sprawa, nie chodzi o twoje życie. To znaczy nie tylko o twoje. Bandyci, jak rozumiem, znają adres. A co, jeśli zechcą wyrwać mi kilka paznokci, żeby dowiedzieć się, gdzie jest mój brat?

33

Odruchowo zerknęła na swoje dłonie.

-
Policjanci powiedzieli, że będą mieli to miejsce pod szczególną pieczęcią.

-
Tak? A co to oznacza w ich żargonie? Że zamiast raz na dwie godziny przejadą tędy raz na godzinę? To wystarczy, żeby mnie zabić dziesięć razy.

Dwadzieścia nawet. Nie chcę skończyć jak... - zamilkła nagle.

-
Jak kto?

Milczała.

-
Jak ojciec? - spytał napastliwie. Milczała nadal. - Powiedz! Przecież ojciec popełnił samobójstwo! Tak?

-
Tak - odezwała się po kilku sekundach milczenia.

-
No to co, przewidujesz, że popeł...

-
Dureń! - Zabębniła palcami, a właściwie długimi tipsami, o stół.

-
Matka nie wierzyła w samobójstwo ojca, milicjanci też nie bardzo, ale chętnie zgodzili się zamknąć dochodzenie, bo nie wiedzieli, co z nim zrobić.

-
To nie było... samobójstwo?

Chyba nie. Krystek, ojciec nie miał powodu, najmniejszego. A wtedy też ludzie nie załamywali się tak z dnia na dzień. To teraz mamy choroby cywilizacyjne, stresy, frustracje, nerwice, psychozy, neurozy... Wtedy byliśmy wszyscy zdrowsi. I nagle nasz ojciec znika na dwa dni, a znajdują go w lesie na drzewie.

-

Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - wrzasnął.

-

Po co? Co byś zrobił?

-

Nie wiem, ale to był też mój ojciec, tak czy nie?

-

Tak, był. No i się skończył.

-

A matka?

-

Co matka?

-

Nie wierzyła w samobójstwo, powiedziałaś.

-

Tak sędzę. - Podniosła oczy na brata i nagle jakby się zdecydowała: - Ona oddała nas wujowi właśnie chyba dlatego. Zerwała z nami, żeby nas chronić, żebyśmy nie byli kolejnymi samobójcami!

Patrzył na nią osłupiały, z otwartymi głupio ustami, często mrugając - uosobienie zadziwienia-zdumienia-oszołomienia.

-
Co ty gadasz? - szepnął w końcu. - Ktoś nam zabił ojca, matka nas porzuciła, żeby chronić, a ty mi to mówisz teraz? Po dwudziestu kilku latach? Czyś ty zwario...

34

-
Nic z tego, co ci powiedziałam, nie jest pewne. - Nagle wyciągnęła rękę i dopadła papierosów. Zapaliła. Ona, która nie znosiła cienia dymu papierosowego w mieszkaniu, która sprowadziła specjalne drzwi na balkon z klamką od zewnątrz, żeby brat mógł się szczelnie zamykać na powietrzu, zapaliła. - Musielibyśmy porozmawiać z mamą, ale... No, sam wiesz...

Zapadła cisza. Krystian wolno sięgnął do paczki, wyjął przedostatniego papierosa - „Boże, spraw, żebym miał w biurku jeszcze ze dwie fajki!” Chwilę nic się nie działo, kłęby dymu wolno szybowały ku sufitowi.

-
Boże, nic nie rozumiem - powiedziała Urszula. - Nie chcę żadnych afer, poukładałam sobie życie... - Nasadą dłoni, w której trzymała papierosa, potarła nos, potrząsnęła głową. Loki, z których Krystian zazwyczaj kpił, że są jak z pierwszego serialu *Aniołki Charliego*, fruwały chwilę na wszystkie strony. - Nie dość, że z tobą...

Nie dokończyła, a zrezygnowane machnięcie ręką w jej głosie było tak wyraźne, jakby naprawdę wykonała taki gest.

-
Co - ze mną?

-
No - „co ze mną”! - przedrzeźniła go. - Wiele z tobą. Nie masz domu, nie masz pracy, nie masz właściwie zawodu, ale masz wrogów. To dość niezwykłe, nie uważasz? Jedyne dorobek - wrogowie.

-
Przestań. Jesteś nudna. - Zgasił papierosa. - Dlaczego nagle przypomniałaś sobie ojca? W kontekście tych bandziorów? - zapytał.

I od razu sam znalazł na to odpowiedź. Ale Urszula tego nie wiedziała, nie patrzyła na brata, zajmowała się rysowaniem krech w popiele czubkiem papierosa.

-
Ojciec też nie wadził nikomu. Inaczej trochę niż ty, ale nie wadził. A potem - nie żył.

-
Ładną mi malujesz przyszłość - usiłował żartem rozproszyć pośpny nastój.

Jeszcze raz potrząsnęła głową, a następnie uniosła ją i popatrzyła na niego tak szczególnie, jak starsza siostra. Jak zawsze, kiedy podejmowała przełomowe decyzje.

-
Musisz się przeprowadzić.

35

-
Ale policja...

-
Policja może i poobserwuje mieszkanie, ale ciebie na pewno nie będzie w stanie skutecznie chronić. A skoro tamci cały czas mają cię na oku, to musisz im z tego oka zejść - powiedziała i znowu głosem odmalowała niewykonany gest, tym razem kończące dyskusję plaśnięcie dłoni w stół.

Starsza siostra.

Nawet nie udawała, że wysłucha argumentów Krystiana. Zastanawiała się chwilę, nastąpiła szybka decyzja, nagłe uderzenie płonącym czubkiem papierosa w dno popielniczki.

-
Wydaje mi się, że Sandra będzie najlepsza.

-
O czym ty mówisz? Jaka Sandra? Do czego najlepsza? Jeśli *body... girl* - zgoda! - znowu usiłował wykpić się dowcipem.

-
Sandra, moja koleżanka z pracy. Lesbijka, ale to nie powinno ci przeszkadzać, nie jest też w twoim typie. Ładna pospolicie.

-
Ulka, co ty piep...

-
Mieszka sama w domu, podnajmie ci pokój. Dom, samochody... Nikt cię z nią nie skojarzy. Tam sobie posiedzisz parę dni, niech się wszystko poukłada, pomyślimy spokojnie. Bo tu już nie jesteś bezpieczny, to wiesz, prawda? - Wstała i teraz już naprawdę postukała kostkami palców o stół. - Pakuj się, swojego

laptusia, płyty, wszystkie manele. Jedziemy!

-

I tak z biegu? Nie zadzwonisz nawet do niej?

Tylko przez sekundę wytrącił ją z już ustawionego toru działania.

-

Nie. Kto wie, co się dzieje, kto nas podsłuchuje. Sandra ma ogromne mieszkanie i ciągle się zamartwia, czy jest ono bezpieczne, gdy jej w nim nie ma.

Wahał się chwilę, ale nie znalazł racjonalnych argumentów przeciw. Urszula miała rację, musiało jednak być coś jeszcze. Ona знаła młodszego brata jak zły szeląg, on zaś znalazł starszą siostrę tak samo dobrze. Zamiast wstać, odchylił się na krześle, stawiając je na dwóch nogach, czego Urszula nie cierpiała. Tym razem zniosła to bez słowa, jakby nie słyszała skrzypienia krzesła i trzeszczenia miazdżonych włókien podłogi. Chyba rzeczywiście nie zwróciła na to uwagi.

-

A co jeszcze? - Popatrzyła nań uważnie. - Co jeszcze się działo? Czegoś mi przecież nie powiedziałaś?

36

-

A... no tak... Dzwoniła matka... Malwina...

-

I?

-

Taka sobie luźna rozmowa, o niczym...

-

Ale?

-

Ale pozostało wrażenie niedopowiedzenia... Niepokoju...

-

Jej czy twojego?

-

Jej, a potem mojego. Pytała o nas, o ciebie, coś tam bąknęła o sobie, ale wydawało mi się, że ciągle gdzieś lewituje nad nami prawdziwy powód, dla którego zadzwoniła, ale nie wylądował.

-

Przecież gdyby coś wiedziała, toby powiedziała, prawda? - skrzywił się

Krystian. - Tobie by nie powiedziała?!

-

No właśnie. Powiedziałaaby, powinna powiedzieć, a jednak nie powiedziała!

Wstała.

-

Idziemy. Poważnie. Nie bijmy piana, bo to nie ma sensu. Wyprowadzasz się w bezpieczne miejsce. Po drodze kupimy komórkę na kartę, dwie komórki, tylko dla nas. Okej.?

-

Okej... - Także wstał. - Zawsze chciałem mieć nową komórkę na kartę...

5. BRAT ILLARION, KLASZTOR W CZAUSACH

Wewnętrzny dziedziniec rozświetlało południowe słońce. Ciepłe promienie

laskotały liście ogromnego rododendronu, królującego pośrodku sporego klombu. Ten klomb został założony ponad wiek wcześniej, kiedy przełożonym klasztoru był ojciec Bazyli, nazywany ponoć przez mnichów Dobrotliwym. W zasadzie nie był to klomb, ale coś w rodzaju sporego trawnika, ujętego w karby kamiennym murkiem. Bazyli Dobrotliwy twierdził, iż taki skrawek zieleni bardziej sprzyja kontemplacyjnemu skupieniu niż wpatrywanie się w zimną brukową kostkę i wyrastające spomiędzy niej chwasty. Z pewnością jego zwierzchnicy mogli nie być do końca zadowoleni z tej inicjatywy, gdyż - jak wiadomo - życie zamkniętego zgromadzenia objęte jest surowymi regułami, a mnichom powinien w zupełności wystarczyć ogród, w którym pracowali. Jednak

37

uparty ojczulek postawił na swoim. W innych klasztorach przecież także tworzono enklawy zieleni, może nie tak okazałe, ale i dziedzińce bywały tam mniejsze. Potem klasztor przejęła władza radziecka. Mnichów, którzy nie uciekli przed bolszewikami, bądź powieszono, bądź wysłano na katorgę, a ich dotychczasową siedzibę przeznaczono na budynek użyteczności publicznej. W dwóch skrzydłach mieścił się hotel dla gości specjalnych, to znaczy różnej maści aparaczyków i wyższych funkcjonariuszy - najpierw Czeka, potem NKWD, a wreszcie KGB. W drugim skrzydle zorganizowano stołówkę. Stołówkę... Nazwano ją tak ze względu na socjalistyczną chęć zerwania ze wszystkim, co przypominało o znienawidzonych burżujach. W istocie rzeczy była to ekskluzywna restauracja dla hotelowych gości, w której mogli oni nie tylko zjeść wyszukane potrawy i napić się wszelkich rodzajów alkoholi, ale także poznać atrakcyjne panienki, które nie miały specjalnych zamówień i nie hołdowały przesądom zgniłej

moralności. Oczywiście nie były to zwyczajne prostytutki z pobliskich miasteczek, ale etatowe pracownice tajnych służb. Wszak pijany gość nie powinien zwierzać się z tajemnic byle dziwce, która może pracować jeśli nawet nie dla obcego wywiadu, to dla różnego rodzaju organizacji przestępczych. Tacy chociażby ormiańscy knajacy, zajmujący się przemytem, oddaliby wiele, aby uzyskać informacje o zamierzeniach ministerstwa gospodarki - na przykład o wprowadzeniu nowych ceł czy zmniejszeniu lub zwiększeniu starych. Przecieki, rzecz jasna, bywały, lecz nawet one powinny być monitorowane przez odpowiednie organa. A czasem nawet sterowane lub - z rzadka - inicjowane.

Ostatnie wreszcie skrzydło przeznaczono na magazyny. Wojujący komunizm uwielbiał zamieniać miejsca kultu na składnice towarów, nawet tak cenne zabutki, jak liczący ponad osiemset lat monastyr. Słowem, wszystko się zmieniło, z wyjątkiem jednego - urokliwy klomb pozostał pośrodku dziedzińca nienaruszony, ciesząc oczy partyjnych dostojników oraz pilnujących ich bezpieczeństwa milicjantów i innych funkcjonariuszy.

A potem przyszli Niemcy. Zajęli wszystkie pobliskie miejscowości praktycznie bez jednego wystrzału. Pozbawiona kadry oficerskiej Armia Czerwona nie była w stanie skutecznie działać, zwłaszcza w tym - zaniedbanym przez władze wojskowe - rejonie. Część oddziałów wycofała się, a właściwie rzecz

38

ujmując - uciekła, część zaś przeszła na stronę wroga. Jednych i drugich czekał tragiczny los - uciekinierzy wylądowali w karnych batalionach, gdyż Stalin nie zwykł wybaczać żołnierzom, którzy nie bili się do ostatniej kropli krwi, nawet jeśli ta walka była beznadziejna. Zdrajcy zaś byli kierowani przez Niemców w

większości do własnych czołowych oddziałów i masowo tracili życie w zmaganiach pod Stalingradem, Moskwą, a potem stanowiąc osłonę podczas wycofywania się wojsk hitlerowskich. Zapewne nieraz się zdarzało, że dawni towarzysze broni z jednego oddziału strzelali, do siebie.

Klasztor zamieniono wtedy na coś w rodzaju domu wczasowego dla zasłużonych oficerów Waffen-SS oraz Wehrmachtu. W zasadzie nie zmieniło się nic oprócz nacji hotelowych gości. Jak przedtem w restauracji mieszkańcy hotelu mogli zabawić się zarówno w swoim towarzystwie, jak i skorzystać z usług bezpruderyjnych kobiet. Te ostatnie także były specjalnie dobierane spośród chętnych zgłaszających się do Lebensbornu. Początkowo organizacja ta miała na celu utrzymywanie i poprawianie rasy. Prawdziwi teutońscy mężczyźni powinni starać się o potomstwo z wyselekcjonowanymi przyszłymi matkami niebieskookich panów świata. Jednak potem Lebensborn zamienił się w zwykłe przedsiębiorstwo, świadczące usługi seksualne. W monastyrze, co oczywiste, pracowały te panie, które były agentkami gestapo, rzadziej Abwehry. A klomb na dziedzińcu kwitł pod opieką solidnego niemieckiego ogrodnika. To właśnie wtedy został tutaj zasadzony wielki rododendron, zrabowany w ogrodzie botanicznym w Polsce. Nadludziom należało zapewnić najlepsze warunki odpoczynku. Podobno w czterdziestym trzecim roku gościł w monastyrze sam Odilo Globocnik, jeden z głównych pomysłodawców i wykonawców Grosse Planung - planu zasiedlenia przez osadników niemieckich terenów zdobytych przez Rzeszę na Wschodzie. Prowadzono jakieś ściśle tajne rozmowy, dotyczące sposobów wykonania tej doniosłej misji, której patronowali najwyżsi dostojnicy w Berlinie. Efektem ustaleń były bestialstwa dokonywane na ludności zarówno na terenie

Polski, jak i w okupowanej części Rosji.

Gdy historia wykonała kolejny zakręt i monastyr znalazł się ponownie w rękach władzy ludowej, z początku zamierzano w ogóle zburzyć klasztor, splugawiony przez faszystowskiego najeźdźcę. Sprzeciwił się temu niespodziewanie miejscowy pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego,

39

bohater obrony Stalingradu, potem odznaczony za waleczność podczas ofensywy zimowej, człowiek, który przeszedł praktycznie cały szlak bojowy, a do Berlina nie dotarł tylko dlatego, że zapadł na ciężkie zapalenie płuc i koniec wojny zastał go leżącego z gorączką w szpitalu polowym. Dlaczego nie chciał się zgodzić na zniszczenie monastyru? To pozostawało zagadką. Argumentował, że jest to dziedzictwo narodowe, że lud białoruski utraciłby cenny zabytek. Lecz nie był to przecież człowiek ceniący jakoś szczególnie inne wytwory ludzkiej kultury niż mocny samogon i wędzona słonina. Może odezwało się w nim sumienie? A może o postawie zadecydowało wspomnienie matki klęczącej w domu przed świętym obrazem, przywołującej na pamięć czasy, kiedy pójście do cerkwi nie wiązało się automatycznie z wizytą ponurych panów w skórzanych płaszczach? Może zapamiętał z dzieciństwa dźwięk sygnaturki, piękne śpiewy, potężne głosy zdające się rozsadzać ściany starej cerkwi? Może był to także skutek obluzowania przez Stalina religijnego knebla na czas wojny ojczyźnianej? Generalissimus doszedł przecież w pewnej chwili do wniosku, że aby zwalczyć hitlerowskie hordy, nie wystarczy karmić ludzi wyłącznie komunistycznymi ideami. Że nie każdy zechce ginąć z imieniem Iosifa Wissarionowicza na ustach. Że trzeba zwrócić ludziom wiarę ojców, zaofiarować im coś więcej niż kult jednostki. Dlatego zezwolił na

otwarcie cerkwi, na uczestniczenie ludzi w życiu religijnym, nakazał nawet tolerować obecność popów w niektórych oddziałach liniowych. Czy tutejszy pierwszy sekretarz wtedy właśnie doznał olśnienia, przypomniał sobie wiarę przodków, o którą - zgodnie z legendą - walczył na wpół mityczny książę Włodzimierz? Czy zrobiło swoje przypomnienie przez komunistyczną propagandę takich bohaterów jak Aleksander Newski, łamiący kręgosłup wojskom zakonu krzyżackiego w imię Boga i ojczyzny? Coś w każdym razie nieco nadwerżyło materialistyczny światopogląd zagorzałego działacza partyjnego. Tak czy inaczej, uratował od zagłady cały kompleks. Życie potoczyło się dalej własnym rytmem. Zasłużeni pracownicy wywiadu znów przyjeżdżali na odpoczynek, ponownie zapełniły się pokoje, a z restauracji zaczęły się wydobywać wspaniałe zapachy. Znów prowadzono bardziej lub mniej tajne narady, a wyselekcjonowane prostytutki świadczyły usługi znakomitym gościom. Bawili się w tym miejscu i Beria, i jego późniejszy pogromca Chruszczow, i Breżniew, i jeden z najinteligentniejszych polityków czasów sowieckich - Gromyko, był nawet

40

Mikojan, odpoczywający po krwawej interwencji na Węgrzech.

Pośrodku klombu zaś królował zasadzony przez Niemców rododendron. I na niego w pewnym momencie zaczęły się zakusy, bo ktoś uznał, iż stanowi pamiątkę po niemieckich rządach, przypomina o krzywdzie i niechlubnej postawie oddziałów, które nie chciały umierać za komunistyczną ojczyznę. Ale jakoś się uchwalał. Może dlatego, że ktoś inny przypomniał sobie, iż roślina pochodzi z zaprzyjaźnionej socjalistycznej Polski, a nie jest przecież winna temu, że na jeźdźca przesadził ją w żyzną białoruską glebę.

Człowiekowi wychowanemu w innych warunkach, w atmosferze wolności myśli i słowa podobna argumentacja mogłaby wydać się mocno naciągana, jednak w czasach, kiedy trumnę Stalina usunięto z Leninowskiego mauzoleum, powołując się na sen pewnej towarzyszki, która ujrzała, jak Lenin odwraca się od swego następcy, tego typu mało logiczne konkluzje często bywały brane pod uwagę.

Monastyr pozostał zatem na miejscu, podobnie jak wspaniały rododendron.

Wrażliwa na chłody roślina czuła się tutaj doskonale, chroniona ścianami klasztoru, które zapewniały osłonę przed zimnymi wiatrami, a zimą - dzięki dobrze ogrzewanym wnętrzom - utrzymywały także na dziedzińcu na tyle wysoką temperaturę, żeby pokryte śniegiem łodygi i liście nie zamarzły. Poza tym ogrodnicy bardzo dbali o unikalny okaz. Gdy nadchodziły prawdziwe chłody, otulali rododendron płachtami materiału, pod które wdmuchiowano ciepłe powietrze, dzięki czemu powstawał swoisty termiczny namiot. Zresztą krzew przystosował się z czasem do chłodniejszego klimatu, potrzebował mniej opieki, a gdy nie miał się nim kto zajmować, udowodnił, jak wielka w nim drzemie wola przetrwania.

A czasy takie nadeszły niedługo po upadku imperium. Klasztor opustoszał, powoli zaczął się chylić ku ruinie. Białoruś uzyskała niepodległość. Tej niepodległości nie wszyscy wyglądali z tęsknotą i radością. Zbyt silne były wpływy ideologiczne Związku Radzieckiego, żeby nie poczynić spustoszeń w umysłach obywateli nowo powstałego kraju. A właściwie kraiku, znajdującego się zawsze w cieniu wielkiego sąsiada. Po kilku latach miotania się w nowych warunkach, po czasach coraz bardziej nieudolnych rządów, jakiś dostojnik państwowy zauważył

wreszcie, że istnieją takie miejsca, jak monastyr. A w zasadzie nie tyle zauważył,

41

ile podpowiedział mu to jeden z prawosławnych patriarchów. Zgromadzenia zakonne potrzebowały miejsca do rozwijania działalności. Władze najwyższe dość chętnie zgodziły się na to, aby mnisi przejęli niewykorzystaną i niszczącą nieruchomość. W samą porę. Bo kiedy prezydent Łukaszenka okrzepł na stanowisku, rozejrzał się dokoła i doszedł do wniosku, że stłamszone latami ucisku społeczeństwo bez większych protestów zaakceptuje w jego osobie zwyczajnego tyrana, Cerkiew nie miałaby szans odzyskać własności. I tak pojawiły się próby podważenia decyzji o zwróceniu monastyru zgromadzeniu zakonnemu. Jednak działacze opozycji podnieśli wielki krzyk, a prezydent miał ważniejsze sprawy na głowie, niż walczyć ze skromnymi mnichami. No i, rzecz jasna, musiał przynajmniej na początku trochę poudawać, że jest prawdziwym demokratą, szanującym wolność wyznania.

Mnisi zaś prędko doprowadzili siedzibę do porządku, po kilkudziesięciu latach przerwy zaczęli jej z powrotem używać w celach, do jakich została przeznaczona. W pokojach hotelowych, zamienionych z powrotem na surowe cele, zamieszkali mężczyźni w habitach, w kaplicy znów zabrzmiały piękne śpiewy, wychwalające łaskawość i potęgę Boga.

W ciepłe wiosenne dni zakonnicy, którzy nie mieli akurat do wykonania żadnej pilnej pracy, przychodzili na dziedziniec, aby nacieszyć się soczystą zielenią, spojrzeć w błękit nieba, podziwiać piękne kwiaty.

Tego dnia Iłlarion, podobnie jak inni, skorzystał z okazji, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Pracy w ogrodzie nie lubił, nie mógł zresztą zbyt często jej

wykonywać, gdyż kwitnące jabłonie i nadmiar innych roślin przyprawiły go o katar sienny. A poza tym miał do zrobienia ważniejsze rzeczy niż przycinanie gałęzi, pielenie grządek czy grabienie.

Patrzył na poruszone lekkim podmuchem liście pobliskiej róży i rozmyślał o starych pergaminach, leżących na stoliku w jego celi. Z zamyślenia wyrwały go głosy dwóch młodych mnichów. Spierali się o coś, ale kiedy pochwycili wzrok starszego zakonnika, zamilkli. Potem wymienili jeszcze kilka zdań. Niższy i szczuplejszy wykonał nawet ruch, jakby chciał podejść do Iłariona, ale się rozmyślił. Mnich wiedział dlaczego. Nowicjusze uważali go za kogoś w rodzaju czarnoksiężnika. Nie takiego, który rzuca urok na ludzi, ale takiego, który posiadał wiedzę innym niedostępną. Coś w tym było. No cóż, w takiej zamkniętej

42

społeczności, żyjącej zgodnie z własnym rytmem, pewnych rzeczy ukryć się po prostu nie da. Współmieszkańcy mogą nie wiedzieć, co naprawdę w trawie piszczy, ale że coś piszczy, zdają sobie sprawę doskonale.

Wyższy powstrzymał rozmówcę. Nie odważyli się. Nie tym razem. Marion uśmiechnął się do siebie. Kiedyś wreszcie któryś z nich zdecyduje się zapytać o sprawę, która nurtowała go na tyle, że posprzeczał się z przyjacielem. Może jutro, może za tydzień, a może i zgoła za rok. W klasztorze czas płynie nieco inaczej niż za murami. Dzisiejszy spór nie minie, nie rozwieje się w powodzi nowych doznań i wrażeń, jak to się dzieje w świecie zewnętrznym. Jeśli mnich raz zaczął nad czymś rozmyślać, musi doprowadzić ten proces do końca. Jeżeli raz zamierzał skorzystać z pomocy kogoś bardziej doświadczonego, koniec końców kiedyś zwróci się do niego. Nie należy tego przyspieszać. Wszystko musi mieć swój

czas, wszystko musi dojrzeć. Inaczej z człowiekiem dzieją się niepokojące rzeczy - zamiast myśleć, zadowala się prostym spostrzeganiem i konstatowaniem zjawisk, staje się pustą skorupą, gromadzącą mnóstwo niepotrzebnych informacji i przeżyć.

Hłarion odprowadził wzrokiem młodych braciszków. Najwyraźniej przypomniało im się coś, co powinni zrobić, ale popełnili grzech zaniechania, a może po prostu się bali, że starszy mnich może ich zagadnąć.

Tak czy inaczej, nie dojrzeli jeszcze do rozmowy.

6. 27 MARCA, 7.11

Obudził go jakiś ptak wywodzący długie trele na sośnie tuż pod oknem. To było miłe, słońce z ukosa uderzało promieniami w okno, wypalając długi wąski prostokąt na przeciwległej ścianie. Krystian przeciągnął się na łóżku. Zdecydowanie było lepsze niż jego własne w domu siostry. Miękkie, ale pod warstwą miękkości twarde, no i szerokie, mógłby spać w nim w poprzek, a nogi czy głowa nie zwisałyby nad podłogą.

Ale od razu przypomniały mi się powody, dla których nie spał w swoim łóżku, dobry humor prysnął, pozwalając dojść do głosu zdziwieniu i lekkiej złości.

43

„I co dalej? - pomyślał. - Nie będę do końca życia mieszkał z Sandrą, nawet gdyby była heteroseksualna, a podobno nie jest. Chociaż szkoda takiej dziewczyny dla innych dziewczyn...”

Wyszedł z pościeli, wiedząc, że jeśli pozostanie w łóżku, nie przestanie zastanawiać się, rozważać, wprawiać od rana w kiepski humor. Torby z dużą czę-

ścią jego garderoby stały pod ścianą, kosmetyki opanowały już łazienkę, wy-
czyścił zęby, ogolił się, wziął prysznic, po niemiecku oszczędzając wodę i kie-
szeń gospodyni.

„Właśnie, trzeba jej zaproponować podział kosztów - przyszło mu do głowy. -
Co mnie obchodzi, że ma forsy jak Eskimos lodu!”

Nagi, wybrał starannie koszulę i czyste sztruksowe granatowe spodnie, bieliznę..
Basen!

Rzucił okiem na zegarek. Dwadzieścia po siódmej. Sandra powinna jeszcze
spać, zresztą - pozwoliła korzystać ze wspaniałego basenu do woli. Wyszarpnął z
torby cienki bawełniany szlafrok i z ręcznikiem w dłoni cicho opuścił pokój.

Udało mu się zapamiętać, które drzwi są do szatni, włożył kąpielówki i wskoczył
do prowadzącego na zewnątrz wąskiego łącznika. Musiał zanurkować dwa razy,
żeby znaleźć się na dworze. Sandra powiedziała wczoraj, że już od niemal trzech
tygodni przesuwany dach jest odsłonięty, wystarczy samo podgrzewanie wody.

Przeleciały mu wtedy przez głowę szeregi liczb, a wynik sumowania wydatków
na prąd za każdym razem przekraczał jego miesięczne dochody.

Wynurzył się na zewnątrz, chłodne powietrze łagodnie opadło na mokrą
głowę i ramiona. Ktoś parsknął tuż obok, serce Krystiana wykonało dodatkowy
sus, może dwa, i się uspokoiło.

-

Cześć, ranny z ciebie ptaszek - powitała go gospodyni, kolistymi ruchami
utrzymując ciało na powierzchni.

Albo miała na sobie bardzo cielisty kostium, albo...

-

Obudził mnie właśnie jakiś ranny ptaszek - powiedział Krystian.

-

Zięby - stwierdziła Sandra. - Wiesz, że kiedyś przyszedł do mnie sąsiad zapytać, jak sobie radzę z ptakami, bo on ma dosyć. Ale bał się płoszyć, żeby go nie dopadli zieloni albo inni strażnicy przyrody.

Jednak była naga. No tak, niby dlaczego ma się kąpać w stroju, skoro to jej dom, jej basen, skoro cała ta posiadłość na obrzeżu Berlina, na Koenigsallee,

44

miała jednego właściciela i mieszkańca? Krystian starał się elegancko nie wytrzeszczać oczu na czubki piersi co i rusz wynurzające się z falującej drobno wody, ale czuł, że ma rozbiegane spojrzenie. Postąpił tak, jak zawsze, kiedy był zmieszany: wziął byka za rogi.

-

Nie sądziłem, że już o świcie sądzone mi będzie patrzeć na piękną nagą kobietę. Trochę jestem...

Mina miała znaczyć „...zawstydzony, ale mile, i wcale nie chcę otrząsać się z tego stanu”.

Sandra się roześmiała, przerzuciła ręce do tyłu i zanurkowała przez głowę, przez ułamek sekundy całe jej ciało wynurzało się z wody, żeby wygięte w łuk zaraz zanurzyć się z powrotem. Krystian sapnął i popłynął w innym kierunku, wzdłuż dłuższego boku basenu, dobre piętnaście metrów. Gdy dotarł do brzegu i wykonał jako tako sprawny nawrót, był już sam. Nie lubił pływać dla samego pływania, ale zmusił się - co innego miał do roboty? - do zrobienia jeszcze dwudziestu długości, wpłynął do łącznika i wynurzył się w szatni. Nie widać było

tutaj czyichkolwiek śladów pobytu, więc albo Sandra staranie posprzątała, albo poszła do domu inną drogą. Krystian wyobraził sobie ją nagą, szczupłą, wysoką, z ładnie uformowanymi, twardymi piersiami.

-

Dobra tam! - syknął przez zęby. - Spokój, ogierze.

W pokoju wytarł się jeszcze raz do sucha, wtarł we włosy odżywkę, uformował niedbałą „naturalną” fryzurę, wyjął laptopa i klawiaturę, podłączył je i chwilę się zastanawiał. Uznał, że bez kawy nie ma sensu zaczynać, włączył więc, żeby nie marnować czasu, defragmentację dysku i poszedł do kuchni.

Na dole było pusto i cicho. Usiłował przypomnieć sobie, czy Sandra powiedziała, gdzie znajduje się jej sypialnia, ale chyba nie. Zresztą - czy nie zabrzmiałoby to jak zaproszenie? Nie wiedział, co powiedziała Urszula swojej biurowej koleżance, ale ta przyjęła go bardzo mile, zaproponowała mieszkanie do woli, do chwili zażegnania niebezpieczeństwa, pytała nawet Urszuli, czy też nie chce „ukryć się” w jej domu, ale siostra rzeczowo oświadczyła, że takie rozwiązanie nie ma sensu, bo wystarczyłoby, żeby ktoś śledził ją po pracy, a odkryłby schronienie obojga rodzeństwa.

Krystian zapatrzył się na szafki, usiłując odgadnąć, gdzie może być kawa.

Zdecydował się iść za głosem logiki - nad ekspresem. Tam też była.

45

-

Zrobisz dwie?

Podskoczył i niemal wysypał czarny proszek na nieskazitelne, podgrzewane elektrycznie kafelki kuchni. Odwrócił się.

-
Za trzecim razem na twój widok jednak wykorkuję - powiedział.

Uśmiechnęła się. Chwyciła pilota i wdusiła po kolei dwa klawisze, z małej, ale cholernie mocnej wieży w salonie sypnęło perlistym basem. Podeszła do innej szafki, wyjęła pudło z płatkami, z lodówki butelkę z jakąś mieszanką jogurtu i owoców, pokazała to zachęcającym gestem Krystianowi, a gdy podziękował, wsypała sobie garstkę szeleszczącego pokarmu i załała połową szklanki miks. Dla takiej figury na pewno warto było cierpieć.

-
Mógłbyś zrobić w lodówce coś na kształt remanentu? - zapytała, prze-
łknąwszy dwie łyżki. - A ja zadzwonię w południe i dokupię, czego brakuje.

-
To może inaczej - ja zrobię zakupy? - zaproponował Krystian.

Wahała się chwilę, jakby nie wierzyła, że jest w stanie utrafić w jej gust. W tym momencie postanowił, że ją zaskoczy. Że przygotuje coś, co ją po prostu powali. Sandra skinęła wolno głową, jakby właśnie doszła do tego samego wniosku - że to on może zrobić zakupy.

-
Zostawię ci... - przerwała i potrząsnęła głową. Choć włosy miała dość krótko obcięte, i tak zdołały zawirować wokół jej głowy. - Przepraszam. Już nie mówię. Przyjmuję, oczywiście, propozycję. - Dwoma ruchami dokończyła skąpe śniadanie, wstawiła miseczkę do pustej jeszcze zmywarki. - No to do zobaczenia. - Ruszyła ku schodom, nagle zatrzymała się i popukała w czoło. - Wiesz, jak człowiek mieszka sam, to nie musi rano myśleć, tylko wykonuje

automatyczne ruchy - kąpiel, makijaż, śniadanie... Logikę włączam dopiero w pracy. - Uśmiechnęła się miło. - Zapomniałam, że jesteś bez środków komunikacji. To ja wezmę audi, a tobie zostawię morrisa, może być? Dokumenty są za owiewką, a kluczyki w wazie przy drzwiach. I tam też są drugie klucze. Kod alarmu - 223322. Pa! Aha, ten samochód ma taki - nie wiem, czy wiesz - system wyłączenia silnika na postoju: trzeba wrzucić luz i nacisnąć hamulec. Do tego trzeba się przyzwyczaić, w każdym razie ja musiałam. Ale można wyłączyć inaczej... - zmarszczyła brwi - tylko nie pamiętam jak. Zaraz wrócę po kawę. Wbiegła na górę. Ekspres zacharczał i zadygotał.

46

„Ludzkość niemal rozwiązała kwestię lotu na Księżyc i Marsa czy Wenus, ale cichego ekspresu nie udało się skonstruować najtęższym umysłem” - pomyślał Krystian. Przespacerował się do drzwi wyjściowych, zerknął na klawiaturę alarmu, nie wyglądała groźnie. W wazie leżał kluczyk z breloczkiem w kształcie pękatego, okrutnie uśmiechniętego Garfielda.

-

Sprawdzasz alarm? - usłyszał z tyłu.

-

Tym razem nie doznałem szoku - rzucił przez ramię.

Włożył kluczyk do wazy i wrócił do części kuchennej. Ekspres przestał pluć parą. Smak kawy wprowadził jego kubki smakowe w stan oszołomienia.

-

Rany! Co to jest? - zapytał z nabożeństwem.

-

Black Cat. Z Belgii.

-

Matko, już nie będę mógł pić innej - powiedział z przekonaniem.

-

Mam zapas - uspokoiła go. - Tu, w Niemczech, nie ma tylu rzeczy... -

poskarżyła się.

„Wpadłabyś do Polski” - pomyślał, ale nie wypowiedział tego głośno.

Sandra wyjęła z torebki komórkę, oczywiście wypasiona nokię, i wymieniła

kilka ogólnikowych, ale zrozumiałych dla rozmówcy komunikatów: „...Jak

tam?... Nie... Oczywiście... Może wieczorem?... Okej, dam znać...”.

Krystian dyskretnie ruszył do salonu, usiadł w fotelu, zapatrzył się w obraz

wiszący naprzeciwko szklanej tafli rozsuwanych drzwi, zajmujący połowę dłu-

gości ściany. Jakby gdzieś go widział.

„Kurde, czy to możliwe, żeby była aż tak... aż t a k bogata?” - pomyślał.

„To ciekawe, gdzie one...”

-

Tschüss.

-

Tschüss - odpowiedział machinalnie.

Powstrzymał się od spojrzenia na gospodynię. Niech sobie nie myśli, że

wywarła na nim takie wrażenie... jakie wywarła. Dopił kawę, przeleciał kilka-

naście programów w ogromnym grundigu, ale nie nowobogackim LCD, nie -

dobrym starym, płaskim „kinolu”; znalazł Eurosport, obejrzał grad bramek z

muraw kilku europejskich krajów i Ameryki Południowej.

„Pewnie szyby pancerne” - pomyślał nagle, zerknąwszy na drzwi wielkości dwóch stołów pingpongowych. „Skoro jest alarm? A! A przez basen?!”

47

Poderwał się i poszedł do szatni. Oczywiście, że przewidziano tu i taką możliwość. Wylot wodnego kanału do basenu był zamknięty matową ścianką z nierozpoznawalnego, ale na pewno wystarczająco mocnego materiału. Identyczna kurtyna przegradzała też drugi wylot z basenu. Niepożądani goście mogli co najwyżej pomoczyć się na zewnątrz. Zresztą, kto wie, czy wtedy jakiś alarm nie ściągnąłby patrolu policji?

Wrócił do kuchni, dopił wystygłą, ale ciągle wspaniałą kawę, posprzątał kuchnię, doprowadzając ją do idealnego porządku, wytarł nawet do sucha komorę zlewozmywaka z jakiegoś włoskiego marmuru i pomaszerował do swojego pokoju. Defragmentacja jeszcze trwała, postął chwilę przy oknie, wpatrując się w odległą taflę jakiegoś zbiornika wodnego, nie chciało mu się sprawdzać, co to może być.

Popracował dwie godziny, choć - musiał to przyznać sam przed sobą - praca ta nie miała większego sensu. Po prostu kolejny raz przejrzał pliki z pomysłami, przestawił kilka z nich - parę z dołu listy powędrowało wyżej, te z drugiego i trzeciego miejsca przesunęły się niżej. Drugie miejsce, sztuka o rozliczeniu z przeszłością kilku par przed pięćdziesiątką, świętujących przypadające na trzynastego grudnia urodziny jednego z grona wieloletnich przyjaciół, spadła na siódme; trzecie miejsce - niemal to samo, ale w formie powieści, jak przyklejone do wariantu scenicznego - spadło na ósme. Na topie nieodmiennie od dwu miesięcy znajdowało się opowiadanie, jedno z cyklu o Polakach w Niemczech. Ale

ciągle tylko w postaci zamysłu, ubarwionego kilkoma elementami scenograficznymi. Tym razem też nie posunął się dalej, poza żonglerkę trzema scenami i dwoma postaciami.

„Cholera, Ula nie ma racji, że nie powinienem nawet policji zdradzać miejsca pobytu. Jeśli oni serio traktują swoje obowiązki i moje zgłoszenie, to powinni się zaniepokoić moją nieobecnością!” - uświadomił sobie. Wczoraj nie rozważali takiego wariantu, po prostu starsza siostra uznała, że nikt, nawet Jürgen, nie będzie wiedział, gdzie Krystian się ukrywa.

Chwycił nową komórkę, wprowadził numer opisany jako „Jasiek”, jeden z kilkunastu fikcyjnych, poprawił dwie ostatnie cyfry, dodając po jedyńce. Taki szyfr ustalili z Ulą. Odezwała się niemal natychmiast.

- Cześć, nic się nie dzieje, spokojnie! - rzucił szybko, żeby uspokoić siostrę. - Po prostu pomyślałem, że policja powinna wiedzieć...

48

-

Nie! - ucięła Ula. - Dzwoniłam do nich, powiedziałam, że jesteś bezpieczny, ale pod innym adresem, poprosiłam, żeby dom mieli na uwadze, gdyby tamci się pojawili, ale nie podałam im nowego adresu, i proszę cię, żebyś ty też tego nie robił. I teraz się rozłączam, bo mam spotkanie. Zadzwoń później. Pa!

„No i tyle w temacie równouprawnienia i równowagi w rodzeństwie” - zakpił w myślach Krystian.

Pogapił się chwilę w ekran, zamknął pokrywę, odczekał, aż ucichnie dyskretny szum dysków i wentylatora.

Kilka minut później jechał w stronę miasta, w biegu zmieniając ustawienie

fotela i kierownicy. Ale niewiele - Sandra była niemal tak wysoka, jak on, i prowadziła widocznie po męsku, zgodnie z regułami sztuki - ręce wyciągnięte, nogi odpowiednio wyprostowane. Nie dziwiłoby to, gdyby była tą męską połową żeńskiego stadła, ale wszystko wskazywało, że powinna być częścią kobiecą, delikatną, subtelną... Coś jakby się nie zgadzało...

Zrobił zakupy, wrócił bez przeszkód do domu i nawet udało mu się nie uruchomić alarmu. Już w drodze wymyślił menu, takie dla modelki: chuda, ale smaczna zupka, rzadko to jedzą, powinno zaskoczyć: większość niegotujących kobiet uważa zupę nie z puszki za szczyt kucharskich kwalifikacji, Krystian zaś wiedział, że cała masa zup to proste dziesięciominutowe wprawki.

„Czyli tak - ogórkowa ze świeżego ogórasa, kapusta pekińska na dwa sposoby, żadnych quasi-eleganckich, ale pospolitych brokułów, gulasz babci, w «czystym» sosie, z łyżką kuskusu lub jakiejś kaszy. Deser - zwyczajny arbuz, żadnych tiramisu czy dietetycznych wodnych lodów. Albo ją załamię, albo udaję się na wygnanie”.

-

Jestem załamana! - powiedziała Sandra, wbijając widelec w pokrojony w piramidki arbuz. - Ja bym taką ucztę przygotowywała dwa dni.

Zamiast lekceważąco machnąć ręką, powiedział:

-

No bo to nie jest łatwe, zgoda. Ale jak się ma trochę wprawy...

-

Ale kawę zrobię ja!

-

Bardzo proszę.

Wstała, ale zatrzymała się i przekornie zmarszczywszy czoło, zapytała:

-

A nie boisz się, że spieprzę?

-

Nie. Dobra kawa, dobry ekspres. Nie da się spieprzyć.

49

-

Mogłeś powiedzieć, że parzę wyśmienitą kawę...

-

A parzysz?

-

Przekonasz się.

Zniknęła za lustrzanym regałem z kolekcją szklanych kul. Jakaś myśl spowodowała, że odłożył widelec, ostrożnie i wolno, żeby jej nie spłoszyć, ale i tak uciekła. Chwilę jeszcze natężał się, siedząc skrzywiony, potem się poddał.

Akurat żeby usłyszeć:

-

Śmietanka? Cukier?

-

Może ziarnko kardamonu?

-

Zdziwisz się, ale mam!

Przyniosła kawę. Była naprawdę dobra. Sączyli ją z przyjemnością, otoczeni

dyskretnie, niemal na pograniczu słyszalności, muzyką płynącą z dziwacznie uformowanych, ale diabelnie skutecznych kolumn.

-

Możesz mi powiedzieć... - Sandra.

-

Ciekaw jestem... - Krystian.

Zaczęli jednocześnie, przerwali i parsknęli śmiechem.

-

Tak?

-

Ty pierwszy...

Znowu razem. Krystian podniósł rękę i pomachał nią w powietrzu.

-

Ty pytasz.

-

Ja mam proste pytanie: co się dzieje, że Ushi musi cię ukrywać?

Musiało do tego dojść, należało się jej wyjaśnienie. Pokręcił głową.

-

Nie za bardzo wiem. W ciągu kilku dni trzech ludzie usiłowali mnie najpierw porwać do samochodu, potem przejechać na pasach i na końcu napadli na mnie...

To znaczy usiłowali napaść: wleźli za mną do bramy, tylko że ja nie poszedłem do mieszkania, ale do piwnicy po jakąś lagę do obrony, stamtąd zadzwoniłem na policję, ale ci goście zwiali... Myślę, że to już koniec tych ataków, ale...

-

Ushi?

-

No tak... Nie mogę jej narażać, to znaczy - nie mogę się postawić i zostać w mieszkaniu, bo gdyby coś się stało, byłbym za tę lekkomyślność odpowiedzialny. Więc się zgodziłem.

-

Ale to... - potrząsnęła głową - takie... filmowe?...

-

Też tak sędzę. Takie przygody niby nie zdarzają się w życiu, tylko na

50

taśmie... Ale - jak widać na moim przykładzie...

-

No właśnie... Nie wiem, co powiedzieć. Ushi wyglądała na taką... przerażoną?

-

Owszem. Dlatego nie kłóciłem się, ale potulnie spakowałem i... I jestem.

-

Dobrze, szkoda dziewczyny.

-

Tak.

Dialog zamarł. Po chwili Sandra uniosła rękę:

-

Teraz ty.

-

A! No... chciałem zapytać... dlaczego Urszu... Ushi nigdy o tobie nie

mówiła? Kiedy się poznałyście?

-

Och, ze trzy lata temu. No tak, gdy przyszedłam do kancelarii.

-

Do... - umilkł, z zakłopotaniem drapiąc się po głowie.

-

Słucham?

-

Nie... Ja tylko...

Sandra uniosła brwi.

-

Myślałem, że Urszula kłamie, że pracuje w kancelarii...

-

No nie mów!

„Szczerze mówiąc, to sądziłem, że moja siostra jest elegancką prostytutką -

pomyślał. - Call girl dla statecznych panów, co to nie chcą młodej siksy ze ster-

czącymi sutkami, nieudolnie udającej orgazm po minucie ocierania się”.

-

No tak, myślałem, że w jakimś eleganckim... butik, ale się nie przyznaje...

-

Hej? To ty źle znasz swoją siostrę!

-

Tak, źle.

„Właśnie, że dobrze! Bardziej mi pasowało do niej określenie «robię w mężczyznach» niż «robię w doradztwie». Ciekaw jestem, czy Jürgen myśli jak ja, czy jak Sandra? No i dobrze, że nie palnąłem czegoś o swoich podejrzeniach, przecież one pracują razem”.

Poczuł, że ostatnia myśl wywołuje rumieniec, wstał i przeciągnął się, mało elegancko, ale mógł odwrócić twarz.

-
A dlaczego?

-
Dobre pytanie... - Podeszedł do okna i patrzył chwilę na ogród, basenu z tej strony nie było widać, wystawał tylko kawałek zsuniętego, uruchamianego oczywiście za pomocą pilota, dachu. - Zastąpiła mi ojca i matkę, ale zrobiła to z takim dystansem i tak gorliwie, że straciłem ją jako siostrę. Nie wiem, czy mnie

51
rozumiesz - ona stała się natychmiast cholernie dorosła. Już nie rozmawialiśmy jak rodzeństwo, tylko otrzymywałem polecenia do wykonania, a wszelkie próby porozumienia się były kwitowane przez przemilczenie, rzecz jasna, w domyśle, jakby mały chłopczyk usiłował zrozumieć kogoś cholernie dorosłego i kur... cholernie mądrego. I tak stopniowo ustaliła się sytuacja, która trwa do dziś.

-
A rodzice?

Wrócił do stolika, usiadł w fotelu, a jednocześnie Sandra podniosła się i podeszła do barku.

-

Napijesz się czegoś?

-

Jakiegoś białego wina? Albo bardzo słabego drinka - powiedział. -

Chciałbym jeszcze dziś sięść do kompa, a już wiem, że po kieliszku dręcżą mnie świetne pomysły, których nie mogę zrozumieć dnia następnego.

Do wysokich szklanek naląła po cienkiej warstewce stolicznej i uzupełniła je sokiem jabłkowym.

-

Rodzice... - zaczął Krystian, dziękując skinieniem głowy za drinka.

-

Ojca pamiętam bardzo słabo, ale bardzo pozytywnie. Kochał nas i bitelsów. Pamiętam, jak się popłakał, kiedy matka kupiła mu na urodziny płytę, i to nie była jakaś *Biały album*. To było jeszcze za socjalizmu, więc taka płyta kosztowała pewnie całą wypłatę, a ponadto nie było gdzie jej kupić. Ojciec płakał jak bóbr, ja też się rozplakałem, bo nie wiedziałem, co jest grane, a wtedy wszyscy zaczęli śmiać się ze mnie. I ja też... Potem słuchaliśmy tej płyty na radzieckim adapterze monofonicznym. Ojciec wiedział wszystko o chłopakach z Liverpoolu, choć wtedy nie było Internetu i Google. - Uśmiechnął się do wspomnień. - Pamiętam, że jego koledzy starali się go zagiąć, wyszukiwali jakieś drobiazgi i pytali ojca, a on zawsze wszystko wiedział. „Czy i kiedy John Lennon grał na perkusji?” - zapytał Krystian innym głosem. - „Tak, w filmie *Help!* w piosence *Another Girl*” - odpowiedział basem. - Znajomi kręcili głowami i zapowiadali, że nie ustana, aż złapią ojca, ale nie zapamiętałem, a pewnie bym zapamiętał, gdyby coś takiego się komuś udało. I ten wesoły, pogodny, kochający bitelsów człowiek

nagle poszedł do lasu, żeby się powiesić.

Pociągnął ze szklanki. Sandra zapomniała o swoim drinku. Otworzyła szeroko oczy.

-

Co-o?

52

Przemilczał jej naturalną reakcję. Nagle parsknął śmiechem, popatrzył na Sandrę, ta wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, szarymi oczyma.

-

Wiesz co? Chciałem powiedzieć, że człowiek, który kocha The Beatles, nie może być złym człowiekiem, ale zaraz przypomniałem sobie Marka Chapmana. - I widząc, że nie kojarzy, wyjaśnił: - To ten, co tak kochał Lennona, że aż go zastrzelił.

-

Nazywał się Chapman?

-

Tak, tylko po apelu McCartneya i Yoko Ono nie podaje się jego nazwiska, bo jemu o to chodziło - zaistnieć przez zabicie swojego idola.

-

Interesujesz się bitelsami?

Wzruszył ramionami.

-

To geny. Ojciec miał na imię Eugeniusz, więc raczej – *gieny*! To taka polska gra słówek.

-
Chyba nawet mam jakąś „Złotą kolekcję”... - zaczęła Sandra.

-
Nie no, przestań! Przecież ja nie słucham na okrągło bitelsów! -Uniósł szklanekę, wypełnioną do połowy. – *Prosit!*

-
Prosit!

I wtedy odezwała się komórka Sandry. Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco, wyszła za regał, do aneksu kuchennego, skąd dobiegał sygnał, i po chwili wdała się w zawily dyskurs o nowym pakiecie zabezpieczenia emerytalnego. Potem zadzwoniła do klientki, a właściwie potencjalnej klientki. Krystian odstawił niedopity drink i po sekundzie wahania udał się do swojego pokoju.

7. 3 KWIETNIA, 12.55

Sekretna komórka zadzwoniła trzynastego dnia pobytu w posiadłości Sandry. Krystian regularnie ją ładował, kładł na wierzchu, wybrał najgłośniejszy sygnał, który obudziłby nie tyle umarłego, ile nawet jeszcze nienarodzonego i niezaplanowanego, i modlił się, żeby ta cholerna nokia nigdy nie zadzwoniła.

Ale odezwała się.

-
Krystian?

53

-
No a jak? Kto inny mógł...

Dzwonili do mnie z Polski - przerwała mu Urszula.

Krystian miał przez sekundę nadzieję, że błahą rozmową odpędzi zagrożenie,
bo ta komórka miała moc sprowadzania nieszczęścia, ale Ula nie dała mu szansy.

-
Policja. Matka... Malwina nie żyje...

-
Co? - zapytał głupio, naiwnie łudzac się, że źle coś usłyszał.

-
Dzwonił ktoś z policji i powiadomił nas, że w klasztorze doszło do
morderstwa, kilka sióstr zostało zabitych w bestialski... - przełknęła ślinę - spo-
sób. Między innymi ona.

Krystian zrobił dwa kroki, opadł na fotel.

-
Nic więcej nie wiem. Klasztor był wyludniony, bo wszystkie siostry
wyjechały na pielgrzymkę - prawie wszystkie, bez trzech. I te trzy zostały zabite.
Autobus się zepsuł i zakonnice wróciły do klasztoru, żeby dokonać makabrycz-
nego odkrycia. - Zamilkła na chwilę. - Krystek, oni chcą, żebyśmy przyjechali...

-
No to... pojedziemy?

-
Nie. Ja nie. Już raz chowałam, ojca. Nie chcę więcej.

-
Ale, U...

Powiedziałam i nie cofnę się! Powiedziałam to też milicjantowi...

-

Policjantowi - poprawił odruchowo.

-

Nie wydaje ci się... - zaczęła, ale zirytowany przerwał jej ostro:

-

Nie używaj już w stosunku do mnie tonu królowej śniegu, proszę cię! W

zależności od nastroju albo mi zarzucasz, że mam już trzydzieści trzy lata i

gówno w dorobku, albo odwrotnie - traktujesz jak szczyła, który... Och, chro-

molę! - Milczał chwilę. - Podaj mi, gdzie, do kogo, kiedy się zgłosić. Telefon,

adres, co tam masz.

Przez chwilę milczała.

-

Krystek... - odezwała się zupełnie innym głosem. - Ja nie mogę, uwierz

mi, to nie kaprys czy lenistwo... Jedź, powiadom mnie, co się dzieje, co będzie się

działo... Ja na pogrzeb przyjadę... Może...

Zmełł w ustach kilka ostrych słów.

-

Podaj mi te dane. - Przycisnął ramieniem słuchawkę do ucha, chwycił

pisak, by móc zanotować. - Jestem gotów.

Zapisał nazwisko prowadzącego dochodzenie i telefon w Gorzowie.

54

-

Podaaś mu moje dane? Telefon?

-
Tak. Ale obiecałam, że to ty zadzwonisz.

-
Dobra. To idę się pakować.

Ze złością zatrzasnął klapkę i odłożył aparat, choć wolałby cisnąć nim o ścianę. Przespacerował się do okna i z powrotem. I jeszcze raz. Chwycił telefon, wystukał numer podany przez Urszulę. Łączenie trwało dobrą minutę.

-
Komenda miejska policji, dyżurny starszy kapral Iwanicki. Słucham?

-
Moje nazwisko Sommer. Krystian Sommer. Chcę mówić z aspirantem Nieskobą.

-
Chwileczkę... - Trzaski w słuchawce, krótkie nieregularne piski. - Halo?

Niestety, wyjechał z komendy. Czy może pan zadzwonić później?

-
Mogę, ale to jemu podobno zależało na szybkim kontakcie. Dzwonię w sprawie morderstwa w klasztorze...

-
Moment... - Znowu piski. Głęboka cisza. - Proszę sobie zapisać, podam numer prywatnej komórki aspiranta Nieskobę...

-
Już! - Krystian chwycił pisak i zanotował kolejną sekwencję cyfr.

Policjant łączy się prywatnym telefonem? Dalej kraj paradoksów?

Starannie wpisał oba numery do swojej tajnej komórki, połączył się z komórką aspiranta.

-

Halo? Dzień dobry, Krystian Sommer. Ja dzwonię...

-

Kojarzę, dzień dobry. Kiedy pan może przyjechać?

-

Zaraz zacznę organizować wyjazd. Gdzie mam się zgłosić?

-

Do komendy miejskiej policji w Gorzowie Wielkopolskim. Mój numer pan, jak widzę, ma.

-

Mam. Myślę, że powinienem jutro być u pana. Gdzie jest... gdzie...

Nieskobą od razu skojarzył, o co chodzi Krystianowi.

-

W Gorzowie. Wszystko załatwi pan na miejscu. Proszę sobie... Sekunda!

- Widocznie odsunął słuchawkę od ucha, nie skorzystał z opcji wyciszenia.

„Świadkowie? To poszukaj, stacja benzynowa, nikt tam nie stawał, nikt nic nie powiedział? Dymaj szybko!...” - Halo? Przepraszam, ale jestem na miejscu wypadku, kto wie... No, nieważne. Porozmawiamy, jak się spotkamy. Do pana mam prośbę: proszę się zastanowić, przypomnieć sobie, pomyśleć, co może być

55

przydatne, co może nas naprowadzić na ślad sprawców, dobrze? No to do widzenia.

Rozłączył się błyskawicznie, Krystian jeszcze trzymał słuchawkę przy uchu, gdy tamten już odleciał w telefoniczny niebyt.

Usiadł, próbując metodycznie i racjonalnie ustalić listę potrzebnych rzeczy.

Dokumenty, telefony, ubrania. Garnitur? Chyba tak, przecież pogrzeb. A jeśli to będzie jakaś zamknięta ceremonia, do której go nie dopuszczą? Może kupić na miejscu. Pewnie wyjdzie taniej niż w Niemczech i nie trzeba wozić. Co jeszcze?

Ruszył do szafy i po chwili spory stos ubrań leżał na łóżku. Walizki były w garderobie obok łazienki. Wyjął największą.

„Będzie ciężka i niewygodna, ale jedną rękę będę miał zawsze wolną - pomyślał. - Czy lepiej dwie mniejsze? Cholera!”

Poczuł nagle ogromną ochotę na kieliszek mocnej wódki. Albo nie - koniak!

Porzucił pakowanie i wyszedł z pokoju. Po drodze zastanawiał się, co lepsze - autobus czy pociąg. Chyba ekspres Berlin-Warszawa leci przez Gorzów, trzeba będzie sprawdzić. Na dole Sandra wpatrywała się w ekran, na którym widniała plansza do scrabble'a, przygryzła dolną wargę i wstukała kilka liter. Podniosła głowę.

-

Cześć. Wciąga jak diabli. - Wskazała brodą ekran.

-

Cześć. - Podeszedł do barku. - Muszę się napić, też ci nalać?

Wyłączyła telewizor, odłożyła składanego pilota z klawiaturą.

-

Coś się stało? Czy ci ludzie?...

-

Nie, to w Polsce. - Podniósł butelkę z etykietą, na której widniały jakaś wielkomijska zabudowa i napis „Stolichnaya”. Sandra pokręciła głową. - W Polsce... W klasztorze karmelitanek mieliśmy matkę... Tę, która po śmierci ojca ześwirowała, oddała nas swojemu bratu, a sama wstąpiła do zakonu. Matka... Matka Malwina... - Nalał wódki do kieliszka z wytrawionym napisem „russkij razmier” i wypił, po czym nalał drugą miarkę. - Właśnie dzwoniła Ula i powiedziała, że w klasztorze zamordowano trzy siostry, między innymi naszą matkę. Jadę tam..

Odstawił butelkę na miejsce, kieliszek odniósł do kuchni i włożył do zmywarki. Wrócił do salonu, gospodyni siedziała ze zmarszczonymi brwiami.

-

Matko, Krystian, nie wiem, co powiedzieć...

56

-

Myślisz, że ja wiem? Z jednej strony... - uderzył pięścią w otwartą dłoń - porzuciła nas, wybrała swoje cierpienie i zbawienie, i diabli jeszcze wiedzą co! Ale... to jednak matka... I taka śmierć... Podobno jakiś bestialski mord... Nie wiem, co to znaczy, nie wiem, czy dotyczy wszystkich biednych sióstr, czy tylko jednej, i której?... Diabli, diabli, diabli!

-

Krystian... Ale jak... A Ushi?

-

Ona umywa ręce - powiedział z goryczą. I od razu poczuł się podle, kłamiąc czy może zniekształcając prawdę. - To znaczy - nie umywa rąk, tylko nie

pojedzie. Ona ma... Wiesz, ja wtedy miałem pięć lat, szybko się przestawiłem, nauczyłem języka w kilka miesięcy, wuj był kapitalnym facetem, poradziłem sobie w mig. Ale ona nie. Była starsza, nie wybaczyła chyba matce nigdy, że ta na nią zrzuciła opiekę nad synem, że siłą cisnęła ją w świat dorosłych, że nie była obok... Wiesz, pierwsza miesiączka, pierwszy chłopak, pierwsza miłość... A matki nie ma. Jakieś opiekunki wynajęte przez wuja - tak, owszem. Ale jej to nie wystarczało. Zresztą - nie wiem. Dziwne, ale wydaje mi się, że w ciągu naszej dwutygodniowej znajomości dłużej z tobą rozmawiałem na poważne tematy niż z własną siostrą. Z nią raczej się ścinamy... No, nieważne. Ona w tej chwili nie chce jechać, może przyjedzie potem, na pogrzeb czy jakoś tak. Nie wiem, ja się spakowałem, jadę. Gorzów jest blisko granicy, może ze sto kilometrów.

-

Poczekaj! Jak chcesz jechać? Przecież nie pociągiem?

Mimo okoliczności autentyczne przerażenie w głosie Sandry rozbawiło go.

-

Dlaczego nie? Tysiące i miliony ludzi jeździ pociągiem...

-

Przestań! Przecież musisz być mobilny, może trzeba coś załatwić,

jeszcze gdzieś jechać! Ten klasztor jest w Gorzowie?

-

Nie, gdzieś w pobliżu - powiedział wolno, zastanawiając się, czy wie, gdzie leży Zakliczyno. Nie, Zakliczyna... Nagle uświadomił sobie, że obca kobieta o niepewnej konstrukcji seksualnej troszczy się o niego bardziej niż siostra.

Uli nic nie obchodziło, że nie ma samochodu, że będzie się miotał autobusami,

tramwajami, koleją, taksówkami! Poczul złość, a jednocześnie coś w rodzaju
rozczulenia. To było miłe, taka troska. - Poradzę sobie. Polska nie jest dla mnie
krajem zupełnie obcym, a „ojro” jest już niemal uznanym środkiem płatniczym.

-

Posłuchaj, weź audi i...

-

Żartujesz? Żebym musiał w nim spać? Jeszcze mi trzeba problemów z
taką furą! - pokręcił głową.

57

-

No to morrisa, co?

-

Nie. - Pokręcił głową w przystępie racjonalnego myślenia. - Po pierwsze,
wypiłem przed chwilą prawie ćwiartkę wódki. Po drugie, to też jest łakomy
kąsek. Po trze...

-

Przestań, przecież jest ubezpieczony! - Poderwała się i wycelowała z
palca w Krystiana. - Dobra, odwiozę cię. Masz rację, w stresie, po wódce - nie
powinieneś prowadzić. Ja to zrobię.

-

Nie no, to jest bardzo miłe, ale...

-

Daj mi kwadrans i nie marnujmy czasu na dyskusje. - Nagle uśmiechnęła
się. - Odsłoniłeś się przecież!? Przyznałeś, że ulegasz kobietom energicznym, a ja

jestem znacznie bardziej energiczna od Ushi!

Ruszyła w stronę schodów, na stopniach z dębu przyspieszyła i była już na górze, kiedy Krystian ciągle szukał argumentów. Nic rozsądnego nie wymyślił, poszedł więc do siebie dokończyć pakowania.

Pomysł Sandry miał swoje dobre strony same dobre strony. Mógł dołożyć kosmetyków, ułożył w pokrowcu garnitur i kilka wizytowych koszul, hojnie dorzucił swetry, z ulubionym kardiganem na czele - „postarza cię”, marudziła Urszula, ale bardzo podobny kupiła Jurgenowi. Walizka wypełniła się szczelnie, chwilę jeszcze przekładał koszule, żeby się nie pomięły, a jednocześnie zajmowały jak najmniej miejsca.

Zaczął zamykać walizkę... Znieruchomiał w połowie jazdy eklera, porzucił suwak i sięgnął po komórkę, tę zwykłą. Miał tam wpisane „Polizei - Kornberg”.

-
Komisarz Kornberg? - zapytał pro forma. - Krystian Sommer mówi. To mnie chciano porwać, przejechać, pobić, tydzień temu...

-
Tak-tak. Pamiętam, czy coś się stało?

-
Nie wiem, może. W każdym razie, zgodnie z pana życzeniem - zgłaszam, że wyjeżdżam. Do Polski. W Polsce ktoś zamordował moją matkę. To długa i dość złożona historia. Nie utrzymywaliśmy kontaktów, ona była w klasztorze i właśnie dowiedziałem się, że tam zamordowano trzy siostry, w tym właśnie ją.

-
Czy myśli pan, że te... sprawy wiążą się jakoś?

-
Ja? Czy ja myślę? Pan sobie żarty stroi? Skąd mam wiedzieć? Ale - jeśli mam mówić szczerze - to jak się mogą łączyć? Ci Turcy czy Albańczycy są

58

przecież tutaj, a matkę zabito w Polsce! W Polsce! Co to - cała Europa dybie na życie klanu Sommerów? Niby dlaczego i po co?

-
Proszę się nie denerwować, panie Sommer. Ale jeśli w normalnej rodzinie, dalekiej od jakichkolwiek kryminalnych działań, nagle w kilku miejscach ujawniają się... hm, powiedzmy, nienormalne działania, to ja, z doświadczeniem i nosem starego policajka, mam dużą ochotę połączyć te wątki...

-
To już pana zmartwienie. Ja panu mówię, co wiem, że wyjeżdżam. Jak będę coś wiedział - dam znać. Do widzenia!

-
Halo?! Panie Sommer, proszę się nie rozłączać. Halo, słyszy...

-
Tak, słyszę! - Głos podnieconego komisarza uderzał w bębunki, Krystian odsunął na chwilę słuchawkę od ucha. - O co chodzi?

-
Proszę podać mój telefon komuś, kto będzie prowadził sprawę w Polsce, dobrze? Albo zadzwonić do mnie i podać jego namiary. Zrobi pan to?

Krystian milczał chwilę.

Pan naprawdę łączy incydenty z moją osobą i zamordowanie zakonnic?

-

Że zakonnic, to nieważne, proszę mi wybaczyć, nieważne, ale ważne, że jedną z nich była pańska matka.

Obaj milczeli długą chwilę.

-

Dobrze. Obiecuję, że skontaktuję panów ze sobą. Ale nie wiem, jak z językiem! - zastrzegł się.

-

Poradzimy sobie - szybko rzucił Kornberg. - Mam tu kolegę, nazywa się Schimtschak.

-

Rozumiem. Dobrze. Do widzę... Aha, właśnie przypomniałem sobie, co mnie męczyło od wczoraj! Panie komisarzu, czy na tych przekazanych panu zdjęciach z komórki jest widoczne prawe przednie koło?

-

Tak - powiedział wolno Kornberg. - Jaki jest cel tego pytania?

-

Już mówię - przypomniałem sobie, że ten golf, który mnie „napadł” po raz pierwszy, miał na kołpaku prawego przodu małe wyszczerbienie, taką odłupaną plastikową drzazgą.

-

Zgadza się. To ten wóz, nie mamy wątpliwości.

-

Aha. No to dobrze. Bo już się bałem, że nikt mnie nie traktuje serio.

59

-
Zapewniam pana, panie Sommer, że traktujemy pańską sprawę jak naj-
bardziej poważnie. Nie mamy wątpliwości, że dokoła pana krążą... niedobrzy
ludzie.

-
Zgadzam się, niedobrzy. No to do zobaczenia.

Rozłączył się, zły, że sam nałożył sobie na szyję nosidło - „koromysło”, jak
mawiała matka - z jeszcze jednym obowiązkiem do pamiętania, do wykonania...

Matka... Nie żyje... Zamordowana, i to akurat w czasie, kiedy ktoś zaczął dybać
na życie jej syna. Przysiadł obok walizki na łóżku.

„Jeśli sprawy się zazębiają - pomyślał - to ktoś cholernie się natrudził, żeby
mnie odnaleźć. Przecież formalnie nic nas nie łączy... nie łączyło... I w papierach
pustka, i żyliśmy odsunięci od siebie, kontakty były bardzo sporadyczne. I jesz-
cze coś... Coś mi przemknęło przez myśl podczas rozmowy z tym Kroneber-
giem... nie, Kornbergiem, ale co?”

Zastanawiał się nad tym kilka minut, a potem dał spokój, bo trzeba było je-
chać. Zanim wsiedli do samochodu, sprawdzili dokładnie, czy wzięli wszystko,
co mogło być potrzebne. Tamta myśl wróciła nagle, bez żadnego ostrzeżenia, już
na E30, czterdzieści kilometrów przed Słubicami.

-
Wiesz, co mi przyszło do głowy? - zapytał nagle. - To może brzmi egoi-
stycznie i idiotycznie zarazem, ale dlaczego oni się uwzięli na mnie, a nie na Ulę?

To znaczy, jeśli - tak jak powiedział ten policjant - sprawy mają jakiś wspólny punkt, to dlaczego Ula jest z tego wyłączona?

Sandra rzuciła okiem we wszystkie trzy lusterka, potem dłuższą chwilę patrzyła na Krystiana, a jeszcze później powiedziała, i to chyba serio:

-

Gdybyś był pierwszym spadkobiercą, a ona drugim, to by wszystko tłumaczyło, nie?

-

He? - Krystian osłupiał i nie krył tego. - Co... masz na myśli?

-

No, czeka na was ogromny spadek, ale wszystko albo niemal wszystko zgarniasz ty, a ona tylko skrawki, okruchy, strzępy. Ale gdybyś nie żył?!

-

Pięknie! - Krystian zmusił się do uśmiechu. - Chyba jednak jej nie powiem, jak wspaniałą ma przyjaciółkę.

-

Nie powiedziałabym tego, gdybym nie była przekonana, że to bzdura, ale w kryminale tak by to wyglądało.

60

-

Matka nie miała żadnego majątku, a jeśli dobrze się orientuję, wszystko, co miała, pieniądze z mieszkania i jakiegoś starego dużego fiata, przekazała klasztorowi. Wuj niczego nie chciał, był zamożny.

-

A może to on ukrył coś i dopiero teraz wchodzić w posiadanie tego?

Wiesz - jakiś fundusz, długoterminowa lokata, może zastrzegł w kancelarii odroczenie wypłaty, na przykład mieli się zorientować, czy przez pięć lat nie prowadzisz hulaszczego trybu życia, i dopiero potem dać ci miliony?

-

To by mi się podobało, te miliony... - zamyślił się. - Nie, wykluczone.

Milionów to on nie miał... - zastanawiał się chwilę, potem trzepnął dłonią w kolano. - Patrz, jak łatwo się zarazić podejrzliwością: już niemal za pewnik przyjąłem, że to moja starsza siostra chce mnie porwać, zmusić do zrzeczenia się majątku, odciąć kilka palców dla zachęty...

Roześmiała się, dołączył do niej.

Do granicy - nieczynnej już granicy - zostało trzydzieści kilometrów. Samochód Sandry połknął je w kwadrans.

8 4 KWIETNIA, 10.09

Nieskoba przypominał starszego brata Brada Pitta, chyba o tym wiedział i korzystał, jak mógł. Wszystko robił energicznie, porywiście, dynamicznie. Jeśli nawet przez chwilę siedział nieruchomo, to kręcił głową, rzucał spojrzenia na boki, uśmiechał się. Uczesany był, oczywiście, na „młodsze Brada”.

- Proszę siadać, to wyjątkowo wygodne krzesło. Nie służy do przesłuchań.

Oprócz niego w pokoju urzędowała przy biurku obojętna jak kamień młoda kobieta, której mocny makijaż, nienaturalnie kruczoczarne włosy i tona pudru w kremie na twarzy kojarzyły się raczej z dyskoteką, barem czy nawet hotelowym holem niż komendą policji. Kobieta zawzięcie stukała w klawisze komputera, ale tylko dwoma palcami. Długie paznokcie albo tipsy wydawały nieprzyjemny

bociani klekot w zderzeniu z plastikiem. Krystian uznał, że nie podoba mu się w komendzie policji. Zwłaszcza nie spodobały mu się niemal marchewkowe twarze policjantek.

61

„Pierwsza wizyta i już się nie podoba jaśnie panu?”

-

Naprawdę nie mam czego się obawiać - powiedział Krystian. - Zresztą, mam nadzieję, że to pan będzie mówił.

-

Na początku na pewno. No więc tak. Osiem dni temu, dokładnie dwudziestego siódmego marca, czterdzieści osiem zakonnice... - Otworzył notatnik, przewertował go, rzucił krótkie spojrzenie na Krystiana. - Przygotowałem się trochę... Klasztor Mniszek Bosych Zakonu Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel - przeczytał. - Otóż czterdzieści zakonnice, z ksienią na czele, wyjechało na dwudniową pielgrzymkę do Częstochowy. To rzadki przypadek, siostry raczej nie opuszczają klasztoru, ale ponieważ sponsor dał im autobus i nieobecność miała trwać właściwie tylko dobę, ksieni podjęła taką decyzję... I chyba już do końca życia będzie tego żałowała - uzupełnił innym tonem. - W każdym razie w klasztorze zostały trzy siostry: dwie młode zakonnice, w tym właściwie jedna w trakcie nowicjatu, oraz najstarsza w ich gronie matka Malwina. Pańska matka, znaczy - matka Malwina też - trochę się pogubił. - Wieczorem przed klasztorem zatrzymał się samochód, to widziało dwóch świadków. Wysiedli jacyś mężczyźni. Tu zeznania świadków nie są zbieżne, jeden mówi, że dwóch, drugi, że czterech albo może trzech. Trzy kwadransy później pod klasztor zajechał autobus

z powracającymi zakonnicami, pielgrzymka się nie udała, w pierwszym autobusie padła skrzynia biegów, na drugi czekały sześć godzin, aż wreszcie zdenerwowane i zrezygnowane uznały, że to znak Pana, i wróciły, mimo namów sponsora. Zstały makabryczny widok w refektarzu, to jest taka zakonna jadalnia - wyjaśnił. Krystian skinął głową, przygotowując się na ciąg dalszy. - Trzy zabite zakonnice. Wszystkie nożem, jednej niemal odcięto głowę, drugiej poderżnięto gardło... Matka Mal... Pańska matka została zabita jednym ciosem w serce - powiedział szybko. - Była mokra i wcześniej przywiązana do krzesła, wygląda na to, że usiłowano ją do czegoś zmusić. Dwie młodsze kobiety były torturowane, ona uniknęła brutalnych... uszkodzeń ciała. - Zamilkł na chwilę, potem szybko przewrócił stronę i zerknął do notatek. - Jest jedna zastanawiająca rzecz... Przeproszę, to brzmi cynicznie, w tym mordzie jest cała masa zastanawiających faktów, ale ta zaintrygowała mnie szczególnie. Mianowicie pańska matka miała w ręku... przytulała do brzucha... obrazek ze świętym Hugonem. - Znowu zerknięcie do notatek. - Dokładnie było tam napisane: „Hugo z Payns”. Może się

62

inaczej czyta?... - Wzruszył ramionami. - Na kredensie stało kilkunastu świętych, cała galeria. Pańska matka wybrała właśnie jego, i to... - Pokręcił głową. - Zadano jej, jak powiedziałem, jeden fachowy cios, ale matka Malwina miała nietypowo umiejscowione serce. Patolog dokonujący obdukcji uświadomił mi, że mniej więcej jeden na stu ludzi posiada organy przesunięte, a nawet przestawione na przeciwne strony ciała. W każdym razie cios nie zabił jej od razu. Dotarła do kredensu, na którym stali święci, i wzięła z szeregu obrazków właśnie ten. Widocznie jakoś szczególnie go lubiła.

-
A skąd wiadomo, że dotarła do kredensu po... ciosie nożem?

„Święty Hugo? - przemknęło mu przez myśl. Coś się kojarzyło z tym imieniem, ze świętością... - Jakaś rozmowa?... Matki z kim? Cholera, nie pamiętam...”

-
Na kredensie są ślady jej krwi, no i leżała tuż obok, przykrywając obrazek sobą. Jakby specjalnie go chciała ochronić.

Zapadła cisza. Krystian uświadomił sobie, że od dłuższej chwili nie słyszy klekotania tipsów policjantki. Powstrzymał się od spojrzenia za siebie.

Westchnął.

-
Co jeszcze mogę panu powiedzieć... - odezwał się Nieskoba. - Zabójcy uciekli chyba w chwili przybycia sióstr. Część z nich pamięta ciemnoczerwony samochód na poboczu drogi, nieopodal klasztoru. Druga część podaje to w wątpliwość, ale wszystkie przyznają, że były zmęczone, złe, głodne, i na widok rodzinnego klasztoru wpadły niemal w eufo...

-
Jaki to był samochód? - przerwał mu Sommer, wyciągając rękę, by uciszyć aspiranta, i to natychmiast.

-
Z relacji świadków wynika, że golf. Ciemnoczerwony, ciemnobordowy albo brąz z czerwienią. A dlaczego pan...

Krystian pokręcił głową. Chwilę się zastanawiał.

-

Widzi pan, tydzień temu przeżyłem w Berlinie dość nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne incydenty, trzy ataki trójki mężczyzn w ciemnobordowym golfie.

Nieskoba przestał bawić się w Pitta, wyprostował się na krześle, nie patrząc, sięgnął po papierosy, zapalił, mruknął „przepraszam”, podał paczkę Krystianowi.

Ten skorzystał z zaproszenia. Policjantka podeszła i postawiła przed nimi

63

popielniczkę, najwyraźniej zwiniętą z jakiejś knajpy, z reklamą piwa Łomża

-

Za pierwszym razem chyba chcieli mnie porwać, zajęchali drogę i kazali

wsiadać, uciekłem w tłum ludzi wychodzących z kościoła. - Nieskoba otworzył

usta. - To był piątek, ósmego, dziewiątego usiłowali mnie przejechać samocho-

dem, na pasach, mam świadków. I zaraz potem chcieli mnie dopaść w domu, ale

przypadkiem po wejściu do bramy skierowałem się do piwnicy, gdzie miałem

nadzieję znaleźć coś do obrony, jakiś kij do bejsbola czy coś takiego. Oni wpadli

za mną i pognali na górę, zadzwoniłem na policję, ale ci durnie nadjechali z

dyskoteką i bandyci zwiali. Tyle wiem. Jeden z nich to Polak, białe włosy, dość

długie, podobny do tego kompozytora Rubika. Kropka w kropkę. I dwaj Turcy z

nim. Turcy, Grecy, Albańczycy, cholera w sumie wie... Śniadzi i chyba niemó-

wiący ani po naszemu, ani po niemiecku. Może Egipcjanie czy inni Arabowie.

Nieskoba siedział z otwartymi ustami, potem strzelił spojrzeniem za plecy

Sommera. Wymienili z koleżanką jakieś bezgłośnie informacje.

-

Panie Sommer, z nieba mi pan spada... - powiedział oficer. Było pewne,

że gdyby nie okoliczności, poderwałby się z krzesła i odtńczył jakiś szalony

taniec triumfu. - Ciemnobordowy golf?!

-

Tak, mam numery na zdjęciu... - bąknął skonsternowany Krystian, sięgając po komórkę.

-

Nie!?

Z tyłu szurnęły kółka krzesła. Policjantka musiała poderwać się na równe nogi.

-

Tak. Fotę zrobił im jakiś chłopak, przesłał mi, ja podałem policji, ale też mam. Proszę.

Manipulował chwilę swoją „normalną” komórką. Dogrzebał się do zdjęć, wyzoomował tył samochodu.

-

Ela! - wrzasnął Nieskoba. - To oni! No to mamy wreszcie ślad!

Obiegł biurko i zaczął ręką zagarniać Krystiana do drzwi.

-

Idziemy. Znaczy - jedziemy. Ależ fart...

-

To nie fart - powiedział rozeźlony Krystian, wolno wstał z krzesła i nieśpiesznie skierował do drzwi. - To po prostu fragmenty tej samej sprawy, nie

64

sądzi pan? A pani? - odwrócił się do wytapetowanej policjantki.

Ta obdarzyła go przeciągłym beznamiętnym, pozbawionym jakiejkolwiek treści, niewątpliwie długo ćwiczoną spojrzeniem.

Zaczęła klikać w klawisze, nie odezwawszy się.

Wyszli na korytarz.

9. BRAT IŁLARION, KLASZTOR W CZAUSACH

To był kolejny pogodny dzień. Rzadko zdarzało się ich aż tyle naraz w rejonie, gdzie wiatry zachodnie zmagaly się ze wschodnimi, gdzie ścierały się resztki oceanicznych wpływów Europy z kontynentalnymi, imperialnymi dążeniami surowego klimatu, zrodzonego na zimnych równinach wielkiej azjatyckiej domeny. Na tej rubieży z reguły wiatry z zachodu musiały prędzej czy później skapitulować przed wschodnią potęgą.

Iłlarion siedział na ławeczce w cienistym wykuszu. Ostre słońce było zbyt dokuczliwe dla zmęczonych całonocną pracą oczu, a jednocześnie płuca pragnęły świeżego powietrza. Mnich przez całe życie się męczył, siedząc w ciasnej, dusznej celi. Wolał wielkie, otwarte przestrzenie, ale sam skazał się na życie w czymś, co można określić mianem klatki. To był jeden z krzyży, jedno z jego małych poświęceń dla Boga.

Trochę dalej, przy klombie, stał inwalidzki wózek, a na nim drzemał człowiek w habicie. Dłonie złożył na kolanach i tylko nieco nienaturalne ułożenie wskazywało, że jest z nimi coś nie tak. Nawet we śnie twarz miał wykrzywioną grymasem charakterystycznym dla osób cierpiących na porażenie mózgowe, z kącika ust spływał strumyczek śliny. Na pierwszy rzut oka był to człowiek upośledzony fizycznie i umysłowo. Gdyby jednak nie spał, ktoś dociekliwy zobaczyłby wyraźnie, że jego oczy patrzą uważnie, z wyraźnym błyskiem inteligencji.

Iłarion kątem oka zauważył ruch na prawym południowym kruzganku. Ktoś mu się przyglądał dłuższą chwilę. Zakonnik się uśmiechnął. Czy to właśnie dzisiaj przyjdzie pora na rozmowę? Czy młody duchowny zdecyduje się zadać fundamentalne pytanie doświadczonemu bratu w wierze? A może jeszcze nie

65

teraz, może tylko popatrzy i odejdzie do jakichś swoich obowiązków, tłumacząc się sam przed sobą koniecznością ich wypełnienia?

Iłarion przymknął oczy. Kiedy je otworzył, młody człowiek zdążył już zniknąć. To i lepiej, mnich będzie miał więcej spokoju, zyska parę minut odpoczynku. Wrócił myślą do pogody. Jej losy są identyczne jak los Białorusi. I ona leży na kresach wpływów kultury zachodniej, lecz zarazem znajduje się pod przemożnym wpływem Wschodu. Tutaj właśnie królują jeszcze prawosławne tradycje, a jednocześnie w życie wkracza laicka myśl. Nie, nie taka, jaką prezentują starzy komuniści, dawni aparaczczyki, zajmujący wciąż kluczowe stanowiska, ale laicka myśl europejska. Młodzież garnie się do kościołów nie dlatego, że poszukuje absolutu, ale dlatego, że tylko tam może znaleźć namiastkę wolności, nawet jeśli jest ona jedynie złudą, widmem zaledwie. To widział nawet on, oderwany od życia, rzadko mający wieści ze świata. Ale nie musiał mieć ich zbyt wiele. Znał dobrze historię zarówno własnej ziemi, jak i innych krajów, wiedział więc doskonale, jakie mechanizmy napędzają tryby dziejów, jaki jest los ziem znajdujących się na skrzyżowaniu dróg. Co w końcu zwycięży? To zależy od zbyt wielu okoliczności, żeby nawet najmądrzejszy człowiek potrafił odpowiedzieć z całą pewnością. Na przykład od tego, ile lat Łukaszenka utrzyma się przy władzy. Czy nie stanie się kimś w rodzaju Fidela Castro wschodniej Europy. A może się

zdarzyć i tak, że wielki rosyjski sąsiad znów wchłonie małe państewko, oddzielające go od granic Polski, na którą zawsze ostrzył sobie zęby. Wielu Białorusinów ucieszyłaby taka perspektywa. Niektórzy wolą być jednym z najmniejszych choćby organów potężnego molocha niż małą, samodzielną mrówką. Lepiej gniewać innych, wyrzekając się wolności, niż być samemu narażonym na zmiażdzenie. Los człowieka...

-

Ojciec Hłarionie?... - Rozmyślania przerwał nieśmiały głos.

Otworzył oczy. „A jednak” - westchnął w duchu. Młodzieniec zdecydował się właśnie dzisiaj. Może ośmielił go piękny dzień, a może po prostu wątpliwości rozsadzają go już tak bardzo, że nie mógł dłużej zwlekać.

-

Ojciec Hłarionie - powtórzył alumn. - Czy mogę przeszkodzić w kontemplacji? Jeśli nie, przyjdę innym razem.

66

Młody człowiek w tym momencie z ulgą przyjąłby wiadomość, iż jego starszy towarzysz rzeczywiście nie chce rozmawiać. Odważył się go zaczepić i wyczerpał w ten sposób cały zasób śmiałości na najbliższy tydzień albo i dłużej.

Hłarion poczuł wielką pokusę, żeby odprawić chłopaka, skorzystać z okazji do odpoczynku, ale zaraz nadleciała myśl, że tak nie wolno. A jeśli zlekceważony więcej nie przyjdzie? Jakie skutki wywoła takie zaniechanie?

-

Siadaj, chłopcze. - Przesunął się nieco.

Młody mnich przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, nie do końca wiedząc,

czy godzi się skorzystać z zaproszenia.

-

Ojcie Hłarionie...

-

Nie nazywaj mnie ojcem - przerwał mu mnich. - Jestem zwykłym bratem,
jak i ty.

-

Ale... Sam ojciec Kirył mówi o tobie, żeś święty człowiek.

-

Przesadza, a ty nie powtarzaj tego innym. A gdybym nawet był świętym
mężem, czy przez to przestałbym być bratem innym ludziom? Siadaj już i prze-
stań mnie traktować, jakbym był jakimś kryształowym idolem. Mów, co ci leży
na sercu. Jak masz na imię? Przypomnij mi.

-

Andriej.

-

Siadaj, Andriusza, i pytaj.

Młody mnich usiadł, ale niepewnie, na samym koniuszku ławeczki. Zaczął się
wiercić niespokojnie.

-

Nie wiesz, jak zacząć - domyślił się Hłarion. - Wszyscy macie z tym
trudności. Wyrażanie myśli polega przede wszystkim na tym, żeby umieć roz-
począć jej wypowiedzenie. Sens oddać łatwiej, lecz trudniej dotrzeć do sedna.

-

Właśnie - sapnął Andriej. Był jeszcze na tyle oszołomiony, że nie do końca rozumiał wypowiedzi starszego mnicha, ale był mu też wdzięczny, że w ogóle mówi, a nie czeka w zupełnej ciszy, aż petent wyjąka cokolwiek.

-

W takim razie zacznijmy od początku - zaśmiał się krótko Iłarion. - Tak bowiem jest zawsze najzręczniej. Byłeś zatem zwierzyć się z kłopotów samemu ojcu Kiryłowi.

-

Skąd wiesz, ojcze... to znaczy bracie? - poprawił się zaraz, zgromiony rzuconym spod oka spojrzeniem. - Czy igumen coś ci wspominał?

-

Nie, nie! Oczywiście, że nie. Ale było u mnie przed tobą wielu tobie

67

podobnych. Ojciec Kirył przysyła was do mnie, kiedy macie wątpliwości... powiedzmy... pewnej natury.

Młodzieniec się spłoszył, zaczął rozglądać się na boki w poszukiwaniu pretekstu, by się oddalić.

-

Uspokój się - powiedział łagodnie Iłarion. - Mów, co jest na rzeczy.

Straciłeś powołanie? Masz wątpliwości, czy pozostać w klasztorze? To się zdarza. Nasze życie nie jest tak idealne, jak by się mogło wydawać patrzącemu z zewnątrz. Są wśród nas różni ludzie, czasem czynią podłe rzeczy. Czy spotkało cię coś złego z ich strony?

Mnich pokręcił głową.

-
Jest znacznie gorzej. - Spuścił wzrok, wziął głęboki oddech i powiedział szybko, tak szybko, że trudno go było zrozumieć: - Boję się, że stracę wiarę...

Iłarion spojrzał bystro na rozmówcę. Jasne, szczere oczy, inteligentna, miła twarz. Gdyby nie wybrał szaty duchownej, pewnie miałby spore powodzenie u dziewcząt.

-
Poświęciłeś życie Bogu.

-
I właśnie nie wiem, czy pewnego dnia nie dojdę do wniosku, że nie było go komu poświęcać. Ludzie przecież tracą wiarę, prawda?

-
Tak im się w każdym razie wydaje.

-
Są też tacy, którzy nigdy nie wierzyli.

Iłarion odchylił się nieco w tył. Słońce górowało, odbłask od kamieni raził, choć wykusz rzucał cień na oczy zakonnika.

-
W co nie wierzyli, braciszku?

-
Jak to w co? - Andriej spojrzał na starszego mnicha z niedowierzaniem. -

W kogo nie wierzyli, należy raczej zapytać. W Boga. Są ateistami.

-
Ateista, tak... To nieco zabawne pojęcie.

-
Zabawne?

-
Tak, Andriusza, właśnie zabawne. Pomyśl, jaki trzeba mieć mocny kręgosłup moralny, jaką twardą osobowość, żeby uważać się za ateistę i nie popełniać przy tym nieustannie złych uczynków, żeby bez bojaźni Bożej powstrzymać się od podłości. Bo przecież jeśli Boga nie ma, to nie istnieje kara za grzechy.

Większość ludzi boi się po prostu sądu po tamtej stronie. Ateista zaś nie ma nad sobą takiego miecza, nie musi się przejmować, co będzie po śmierci, rozumiesz?

68

-
Rozumiem.

-
To dobrze. Widzisz, ateista to człowiek, który przestrzega nakazów Boga, choć nie wierzy w Jego istnienie. Czasem myślę, że to właśnie oni są najdoskonalszym dziełem Stwórcy, skoro pozostając w przekonaniu, że nie ma się kogo bać, potrafią jednak żyć uczciwie.

Andriej milczał, trawiając to, co przed chwilą usłyszał.

-
Ja myślałem, że utracić wiarę to najgorsza rzecz na świecie.

-
Najgorsza rzecz na świecie to utracić nadzieję. Najgorsza rzecz to samotność. Człowiek niewierzący jest w pewnym, najgłębszym sensie samotny.

-

Nie rozumiem. To ateści są w takim razie tym najdoskonalszym tworem

Boga czy nie?

-

Nie wiem, braciszku. Po prostu głośno myślałem. Brak wiary w Boga nie musi oznaczać zupełnego braku wiary. Ludzie wierzą w różne rzeczy: w ideały, sprawiedliwość, prawdę, piękno... Czujesz to? Wierząc w te abstrakty, wierzą po prostu w istotę, którą my nazywamy Bogiem.

-

A jeśli nie? Jeśli wierzą na przykład tylko w siłę pieniądza?

-

Wtedy właśnie stają się bardzo samotni. Pieniądz to tylko środek, a nie cel sam w sobie. Północnoamerykańscy Indianie mawiają podobno, że lepiej znać cel, nie znając drogi, niż znać drogę, ale nie wiedzieć, dokąd prowadzi. A tobie dlaczego przyszło do głowy, że możesz stracić wiarę?

Młody mnich namyślał się dość długo. Chciał wypowiedzieć to, co go dręczy, w taki sposób, aby Iłarion dobrze go zrozumiał.

-

Boję się - rzekł wreszcie bardzo cicho. - Żyjemy tutaj w świecie, który jest... jak by to powiedzieć... oderwany... A tam, za murami, dzieją się różne potworne rzeczy. Bóg na to wszystko pozwala? Dlaczego nie uczyni nic, żeby zapobiec tak wielkim niegodziwościom? Czemu nie ratuje swoich dzieci? Zesłał własnego syna, aby nas wybawił od zła, a ono pleni się coraz bardziej.

-

To nie jest tak, chłopcze. Zapominasz, że Bóg dał człowiekowi nie tylko

ziemię we władanie, ale także wolną wolę. Każdy z nas może postępować, jak zechce, nie licząc się z bezpośrednią interwencją Boga. Pomyśl logicznie: samo to, że boisz się popaść w zwątpienie, świadczy o tym, jak wielką wolność ofiarował nam Najwyższy.

Andriej patrzył na Iłariona płonącymi z podniecenia oczami. Zupełnie przestał

69

się obawiać mnicha, o którym opowiadano, że jest mędrcom bodaj większym od starożytnych, na wpół mitycznych babilońskich magów.

-

Siedzimy tu, w murach monastynu, modlimy się, pościmy i umartwiamy.

Czy świat nie powinien stać się od tego lepszy?

-

A czy tego właśnie oczekujesz, młodzieńcze?

-

Sam już nie wiem, czego oczekiwać!

-

Nie krzycz, Andriusza - powiedział łagodnie Iłarion. - Nikt nie wie, czego powinien się ostatecznie spodziewać, prosząc o coś w modlitwie.

-

A te wszystkie posty, umartwienia... Dajemy świadectwo wiary pokutą, zamykając się za murami.

-

Kto wie, może Najwyższy wcale nie oczekuje od człowieka takich aktów wiary? Może błędzimy, ofiarując mu życie i szczęście?

-
Co też mówisz, bracie? - szepnął przerażony Andriej. Słowa mnicha sprawiły, że opadł z niego cały gniew, zastąpił go lęk. - Przecież sam Chrystus powołał stan kapłański.

Hłarion pokręcił głową.

-
Gdybyś uważnie wczytał się w słowa Nowego Testamentu... - odetchnął.

- Nigdzie nie znajdziesz formalnego powołania hierarchii kościelnej. Jezus kazał apostołom iść między ludzi, nauczać ich i nie być dla nikogo ciężarem. Czy to oznacza, że kazał im stworzyć Kościół? Nie, zresztą nie musiał. Organizacja powstała samorzutnie, bo lud musiał mieć instytucję, która go zjednoczy. Ale prawdziwie wierzyć to coś więcej, niż przywdziać duchowną suknię czy chodzić co niedzielę na nabożeństwo. Wiara polega na tym, że żyjemy według nakazów moralnych. A te są wspólne dla wszelkich religii. Czy jesteś chrześcijaninem, muzułmaninem, czy buddystą, zawsze obowiązują cię te same kardynalne przykazania: nie zabijaj, nie kradnij, nie oszukuj, szanuj prawo boskie i ludzkie.

-
Czy to znaczy - spytał bardzo powoli Andriej - że człowiek, który odej-
dzie z klasztoru, nie musi być od razu przeklęty?

Hłarion zmrużył oczy, spojrzał przenikliwie.

-
O to więc chodzi - mruknął. - Nosisz się z zamiarem odejścia?

-
Nie! - zaprzeczył gorliwie młody mnich. - To znaczy - dodał po chwili -

nie wiem do końca...

-

I przyszedłeś do mnie - Iłarion nie pozwolił mi dokończyć - żeby usłyszeć,

70

byś tego nie robił, że czeka cię za to kara na tamtym świecie. Uznałeś, że jeśli usłyszysz to ode mnie, łatwiej będzie pogodzić się z losem.

Andriej nie odpowiedział, starszy mnich bowiem nie tyle zadał pytanie, ile stwierdził fakt. Fakt niezaprzeczalny.

-

Nie usłyszysz tego, Andriusza, nie ode mnie - głos Iłariona był miękki, prawie pieszczotliwy. - Nie wiem, kogo Bóg potępi, a kogo nie. Wątpię, by w ogóle kogokolwiek potępił. Jeśli nie jesteś pewien, jeżeli nie potrafisz odnaleźć własnego miejsca we wspólnocie, po prostu odejść. Ale nie zrzucaj tego na karb utraconej wiary, nie umywaj rąk, uciekając od odpowiedzialności, nie oskarżaj Boga o nieistnienie, o to, że zawiodłeś się na Nim, bo nie dał ci wyraźnego znaku. Zwyczajnie odejść i wierzyć nadal po swojemu.

Zapadła cisza. Iłarion odetchnął głęboko. Ojciec Kirił powinien go uprzedzić, że tym razem rozmowa ma dotyczyć aż tak wielkich rozterek, tak poważnej decyzji. Chociaż, z drugiej strony, wiedząc wcześniej, z czym biedak przychodzi, powiedziałby to samo. Może jedynie nieco oględniej.

Andriej wpatrywał się w człowieka na wózku. Iłarion podchwycił jego wzrok.

-

Spójrz na niego - rzekł. - On mógłby oskarżać Boga, że uczynił z niego

kalekę, mógłby zwątpić w Jego istnienie, a zapewniam cię, nigdy nie usłyszałem z jego ust słowa skargi.

-
Przecież nie może mówić - odparł odruchowo młodzieniec.

-
Kiedyś mógł. Zresztą, nie tylko słowami człowiek przemawia. A co powiedział twój towarzysz? Pamiętam, że spierałeś się z takim wysokim, dość tęgim diaczkiem.

Młody zakonnik zerknął szybko na rozmówcę.

-
On chciał, żebym od razu do ciebie przyszedł. Mówił, że zostanę przeklęty do końca życia i jeszcze dłużej, jeśli zrzucę zakonną szatę.

-
Czyżby poznał zamiary i myśli samego Stwórcy? - uśmiechnął się krzywo

Hłarion. - Czyżby zapomniał o słowach „nie sądźcie, byście i wy nie zostali osądzeni”? Myśl samodzielnie, Andriusza. Rozmawiaj z własnym sumieniem, a nie słuchaj cudzego. Nic mądrzejszego nie jestem ci w stanie poradzić.

Znów zamilkli. Ciszę przerwał Andriej.

-
Dziękuję za rozmowę, bracie Hłarionie.

71

-
Mam nadzieję, że coś ci dała.

Nawet nie wiesz, jak dużo.

Młody mnich wstał, zrobił kilka kroków w stronę schodów na krużganek.

Odwrócił się i powtórzył:

-

Nawet nie wiesz, jak dużo, ojcze - ostatnie słowo wypowiedział z naci-
skiem, a potem oddalił się szybko.

Hłarion spojrzał na klomb, po raz kolejny zachwyił się kwitnącymi kwiatami
i zielenią trawy.

-

Może nie wiem, a może wiem, synu - powiedział cicho do siebie. - Co-
kolwiek postanowisz, uczynisz słusznie. Przynajmniej taką mam nadzieję - dodał
po chwili.

10. 29 MARCA, 19.40

Mignął drogowskaz „Chrośnica 3”. Droga prowadziła lasem.

-

Zatrzymaj! - Szef wskazał tablicę informującą o parkingu leśnym.

Po pięciuset metrach ukazała się wżera w lesie, ogrodzona płotem z bali, dwa
kosze na śmieci, o dziwo niewywrócone i nieprzepełnione. Stał tam samochód
straży leśnej. Kierowca rzucił szybkie spojrzenie na Jerzego, ten skinął lekko
głową. Straż leśna nie ma do nich nic, a oni do niej. Skręcili z szosy, wolno
zakręcili i ustawili się przodem do wyjazdu, tak żądał Jerzy: w każdej chwili
gotowi wskoczyć i wiać. Albo ścigać.

Blondyn i kierowca wysiedli, zaczęli się przeciągać.

Od strony podliftowanego tarpana z trzema ubranymi w ciemnozielone

mundury mężczyznami zbliżał się młody leśnik z rzadkim ciemnym wąsikiem. W rękę trzymał niezapalony papierosa, pokazywał go z daleka jak przepustkę.

Albo dowód na nieznaną niemieckiego.

-

Dzień dobry... - zagadnął z nadzieją.

Polacy w golfach z niemiecką rejestracją nie byli przecież czymś wyjątkowym w tej okolicy.

-

Dzień dobry. Ognia? - zapytał Jerzy z uśmiechem.

-

Oj, tak, tak!

72

Jerzy zerknął na kierowcę, ten podszedł i przypalił leśnikowi papierosa. Jerzy wyjął mu z ręki zapalniczkę i podał palącemu.

-

Proszę wziąć. Mamy zapalniczkę w wozie, a podczas jazdy i tak nie palimy.

-

Dziękuję, nasza wysiadła, taka, kurczę, technika. Niby mamy konkurować z zachodnimi wozami - wskazał kciukiem tarpana - a już po dwóch miesiącach wysiadają drobiazgi, a potem inne rzeczy. - Zaciągnął się z widoczną przyjemnością. - Siedzimy tu całą noc, a zapalniczka padła cztery godziny temu.

-

Pilnujecie lasu o tej porze? Drewno kradną? - zapytał Jerzy.

-
Drewno?! - prychnął leśnik. - Gdzie by tym skurrrrr... chciało się drewno taskać?! Kable, panie, telefoniczne, kradną. Miedź!

-
Dużo mogą tak nakraść? One są zakopane przecież? Ile można przez noc odkopać?

Leśnik się roześmiał.

-
Polak potrafi, proszę pana. Odkopują tylko sam kabel, przywiązują stalową linką do drzewa, wysoko, i tną to drzewo. Jak spadnie, wyrywa dobre dwieście metrów kabla. Cztery drzewa i mają kilometr przewodu. Naprawdę się taka nocka opłaca.

-
Poważnie? - roześmiał się Jerzy. - No to rzeczywiście Polak potrafi.

Uważali w szkole na fizyce.

-
Tak, dźwignię bydlaki opanowali do perfekcji. - Leśniczy zaciągnął się, wypuścił dym i uścisnął dłoń Jerzemu. - No to idę. Dziękuję za zapalniczkę - powiedział do kierowcy, temu drgnęły usta w parodii krótkiego uśmiechu. - Do widzenia. Jeśli jedziecie panowie do Poznania, to za Tomyślem, w waszym kierunku, na Opalenicę, prawie zawsze drogówka stoi.

Zasalutował i oddalił się do kolegów, którzy niecierpliwie postukiwali papierosami o paznokcie.

-

Spokojnie - powiedział Jerzy po angielsku. - To strażnicy... lasu. Nic do nas nie mają i w ogóle pamiętajcie, że mundurowi w Polsce nie strzelają tak często i łatwo jak na Zachodzie. A poza tym mamy niemieckie papiery, to też pewne zabezpieczenie. - Rozejrzał się, podniósł głowę i popatrzył na niebo. - Daj papierosa, Owram - rzucił w przestrzeń.

-
Pa... pierosa? Przecież ty nie palisz? - osłupiał kierowca. Potem otrząsnął się ze zdumienia, sięgnął do kieszeni i podał otwartą paczkę Jerzemu.

73

-
Nie palę, jak nie chcę - powiedział ten pouczającym tonem. - Masz ognia czy trzeba iść do zapalniczki?

-
Mam. - Rzucił kilka chrapliwie brzmiących słów do siedzącego ciągle w golfie trzeciego mężczyzny. Ten grzebał chwilę w leżącej obok niego torby, wyciągnął zapalniczkę, rzucił Owramowi. - To od Saihama! - poinformował Owram z dumą. Przypalił Jerzemu i zapalił sam. - Masz jakiś plan?

-
Mam kupę planów. Tylko jeszcze nie wiem, który jest najlepszy. Możemy wrócić do Berlina i pofilować na tego Sommera...

-
Pewnie już się pilnuje.

-
Prędzej czy później przestanie. Nie da rady przez całe życie zachowywać

czujności. W tym czasie możemy poszukać w Polsce tropów. Dalsza i bliższa rodzina tej siostrzyczki...

-

Mówiłeś, że nie ma.

-

Tak wygląda na pierwszy rzut oka. Ale - w końcu - dzieci też zamaskowała, wywiozła z kraju, zmieniła im nazwisko. Może i jej nie jest prawdziwe. Trzeba by dotrzeć do jakiegoś wykazu zakonu. Ale to nie w Zakliczynie, tylko pewnie u... - zawahał się, nie wiedząc, jak przetłumaczyć na angielski „przełożony prowincjalny” - ...ich szefa w Krakowie.

„A jeśli nie tam, to na pewno u przełożonego generalnego, ojca Alojzego Arestegui de Gamboa, Włochy są o rzut beretem” - pomyślał, ale nie zdradził podwładnym szczegółów planu.

-

Może w Internecie? - rzucił mężczyzna z samochodu.

-

Nawfal, nie rób z siebie idioty! - warknął Jerzy. „Większego niż jesteś” - dodał w myślach. - W sieci dane są powierzchowne i najczęściej nieaktualne.

Pamiętasz, jak się różnią choćby informacje o liczbie klasztorów w Polsce? Ktoś kiedyś zrobił siostrzyczkom stronę, a potem wyjechał na studia czy do innej pracy, strona wisi, a dane mają siedem lat i nic się nie zgadza, nawet numery telefonów, które kiedyś w Polsce były rzeczą trwalszą od składu KC.

„Komu i po co ja to mówię? - pomyślał. - Oni są od zarzynania, krępowania, wieszania, topienia... Nie od myślenia i gadania, cholera!”

Chciał strzelić niedopałkiem w przestrzeń przed sobą, ale przypomniał sobie o obecności strażników leśnych, cisnął połowę papierosa pod stopy, starannie zdeptał.

74

Kończ i jedziemy. Będziemy szukać rodziny matki Malwiny. Żeby jej w piekle pozamieniali członki!

Wsiadł do wozu i włączył radio. Wszędzie hulała ta sama muzyka: rytm z „trupa”, czyli elektronicznej perkusji, kilka chwytliwych taktów, zawodząco-piskliwy wokal kolejnej gwiazdki jednego szlagieru. W końcu trafił na jakąś stację z muzyką filmową. Ściszył, rozparł się w fotelu, przymknął oczy. Musiał, po prostu musiał coś wymyślić. Akcja w klasztorze była kompletną i okrutną wpadką.

„Po cholere kazałem zabić tę Malwinę? - pomyślał. - Idiota. Trzeba ją było zostawić żywą, zawsze można było do niej wrócić, za miesiąc, dwa... Pokazać pobitego synka. A tak co? Gównu mamy. Syna spłoszyliśmy, jego siostra też pewnie kazała policji pilnować domu. No dobrze, przetrzymamy ją, jego, policję. Nie będą wiecznie asystować jej w drodze do pracy. Ale co dalej? Oni mogą nic nie wiedzieć. Przecież matka pozbyła się ich, jak byli dziećmi. Ile lat miał ten Krystian? Pięć? Sześć? A Urszula - jedenaście. Takim smarkaczom nie powierza się tajemnic. Takich tajemnic. To droga bez pocz... Stop! Chyba że powierzyła im tajemnicę, nie informując o tym. Zaszyfrowała jakoś albo ukryła, albo złożyła gdzieś zlecenie: przekazać w razie mojej śmierci po... dwudziestu pięciu latach? Czy po trzydziestu! Czyli - trzeba by zacząć może od... Gdzie oni mieszkali, gdy matka pozbywała się dzieci? Raz. Dwa - koniecznie dowiedzieć się maksymalnie

dokładnie o okolicznościach tego aktu. Trzy... Trzy - to już zależnie od tego, czego się dowiem. Zaczynamy od Gniezna? Tam mieszkali całą rodziną, jeszcze z Eugeniuszem. Tam się dowiem, dokąd się przeprowadzili, o ile się w ogóle przenieśli, bo może nie?"

-

Owram? Jedźmy już! - warknął do kończącego papierosa kierowcy. -

Albo niech cię zastąpi Nawfal, jeśli masz dość.

-

Niech zastąpi - zgodził się zapytany. - Idę odcedzić kartofelki.

-

Idź.

„Kartofelki, tak. To tylko kartofelki albo coś blisko tego” - pomyślał zjadliwie Jerzy, wiedząc, że przysięga cnoty, bliska chrześcijańskiemu celibatowi, była w przypadku Owrama jakby nieco wymuszona przez naturę.

Nawfal, nie czekając na polecenie, wysiadł, usadowił się za kierownicą, chwilę ustawiał fotel, podniósł kierownicę. Wskazał palcem odbiornik GPS na wysięgniku przymocowanym do szyby.

75

-

Tam jedziemy?

-

Tak. Poznań. Tam chyba coś zjemy, parę telefonów i pojedziemy dalej.

Nie zdradzał, dokąd. Podwładni nie muszą znać zaplanowanych przez szefa kroków. On sam miał przecież też tylko zgrubny zarys koncepcji działania. I

powinien go zgłosić do Trzeciego, uzyskać aprobatę. Albo nie uzyskać i wykonać to, co wymyśli tamten. Ale to przecież on jest na miejscu, tu, gdzie akcja ma największe szanse powodzenia. W Polsce. „Paradoks i złośliwość Historii - najbardziej katolicki kraj, i to właśnie w nim leży bomba, która może chrześcijan...”

-
Jer-zy? - Ktoś dotknął jego ramienia. Podskoczył, niemal już sięgał po broń. - Czy nie możemy zatrzymać się gdzieś na kawę? Albo coś zjeść?

-
Myślisz, że w przydrożnych fast foodach serwują takie jedzenie, jakie ci odpowiada? - syknął wściekły. Po sekundzie się opanował. - Ale może i masz rację. Pierogi. Pierogi możecie jeść. Dobra. Będziemy obserwować drogę. Jak trafi się coś nieco większego, to... Chociaż na tej trasie nie mamy większych szans, tiry jadą autostradą. Zobaczymy. Jedźmy.

Ruszyli. Nawfal poprawił już na szosie lusterka, rozpędził się do osiemdziesięciu, droga była kręta, las, wilgotny, śliski asfalt, o kiepskiej przyczepności. Słońce albo strzelało z ogromnej lufy światłem prosto w oczy, albo kryło się za ciemnymi koronami, zlewającymi się wtedy w ścianę niemal czerni, póki oczy nie zaadaptowały się do nowych warunków. A po chwili znowu ogromny laser tłukł całą mocą milionów luksów w źrenice. Nawfal albo opuszczał osłonę od słońca, albo ją podnosił. Jerzy siedział obok niego wyprostowany, z głową maksymalnie wyciągniętą i opartą o zagłówek, w takiej pozycji nie musiał manipulować osłoną. W pewnej chwili kierowca zerknął w lusterko, syknął i gwałtownie przyspieszył.

-
Co się stało? - zapytał Jerzy po angielsku. Potem pochylił się i popatrzył w swoje boczne lusterko. Widział w nich światła jakiegoś samochodu i błyskające na niebiesko dwa koguty na dachu. - To są strażnicy, głupcze! - syknął. -
Zwolnij!

Kierowca posłusznie zdjął nogę z gazu. Samochód strażników dogonił ich szybko i pognął dalej.

76

„Może mają tych swoich fizyków pragmatycznych?” - uśmiechnął się w duchu Jerzy. Na głos powiedział:

-

Nie wolno ci na widok pierwszego lepszego sygnału zaczynać ucieczki.

Niby dlaczego?

Kierowca nie odpowiedział, podniósł kolejny raz osłonę i skinął głową.

-

I dlaczego nie zapinasz pasów? - ciągnął Polak, czując, że zaczyna się złościć.

-

Pasy są uciskiem, krępują moją osobowość. Jeśli Allah zażąda mojej duszy, to żadne pasy nie pomogą, jeśli zaś daje mi życie, to i spod walca drogowego wyjdę cało.

Dyskusja nie miała sensu. Jerzy i Nawfal aktualnie znajdowali się po tej samej stronie barykady, ale to była krucha pozycja. Po osiągnięciu celu ich drogi się rozejdą, a za rok mogą się spotkać w zupełnie innej konfiguracji, dokładnie

naprzeciwko siebie, z łufami skierowanymi w swoje serca, z nożami łaknącymi krwi przeciwnika.

Światła tarpana strażników zniknęły za kolejnym zakrętem. Droga przez chwilę prowadziła prosto w słońce, Jerzy znowu wyprężył się na swoim siedzeniu, po prawej mignął znak ograniczenia prędkości do czterdziestu kilometrów.

Na liczniku mieli nieco ponad dziewięćdziesiąt, weszli w zakręt i wyjaśniło się, skąd to ograniczenie: zakręt zacieśniał się, a profil jezdni był klasycznie polski - wynoszący na pobocze.

-
Uważaj! - syknął Jerzy.

Nawfal drgnął i kopnął w hamulec, pomysł może był i dobry, zwolnić, ale hamować krótko. Tylko że tu szosa była cały czas w cieniu, pokrywała ją warstewka wilgoci, podmarzniętej, nie zmrożonej, ale znajdującej się w specyficznym amorficznym stanie ni to jeszcze wody, ni to już lodu: śliskiej wody.

Przednie koła, zablokowane przez pół sekundy, wpadły w poślizg, potem chwyciły przyczepność, ale z kolei tylne, szarpnięte przez zablokowane przednie, wyjechały na zewnątrz. Kierowca wykonał kontrujący ruch, ale było już za późno. Samochód wyrwał się spod kontroli, nie był to wyposażony w nowoczesne systemy bezpieczny wóz, droga nie sprzyjała manewrom i kierowca kompletnie nie wiedział, co należy i co można zrobić. Golf bokiem wjechał w szutrowe pobocze, prawe koła nagle chwyciły przyczepność, wóz jak wybity z

17

katapulty przekoziółkował, przeleciał nad płytkim rowem, opadł cudownym zrzędzeniem losu na koła, odbił się od trawy i przodem uderzył w pień potężnego

buka. Trzask, zgrzyt i skrzywienie karoserii zagłuszyło krzyki i przekleństwa sypiące się z wozu. Obie poduszki odpaliły z hukiem, ta z kierownicy całym impetem uderzyła w przesuwające się do przodu niezabezpieczone pasem ciało. Nawfala odrzuciło do tyłu, uderzył potylicą w zagłówek, zjechał w dół na fotelu. Jerzy też uderzył twarzą w poduszkę, ale jego pasy zadziałały, jęknął i zaczął szukać klamry. Najmniej poszkodowany był pasażer z tyłu: w chwili wchodzenia w zakręt zakładał nogę na nogę i zablokował się sztywno w przestrzeni za fotelem Jerzego. Popisał się też refleksem, opierając jedną rękę o dach, a drugą o fotel z przodu. Gdy golf huknął w drzewo, szczęknął tylko zębami, omal nie odgryzając sobie koniuszka języka. Pierwszy wypadł na zewnątrz, szarpnął drzwi od strony Jerzego. Polak już odpiął pas, w panice zaczął wrywać się na zewnątrz, Owram pomógł mu, wyszarpnął nóż i dźgnął nim rozdętą poduszkę. Potem wsunął się do wnętrza i przyłożył palce do szyi Nawfala.

-

Benzyna! - wrzasnął odsuwający się tyłem Jerzy. - Rozlały się kanistry w bagażniku!

Obiegł samochód i zaczął szarpać drzwi od strony kierowcy.

-

Nie trzeba! - zawołał z wnętrza Owram i zaczął pośpiesznie gramolić się na zewnątrz. - Nie żyje. Chyba zabiła go poduszka - powiedział, odskakując od samochodu. Potem wrócił i wyszarpnął z podłogi za przednimi fotelami plecak z laptopem Jerzego i drugą torbę. Odskokzył i popatrzył bezradnie na szefa.

-

W bagażniku...

-
Wiem. Nie ryzykujmy. Chodź!

Odbiegli kilkanaście kroków, kiedy rozległa się pierwsza eksplozja. Fala gorącego powietrza dogoniła uciekających, zburzyła długie włosy Jerzego.

Owram rzucił się na ziemię, Jerzy biegł dalej, po kilku sekundach i kilkunastu przebytych metrach się odwrócił.

-
Nie leż tam, bo cię dopadnie ogień! - wrzasnął po polsku, zaklął, po-

wtórzył mniej więcej to samo po angielsku: - Uciekaj, to za blisko! - i dodał: -

Tam są jeszcze trzy kanistry, durniu!

Owram poderwał się i śmignął w jego kierunku, razem odsunęli się jeszcze kilka metrów.

78

-
Uciekamy w las - rzucił zdyszany Jerzy. - Zaraz ktoś tu nadjedzie. Cho-

lera! - Kopnął z całej siły jakiś wyschnięty, ale ubłocony, jak wyciągnięty z bagna, badył. - Nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy!

Owram wyciągnął rękę i podał mu odbiornik GPS.

-
Nie mów do mnie więcej „durniu”! - powiedział cicho. Potem podał Je-

rzemu laptopa. I ominąwszy znieruchomiałego dowódcę, nie obdarzywszy nawet jednym spojrzeniem samochodu, w którym płonął jego martwy brat, ruszył w las.

- *Allah akbar!* - rzucił przez ramię.

Jerzy splunął i zerknął na płonący wóz. Ruszył za Owramem, po ośmiu kro-

kach rozległa się potężna detonacja, jakby w dwu taktach: musiały eksplodować dwa kanistry, w odstępie ułamka sekundy. Zaraz potem trzeci.

Weszli między drzewa, po kilkunastu krokach, kiedy już nie widać było szosy, a tylko jarzący się poza drzewami kłęb ognia, Jerzy przystanął i zaczął manipulować przy GPS-ie. Musiał się zorientować, gdzie są, przestawić nawigację na tryb podróży pieszej, oszacować, dokąd należy się udać, żeby dojść do jakiegoś zaludnionego punktu. Musieli zdobyć tymczasowy środek komunikacji, cokolwiek, choćby motorynkę, żeby dojechać do Poznania.

Tam będzie łatwiej.

Kupią samochód.

Zasiądą w hoteliku, przetrałują sieć.

W końcu pojedą do Krakowa.

Albo do Włoch.

11. 5 KWIETNIA, 14.14

Za ponurą brudno-ceglaną bryłą szpitala rozciągało się podwórze, wyraźny dowód na dość rozpaczliwe poszukiwanie przez szpitalnych menedżerów środków na utrzymanie placówki: masa tabliczek informujących o warsztatach elektrycznym i samochodowo-elektrycznym, naprawie sprzętu AGD, oknach i drzwiach plastikowych oraz tych najlepszych, bo drewnianych. Za zakrętem pojawiła się piętrowa przybudówka ze skromnym napisem „Prosektorium”. Tuż obok, na murze większego budynku reklamował się fitness club z sauną i

79

solarium z nowymi lampami. Nieskoba jakby nie widział paradoksalnego krajobrazu albo uznał, że to norma i symbol zarazem - kto nie ćwiczy, kończy w

prosektorium?

Odwrócił się do Sandry i zapytał:

-

Pani też wejdzie? Ostrzegam, że widok nie jest najprzyjemniejszy. -

Odwrócił się do siedzącego z tyłu Krystiana, czekając, aż ten przetłumaczy, i

powiedział ze współczuciem: - Pan i tak musi. Matka pana... pani... przepra-

szam... Malwina też tu jest. - Miał ciągły problem z używaniem określenia

„matka” w podwójnym w tym wypadku znaczeniu.

-

O nie, dziękuję! - pokręciła głową Sandra. - Jestem tylko kierowcą.

Nieskoba zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „Ba, kto by nie chciał mieć

takiego kierowcy!”, ale na czas przypomniał sobie okoliczności i zaniechał

komplementowania. Odpiął pasy jeszcze podczas jazdy po podwórku, a gdy tylko

wóz stanął, otworzył drzwi i wysiadł. Krystian otworzył swoje wąskie drzwiczki,

w opisie samochodu przeznaczone przede wszystkim do pakowania na tył

dziecka, na szczęście ważył nie więcej niż osiemdziesiąt kilo i bez specjalnego

trudu mieścił się w dziwacznych, asymetrycznych, otwieranych „pod wiatr”

drzwiach. Zamknął je delikatnie, zatrzasnął przednie, rozejrzał się.

Uświadomił sobie, że wcale nie ma ochoty na identyfikację. Ani matki, ani

zboja. Nabrał powietrza i wypuścił je przez wydęte wargi. Zapalił.

-

Proszę mi dać chwilę - powiedział do Nieskoby.

Poczęstował go papierosem, aspirant pokręcił głową, zapalił swojego, ultra-

lekkiego. Sandra sięgnęła do pilota radioodbiornika na kierownicy, ale zatrzy-

mała rękę tuż nad nim. Wsiadła.

-

I jak? - zapytała cicho Krystiana. - Dobrze się czujesz?

-

Standardowa odpowiedź brzmi „tak”, ale nie w moim przypadku. - Po-

kręcił głową. - Nie znoszę... No nic, jak mus, to mus.

Sandra nagle chwyciła go za łokieć, przyciągnęła do siebie i pocałowała w policzek.

-

Na pewno... - zawahała się. - Będzie dobrze.

-

Na pewno.

Popatrzył na policjanta i wskazał oczami prosektorium. Nieskoba ruszył pierwszy. Weszli do ciasnego przedsionka z jednym plastikowym ogrodowym

80

krzesłem, przekroczyli próg po lewej i znaleźli się w wykafelkowanym po-

mieszczeniu z małym stolikiem. Panowała tu specyficzna, dusząca, ostra woń.

Krystian pomyślał, że to albo formalina, albo coś, co ma zabić zapach rozklada-

jących się ciał. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś udało mu się z grupą studentów

medycyny przedostać na pierwsze zajęcia w prosektorium Akademii Medycznej

we Wrocławiu i jak dwie studentki zwały się z nóg, gdy asystent z nonszalancką

miną oświadczył, że w tej kadzi pływają w formalinie ciała odziedziczone jeszcze

po obrońcach Festung Breslau.

Poczuł się niedobrze. Odpędził idiotyczne myśli. Wysunął głowę za otwór

drzwiowy bez drzwi, całą przeciwległą ścianę zajmowały komory zamykane chromowanymi drzwiczkami. Rygle przy nich były tak potężne, jakby miały uniemożliwić nieboszczykom opuszczenie lodówek. Krystian z wysiłkiem przełknął ślinę.

-

Tam... są zmarli? - zapytał, żeby tylko odsunąć w czasie identyfikację, której, jak sądził, nie miał szans znieść.

-

No, zdziwiłbym się jak cholera, gdyby było inaczej - wesoło parsknął

Nieskoba. - E-khm! Przepraszam, to... to miejsce mnie deprymuje... i tak właśnie się bronię...

-

Nawet pana rozumiem - wielkodusznie wybaczył mu Krystian.

Policjant skinął z wdzięcznością głową.

-

Najpierw poproszę pana o identyfikację matki, dobrze? - ni to zapytał, ni to stwierdził.

-

Dobrze... - wychrypiał Sommer.

Policjant zatrzymał go gestem, a sam zniknął w wejściu prowadzącym do jakiegoś pomieszczenia oświetlonego jasnym zimnym światłem. Po chwili coś trzasnęło, szcęknęło, zaszurgotało. Wyobraźnia podsunęła Krystianowi obraz kilkupoziomowych lodówek, trzask drzwi jednej z nich, wysuwanie kasety z ciałem...

O dziwo, właśnie tak to wyglądało. Nieskoba wychylił się i przywołał Krystiana gestem.

Sommer wszedł, zobaczył ścianę z kasetami, jedną wysuniętą, prześcieradło zakrywające całe ciało. Obok stał wysoki, chudy mężczyzna w białym kitlu i okularach w modnych oprawkach z szerokimi zausznikami. Skinął głową Krystianowi, po czym ostrożnie odsłonił twarz trupa.

81

To była matka. Krystian wpatrywał się w blade oblicze i kiwał głową. Miała siniec na prawej kości policzkowej, oblicze wyszczuplone, jakieś obce... Widział matkę ostatni raz dwa lata temu, też była obca, choć żywa, teraz pomyślał, że udawała tylko oschłość, obojętność, brak zainteresowania. Udawała przed nim, a przede wszystkim przed sobą. Zmuszała się, by wierzyć, że te oderwane na siłę pędy, syn i córka, nic jej już nie obchodzą. Poczuł, że w oczach wzbierają mu łzy.

-

To matka - wykrztusił. - Powinna mieć bliznę po wyrostku i znamię nad lewym kolaniem.

Nieskoba wymienił spojrzenia z wysokim mężczyzną, ten skinął głową, potem podniósł prześcieradło i zerknął na lewą nogę, ponownie skinął głową.

-

Dziękuję panu - powiedział Nieskoba. - Jeszcze tylko ten południowiec...

Chudzielec w markowych szklach wsunął ze szczękiem kasetę z matką

Malwiną do komory, zerknął na jakiś papier, leżący na biurku pod ścianą, podszedł do innych drzwiczek, wysunął ciało.

Leżał tam nagi smagły mężczyzna, prawą część ciała i głowy miał mocno

poparzoną.

-

Wybuch w samochodzie, w którym było sporo benzyny - strażacy mówią, że trzy kanistry - wyrzucił go na zewnątrz, aż na jezdnię, podczas gdy sam golf wbił się w drzewo dobre piętnaście metrów od szosy. Żył jeszcze, gdy, zaalarmowani eksplozją, nadjechali strażnicy leśni, mówił w nieznanym języku, jakimś egzotycznym, arabskim lub podobnym, może egipskim czy w jakim tam oni mówią. Nie bułgarski, nie chorwacki, turecki też raczej odpada. Skłaniamy się...

-

To jeden z tej trójcy - powiedział głośniejszym, niż zamierzał, Krystian. - Został drugi, podobny, może brat, i ten trzeci, Polak przypominający muzyka Rubika.

-

Tak, golf ciemnobordowy, numery się zgadzają. Dziękuję, protokół podpiszę później, dobrze? - rzucił Nieskoba do wysokiego mężczyzny. - Chodźmy. - Chwycił Krystiana za łokieć i wyprowadził na powietrze, zaraz za progiem wyjął papierosy i poczęstował go. Krystian zapalił jednak swojego. Sandra gdzieś zniknęła. - W bagażniku mieli kałasznikowa z czterema magazynkami - ciągnął policjant. - I amunicję do pistoletu, którego nie znaleźliśmy, stąd pewność, że mają go ci dwaj. - Popatrzył Krystianowi w oczy. - Proszę

82

tego, co panu mówię, nie rozpowiadać, policja nie powinna się dzielić takimi informacjami z uczestnikami dochodzenia. Powiem jeszcze, że mamy pewność, iż ten Arab uczestniczył w morderstwie w klasztorze. Nie dbał o pozostawione

odciski, przyjmujemy roboczo, że zamierzali spalić klasztor, stąd benzyna w bagażniku i brak dbałości o zatarcie śladów. Materiału daktyloskopijnego mamy sporo, a część to odciski tego osobnika. - Wskazał głową prosektorium. - Mamy jego nóż, jakiś cholerny kordelas, za przeproszeniem. Niemal szabla. Na pewno, prawie na pewno podcięto nim gardło jednej z młodszych sióstr, tej nowicjuszce. - Zaciągnął się łapczywie, z niechęcią popatrzył na słabego papierosa. - Przepraszam, poczęstuje mnie pan swoim? - zapytał cicho, z rezygnacją. - Odzwyczajam się, przeszedłem na te lekkie, ale to tylko udręka... - Zapalił podsuniętego skwapliwie papierosa i uśmiechnął, zaciągając się nim. - Wie pan, od wejścia do Schengen nie ma kontroli na granicy, nic więc nie wiemy o tym golfie. Tylko tyle, że kwadrans przed wypadkiem zatrzymał się na przydrożnym parkingu, gdzie polujący na złomiarzy leśnicy dostali od pasażerów zapalniczkę. Widzieli trzech mężczyzn, blondyna i dwóch „Egipcjan”, że tak powiem. Potem golf odjechał, leśnicy za nim, wyprzedzili ich i po chwili zobaczyli łunę nad lasem, więc wrócili i odkryli rzucające się w konwulsjach ciało na szosie oraz płonący jak cysterna wóz w lesie. Na szczęście jest mokro, nie wybuchł pożar.

-
Komisarz Kronberg - dam panu jego telefon - prosił, żebym przekazał jego zamiary prowadzącemu śledztwo w Polsce. Może oni coś odkryli?

-
Świetnie. I tak wystąpilibyśmy do ich bazy o dane golfa, może nawet to już poszło, ale jeśli jest ktoś personalnie zainteresowany sprawą...

-
Chyba jakoś zainteresowany jest, pewnie przydzielono mu ją, nie wiem -

wzruszył ramionami Krystian. - Kiedy będę mógł... pochować matkę?

-

Hm... Wie pan, formalnie to jest sprawa klasztoru. Siostry wystąpiły już o zgodę na pochówek przy klasztorze. Z tego, co wiem, nie będzie problemu z pana obecnością na pogrzebie. Ale ciało zostanie wydane im, nie panu. Przykro mi.

-

Nie no, ja rozumiem... Może i lepiej, nawet nie wiem, jak się załatwia formalności...

83

„I nie wiedziałbym, gdzie pochować mamę... Chyba przy ojcu, w Gnieźnie... Ale czy ona chciałaby leżeć pod murem, w kącie dla niewygodnych nieboszczyków, samobójców?...”

-

Rozumiem. Dlatego... Proponuję, byśmy wrócili na komendę, spisujemy protokół, podpisze pan, wymienimy się wszystkimi niezbędnymi danymi.

-

Dobrze. Jasne. - Krystian rozejrzył się. - Tylko coś nie widzę kierowcy i właściciela samochodu w jednej osobie.

-

I jedno, i drugie - pozazdrościć. Szczerze.

Sommer nagle parsknął krótkim, niemal histerycznym śmiechem.

-

Gdyby pan zobaczył jej właściwy wóz, audi R8. Dom z zimowym basenem. I tak dalej. I - pocieszę pana - to nie jest moja dziewczyna, żona, przyja-

ciółka. Albo inaczej - przyjaciółka, ale taka „niełózkowa”.

-

No to zazdroszczę, ale i współczuję. - Nieskoba rzucił krótkie spojrzenie za plecy Krystiana. - Idzie. Zna polski?

-

Nie. A pan niemiecki?

-

Nie.

-

No to ma pan problem...

12. BRAT IŁLARION, KLASZTOR W CZAUSACH

Iłlarion pochylił się nad dokumentem. Lekko zetlałe, pożółkłe brzegi pergaminu, wyginając się ku górze, przypominały nieco drobne morskie fale, dopiero co uspokojone zachodzącym słońcem. Musiał być bardzo ostrożny, gdyż średniowieczna kopia nie została potraktowana przez czas zbyt litościwie. Od chwili zaginięcia słynnego księgozbioru Iwana Groźnego, którego stanowiła część, przechodziła najróżniejsze koleje losu. Sądząc po śladach, została nawet solidnie zmoczona, a ten, kto usiłował ją ratować, nie był zbyt biegły w sztuce konserwacji papieru. Tyle tylko, że postarał się, aby litery nie uległy znaczącemu zamazaniu. Na dokumencie widać też było ślady ognia. Czy została ocalona z pożaru, czy też ktoś po prostu zamierzał ją spalić i nic mu z tego nie wyszło, tego trudno było się domyślić. Poznawszy treść, Iłlarion doszedł do przekonania, iż

może zakłócić im porządek życia.

- Ech, przyjacielu - powiedział, patrząc w bok, w miejsce, do którego nie sięgał krąg światła małej lampki - ileż bym dał, aby wziąć w ręce aramejski oryginał tego skarbu, a nie tylko grecki odpis. Ile słów, ile znaczeń musiało ulec zatarciu podczas tłumaczenia. Ot, weźmy chociażby taki ustęp: *I była dziewicą, gdy posiadł ją Duch Święty i wlał w nią nowe życie*. Czy aramejski zwrot, który skryba przełożył w taki sposób na grekę, oznaczał rzeczywiście dziewicę, czy też po prostu dziewczynę, młodą kobietę? Uczni spierają się co do interpretacji tego terminu. Jedni obstają przy dziewictwie, inni protestują przeciwko takiemu pojmowaniu słów ewangelistów. A ja od lat rozmyślam o tym, studiując wszelkie dostępne księgi, i nie potrafię znaleźć powodu, dla którego miałoby to mieć jakieś większe znaczenie. Czy nieskalane dziewictwo jest w czymś lepsze od prawdziwego macierzyństwa? Czy aż tak ważne jest, czy niewiasta została oblubienicą samego Boga, czy też Bóg działał w niej za przyczyną człowieka? Żydzi rozpuścili nawet plotkę, jakoby Maria umiłowała rzymskiego żołnierza i stała się jego kochanką albo też została przez niego wzięta gwałtem, dość, że Jezus miałby być bękartem z obcej krwi. A ja się pytam, co to ma za znaczenie w ostatecznym rozrachunku? Czy miłość Boga jest mniejsza, jeśli dziecko zostało poczęte inaczej, niż chce tego ludzka tradycja i ludzkie chciejstwo?

Zagłębił się w lekturze własnego przekładu. Miał neodparte wrażenie, a nawet pewność, że rosyjskie słowa lepiej oddają naturę dokumentu. Były żywe, starożytna zaś, napuszona greka niosła ze sobą o wiele mniejszy ładunek emocji. A może tylko mu się zdawało? Tak czy inaczej, musiał porównywać kolejny raz własne dzieło ze słowami księgi, aby doszlifować słowa, doprecyzować zwroty.

Pan wyszedł ku tłumom. A były ich całe tysiące. Po prawicy Jego stał kosz z chlebami, po lewicy świeżo złowione ryby. „Słuchaliście mnie przez cały dzień, bracia i siostry. Najwyższy czas na posiłek. Bowiem prócz stawy duchowej człowiek potrzebuje też jada i napoju”. Towarzyszący Mu apostołowie poruszyli się niespokojnie. „Jakże to, Nauczycielu, chcesz nakarmić tak wielki tłum tą marną ilością pokarmu?” - rzekli. A On odparł, patrząc na nich z uśmiechem: „Powiadam wam, zanieście ten chleb i ryby między ludzi. Niechaj rozpalą

85

ogniska, by przyrządzić mięsiwo wodnych stworzeń, niech łamią się chlebem bez obawy, że komukolwiek go zabraknie. Bo kto dzieli się dobrami z bliźnim swoim, ten nigdy głodny chodzić nie będzie”. „Panie, czy mamy nieść ryby i chleby wszystkim obecnym i obdzielać ich po równo?” - spytał Piotr. Chrystus spojrzał nań surowo. „Czyż nie wyraziłem się jasno, mój bracie? Niechaj wszyscy, którzy przybyli wysłuchać mych nauk, pożywią się wspólnie. Tak Ojciec na niebiesiach nakazuje wam moimi ustami”. Poszli więc uczniowie między ludzi, rozdając chleb i ryby i przekazując słowa Jezusa. I stało się tak, że wszyscy najedli się do syta, radzi, że tak wielki cud stał się ich udziałem.

- Tak... - Hłarion znów zerknął w ciemność. Nieco inaczej brzmi to pismo niż znane z oficjalnych ewangelii, aczkolwiek różnica jest tylko w doborze słów, a nie w treści. Chodzi przecież dokładnie o to samo. O naturę owego cudu. Tyle że tutaj mamy owo fundamentalne pytanie Piotra: „Czy mamy ich wszystkich obdzielać po równo?”. To bardzo istotne, bo wyraża coś więcej niż wątpliwość dotyczącą możliwości nakarmienia tłumów taką namiastką. To kwestia głębsza i daleko ważniejsza od niesamowitego zjawiska rozmnożenia pokarmu. Dzisiaj

nam się wydaje, że cudem było nakarmienie tłumów tak małą ilością chleba i ryb. Jednak prawdziwie zadziwiające wydarzenie to trochę coś innego, do czego nadprzyrodzone zjawisko miało się tylko przyczynić. Nauka Chrystusa kryje się tutaj pod symbolami nieczytelnymi dzisiaj dla większości ludzi, ale jasnymi dla Jemu współczesnych. Chleby bowiem symbolizowały wówczas prawowiernych Żydów, którzy posiadali wszelkie przywileje i prawa obowiązujące w społeczeństwie, rybami zaś zwano nawróconych pogan i ubogich, którym nie wszystko było dozwolone. A Jezus, dzieląc między nich po równo oba rodzaje pożywienia, pokazał, iż pragnie, by wszyscy wierni byli równi w obliczu Boga nie tylko po śmierci, ale także na tym świecie. Bo kto wyznaje jednego Pana, ten powinien być drugiemu bratem, winien zrzucić maskę pogardy dla tych, których dotąd uważał za mniej wartościowych członków wspólnoty. Chrystus dał taką właśnie wskazówkę, uczynił coś rewolucyjnego, a nie natrafił z miejsca na stanowczy sprzeciw. Jakąż potęgę musiały mieć Jego słowa, skoro zgromadzeni

86

prawowierni, wpływowi Żydzi, którzy w dużej części przybyli, aby z Nim dyskutować i ośmieszać Go, nie sprzeciwili się wspólnemu posiłkowi z ludźmi o niższym statusie, spontanicznie zerwali ze sztywną tradycją. Zobaczmy, co było dalej.

Zdumieni byli i prości ludzie, i uczeni w Piśmie. Tak wielkie było ich zdziwienie, że posilali się w ciszy i spokoju, a On spoglądał na nich, zaś potem wzniosł oczy ku niebu, a na Jego twarzy zagościł uśmiech. I zdawało się zgromadzonym, iż postać Jego płynie ku niebiosom, jakby stawała się nieskończenie wielka, ale nie wielka okrutną groźbą pogańskich posągów, lecz promieniująca

dobrem.

- Ten, kto pisał te słowa, prawdziwie ukochał swego nauczyciela - rzekł
mnich w zamyśleniu. - Nie może zatem dziwić, że postanowił potem zrobić to, co
zrobił, biorąc udział w spisku, a może nie tyle biorąc, ile nie zapobiegając mu w
żaden sposób. Miłość bowiem nie zawsze bywa rozważna. Nie taka jest natura
gorącej duszy. Nasz przewodnik po życiu Chrystusa wiedział od nas zarazem
więcej i mniej. Nie był przecież w stanie odgadnąć, jak to wszystko się zakończy.
Iłarion przymknął oczy, przywołując obraz zielonego wzgórza i zgroma-
dzonych tłumów. „Panie mój - rzekł w myślach do Jezusa - czy wiedziałeś już
wówczas, jak potoczą się wydarzenia? Czy otrzymałeś od Ojca dar prekognicji?
Czy też może stałeś się tak bardzo człowiekiem, że odrzuciłeś od siebie takie
zdolności, by ci nie przeszkadzały miłować ludzi? Myślę, że to drugie, inaczej
jakże mógłbyś się nazwać człowieczym synem?”

*Rozeszli się w pokoju, niosąc dobrą nowinę. Wszystkim napotkanym ludziom
opowiadali o cudownym rozmnożeniu chleba i ryb, głosili Słowo Pańskie tak, jak
je usłyszeli tego dnia. Nie spodobało się to faryzeuszom i arcykapłanom. Ci
pierwsi szemrali i podnosili głos przeciwko Niemu, twierdząc, iż uzurpuje sobie
prawo do czynienia tego, co przystoi jedynie Bogu, zaś drudzy milczeli, a była w
tym milczeniu groźba i nienawiść do tego, który ośmielał się naruszyć odwieczne
obyczaje, który nie czynił cudów, aby dowieść nadludzkiej mocy, ale żeby po-
magać bliźnim.*

87

-

Bo nie potrafili zrozumieć, że Mesjasz nie przyjdzie zbawić jedynie

Żydów, ale zostanie zesłany jako łaska dla całego świata. Przeczyli więc boskości Jezusa, aby osłabić [ego wpływy. A im więcej zaprzeczali, tym Jego pozycja stawała się mocniejsza. Nawet wskrzeszenie Łazarza kapłani próbowali wykorzystać przeciwko Niemu, jakby nie pojmowali zupełnie symboliki tamtego wydarzenia. Wiesz, o czym mówię, przyjacielu, prawda? Łazarz nie tylko umarł, ale został wykluczony ze społeczności za jakieś tam przypisywane mu winy. A Jezus w akcie wskrzeszenia nie tylko przywołał go do życia, ale - wzywając z zaświatów, składając pocałunek na jego obliczu - przyjął go znowu w poczet prawowiernych wyznawców jednego Boga. Gdzieś tutaj mam ten fragment, nie do końca może jeszcze dopracowany, ale sens jego jest jasny.

Zakonnik przerzucał przez chwilę notatki na karteluszkach, zanim wyłowił właściwy.

O, jest, posłuchaj.

Poszli za Nim do domu Łazarza, który zmarł z choroby wywołanej wielką zgrzyotą po nałożeniu nań anatemy przez arcykapłana. Niektórzy utrzymują, jakoby był on jedną i tą samą osobą, co i Szymon Gorliwy, który - gdy stracił pozycję we wspólnocie - musiał przyjąć nowe imię. Mylą się jednak ci, którzy tak twierdzą, albowiem Szymon podążył wówczas za Jezusem, aby być świadkiem cudu, co potwierdzić mogą wszyscy, którzy tam byli. Gdy Nauczyciel wezwał Łazarza, by ten wstał i wyszedł z grobu, przelękli się patrzący, jedni bowiem obawiali się, iż Jezus postradał zmysły po śmierci przyjaciela, inni zaś struchleli z lęku, że mogą oto być świadkami czegoś, co jest dla człowieka najzupełniej niezrozumiałe. Jak to powiedział niegdyś sam Jezus - człek boi się najbardziej

tego, czego nie jest w stanie objąć rozumem.

Ale oto, po wezwaniu przez Pana, wszczął się ruch w grobowej krypcie. Wyszedł z niej Łazarz w nędznej szacie, którą uczynił był ze śmiertelnego całunu, okrywając nagość. Trupia woń rozeszła się po okolicy, lecz na ciele wskrzeszonego nie znać było najmniejszego śladu gnicia. Podbiegł Jezus do przyjaciela swego i złożył na jego ustach pocałunek, mówiąc: „Jesteś z powrotem wśród nas i niech nikt nie ośmieli się powiedzieć, żeś umarł”.

88

-
Niech nikt nie ośmieli się powiedzieć, żeś umarł - powtórzył powoli Hłarion. - To oznacza, że mamy do czynienia z czymś więcej niż samym wskrzeszeniem. Chrystus dał wszystkim jawny znak, że wyklęty przez kapłanów człowiek odzyskał nie tylko życie, ale też poprzednie prawa i przywileje. Znowu stał się członkiem ludu bożego. Podobnie jak w przypadku chleba i ryb znaczenie cudu ma drugą, nieczytelną dla współczesnego człowieka, warstwę. Tę ważniejszą, ukazującą, że Zbawiciel był prawdziwym królem dusz, że nikt nie przeczył Mu prawa do uchylania wyroków choćby samego Sanhedrynu. A sam cud...

My dzisiaj często zapominamy, że ówcześni ludzie bardziej naturalnie podchodzili do tego, co określamy tym mianem. Przyjmowali zwyczajnie, że może się zdarzyć coś niesamowitego, że są jednostki, które mają dostateczną moc oraz zdolności. Dlatego czynienie rzeczy niezwykłych stanowiło raczej dodatek do właściwego przekazu, prawdziwej symboliki, niż sztukę samą dla siebie. O wiele ważniejsze było po prostu to, czego nie widać. Weźmy choćby za przykład

takiego Pitagorasa. Współcześni mu przysięgali, że filozof potrafił dokonywać rzeczy niezwykłych, miał uciekać się do tego, co w nauce nazwano teleportacją. Mamy zeznania wiarygodnych świadków, jakoby widziano go równocześnie w różnych zakątkach ówczesnego świata. Umiał też uzdrawiać, poznał wiele tajemnic bytu. A jednak nikt nie okrzyknął go bogiem, nikt nie uważał, że jest kimś więcej niż uczonym, niezmiernie mądrym, ale tylko człowiekiem. Pewnie dlatego, że on nie zmieniał paradygmatu moralnego myślenia, nie wskazywał ludziom nowej drogi.

On tylko korzystał z nauk. Chrystus zaś stworzył nowy system religijny, nie zabijając jednocześnie starego. Dał ludziom nową nadzieję, opierając się na tym, co już znali i co byli w stanie zaakceptować. To jest prawdziwy cud - zmienić sposób myślenia człowieka, przekonać go, by postępował zgodnie ze wskazówkami, które wcale nie wyznaczają łatwej drogi.

Iłarion przetarł zmęczone powieki, pochylił się nad księgą. Porównywał słowa, notował coś i kreślił w swoim rękopisie. Od czasu do czasu rzucał spojrzenia w stronę ciemnego kąta. Po północy wstał, przeciągnął się.

-

Pora na modlitwę, przyjacielu. Powitamy nowy dzień z imieniem Boga na ustach i w sercu. A potem udamy się wreszcie na spoczynek.

89

13. 6 KWIETNIA, 17.01

Polecony przez Nieskobę hotel spełnił oczekiwania i nadzieje. Apartament dla Sandry, jednoosobowy pokój dla Krystiana. Gdzieś w trzewiach niewielkiego budynku krył się podobno basen z atrakcjami, ale oboje po pobieżnym rozpa-

kowaniu spotkali się w restauracji. Wypytałszy Sandrę o gusta kulinarne, Krystian zaordynował ogórkową, domową kaszanke z podrobami jako specyficzną „przystawkę” między daniami, schabowe z kapustą na gęsto i ćwikłą. Kelner trochę się plątał, zapisując niekonwencjonalne zamówienie, pytał trzy razy: ziemniaki? frytki? kasza? Widocznie schabowy bez popchnięcia kartoflem nie mieścił mu się w głowie.

-

I dwie setki bardzo zimnej wódki, sok żurawinowy poproszę.

-

Osiemdziesiątki, to norma unijna - rzucił kelner z dziwną miną.

Wykraczający poza ziemniaki klient najwyraźniej nie znalazł uznania w jego oczach.

Krystian wyjaśnił całą sytuację Sandrze. Nie bardzo pojmowała, czego nie rozumie kelner.

-

To przymus? Tak? Kartofle?

-

No, taki tradycyjny zapychacz biednego Polaka.

Wódka została przyniesiona szybko, wypili po pół kieliszka. Pojawiła się zupa.

-

No! - Sandra skosztowała i zaaprobowała. Zaczęła jeść. - Dowiedziałeś się czegoś od policjanta?

-

Właściwie tylko tego, że ci sami ludzie chcieli czegoś ode mnie, a potem -

jakby - zemścili się na matce. - Zamyślił się, wolno zjadł trzy łyżki aromatycznej zupy, - Skąd oni wiedzieli, że to moja matka? Ja nawet nie wiedziałbym, gdzie to można sprawdzić. Sporadyczne kontakty, adopcja sprzed ćwierci wieku... - Pokręcił głową. - Komuś na czymś zależy. - Nagle uświadomił sobie, że jeśli komuś na czymś bardzo zależało, to tym czymś nie była śmierć matki. Przecież Nieskoba wyraźnie powiedział, że kobiety były torturowane, zwłaszcza te dwie młodsze. „Jakby widok ich cierpienia miał wpłynąć na pana matkę. Oprócz jednego sińca nie miała ona żadnych obrażeń. Nie była torturowana, może później by była, ale nie zdążyli, nie wiem. Ale generalnie obraz układa się taki.. Przypominam o dyskrecji!... A więc:

90

wiążą kobiety, grożą pańskiej matce, gdy ona nie idzie na współpracę, mordują jedną z sióstr, potem... no, znęcają się nad drugą, zabijają... Choć tu nie bardzo rozumiem, dlaczego tak szybko... Chyba że już mają pewność złamania matki Malwiny. A potem - najprawdopodobniej widzą powracający autobus, w pośpiechu likwidują świadka i uciekają. W czasie ucieczki wpadają w poślizg i lądują po koziołkowaniu na drzewie. Dwaj pasażerowie uciekają, kierowca - nie wiadomo dlaczego - nie ucieka. Nieprzytomny? Może wrócił po coś? W każdym razie wszystkie okoliczności, to, że czyhali na pana, że mają broń palną, ich pochodzenie... To mi śmierdzi czymś poważniejszym niż zwykłym napadem na klasztor. Nic nie ukradli...” Pożałował, że usiadł tyłem do sali, zerknął w lustro za plecami Sandry, ale jego tafla nie obejmowała całej sali. Rozejrzał się nieznacznie na boki. - Wiesz co, jakbyś zobaczyła takiego blondyna z tlenionymi na platynowo włosami do ramion albo blondyna i przy nim kogoś, kto przypomina Turka, Egipcjanina, Araba... To mogą być oni.

-
Myślisz, że... - Zmarszczyła brwi i przestała jeść.

-
Wszystko wskazuje na to, że to jakaś poważna sprawa, poważna nie dlatego jedynie, że chodzi o potrójne morderstwo, tylko poważna w sensie, że rozległa, że komuś na czymś strasznie zależy, tak mocno, że nie cofnął się przed mordem, i może dalej tego czegoś pragnąć...

Sandra odłożyła łyżkę i odsunęła talerz.

-
No to nie chcę cię martwić, ale możesz być na celowniku - powiedziała spokojnie.

-
Też doszedłem do takiego wniosku - pokiwał głową. Podjął decyzję. -

Powinnaś wracać do Berlina, jestem ci bardzo wdzięcz...

-
Jak by powiedziała twoja siostra? Przymknij się? - przerwała, uśmiechając się przewrotnie.

Krystian milczał chwilę zaskoczony.

-
Tak by powiedziała - potwierdził w końcu.

-
No!

Skinęła na kelnera, zatoczyła nad stołem kółko obejmujące kieliszki.

-

Noch einmall - rzuciła.

Zrozumiał bez trudu, powiedział: „Już się robi” i pomknął do baru.

-

Co zamierzasz? - zapytała.

91

Stuknęła w jego kieliszek swoim i dynamicznie, po męsku wlała w usta zawartość.

Krystian zaczął się zastanawiać, czy - jeśli nie była hetero - rzeczywiście odgrywała rolę anielicy w związku. Może jednak - dominantki męskiej, mimo niezaprzeczalnie kobiecego wyglądu. Wypił swoją wódkę.

-

Nie, wiesz co, przesiądźmy się, będę spokojniejszy. Dobrze?

Wstał i wymusił na Sandrze przeniesienie na swoje miejsce, teraz widział dobrze cały lokal - jedną z trzech sal restauracyjnych.

-

Posłuchaj, ci ludzie zabili trzy kobiety. Ode mnie czegoś chcą, więc pewnie od razu nie dźgną nożem...

-

Nieprawda! - Sandra umilkła, bo podszedł kelner z wódką i sokiem.

Kiedy zniknął, podjęła: - Chcieli cię przecież przejechać. To nie wygląda jak próba postraszenia, tylko zadania co najmniej bólu.

-

Myślałem o tym... Sądzę, że umyślnie „nie trafili”, chcieli mnie tylko postraszyć, pogonić do domu. Poza tym - wtedy jeszcze żyła matka. Mieli i mnie,

i ją do wyboru. Teraz zostałem już tylko ja.

-

I Ushi!

-

Tak, i ona... - Wahał się chwilę. - Powinna też gdzieś wyjechać.

Sandra pokręciła głową.

-

Nie, przecież oni są tutaj!

-

Niby tak - cmoknął. - Ale może mają jeszcze innych współników, nie

wiemy, jak rozległa jest ich siatka. - Obracał w palcach kieliszek. - Słuchaj, ja nie

wiem, jak wyrazić wdzięczność, zachowałeś się jak członek... włoskiej... - wtrącił

nagle, żeby nie zabrzmiało to tak poważnie - rodziny: solidarny, ofiarny, odda-

ny... Ale oni - jeśli nie odczepią się ode mnie, to uderzą także w ciebie.

„Przede wszystkim w ciebie - pomyślał. - Te dwie biedne siostry torturowano,

żeby złamać mamę, tak samo zrobią z tobą - zaczną cię bić, żebym im pomógł, a

ponieważ nie wiem, jak pomóc, to będą cię bili i przypalali sutki czy co tam te

gnoje wymyślą”.

-

Krystian, co prawda, ja mam tylko pierwszy dan, najniższy, ale to już

jednak jest stopień mistrzowski, dwa razy musiałam zastosować umiejętności w

praktyce, więc jeśli któreś z nas będzie poszkodowane w bezpośrednim starciu, to

obawiam się, że ty pierwszy. Masz jakieś pojęcie o samoobronie?

W pierwszej chwili chciał wykpić się żartem, ale Sandra była wyjątkowo poważna. „Jak wszyscy adepci japońskich sztuk walki - kiedy dochodzi do rozmowy o wadach i zaletach ich sztuki tracą nagle poczucie humoru, kończą się żarty, a zaczyna żarliwa obrona stylu walki”.

-

Och, bardzo wątpliwe, kiedyś chodziłem na zajęcia sambo. To jest...

-

Wiem, radziecka obrona bez broni - rzuciła szybko, rzeczowo. - Może być. A kiedy to było?

-

Oj, dawno temu. Jakiś Rosjanin miał zajęcia w mojej szkole...

Sandra pokręciła głową.

-

Na razie - napijmy się. Gładko wchodzi - poinformowała. Wypili znowu po pół kieliszka. - Tu jest sala gimnastyczna. Skorzystamy z niej.

-

Przestań! Nie szykuję się na wojnę. - Nagle przypomniał sobie coś, plaśnął dłonią w czoło. - Zapomniałem zapytać Nieskobę, kiedy pogrzeb... I jeszcze... - skrzywił się, usiłując zapędzić umysł do efektywnej pracy - ...jeszcze coś mi krąży po głowie... Krąży i nie chce się wyłonić na światło dzienne...

Nadszedł kelner z tacą. Na gorącej patelence skwierczały dwa kawałki kaszanki i dwie inne kiszki.

-

Szef kuchni pozwolił sobie na dodanie dla państwa po kawałku kiszki

bułczanej, niemal z osobistych zapasów - powiedział, teatralnie ścisząc głos.

-

Proszę mu serdecznie podziękować, nie jadłem bułczanki chyba ze dwadzieścia lat, myślałem, że przepis zaginął!

-

Przeżywamy odrodzenie kulinarne - powiedział kelner, nakładając kaszankę i kiszkę Sandrze. - Modne zrobiły się placki, kiszki, kiszonki, marynaty, smaluszki - swoje jadło, własne przepisy, domowe wyroby.

-

Dziękuję. - Odkroił kawałek kiszki i włożył do ust. - M-m-m... Taka, jak pamiętałem. Dziękuję... - powtórzył i spojrzał na plakietkę kelnera - panie Hubercie.

Kelner pochylił głowę i odszedł. Krystian znieruchomiał z drugim kawałkiem kiszki nadzianym na widelec.

-

Co jest? Niedobra? - zapytała lekko zaniepokojona Sandra.

-

Hubert... Hugo... - odpowiedział niezrozumiale. - To mi właśnie tkwiło w mózgu i nie dawało spokoju. Hugo z Payns! - szepnął. - Skąd on tam, w klasztorze? W ręku mojej matki? - Uświadomił sobie nagle, że mimo używania na co

93

dzień niemieckiego jako ojczystego, naturalnego, teraz szepcze po polsku. Sandra wpatrywała się w niego z nabitym na zęby widelca kawałkiem kiszki. - Moja matka miała w ręku obrazek. Policjant powiedział, że to święty Hugo. Ale nie

było takiego świętego. Hugo z Payns nie był świętym, ale krzyżowcem, pierwszym wielkim mistrzem powołanego przez siebie zakonu templariuszy! -

Uśmiechnął się szeroko. - To musi być jakiś trop, niech tylko przemyślę to, niech sobie poukładam. *Prosit!* - Stuknął kieliszkiem w kieliszek Sandry, wypili.

Sommer z zapalem pałaszował kaszankę i kiszkę, Sandra najpierw jadła powoli, niespecjalnie przekonana do polskich frykasów, ale po kilku kęsach przyśpieszyła, na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Pewnie tuczące - powiedziała. - Ale dobre.

Krystian, chociaż pierwszy uwinął się ze swoją porcją, przy schabowym zaczął wysiadać. Sandra natomiast pochłonęła całego, a do tego kapustę. Ćwikła nie spotkała się z uznaniem.

O czwartej Krystian wszedł do sieci.

O ósmej oblał się zimnym potem, a następnie gorącym. Przez dwie minuty siedział skamieniały, wpatrując się w ekran. Zamknął oczy, zacisnął powieki, potrząsnął głową. Na ekranie nic się nie zmieniło. Wstał, podszedł do okna, otworzył je. Chłodne powietrze wolno, jakby niechętnie, wpłynęło do pokoju.

Odnotował, że światło lamp przesącza się z pewnym trudem przez wypełniający pomieszczenie dym. Rozejrzał się, ale regulatora klimatyzacji nigdzie nie było, zatem i o takim urządzeniu mógł tylko pomarzyć. Nie przejął się tym zbytnio.

Przespacerował się po pokoju, wymachując rękami i specjalnie myśląc o czymś zupełnie innym, o przygotowaniach do mistrzostw Europy w futbolu, o pogodzie, o samym hotelu, na wyrost oznaczonym trzema gwiazdkami. Pomyślał, że na tablicy informacyjnej jest miejsce nawet na siedem gwiazdek.

Zdecydował się. Wyjął z walizki drukarkę do laptopa, podłączył i wypełnił

drukiem kilka kartek. Potem starannie pogrupował dane w kilku plikach, cały folder zrzucił na mp3 player. „Nie za bardzo cwane zabezpieczenie - pomyślał. - Ale lepsze takie niż żadne. No i jak wyjdę z pokoju, to empek biorę ze sobą, a laptop zostaje”.

Wyszedł i skierował się piętro niżej, do apartamentu Sandry.

Zapukał, nie odezwała się. Zaniepokojony, zastukał głośniej.

94

-

Tak? Proszę?

-

To ja, Krystian - powiedział do szczeliny drzwi.

Nacisnął klamkę, ale musiał poczekać, aż szczęknie zamek. Sandra otworzyła i cofnęła się.

-

Tyle mi nagadałeś o niebezpieczeństwie... - Ponad jego ramieniem spenetrowała wzrokiem korytarz i starannie zamknęła drzwi. - Chcesz piwa? - zapytała, wskazując barek.

-

Nie, dziękuję. Jeszcze chyba posiedzę, ale przyszedłem podzielić się... -

Potrząsnął trzymanymi w rękę kartkami. - Surfowałem po Internecie i chyba się do czegoś dogrzebałem. Chcesz wiedzieć?

-

No tak, oczywiście.

Podeszła do drzwi balkonowych i wzięła z parapetu swoją szklanę, do po-

łowy wypełnioną piwem. Usiadła w fotelu.

-

No to patrz. - Wbrew wypowiedzianym słowom nie pokazał jej nic,

rozłożył kartki i sam zerknął na pierwszą. - Moja matka trzymała w ręku obrazek

z Hugonem. Policjant powiedział, że to święty, ale to nieprawda, nie ma świętego

Hugona, to wiedziałem, bo kiedyś pisałem coś o świętych i sprawdzałem akurat

to imię. - Nagle coś przyszło mu do głowy. - Nie wiem, może nawet konsulto-

wałem się z matką, może zapytałem ją o niego, gdy zadzwoniła do nas... No nic,

nieważne. Nie ma takiego. Zacząłem się zastanawiać, o co chodzi. Obrazek

przedstawiał Hugona z Payns. Zapytasz pewnie, kim był?

-

Tak, zapytam - uśmiechnęła się.

-

Był pierwszym wielkim mistrzem Zakonu Ubogich Rycerzy Świątyni,

czyli templariuszy. Ten zakon powstał w 1118 albo 1120 roku, gdy Hugo z

Payns, rycerz z Szampanii, i kilku jego towarzyszy z wypraw krzyżowych... -

Popatrzył na kartkę i przeczytał: - Gotfryd z Saint-Omer, Gotfryd z Eygorande,

Piotr z Orleanu, Mikołaj z Neuvic, Jan z Ussel i Jan z Meymac złożyli przed

Gormondem z Picquigny, patriarchą Jerozolimy, śluby ubóstwa, czystości, po-

słuszeństwa i walki za wiarę według reguły cysterskiej, czyli świętego Bernarda z

Clairvaux. Hugo i pozostali rycerze złożyli śluby, które zobowiązały ich do

bronienia pielgrzymujących do Ziemi Świętej i ochrony szlaków pielgrzymko-

wych. Zamyśl Hugona spodobał się królowi Jerozolimy, Baldwinowi II, od

którego otrzymali wieńczący świątynne wzgórze, przebudowany na kościół,

meczet Al-Aksa i wznoszący się w pobliżu pałac, który stał się ich faktyczną

95

i pierwszą kwaterą. Zapał Hugona był na tyle zaraźliwy, że nawet jego imiennik z Szampanii, którego był wasalem, w 1125 roku porzucił żonę i dziecko, by wyjechać ze swojego hrabstwa i wstąpić do zakonu stworzonego przez podległego sobie niegdyś rycerza! Trzy lata później, po dziesięciu latach istnienia, w 1128 roku na synodzie w Troyes, któremu przewodzili kardynał legat Mateusz z Albano i Bernard z Clairvaux, templariusze faktycznie ukonstytuowali się jako zakon: otrzymali bowiem regułę zakonną, a ich sentencją stało się zdanie *Memento Finis*. Reguła zakonna składała się z siedemdziesięciu dwóch artykułów określających ich obowiązki religijne i wojskowe, porządek dnia zakonnego, sprawy doczesnych własności braci, hierarchii zakonu i posłuszeństwa. Wilhelm z Tyru w swej kronice pisze, że podczas dziewięciu pierwszych lat istnienia organizacji nosili oni świeckie habity i nigdy nie mieli innego odzienia, tylko to, które otrzymali od miejscowej ludności. Ale już za czasów papieża Eugeniusza III liczba zakonników zaczęła rosnąć, a ich dobra się powiększać. Na swoich płaszczach zaczęli umieszczać krzyże z czerwonego sukna, aby się bardziej wyróżniać od innych mężów. Ich rola w świecie chrześcijańskim gwałtownie wzrosła. Według Wilhelma z Tyru posiadali olbrzymie dobra niemal w każdym zakątku Europy, a nawet „za morzem”. Ich bogactwo było równe bogactwu królów. Tak więc zakon miał regułę, dorobił się godła - czerwonego ośmiokątnego krzyża, symbolu męczeństwa, który noszono na białym habicie. W tym samym czasie regułę łacińską przetłumaczono na język francuski, wprowadzając pewne zmiany, jak na przykład rezygnację z zasady nowicjatu. Dodam jeszcze

tylko, że nazwa zakonu pochodzi od łacińskiego słowa *templum* - świątynia, od ich siedziby w pobliżu dawnej świątyni Salomona w Jerozolimie. Pieczęć zakonu przedstawiała dwóch rycerzy dosiadających jednego wierzchowca, a symbolizowała pokorę i ubóstwo. Tyle pierwszej lekcji historii. - Odchrząknął i przełknął ślinę. - Wiesz co, wezmę jednak to piwo, dobrze?

Skinęła głową, Krystian podskoczył do barku, wyjął puszkę. Psyknął pipsterem, łyknął, sapnął.

- Zaraz zrozumiesz, po co ten wykład i co mają do tego templariusze.

Matka naprowadzała na nich, jak tylko mogła, i już wiem dlaczego. Ale idźmy dalej. - Wziął swoje notatki, skinął głową. - Zakon więc rósł w siłę, dorównywał potęgą monarchom, co nie mogło tych ostatnich specjalnie cieszyć. I skończyło

96

się tragicznie. 13 października 1307 roku Filip Piękny, król Francji, jeden z najpotężniejszych władców ówczesnej Europy i zarazem jeden z większych dłużników zakonu templariuszy, wpadł na piekielny pomysł, jak pozbyć się wierzycieli i konkurencji do rządu dusz: wydał rozkaz aresztowania wszystkich zakonników. To była największa akcja policyjna średniowiecza. Jeszcze w czwartek, 12 października 1307 roku, Jakub z Molay, ostatni wielki mistrz, w towarzystwie króla i możnych państwa uczestniczył w pogrzebie Katarzyny z Courtenay, dziedziczki tytułu cesarzowej Konstantynopola, zaślubionej Karolowi z Valois, bratu Filipa Pięknego. A o świcie następnego dnia - a był to piątek trzynastego! - zbrojni wkroczyli do każdej, powtarzam, każdej z kilkuset komandorii. Templariusze nie stawiali oporu, pieczętując tym sposobem początek upadku potężnego zakonu. Oczywiście poszukiwano legendarnych skarbów,

jakimi podobno dysponowali, i to nie tylko skarbów w postaci kosztowności.

Mieli oni posiadać cudowne relikwie, mówiło się, że mają Krzyż Święty, który dostał się w ręce Saladyna w bitwie pod Hittin, a który oni odzyskali, mieli też dysponować kronikami, których wagi przecenić nie sposób, dotyczącymi treścią Kościoła i całego chrześcijańskiego świata. I... nic! - Uśmiechnął się szeroko. -

Bracia, chyba przeczuwając koniec zakonu, ukryli wszystko tak, że zdobycz siepaczy była wręcz szokująco nikła. Albo ukryli wszystko znakomicie, albo faktycznie nie mieli nic, a tylko doskonale funkcjonował u nich dział *public relations*, wciskający wszystkim tak zwany kit o bogactwach i potędze. Mimo tortur nie uzyskano niczego, oskarżono więc braci o herezję, sodomie i praktyki satanistyczne, czyli o to, co przejmowało współczesnych największym obrzydzeniem. Po pięciu latach zakon rozwiązano, a 19 marca 1314 roku na stosie, wzniesionym na jakiejś małej wyspie na Sekwanie spalono ostatniego wielkiego mistrza, Jakuba z Molay, i preceptora Normandii, Gotfryda z Charnay. Nawiasem mówiąc, niemal wszyscy templariusze okazali skruchę, ci dwaj notable też, ale potem się wycofali, a rozjuszony Filip kazał ich spalić w trybie przyspieszonym. -

Odsunął kartkę. - Nie zanudzam cię?

-
O nie! Przecież to jest niemal ciąg dalszy *Kodu Leonarda da Vinci* -

puściła do niego oko.

-
O, przepraszam! Uważam to za jeden z większych chłamów ostatnich lat!

Dlatego słucham z tak wielką uwagą, powinieneś zachować te notatki i
walczyć jakąś prawdziwą, dobrą powieść o sekretach templariuszy.

-
Hm... Ciekawy pomysł. I niegłupi... Hm... - powtórzył. Napił się piwa i
wrócił do wykładu: - Do czego jednak zmierzam. Do tego, że w XIII wieku
templariusze przybyli na tereny leżące na wschód od Odry, gdzie otrzymali
pierwsze nadanie z rąk śląskiego księcia Henryka Brodatego. Uwaga! - Uniósł
palec. - W 1232 roku książę wielkopolski Władysław Odonic nadał im wieś
Chwarszczany wraz ze sporymi gruntami - tysiącem łanów ziemi. Niektórzy
historycy twierdzą, iż zakonnicy to nadanie otrzymali z rąk księcia śląskiego,
inni, że z rąk księcia pomorskiego Barnima I, ale to nieważne. Nie wiadomo
dokładnie, z jakiej komandorii pochodzili ci bracia, wiemy tylko, że mieli za-
bezpieczyć pogranicze przed wrażą ekspansją oraz doprowadzić do zagospoda-
rowania tych terenów wedle prawa niemieckiego. Nad rzeką Myślą wzniesli
zabudowania dworu zakonnego, będącego ośrodkiem administracji w regionie,
czyli komandorią. Już pod koniec XIII wieku komandoria w Chwarszczanach
stała się stolicą wschodnioeuropejskiej prowincji zakonu. W komandorii prze-
chowywano akta, tu mieścił się skarbiec, tu raz do roku zbierała się kapituła,
składająca się z przełożonych wszystkich domów zakonnych prowincji.

Wszystko to runęło w wyniku perfidnego planu Filipa Pięknego. W 1314 roku
nastąpiła kasata zakonu, a dobra komandorii w 1340 ostatecznie przeszły w ręce
innego zakonu rycerskiego - joannitów. Niedługo jednak potem joannici ułożyli
się z margrabią Janem z Kostrzyna i zrezygnowali z komturii w Chwarszczanach.
Utworzono domenę, w której margrabia założył folwark, zaopatrujący Kostrzyn

oraz jego własny dwór w produkty rolne. Kaplicę zmieniono w zbór protestancki, podlegający świątyni w Cychrach, a w 1758 roku, w czasie bitwy pod Sarbinowem, zabudowania komandorii zostały zniszczone, sama kaplica uległa poważnym uszkodzeniom. Po kilku latach odbudowano ją, w XIX wieku lekko prze-modelowano, ale to już inna bajka...

Dopił piwo i odruchowo zgniół puszkę, Sandra skrzywiła się, słysząc zgrzyt.

-

Przepraszam! Nawyk taki... - Poszedł do kuchni i wrzucił puszkę do ku-bła pod blatem. - Zająłem ci godzinę na templariuszy, żeby w poincie poinformować, że matka chciała podpowiedzieć mi Chwarszczany. Tylko tak mogę

98

tłumaczyć sobie jej gest. Hugo – templariusze - Chwarszczany.

Sandra zmrużyła oczy, chwilę świdrowała Krystiana wzrokiem.

-

Nie rozumiem. Związek jakiś widzę, ale co ty masz do Chwarszczan?

-

Ha! Nikt normalny nie widzi tego związku i nawet nie powinien. Tak to sobie wymyśliła matka Malwina. Wiesz dlaczego? - Przełożył kilka kartek. - Jesteśmy dość niezwykłą rodziną. Przede wszystkim dlatego, że mamy drzewo genealogiczne, wyprowadzone od - uważaj! - XIII wieku. W rodzinie naszej znajdował się biskup krakowski Jan Muskata. Był dość znaczącą postacią w polityce okresu walk o zjednoczenie Królestwa Polskiego na przełomie XIII i XIV wieku. Był też zwolennikiem królów Czech i Polski, Wacława II i Wacława III, oraz zagorzałym przeciwnikiem króla Władysława Łokietka. Kumał się, z

kim mógł, byle dopieć Łokietkowi, zwalić go z tronu, templariusze zaś chwarszczańscy, znajdujący się pod protektorem brandenburskim, kontaktowali się z nim, a on z nimi. Co knuli i czy w ogóle coś uknuli, nie wiadomo, ale że usiłowali, to pewne. Wiadomo o kilku co najmniej spotkaniach komandora chwarszczańskiego, Bernharda von Eirsteina, z Muskata, a komandor pełnił jednocześnie funkcję preceptora zakonu na Polskę, Nową Marchię, Czechy i Morawy. Więc mój prapraprzodek... Tak, tak! To był kontrowersyjny duchowny i miał dzieci. Nie dość, że bywał w Chwarszczanach, to miał tam także dom! Ten dom, w którym nigdy zresztą nie byłem, stoi do dziś. No, może niedokładnie ten sam, ale na jego miejscu coś jest.

Urwał, milczał chwilę.

-

Tyle mogę ci w tym momencie powiedzieć, Sandro. Nie gniewaj się, ale to zaczyna mieć jakieś logiczne... ręce i nogi, jeśli tak można się wyrazić... To jest ważne miejsce i pojedę tam.

-

Mogę z tobą?

Popatrzył na nią poważnie.

-

Już powinnaś się zorientować, że to nie przelewki, nie zabawa. Trzy trupy, cztery nawet, jeśli doliczyć tego Araba...

-

Wiem. Ale to znacznie ciekawsze niż stawki ubezpieczeniowe najbogatszej nawet naszej klientki. Mam przeczucie, że jeśli teraz, w tym momencie

życia, nie przeżyję czegoś naprawdę... - potrząsnęła głową - naprawdę niezwy-

kiego, to będę tylko gorzkniała i wyrzucała sobie, że jestem stara, niemrawa,

99

germańska... *dupa!* - przed ostatnim słowem zaczerpnęła powietrza i wypaliła je po polsku.

Siedział chwilę z rozdziawionymi ustami i wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Potem zamknął usta.

- W życiu bym nie chciał, żebyś starzała się z taką koszmarną świadomością. Jutro ruszymy do Chwarszczan. Ale, rozumiesz, to nasz sekret. Nie wiem, czy powiem coś Nieskobie. - Potarł brodę z jednodniowym zarostem. - Fakt, to by była może jakaś asekuracja, ale... No, zobaczymy. Może wyślę do niego kartkę albo SMS-a? Poinformuję, że jadę tam w sprawach rodzinnych, to chyba nawet nie jest bardzo daleko stąd, gdzieś nad granicą z Niemcami.

14. 7 KWIETNIA, 13.18

Rzeka Myśla nie imponowała szerokością ani rwącym nurtem, jedna z setek nizinnych polskich rzek, raptem stukilometrowy dopływ Odry. Dość malownicza, przynajmniej kiedy patrzyło się na nią z mostu przed dojazdem do Chwarszczan.

Widok na pola nagle przesłoniły drzewa, w luce między nimi mignął dach kaplicy templariuszy z dwoma wieżami przy wejściu.

-

Tam! - Krystian wskazał palcem kierunek. - Zwolnij, musi być jakaś droga, tam są prowadzone prace wykopaliskowe.

Rzeczywiście, od drogi odbijała inna, prowadząca prosto do zabytku.

-

Czy w tym kościele masz... mamy coś do zrobienia? - zapytała Sandra, wypatrując w drodze dziur. Nie musiała się zbytnio męczyć, było ich co niemiara. Mały samochód kiwał się i podskakiwał na wybojach, ale jakoś się posuwał.

-
Dziur od cholery i ciut-ciut! - powiedział Krystian, wprowadzając ją w niuanse języka polskiego. Powtórzyła to grzecznie, wyszło „czüt-czüt”, bardzo miło.

-
Nie, kaplica to tylko tak, dla oka, jesteśmy turystami, musimy więc obejrzeć najważniejszy zabytek okolicy.

-
Racja.

Podjechali na parking - twardą kamienistą łąkę, obramowaną cokolwiek splewiała taśmą. Kaplica była, oczywiście, zamknięta. Obeszli ją dokoła, zrobili kilka zdjęć. Przeczytali dwujęzyczny tekst z nowej tablicy informacyjnej. Na

100

wschód od kaplicy rozpościerały się pola, po przeciwnej stronie rozłożyły się Chwarszczany.

-
Kiedyś Quartschen - poinformował Sandrę Krystian. - Dobra, jedziemy poszukać właściwego celu wyprawy.

-
A jest nim?... - zawiesiła głos Sandra, mierząc z pilota do morrisa. Pisnął cicho, sprawnie i posłusznie.

-
Młyn nad rzeką. Nawet nie sam młyn, tylko dom młynarza. Mojego ja-
kiegoś tam prapraprzodka. Młyna pewnie nie będzie, czasy PRL-u jakoś nie
służyły takim obiektom. Ale dom w Google'em widziałem.

-
Żartujesz!

Wsiedli i wolno ruszyli z parkingu na drogę, by wyjechać na szosę. Dwieście
metrów dalej, w wyraźnie centralnym miejscu, znajdował się bar „Pod Templa-
riuszem”.

-
Zatrzymajmy się - zaproponował Krystian. - Musimy coś zjeść, a może
nawet skorzystamy z oferty hotelowej. - Wskazał na tabliczkę z napisem „Miej-
sca hotelowe”. - Smacznie i wygodnie pewnie, jak to mawiała moja siostra, w I
Armii LWP, ale spróbować nie zawadzi.

Sandra zmarszczyła nosek, musiał jej wyjaśnić w kilku słowach, na czym
polegał dowcip.

W barze było pustawo, żeby nie powiedzieć - pusto. Jeden miejscowy w
czapce z nausznikami sączył jakieś lokalne piwo w pękatej butelce 0,33. Po kilku
minutach rozmowy Krystian ustalił, że krokiety i barszcz są na pewno robione na
miejscu i na sto procent dobre, a cała reszta albo sprowadzana w zamrożonej
bryle, albo już nie najświeższa. No, był jeszcze bigos, duma i ostoja menu. Za-
mówił dwa barszcze, krokiety i „ostoję”.

Nie rozmawiali, czekając na realizację zamówienia, nie rozmawiali też pod-
czas jedzenia. Krystian pogrążył się w planowaniu kolejnych ruchów, a właści-

wie sprawdzaniu już wymyślonego planu, Sandra, widząc, że ma za towarzystwo tylko jego ciało, skoncentrowała się na barszczu i bigosie, krokiety uznała za zbyt ciężkostrawne.

-

Tu, we młynie, mieszkała moja rodzina. Na pewno przed wojną, to pamiętam. Zapamiętałem też, jak ojciec mówił do matki, że jego stryj czy wuj ukrył coś w przewodzie kominowym młyna, a po wojnie nie miał jak tego wydostać.

Ten stryj był w partyzantce, pewnie w AK, może ukrył jakieś gazetki, może

101

pistolet, może listę członków podziemia, nie wiem. Już po tym jak matka... nie wiem, jak to nazwać... „podzleciła” adopcję swojemu bratu?... byłem świadkiem jeszcze jednej rozmowy o tym fakcie, w ramach jakichś rodzinnych wspominek, przy stole świątecznym... Były czyjeś urodziny - wuja może? Nie pamiętam. Ale teraz - ten Hugo w ręku matki to... To musi być naprowadzenie na templariuszy, a jeśli tak, to na Chwarszczany, zwłaszcza że matka wiedziała o moich zainteresowaniach tym zakonem. Kiedyś dużo o nich czytałem, napisałem dwie czy trzy notki dla jakichś gazet przy okazji rocznic. To było wieki temu, ale uwzględniając, że matka była w klasztorze już prawie trzydzieści lat, to wszystko wygląda mi na jakąś starą, odgrzebaną - nie wiadomo dlaczego, dla kogo i po co - sprawę. Ani w moim, ani w matki życiu, a tym bardziej Urszuli, nie działo się nic takiego, co by usprawiedliwiło morderstwo.

-

Usprawiedliwiło? - Sandra uniosła brew.

-

To kolokwializm, nic morderstwa nie usprawiedliwia. Chciałem powiedzieć, że nic nie powinno popychać do morderstwa.

Skinęła głową, odsunęła widelcem na brzeg talerza duży liść laurowy, dopiła barszcz.

-

Nie jesz krokietów? - zapytał, wskazując talerz. Pokręciła głową. - No to ja skorzystam, jakiś głodny jestem.

-

Nie boisz się jeść grzybów?

-

Nie, a dlaczego? To pieczarki!

-

Wiem, ale mój ojciec był lekarzem i kiedyś miał całą rodzinę, siedem osób zatrutych grzybem. Wszystkim rozpadły się wątroby czy coś koszmarnie podobnego... - Wstrząsnął nią dreszcz. - Od tej pory u nas w domu nie jadło się nawet truflí. Po prostu grzyby przestały dla nas istnieć.

Pokręcił głową.

-

A sery pleśniowe?

-

Sery tak, a dlaczego pytasz?

-

Bo pleśń to też grzyby! - rzucił z kęsem w ustach.

-

Proszę cię!

Roześmiali się oboje. Krystian obejrzał się na barmankę i zakreślił ręką koło w powietrzu. Skinęła głową. Po chwili podeszła do stolika i położyła rachunek.

Dołożywszy spory *trinkgeld*, Krystian zapytał:

-

Czy w Chwarszczanach jest młyn?

102

Kobieta wygięła usta w podkówkę i pokręciła głową. Mogła mieć dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata, ale pewnie pochodziła stąd, nikt raczej za pracą do Chwarszczan nie przyjeżdżał.

-

Był kiedyś, przed wojną, kilka lat po wojnie. Na Myśli - machnęła ręką przed siebie, za plecy Krystiana.

-

Nic tam już nie ma?

-

Jest dom. Grawidze tam mieszkają. Starzy Grawidze, bo młodzi pobudowali się dalej pod lasem.

-

Co to za ludzie?

-

A normalni! - Machnęła ręką. - Dobrzy, mili.

- Aha. Czyli co - drogą i...?

-

No, drogą i w prawo, za takim żółtym domem.

-

Dziękujemy.

Ta odnoga szosy prezentowała się jeszcze gorzej, prowadziła do jedyne-
go domu. W zimie, o ile staruszków nie odśnieżyły dzieci, dom na pewno był zu-
pełnie odcięty od wsi. Ale ta zima była niemal bezśnieżna, poza kilkoma mroź-
nymi nocami temperatura niemal nie schodziła poniżej zera. A wiosna, choć
przeciągała się i ociągała, mizerne śniegi roztopiła. Dziury zostały gdziegdzie
zasypane gruzem, potłuczonymi dachówkami, nawet popiołem z pieca.

-

Nikt nie pilnuje, żeby nie wysypywać śmieci na drogę? - zapytała Sandra
po pokonaniu serii dziur, na których tylko humvee mógłby pokazać, na co go stać.

-

To nie śmieci - roześmiał się odrobinę za głośno Krystian. - To materiał
budowlany.

Sandra miała w gronie dobrych cech i tę, że traktowała serio wyjaśnienia
nawet największych absurdów. W Polsce mogłaby co i rusz gdakać i dziwić się
głośno, ale nie robiła tego, zwłaszcza po wyjaśnieniach na poły tubylczego
przewodnika. Teraz też pokiwała tylko głową.

Dom wyrastał na końcu drogi, parterowy, z poprzeczną przybudówką. Po lewej,
nad rzeką, wznosiły się ruiny młyna. Rzeka rozlewała się przed „młynem”, sugerując
dobre łowisko. O ile w ogóle w wodach II i III klasy czystości mogą żyć ryby.

Sandra zatrzymała wóz przed bramą, mimo że jedno skrzydło było uchylone i
morris swobodnie przecisnąłby się na podwórze. Krystian skinął głową i wysiadł.

Przeciągnął się i rozejrzał. W oknie poruszyła się firanka, a po chwili drzwi zaskrzy-
piały, w progu zaś stanęła wysoka, szczupła starsza pani w pikowanej kamizelce.

103

-

Dzień dobry! - Krystian ukłonił się z daleka. - Mogę wejść? - Rozejrzał
się po obejściu. - Pies mnie nie pożre?

-

Nie ma, uciekł, ze trzy dni temu. Zapraszam, panią też! - Najpierw wy-
konała zapraszający gest w stronę Krystiana, potem - może dopiero teraz doj-
rzała, kto siedzi za kierownicą - podniosła głos, żeby dotarł do auta.

Krystian odwrócił się i powtórzył zaproszenie po niemiecku. Nie było sensu
się maskować: tablice, nieznamość języka Sandry, no i w ogóle nie wypadało
oszukiwać gościnniej gospodyni.

-

Proszę, mąż wróci za chwilę, poszedł do syna siekierę naostrzyć.

-

No to jak wróci z ostrą i zobaczy nieproszonych gości... - uśmiechnął się
Krystian.

-

Jak - nieproszonych? Toć proszę!

Poczekali na Sandrę. Wysiadła i szybko pomaszzerowała w ich kierunku, nie
zamykając samochodu.

„To ładnie w stosunku do gospodarzy - pomyślał Krystian. - Ale czy rozsąd-
nie? Gdzie mamy swoje dokumenty i karty? W kieszeni? No, trudno. Miejmy

nadzieję, że nikt tędy nie będzie przechodził”.

Nie wiedział, czy mieszkająca nieopodal granicy Grawidzowa nie zna niemieckiego, nie ryzykował więc porozumiewania się za jej plecami.

Weszli do zimnej sionki, kot na ich widok wygiął grzbiet, prychnął i skoczył na szczyt drabiny prowadzącej na strych. Gospodyni weszła do kuchni, przytrzymała drzwi. W środku było ciepło, ogromny węglowy piec promieniował, pachniało chyba jajecznicą na boczku. Mimo zjedzonego obiadu Krystian musiał przełknąć ślinę. Podłoga w kuchni była wyszorowana i wytarta do białości, szerokie na palec fugi, powstałe między kurczącymi się od wody deskami, wypełniono cementem. Deski leżały tu chyba od zarania dziejów - w bardziej miękkich częściach pojawiły się centymetrowej głębokości koleiny. Pod oknem stał stół, po obu jego stronach starannie zasłane tapczany z trzypiętrowymi stosami poduszek, zazdrostki na oknach i dwa okazałe, najeżone kolcami wilczomlecze na parapecie. Na ścianach nad tapczanami zawieszono dywany, na nich po jednej stronie królował Jezus z sercem gorejącym, po drugiej - Matka Boska z łagodnym uśmiechem na twarzy. Poniżej po kilka zdjęć: czarno-białych, dzieci chyba, i kolorowych - wnuków. Gdyby jakiś reżyser chciał nakręcić wnętrze

104

polskiej chaty z początku XX wieku, tu miałby scenografię bez śladu XXI stulecia. No, trzeba by było usunąć radio marki Sony ze stołu pod oknem i dwa błyszczące chromem garnki z pieca, pozostałe były emaliowane i okopcone aż miło.

-

Proszę, proszę siadać. Zaraz zrobię herbaty, tak?

Gospodyni nie pytała, informowała, nie dawała też wyboru. Trudno. Naj-

pierw na stole wylądowała paczka biszkoptów, potem dwie szklanki z liptonami.

-

Może się pani zdziwi albo... No nie wiem, będzie pani zaskoczona... -

powiedział Krystian ciągle jeszcze bez koncepcji prowadzenia dalszej rozmowy.

- Jestem Polakiem, stale mieszkającym w Niemczech, a ten dom chyba był przed

wojną własnością kogoś z mojej rodziny, stryja czy jakiegoś stryjecznego

dziadka... - Kłamał z premedytacją. Już wcześniej wymyślił sobie, że im dalsze

będzie pokrewieństwo z byłymi właścicielami domu, tym mniejsze obawy aktu-

alnych mieszkańców; nie był pewien, czy stereotyp pazernego Niemca, który

niechybnie będzie dochodził swoich praw do pozostawionego po wojnie majątku,

nie wywoła nieprzewyciężonej niechęci Grawidzów. - Nadłożyłem trochę drogi,

żeby zobaczyć ten dom, nic więcej nie chcę i nie mam ani zamiaru, ani praw do

roszczenia jakichkolwiek...

-

Panie, kto by tu panu co oddał?! - uśmiechnęła się szeroko gospodyni. -

Mój ojciec był aptekarzem z Wołynia, on wszystko tak akuratnie załatwił, ten

dom jest i będzie nasz, i nikt nam go nie odbierze. My się Niemców nie boimy. I

Polaków też.

-

No to świetnie, bo się bałem, że pani nas cepem przepędzi! - uśmiechnął

się i Krystian.

-

Aha, a skąd bym go wzięła? Nie wiem, czy w ogóle mieliśmy cep kiedy. -

Mówiła „wogle” i miała leciuteńki wschodni akcent. I dobroduszną wschodnią naturę. - My pola za bardzo nie uprawiali, bo po co? Tak, trochę dla siebie, krowa, kury, kaczki, to tak!

-

A zgodzi się pani przenocować nas dzisiaj? Jedną noc? Tak, żeby móc powiedzieć, że jakieś korzenie znalazłem?

-

A pewnie! - Gospodyni wyjrzała przez okno. - Zaraz przyjdzie stary, to pomoże panu łóżko przesunąć. Bo on u syna jest, ale jak zobaczy auto takie śmieszne, to zaraz przyjdzie.

105

Byli w połowie herbaty, gdy pojawił się mąż. Też nie miał nic przeciwko wynajęciu pokoju. Sandra przestawiła samochód, Krystian przeniósł ich bagaże, a potem, korzystając z dziennego światła, dokładnie obejrzał młyn. Odnotował zarośnięte leśnym parzydłem, zagrzebane do połowy w gruzach i ziemi okienka piwniczne, dwa. Przespacerowali się z Sandrą wzdłuż rzeki, omówili plan działania. Był prosty.

-

Musimy trochę pohałasować, pochichotać... - zawahał się - poskrzypieć łózkami...

-

Coś ty? - zrobiła przerażoną minę.

Krystian zaczął pokasływać, skonfundowany.

-

Przecież żartuję! - uspokoiła go Sandra. - Teraz też powinniśmy... -

Zerknęła ponad jego ramieniem. - Patrzą na nas przez okno, chyba nawet dziadek dzwoni, pewnie do syna ze sprawozdaniem. - Chwyciła Krystiana za ramię, uwiesiła się, przytuliła. Objął ją i stali tak kilka minut, wpatrując się w pola i skraj lasu.

-

Już? - zapytała. - Wystarczy?

-

Ja mogę jeszcze stać - wypalił Krystian.

-

A ja nie. Siku mi się chce.

„Cholera, jeśli tu jest sławojka, to zaraz wyjedziemy!” - pomyślał spanikowany.

Ale łazienka i WC były współczesne, już buczał cicho podgrzewacz nawiewowy.

O piątej poszli do baru na kolację, wrócili o ósmej, gospodarze nie narzucali się z gościnnością, poinformowali tylko, że drzwi do sieni zamykają się od wewnątrz na zasuwę, że nie zamkną i że wcześniej chadzają spać, po dzienniku.

„Bo i tak, proszę pana, nic nie ma w tej telewizji! Tylko albo trzęsienie ziemi, albo ręce sobie łamią i zęby wybijają!”

Zgodnie z planem pohłasowali trochę, pochichotali, stuknęli kilka razy

krzesłem o podłogę, ale bez przesady. O północy Krystian bezszelestnie otworzył okno - sprawdziwszy jeszcze za dnia, czy nie zaskrzypi - i w ciemnych spodniach, czarnym swetrze, w rękawiczkach i z twarzą owiniętą granatowym

szaliczkiem Sandry wysunął się na zewnątrz. Pies nie wrócił z wiosennego szlajania się, było cicho, gdzieś we wsi rozległo się szczeknięcie, odpowiedziało mu drugie, ale bez przekonania, oba po krótkiej wymianie poglądów zamilkły.

106

Przemknął do młyna na palcach, przygarbiony, możliwie cicho przedarł się przez zarośla czarnego bzu i parzydła, podszedł pod pierwsze okienko, przykucnął, odczekał chwilę, nasłuchując, a potem położył się i wsunąwszy głowę do wnętrza, włączył małą, ale jasną diodową latarkę.

15. 5 KWIETNIA, 22.30

Klub „Pustka” wypełnił się w mig. Trzydziestolatek w miękkiej tweedowej czapce z daszkiem rozejrzał się z widocznym rozczarowaniem i lekką złością. Czuło się, że uważał ten lokal za „swoj” i zirytował go tłum wypełniający piwniczne wnętrze.

„Gdybym się nie guzdrał w szatni, wyprzedziłbym tych ludzi” - pomyślał zrezygnowany. Zerknął na zegarek, było wpół do jedenastej, za wcześnie na powrót do łóżka. Koncert - taki koncert, taką muzykę - koniecznie trzeba było ulokować we wnętrzu, umieścić w pamięci, przemyśleć, przepić jedną czy dwoma whisky. Ale nie zanosilo się na to. Mężczyzna zrobił kilka kroków, w kącie za filarem przy trzyosobowym stoliku siedział samotny osobnik, przypominający ludzako kompozytora Rubika. Siedział samotnie, miał wolne dwa krzesła.

Trudno, próba nie strzelba.

Mężczyzna podszedł do stolika i bez specjalnej nadziei na sukces wskazał jedno z krzesel.

Pewnie zajęte? - zapytał.

-

A nie! Wolne - zapytany uśmiechnął się lekko.

Wcześniej powiedział kompletnie co innego sześciu czy nawet ośmiu osobom, które łudziły się, że przynajmniej odda jedno krzesło. Ale ci pechowcy już wyszli, a mężczyzna w golfowej czapce szybko zrzucił krótki płaszcz, wsunął w rękaw czapkę i usiadł.

-

Dziękuję. Mam, mimo wszystko, szczęście - powiedział. - Już myślałem, że wyjdę.

-

Guzdrał się pan w szatni po koncercie - rzucił swobodnie „Rubik” i wrócił spojrzeniem do rozłożonego notesu. Niemodnym, ale stylowym wiecznym piórem podkreślał coś, dopisywał. Po chwili, jakby zdziwiony ciszą, podniósł głowę. - Byliśmy na tym samym koncercie. Odnotowałem pańską czapkę,

107

miałem kiedyś taką samą.

-

Aha! A ja już zacząłem się głowić... - powiedział Michał Mitelich i pokręcił głową. - Jak się człowiek naogląda filmów o totalnej inwigilacji, to potem, słysząc coś takiego... - Rozejrzał się, a po chwili wstał.

-

Proszę nie odstępować mojego miejsca nawet za duże pieniądze. -

Blondyn w odpowiedzi pokiwał głową z roztargnieniem, chyba myślami był przy

notatkach. - Czy mogę panu coś zaproponować? Chciałbym się odwdziżyć...

-

A? Chętnie. Poproszę glenfiddich.

Mitelicz skrzywił się w duchu, liczył na jakąś wódkę z sokiem, ale słowo się rzekło. Przyniósł z baru dwie szklaneczki i miseczkę pistacji. Blondyn podziękował gestem, wyciągnął rękę i unosząc się lekko, powiedział:

-

Jerzy Laudański.

-

Michał Mitelicz, miło mi. - Usiedli obaj, jak na komendę unieśli szklaneczki i łyknęli. - Zaczyna - ocenił Mitelicz.

-

Ja rzadko sobie pozwalam - stwierdził Laudański. - Nie dlatego, że jestem skąpy. Smakuje mi bardzo i stać mnie, ale, co bardzo dziwne, jestem lekko uczulony na whisky. Gdy mnie nią częstują, wykpiwam się takim bon motem: „Od whisky mam wypryski”. Ale dziś muszę. Ten koncert mnie nastroił tak... - strzelił palcami - jakoś jesiennie, gorzkawo... Nie wiem, chwilami się czułem jak... zasypany korą dębową! - roześmiał się.

Mitelicz zmarszczył czoło.

-

Oryginalne, ale... trafne, wie pan? - pokiwał głową. - Sjoederson rzeczywiście proponuje taką muzykę, jakby się ręką głaskało szorstki pień drzewa. Ale... pańskie nazwisko... Miałem w szkole średniej kolegę, to był mój imiennik, jeśli dobrze pamiętam, siedł na politechnikę.

-
Michał to mój kuzyn - powiedział nieco zdziwiony Laudański.

-
Oczywiście studia skończył już dawno, wyjechał dwa lata temu do Islandii. Ma się dobrze, jeśli nie bardzo dobrze. Będzie się tam żenił, bo w kraju mu nie wyszło: rozwód, rozczarowanie, nieeleganckie rozstanie - machnął ręką.

Dzięki mnożącym się jak internetowe wirusy portalom łączącym ludzi z poszczególnych szkół i klas nie było trudno odnaleźć znajomych księdza Mitelicza, w tym takich, którzy na forach się nie udzielali. Lekkie ryzyko było, ale zawsze mógł się wykręcić, że to przypadkowa zbieżność imion i nazwisk. Na szczęście

108

nie było potrzeby.

-
Ach, to dlatego nie udziela się na Naszej Klasie! - pokiwał ze zrozumieniem głową sekretarz biskupa Jaginy. - Szukaliśmy go, ale stare adresy nieczynne, a nowych nie mamy.

-
Niestety nie pamiętam jego nowego adresu - od razu zastrzegł się Laudański. - Mam go, ale w komputerze. W razie potrzeby - służę.

-
Chętnie. - Ksiądz uniósł szklaneczkę. - No to za jego pomyślność w nowej ojczyźnie!

Wypili. Obok stolika usiłowała przemknąć kelnerka, z dużą wprawą zbierała brudne naczynia, z jeszcze większą puszczała mimo uszu bardziej lub mniej

natarczywe nagabywania klientów, wołała, by sami poszli sobie do baru. Jednak
gdy Laudański uniósł rękę, zatrzymała się i podeszła.

-

To samo, tylko podwójne proszę. Glenfiddich.

-

Już przynoszę - zdobyła się na wymęczony uśmiech.

-

Nie wiem... - Mitelicz machnął ręką. - A niech tam! Zaszaleję, czuję się
taki... nasycony... po tym koncercie.

-

Trzeci raz udało mi się być na występie kwartetu Sjoedersona - powie-
dział Laudański. - I z koncertu na koncert wydaje mi się, że trafia coraz lepiej w
moje... odczucia, żeby nie powiedzieć serce i duszę. Ale płyta - skrzywił się i
pokręcił głową - nie poruszyła mnie.

-

Nie sprzedawali dzisiaj przecież? - zapytał ksiądz.

Kelnerka przyniosła dwie szklaneczki.

-

Wyraźnie więcej to tu jest - powiedział fundator, unosząc swoją szkla-
neczkę - ale czy aż dwa razy więcej? Powątpiewam.

-

To doprawdy żalosne - skrzywił się ksiądz. - Takie uszczknięcie nie
przynosi przecież dużego dochodu, a jest tak naganne moralnie.

-

No, czy niewielki dochód, tobym polemizował - sprzeciwił się Laudański

i sięgając do leżącej na trzecim krześle torby, nie przestawał mówić: - Dwadzieścia takich niedolewek to dobre cztery całe porcje, proszę policzyć, ile to daje obsuwu.

Wyjął z torby kompakt z czarno-białą okładką, wyciągnął w stronę Mitelicza.

-

Proszę. Ja słuchałem i byłem rozczarowany, dziś, idąc na koncert, prze-

łknąłem to kolejny raz i znowu się rozczarowałem. Już więcej słuchać nie będę,

109

dla mnie to kapela na żywo, i tylko na żywo. - Mitelicz uniósł rękę, ale zatrzymał

ją z wahaniem przed płytą. - Proszę, naprawdę, ja ją wrzucę do jakiegoś pudła

albo wręcz wywalę na śmietnik. Może i pan się rozczaruje, to wcale nie jest jakiś

szczodry dar - roześmiał się, położył CD na stoliku i pchnął w stronę księdza.

-

W takim razie... w takim razie - dziękuję, i proszę pozwolić mi zapłacić

za whisky. Nalegam.

-

Zgoda, ale nie za te, te już są na moim rachunku. - I tłumiąc opór Mite-

licza, zapytał: - Często pan bywa na koncertach w „Kaczce”?

-

Odbieram to jako próbę zmiany tematu - machnął ręką zapytany. - Do-

brze, przyjmuję prezent. A odpowiadając przy okazji na pana pytanie, powiem, że

mam kilka dubli w kolekcji skandynawskiego jazzu, będę odtąd nosił ze sobą do

„Kaczki”, bywam tam tak często, jak tylko mi obowiązki pozwalają. Ale szczę-

śliwie rzadko kiedy, muszę przyznać, kolidują one z wieczornymi koncertami.

-

No, tylko pracujący na trzy zmiany mogą mieć takie problemy - roze-

śmiał się Laudański. Uniósł szklaneczkę w niemym toaście i nie czekając na

księdza, pociągnął słuszny łyk. - Niestety, dobra! - pochwalił z żalem.

-

Dlaczego nies... A, wypryski?! - uśmiechnął się Mitelicz. - Ja nie mie-

wam.

-

Ale za to miewa pan wieczorne zajęcia? - ni to spytał, ni to stwierdził

rozmówca.

-

Tak. - Mówiący zawahał się na ułamek sekundy. - Jestem sekretarzem

biskupa, zdarza się, że wieczorem jest coś do zrobienia.

-

Hm? Ksiądz? Zdziwił mnie pan... ojciec... Do licha, nie wiem, jak pry-

watnie zwracać się do księdza - przyznał Laudański.

-

Zostawmy wszystko tak, jak było - powiedział Mitelicz. „Ciągłe sprawia

ci przyjemność zaskakiwanie ludzi, to próżność, i trzeba będzie coś z tym zrobić -

pomyślał. - Na pewno wypowiadać się, ale i powalczyć, bo to za długo już trwa”.

- Jazz zrównuje wszystkich. - „Panie, coraz więcej próżności!”

„Co za nadęty klecha! - pomyślał w tej samej chwili Jerzy. - Jeszcze chwila i

zacznie protekcjonalnie poklepywać mnie po ramieniu, że niby nie przejmuj się,

chłopie, tobie też wolno chodzić na koncerty!”

Obaj uśmiechnęli się do siebie, jakby przepraszając za swoje myśli.

110

Kwadrans później Laudański przeprosił i wyszedł do toalety. Łyknął cztery tabletki z reklamowanej serii antykaców, splukał twarz dużą ilością zimnej wody, postąpił chwilę przy otwartym oknie, wdychając chłodne nocne powietrze. Odechnął głęboko i wrócił do stolika, gdzie czekały już dwie szklaneczki whisky. Mitelich uśmiechał się błogo, wpatrzony w kompakt z kwartetem, którego lider, trębacz, uznany został za największą indywidualność ubiegłego roku. Laudański przyznał w duchu, że dane dostarczone przez mocodawców były bardzo precyzyjne: sekretarz biskupa Jaginy uwielbiał jazz, folgował sobie w alkoholach, ale czynił to z dużą wprawą i kulturą, generalnie był człowiekiem słabym i dość bezwolnym. „No i dobrze, i to idzie” - pomyślał.

Po godzinie wymienili się wizytówkami.

-

Posłuchaj, Michale... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale mam do ciebie prośbę... Skoro los nas zetknął, to może... mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

-

Przysługę... zawsze! Możesz na mnie liczyć, Jerzy. Serio! - powiedział, wolno i starannie artykułując głoski, Mitelich. - Jak mogę ci pomóc?

-

Wiesz... Pewien mój znajomy ma problem z odzyskaniem dość znacznych pieniędzy od tak zwanego biznesmena polskiego autoramentu. Czyli drobnego wszawego kanciarza. Szuka go nawet agencja detektywistyczna, pie-

niądze są spore, choć nieprzesadnie duże. Bardziej chodzi o to, że ten typek, skubiąc na spore kwoty wielu naiwnych i uczciwych, żyje sobie znakomicie i mój przyjaciel postanowił ukrócić ten proceder, nawet gdyby miał do tego dołożyć, bo z niemożnością odzyskania pieniędzy już się pogodził.

-
Al-le co ja...

-
Ten typek ma siostrę, która jest zakonnica. To siostra karmelitanka, z Zakliczyny. Matka Malwina. A ja potrzebuję jej danych osobowych, nazwiska panińskiego, rodziny, adresów... Rozumiesz, ten typ ukrywa się po rodzinie, a ta jest bardzo solidarna... A w aktach, do których masz dostęp, bo przecież, jeśli dobrze wiem, biskup Jagina jest przełożonym prowincjalnym zakonu karmelitank, zatem ty...

-
Ale skąd ty to wszys-stko wiesz-sz? - Mitelicz usiłował odzyskać trzeźwość, ale szansę na to stracił dobre trzy kolejki temu. - Przypadkowo przysiadasz s-się do mnie...

III

-
Michale, proszę cię! - Laudański chwycił rękaw marynarki księdza i potrząsnął nim lekko, zależało mu, by nawet pijany nie zadawał pytań, które potem, już trzeźwiejszy, będzie roztrząsał i dochodził do dziwnych i niepokojących wniosków. Najlepiej by było, gdyby udało się wbić sekretarzowi biskupa przekonanie, że są starymi znajomymi, że nic dziwnego w prośbie nie ma, że należy

pomóc przyjacielowi i kuzynowi starego przyjaciela... - To nie są przecież tajne dane. Możesz wykreślić wszystko, co dotyczy siostry Malwiny, ona mnie nie interesuje, ale jej rodzina to również rodzina tego kanciarza.

-

Oszukuje... - sapnął ksiądz. Z wysiłkiem wyłuskał z łupiny orzech pistacji, włożył go do ust. - Nie powinien. To niedobrze.

-

Właśnie. Niedobrze, niewłaściwie, nie po chrześcijańsku!

Ksiądz poderwał głowę i Jerzy przez chwilę myślał, że przesadził, osiągnął przeciwny skutek, a już na pewno wzbudził podejrzenia. Jednak nie. Mitelicz z powagą skinął głową.

-

Zgadza się.

„Chyba jest ugotowany - pomyślał z lekką satysfakcją Jerzy. - Tabletki, trzeba im przyznać, działają”.

-

Mój przyjaciel przeznaczył na dochodzenie, na tropienie tego oszusta pewną kwotę. Nie widzę powodu, byś nie otrzymał jakiejś... gratyfikacji za włożony wysiłek.

-

Wys... wys-siłek! - czknął Mitelicz. - Żaden wysiłek. Kancelaria jest w moim domu - oświadczył.

„Jakbym tego nie wiedział! Hej, a może uda się?...” Pochylił się do księdza i zapytał:

-
Czy nie moglibyśmy załatwić tego dzisiaj od razu? - Sięgnął do kieszeni i wyjął ciemnobrązową wąską kopertę ze sztywnego papieru, grubości dobrego centymetra. Mitelicz zerknął na nią, oblizał wargi koniuszkiem języka.

„Dość pazerny, a w każdym razie ma świeckie potrzeby, które wymagają kwot przekraczających jego uposażenie”. Tak brzmiało jedno ze zdań charakterystyki sekretarza biskupa. A kolejne: „Nic, niestety, naganego, co dałoby się wykorzystać do nacisku: jedynie modne ubrania, dobre trunki, dość drogie koncerty, płyty, sprzęt hi-fi...”

-
Moglibyśmy, czemu... nie?

-
Tak? To świetnie! Idziemy!

112

Jerzy przywołał kelnerkę energicznym gestem. Dziewczyna nie była pewna, czy ma do czynienia z samym mistrzem oratoriów, ale nie mogła się oprzeć wizji obsługiwania tak znanego człowieka. Uśmiechnęła się z wysiłkiem, pokiwała głową i zajęła się liczeniem. Gdy Mitelicz wciągnął już na siebie płaszcz i usiłował do wewnętrznej kieszeni włożyć płytę, fundator szybko przemknął do baru i uiścił należność z niezbyt wysokim, ale jednak, napiwkiem.

Wyszli razem. Za progiem Jerzy skierował towarzysza w lewo, w przecznicy czekał samochód z kierowcą. Wsiedli, wymieniając banalne uwagi o chłodzie i nadejściu wiosny, kierowca, ciemnooki mężczyzna przed trzydziestką, zerknął na Jerzego, włączył silnik i pojechał w znanym sobie kierunku. Pod siedzibę biskupa

Jaginy dojechali po dwudziestu minutach, Mitelicz zasnąłby, gdyby nie konwersujący z zapalem Jerzy, który co i rusz potrząsał ręką nowego znajomego i zmuszał go do wygłoszenia jakiejś opinii: o jazzie europejskim, o głosie Urszuli Dudziak, o upadku kultury muzycznej w mieszczańskich zacnych krakowskich domach. Zatrzymali się pięćdziesiąt metrów od bramy.

-

Michale! Hej, Michale? Dasz radę? Pamiętasz: siostra Malwina z klasztoru w Zakliczynie? Tak? Powtórz, proszę.

-

Malwina, Zakliczyna... Byliśmy tam w ubiegłym roku, ale nie p-pamiętam jej...

Sekretarz wygramolił się z samochodu. Jerzy wysiadł również, rozważał możliwość pójścia z Miteliczem do archiwum, ale o ile pijany sekretarz grzebiący nocą w archiwum mógł wzbudzić co najwyżej niesmak i zgorszenie, o tyle ten sam z obcym mężczyzną w domu - już wpakowałby się w niezłe tarapaty. Nie pozostało więc nic innego, jak liczyć na pamięć i fizyczne możliwości księdza.

-

No to czekam. Powodzenia.

Mitelicz, skoncentrowany już na marszu, skinął tylko głową i ruszył. Szedł dość pewnie.

-

Myślisz, że nie zapomni po drodze? - odezwał się kierowca.

Nie gasił silnika, wyłączył tylko światła. Jerzy zapalił papierosa.

-

Cholera, napompowałem go wezwaniem do sumienia, apelami, pochwałami... Powinno wystarczyć tego autopilota na pół godziny. Później, jeśli zapomni wszystko, to nawet lepiej. O kurczę!

113

Michał zatrzymał się, oparł o kute, gięte pręty płotu i zwrócił cały wypity alkohol chyba wraz z przedkoncertowym posiłkiem, w każdym razie oczyścił żołądek do cna. Potem otarł usta rękawem, rozejrzał się, zobaczył stojącego obok wozu Jerzego, pomachał ręką, energicznie ruszył do bramy. Po chwili manipulacji przy cyfrowym zamku wszedł na dziedziniec, a potem zniknął we wnętrzu domu. Archiwum miało okna od drugiej strony, Jerzy zaciągnął się i nagle, wypuszczając dym, kazał kierowcy pędzić za róg, żeby sprawdzić, czy zapali się światło w oknach biblioteki i archiwum.

Niespokojnie dopalił papierosa, zapalił drugiego, zza rogu wyłoniła się sylwetka Owrama, który pomachał uspokajająco.

Czekali dobre dwadzieścia minut. Potem na półkolisty dziedziniec spadł zniekształcony schodami trapez światła z drzwi, pojawił się w nich Michał i ruszył do bramy. Jerzy odetchnął z ulgą: Mitelicz niósł w ręku kartonową teczkę. Dotarł do nich bez przeszkód, wyraźnie trzeźwiejszy niż jeszcze pół godziny temu.

-

Mam, ale zaczynam się zastanawiać, czy postępuję właściwie... - powiedział, zbliżając się i nie podając teczki.

-

Tylko rzucę okiem i oddam ci, nikt nie będzie wiedział - uspokoił go

Jerzy, wyciągając niecierpliwie rękę.

-

Ja będę wiedział - oznajmił spokojnie sekretarz. - I zaczynam...

Jerzy zrobił krok w jego kierunku, szybkim jak atak kobry ruchem sięgnął do teczki, wyszarpnął ją z ręki zaskoczonego sekretarza i rzucił okiem na napis na okładce.

-

Kto źle zaczyna, ten fatalnie kończy! - warknął i ponad ramieniem księdza wydał spojrzeniem rozkaz Owramowi.

Ten natychmiast wyciągnął z pochwy na piersi sztylet z cienkim, długim na dobre trzydzieści centymetrów ostrzem, okrągłym, płynnym ruchem wbił go w nerkę otwierającego do protestu usta Michała Mitelicza.

Duchowny zeszywniał, wyprężył się, sapnął chrapliwie i zaczął walić się na plecy. Owram uskoczył, wrywając jednocześnie klingę. Jerzy pochylił się szybko i sięgnął do kieszeni, do której włożył Michałowi kopertę z pieniędzmi.

Była na miejscu. Wyprostował się. Obaj jak na komendę rozejrzeli się, ruszyli do samochodu. Chwilę potem ze zgaszonymi światłami i na wstecznym, żeby nie

114

wjeżdżać w pole widzenia ewentualnych obudzonych obserwatorów w siedzibie biskupa, wycofali się w przecznicę. Było bezludnie, cicho i ciemno; ruszyli w prawo, potem skręcili jeszcze raz w prawo. Na światłach, nie wiadomo po co regulujących nieistniejący ruch uliczny, skręcili w lewo i pomknęli w kierunku centrum.

Jerzy odetchnął głośno i energicznie, jak człowiek, któremu udało się poko-

nać jakąś przeszkodę - rzekę w bród, kruchy i chwiejny most wiszący, śliski lód na przeprawie... W tym przypadku - zlikwidować świadka. Otworzył teczkę i chwilę przeglądał jej wnętrze. Potem pokiwał z satysfakcją głową.

- Dobrze. Mamy to, co chcieliśmy - powiedział do Owrama. - Możemy działać.

16. BRAT ILLARION, KLASZTOR W CZAUSACH

Udał się na pustynię, gdzie przebywał czterdzieści dni i czterdzieści nocy, poszcząc i modląc się do Boga. Zaś uczniowie zgromadzili się w miejscowości Qumran, gdzie siedzibę swą mieli kapłani zwani Ojcem, Synem i Duchem, najwyżsi godnością we wspólnocie. Godność Ojca sprawował w tym czasie Szymon Gorliwy, a ubiegał się o nią usilnie inny uczoney w Piśmie, Jonatan Annasz. Gdy Jezus umartwiał się pośród pustynnych piasków, gdy smagały go ostre wichry, gorące dniem, lodowate nocą, najświetlejsi z apostołów naradzali się nad ważnymi sprawami. Spotkali się we czterech: Szymon Mag, zwany Gorliwym, Judasz Iskariota, Tadeusz oraz nieznany z imienia człek pochodzący ze wspólnoty fana Chrzyciciela.

„Postanowił umrzeć i dopnie swego, powiadam wam” - rzekł Szymon.

„Przyszedł na świat ów Mesjasz nie po to, by przynieść wolność, ale aby dać się zgładzić niczym bezbronne jagnię. Potrafi działać cuda, olśniewa dusze i umysły, lecz sami słyszeliście, co mówił, gdyśmy nauczali nad jeziorem Genezaret. Nie przywoła na pomoc zastępów niebieskich, nie uczyni nic, by dać odpór na jeźdźcom, zrzucić jarzmo niewoli. On pragnie tylko umrzeć i powstać z martwych. Czy możemy mu na to pozwolić? Czy na pewno zdoła potem zerwać okowy śmierci, jak powiada? Co innego wskrzeszenie jakiegoś człeka, a czym innym

samemu powstać z grobu. Czy będziemy patrzeć, że poświęca się w imię spraw, których nie idzie objąć umysłem, że marnuje się rzucony przezeń zasiew?” Milczeli długo, oglądając się jeden na drugiego, czekając, aż któryś coś powie.

Wreszcie odważył się ów człek nieznanego imienia. „Wy lepiej znacie Nauczyciela - rzekł - i od was zależy, jaką podejmiecie decyzję. Mnie się jednak zdaje, iż nie możecie ani postąpić lekkomyślnie, ani pozwolić sobie na jawne działanie, ale też tym bardziej zaniechać sprawy”. Wówczas Szymon Gorliwy wzniosł oczy do nieba, mówiąc: „Jahwe, czy widzisz rozterki wiernych? Czy dasz nam znak jakiś, byśmy mogli podjąć decyzję, która Tobie będzie się podobała?”. Czekali długo, zatopieni w modlitwie, lecz Bóg nie zesłał im żadnego znaku. Poszli tedy wieczerać do wspólnej komory, ustaliliwszy wpierw, iż spotkają się w tym samym miejscu następnego wieczora. Noc bywa bowiem mędrsza od dnia, a ranek rozsądniejszy od nocy.

Zaś Jezus w tym czasie rozmawiał z Najwyższym i starał się przeniknąć zasłony przyszłych wydarzeń.

-
Bracie... - powiedział ojciec Kirył, odkładając na bok kartkę z upstronym poprawkami przekładem. Oddychał szybko, jakby przed chwilą nie czytał wcale, ale podejmował ciężki wysiłek, - Zajmujesz się wielce niebezpieczną rzeczą. To jest coś, co - gdyby wymknęło się poza mury naszego monastynu - mogłoby narobić wiele szkód.

Hłarion uśmiechnął się niepewnym uśmiechem strofowanego dziecka, które boi się, że postąpiło niewłaściwie, ale nie za bardzo wie, co złego zrobiło.

-
To pismo... ta ewangelia, spisana najprawdopodobniej przez Józefa z Arymatei, to tylko jeden z wariantów wydarzeń. Ojcze igumenie, czyż to nie interesujące zagłębić się w świat, który tak bardzo różni się od naszego? Przecież dzieje Chrystusa spisano w kilkudziesięciu dokumentach, Kościół zaś wybrał tylko cztery, aby je przedstawić ludziom. Niektóre z odrzuconych zawierają niezwykle interesujące informacje i spostrzeżenia, inne świadectwa boskości Zbawiciela, a nawet jeśli mogłyby spowodować wątpliwości, ich istnieniu nie da się zaprzeczać w nieskończoność.

-
Zgadza się. - Przełożony przymknął zmęczone powieki. - Jednak Kościół w swej mądrości, w czasach gdy jeszcze stanowił jedność, wybrał taką, a nie inną

116

drogę przedstawienia prawdy. Uczyniono w ten sposób po to, aby nie robić zamieszania w umysłach wiernych.

-
Ale jednak zajmujemy się także tymi innymi pismami, które stanowią świadectwo życia i dzieła Syna Bożego.

Kirył westchnął ciężko. Trudno rozmawiać z kimś, kto nie dostrzega zagrożenia, zapomniał już pewnie, jak wygląda zewnętrzny świat. Po latach spędzonych w klasztorze na badaniu starożytnych dokumentów Ilarion stracił rozeznanie, czym jest prawdziwe życie. A może tak naprawdę nigdy tego nie wiedział?

-
Weźmy taki oto fragment - ciągnął tymczasem mnich, przerzucając papiery.

Gdy wjechali do Jerozolimy, lud witał Go niczym króla, największego z władców. Zaś osiołek, na którym podążał, wydawał się gapiom najwspanialszym wierzchowcem, godniejszym od najprzedniejszego rumaka ze stajni samego cesarza. Rzucali mu pod kopyta palmowe liście i własne płaszcze, tak że utworzył się z nich kobierzec. Zaś Jezus błogosławił ich, wznosząc jednocześnie modlitwy, aby wypełniło się, co miało się wypełnić. I stało się tak, iż dostrzegł w tłumie Jonatana Annasza, przeciwnika Szymona Gorliwego, człowieka, który w ostatnim czasie zastąpił tamtego na urzędzie Ojca. I skinął mu ręką, i jego objął błogosławieństwem, choć wiedział, że za przyczyną arcykapłana dozna bólu i upokorzenia.

-

Widzisz, ojcze? - Iłarion postukał palcem w pokrytą pochyłym pismem kartkę. - I tu, i w urywku, który odczytałeś wcześniej, wyraźnie jest napisane o istnieniu w Qumran arcykapłańskich urzędów Ojca, Syna i Ducha. Te pojęcia były niestety silnie zakorzenione w umysłach członków wspólnoty. Z tego płynnie dla nas nauka, jak przewidującym był Chrystus, skoro tak, a nie inaczej poprowadził swoją misję. Oparł się na rzeczach i prawach, które Żydom były doskonale znane, do których byli przyzwyczajeni. Mówiąc o Trójcy Świętej, wykorzystał istniejące w społeczeństwie pojęcie tych właśnie najwyższych kapłańskich funkcji, a mówiąc jednocześnie, iż Ojciec, Syn i Duch są jednym, pokazał, jak należy zmienić ten układ, dał do zrozumienia, by skupić duchową władzę w jednym ręku. To było coś w rodzaju powołania instytucji papieżstwa. Nie próbował skruszyć murów dawnej wiary, ale dokonywał przebudowy wielkiej świątyni ludzkiej duszy. Nie zaprzeczał potędze kapłanów i arcykapłanów,

ale wykorzystał ich hierarchię i stosowane przez wtajemniczonych nazewnictwo, aby wlać w zwietrzałe, puste słowa zupełnie nowe znaczenie. Dokonał czegoś, co można śmiało nazwać rewolucją, choć nie przelał przy tym ani kropli krwi.

Oprócz swojej.

-
Bardzo to piękne, co mówisz. - Ojciec Kirył zmarszczył lekko brwi. -

Bardzo piękne, ale jednocześnie nazbyt - właśnie - rewolucyjne. Lud jest przyzwyczajony do innego pojmowania dzieła Chrystusa, do zupełnie innego podejścia. To dlatego trzymamy w zamknięciu takie dokumenty, jak ten odpis. Niepewnego pochodzenia odpis, dodam, i fragmentaryczny.

-
Właśnie, trzymamy to pod korcem. Czynimy w ten sposób i my, i Watykan. W tym jesteśmy zaskakująco zgodni.

-
Możemy różnić się nawet w kardynalnych poglądach z rzymskimi katolikami i innymi odłamami chrześcijaństwa, ale to, co najważniejsze, musi pozostać bez zmian. Dlatego twój przekład nigdy nie ujrzy światła dziennego, a wiedza o jego istnieniu pozostanie tajemnicą zaledwie kilku osób. Może kiedyś ludzie dojrzeją do tego, aby poznać taki wariant historii, a właściwie nie tyle wariant, ile jedną z możliwych dróg. Na razie jednak... - nie dokończył, rozłożył ręce w bezradnym geście.

-
Rozumiem. - Iłarion pochylił głowę. - Lecz kto będzie tym, który za-

decyduje, że nadszedł odpowiedni czas?

-

Nie ja, a już z całą pewnością nie ty - Kirył powiedział to ostro, jakby chciał uciąć wszelkie wahania, przede wszystkim swoje. - Nie stanie się to także za naszego życia.

Wziął kolejną kartkę, gdzieś spod spodu niewielkiego stosu, i zaczął głośno czytać:

Zaś Judasz czynił Mu wielkie wyrzuty: „Kiedy przyszedłeś nauczać, mówiłeś, iż przynosisz miecz, a nie pokój. Daleś nam nadzieję na zrzucenie jarzma. Co zaś czynisz teraz? Każesz nam miłować wszystkich, nawet nieprzyjacioty swoje. Czy nie sądzisz, żeś nas omamił?”. Pan zaś spojrział nań ze smutkiem i troską, po czym rzekł: „Gdybyś uważnie słuchał moich nauk, bracie, ani przez chwilę nie wątpiłbyś, iż słowa o wojnie i mieczu nie tyczą się walki orężnej, nie są wezwaniem do krwawego zrywu. Mówiłem o wojnie, którą każdy z nas musi stoczyć sam ze

118

sobą. Ów miecz jest narzędziem duchowym, które zostało dane każdej ludzkiej istocie w chwili stworzenia, jak każdy oręż może zostać użyty przeciwko wrogowi lub przeciw samemu sobie. Jednak naszym wrogiem nie są Rzymianie ani inni ludzie, lecz słabości, które nas dręczą”. A Judasz na to odparł: „Wciąż mówisz, że powinniśmy stawać się lepsi. Ale czy możemy w rzeczy samej poprawić własną naturę, aby stać się owcami pośród wilków? One wszak wcale nie zamierzają się zmienić”. Jezus położył mu ręce na ramionach, przycisnął go do serca i wyrzekł te słowa: „Uwierz mi, bracie mój, dopóki wątpisz i szukasz odpowiedzi, dopóty możesz zwać się dzieckiem Bożym. Bo tylko w takim poszukiwaniu Boga i siebie

samego można odnaleźć prawdę. Jeśli nazbyt dosłownie wzięłeś moje słowa o mieczu i wojnie, przypisać to należy twemu pragnieniu, aby ulżyć narodowi, który cię zrodził. Zrzucenie jarzma niewoli nie powinno się jednak odbyć przez krew, ale przez miłość. Bowiem przelewanie krwi wzmacnia jeno fundamenty imperiów, a tylko prawdziwa miłość bliźniego potrafi rozbić ich warowne mury. Czyś równie dosłownie wziął moje nauki, aby pozbywać się członków ciała, za pomocą których człowiek grzeszy? Czyś choć przez chwilę pomyślał, że w istocie należy wyjąć sobie oko lub odciąć dłoń? Mówiłem to w nawiązaniu do owego miecza, ale miecza duchowego właśnie. Albowiem trudniej powstrzymać się przed czynieniem zła, mając możliwość wyboru drogi, niż pozbawić się możliwości uczynienia grzechu. Nie jest sztuką nie móc czegoś uczynić, powiadam ci, ale właśnie mieć możliwość oraz sposobność, a jednak powstrzymać grzeszne dążenia. Gdy patrzysz pożądliwie na niewiastę, twoje ciało podpowiada, byś unurzał się w rozpuście, ale miecz umysłu potrafi cię przed tym powstrzymać. Inaczej czym byśmy się różnili od stada pochutliwych psów, biegających na oślep w chęci użycia za wszelką cenę?”.

Zawstydział się Judasz i oddał uścisk Nauczycielowi. I nie wyrzekł więcej słowa tego dnia, i nie zasiadł do wspólnej wieczerzy, ale myślał nad tym, co mu powiedział Jezus.

- Kolejna rzecz, która wyróżnia tę, nazwijmy ją, ewangelię od innych pism

- rzekł ojciec Kirył, odkładając papier. - Judasz, który zdaje się mędrszy i miłszy

Panu od innych apostołów, nawet od Piotra.

Harion uśmiechnął się znów po dziecięcemu, tym razem promiennie, naiwnie.

-

Według tego, co można wyczytać z zapisu pozostawionego nam przez Józefa z Arymatei, Judasz mógł być rodzonym bratem Chrystusa. Na pewno był lepiej wykształcony od zwykłych rybaków, sprawował we wspólnocie ważne funkcje kapłańskie.

-

Bratem... - Kirył wydał wargi. - A czyż to nie przeczy dogmatowi o wiecznym dziewictwie Marii?

-

Może i przeczy, ojczy. Jednak odpowiedzmy sobie na pytanie, kiedy ów dogmat został wprowadzony w Kościele? Nasi przodkowie nie przykładali aż tak wielkiej wagi ani do dziewictwa, ani niepokalanego poczęcia, czego leżące tutaj pismo jest najlepszym przykładem. Co do apostołów zaś... Możemy przypuszczać, że inni ewangelisci celowo przedstawiali takich prostych ludzi jak Szymon Piotr jako najbliższych i najbardziej wpływowych towarzyszy Mesjasza. Pragnęli odwrócić uwagę od tych, którzy sprawowali władzę i funkcje kapłańskie, a jednocześnie byli zwolennikami Chrystusa. W tym dokumencie jest wyraźnie pokazane, iż aby działać skutecznie, Jezus musiał mieć poparcie wśród czynników decydujących. I to jest kolejny cud, którego dokonał. Nie tak łatwo przekonać ludzi władzy, aby działali bezinteresownie dla wspólnego dobra. Trudniej jest odmienić duszę, niż uzdrowić ciało. Jezus na pewno bardzo cenił i kochał niewykształconych rybaków, to nie ulega wątpliwości. Koniec końców to na nich właśnie został zbudowany Kościół, bo tylko oni potrafili uwierzyć bezgranicznie,

roztopić się w miłości do Syna Bożego. Zresztą dał temu wyraz, głosząc błogosławieństwa. Tam wyraźnie widać wskazówki dotyczące sposobu wzniesienia gmachu potężnej religii. Ale uczonych w Piśmie cenił i przez nich mógł dotrzeć do uszu większej liczby ludzi, oni byli w stanie pomóc w tworzeniu religijnej doktryny.

Przełożony milczał przez dłuższą chwilę.

-
Rób swoje, bracie Iłarionie - powiedział wreszcie. - Człowiek nigdy nie wie, czy jego praca przyniesie efekt dobry, czy zły. Może to pismo kiedyś stanie się przyczyną wielkiego kryzysu wiary, a może wręcz przeciwnie: będzie lekarstwem, które zapobiegnie wielkiej duchowej chorobie.

-
Jeżeli w ogóle jest prawdziwe, jak sam powiedziałeś - dodał mnich. -

Tego nie możemy powiedzieć z całą pewnością, dysponując jedynie greckim odpisem.

120

-
Prawda nie zawsze leży tam, gdzie jej się spodziewamy - odparł w zamysleniu Kirył. - Niech Bóg prowadzi twój umysł i kieruje twoją ręką, bracie.

Kiedy igumen opuścił celę, Iłarion zabrał się do sprawdzania i poprawiania fragmentu, nad którym pracował tego dnia.

Następnego dnia zgromadzili się we czterech, tak jak to postanowili. Rzekł ów człek nieznanego imienia: „Czy jesteście gotowi narazić się na gniew Mesjasza i uczynić to, co podpowiada sumienie i rozsądek? Czy uważacie, że żywy więcej

będzie znaczył niż umarły?”. Zaś oni skinęli głowami i wyrzekli głośno: „Jesteśmy”. A w tej chwili zerwał się wicher i rozległ się grzmot, co przeraziło ich, ale i umocniło w postanowieniu, albowiem uznali te zjawiska za głos Boga.

-

Widzisz, przyjacielu? - Mnich spojrzał w ciemny kąt. - Widzisz? Miało się wypełnić proroctwo, lecz ludzie nigdy nie mają w sobie dość wiary, aby zaufać Bogu. Temu samemu Bogu, do którego wznoszą modlitwy i którego obwiniają o niepowodzenia. Bo człowiek zwykł ufać jedynie samemu sobie i świadectwu własnych zmysłów, opierać się na własnym rozsądku, choć wie, iż osąd ludzki bywa bardzo zawodny.

17. 8 KWIETNIA, 9.32

Gdy Krystian wrócił do pokoju, był nieziemsko uwalany w błocie, pyłe, pajęczynach, ale na ustach miał uśmiech. Sandra wytrzeszczyła oczy i zatrzepotała palcami: dawaj, dawaj, dawaj, pokaż!

Pokręcił głową i pokazał puste ręce. Puste, brudne, z kilkoma smugami krwi.

-

Włożyłem do samochodu - szepnął. - Tylko tego brakowało, by do pokoju ktoś wlaź, gdy będziemy otwierali kasetę.

-

Kaseta! O matko, jestem taka podniecona! - Sandra wytrzeszczyła oczy i przyłożyła kostki obu dłoni do ust. - Ciężka?

-

Dosyć. Metalowa. I tak byśmy jej tutaj nie otworzyli.

-

A jeśli to mina? No, zaminowane?

121

Otworzył usta, popatrzył na nią zdumiony.

-

Mnie to do głowy nie przyszło... - powiedział wolno, ale nagle potrząsnął głową. - Nie, no co ty? Dziadek by minował, żeby jakiś jego potomek wyleciał w powietrze?

-

Ale to może być nie to, co ukrył dziadek, prawda?

-

No... może... Nie, nie może! Co ty myślisz, że Polacy nic nie robią, tylko w każdym kominie kryją jakieś skarby? Nie, to musi być pradziadka. Ale faktycznie - ostrożności nigdy za wiele. Dlatego właśnie nie tu i nie teraz, tylko jutro, gdzieś na odludziu, z zachowaniem odpowiednich środków bezpieczeństwa.

-

Jakiś ty przebiegły! - w jej zmrużonych oczach pojawiła się lekka kpina.

-

No, no, uważaj. Wyczuwam szyderstwa na sto kilometrów. Zwłaszcza niemieckie!

-

Ja jestem z pochodzenia Bretonką.

-

Tym lepiej.

Ściągnął przez głowę zabrudzony i postrzępiony na łokciach sweter, przetarł

nim twarz i się skrzywił.

-

Może uda mi się przebić do łazienki, nie budząc gospodarzy?

-

Oj, zawsze możesz iść siku, nie?

-

Jakaś ty przebiegła!

Pokazał jej język i na palcach wyszedł z pokoju. Wrócił z czystymi rękami i twarzą - na prysznic się nie odważył. Sandra leżała na boku, tyłem do jego przysuniętego łóżka. Zgasił światło i stąpając po omacku, dotarł do swojego posłania. Posiedział chwilę, wsłuchując się w ciągle jeszcze szybciej bijące serce i zastanawiając nad kolejnymi ruchami. Otworzyć kasetę... Przekazać Nieskobie?

A jeśli tam są tylko... kosztowności, na przykład? Jakiś mały skarb nie byłby od rzeczy. Byle, cholera, nie jakieś nieaktualne obligacje o wielkiej swego czasu wartości! Złoto też kiepsko stoi, ale jest lepsze niż marne papiery. A może takie obligacje są wypłacalne? Kto to wie? Brylanty, o! Albo jakiś mały van Gogh.

Niemal parsknął! śmiechem przy ostatniej myśli, potem przypomniał sobie, dlaczego tu jest, i śmierć matki, zamachy na swoje życie.

„Jeśli szukają właśnie tego, to nie mogą to być obligacje. Ani kosztowności! - pomyślał. - Ale co? Informacja o miejscu pochówku Hitlera? Mapa skarbów

122

Inków? O matko! Skarb templariuszy?! Chwarszczany!!!” Serce, zamiast się uspokoić, załomotało jeszcze szybciej.

Położył się, pewien, że tej nocy już nie zaśnie z przejęcia. Zegarek wskazywał

trzecią.

Było ciemno i cicho. Myśli kłębiły się, skutecznie przeganiając mizerne resztki snu. Ciemny prostokąt okna najpierw lekko się rozjaśnił, potem świat wykroił go z ciemności już bardziej zdecydowanie, w końcu około piątej Krystian, zmęczony i zirytowany, uchylił okno i stojąc przy szczelinie, wypalił dwa papierosy jeden po drugim. Potem usłyszał pokasływanie w kuchni, dwa czy trzy brzęknięcia, zaszurgotał pogrzebacz w piecu, a po chwili powiew przyniósł zapach dymu, wzniesionego ognia. Narzucił na ramiona szlafrok i z kosmetyczką w ręku wymknął się do łazienki. Gdy wychodził, dopadł go w sieni gospodarz.

-

Dzień dobry! - uśmiechnął się szeroko. Przyjrzał się twarzy Krystiana. -

Oj-oj! Coś panu miejsce nie posłużyło, na wyspanego pan nie wyglądasz! Kaweczka, natychmiast! Jak mawia moja synowa: natentychmiast i dożylnie!

-

M-m-m... z przyjemnością, tylko się ogarnę...

-

Nie trzeba, żona już wyszła, musi wnosi popilnować, ja sam w kuchni rządzę...

Wyraźnie zależało mu na konfidenckiej rozmowie, Krystian zerknął na drzwi do sypialni, nie dobiegał zza nich żaden dźwięk, gospodarz sięgnął do rękawa szlafroka i skubnął go lekko.

-

Zapraszam, naprawdę... Eee... Muszę coś panu powiedzieć.

Nie było sensu opierać się, a poza tym zaintrygował Krystiana i zaniepokoił

zarazem.

W kuchni gospodarz, pomrukując do siebie pod nosem, przestawił czajnik, wyjął z kredensu dwa kubki i szcudrze sypnął do nich po dwie kopiaste łyżki kawy ze słoiczka jednej z droższych marek. Stopień wysłużenia etykiety jednoznacznie informował, że zawartość dawno już zmieniła się na inną. Ale kawa, czy to dlatego, że i tak była dobrego gatunku, czy z powodu dobrej wiejskiej studziennej wody, pachniała rozkosznie i nieźle smakowała. Krystian z przyjemnością łyknął smolistej cieczy, odmawiając ruchem ręki śmietanki i cukru.

-

O-och... Dobra - pochwalił.

123

-

Tak. Na kawie nie oszczędzam, palenie rzuciłem, pić nie piję, to choć kawy sobie pozwolę, o! - powiedział gospodarz. Parząc wargi, upił łyk, drugi i trzeci. Sapnął. - Gorącą lubię - pochwalił się. - Jak czort, moja to czasem dopiero siądzie do kawy, a ja już swoją kończę. - Krystian uśmiechnął się z aprobatą. Nie lubił wrzątku, ale też wolał wyraźnie ciepły napar. - Przedwczoraj był tu taki gość - Grawidz nagle przeszedł do rzeczy. - Dwóch ich było. Jeden siedział cały czas w wozie.

Krystian zeszywniał.

-

Ciemnobordowy golf... Ach, co ja gadam! - palnął się w czoło. Ciemnobordowy golf należał do historii i pewnie już był w drodze do jakiejś huty. Chyba że policja zatrzymywała sobie takie pamiątki na dłużej. - Niech pan nie

zwraca uwagi, już słucham i nie przeszkadzam.

-

No to tak: przyjechali, pół godziny mnie wypytywał. - Gospodarz

siorbnął znowu z kubka. - Ale mnie wnerwił, panie, wie pan? Nawetem go do środka nie zaprosił. Powiedziałem tylko, że w domu syn i trzech kolegów piec naprawiają, wie pan po co?

Krystian pokiwał głową.

-

Chciał pan, żeby wiedzieli, że nie mają przewagi - stwierdził.

-

Ano tak! Dokładnie. Wiesz pan, jakie oczy ma ten jasny? Jak, panie,

studnie z lodem. Tak mi się wydaje, że mógłby rozpruć gardło człowiekowi i z

ciekawością by grzebał w tchawicy paluchami. Taki skurwensen! - podsumował i

łyknął kawy.

Krystian łyknął też, syknął, niemal oparzywszy sobie usta.

-

Pan go znasz - powiedział Grawidz.

-

Tak, domyślam się, kto to. - Krystian nie usiłował nawet oszukiwać go-

spodarza. I tak czuł się trochę jak złodziej - w końcu podebrał coś z obejścia

Grawidzów. Nieważne, że to coś należało do jego, Krystiana, antenatów, bo teraz

formalnie i moralnie należało się chyba Grawidzom. - Jakiś człowiek czegoś chce

ode mnie, od mojej rodziny... - zawahał się, ale postanowił ostrzec gospodarza. -

Zabili moją matkę, bo nie dali rady wyciągnąć od niej jakiejś informacji. Dlatego

i ja ruszyłem śladami historii rodzinnej, i teraz widzę, że słusznie postąpiłem, bo skoro oni też idą tym tropem, to znaczy, że jest on właściwy. - I wreszcie zdobył się na wyraźne kłamstwo: - Tylko że jak na razie niczego nie znalazłem.

124

Grawidz pokiwał głową. Krystian pogratulował sobie odrobiny żalu, jaką dodał do informacji. Każdy normalny człowiek żałuje, jeśli czegoś nie udaje mu się znaleźć.

-

No, w każdym razie wiesz pan co i jak. Ktoś się kręci koło pana, składam wyrazy współczucia z powodu śmierci mamy, a to znaczy... ta śmierć, że oni nie żartują! - Potrząsnął w powietrzu palcem i od razu pociągnął znowu kawy. W jego kubku nie było już ponad połowy. - Szkoda by było takiej ładnej panny - uśmiechnął się i zuchowato powiódł palcem po wąsach.

-

No tak... wszystkim szkoda ładnych panien, mnie to nikt nie pożałuje. -

Pajacowanie Krystiana miało zmyć ślady grzechu kłamstwa z jego sumienia. Zamilkli obaj i oddali się picciu kawy. Gospodarz załatwił swoją, zanim Krystian doszedł do połowy dystansu. Ale druga część została wypita szybciej. Pod koniec, kiedy już wyłaniało się pokryte fusami dno, w drzwiach pokoju stanęła Sandra.

-

O? - uniosła brwi. - A ja myślałam, że dosypiasz w łazience. - I zwróciła się do Grawidza: - Dzien dobhy?

-

Dobry, panienko, dobry. Zrobić pani kawy? Kofi? - zapytał, przechodząc z polskiego na obcy.

-

Nie, dziękuję w moim imieniu - zwróciła się do Krystiana. - Ja muszę najpierw śniadanie. O której wyjedziemy?

-

Jak tylko będziesz gotowa, możemy ruszać. I nawet byłoby dobrze, żeby nastąpiło to szybko, bo właśnie się dowiedziałem, że ten blond typ był tu dwa dni temu.

Znieruchomiała na chwilę, potem poważnie skinęła głową i energicznie ruszyła do łazienki. Wyszła z niej po kwadransie, pełna animuszu i najwyraźniej gotowa na wszystko.

Zapłacili Grawidzowi, nie wzbraniał się, chętnie wziął dwieście złotych, uścisnął Krystianowi dłoń, mocno, znacząco, a potem stał w progu, gdy odjeżdżali. Krystian otworzył okno, pomachał mu ręką.

-

Zjemy tu, czy gdzieś konkretnie jedziemy? - zapytała Sandra.

-

Lepiej tutaj bo w takim miejscu każdy obcy jest widoczny na kilometr, ten „Rubik” też musi to wiedzieć. W mieście może się do nas zbliżyć na kilka metrów, a jeszcze jak zetnie te swoje blond włosy!...

125

„I muszę pomyśleć. Tu jest spokojnie, cicho... W Gorzowie znowu dopadnie mnie Nieskoba, pewnie zaczniesz dopytywać, gdzie byłem, chociaż co go to ob-

chodzi...”

Bar był jeszcze zamknięty, po chwili namysłu uznali, że w takim wypadku lepiej jechać w stronę Gorzowa i szukać otwartego już lokalu.

-

A jaki samochód miał ten twój prześladowca? - zapytała Sandra.

Krystian plasnął się w czoło.

-

Zapomniałem?! Z tego wszystkiego zapomniałem! - popatrzył na kobietę zdziwiony. - A to przecież takie ważne! Wracamy!

Grawidz zobaczył ich z daleka, wyszedł przed dom, rozłożył ręce.

-

Zapomniał pan coś? Niedobry znak wracać! - powiedział poważnie.

-

Musiałem. Nie zapytałem pana, jakim samochodem był ten blondyn?

-

Granatowa toyota, znak z przodu znam, bo syn ma taki. Ale jaki model - rozłożył ręce - nie powiem. W numerze na końcu dwie ósemki. To zapamiętałem.

-

Dobrze, to już coś. Dziękuję. - Jeszcze raz uściśnął krzepką dłoń gospodarza i wrócił do morrisa.

-

Toyota - powiedział, gdy Sandra zawracała i wjeżdżała na drogę pełną kolein i dziur łatanych byle czym. - Numer rejestracyjny kończy się dwiema ósemkami.

Milczeli chwilę, wyjeżdżając z Chwarszczan. Po kilku kilometrach Sandra

powiedziała:

-

Strasznie mobilni i efektywni są ci twoi wrogowie, nie uważasz? Wszędzie ich pełno, zmieniają samochody, policji się nie boją, ani polskiej, ani niemieckiej. - W jej głosie dominowało zdumienie i sprzeciw, jakby chciała powiedzieć, że nieuczciwi ludzie nie powinni kręcić swoich interesów z taką łatwością.

-

No właśnie... - Chciał podzielić się przypuszczeniem, ale uznał, że mógłby nim przestraszyć Sandrę.

-

Tak wygląda, jakby było to dla nich ważne i mieli potężne zaplecze, jakby stał za nimi ktoś wielki, zasobny i taki...

-

Mocodawca, co się zowie - zgodził się po polsku. - Silny, mocny zleceniodawca - przełożył na niemiecki.

-

Jakieś służby państwowe? - podsunęła ostrożnie.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

-

To może jakaś inna organizacja... Zrzeszenie, stowarzyszenie, jacyś...

126

- MASONI, różokrzyżowcy, templariusze... - wyliczył, zaginając palce. -

Może jacyś ateści dnia piątego?

-
No właśnie. Jak w tym...

-
Kodzie Leonarda da Vinci? Nie no, daj spokój. Przecież to idiotyzm, i ten kod, i ta tajemnica Kościoła, i cała ta burza, służąca tylko i wyłącznie Brownowi i jego wydawcy, no i tym żurnalistom, którzy podgrzewają atmosferę, że tak powiem, piekąc na niej swoje wierszówki! - prychnął.

„Zazdroszczę, nie ma co kryć, Brownowi pomysłu i szmału, a tym żurnalistom ich wierszówek. Sommer, ty świni!”

-
Może - zgodziła się, ale niezbyt chętnie. - Tylko jeśli to nie jest jakaś grupa, to co? Jeden człowiek, może dwu nagle zagina na ciebie parol? Przepraszam, na całą twoją rodzinę? A co z Ushi? Ona się nie liczy? Czy może jest dopiero w kolejce? - zadawała te pytania przede wszystkim sobie. - A jeśli się nie liczy, to dlaczego? Co?

-
A skąd mam wiedzieć?! - zirytował się nagle. - Nie wiem. Przepraszam, ale to jest zagadka dla kogoś z silniejszymi nerwami...

Wjechali w las, po prawej pojawiła się, zbliżyła i zniknęła z tyłu tablica z informacją o leśnym parkingu.

-
Stań na tym parkingu, dobrze? Spróbujemy dostać się do kasetki.

-
Okej... - Chyba chciała coś powiedzieć, ale w końcu dała sobie spokój. -

A jak będą ludzie?

-

To nie. To jedziemy dalej.

Ludzi nie było. Przez ogrodzony kawałek wysypanego grubym szutrem terenu biegła droga.

-

Wjedź w las, lepiej, żeby nie było nas widać z drogi.

Po kilkudziesięciu metrach droga skręcała w prawo, po dwudziestu kolejnych blokował ją szlaban. Przed zaporą stawały i zawracały samochody, rozjeżdżały drogę w małą polankę. Trochę śmieci, obowiązkowe butelki, puszki, kartony po soczkach.

-

Dobra, tu staniemy - powiedział Krystian, mając nadzieję, że innych śmieci tu nie będzie.

-

Poczekaj, zawrócę.

Miała rację, znajdowali się na jakiejś ścieżce wojennej, należało zachowywać się tak, by nie dać wrogowi szans na skuteczne działania albo zmniejszyć do

127

minimum możliwości takich działań, szybka ucieczka to takie właśnie zmniejszenie. Wysiedli.

-

Masz jakieś narzędzia? - Widząc jej minę, machnął ręką. - No po co w niepsującym się samochodzie narzędzia?

Nie były potrzebne.

Krystian wyjął z bagażnika dość ciężką, kanciasto wypchaną plastikową torbę reklamującą jakieś buty. W środku była pokryta grubymi plackami starego twardego tłuszczu kasetą, w kilku miejscach przyczepiły się do metalu płyty tkaniny, zakrzepłe, brudne, zatłuszczone.

-

Poczekaj! - Sandra szybko włożyła rękę pod wykładzinę bagażnika i wyszarpnęła pęk jednorazowych plastikowych rękawiczek. - Nie domyjesz się potem.

-

Dzięki. Ty też nałóż.

Obrócił kasetę, trzymając ją w powietrzu. Z boku znajdował się przyklejony chyba kawałkiem smoły kluczyk. Nie chciał jednak obrócić się w zamku, a użycie siły w przypadku zamka i kluczyka, mających co najmniej po sześćdziesiąt lat, nie wchodziło w grę.

-

Podnieś maskę - poprosił Krystian.

Wyciągnął bagnet i przesmarował olejem kluczyk, włożył bagnet jeszcze raz i wyjął. Tym razem kilka kropel udało mu się wpuścić w otwór zamka, jeszcze dwa razy wykonywał tę operację, potem umieścił bagnet w przewodzie, pokręcił kasetą, licząc, że olej rozprowadzi się po mechanizmie, i włożył jeszcze raz kluczyk.

-

Stop! - syknęła nagle Sandra. - A jak to pułapka? Jeśli tam jest jakaś mina?

-
No to nie wiem... - przyznał Krystian. - Do saperów z tym nie pójdzie-
my... Ale może i masz rację... - Położył kasetę na ziemi, wyprostował się i ro-
zejrzał. - Dobra, zrobimy tak...

Po chwili umieścił kasetę z kluczykiem w zamku za pniem drzewa, włożył w
ucho kluczyka odstający od drąga kawałek gałęzi, ukrył się za drzewem, zerknął
na kryjącą się za innym drzewem Sandrę i nacisnął na drąg. Coś szcęknęło, drąg
opadł bez oporu, Krystian odczekał chwilę, wyrzwał. Kluczyk tkwił w otworze
zamka, pokrywa kasety nieco się uniosła, podważył drągiem pokrywę i podniósł
ją. Nie nastąpił wybuch, więc odrzucił drąg, wrócił z kasetą na polankę i

128

przykucnął przy niej. Usłyszał, że Sandra szybko się zbliża, poczekał na nią i gdy
przykucnęła obok, sięgnął wolno i zaczął odsuwać warstwy chyba zaolejonej
kiedyś, teraz sztywnej i kruchej tkaniny. W niecce z pogniętych płatów materiału
spoczywał mały pistolet, niewiele większy od czeskiego startowego pistole-
cika, kilka kartonowych pudełek z napisami informującymi o zawartości - amu-
nicji kalibru 6,35 mm, po 24 sztuki w każdym pudełku, pudełek było sześć.

Oprócz tego w kasecie znajdował się tekturowy tubus, nawoskowany obficie,
wosk szczelnie spajał korpus z wiekiem. Sednem i jądrem kasety niewątpliwie
był dziwny metalowy przedmiot, po którego odsłonięciu Sandra odruchowo
wyciągnęła rękę, jakby chciała powstrzymać Krystiana przed dotykaniem go.

Trzy cylindry z poczerńniętego srebra, pokryte napisami, mało czytelnymi, raz że
wytartymi, dwa - kontury liter wypełnił wosk czy smoła i wygładziwszy je,
utrudnił odczytywanie. Srebrne cylindry z wieczkami spajały grube, chyba la-

kowe, w każdym razie twarde, wałki substancji, jakby wyciśniętej z tubki.

Wszystkie cylindry były połączone ze sobą metalową taśmą, która przebiegała pod spoiną, a jej końce zatopiono w pieczęci przyklejonej do jednego z cylindrów. Pieczęć miała skomplikowany geometryczny wzór - geometryczny, ale po przyjrzeniu się widać było, że wszystkie elementy, składające się na skomplikowany rysunek, są umyślnie zniekształcone: żaden trójkącik nie był równoramienny, kwadraciki w jednym rogu wyciągały się, tworząc równoległoboki, koła stawały się subtelnymi elipsami.

-

Patrz - wszystko umyślnie zniekształcone, żeby nie dało się podrobić - powiedział cicho Krystian, wskazując pieczęć palcem.

-

Gdzie? - zainteresowała się Sandra. Pochyliła się nad pieczęcią, ale nie dotknęła cylindrów. - Rzeczywiście, misterna robota...

Krystian odłożył cylindry do bagażnika. Wziął do ręki pistolet. Niemal zginął w jego powiększonych o luźne rękawice dłoniach.

-

Pistolet... - odezwał się Krystian. - Myślałem, że to jest najważniejsza rzecz ukryta w kominie...

-

Cylindry... - w tym samym dokładnie momencie powiedziała Sandra i się roześmiała. - Mężczyźni ciągną do broni, kobiety do... perfum?

-

No co ty! Jakie perfumy podczas drugiej wojny światowej?

Odłożył pistolet na pudełka z amunicją, rozejrzył się czujnie. Sięgnął do cylindrów jeszcze raz. Podniósł na wysokość oczu, obrócił wolno, starając się nie

129

zasłaniać widoku Sandrze. Walce miały na całej długości wypukłe krzyże przypominające krzyże templariuszy, nieco tylko wydłużone. Obwódki dokoła krzyży były gładkie, brązowe, resztę powierzchni ze srebra pokrywały układające się w słowa litery. W kilku miejscach były to słowa łacińskie: *laude, tibi, sancta, magna*, ale większość była znakami kompletnie niezrozumiałymi, literami całkowicie obcego Krystianowi alfabetu. Kojarzyły się z napisami na butelkach z gruzińskim czy ormiańskim koniakiem albo z pocztówkami z arabskich miast. Potrząsnął lekko cylindrami. Nie odczuł żadnej bezwładności, jaka musiałaby być odczuwalna, gdyby zawartość płynna lub stała przemieszczała się po wnętrzach. Odłożył tajemnicze przedmioty. Wstał i wyjął ze swojej torby ciemny T-shirt, owinął nim cylindry i włożył je do torby. Wrócił do kasety.

Pistolet był oksydowany. Okładzina wykonana została z jakiejś masy plastycznej podobnej do ebonitu. Dolna część kolby pokryta była romboidalną siatką okładziny z falującą wstęgą i napisem „Walther”. Na boku lufy powtarzała się informacja o producencie - „Waffenfabrik Walther”, a na zamku znajdował się dodatkowy napis: „WALTHER PATENT MOD 9”.

-

Ciekawe, czy to jeszcze strzela? - rzucił cicho w przestrzeń Krystian.

-

Miałbyś niespodziankę dla tego... „Rubina”? - pokiwała z uśmiechem głową Sandra. Nagle spoważniała: - Hej, a jak to ci eksploduje w rękę? Proch

nie... gnije? Pleśniej? Nie znam się...

-

No! - Podniósł się, rozejrzał, odwrócił od Sandry i obejrzał broń ze wszystkich stron. Niemal dała się ukryć w męskiej dłoni. - Ale ja też się nie znam. Tu mamy chyba bezpiecznik - powiedział. - A strzela się chyba po naciągnięciu tego tu... zamka czy co to tam jest... Ale zanim strzelimy... - Zerknął na zaniepokojoną Sandrę. - Spokojnie. Zachowam ostrożność. - Pochylił się i odłożył pistolet do kasy. Wrócił do samochodu i wyjął swojego laptopa, po chwili nawiązał połączenie z Internetem przez komórkę.

-

Co my tu mamy... - Sandra podeszła i zajrzała przez ramię. - To jest Wikipedia, znasz to? - Skinęła głową, ale bez przekonania. - Nie za dużo tu jest, ale... „Walther Model 9 - niemiecki, kieszonkowy pistolet samopowtarzalny. Jeden z najmniejszych pistoletów samopowtarzalnych. Walther Model 9 był bronią samopowtarzalną. Zasada działania oparta na odrzucie zamka swobodnego.

130

Mechanizm uderzeniowy bezkurkowy. Pistolet wyposażony był w bezpiecznik nastawny. Model 9 był zasilany z wymiennego, jednorzędowego magazynka pudełkowego o pojemności sześciu naboju umieszczonego w chwycie. Lufa gwintowana, posiadała sześć bruzd prawoskrętnych. Pistolet miał stałe przyrządy celownicze” - przetłumaczył na niemiecki. - Hm... nie za dużo. Dobra... - Odłożył laptopa, odłączył komórkę, grzebał chwilę w bagażniku morrisa, wrócił do kasy. - Zrobimy tak... - Pociągnął za górną część pistoletu, coś szcęknęło, z tyłu obudowy wysunął się krótki metalowy bolec. Krystian się rozejrzał, znalazł

drzewo z odpowiednio nachyloną gałęzią. Taśmą klejącą, wyjętą z bagażnika, przymocował do niej pistolet. - Masz jakiś sznurek? - rzucił przez ramię.

-

Zaraz...

Po chwili przyniosła mu dwie długie sznurówki.

-

Hej! To z moich butów!

-

Nie mówiłeś, że ma być z moich butów!

Roześmiał się, związał sznurówki, zrobił pętlę i przewlókł przez obudowę spustu, zerknął na Sandrę, która od razu skoczyła za najbliższe drzewo.

-

A nie! - Krystian nagle podbiegł do samochodu i ponownie pochylił się nad wnętrzem bagażnika. - Chcesz pić? Bo wylewam? - Pokazał Sandrze butelkę z mineralną.

Pokręciła głową.

-

Chcesz do niej celować? - domyśliła się.

-

Nie-e! Chcę sprawdzić coś, co mi od kilku lat nie daje spokoju. Tłumik! -

Wrócił do walthera, nasunął butelkę na lufę, owinał kilkoma warstwami taśmy, po krótkim namyśle dołożył jeszcze kilka. - Teraz - kryj się!

Przesunął bezpiecznik, ustawił się bokiem za drzewem, sprawdził, czy Sandra się ukryła, pociągnął energicznie za sznurówkę.

Rozległo się ciche pyknięcie, jakby ktoś opuszką palca stuknął w bęben.

-

To ci num-m-mer! - Wyskoczył zza drzewa i stanął przed kiwającą się gałęzią.

Dno butelki wypaczyło się na zewnątrz kilkoma ostrymi kłami. Trochę dymu kłębiło się w butelce.

131

-

Wszystko w porządku! - Krystian szybko odwiązał pistolecik. Odłączył butelkę i cisnął nią w bagażnik, zdziwił się, trafiwszy. Zabezpieczył broń, odwrócił się i spróbował wystrzelić. Nie dało się. - Okej. Czyli wiemy, że to strzela, że można używać tłumika z butelki plastikowej. I mamy jakieś coś, jakby od templariuszy, ale tego nie jesteśmy do końca pewni. Tym właśnie będziemy musieli się zająć.

-

Wiesz, to jest taka paczka... - powiedziała cicho Sandra - jakby specjalnie przemyślana, nie sądzisz?

-

Co masz na myśli?

-

No - coś ważnego do przekazania i coś do ochrony tego czegoś.

-

Chyba masz rację.

Przykucnął nad kasetą, ostrożnie wyjął kruszące się kawałki zetlałej mimo

oleju tkaniny, odłożył je na ziemię. Kasetą była pusta. Obejrzał ją dokładnie. Nie było żadnych napisów, wydrapanych czy wytrawionych na ściankach, ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Przyjrzał się płatom tkaniny, powąchał. Nie niesły dla niego żadnej informacji.

-

Bierzemy to czy zostawiamy? - zapytał nie wiadomo kogo: siebie czy Sandrę. - Nic nam one nie dają, a jakby co, to od razu będą pytania, skąd i co to jest.

-

To zostawmy tu. Gdyby były bardzo potrzebne, zawsze możemy wrócić.

-

Tak, tak zrobimy.

Kopniakiem rozrzucił zetlałe szmaty, kasetę zamknął, wyjął kluczyk i włożył do kieszeni, a skrzyneczkę włożył pod krzak, jeszcze bezlistny, ale wystarczająco gęsty, by już nieźle krył znalezisko. Najpóźniej za miesiąc nawet on z Sandrą będą mieli problem z odnalezieniem kasety.

Otrzeptał dłonie, wyjął papierosy. Odruchowo poczęstował nimi Sandrę, a ta spokojnie wyciągnęła z paczki jednego.

-

Palisz? Przecież nie - zdziwił się.

-

Z rzadka. Lubię popisywać się sama przed sobą samokontrolą i opanowaniem - powiedziała spokojnie i szczerze. Przypaliła i zaciągnęła się z wyraźną przyjemnością, zdradzając albo niepospolity talent do palenia, albo fakt, że

kiedyś robiła to nałogowo. - I po przerwie cholernie smakują.

Z papierosem w ustach podszedł do bagażnika, oderwał z rolki ręczników dwa listki i starannie wytarł pistolet, powąchał.

132

-
Trzeba by kupić jakiegoś oleju? Oliwy do smarowania? Cholera, na pewno mu nie zaszkodzi, ale jak go rozbiorę i nie złożę?

-
Czytałam jakieś opowiadanie, gdzie jednemu nielubianemu żołdakowi ktoś podrzucił do rozłożonej broni sprężynkę z drukarki komputerowej...

-
I męczył się z tym?

-
Cztery dni usiłował wpasować ją do znanej sobie broni.

-
No właśnie. Ale mógłbym go spryskać naftą albo jakimś innym środkiem penetrującym, to powinno wystarczyć. Zresztą w sieci poszukam jakichś lepszych stron o tej broni, może będzie o czyszczeniu. Ta zabawka nie może mieć wielu części. - Podrzucił pistolet na dłoni.

-
Ale może je mieć małe - powiedziała, unosząc brwi, Sandra.

-
Zgadza się, małe na pewno... Dobra, jeśli nie mamy już tu nic do roboty - jedziemy do Gorzowa.

Rozejrzał się, spakował śmieci, brudne piaty ręcznika i zdemolowaną butelkę do plastikowej reklamówki, pistolet włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki, zerknąwszy wcześniej jeszcze raz na bezpiecznik.

-

A! Jeszcze to! - Wyjął z bagażnika odłożony w pierwszej chwili tekturowy tubus, pokryty grubą warstwą wosku. To znalezisko różniło się diametralnie od ozdobnych srebrnych cylindrów i od pachnącej groźbą broni - tubus był nijaki, szarobrązowy, lekki, nie wzbudzał żadnych emocji. Krystian podniósł go do ucha, delikatnie przechylił, nasłuchując. - Albo pusty, albo tylko jakieś dokumenty.

-

A jeśli jakieś... - Sandra uniosła obie ręce i potrząsnęła wskazującymi palcami. - Bakterie? Wąglík?

Zobaczyła minę Krystiana i parsknęła śmiechem.

-

Co ja gadam? Jaki wąglík przed sześćdziesięciu laty?!

Krystian jeszcze raz obrócił tubus w palcach.

-

Otwieramy tu czy poczekamy do hotelu?

-

Poczekajmy - zaproponowała Sandra. - Nie sądzę, żeby było tam coś, co może zmienić nasze... twoje plany, a...

-

Dobrze powiedziałaś - nasze - poprawił ją Krystian. - Nie da się ukryć, że jesteśmy współnikami w tym przedsięwzięciu, czegokolwiek by ono dotyczyło.

-
Tak? No, cieszę się, że mnie dopuszczasz - uśmiechnęła się i puściła do

Krystiana podwójne oko. - W każdym razie - trzeba to spokojnie i ostrożnie
otworzyć. To raz. Od razu zrobić kopię, czy to aparatem, czy ksero...

133

-
Ksero - nie, chyba naświetlanie nie służy starym dokumentom.

-
No to fotografię, bez flesza. I tak dalej.

-
Masz rację. Zostawiamy to na potem.

Rozejrzał się dokoła. Na polance, umiarkowanie zaśmieconej, nie widać było
żadnych specjalnych śladów ich pobytu. Zerknął jeszcze na krzak, pod którym
ukrył pustą kasetkę, i wskazał Sandrze samochód,

Chwilę potem wyjechali na szosę. Kilkanaście kilometrów pokonali w mil-
czeniu.

-
Posłuchaj, Sandro... - zaczął Krystian.

-
Wiedziała! - Odwróciła się i długą chwilę nie patrzyła na szosę, jak w
filmach, gdzie kierowca czasem odrywa się na pół minuty ważnego dialogu od
obserwacji drogi. - Czułam!

-
Ale, Sandro, jeśli myślimy o tym samym...

-
...to myślisz o wyrzuceniu mnie z tej historii! - przerwała. - Nie i nie!

Zamarł z otwartymi ustami.

-
No... ja... wiesz... Ale... - zaczynał cztery razy i kończył, nie wiedząc, co powiedzieć.

-
Właśnie. Nie masz żadnych argumentów, więc nie gadaj. - Za zakrętem pojawiła się jakaś biała sierra kombi, Sandra ostro dodała gazu, dogoniła w mig forda i wyprzedziła. - Nie lubię się wlec w ogonie. I nie lubię, jak się mnie chowa za szafą! - dodała głośniej.

-
Och, no to odsuwam szafę. - Krystian uniósł ręce. - Już dobrze, działamy dalej w parze. Jak ten... - strzelił palcami - Dempsey i Makepeace?

-
Jezu, oglądałeś to? - otworzyła szeroko oczy. - Jak mi się podobał ten serial, ona taka słodka i on taki... chrzęszczący!

-
Boże, od kiedy słowo „chrzęszczący” jest komplementem?

-
Od tej chwili.

-
Okej.

Odparł machinalnie i pogрузzył się w myślach. Po kwadransie gwałtowniejsze

hamowanie - włączył się nawet na dwie sekundy ABS - wyrwało go z zadumy:

Sandra uznała, że forsowne wyprzedzanie, niemal „na trzeciego”, to przesada, i gwałtownie zwolniła, wjechała za tył renówki i czekała na dogodną chwilę.

Zerknęła na Krystiana.

134

-
Wymyśliłeś coś?

-
Zastanawiam się nad tym pojemnikiem. Podejrzewam, że powinien zawierać jakiś dokument, w związku z tym boję się otwierać go sam. Nie wiem - powietrze, tlen, czy to szkodzi starym papierom?

-
Nie wiadomo, czy papierom.

-
Właśnie, jak to jakieś papirusy albo wyprawiona skóra czy... No, nie wiem... Ale z drugiej strony - oddać to komuś? Okazuje się, że tam jest... coś... - zaplątał się, nie chcąc wyjść na chciwego poszukiwacza skarbów.

-
Słuchaj, rozmawiajmy jak dorośli: tam mogą być wskazówki ważne dlatego, że prowadzą do kryjówki ze skarbem - wtedy należy ci się on albo jakaś jego część, nie znam polskiego prawa...

-
Ten skarb nie musi być w Polsce - wtrącił Krystian, który wiele wariantów postępowania ze skarbem już przemyślał.

-
Może nie być, zgoda. Ale i tak to twój skarb albo jego część. Po drugie, to mogą być cenne rękopisy, dotyczące, nie wiem - historii, obrzędów. .. Wtedy też państwo czy jakaś instytucja powinna ci za to zapłacić. Po trzecie, to może być coś osobistego, dotyczącego historii waszej rodziny, rodu. Wtedy też nie można tego za bardzo wypuszczać z ręki. Najlepszy byłby znajomy specjalista, ale my nie wiemy nawet, jaki specjalista? Od jakiego języka?

-
Stop! Stop, stop, stop! Jesteś ge-nial-na! - Z natężeniem wpatrywał się w szosę przed sobą, z dwoma palcami uniesionymi do góry. - Ge-nial... - powtórzył, ale widać było, że myślami jest bardzo daleko, nie wiadomo: w przestrzeni czy w czasie.

Sandra milczała. Wjechali do Witenicy, sennego miasteczka, którego mieszkańcy, niemrawo przemierzając wąskie ulice i małe ryneczki, spokojnie czekali na południe; ludzie mający zatrudnienie dawno już byli w pracy, pozostali podążali na zakupy albo już z nich wracali, nie było widać dzieci, trochę starszych grupowało się w pary i trójki, żeby podsumować poprzedni dzień i skomentować mijający.

-
Kawy bym się napił - rzucił Krystian. Znajdowali się już blisko wylotu miasteczka. - Może tu?

Zatrzymali się w pospolitym barze, ni to osiedlowym, ni to nastawionym na przejezdnych. Kawa z ekspresu nie oszołomiła, ale i nie sprawiła specjalnego

zawodu. Zjedli też po kanapce, przekonani przez zaklinającego się co do świeżości szynki barmana.

Pół godziny później byli już w samochodzie i zmierzali w kierunku Gorzowa.

Po dziesięciu minutach jazdy przypomniał się aspirant Nieskoba.

-

Panie Sommer, pogrzeb pańskiej matki jest dzisiaj, o szesnastej. Przeorysza zgodziła się na obecność pańską i pańskiej siostry.

-

Siostry... - powtórzył głupio Krystian. - Ale ona... wie?

-

Tak. Skontaktowałem się z komisarzem Kornbergiem, on dał mi telefon do pana siostry.

-

Rozumiem... No dobrze. Ja za godzinę będę w Gorz... Ach, nie mam po co tam jechać, pewnie, że tak. To ja się kieruję już do Zakliczyny.

-

Dobrze. Tylko... panie Sommer, proszę uważać.

-

Na coś szczególnie czy tak ogólnie?

-

Szczególnie na tego swojego prześladowcę. Jest w Polsce, porozmawiamy po pogrzebie.

-

Pan też tam będzie?

-
Tak.

-
Aha... No dobrze, to do zobaczenia.

Rozłączył się. Streścił rozmowę.

-
Czyli będziesz cioteczną siostrą, powalczymy o dopuszczenie cię do klasztoru - zakończył.

Pokiwała głową.

-
Tak. Nie chciałabym zostać sama...

Krystian poczuł, że jeżą mu się włoski na karku.

* * *

Wjeżdżając do Zakliczyny, Krystian zadzwonił ze swojej speckomórki do siostry.

-
Jestem już w Zakliczynie - powiedziała, gdy zapytał, o której przyjedzie.

-
Gdzie?

-
W centrum jest ciastkarnia, siedzę w środku, na pewno was zobaczę, bo mam szybę o metr od nosa i cały ten niby-rynek przed sobą.

136

-

No dobra, to za chwilę będzie...

-

Czekaj - przerwała i dalej mówiła znacznie ciszej: - Uważajcie, bo tu cała wiocha żyje tym wydarzeniem. Jak się zdradzicie, że na pogrzeb, to chyba będzie za wami łąziła cała procesja gapiów, zarejestrują każdy wasz oddech.

-

Dobrze. Rozłączył się.

-

Coś się stało? - zapytała nerwowo Sandra.

Krystian zrozumiał, że jego towarzyszka jest bardzo zaniepokojona rozwojem sytuacji. Miała powody - postanowiła w jakimś szczerym samarytańskim odruchu pomóc niemal nieznanemu człowiekowi, tylko dlatego, że był nieudacznym bratem przyjaciółki, okazało się jednak, że wpakowała się wraz z nim w środek historii kryminalnej z morderstwem, drugim trupem w spalonym samochodzie, bronią palną i tajemniczymi cylindrami. „Na dodatek - pomyślał - ani jej ten facet do szczęścia czy do łóżka potrzebny, ani swat, ani brat, ani kochanek. Powinienem był już dawno podziękować jej i... i... i coś zrobić”. Nie potrafił jednak oszukiwać samego siebie: Sandra była mu bardzo pomocna, poczynając od tak trywialnej sprawy, jak to, że kiedy on był roztrzęsiony i zdenerwowany - prowadziła samochód, a kończąc na jej trzeźwym umyśle, racjonalnie analizującym uzyskane dane. Nie lamentowała, nie labidziła, wspaniale pomagała w sytuacjach kryzysowych, nie pchając się na pierwszy plan, ale - zwłaszcza w kontaktach z mężczyznami - znakomicie wspierając, świadoma, bo niby czemu nie, swojego wdzięku i urody. Ale... Ale wcale nie wyglądało na to, że morder-

stwo w klasztorze miało być zdarzeniem incydentalnym, wręcz przeciwnie - teraz dopiero, od zabitej matki, zaczynały się rozciągać jakieś dziwne tropy do jakichś jeszcze dziwniejszych wydarzeń, okoliczności, ludzi... „Mógłbym oddać wszystko temu gliniarzowi - pomyślał Krystian. - Pistolet, pojemnik, opowieść wszystko i niech się zawodowcy przejmują. Ale jeśli ten blond psychopata nie zostanie szybko ujęty albo zabity, jeśli będzie nadal czyhał na mnie, a teraz jeszcze i na Sandrę? Ani broni, ani żadnego...” Nagła myśl pojawiła się znie- nacka. „A jeśli jemu chodzi o te cylindry? Nie uwierzy mi przecież, że ich nie mam. A jeśli nawet, to i tak usunie zbędnego świadka. Albo się zemści za zmarnowany czas... Nie, to profesjonalista. Tak wyglądają w amerykańskich

137

filmach - Rutger Hauer na przykład... W każdym razie - będę bez broni, bez argumentu przetargowego, kimkolwiek on jest... No i jeszcze jedno, przyznaj się, stary, jeśli to jest klucz do jakiegoś skarbu, nieważne, w jakiej on jest postaci, to dlaczego miałby się nim cieszyć jakiś popieprzony sadysta? Matka... No tak, matka oddała za to życie, nie ujawniając niczego, a ja miałbym się poddać?! W dupie! W życiu!”

Pokręcił głową.

-

Coś nie tak? - zapytała Sandra.

Oderwał się od myśli i wrócił do wolno toczącego się po garbatym bruku samochodu.

-

Wiesz co, wjedźmy w jakąś spokojną uliczkę, nie parkujmy w samym

tym rynku, twoja fura jest widoczna jak paw między kurami.

Pokiwała głową, nie odrywając spojrzenia od drogi przed maską samochodu, w bagażniku zabrzączało coś.

-

O! - Wskazał palcem strzałkę z napisem: „Posterunek Policji”.

-

Tam staniemy. Ale i tak z bagażnika dwie rzeczy zabiorę.

W plecaku zmieściły się owinięte w T-shirt cylindry i walther.

Na podwórku posterunku zza węgła wystawały maski trzech nowiutkich radiowozów, ustawionych frontem do wyjazdu. W oknie po prawej od drzwi mignęła czyjaś twarz, potem ten ktoś wrócił i przyglądał im się, nie kryjąc zainteresowania. Udając, że nie widzą obserwatora - otyłego funkcjonariusza - zamknęli wóz i ruszyli z powrotem do rynku. Pięć minut później witali się z Urszulą.

-

Twojego Helmuta nie ma - nie tyle zapytał, ile stwierdził po niemiecku, formalnie tylko nadając swoim słowom pytającą intonację, Krystian.

-

A co on ma do tego? - zapytała Ula. - Nie jego rodzina, nie jego sprawa. -

I zła, że go usprawiedliwia, dodała: - Pytał, czy ma jechać, ja nie chciałam.

-

A czym przyjechałaś? - zapytała Sandra.

-

Pociągiem. Pomyślałam, że przecież wracamy wszyscy, zmieścimy się

nawet w tym twoim matchboksie. - Odczekała chwilę i widząc, że nikt nie przytakuje, przeniosła wzrok z Sandry na brata i z powrotem.

-

Coś mi mówi, że macie inne plany.

138

-

Wydarzyło się trochę... po drodze... - powiedział Krystian. - Po pierwsze, gdzieś po Polsce szwenda się ten psychol, który zabił matkę. On się rozbił samochodem, jeden z jego kompanów spłonął. Tak to przynajmniej wygląda przy pobieżnej interpretacji faktów. W każdym razie - on nie odpuszcza i chyba nie odpuści, póki się go nie zneutralizuje, a ja nie chcę do końca życia ciągle się oglądać dokoła siebie, szukając blond włosów i bezwzględnego wzroku tego oprawcy. No i coś się należy matce i tym dwóm zakonnicom, nie uważasz?

-

Tak mówisz, jakbyś pytał mnie o zdanie. Ja nie mam żadnego, bo nic nie wiem.

-

No to ci w dwóch zdaniach streszczam. Ale to tylko do twojej wiadomości. Mama miała w ręku obrazek z Hugonem. To mi się skojarzyło z Chwarszczanami. - Widząc otwierające się szeroko oczy siostry, pokręcił głową. - Wiem, że to brzmi głupio, ale strzał był celny. W młynie, który był własnością pradziadka... Pamiętasz opowieść o ukrytym w kominie pistolecie? - Urszula skinęła głową. - No więc on tam był. I jeszcze coś. Zakładam, że właśnie to coś chciał zdobyć ten morderca. Pistolecik na pewno nie był motywem jego działa-

nia. Za dużo zachodu z bronią wartą chyba sto euro.

-

Ale co to jest?

-

Zaraz, zaraz i nie tak, żeby wszyscy widzieli. - Pomachał ręką, w której trzymał wyjętą w trakcie rozmowy paczkę papierosów. - W każdym razie - ja zostaję i będę usiłował coś zrobić.

-

Co? - Ula bezceremonialnie wyjęła paczkę z dłoni brata, zapaliła papierosa. - Co chcesz zrobić? Wytropić mordercę i zastrzelić go z zardzewiałego... parabellum? - Nazwę pistoletu wypowiedziała tak, że zabrzmiała jak ironiczne parsknięcie: „p-pfarrabellumm!”.

-

Najchętniej, ale aż taki naiwny nie jestem. Chciałbym choćby swoją obecnością poganiać prowadzącego śledztwo gliniarza. Jak wyjadę, to oni wpakują sprawę do teczki ze sprawami „na potem” i wrzucą do archiwum. Ważniejsze będzie śledzenie lokalnego polityka albo zabezpieczenie przejazdu ministra, albo tagi na murze kościoła. A ja będę go naciskał codziennie, żeby coś robił.

-

A sam?

-

Sam też będę coś robił.

-
Co? - Urszula zaciągała się, kiedy jej brat odpowiadał, wypuszczała dym i gdy tylko jego smuzka się kończyła, rzucała kolejne krótkie pytanie.

Milczał chwilę.

-
Zobacz. - Postawił na kolanach plecak, zasłonił sobą jego zawartość od i tak znajdującej się za lamelowym parawanem ekspedientki, pogrążonej w rozmowie z koleżankami. Od ulicy torbę zasłaniał stolik. Krystian rozwinął swój nienadający się już do prania granatowy T-shirt i pokazał siostrze pojemnik.

-
Co to za... trojaki? Trojaki - odwróciła się do Sandry - to takie polskie naczynie, już nieużywane: trzy jakby złączone garnki do przenoszenia na pole obiadu.

-
Przepraszam, ale głupoty gadasz! - zachnął się Krystian. - Dwojaki - owszem, takie były. A trojaki? Co by miało być w trzecim garnku? Surówka? Kompot?

-
Piwo? - zapytała pojednawczo Sandra.

-
Piwo? U biedoty rolniczej? - Osłonił pojemnik ręcznikiem i odstawił torbę na podłogę. - To coś ma kupę hieroglifów czy innych znaków na całej powierzchni, i - jak widziałaś - trzy korki zalakowane...

Nic nie widziałam, bo zazdrośnie schowałeś swój skarb! - burknęła Urszula.

-

Posłuchaj, nie kiwnęłaś palcem, z łaski przyjechałaś na pogrzeb swojej matki, ale pretensji do świata przytaszczyłaś ze sobą całą furę!

-

Ćśś! Spokojnie. - Sandra szybko wyciągnęła ręce i chwyciła jednocześnie rodzeństwo za dłonie. - Krystian ma, jak mi się wydaje, dobry plan. W każdym razie - można coś robić, a nie siedzieć w kryjówce i nasłuchiwać podejrzanych odgłosów. - Urszula usiłowała przerwać, ale Sandra ścisnęła jej dłoń mocniej i potrząsnęła. - Ushi, ja nie jestem w tę sprawę zaangażowana tak mocno, jak Krystian, jak wy, ale uwierz mi, to nie jest przyjemne - mam na myśli strach, lęk przed jakimś nieznanym mordercą. Krystian mówi o nim psychopata, ale mnie się wydaje, że to jest jak najbardziej zdrowy człowiek, nawet nie zboczony sadysta, tylko wiedzący, jak się łamie ludzi, profesjonalista. Rozumiecie? A tacy, czy działają na zlecenie, czy z jakiegoś własnego powodu, nie rezygnują. Za daleko zresztą zabrnął. Ujawnił się przed Krystianem, zabił waszą matkę, stracił jednego z ludzi... To musi być dla niego ważne, choć nie wiemy, o co mu chodzi.

140

-

I jeszcze jedno - powiedział Krystian. Wcześniej zdecydował, że nie będzie mówił Sandrze o szczegółach ostatniej rozmowy z Nieskobą, ale teraz chęć pokonania w sporze siostry przeważała. - Policjant powiedział mi podczas rozmowy telefonicznej, że ten gość nadal działa w Polsce. Wolałem nie pytać, co

to znaczy, że „nadal działa”, ale się domyślam, choć ciarki mi przechodzą po plecach od tych domysłów. - Widząc, że obie kobiety otwierają usta, szybko dokończył: - Nic więcej mi nie powiedział, mamy porozmawiać po pogrzebie.

-

Dobrze, czyli nie wiecie, co jest w tym... naczyniu? - zapytała Urszula po chwili milczenia, gasząc energicznie papierosa.

Zgodnie przytaknęli.

-

Nic ciężkiego - odparł Krystian. - Stawiałbym na dokumenty, ale jakie?...

- Uniósł ramiona i pokręcił głową.

-

Słuchajcie... - Sandra puściła dłonie Urszuli i Krystiana. - Mam taki pomysł... Raczej nie macie nikogo, kto by się interesował lingwistyką wschodnią czy historyczną, prawda? - Rodzeństwo nie zaprzeczyło, Krystian powiedział jednak: - Miałem taki pomysł, żeby wyjechać gdzieś - do Szwajcarii, Holandii, tam dać komuś do obejrzenia...

-

No, można - zgodziła się Sandra. - Ale ja mam bliżej. Jedna z moich przyjaciółek ma byłego męża właśnie z takimi zainteresowaniami. Przypomniałam sobie godzinę temu. Od tej chwili zastanawiam się tylko, jak to zrobić, żeby nie wypuszczając skarbu z rąk... - zawiesiła głos.

-

Och, bardzo prosto! - Urszula, energiczna i zdecydowana, jak zwykle, popukała palcem w blat stolika. Nagle za parawanem raptownie ucichły roz-

mowy. Zapadła głęboka cisza, w której nagle odezwała się ekspedientka: - Czy coś państwu podać?

-

Tak, kawę poproszę! - powiedziała Urszula, miną przepaszając za pukanie w stolik, które dziewczyna zinterpretowała jako przywołanie. Pochyliła się nad stolikiem i ściszyła głos. - Zrobimy zdjęcie, a ja to obrobię w Photoflashu tak, że będzie wyglądało na... na przykład tabliczki, żeby nie naprowadzać na ślad.

Albo kartki dokumentu... Tylko tekst pozostanie. I to damy do analizy. Może być?

Pokiwali głowami. Zza parawanu wyłoniła się ekspedientka-kelnerka, zaważała się, widząc skinienie głowy Urszuli, podeszła do niej i postawiła

141

filiżankę, omal nie wywracając jej na stół. Zaczerwieniła się, zapuściła w długie przeprosiny, w końcu zabrała puste dwie filiżanki i zniknęła za parawanem.

Rozległy się szepty i syczenie, potem cichy śmiech.

-

Cicho, idiotki... Przez was mnie z pracy wyrzucą! - zrugwała kelnerka koleżanki.

Urszula łyknęła kawy, popatrzyła na ciemną powierzchnię i łyknęła jeszcze raz.

-

To dobry pomysł - powiedział Krystian, odpowiadając na propozycję siostry. - Zrobimy zdjęcia po pogrzebie. I pojedziecie do domu, a...

-

Ja nie jadę - oznajmiła Sandra zdecydowanie. - Też nie uśmiecha mi się rozglądanie w koło.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia, potem jednocześnie przeniosło wzrok na Sandrę. Ta pokręciła głową.

-

Nie ja-dę! - powtórzyła, dzieląc słowa na sylaby.

-

Posłuchaj - zaczął Krystian, ale nie pozwoliła mu skończyć.

-

Nie. To postanowione. Poza tym odkryłam w sobie duszę lekkiego tchórza, a jednocześnie i paradoksalnie - awanturniczki. Boję się, a zarazem czuję podniecające mrowienie w... uszach - powiedziała. - Przepraszam was, wy straciliście członka rodziny, a ja tak sobie o przygodach, ale...

-

Dobrze - uciał Krystian. - Współpracuje się z tobą znakomicie, więc mogę się tylko cieszyć, ale zagrożenie...

-

Wiem, wiem! - Poklepała go po dłoni. Odwróciła się do Urszuli, ale nie zdążyła nic powiedzieć.

-

Ja cię nie poznaję - stwierdziła ta cicho. - Stateczna, niewzruszona, opanowana Sandra, którą znam od trzech lat, nagle zostaje przez mojego młodszego braciszka przekabacona, staje się awanturnicą, poszukiwaczką przygód i ryzykantką? Może powinieneś otworzyć szkołę takiej... re... re...

-
Rementalizacji? - odpowiedział.

-
Mniej więcej. - Urszula popatrzyła na zegarek. - Może powinniśmy pozwolić się zbierać? Już za chwilę pierwsza.

-
Możemy. - Krystian chwilę wpatrywał się w przestrzeń za szybą kawiarni. - Ciekawe, gdzie jest ten Nieskoba. Wolałbym, żeby się już pojawił.

-
Możesz do niego zadzwonić - odpowiedziała Sandra.

142

-
Mogę... Ale nie wiem czemu, nie chcę. No dobra. Panienko? - rzucił głóśniej, odchylając głowę, jakby nie wierzył, że głos może pokonać parawan. - Zapłacimy!

Przypomniał sobie o tubusie, ale uznał, że o tym mogą porozmawiać po pogrzebie, tak jak ustalili z Sandrą - w hotelu, spokojnie, metodycznie, bez pośpiechu. Rzucił okiem na paragon z kasy, podał dziewczynie pięćdziesięciotowy banknot i wyszedł za kobietami z cukierni.

18. 8 KWIETNIA, 14.20

Kaplica miała część przeznaczoną dla gości klasztoru - za wysoką drewnianą kratą, której prześwity wypełniało ciemne zgrzebne płótno; przenikało przez nie światło z wysokiego okna za i nad ołtarzem. Przez to płótno widać było poruszenia głów zakonnic i czasem sylwetkę księdza, gdy znalazł się w plamie świa-

ła. Generalnie jednak obrzęd pożegnania trzech zamordowanych sióstr odbywał się jakby poza gośćmi klasztoru.

Nieskoba nie pojawił się, nie było widać innego mundurowego ani nikogo, kto by przypominał policjanta w cywilu. W ogóle - oprócz rodzeństwa i Sandry - w części pozaklasztornej kościółka nie było nikogo.

Siostry nie robiły żadnych problemów z wpuszczeniem na teren klasztoru i kościoła dodatkowej osoby. Posłanniczka od przeoryszy, młoda zakonnica, pewnie w trakcie nowicjatu, z twarzą zasłoniętą czymś, co Krystian w duchu nazwał doczepioną do welonu woalką, oświadczyła, że dzieci matki Malwiny i rodzina mogą uczestniczyć w pożegnaniu tylko w kościele, wyłącznie w części dla gości. Podczas wyprowadzenia zwłok na cmentarz, będący częścią ni to parku, ni to ogrodu, prosi się o opuszczenie kościoła i w ogóle terenu klasztoru.

W tym momencie, znakomicie zsynchronizowana ze słowami płynącymi cichym półgłosem, pojawiła się druga młoda zakonnica, z prostym lnianym workiem w dłoniach. Worek, sądząc po kształcie, krył w sobie pudło, może kasetę czy szkatułę, w każdym razie coś w kształcie sześcianu o boku długości dwudziestu centymetrów.

- Rzeczy osobiste matki Malwiny, które mają być przekazane najbliższym

- powiedziała siostra.

143

Nie odwróciła się, nie zerknęła przez ramię, ale bezbłędnie wskazała lewą ręką stojącą już o pół kroku za nią zakonnice.

Krystian podziękował skinieniem głowy, zrobił dwa kroki, uśmiechnął się lekko do zakonnicy i wyjął jej z rąk worek. Był lekki. Musiał zawierać papiery,

dokumenty, zdjęcia, a i to niewiele.

Usłyszeli szurgotanie za przepierzeniem, pisnęło coś, chyba kółko jakiegoś wózka.

„Jak siostrzyczki sobie poradzą z tymi ciężkimi trumnami?” - przemknęło przez myśl Krystianowi.

Jakoś sobie poradziły, zakołysały się głowy we wszystkich romboidalnych otworach kraty. Urszula przeżegnała się i pierwsza ruszyła do wyjścia. Sandra pochyliła tylko głowę i ruszyła za nią.

Krystian zwlekał chwilę, ale nagle wydało mu się, że ktoś z drugiej strony płóciennie-drewnianego przepierzenia wpatruje się w niego z uwagą i chyba nawet lekkim zniecierpliwieniem. Przeżegnał się, bezmyślnie, automatycznie, chwycił worek i wyszedł za kobietami.

Słońce przygrzewało mocno, było jasno i pachniało chyba świeżo zoraną czy skopaną ziemią.

„To z pól? Czy... No nie, mogiły nie?... A może? Zresztą, co to ma za znaczenie?”

Sięgnął pod kurtkę, sprawdził, czy nie zgubił broni, choć głębokość i kształt kieszeni wykluczały przypadkowe wypadnięcie walthera. Rozejrzał się dokoła.

Mały brukowany dziedziniec przed kościółkiem był pusty. Kamienie były tak niewytarte, że wyglądało zgoła, jakby był wybrukowany kamiennymi kulami, a może naprawdę były to wybrane z jakiejś rzeki duże otoczaki? W każdym razie przejście po nich w szpilkach musiałyby zaowocować skręceniem obcasa, a może i kostki. I Sandra, i Urszula miały jednak wygodne obuwie na niskich, stabilnych obcasach, mimo to szły ostrożnie - szczeliny między poszczególnymi kamie-

niami były tak zdradliwe, że mogły unieruchomić i takie niewielkie obcasy.

Krystian na ostatnich metrach wyprzedził kobiety i pierwszy dotarł do furty w jednym z kutech skrzydeł bramy. Furta miała klamkę, co prawda, tylko od strony dziedzińca, ale przełożenie ręki i otwarcie jej z zewnątrz nie sprawiłoby najmniejszego kłopotu. Za bramą rozciągała się uliczka, brukowana nieco bardziej

144

dopasowanymi i wygładzonymi kamieniami, ze starymi wiśniami po jej obu stronach. Była pusta. „Gdzie ten cholerny gliniarz?! - pomyślał zdenerwowany Krystian.

-

Najpierw dzwoni, ostrzega, denerwuje, a potem ma wszystko w nosie i kryje się gdzieś. Albo w ogóle nie przyjechał! Cholerny palant!”

-

To co - idziemy? - zapytał; kątem oka zobaczył, że obie kobiety dogoniły go i zatrzymały się, nie wiedząc, dlaczego Krystian stoi. - Zjemy tu obiad?

-

Dobrze by było - powiedziała Urszula. - Ja mam w sobie tylko pączka od wczorajszej kolacji. A i tak większe miasto i ewentualna lepsza knajpa to dwie godziny drogi.

-

No to chodźmy do tego rynku. Sprawdzimy, co tubylcy jedzą.

-

Bigos? - zapytała z nadzieją Sandra.

-

Bigos? Na pewno jest, tylko... - zawahał się i nie dokończył.

„Po co psuć jej smak opisami «zajęczych» bigosów i przeglądów tygodnia?

Może to już przeszłość?”

-

Co? Tylko co?

-

Tylko zawsze jest inny. Nie ma jednego uniwersalnego bigosu - podjęła

wątek Urszula, chyba właściwie zrozumiałwszy intencje brata. - Każdy, ale to

każdy kucharz robi go nieco inaczej, i może być tak, że w jednym domu poko-

chasz bigos, a w innym - znienawidzisz.

-

O? - zdziwiła się Sandra. - Ale spróbować mogę?

-

Oczywiście - odparła Urszula.

-

Tak - jednocześnie odezwał się jej brat.

Ruszyli wiśniową alejką w stronę miasteczka.

* * *

Aspirant Nieskoba leniwie przyłożył puszkę do ust i pociągnął długi łyk.

Puszka była pusta już cztery minuty po zakupie, gdyż wylał zawartość do

pierwszej napotkanej kratki ściekowej. Na szczęście nie widział tego nikt z

miejscowych, bo mogłoby dojść do zamieszek, a już na pewno utrudniłoby akcję.

Filip Nieskoba sprawdził to czterokrotnie: po wypiciu jednego piwa tracił od

ośmiu do dwunastu procent swojej przeciętnej celności. Dlatego po czwartym

teście przysięgł sobie najsolemniej, że nigdy, przenigdy przed akcją nawet pół

145

piwa! Półtora miesiąca później jeden z jego kolegów stracił dwa zęby i zaliczył osiem tygodni zwolnienia na skomplikowane złamanie kości goleni, gdy po dwóch piwach wskoczył na motorower, żeby się przekąpać w pobliskim stawie.

Nie jechał szybko, nie jechał brawurowo, a jednak na świetnie znanej drodze zaskoczyło go drzewo, które - jak w jakimś opowiadaniu, Nieskoba nie pamiętał tytułu, ale pamiętał autorkę, Ursule Le Guin - wyskoczyło mu pod koło. To wzmocniło szlachetne postanowienie Nieskobę. Dlatego teraz, siedząc na jednej z dwu ławek przed Domem Ludowym, co jakiś czas przykładał pustą puszkę do ust i wstrzymywał oddech, udając, że solidnie pociąga. Jego kolega, kapral Maliszewski, nie podzielał poglądów Filipa Nieskobę, ale był młodszy stopniem, stażem w policji i wiekiem, zatem poświęcił trzy złote i też markował picie. Tyle że nie wstrzymywał oddechu, uważając to za przesadę.

Nieskoba wyjął komórkę i czwarty już raz w ciągu dwudziestu minut zadzwonił do patrolu, który w cywilnym wozie, w cywilnych ubraniach, udawał zmianę koła na podjeździe do Zakliczyny. Drugi taki sam patrol stał na drugim wlocie-wylocie, z podniesioną maską i dwoma pustymi kanistrami po oleju malowniczo ustawionymi obok wozu.

-

No i co? Nie śpicie tam?

-

No jakże, panie aspirancie? - jęknął ktoś. - Jak nawet udaję, że gapię się w to koło, to i tak widzę szosę. Przejechały raptem trzy samochody, wszystkie stąd,

wszystkie wolno, nie ma szans, żeby nasi goście się przemknęli.

To samo mniej więcej, mniej więcej tymi samymi słowy oświadczyli członkowie drugiego patrolu.

-

Nie szalej, Fil - powiedział Maliszewski. - Nie przeleca.

-

A jak leżą z tyłu na kanapie i tylko wciskają lufę kierowcy w breciku z ogórkiem?

-

Musieliby się spodziewać pułapki albo wzmożonej czujności, a niby czemu?

-

Bo to kawał skurwysyna z sercem wielkim i zimnym jak wołowe w chłodni.

-

Ale nie wie, nie musi wiedzieć, że mamy go namierzonego!

Z tym Nieskoba musiał się zgodzić. Przypadkowy odcisk z klasztoru, cudem odzyskana zapalniczka, którą bandyta podarował strażnikowi leśnemu, i odciski

146

na kopercie z pieniędzmi. To dawało mocny trzelementowy trop, jednoznacznie obciążający tajemniczego niezidentyfikowanego mordercę.

-

Może i nie wie o zapalniczce, może nie wie o klasztorze, ale powinien pamiętać o kopercie ze szmałem - mruknął, opierając się dla przekory.

-
No to w najlepszym razie jest świadomy, że ścigamy gościa o takich od-
ciskach, ale nie może wiedzieć, że łączymy dwie czy trzy krwawe akcje.

-
Może...

„Łyknął” piwa znowu. Popatrzył na zegarek. Wpół do drugiej. Widział
wchodzącego do cukierni Sommera z Sandrą, potem zobaczył przez okno, że
dosiadają się do trzeciej osoby, wysłał kaprala, żeby przyjrzał się jej przez szybę,
Maliszewski wszedł nawet do cukierni i kupił cztery pączki.

-
Mówi do niej „Urszula” - zameldował, wróciwszy na ławkę.

-
A, bo siostra. Kurrrrr... - Omal nie zgniótł puszeki i nie wyrzucił, ale wtedy
musiałby zająć się czymś innym albo znowu kupować puszkę i wylewać. - Nie
lubię czekania.

-
Uspokój się, jakby nawet przemknęli niezauważeni przez patrol, to mu-
sieliby przejechać albo przejść tędy, to jedyna droga do klasztoru. No to jak?

-
Polami - warknął Nieskoba.

-
A idź! Po tym błocie! Ugrzęźliby po kilku krokach.

Nieskoba wstał, wyprostował się i nagle, widząc wychodzącą z cukierni
Sandrę, szybko pochylił się nad Bogu ducha winną sznurówką, odwrócił się

plecami do wychodzącego za Sandrą rodzeństwa.

-

Idą tu? - mruknął do kolegi.

-

Nie, do klasztoru.

-

Dobra...

Chwilę jeszcze manipulował przy drugim bucie, potem zerknął przez ramię.

Zobaczył plecy Krystiana Sommera i dwóch kobiet. Podał kapralowi radiostację, wyjętą z wewnętrznej kieszeni kurtki.

-

Idę na chwilę... Na bok.

Zaraz za „rynkiem” zaczynały się pola, przeszedł się kawałek, zobaczył

zbliżających się do osadzonego na szczycie płaskiego, rozległego wzgórza

klasztoru Sommera z siostrą i Sandrą. Chwilę patrzył na zabudowania klasztorne,

147

na wieżę kościółka, potem przyjrzał się polom i tyłom budynków. W Zakliczynie

te same domy należały zarówno do centrum miasteczka - w tym wypadku ich

fronty, jak i przedmieść - w tym wypadku tyły budynków.

Na niebie wolno rzedły obłoki, zapowiadało się, że wczesne popołudnie bę-

dzie słoneczne. Nieskoba wrócił do kaprała, rzucił pytające spojrzenie, ten od-

powiedział skrzywieniem i przeczącym ruchem głowy.

Co kilka minut automatycznymi ruchami przykładali puszki do ust; gdyby

ktoś ich obserwował, zdziwiłby się pojemnościami ich puszek, z których siorbali

już od godziny.

-

Skoczę po gazetę - zaproponował Maliszewski.

-

Skacz. Ale obawiam się, że tu przywożą cztery egzemplarze, i już się rozeszły.

Kapral parsknął śmiechem i ruszył w stronę kiosku. Wrócił po chwili z jakimś kolorowym pismem.

-

Wiesz, że miałeś rację. Cztery, nie cztery, ale pewnie i tak by mi nie dała baba - powiedział zdziwiony.

Otworzył pismo i zaczął zastanawiająco szybko je przeglądać. Wyglądało, że albo nie utrafił z profilem, albo powierzchowność tekstów aż biła po oczach.

-

Kurde, ja jeszcze pamiętam, jak ojciec brał do ręki „Politykę”, zaczynał w sobotę, a kończył w niedzielę. A wcale nie czytał, przesuwając palcem po literach! - powiedział po chwili. - A teraz? Piszą: „Cała prawda o Czarnym Łądzie”, a w środku cztery kolumny, z nich osiem zdjęć, ramka z danymi statystycznymi i - ko-niec! Na siedem minut czytania.

-

Podobno ludzie nie chcą więcej. W radiu, tak słyszałem, można utrzymać uwagę przeciętnego słuchacza przez trzy minuty.

-

Gadasz? - zdziwił się Maliszewski. - Co można powiedzieć przez trzy

minuty?

Nieskoba wzruszył ramionami, nagle się zirytował, nie wiadomo - na radio, media ogólnie, pustą puszkę... W każdym razie na niej skrupiła się jego złość. Zgniółł ją, cisnął do kosza. Potem wstał i przespacerował się w kierunku odchodzącego w bok od „ryнку” zaułka, wywołał oba patrole i posterunek.

-

Coś się dzieje? Po kolei!

148

-

Jedynka. Nic. Bez zmian. Ruch zerowy.

-

Dwójka. Też nic. Z tej strony jeszcze mniej samochodów, jeśli już, to wyjeżdżające.

-

Baza, tu też nic. Zaparkował pod posterunkiem jakiś dziwny samochód, ale nie wygląda na... - głos roześmiał się - wyładowany C4. Za ładniutki, malutki, i ma z jednej strony dwie pary drzwi, a z drugiej jedno tylko.

-

To jest samochód Sommera albo tej jego babeczki, posterunkowy, mini cooper clubman, drogi panie. Sto dwadzieścia koni, a kosztuje ty...

-

Tu Jedyńska, tu Jedyńska! Minał nas obiekt! Jedziemy już do miasta.

Srebrna corsa z małopolską rejestracją, wypożyczona. Numer rejestracyjny:

KRA, Karol-Roman-Anna siedem jeden dwa osiem B jak Barbara. Powtórzyć?

-
Nie trzeba. Jasne. Dwójka, do mnie! Na drogę do klasztoru. Jedynka, co z pasażerami?

-
Prowadzi mężczyzna z wąsem i w ciemnej czapce, obok siedzi szczupły mężczyzna z długimi jasnymi prostymi włosami. Wypisz, wymaluj Rubik.

-
Dobrze. Nie zbliżać się, nie dać się zlokalizować.

Wyłączył radiostację i szybkim krokiem ruszył w stronę uliczki prowadzącej do klasztoru. Gdy dotarli do jej wylotu, z niewidocznego kościoła rozległo się bicie dzwonu. Samotnego, głuchego, niezbyt przyjemnie brzmiącego, jakby pękniętego czy zanurzonego w jakiejś cieczy. Jękliwego...

Popatrzył przez ramię, na przeciwległym końcu ulicy, która rozszerzała się w tym miejscu do funkcji rynku, pojawił się przód srebrnego małego samochodu.

Nieskoba przyspieszył, skręcił za róg, pochylił się i szarpnął zamocowaną szpiłami w gruncie kolczatkę, przeciągnął w poprzek wymoszczoną garbatym brukiem, lekko wznoszącą się ulicy. Kapral już zniknął za węglem jakiejś szopy, ostatniego stałego elementu krajobrazu w tym miejscu. Nieskoba biegiem pokonał kilka metrów i uskoczył za płot, który miał deski tylko już od strony ulicy, od pół nic nie chroniło obejścia. Wyszarpnął pistolet P-99, kolejny raz wściekając się na komendanta, który odesłał cztery będące na wyposażeniu komendy miejskiej pm-98 glauberyty do kalibrowania i testów do Szczecina.

„Trudno - pomyślał. - Dziewiąteczka też mu zrobi kaszę manę z mózgu, jak się będzie stawiał”. Zarepetował pistolet, jednocześnie ze szczękiem mechani-

zmu usłyszał odgłos zbliżającego się silnika i tłukących się o nierówny bruk

149

opon. Nie wychylał się jeszcze, ale wiedział, że za sekundę kierowca zobaczy kolczatkę i...

Zobaczył. Silnik ryknął i nagle w polu widzenia pojawiła się srebrna corsa, z hukiem drąca opony, najpierw przednie, potem tylne na kolczatce. Wóz zaterkotał, zarzucił przodem i tyłem, ale nie stawał, tylko zgrzytając i popiskując felgami na nierównym bruku, parł do góry.

-

Stój! Stój, bo strzelam! - wrzasnął Nieskoba, celując ponad dachem corsy.

Na tej wysokości był klasztor, uniósł pistolet wyżej i przesunął w bok, wystrzelił. Corsa ani myślała stawać. Maliszewski ustawił się jak na strzelnicy i strzelił cztery razy. W odpowiedzi z okna pasażera wysunęła się lufa czegoś nieprzyjemnego, co charknęło krótką serią.

-

Padnij! - ryknął Nieskoba, ale Maliszewski już się walił na ziemię, osłaniając głowę rękami.

Nieskoba przymierzył i strzelił dwa razy, przymierzył - dwa strzały, znowu wycelował i znowu oddał dwa strzały. Co najmniej cztery pociski z sześciu ugrzęzły w corsie, prysnęła tylna szyba, ale wóz dalej parł do przodu, potem nagle skręcił, ustawił się prawie pod kątem prostym do kierunku jazdy i omal nie zjechał do płytkiego rowu. Drzwi od strony pasażera otworzyły się, wyskoczył z nich blondyn i rzucił się w kierunku klasztoru. Maliszewski już stał, a raczej

biegł, kierując się ku polom, żeby złapać uciekiniera w pole widzenia, w celownik. Uciekający jakby przewidział ten manewr, rzucił się w bok, porzucił bruk i pognął lasem, osłonięty przed Maliszewskim szpalerem wiśni. Nieskoba strzelił dwa razy i rzucił się w pościg. Mężczyzna odwrócił się i wyciągnąwszy rękę do tyłu, puścił dwie krótkie serie, obaj policjanci przypadli do ziemi, ale strzelec nie mierzył do nich. Przednia szyba corsy została malowniczo podziurawiona na całej szerokości kilkunastoma pociskami.

„Dobija kamrata! - pomyślał Nieskoba. - Jeśli ta kanalia wpadnie do klasztoru, to wymorduje tam połowę... tego... stanu - myślał, cwałując po drodze. - Kierowca oberwał?... Albo udaje... Nie, nie udaje...”

Twarz i szyja kierowcy zalane były krwią, głowę oparł na zagłówek, nie dawał znaku życia. Nieskoba pokazał go lewą ręką Maliszewskiemu, a sam obiegnął wóz, po drodze zmieniając magazynek. Uciekający był już blisko klasztoru, bramy do klasztoru, znikwały w niej jakieś postacie.

150

-
Stać! - ryknął Nieskoba. - Zamknąć bramę! Zamknąć bramę!!!

Ostatnia wbiegająca przez furtkę postać zamaszyście trzasnęła za sobą furtką, huk rozniósł się po polach, które już ucichły po strzałach i czekały tylko na kolejną okazję do wilgotnego echa. „Rubik” biegł z zadziwiającą szybkością. Nieskoba uznał, że nie dogoni go przed klasztorem. Przykucnął i wywalił do uciekiniera cały magazynek. Bez skutku. Przynajmniej bez skutku widocznego...

* * *

Krystian przegapił Nieskobę i Maliszewskiego. Dopiero gdy w gardzieli

skręcającej w miasteczko ulicy pojawiła się corsa, a właściwie jej światła, zwrócił uwagę na scenę przy wylocie uliczki. Gdy corsa pruć swoje opony na kolczatce, cała trójka jeszcze szła, choć zwalniała, gdy wóz, halsując od jednej krawędzi drogi do drugiej, zaczął mozolnie wdrapywać się w ich kierunku - zatrzymali się. Gdy Nieskoba oddał kilka pierwszych strzałów, Krystian odzyskał przytomność umysłu.

-

Wracamy! Do klasztoru! Już, szybko!

Szarpnął ciągle jeszcze gapiącą się przed siebie Urszulę, Sandra już biegła do góry. Ruszyli za nią. Słyszeli kolejne strzały, potem całą serię, cała trójka odruchowo wciągnęła głowy w barki. Do bramy, do furty było czterdzieści metrów. Tylko ten cholerny bułowaty bruk.

-

Uważajcie na nogi, nie potknijcie się!

Tym razem szybciej zareagowała Ula: poskakała na jednej nodze, zdarła but i upuściła go, powtórzyła skoki na bosej stopie, ściągnęła drugi i jakby pewniej pobiegła dalej. Sandra miała wygodniejsze buty, sadziła więc do góry niczym zgrabna, energiczna blond sarna.

Jeszcze kilka odgłosów strzałów, potem przejmujący zgrzyt felg na kamieniach. Strzały. Jeden pocisk z cichym, ale przerażającym wizgo-sykiem przemknął gdzieś nieopodal i sucho kaszlnąwszy, wyrzucił fontannę skruszonego na pył tynku z klasztornej muru.

Ula krzyknęła coś, to mogło być nawet jakieś nieprzyzwoite przekleństwo, ale Krystian nie analizował tego, a tym bardziej nie zamierzał pouczać w tej chwili

siostry, że na podejściu do klasztoru...

151

Drugi pocisk syknął nad nimi i krzesał iskry, trafiwszy w kamień na łuku na obrzeżu bramy.

Na szczęście Sandra już przeskakiwała pojedynczy pręt „progu” w furcie, Ula miała jeszcze kilka metrów, Krystian galopował tuż za siostrą. Uznał, że teraz może sobie pozwolić na odrobinę nonszalancji i się obejrzał.

Drogą gnał Nieskoba, teraz już można było rozpoznać policjanta bez trudu, za nim po polu z lewej biegł inny mężczyzna, chyba też ścigający kogoś, w każdym razie nie strzelał do aspiranta. Kogo zatem gonili i gdzie ten ktoś był? Krystian poczuł, że jeżą mu się wszystkie włosy na karku. Ruszył do klasztoru, ale oglądając się cały czas za siebie. Nie widział zagrożenia, ale przecież Nieskoba nie pędziłby tu z pistoletem w ręku, wymachując drugą, jednoznacznie wymachując: „Uciekaj! Kryj się!”, gdyby nie istniała taka potrzeba.

Wreszcie z prawej, za drzewami, na polu mignęła jakaś sylwetka, potem pojawiła się na dłużej. Blondyn! Z jakąś bronią w ręku, bronią maszynową!?

Krystian odwrócił się i w rekordowym tempie pokonał ostatnie pięć-siedem metrów. Wpadł na teren klasztoru, huknął furtą i... znieruchomiał zlany zimnym potem.

Obie kobiety stały na dziedzińcu, Ula jeszcze szarpała klamkę drzwi do kościoła, Sandra już wiedziała, że są zamknięte, patrzyła na Krystiana i kręciła przecząco głową. Siostry musiały już oddalić się od kościoła, może były za kolejnymi murami, nie słyszały, a może miały dość świeckich problemów, tak krwawo zakłócających ich ciche klasztorne życie. Krystian wrócił dwoma sko-

kami do furtki. Nie miała zamka, klucza, rygla. Tyle tylko, że klamka była z tej strony. Potężna, kuta, ozdobna i trwała. Na pewno nie dałoby się jej szybko utracić, nawet młotem, ale młota przecież na małym dziedzińcu nie było. Nie było żadnej kryjówki. Brama znajdowała się na tej samej linii co mury, blondyn mógłby, nie wchodząc na dziedziniec, wsunąć rękę i wystrzeliwszy na oślep magazynek, niemal na pewno zmasakrować pociskami wszystkich tu obecnych.

- Na ziemię! Już! JUŻ!!

Za blondynem pędził Nieskoba! I ten drugi! Przecież to kwestia paru chwil!

Obejrzał się, Urszula przyłgnęła do bruku, ale niemal pod drzwiami kościoła, na widoku.

152

Sandra, przytomniejsza, odbiegła i właśnie turlała się pod mur.

- Uła! Pod ścianę, pod ścianę!

W końcu zrobił to, czego się bał - wyjął pistolecik. Przyłgnął do ściany i szorując plecami po murze, zbliżył się do bramy, jeszcze krok, drugi, pistolet w wyciągniętej ręce, w postawie typowej dla LWP, zanim uznało ono za słuszną amerykańską postawę strzelecką. Do furtki, a raczej do klamki miał jakieś trzy metry. Oblizwał nerwowo wargi.

„Strzelę! Powinien się wystraszyć, odruchowo, nawet jeśli jest zawodowcem.

Nie widzi, kto i z czego strzela. Tak, nie wejdzie. A w tym czasie Nieskoba dobiegnie”.

Nagle usłyszał głośny oddech, potem przez ekscentrycznie kute pręty bramy na dziedziniec padł cień. A za chwilę na klamce pojawiła się ręka.

Krystian wycelował i... Nie strzelił. Nagle tysiące myśli jednocześnie zważyło

się na niego: „Nie strzelaj, to i do ciebie nie będą...”, „Kto ci dał prawo!”, „To pomyłka, on nie ciebie potrzebuje!”, „On chce porozmawiać, dlaczego sądzisz, że jest niebezpieczny?”, „Tak nie moż...”.

Szczęknięta klamka, furtka energicznie zatoczyła półkole i z całą mocą oraz hukiem uderzyła w mur. Przez pręt stanowiący dolne obramowanie furtki przeskoczył „Rubik” i bezbłędnie wyłuskał wzrokiem Krystiana. Lufa jego pm-u wpiła się niemal fizycznie w brzuch Sommera.

„Teraz to już nie mam co nawet próbować! - przemknęło mu przez myśl. - Mały kaliber, nawet dobrze trafiony wywali we mnie cały magazynek. Idiota, trzeba było strze...”

Mężczyzna tylko na ułamek sekundy oderwał wzrok od Krystiana, zerknął na drogę, zrobił krok, drugi, niemal zszedł z obrysu bramy. Patrzył w oczy Krystianowi. Patrzył dziwnie: z jednej strony widać było, że najchętniej wpakowałby mu w brzuch i klatkę piersiową kilkadziesiąt pocisków, oczekując jednocześnie, że nie zabiją go od razu, z drugiej - w jego jasnoszarych, przerażających oczach, niemal oczach ślepego, wypalonych i wypłowiałych, widniała inna myśl: nie mogę. Nie wolno mi. Nie trzeba tego robić. Nagle jego spojrzenie uciekło na ułamek sekundy w bok. Popatrzył na kogoś za plecami Krystiana, niemal za jego plecami.

„Boże, Sandra?! Ona... On ją... Mnie nie chce, ale tym chce mnie...”

153

W głowie eksplodowało coś miękko i twardo. „Strzelił do mnie? Dziwne... Niewiele czuję... Ale dziewczyna... Ula...”

Stopy Krystiana jakby zespawały się z kamieniami dziedzińca, oderwanie ich

kosztowało go tyle wysiłku, że niemal rozplakał się z bólu. Wrócił widok rozjarzonych oczu mordercy. Sommer przesunął stopy w lewo, jeszcze trochę. Żeby szybciej, żeby tylko zasłonić, może nie strzeli?...

Mężczyzna o oczach szalonego, zimnego mordercy poruszył lufą swojej broni. Jakby rozkazywał Krystianowi usunąć się z drogi pocisku.

„A nie... Nie, nie, nie!.. Raz i ja mogę coś... zrobić... poważnego... Nie...”

Próbował przełknąć powietrze, ale niczym gula utknęło mu w gardle, zakrzusił się, zacharczał, oczy mu się zaszklily, podniósł rękę, tę z pistolecikiem, otarł łzy, drapiąc się muszką w czoło. Ból jakby trochę go ocucił.

„Strzelę! Niech się dzieje...”

Zaczął opuszczać rękę, kalkulując, jak wykonać szybki ruch, błyskawiczny i skuteczny...

Nie zdążył.

-

Rzuć to! Rzuć broń, bo będę strzelał!!! RZUĆ TO!!! - rozległo się silnym echem na dziedzińcu.

Mężczyzna wolno cofnął się o krok, z jednoczesnym obrotem, opuścił broń, a potem, ciągle wolno się poruszając, delikatnie upuścił ją na ziemię; najpierw dotknął bruku kolbą, potem puścił peem, ale tak, by upadł lufą w kierunku kościoła, gdzie nie było nikogo. Krystian nagle poczuł przemożną konieczność ukrycia swojego pistoletu. Wsunął go za pasek, pod kurtkę. Przez furtkę wpadł zdyszany Nieskoba.

-

Na ziemię! Na kolana! - wrzasnął, trochę przecząc sam sobie.

-
Kładź się!

„Rubik”, ciągle poruszając się jak na zwolnionym filmie, opadł na kolana, pochylił się, zamierzając opaść na brzuch, Nieskoba podskoczył i mocno pchnął go między łopatki stopą. Na dziedziniec wpadł drugi policjant. Filmowo spenetrował dziedziniec lufą broni. Wyszarpnął kajdanki. Leżący na brzuchu zabójca kilka sekund później był skuty.

-
Uff! - sapnął aspirant Filip Nieskoba. Był bardzo zadowolony. - Nic nikomu się nie stało? Nie zdążył?

154

Krystian pokręcił głową. Chciał w ten sposób okazać, że to nie to, że mężczyzna by zdążył, ale nie chciał. Nieskoba jednak zinterpretował to inaczej.

-
Dużo nie brakowało. Ścierwo, chyży jest! Jak panie? - popatrzył obok Sommera na dziedziniec.

-
Chyba nic, wystraszone...

Krystian odwrócił się, podszedł do kobiet stojących obok siebie. Uśmiechnął się, przytulił siostrę i ucałował w policzek, potem tak samo pogratulował Sandrze.

-
No, tośmy mieli przygodę - powiedział po niemiecku. - Całe, prawda?

-

Rajstopy niech mi odkupi - burknęła drżącym głosem Urszula.

-

Powiedz mu to sama! - odezwała się Sandra.

Wyglądało, że jest zła - Urszula, która nie zachowała się idealnie w sytuacji zagrożenia, Urszula już po fakcie podnosząca hardo głowę, chyba ją zirytowała. I siostra Krystiana zrozumiała, że terażniejsza jej buta i odwaga są wręcz karykaturalne, są niewłaściwe i żalosne. Zaciśnęła usta i pokiwała głową z rezygnacją.

-

Nie chcę go widzieć na oczy, w życiu... Nie...

-

Uspokój się, Uleńko. Zagrożenie już minęło. - Pokręcił głową, odwrócił się i poszedł do Nieskoby. Policjant przeszukiwał spokojnie stojącego, trzymanego za łokcie od tyłu przez kolegę aspiranta mężczyznę.

-

A skąd to wiesz? - usłyszał z tyłu idiotyczne pytanie siostry.

Pokręcił tylko głową i machnął ręką.

Zatrzymał się za plecami aspiranta.

-

Czego ty ode mnie chcesz, człowieku? - zapytał.

Blondyn, do tej chwili patrzący ponad głową rewidującego go policjanta, przeniósł wolno wzrok na Krystiana. Nic miłego nie widniało w tym spojrzeniu.

Było zimne, puste, obojętne. Sztucznie zimne i obojętne, bo na dnie Krystian Sommer widział wyraźnie coś. Coś, co nazwałby wyrokiem śmierci, gdyby miał doświadczenie w tej materii. Ale nie miał, dopiero dwa czy trzy razy wymknął się

kostusze, za każdym razem prowadzonej pod łokieć przez tego właśnie mężczyznę, dlatego wydawało mu się, że widzi tylko zagrożenie.

Ale to by było za mało. Bo to był wyrok. Tylko odrobinę odsunięty w czasie.

-

Może on nie zna polskiego? Albo jest niemową? - warknął wściekły

Nieskoba.

155

Krystian zastanawiał się chwilę nad jego słowami.

-

No jak? - zapytał w końcu. - Przecież w Berlinie powiedział mi najczystszą polszczyzną, żebym wsiadał do wozu, do golfa.

-

Jest pan pewien?

-

Przepraszam, jak mógłbym pomylić języki?

-

Nie wiem. Gada pan cały czas po niemiecku, może on powiedział to po szw... niemiecku, a pan to odebrał jako naturalny język, język polski?

-

Nie. Powiedział to po polsku. Po prostu robi pana... w... w konia. W balona? Niech sobie pan coś podstawia i nie wyżywa się na mnie, do licha!

Filip Nieskoba potarł nos wnętrzem dłoni.

-

Przepraszam. Jeśli pan odniósł wrażenie, że się wyżywam, to przepra-

szam. Rzeczywiście, jestem wściekły. Mamy gościa. Mamy odciski i inne ślady,
a on po prostu milczy.

-

A ten drugi?

-

Drugi jest na OIOM-ie i nie wiadomo, czy sam z niego wyjdzie, czy ra-
czej go wyniosą... Oberwał rykoszetem w głowę z mojej ręki, a potem jego
kolega prawie oderwał mu pół twarzy, trafiając od dołu. - Pokazał na swojej
twarzy, jak pocisk przeszedł przez brodę, nos i prawy oczodół. - Ale trafił pan -
powiedział coś więcej.

-

Tak? - Sommer wychylił się w stronę Nieskobya.

-

Niestety, było to kilka słów, ale w kompletnie nieznanym nikomu z
obecnych języku.

-

No to tak, jak i mnie się wydawało - egipski, turecki, jakieś irańskie czy
irackie narzecze... Kojarzy mi się z reportażami z Iraku, takie... *alhavala ho laha*
behmedi - wie pan, co mam na myśli?

Nieskoba rozłożył plik z kilku kartek w wachlarzyk i szybko przejrzał je, nie
wypuszczając dolnej krawędzi. Westchnął ciężko.

-

W końcu pęknie - stwierdził bez specjalnej pewności w głosie.

-

Zróbcie mu taśmociąg - powiedział Krystian z lekką ironią, na tyle lekką,
by Nieskoba jej nie usłyszał.

-

Pewnie, z dwu elementów: ja i Maliszewski?! - parsknął Nieskoba. -

Sami się zajedziemy... Nie ma ludzi. Kto będzie pracował za dwa tysiące?

156

-

To już jakby nie moje zmartwienie. - Krystian sapnął, odsunął krzesło od
biurka i przygotował się, by wstać.

-

A! Jeszcze chwila. Może mi pan powiedzieć, dlaczego on was nie roz-
walił? Co mu pan powiedział?

Sommer pokręcił głową.

-

Nie wykrztusiłem ani dźwięku. Stałem i gapiłem się w lufę tego jego
automatu i czekałem na pierwszy pocisk.

-

A co on powiedział?

-

Też nic. On się patrzył na mnie... Jakby chciał powiedzieć: ciesz się,
gnoju, że to ja, bo inny... Naprawdę! - Krystian przyłożył rękę do piersi, gdzie -
jak sądził - miał serce.

Aspirant Nieskoba pokręcił głową.

-

Dziwne, nie wydaje się panu? Ściga pana przez pół Europy, a potem dogania i nic nie robi?

-

Nie sądzi pan, że już czuł oddech pościgu na karku i jeszcze dwa czy trzy trupy nie były mu do życiorysu potrzebne? Może on nie wiedział, że jest namierzony w sprawie czterech już morderstw?

-

No, to jest jedyne racjonalne wytłumaczenie. Dlatego nic mu nie mówimy o siostrach, o tym księdzu z Krakowa... Usiłujemy go przypisać jakoby tylko do nielegalnego posiadania broni, jazdy bez dokumentów... Udajemy, że wierzymy, iż był to napad rabunkowy na niemieckich turystów.

Sommer uniósł brew, ale nie odezwał się od razu. „Akurat! Niemieckich turystów strzegą policjanci z kolczatkami na drodze?! Trafił im się stary cwany wilk, nie da się tak wykołować”. Nie podzielił się jednak wątpliwościami, uznając je za oczywiste. Zapytał o co innego:

-

A jak wypożyczył samochód? Nie rozumiem!

-

Ukradziony. Ja też nie rozumiem, chyba im buchnął z placu. Bo oni nic nie wiedzą o stracie wozu. Chyba tam polecą parę głów.

Milczeli przez chwilę.

-

No to życzę powodzenia. Żegnam się.

Krystian Sommer wstał i - po ułamku sekundy zawahania - podał rękę Fili-

powi Nieskobie. Policjant, jakby nieco zdziwiony, poderwał się, uściśnął mu dłoń, przywołał na twarz krótki, oszczędny uśmiech.

157

-
Nie powinienem pewnie pouczać zawodowca, ale też nie pouczam, tylko... On tego nie łyknie, proszę pana, tej story, że to była napaść... - powiedział Sommer, potrząsając dłonią policjanta. - On wie swoje. Nie widział pan jego oczu, kiedy mierzył do mnie z tej... pepeszy. Właściwie, gdybym miał powiedzieć, czego się bardziej bałem: lufy tej broni czy jego wzroku, na pewno powiedziałbym, że wzroku. To stary, cholernie doświadczony basior. Pochłonął cholera wie ile ludzkich istnień. - Nagle przyszło mu coś do głowy i - zanim się zastanowił, czy słusznie postępuje - podzielił się tym z policjantem: - On służy jakiejś sprawie, jakiejś okrutnie dla niego ważnej sprawie. To fanatyk na miarę Osamy bin Ladena, poświęci rękę, byle wrogowi odciąć palec.

-
Dlaczego pan tak sądzi?

-
Tylko i wyłącznie ze spojrzenia.

-
Hm?...

-
Tak, tak! Niech się pan nie dziwi i nie śmieje. Proszę mi powiedzieć - zapytał, ogarnięty nagłym przecuciem - czy on panu popatrzył w oczy?
Nieskoba myślał chwilę.

-
N-no-o... Nie... Nie, patrzy w podłogę, w okno, w ścianę...

-
No właśnie. Pewnie wie, że jedyna rzecz, jakiej nie potrafi ukryć, to okrucieństwo w spojrzeniu, że to go zdradza, i złości się, że nie jest idealny, że ma tę słabość... Niech go pan zmusi do popatrzenia sobie w oczy i ukłuje go tą słabością. Może pęknie?

Zasalutował zuchowato jednym palcem i wyszedł.

Kwiatową poszedł do Sielskiej i na rogu z Bracką zobaczył mini morrisa Sandry. Siedziały w małej kawiarence, chyba się popłakały, nawzajem zwierając z lęków. Poprosił o red bulla i kawę, usiadł, jak na seansie spirytystycznym chwycił dłonie Sandry i Urszuli. Ścisnął, potrząsnął lekko.

-
Fajnie było, co?

Urszula popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, potem nagle skrzywiła się jak do płaczu i parsknęła:

-
No, idiota! - roześmiała się. Chichotała zaraźliwie i płynęły jej po policzkach łzy. - Kretyn!... Tu matkę chowają, tu jej dzieci mordują... I jeszcze to biedne dziecko! - Popatrzyła na Sandrę.

Teraz ta wytrzeszczyła oczy.

158

-
Ja dziecko? Dziękuję ci, Ushi, bardzo, ale spóźniłaś się dobre dwadzie-

ścia lat!

-

No już, dziewczyny. Dobrze jest. Zbój pod kluczem. My cali, żywi i zdrowi. Skarb mamy, cieszymy się!

-

Pistolet masz też, widziałam! - Urszula nie chciała zrezygnować z roli starszej siostry, wrednej, upierdliwej starszej siostry.

-

A czy ja się kryłem? Przecież ci powiedziałem, co było w skrytce w kominie. Pistołek walther, naboje do niego i te srebrne cylindryczne pojemniki. Może tam są trzy dżiny? Każdy spełnia jedno życzenie.

Kelnerka podała napój w lodowatej puszcze i kawę.

-

Słuchajcie, mam taki plan: idziemy na sutą kolację do tego naszego hotelu. Urzniemy się szampanem, zjemy polskiego jada i jutro w południe wracamy powoli do siebie. Co wy na to?

Nagle przyszło mu do głowy, że teraz, kiedy oprawca z blond czupryną i oczami, którymi mógłby schładzać azot poniżej jego temperatury zamarzania, siedzi w więzieniu, powinien wrócić naprawdę do siebie. I nagle cały plan powrotu do Berlina i dobrego wygodnego kapciowatego życia wydał mu się cholernie mało atrakcyjny.

Urszula siąknęła nosem.

-

Po szampanie kac długo trzyma - zgłosiła racjonalne zastrzeżenie.

-
No to czym innym, czym kto woli.

-
Ja stawiam! - powiedziała Sandra, grzecznie unosząc palec do góry. -

Dziś pierwszy raz w życiu widziałam z bliska człowieka z bronią palną i prawie mierzył z niej do mnie. Muszę to uczcić! I bez dyskusji. I jeszcze jedno. - Popatrzyła na Krystiana. - Mam do ciebie prośbę...

-
Tak?

-
Czy mógłbyś parę dni jeszcze pomieszkać u mnie? Jakoś mi się wydaje, że czułabym się pewniej...

-
Nie widzę przeszkód - wzruszył ramionami.

„A już się zastanawiałem - skrócić sobie nogę czy zaproponować prowadzenie gospodarstwa? Byle nie wracać pod niewygodne skrzydła siostry... Hura!”

Przypomniał sobie nagle, że ciągle jeszcze czeka na nich zapieczętowany woskiem tekturowy tubus, otworzył usta. I... zamknął je od razu. Za dużo byłoby wtajemniczenia Urszuli.

CZEŚĆ DRUGA

SZATAŃSKI SPISEK

19. 13 KWIETNIA, 18.12

-
Czy tu już jest dobry czas na kolejną zagadkę? - zapytał trzeciego dnia po

powrocie do Berlina.

Sandra rzuciła się do nadrabiania zaległości z prawie tygodniowej nieobecności w pracy, nie widział jej niemal wcale przez te dwie doby. Raz niemal już zdecydował, że otworzy tubus sam, poszedł z nim do kuchni, przygotował wielką jak stolnica deskę, ostry cienki nóż, potem przyniósł aparat i wykonawszy kilka zdjęć gazetowego tekstu w różnych opcjach oświetlenia, postąpił chwilę, sprzątnął wszystko, zaniósł na górę tubus i aparat, tubus ukrył w wyłączonym grzejniku, aparat położył na stole i ruszył do łazienki. W połowie nakładania pianki na twarz znieruchomiał.

„To jest coś jakby paranoja? - pomyślał. - Niepotrzebnie poddaję się manii... prześladowczej? Manii szpiegowskiej? To głupie...”

Odłożył maszynkę do golenia, wrócił do pokoju i sformatował kartę w aparacie.

-

Idiota - powiedział chwilę potem do swojego do połowy ogolonego odbicia. - Akurat ktoś po zdjęciach gazet zrozumiałby, że przymierzam się do robienia zdjęć innego dokumentu. Nie-e no, nie mogę! Pa-a-ra-no-o-ja-a jest go-o-ła! - zanucił trzy słowa z refrenu popularnej swego czasu piosenki.

Dokończył golenia, wziął prysznic i solennie, spełniając daną samemu sobie obietnicę, przepłynął czterdzieści basenów. Potem przejechał się do Muzeum Pergamońskiego, spędził czas do późnego popołudnia, usiłując znaleźć coś, co przypominałoby zestaw cylindrycznych pojemników, który ciągle jeszcze był

161

ukryty w zrolowanym śpiworze w komorze składowej, przylegającej do garażu

Sandry. Nie było niczego takiego.

„Musiałbym mieć cholernie dużo szczęścia - pocieszał się w duchu Krystian. -

To może być pojemnik grecki, rzymski, turecki, cholera, chiński i tak dalej. Na

dodatek może pochodzić z siódmego wieku, trzynastego, piętnastego, osiemna-

stego... Prapra... Może nawet prapraprababcia wspomniała coś o templariuszach -

a ci się przemieszczali i w czasie, i w przestrzeni. Trzeba by to pokazać komuś, i

już. Inaczej za Boga nie dojdziemy - skąd, jak, po co?”

Urszula zabrała fotografie cylindrów i - nieświadoma ciągle istnienia tekstu-

rowego tubusa - obiecała w ciągu kolejnych dwóch, maksimum trzech dni wy-

konać „zamaskowany” wizerunek, który w postaci hipotetycznego tylko przed-

miotu można by dać specjalistom do identyfikacji.

Ale tubus był. I korcił...

-

Kolejną zagadkę? - Sandra zmarszczyła czoło.

I szybko je rozprostowała, jakby przypomniała sobie, jak się rodzą

zmarszczki mimiczne.

-

Tubus. Masz na dziś jakieś plany?

Pokręciła głową.

-

A Ushi? - zapytała po chwili.

Chyba wahała się, zapytać czy nie, w końcu lojalność wobec przyjaciółki

zwyciężyła.

-

Wiesz... no... Mam wątpliwości. - Skubnął kilka razy płatek ucha. - Ona zawsze wszystko nagina na swoją modłę, tu też zacznij się mądrzyć: zrobimy to tak albo tak, albo inaczej, ale koniecznie tak, jak ona chce. Taka zawodowa starsza siostra - uśmiechnął się, by złagodzić opinię.

-

Dobra! - Sandra nie zamierzała go przekonywać. - Nie miałam starszego rodzeństwa, ale cię rozumiem. Miałam starszego męża - rzuciła nagle.

Sama się zdziwiła, że to powiedziała, potrząsnęła głową, ale już się nie odezwała.

-

No to działamy.

Przyniósł do kuchni tubus, aparat, ustawił lampkę z diodowym jasnym zimnym światłem, na desce ułożył tubus, nóż i - na wszelki wypadek - kilka listków

162

papierowego ręcznika. Sandra cierpliwie czekała, nie odezwała się nawet, gdy przypomniał sobie coś, pacnął się w czoło i pobiegł do garażu, skąd przyniósł kilka jednorazowych rękawiczek. Dopiero włożywszy je, zabrał się do pracy. Najpierw sfotografował tubus kilka razy, ze wszystkich stron, potem nadciął wosk na złączeniu wieczka i korpusu, podważał go ostrożnie na całym obwodzie, aż wieczko poruszyło się. Sandra przejęła rolę fotografa, zrobiła znowu kilka zdjęć. Wieczko zostało zdjęte, Krystian zajrzał do wnętrza.

-

Wygląda na to, że jest tu jedna kartka - powiedział jakby nieco rozczarowany.

Sfotografowali otwarty tubus. Potem Krystian usiłował wytrząsnąć zawartość, ale kartka przykleiła się do ścianek. Delikatnie podważył nożem brzegi i spróbował znowu. Bez skutku.

-

Pęseta! - rzuciła cicho Sandra. - Moment!

Odłożyła aparat i podeszła do szuflady, w której miała poukładane podstawowe narzędzia ni to kuchenne, ni to garażowe: miarki, lupy, latarki, zwoje cienkiej dratwy do sznurowania golonki i rolad boczkowych. Wyłowiła dwie pesety, wróciła z nimi do Krystiana. Podziękował skinieniem głowy, chwycił tę z płaskimi końcówkami, złapał kartkę i pociągnął delikatnie. Wyszła z lekkim oporem, widocznie trzymała się tylko dzięki sprężystości papieru.

-

Przydałaby się... przydałoby się szkło - powiedział, walcząc z rozwijającym się zwitkiem.

-

Hm? Nie mam... chyba... - odpowiedziała wolno gospodyni. - Ale możesz wyciąć... Nie, diamentu też nie mam. Wybij tę szybę w garażu, co?

-

No nie, bez przesady. - Krystian położył zwitek na desce i sam podeszedł do otwartej jeszcze szuflady, znalazł rolkę taśmy malarskiej, wrócił do deski i delikatnie przykleił do niej rozwinięty zwój. Umyślnie nie czytał treści, choć już na pierwszy rzut oka zobaczył, że to zwyczajna polszczyzna, żadna szwabacha, gotyk, żadne wymyślne i nieznane pismo. Zaczynało się od „Witaj mi, Czytelniku mych słów!”.

Odsunął się, patrzył z boku, jak Sandra, przestawiwszy aparat na zdjęcia bez flesza, robi z różnych odległości fotografie dokumentu. Potem wpatruje się w ekranik, sprawdza na powiększeniach, czy tekst jest czytelny, i kiwa z zadowoleniem głową.

163

-
To język polski - powiedział Krystian, zbliżając się do stołu. Zerknął na dół strony, gwizdnął cicho. - Nawet nie tuż sprzed wojny, tylko z trzydziestego trzeciego roku. Czytam:

Witaj mi, Czytelniku mych słów!

Pozdrawiam Cię zza grobu, albowiem mam ci ja niezachwianą pewność, że mnie już na tym świecie nie ma, podczas gdy Ty żyjesz i - jak mniemam i czego Ci życzę - masz się dobrze. Na dodatek mam nadzieję, że jesteś kimeś z mego rodu.

Chodzi o rodzinę Sommerów, z Moguncji, ale to, oczywiście, dziesiątki i dziesiątki lat temu było... Zbaczam jednak, kolejny raz, kolejny piąty czy szósty ten list pisząc. Zdecydowałam więc, że ten już dokończę i nie dbam, czy będzie ładny, tylko czy treściwy. Poprzednich pięć zmarnowałam, drogie papiery na podpałkę posłużyły.

Zatem, co się tyczy rodu. Pisze do Ciebie Martyna Sommer z domu Fiejska.

List ten powinien był napisać mój mąż, ale zmarł był dwa miesiące temu, a rzecz ciągle odkładał na czas wolny, a młynarz w okolicy, gdzie innych nie ma, nie ma nigdy czasu, bo to albo mąka, albo kasze czy gorczyca nawet... I tak mu zeszło kilka lat, przypomniał sobie na łożu śmierci i mnie tern obowiązkiem obarczył, a ja, jak widzę, znowu w dygresyje się wdaję...

W rodzinie mojego męża, w rodzie Sommerów, od zawsze, od kiedy pamiętali, przechowuje się relikwię, którą, mam nadzieję, masz w ręce. To są srebrne trzy celindry, na wieczkach literami Alfa, Beta i Gamma oznaczone. Odpowiednio zawierają ten sam tekst, ale w trzech językach. Alfa - grecki, Beta i Gamma - to języki mi nieznane i nie potrafię przeczytać ich nazw z poprzedniego listu, który mój mąż po swoim ojcu przejął. Bo to taka tradycja - przekazywanie owych pojemników, nie troszcząc się o znajomość ich zawartości. Ja, przyznając ze skruchą, namawiałam byłam swojego męża lat wiele temu, gdym się tylko dowiedziała o istnieniu onej relikwii, żeby otworzył Alfę, żebyśmy się zapoznali, co tak pieczołowicie chronimy od, jako mi rzekł, wieków. Ale popatrzał na mnie tak, że już nigdy więcej nie nagabywałam go o to. Więcy powiem - teraz, kiedy mogłabym sama rzecz tą otworzyć i popatszeć - lęk mnie przechodzi i żadna siła nie zmusi mnie do otwarcia tego celindra. Nie wierzę w te arabskie bajki, com je w

164

młodości czytała, nie wierzę w dżynny żadne i spełnianie życzeń, ale gdy przez lata rzecz owa leżała zawsze gdzieś w naszym pobliżu, bośmy się wszak przenosili w kilka miejsc, a to zawsze było z nami, no to przez te lata jakby wysączył się zeń lęk przed otwarciem i zapoznaniem się z sekretem owym, enigmą, która - jak mi powiedział małżonek - nie tyle rodu dotyczy Sommerów, co czegoś inszego.

Dotyczy Rodu Ludzkiego całego! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! A-że mnie ciarki przechodzą na myśl, co koło mnie na stole spoczywa.

Małżonek mój, Peter Sommer, wspomniał, że z zakonu Templaryuszów pochodzi ta rzecz, ale i nawet on nie jest właścicielem owego dziwnego i tajemniczego naczynia. A tylko plenipotentym jakby. Jak zakon ów z rodem Sommerów

jest powiązany - nie wiedział albo mimo uczucia i węzłów, jakie nas wiązały od dziecka niemal, nie chciał się tem podzielić. A może i nie mógł, może przysięgi jakie złożył i ślubował milczenie, nie wiem tego i nie chcę, bo to już za blisko sięga tego sekretu, który mię nie dotyczy.

Owoż, jak mi poradził mąż, złożę tę epistolę do kasetki, wszystko owinę szmatami naolejowanemi i ukryję gdzieś. Pewnie we młynie. Tak mi bowiem Peter mój podpowiedział. I jeszcze prosił o jedno: żebym Ciebie, nasz następcę w Imię Boże błagała, błagała i jeszcze raz błagała o dwie rzeczy: nie otwieraj onych celindrów, a w całości zachowaj w miejscu najsekretniejszym ze wszystkich dla Ciebie dostępnych. Nie otwieraj i zachowaj! Albowiem, podobno, nadejdzie czas, kiedy owe celindry będą otwarte, a ich zawartość wypłynie i wpłynie na całe ludzkie życie. Jak wpłynie i dlaczego - nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Kiedy to się stanie - też nie wiem, i nikt jakoby nie wie.

I jeszcze mam Cię zapewnić, że nie ma w środku żadnych skarbów, nie ma złota ani relikwii, takich jak drzazgi czy kości Świętych, nie ma niczego, co by Ci dało groszy parę, nawet na butelkę okowity, więc dla tych celów otwierać tego nie wolno. Broń Cię Panie Boże Jedyńy! Nie ma w tych dokumentach nic, co by Ci dało władzę jakowąś nad ludźmi czy światem. Żadnego doraźnego celu nie załatwisz, powściągnij zatem chęci takowe, jeśli Cię ogarną. Czekaj tylko znaku, może będzie Tobie właśnie dany. Może tylko przechowasz i złożysz w miejscu odpowiedniem, i kto inny otwarcia będzie świadkiem. Tego nie wiemy. Ja to i wiedzieć już nie chcę.

kiem, zachowaj to, co tyle pokoleń przed Tobą zachowało, a będziesz na pewno przez Pana Naszego wynagrodzony, jak i każdy, kto w Niego wierzy i Jemu służy.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Martyna Sommer

De domo Fiejska

Urodzona w Czausach nad rzeką Płotnią

Spisane dnia 2-giego lipca A.D. 1933 Quartschen libo Chwarszczany

Uniósł głowę znad deski i popatrzył na Sandrę.

-

Nie powiem, żebym coś z tego zrozumiał - powiedział, wruszając dla podkreślenia wątpliwości ramionami. - Rodowa pamiątka... należy przechować dalej... do kiedy - nie wiadomo. Po co - nie wiadomo. Z jakiego powodu - nie wia-do-mo. Same iksy i znaki zapytania, ani jednej danej.

-

No nie, przesadzasz. Wiemy na przykład, że w tych cylindrach są dokumenty. Nie złoto ani brylanty, tylko dokumenty.

-

No tak. I szkoda, że akurat tak jest. Wolałbym w jednym cylindrze trochę niewielkich brylancików, w drugim - mieszankę szmaragdów, rubinów i czegoś tam jeszcze.

-

Ale masz dokumenty, jakieś wstrząsające dokumenty! Dotyczące rodu ludzkiego! - Popukała paznokciem w deskę obok przyklejonej kartki.

-

Tak, ale, wybacz, jakoś nie wyobrażam sobie dokumentu wartego więcej niż garść brylantów. Zwłaszcza jeśli są sprzed wieków. To co tam może być, że Ewa miała dzieci z nieprawego łoża? Czy opis grzesznych uciech papieża... weźmy, na przykład, Juliana I, jeśli taki był?

-

A może mapa z zaznaczonym skarbem?

Zastanawiał się chwilę.

-

O, i tego będziemy się trzymać, tę nadzieję hołubić! - Zmarszczył czoło, patrzył chwilę w coś niewidzialnego przed sobą, jakby w furtkę do innego świata. Potem wolno przeniósł spojrzenie na Sandrę: - Tydzień temu zabito moją matkę, a ja przymierzam się do skarbu... Czy coś jest ze mną nie tak?

166

-

Nie wiem, Krystian - powiedziała cicho. - Nie wiem. Chyba niezbyt dobrze znasz matkę, znałeś...

Milczeli chwilę. Gdzieś z góry, z któregoś z pokoi doszedł ich elektroniczny pisk. Sandra uniosła głowę i pokazała sufitowi język.

-

Nienawidzę ich - rzuciła z pasją. - Zawsze, jak to słyszę, zaczyna się szukanie, co to piszczy: komórka, mikrofalówka, telefon stacjonarny, palmtop, zegarek, a jak zegarek, to który? Albo mysz sygnalizuje wyczerpanie baterii, albo komputer - zmianę czasu. - Krystian otworzył usta. - To coś, co słyszałeś, ja słyszę od trzech miesięcy. I nie wiem, co to jest. Nie napatoczyłeś się gdzieś na

jakieś umierające, biedne e-stworzonko, które rozpaczliwym piskiem przywołuje mamusię? - zachichotała.

-

Słyszałem, ale myślałem, że to twój budzik albo jakiś przypominacz czy termostat...

-

Termostat? Może. Potem sprawdzę, to jest myśl. Lodówka?

-

Basen? Tam nic nie ma do sygnalizowania?

-

Kurczę, na pewno jest.

-

Sejf? - rzucił Krystian, i szybko dodał: - Nie odpowiadaj! Nie powinno się zdradzać, czy w ogóle jest!

-

Nie no, co ty? Co to byłby za sejf, który wzywałby właściciela, żeby mu wymienić baterie?!

-

Szczoteczka do zębów?

-

Depilator? - roześmiała się. Nagle znieruchomiała. - Mam! - szepnęła. -

Czytnik e-booków! Tak! No tak, kupiłam go cztery miesiące temu i potem cisnęłam do biurka. - Otworzyła szeroko oczy. - Ale głośny, drań! To musi być on!

-

A jak działa? Fajne to jest? - zainteresował się Krystian.

Skrzywiła się.

-

Nie. Ciągłe jeszcze za duży, za ciężki, wybór legalnych e-booków za mały. Niech sobie czeka na lepsze czasy. Co najwyżej wyjmę mu baterie. Albo podłączę do prądu gdzieś w garażu i niech czeka. - Przerwała, widząc, że Krystian znowu uciekł spojrzeniem i duchem z pokoju. Odczekała chwilę, dopóki nie potrząsnął głową. - Coś... się włączyło?

-

Przypominacz... Mam coś sobie przypomnieć... ale co? No nic, kiedyś się przypomni...

167

-

Byle nie jak temu scenarzyście Hitchcocka!

-

A co to było? - zainteresował się.

-

No, podobno był taki, który co jakiś czas narzekał, że najlepsze pomysły miewa we śnie, ale, niestety, po przebudzeniu nie pamięta, co mu się śniło. I kiedy kolejny raz to mówił, ktoś go zganił za gapiostwo i powiedział: „Chłopie, połóż sobie przy łóżku notatnik i ołówek, może się obudzisz, zapiszesz, co śniłeś, rano masz pomysł na tacy!”. „Racja - powiedział scenarzysta. - Tak zrobię!” I zrobił. Po jakimś czasie miał wspaniały sen, obudził się, szybko sięgnął po notatnik, przelał pomysł na papier i uspokojony poszedł kończyć sen. Rano obudził

się i jęknął: „Boże, miałem wspaniały sen i znowu nic nie pamięć... A nie! Tym razem przecież mam to zapisane!!!”. Rzucił się do notatnika i czyta: „Chłopiec spotkał dziewczynę!”.

Krystian parsknął śmiechem i nagle poderwał się na równe nogi.

-

Patrz, jak idiotyczne i niezbadane są metody działania mózgu - przypomniałem sobie! Miałem sprawdzić, gdzie są te Nowo... coś tam, skąd pochodzi prapra...prababcia Martyna. Albo... - Usiadł z powrotem. - Potem. Nic pilnego.

Mogłaby się Urszula odezwać... - poskarżył się.

Siostra zabrała kilka fotografii srebrnego pojemnika, sam trójczłonowy zasobnik spoczywał w zwoju śpiwora.

-

Ja zadzwonię. - Sięgnął po telefon, „zwykłą” komórkę, tych „sekretnych” nie używali - straciły wraz z aresztowaniem „Rubika” sens. - Uła, co jest z tymi... - przerwał i słuchał chwilę. W miarę słuchania zmieniał mu się wyraz twarzy, wieści musiały być mało przyjemne. - Do-obra... - powiedział w końcu. - Niech się biedzi, czekamy...

Przerwał połączenie i zrobił zniechęconą minę.

-

Znaki z tego pojemnika są w jakimś cholernie starym i mało znanym języku, Uła nawet nie potrafi powtórzyć w jakim. Ten gość podobno najpierw w ogóle odmówił, mówiąc, że to daremny trud, ale następnego dnia zadzwonił nieco zwawszy i obiecał zabrać się do roboty. Jakby coś go podnieciło, ale nie zdradził co. - Przeciągnął się. - Nudno jakoś?... - rzucił zdziwiony.

-
Poważnie?

-
Tak, wiem, że to... - Skubnął ucho. - Nie pędziłem specjalnie energicznego życia, ale te tygodnie... - pokręcił głową.

168

-
Ja... Nie tłumacz się, właśnie chciałam powiedzieć, że życie awantur-
niczki bardzo mi odpowiada. - Najpierw dmuchnięciem usiłowała odgarnąć
grzywkę, a gdy niesforny kosmyk wrócił na czoło, poprawiła ręką. - To znaczy,
wiesz... Trochę jak rollercoaster, nie? Boisz się, ale to miły lęk, bo dobrze się
kończy, a ty wiesz, że musi się dobrze skończyć. Myśmy też przeżyli coś takiego:
wyglądało niebezpiecznie, groźnie, nawet, powiedziałabym, trochę filmowo, ale
skończyło się dobrze. I takie... - umilkła, zasłoniła usta dłonią, przykładając ją
wierzchem do ust. - Idiotka ze mnie! Przepraszam. - Szybko położyła rękę na
leżącej na stoliku dłoni Krystiana. - Jak można tak powiedzieć, trzy dni po po-
grzebie ... Przepraszam!

Wysunął swoją dłoń spod jej i teraz on nakrył jej szczupłe chłodne palce
swoimi. Miał - wiedział o tym - ładną męską dłoń: dość szerokie śródrezcze, ale
szczupłe i długie, mocne palce, trochę zaniedbane paznokcie - sterczące skórki u
nasady paznokci.

-
Mówiłem - jakkolwiek cynicznie to brzmi - nie znałem prawie matki, nie
mogę wykrzesać z siebie jakiegoś szczególnego żalu...

Poklepał dłoń Sandry i wstał.

-

Pogrzebię trochę w sieci.

Chyba chciała coś powiedzieć, może zaproponować pomoc, ale Krystian, patrzący już na schody, nie zauważył tego.

* * *

Sieciowy translator działał kiepsko.

Podał, że w największym zakładzie pracy miasteczka Czausy pracuje 400

klerykałów. Dopiero po chwili udało się Krystianowi wniknąć w sposób „my-

ślenia” translatora - wyszło mu, że chodziło o „klerków”, a dokładniej o pra-

cowników. No bo wytwórnia kranów do wody, zatrudniająca tylko klerykałów?!

Na szczęście miał jakie takie podstawy rosyjskiego. Nawet niezłe i - mając

nadzieję na jakąś pracę, związaną z rosyjskim rynkiem - utrzymywane na tym

samym poziomie przez czytanie rosyjskiej prozy, gazet, oglądanie od czasu do

czasu filmów w wersji oryginalnej... Niemcy z jakąś masochistyczną przyjem-

nością usiłowały „wynagrodzić” skrzywdzonym kiedyś narodom cierpienie, stąd

w Berlinie co najmniej trzy małe kina wyświetlały rosyjskie filmy. Krystian dość

169

często sięgał do archiwaliów, łykał łyzy w ostatniej scenie Bondarczukowego

Sierioży, arystokratycznie i wygodnie rozparty na fotelu w rzędzie z podwójnym

odstępem chłonał *Wojnę i pokój*, *Romancę o zakochanych* czy banalną kome-

dyjkę z genialnymi piosenkami Tariwierdijewa *Ironia losu*. Co jakiś czas zmu-

szał się do oglądania kina współczesnego, wiedział, co to *czernucha*, *pornucha*,

żest', ale to kino go mało poruszało, nawet jeśli ociekało seksem, okrucieństwem,

krwią i dotyczyło tak zwanego rozliczenia z własną najnowszą przeszłością.

No i kiepsko rozumiał współczesny rosyjski, szybki, niechlujny, nasycony „błatem” i błotem, wulgarny i nieprzyjemny. Nie ten rosyjski Tołstoja, Czechowa, Gogola...

Zerkając na górną połowę ekranu, na dolnej, w drugim dokumencie spisywał potrzebne dane:

„Czausy, po białorusku Czawusy, miasteczko nad rzeką Płotnią. Prawa miejskie od 1604 roku. Herb - święty Marcin, stary herb. Nie wyróżnia się niczym szczególnym, również rzeka, dopływ rzeki Soż. O dwanaście kilometrów od miasta znajduje się klasztor. Ufundowany w II wieku przez Polaka, Gwidona Płotniewa-Laudańskiego, templariusza, rycerza i mnicha, potem już tylko mnicha. Porzucił stan ten, mając 38 lat, ożenił się z Jewdokią Usznią, spłodzili razem czterech synów i córkę, po czym Jewdokią zmarła. Wtedy nieutulony w żalu mąż zwrócił się ponownie do Boga. Ponad dwadzieścia lat wcześniej na brzegu rzeki Płotni istniała pogańska gontyna, którą Gwidon Płotniew-Laudański przebudował na kaplicę chrześcijańską. Natomiast po śmierci żony najpierw ufundowaną wcześniej kaplicę rozbudował do świątyni, a potem, wraz z synami trudząc się co dzień, zbudował klasztor, w którym się po zakończeniu budowy zamknął. Nie przeszkadzało mu to w powrocie na łono templariuszy, dzięki jego zabiegom i sprzyjającej konfiguracji geopolitycznej, czyli - po prostu - dążeniom templariuszy do ekspansji na wschód, powstała tu komandoria i przez czas jakiś była największą w tej części Rusi. Po półwieczu i procesach templariuszy, ale dobre kilka lat po nich dopiero, bo tu zakonu rycerzy nie dotknęły żadne restrykcje, komandoria upadła, klasztor przejął zakon braci filimońskich. W XVII

wieku klasztor otrzymał ziemie i prawo do połowu ryb i sianokosów aż do ujścia Płotni do Sożu i transportu wodnego do tegoż ujścia. Dziś w tym miejscu istnieje Czauśka Priedtieczenskaja Pustelnia - klasztor męski, o sześćdziesięcioosobowej 170

obsadzie”. O dziwo, klasztor był nieźle opisany w Internecie.

-
Chyba się braciszkuwie piekielnie nudzą na tym zadupiu - mruknął do siebie Krystian.

Znalazły się też tu księgi ziemskie okolicy. Korzystając ze sprawnie działającej wyszukiwarki, Krystian przeszukał je pod kątem występowania kilku nazwisk: Sommer, Fiejski i nazwiska rodowego matki - Kuzemska. Nie występowały. Przynajmniej w księgach.

Krystian rozsiadł się wygodnie w fotelu, wpatrzony w mapę okolicy, potem uważnie przyjrzał się zabudowie: szczątkowym, dziś starannie odsłoniętym, śladom kaplicy pogańskiej, równie starannie odnowionej świątyni, a potem schematowi budowy klasztoru.

Kierując się impulsem, jeszcze niezwerbalizowanym pomysłem, trącił klawisz „Drukuj”, a potem, konsekwentnie ulegając niezrozumiałym bodźcom, wszedł do geowyszukiwarki i wydrukował kilka map okolicy, łącznie z dojazdem do Czauś - od granicy z Polską: Brześć, Słuck, Bobrujsk... Potem długo wpatrywał się w wydruki. W końcu machnął ręką i zamówił w *online-buchhandlung* drogową mapę Białorusi.

Podszedł do okna i długą chwilę wpatrywał się w zazielenioną już intensywnie okolicę. Na sąsiadującej posesji szczupły starszy pan, wyposażony w nako-

lanniki, chromowane narzędzia i kilka worków z nawozami, torfem i korą, porządkował swój ogród, w którym usiłował połączyć zamięłowanie do porządku - wyznaczając nienagannie proste ścieżki, z oszczędnością - czyli czyniąc je wąskimi na jedno kółko, dla jednej osoby. Dwie osoby bowiem napotkawszy się, musiałyby albo cofnąć się do skrzyżowania, albo objąć się i ostrożnie drepcząc, wyminąć.

-

Kalendarz? - mruknął do siebie.

Wrócił do laptopa i zaczął budować kalendarium.

19 marca - napaść „Rubika”, nieudany atak: pomoc przypadkowych mundurowych

23 marca - zamach na przejściu dla pieszych. Awantura z Urszulą po telefonie matki. Tego samego dnia wieczorem rozmowa z Ulą o rodzicach.

Przeprowadzka do Sandry - na propozycję Uli

171

27 marca - morderstwo w Zakliczynie

3 kwietnia - zawiadomienie o morderstwie, wyjazd do Polski z Sandrą

4 kwietnia - Polska. Aspirant Nieskoba. Dowiaduję się, że 29 marca rozbił się „Rubik” i jego kompani

Wpisał wypadek samochodowy bandziorów w odpowiednie miejsce, by zachować chronologię:

19 marca - napaść „Rubika”, nieudany atak: pomoc przypadkowych mundurowych

23 marca - zamach na przejściu dla pieszych. Awantura z Urszulą po telefonie

matki. Tego samego dnia wieczorem rozmowa z Ulą o rodzicach.

Przeprowadzka do Sandry - na propozycję Uli

27 marca - morderstwo w Zakliczynie

29 marca - wypadek bandziorów

3 kwietnia - zawiadomienie o morderstwie, wyjazd do Polski z Sandrą

4 kwietnia - Polska. Aspirant Nieskoba. Dowiaduję się, że 29 marca rozbił się ten „Rubik” i jego kompani. Jeden z nich nie żyje

6 kwietnia - Hugo naprowadza na trop Chwarszczan

7 kwietnia - Chwarszczany - znalezisko

8 kwietnia - wyjazd z Chwarszczan

8 kwietnia - Zakliczyna: pogrzeb matki, atak „Rubika”, aresztowanie „Rubika”, postrzelenie jego kompana

13 kwietnia - Berlin - przeszukiwanie Sieci w poszukiwaniu śladów prapra-
pra?...babci w Czausach

Tu zrywały się dane czasowe. Niecałe trzy tygodnie. Więcej zgonów, wypadków, przygód niż w całym poprzednim, trzydziestotrzyletnim życiu Krystiana Sommera.

Sprawdził, czy kalendarium zachowało się w jakimś pliku, skasował wszystko, co mogło zawierać dane, zwłaszcza o znalezisku, opróżnił kosz.

172

Nie miał złudzeń co do efektywności podjętych działań, nie znał się na komputerach przesadnie, ale na tyle, by wiedzieć, że zwyczajne kasowanie nie jest problemem dla jakiegokolwiek wykształconego hakera czy nawet adepta tej sprawności. Ale on sam miałby już problemy z wyłuskaniem kasowanych da-

nych, przyjął więc, że przynajmniej tak utrudni działanie potencjalnym... Komu?

Na chwilę oderwał się od klawiatury.

„Przecież moi wrogowie albo nie żyją, albo są w więzieniu czy na szpitalnym OIOM-ie! - pomyślał. - Dorobiłem się wrogów i szybko ich straciłem, więc przed kim mam się ukrywać, przed kim zatajać dane? Urszulą? Tak, trochę tak. Na złość wszystkowiedzącej i wszystko-le-piej-robiącej starszej siostrze. Ona nie odzyska danych, może Jürgen, ale nie ona. Może Sandra? Tak, ona by mogła. To zaskakująca kobieta - piękna, nierozpieszczona lala, ze sporą i zdumiewająco różnorodną wiedzą. No tak, ale przecież Sandra doskonale wie, co znalazłem, gdzie, kiedy i co zawiera znalezisko! Głupek”.

Przejrzał terminarz, odłożył na biurko, odblokował odpowiedni mechanizm i zaczął się kołysać w fotelu.

„Babcia owa nie występuje w księgach z okolicy. Co nie musi nic znaczyć.

Chociaż panuje powszechne przekonanie, że jeśli już jakaś księga z owych czasów dotarła do naszych, to na pewno nie jest fragmentaryczna. Pisarze ówczesni nie mieli nic innego do roboty, jak spisywanie danych i oddawali się temu z lubością i poświęceniem. Czy... Hm, czy to może być taki znak, jak Hugo w ręku matki?” Poczł mocniejsze bicie serca. Zerknął na zegarek, sięgnął do telefonu i już za drugim razem połączył się z informacją kolejową. Paniienka wybiła mu dość szybko pomysł jazdy na Białoruś pociągiem, zwłaszcza z prześiadkami. A właściwie powiedziała tylko, że nikt niczego nie gwarantuje, zwłaszcza miejsc w pociągu, ponieważ obowiązujący tam system pozornie sprzyja pasażerom: tylu wsiada, ile jest miejsc siedzących, ale jeśli miejsc nie ma, to nikogo nie obchodzi, że następne wolne są w pociągu za osiem dni.

- Dziękuję.

Pośmiał się chwilę cicho. Mówi się, że Imperium Brytyjskie tkwi w tradycji, że Chiny się niemal nie zmieniają, a tu - proszę, jest kraj, który w ogóle się nie zmienia. Z nudów zerknął do sieci na strony o współczesnej Białorusi. Po dwóch godzinach przyłapał się na tym, że już powoli w myślach kalkuluje trasę, czas,

173

przebieg... Potem przyniósł z garażu kilka preparatów i korzystając z sieciowych poradników, rozłożył po raz pierwszy walthera, przeczyścił i złożył, niemal bez komplikacji. Powtórzył więc zabieg, i jeszcze dwa razy.

„Przecież nie będę ze sobą woził ściągawki z czyszczenia broni! - pomyślał. -

Inna sprawa, że mogę na tym popłynąć... No i - po co mi ta spluwa? Przecież ten drab siedzi! Stop! A jeśli to nie była jego inicjatywa? Jeśli wykonywał czyjeś zlecenie? Ten ktoś, widząc, że jeden się nie sprawdził, może wysłać innego fachowca?! Kurczę pieczone!”

Poderwał się i przespacerował do okna i z powrotem. „Ci dwaj pomocnicy blondyna... Wyglądali jak jacyś fanatyczni, fundamentalni napaleńcy z szaleńczo błyskającymi białkami oczu. Ale - do jasnej i niespodziewanej! - co ja mam do terrorystów? Do jakichś fanatyków, czy to religijnych, czy politycznych, czy kulturalnych albo cholera wie jakich! Nawet nie chodzę na głosowania, ani polskie, ani niemieckie. Nie byłem w Izraelu, nie byłem w Palestynie, w Afryce nie biłem Murzynów ani oni mnie, zapłaciłem im wynegocjowaną kwotę. Kto może mieć do mnie istotne pretensje i o co? Nawet, na Boga, nie mam widoków na zemstę zdradzonego męża! Wręcz podręcznikowy ze mnie przykład nieszkodliwego i niewadzącego nikomu faceta! Pomyłka, to musi być pomyłka!”

Zaraz potem jednak pomyślał, że czy zabiją go przez pomyłkę, czy nie - jeden diabeł. Rzucił okiem na ekran, na którym widniały urywki z bieżącej białoruskiej prasy, i wyszedł z pokoju. Na dole zrobił sobie dużą Cuba Libre, opuszczając sok z limonek, których nie było, a cytryna nie nadawała się jego zdaniem kompletnie do tego drinka. Opadł na fotel, wybrał odpowiednie przyciski i rzucił na ścianę ekran telewizora. Dźwięk wyłączył, bezmyślnie popatrywał na ekran, ale myślał w kółko o tym samym: czy konstrukcja myślowa, zgodnie z którą może się spodziewać kolejnych zamachów, jest słuszna i co na to wskazuje, a co pozwala odetchnąć i wyłączyć siebie z tej sprawy. Tak minęła godzina i kawałek drugiej. Podczas późnego obiadu zrelacjonował Sandrze to, do czego doszedł, i poprosił ją o opinię.

-

Wiesz co... - zamyśliła się, patrząc ponad jego głowę. - Sama na to nie wpadłam, ale twoje konkluzje są przekonujące, przykro mi. Ten gość do ciebie osobiście nic nie ma - powiedziała z mocą.

174

-

Dlaczego tak sądzisz? - zapytał szybko, chcąc sprawdzić, czy jej tok rozumowania zgadza się z jego tokiem.

-

Ostatnie spotkanie. Pamiętasz? Przecież dopadł nas. Gdyby nienawidził cię z jakiegoś własnego prywatnego ludzkiego powodu - strzeliłby. I próbował uciec. Albo i nie, mógłby zostać, uznawszy, że jakiś tam cel życia osiągnął - zemścił się, zabił Krystiana Sommera. Ale on cię nie zabił, nie chciał zabić.

Pewnie chciał porwać, a skoro się nie udało - odpuścił. Poddał się, nie wyrządzając nam krzywdy. Czy to nie potwierdza tezy, że ma głębszy cel? On albo ktoś inny.

-

Niestety - westchnął. - Doszedłem do takiego samego wniosku: nie strzelał do mnie, zostawił mnie sobie na potem. Sobie albo komuś innemu. Jestem im potrzebny żywy. Ale - plasnął dłonią w ławę - dlaczego? Do czego?

Jeśli sądził, że na drugie pytanie łatwiej będzie znaleźć odpowiedź, to się mylił, mina Sandry wskazywała, że nie ma pojęcia. Pokiwał głową i on.

-

Ja też - powiedział. - To frustrujące - poskarżył się żartobliwie.

-

Po raz pierwszy w życiu człowiek jest ważny, a tu drobiazg - nie wie, z jakiego powodu. Ależ ten świat jest przykro urządzony.

Sandra przyglądała mu się, wodząc czubkiem języka po górnej wardze.

-

Co? - zapytał zaniepokojony.

-

Jak na człowieka ściganego masz dobry humor. Zazdroszczę ci i podziwiam.

Poczuł, że się czerwieni.

-

Wiesz, niby wiem, że ktoś mnie ściga, ale inny kawałek mózgu podsuwa inną informację: to nieprawda, dlaczego ktoś miałby to zrobić i po co? To nie film,

może to sen? Dokładnie tak samo zachowuje się kierowca jadący z idiotyczną prędkością: dlaczego miałyby mi się stać coś złego? To przytrafia się innym.

Uświadomił sobie, że chciał uspokoić Sandrę, a tymczasem mógł osiągnąć kompletnie przeciwny efekt. Westchnął.

-

Nie ma co się przejmować, póki te dywagacje są tylko ćwiczeniami umysłowymi.

-

I bardzo dobrze. Ja lubię z wyprzedzeniem rozważać wszystkie możliwe warianty...

-

A życie potem i tak kieruje sprawy na kompletnie inne tory - wtrącił się.

175

-

Tak. Też masz takie wrażenie? - Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Ale wiesz co? Nie przestaję tak działać, bo wydaje mi się, że samo rozważanie niedobrych wariantów powoduje, że one nie występują. Nie zauważyłeś tego?

Zastanawiał się chwilę.

-

Może i jest coś niegłupiego w twoich słowach... - zaczął wolno.

Prychnęła jak zirytowana kotka.

-

Dzięki, panie!

-

Nie, poczekaj. Ja wolno myślę. Zastanawiam się, czy mnie też to wychodzi, bo i ja lubię takie gdybanie: jak zrobię to, to wyjdzie tak, a jak inaczej, to będzie gorzej. Lub lepiej. I... No masz rację! Jak już wszystko przemyślę, to rano zaczyna padać deszcz i spotkanie nie dochodzi do skutku, i wszystko idzie kompletnie inaczej.

-
Złośliwość losu?

-
Jakiś fantasta napisałby opowiadanie o tym, że ilość wariantów działania jest określona, że zastanawiając się nad nimi, wykreślamy je z realizacji - rzucił, zerkając przez okno.

-
No to napisz - zaproponowała.

Pokręcił głową, choć bez przekonania.

-
Kiedyś korciła mnie fantastyka, ale da-a-awno mi przeszło. *Ale à propos* przeszło - może przejedziemy się na spacer do Tiergarten? Tam już pewnie czuje się lato...

Zawahała się. Pokręciła głową z żalem.

-
Nie mogę. Mam spotkanie, już nie mogę się od niego wykręcić... Przepraszam, innym razem z dużą przyjemnością. Nawet jutro.

-
Okej. To ja skoczę sam. Będę wiedział, czy warto, a jak nie - poszukamy

czegoś innego. Do zobaczenia.

Poszedł do swojego pokoju, żeby się przebrać z wygodnych domowych sztruksów.

I żeby wyłączyć zabezpieczony hasłem laptop.

Back-upy danych miał w memory sticku znajdującym się w szwajcarskim scyzoryku. Miał nadzieję, że nie każdy o tym wie. Inna sprawa, to też wiedział, że każdy, kto go zrewiduje, zainteresuje się sporym, wielofunkcyjnym kozikiem.

Trudno.

Drugi memory stick ukrył w prostym budziku.

176

Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

„W końcu nie jestem zawodowym przestępcą, zawodowym szpiegiem ani profesjonalnym obrońcą prawa” - pomyślał, wkładając polarową kamizelkę.

Sprawdził, czy ma kartę i portfel, i zbiegł po schodach.

-

Weź samochód - powiedziała Sandra, idąc ze swoją służbową teczką do góry.

-

Nie tam! Mam w sobie wielkie zapotrzebowanie na spacer...

-

Ale stąd to godzina do przystanku!

-

Akurat tyle mi trzeba. Potem będę siedział kolejną godzinę. Pa!

-

Tschüss! - rzuciła i ominąwszy go, poszła na górę. „Zdenerwowana? Zła?

Na mnie? Na mnie chyba nie ma powodu.

Praca? Upierdliwi klienci? Normalnie zapytałbym Urszulę, czym one się zajmują tak dokładnie, ale z moją siostrą to nie przejdzie: albo zacznie tak głądzić, że się człowiekowi odechce wiedzy, albo opryskliwie zapyta, co mnie to obchodzi, albo zbędzie milczeniem i wyrazistą miną”.

Wyszedł z domu, przyjrzał się niebu, wcisnął na głowę sztruksowy kaszkiet i różnym krokiem ruszył w stronę przystanku.

„Godzina?... Nie, trzy kwadranse. *Trzy kwadranse jazzu* - była taka audycja w Trójce. „Ptaszyna” Wróblewskiego? Chyba tak. Czy jego też pogonili z mojego ulubionego kiedyś radia? Które dyktowało mody, podawało trendy, lansowało, a teraz nadaje te same «hiciory», co i reszta komercyjnych... Ech, co za czasy...”

20. 15 KWIETNIA, 8.55

Mury szpitala, z niewątpliwie pamiętającej niemieckie czasy cegły pomalowanej olejną farbą zawsze wywoływały irytację u aspiranta Nieskoby - kiedyś interesował się architekturą, nawet przygotowywał się na ten kierunek, ale kiedy się dowiedział, że na jedno miejsce na studiach ubiega się czternastu kandydatów - podłamał się. A gdy jeszcze stryj, który miał znajomych architektów, powiedział mu, ile zarabiają oni w biurze projektowym - ucieszył się, że ma powód, by nie składać dokumentów do Szczecina.

Ale jego oko wciąż rejestrowało brzydotę, barbarzyństwo - lakierowanie cegły, i to niechlujne, uważał za rzecz godną publicznego batożenia. Żadne

względy higieniczne i praktyczne nie usprawiedliwiały takiego postępowania ze

szlachetnym tworzywem, za jakie uważał cegłę.

Patrząc pod nogi, dotarł do kraty, zadzwonił. Z trudem wywalczył u przełożonych ochronę dla rannego kompana blondyna, jednoosobową, więc niemal żadną. Ale szpital, jak wiele innych rękami i czym tylko się dało broniący się przed pacjentami, dysponował sporą liczbą wolnych izb - udało się znaleźć końcówkę korytarza, kiedyś mały oddziałik psychiatryczny, zamknięty kratami. Nieskoba nie miał wątpliwości ani co do potencjału ogniowego pilnujących rannego bandziora, ani co do przemyślności zabezpieczeń. Ale więcej i tak nie był w stanie zorganizować, więc udawał przed sobą, że wszystko jest okej. Policjant siedział rozparty w niskim wygodnym fotelu u zbiegu dwu korytarzy. Przynajmniej tyle dobrego. Kraty były o dobre dwadzieścia metrów od niego. Na widok Nieskoboy zaczął się podrywać. Trwało to tak długo, że zirytowany aspirant włożył rękę pod kurtkę, wyjął, ułożył palce w pistolet i strzelił cztery razy.

-

Pif-paf, pif i paf! Kapralu, po czterokroć nieżywy! - powiedział bez specjalnej złości.

Na krzeselku nie wysiedziałby ośmiu godzin. A tyle musiał.

-

Panie aspirancie, mam na oku oba wejścia. Ja...

-

Dobra. Coś się dzieje?

-

Nie. Chodzą do niego regularnie. Jak kogoś nie znam - zapisuję - wskazał

notatnik na stoliku. - Staję w drzwiach i pilnuję. Ale wie pan - ja się nie znam, mogą mu wcisnąć kilo trutki w żyły, a ja nawet nie mrugnę.

-

Ta... wiem... - Nieskoba zastanawiał się chwilę. - Powiem, żeby nowa osoba nie przychodziła tu sama. Koniecznie musi jej towarzyszyć ktoś wam znany. Pilnujcie tego!

Szeregowy zsalutował. Nieskoba ruszył do izolatki, w której walczył o życie ranny. Ranny czy mordowany?

W ciągu kilku dni mężczyźnie wyostrzyły się rysy, jakby został kompletnie pozbawiony jedzenia. Albo jakby przemknęła nad nim ręka Śmierci. Przemknęła, wyciosała kanty, pogłębiła zagłębienia oczodołów, wygładziła czoło. I pomalowała oblicze - na białe i sine.

178

W pokoju rozlegał się regularny pisk urządzenia monitorującego akcję serca rannego, jego ciśnienie i coś tam jeszcze. Nieskoba usiłował przeforsować wyłączenie dźwięku, ale lekarz się nie zgodził i dlatego umieszczony tuż przy ustach pacjenta mikrofon, który miał w razie jakiegokolwiek dźwięku uruchomić cyfrowy dyktafon, nagrywał w kółko to popiskiwanie aparatury. Trudno. Nieskoba przełączył dyktafon na odsłuch, włączył ośmiokrotną prędkość odsłuchu, przez kilka minut ucziwie wsłuchiwał się w jeden przeciągły, wysoki pisk sygnałów aparatury. Trzy razy, słysząc coś innego, zatrzymywał przewijanie i odsłuchiwał odgłosy krzątania pielęgniarek i zalecenia lekarzy. Potem wracał do słuchania pisku.

„Żeby tak kamerę? - pomyślał. - Co mi z tego, że usłyszę, jak ktoś go mor-

duże? Stop! - wpadł mu do głowy pomysł. - To może jest do zrobienia? Tanio!”

Wyczepił motorolę z kabury na pasku. Dwoma klawiszami wywołał kolegę z komendy.

-

Janusz? Patrz, taki pomysł. W izbie chorych umieszczam kamerę internetową, ciągnę jej kabel do dyżurki lekarzy, tam jest komp ze sztywnym łączem, podłączam ten programik, który mi pokazywałeś, ten do zdalnego sterowania komputerami, i mam u siebie w komendzie podgląd z izby, tak?

-

Hm... Niby tak. A potrzebujesz tego? Tego kabla to ze trzydzieści metrów?

-

Jakoś tak. Zmierzę. Ale czy to będzie działało?

-

No tak, tylko żeby nikt tam nie wyłączał komputera. I tu.

-

A u nas da się to nagrywać?

-

Pewnie. - W głosie Janusza dał się nawet słyszeć jakiś szczątkowy entuzjazm. - Pokażemy starej, że działamy nowocześnie, nie?

-

Tak. Jasne. To jaki kabel?

-

Ba! Ja ci nie powiem. Ale zrób tak, idź do domu towarowego, na drugim

piętrze mają stoisko z pierdołami do kompów, tam każesz sobie odmierzyć, ile chcesz, kabla, do tego dwie wtyczki, do kamery i portu USB, i powiesz, żeby ci je zrobili. Rachunek i tak dalej. To będzie ze cztery dychy...

-
Dobra. Dzięk.

Włożył telefon do kabury, zerknął jeszcze raz na rannego.

179

Wyszedł i zaczął liczyć kroki, przemierzając korytarz w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyszedł. Pięćdziesiąt kroków do biurka z komputerem.

Razy siedemdziesiąt centymetrów - trzydzieści pięć metrów, niech będzie czterdzieści. Kamera leżała w biurku. Poprosił siostrę oddziałową i wytłumaczył jej, dlaczego do rannego „specjalnej troski” nie może iść nikt nowy, nieznanymi policjantowi, potem odbył krótką rozmowę z lekarzem dyżurnym. Ani przełożona, ani lekarz nie widzieli przeciwwskazań, by pacjenta pilnowała również kamera, obiecali dopilnować komputera i powiadomić cały personel, żeby nikt nie wyszarpywał kabla, nie przestawiał kamery i nie wyłączał komputera.

Nieskoba, mocno z siebie zadowolony, wyszedł na ulicę i z przyjemnością odetchnął przedpołudniowym, ale już ciepłym powietrzem.

„Przesłuchanko? Na pogorszenie humoru? - pomyślał. - Czemu nie? Niech mu się nie wydaje, że już mnie załamał”.

Ruszył w kierunku domu towarowego.

* * *

-
Proszę siadać - powiedział aspirant Filip Nieskoba do wprowadzonego do

pokoju przesłuchań mężczyzny.

Blondyn miał skute ręce i nogi, łańcuszek łączący obie pary kajdanek został tak dopasowany, że pozwalał mu na w miarę sprawne poruszanie się, ale wykluczał gwałtowniejsze ruchy czy większe kroki. Doprowadzający go policjanci zostali pouczeni przez Nieskobę, co i jak im pourywa, jeśli dadzą więźniowi choćby cień szansy na ucieczkę czy bójkę.

-

Ach tak, przecież nie rozumieć polska mowa, *ja?* - zakpił Nieskoba. -

Twoja „zitsen na dupenszpil, pliz”!

Uśmiechnął się i pokręcił głową. Wskazał aresztowanemu krzesło, ten usiadł po sekundzie jakby zastanowienia albo szacowania: sięść na nim czy cisnąć nim w aspiranta. Krzesło zbudowane było jednak z bardzo solidnych kątowników i tak osadzone w podłodze, że bez czterech kostek materiału wybuchowego nie dałoby się poruszyć. Podobnie stół i drugie krzesło.

-

Wiemy, że znasz polski, bo w tym pięknym języku trzech wieszczy odzywałeś się do pewnego Polaka w Berlinie. Zatem - nie będę się wysilał na

180

mówienie po angielsku, nie będę sprowadzał tłumacza na niemiecki, bo to nie ma sensu.

To był standardowy początek przesłuchania. Nieskoba identycznie zaczynał od siedmiu dni wszystkie próby rozgadania aresztowanego. Za każdym razem sprzedawał mu malutką część posiadanych informacji, pilnując oczywiście, by nie zdradzić niczego naprawdę ważnego, co by mogło ruszyć śledztwo z miejsca.

-
Już ci mówiłem, że twój poparzony koleżka nie spalił się do umentu.

Ocalały dłonie, które przykrył resztą pieczeni.

Nie do końca była to prawda, ale lewa dłoń ocalała niemal w całości, z prawej dało się pobrać jeden odcisk dobry i dwa fragmentaryczne.

Nieskoba wyjął z teczki fotografie, których jeszcze nie pokazywał aresztowanemu.

-
Oto on. - Położył przed aresztantem zdjęcie, na którym nagi spalony mężczyzna leżał na stole prosektoryjnym. Janusz podmienił na zdjęciu prawą spaloną dłoń, na fotografii trup miał dwie dłonie zachowane. - Piękne odciski. Do tego mamy oczywiście te drugiego kompana, może nawet brata tego suchara, i jego gadanie. Owszem, przyznaję, mamy problem z identyfikacją języka, jakim się posługuje, ale to kwestia godzin - skoro już zaczął gadać, to prędzej czy później się dogadamy. Wiesz - bo do tanga trzeba dwojga! A on jest chętny, i ja też.

Wyjął i pokazał drugie zdjęcie - nieprzytomny ranny miał tu otwarte powieki i przytomne spojrzenie. Przesłuchiwany nie urządzał demonstracji, rzucił uważne spojrzenie na pierwsze zdjęcie, jeszcze uważniej przyjrzał się drugiemu. Nieskoba w duchu zawył z radości. Pokazał wczoraj to zdjęcie znajomej lekarce, która od razu pokręciła głową.

-
No co? Co ci się nie podoba?

-
Patrz tu. - Wskazała czubkiem paznokcia monitor nad głową rannego. -

Tu jest tak zwana saturacja. Oznacza nasycenie cieczy gazem. W medycynie najpowszechniejszym pomiarem jest pomiar saturacji krwi tlenem. Zapis jej będzie wyglądał na przykład: „SaO₂ 97%”. Wartość saturacji krwi tlenem u zdrowych ludzi waha się w zakresie SaO₂ 95%-99%. U palaczy wartości te są nieco niższe. Ale u twojego rannego mamy 93%, nie może być przytomny!

Filip wrócił do Janusza, obaj poklęli serdecznie. Wymiana cyferek w okienku monitora była banalna.

181

A teraz, widząc czujny wzrok aresztowanego, badający każdy centymetr fotografii, aspirant Nieskoba pogratulował sobie znajomej, nie dość, że nadzwyczaj przytulnej w łóżku, to jeszcze fachowej na co dzień. Mężczyzna skończył badanie fotografii, podniósł beznamiętne spojrzenie na policjanta.

Milczał nadal. I nic nie wskazywało na to, że zamierza skończyć z niemym życiem.

Nieskoba polecił od razu osadzenie go w „klatce” z widokiem na inną, też okratowaną celę. Miał nadzieję, że sprowokowany przez innych więźniów „Rubik” zdradzi się czymś. Ale się zawiódł. Aresztowany zbywał milczeniem wszystkie zaczepki towarzyszy z drugiej strony korytarza, kamera nie zarejestrowała cienia zainteresowania propozycjami grypsów, dobrych papug, papierosów. Nie zareagował na pogróżki i wulgarne propozycje. Po prostu - tkwił w kokonie milczenia. Wytrwale i mocno. Znalaziono przy nim tylko i wyłącznie broń oraz dwa zapasowe magazynki, wszystko bardzo starannie wyczyszczone i pozbawione jakichkolwiek śladów oprócz odcisków samego „Rubika” nie miał żadnych dokumentów, telefonu, notatnika, nawet biletów komunikacji. Nic,

kompletnie pusty. To samo jego zastrzelony kompan. Samochód z wypożyczalni miał ślady, zupełnie nieprzydatne, po poprzednich użytkownikach, po mechanikach, urzędnikach Hertza. Kompan zatrzymanego miał na spodniach kilka psich włosów, i to były jedyne ślady, jakie udało się pobrać, sklasyfikować, zachować.

-

Chłopie, najadłeś się szaleju, albo naoglądałeś *CSI: Kryminalne zagadki Nowego Jorku* - prychnął z niesmakiem Kalentowicz z laboratorium. - To oni, jak widzą kroplę smaru, od razu podają z czachy listę stu czterdziestu ośmiu firm używających zrecyklingowanego oleju do frytek, a po jednym szponie mogą określić wiek, płeć, adres zamieszkania kota i natężenie zespołu napięcia przedmiesiączkowego właścicielki. Ja - nie. Ja nawet ZNP swojej żony nie umiem przewidzieć!

-

Zrób, co możesz, co? - poprosił Nieskoba.

-

Co mogłem - zrobiłem - zapewnił go Kalentowicz i uściskawszy dłoń, podprowadził pod drzwi, wypchnął i zatrzęsął je stanowczo.

Nieskoba, oczywiście, nie poinformował o tym zatrzymanego.

-

Dane popłyną z Interpolu, z USA, z Rosji. Nie ma szans, żebyś już gdzieś nie nasrał. - Nieskoba sięgnął do stojącego na małym stoliczku na kółkach za

182

jego krzesłem kubka i apetycznie siorbnął mocnej, potrójnej kawy. Nie dlatego,

że lubił takie szatańskie napary - zapach tego napoju miał wzburzyć aresztowanego, który po tygodniu „abstynencji” powinien się ślinić na widok kawy, czując jej aromat.

Ale się nie ślinił. Nie przełykał. Nie poruszyły mu się nozdrza. Nieskoba poczuł lekkie rozczarowanie. Łyzeczka dziegciu w antałku miodu.

-

Przyznam, że to nieszablonowa obrona - powiedział Nieskoba, odstawiając kubek. - Ale jeśli wydaje ci się, że sąd nie wyda wyroku skazującego tylko dlatego, że personalia sprawcy usiłowania zabójstwa, potrójnego zabójstwa, współdziałłu w zabójstwie, usiłowania porwania, a na końcu napaści czynnej na funkcjonariusza są w tej chwili nieznane, to mocno się mylisz. Po pierwsze, zidentyfikujemy cię. To nie podlega dyskusji. Po drugie, mamy taki kruczek prawny, który pozwala na sądenie NN. Podchodzisz pod to idealnie, jak szyja do stryczka. Przy czym ty - szyja, ja - stryczek. Jak ci pasi ta zabawa?

Aresztowany milczał. Nieskobie przychodziły już wcześniej różne myśli do głowy: trzasnąć w łeb, opluć, kopnąć w rzepkę kolanową, chlusnąć wrzącą kawą w twarz. Wszystkie te, niewątpliwie przyjemne czynności miały jedną wadę: uświadomiłyby więźniowi bezsilność prowadzącego śledztwo. Dlatego rozparł się wygodnie, podniósł teczkę na kolana, uchylił ją, tak by nie było widoczne wewnątrz, i pogrzebał w papierach.

-

Albo nie. Na dziś wystarczy.

Zdecydowanym ruchem zatrzaskał teczkę. Miał pewność, że ulotki reklamowe ze stoiska telewizyjnego - Nieskoba szykował się do zakupu telewizora z

ogromnym płaskim ekranem - nie złamię upartego aresztanta.

-

Ślady bezpośrednie - odciski palców, ślady na nożach znalezionych w samochodach i przy tym postrzelonym przez ciebie - prostował palce w miarę wyliczania. - Świadcowie, bo są i z klasztoru, i z parkingu w lesie, gdzie wspólnie podarowałaś strażnikowi leśnemu zapalniczkę. Ten użył raz, schował do kieszeni, a widząc wybuch golfa bardzo przytomnie przełożył do woreczka foliowego, co pozwoliło zidentyfikować kilka odcisków... W każdym razie - jest tego, jak na nasze zapotrzebowanie, aż nadto. Chętnie, przyznaję, poznałbym twoją wersję, ale, zapewniam cię, nie jest konieczna do wsadzenia cię do paki na całość, ćwiartka, bez żadnych zawiasów, bez prawa apelacji, widzeń.

183

A jak się rozniesie, że torturowałaś zakonnice!... - Przewrócił oczami. - Nasi więźniowie to bydło, które usiłuje polepszyć własny wizerunek w swoich oczach, bezlitośnie karząc w pierdlach pedofilów, gwałcicieli i właśnie takich jak ty, krzywdzących niewinne bogobojne siostrzyczki. Masz przesrane. - Uniósł głowę. - Straż? Odprowadzić więźnia.

Gdy został sam w pokoju, poderwał się i plasnął z całej siły teczką o stół.

Potem podszedł do okna.

„Czy mi się wydawało, czy miał w oku jakiś taki błysk? Może już się łamał?

Może trzeba było go jeszcze chwilę potrzymać? Nie, jeśli kwitnie, to do jutra

puści paki, nawet lepiej. Niedoczekanie twoje, gnoju, żebym to ja pękł!”

Z tą obietnicą w głowie aspirant Filip Nieskoba opuścił budynek aresztu

tymczasowego, miejsce osadzenia podejrzanego o nieznanymi danych identyfi-

kacyjnych.

Obiecał sobie, że nie wyjedzie w tym roku na urlop, ale będzie codziennie, świątek-piątek gnębił parszywca. A jeśli zajdzie potrzeba - do przyszłych wakacji. W każdym razie do rozprawy. „I nieważne – myślał - czy kieruje mną chęć zabyśnięcia w sprawie z międzynarodowymi odgałęzieniami, co by mnie ładnie ustawiło w komendzie, czy po prostu chęć przywalenia gnojowi, który miota się po Polsce i morduje ludzi, jakby gniótł dokuczliwe mrówki faraona! Dopieprzę mu z całej siły: seria morderstw, strzelanina w biały dzień pod klasztorem, kradzieże pewnie, ten Turek w szpitalu, drugi - hamburger... He, he, zgrabny kalambur mi wyszedł - jeśli z Niemiec ten spalony... Dobra, Filipie, do roboty, podłączamy kamerę! O ile mi Janusz da. Jak nie - pieprzę, kupię za własne, pięć dych nie majątek”.

Ruszył do przyziemia, gdzie rezydował Janusz, komputerowy guru komendy miejskiej.

21. 17 KWIETNIA, 9.12

Gdy Krystian zastukał do drzwi pokoju Sandry, ta otworzyła tak szybko, że nie zdążył nawet opuścić ręki i wręcz odsunął się zaskoczony.

- Właśnie chciałam zgłosić gotowość, szefie - powiedziała wesoło.

184

Cofnęła się i wpuściła go do swojego pokoju. A następnie, równie radośnie, wciąż nazywając go szefem, zaproponowała swój udział w eskapadzie.

-

Po pierwsze, mam znajomego, który ma narzeczoną w ambasadzie Białorusi - wyliczała. - Wizę załatwi nam od ręki, dawno temu mi to obiecywał, gdy

bąknęłam, że chętnie bym zobaczyła taki rozległy i egzotyczny kraj. Pus... tsza...

- wyrzuciła z siebie na dwa tempa - ...Białowiejski? - dokończyła, świadoma, że gdzieś czai się błąd.

-

Białowieska. Tam akurat nie jedziemy, ewentualnie z powrotem. Ale możemy zobaczyć polską część, chyba jest... bezpieczniejsza?...

-

I o to chodzi! Ja bym chciała taką pierwotną, nieugłaskany las.

Krystian zastanawiał się chwilę. Zbir siedział za kratkami, wycieczka na

Białoruś mogła być co najwyżej nużąca, na pewno nie niebezpieczna. To w

końcu też Europa, cokolwiek by pisali niemieccy pismacy z bulwarówek. Dyktator nie chodzi po ulicach, żeby pałą tłuc niemieckich turystów.

-

Dobra, ty załatwiasz wizy, a ja samochód - zdecydował.

-

Nie rozumiem - zdziwiła się Sandra.

-

Nie pojedziemy twoim rzucającym się w oczy audi ani drugim, widocznym jak kruk na śniegu.

-

Gawron - poprawiła odruchowo. - Bo?

-

Bo ukradną. - Wykonał charakterystyczny kolisty ruch dłoni, jakby zagarniał coś i wkładał do kieszeni. - Jak to się mówiło: cap-carap!

-
Aha. - Wzruszyła ramionami. - Są ubezpieczone, ale rozumiem, że to może być nieprzyjemne. To co zrobimy?

-
Zobaczę, albo wypożyczymy i niech się Hertz martwi... - Przyszedł mu do głowy inny pomysł. - Albo pożyczymy od Jurgena jego toledo kombi. Remontował niedawno, pod kątem wyjazdu do Maroka, adaptował zawieszenie i jakieś tam inne rzeczy.

Jürgen chętnie pożyczył. Nawet jakby się ucieszył, że ktoś przetestuje jego podrasowanego seata.

-
Jest ósma - powiedział Krystian. - Liczę, że potrzebujemy dziesięciu godzin, ze staniem na granicy. Chciałbym do Mińska wjechać za dnia. To niecałe sześćset kilometrów, GPS podaje, że mamy siedem godzin jazdy. Optymista raczej...

-
No to jedźmy.

185

Na granicy byli kilka minut po dziewiątej. Minąwszy kilkukilometrową kolejkę ciężarówek i niemal bez zatrzymania polską odprawę, dojechali do kolejki samochodów osobowych, przeważnie z białoruskimi rejestracjami.

Dwa samochody przed nimi, w białej toyocie yaris siedziała trójka mężczyzn, po chwili wyszli, zapalili. Kierowca przeciągnął się, rozejrzał, zobaczył seata na niemieckich numerach, podszedł.

Przywitał się po niemiecku.

-

Dwie godziny stoimy jak nic - powiedział wesoło. - Państwo *pierwsze* *raze?*

-

Mówię po polsku - odparł Krystian.

-

O?! To lepiej, mój niemiecki jest słaby - powiedział Polak. - Mówię, że postoiemy tu dwie, może trzy godziny - przetłumaczył swoją wcześniejszą informację. - Chyba że da im pan suvenir. Dwadzieścia baksów.

Krystian zmarszczył czoło.

-

Za co? Przecież nie mam nic do ukrycia, nie przemycam nic, wyjazd turystyczny...

-

Niech pan nie będzie dzieckiem. Praca na granicy kosztuje ich koszarne łapówki, muszą to sobie odbić, i to szybko, bo nie wiadomo, kiedy zmieni się komendant, a zmienia się co pół roku, i nowy pociągnie nowych pociotków i nowych płatnych celników.

Krystian pokręcił głową. Walther spoczywał w obudowie płaskiego, specjalnie w tym celu zakupionego, owalnego stalowego termosu. Naboje w drugim; w jednym była kawa, w drugim - odpowiednio - herbata. Poza tym wszystko było legalne... Poza tym.

-

A pan dlaczego nie daje?

-

Ja już dałem. - Mężczyzna wyjął z kieszeni jakąś kartkę wielkości paczki papierosów. Cyrylicą wypisane były rubryki do wypełnienia. - Widzi pan? - wskazał palcem małą prostokątną pieczętkę.

-

Widzę, pieczętka. Że pan dał haracz? Aż tak bezczelnie? - zdziwił się

Krystian.

-

Nie. Ale ciepło. Przybita pieczętka, że pan się zgłosił do odprawy, cholera wie... Ops! Przepraszam panią! Nie wiadomo, czy te karteluszeki nie zostały w tym celu wymyślone. Normalny człowiek dostaje pieczętkę i czeka w kolejce. Im się nie śpieszy, tym miejscowym, poza tym dla nich dwadzieścia baksów to fura

186

kasy, cały dochód z przemytu by tu zostawili. Mają horyłkę, zakąskę, picie, koce... Mogą stać całymi dniami, czasem stoją. A ja mam pieczętkę, taką jak i oni, tylko przybitą... Widzi pan? Bokiem! Niby takie niedbałe przybicie, ale nie. - Pokiwał palcem i się roześmiał. - To oznacza: facet zapłacił, puścić. Panu przybijają normalnie, poziomo, postoi pan. Chyba że w paszport się panu wplączą dwie dwudyszki.

-

Nie, no nie mogę! - Krystian parsknął, a potem szybko przetłumaczył Sandrze opcję z pieczętkami. Bez słowa sięgnęła do torebki.

-

Mam różne walory - powiedziała. - Znajomy mnie uprzedzał.

-

No! Pani jest przygotowana, a pan jak dziecko. Pijane dziecko we mgle -

roześmiał się Polak. - O! Idą po nas. Do widzenia. Kłaniam się szanownej pani!

Szybko wrócił do wozu. Umundurowany Białorusin podszedł do toyoty,

wskazał jeden z torów, machnął ręką, przeszedł do opla z białoruską rejestracją.

Krystian włożył do paszportów po dwudziestodolarowym banknocie.

-

Dobryj dzień. Bieloruskij pasportnyj kontrol - zsalutował celnik.

Krystian podał mu oba paszporty. Usiłował patrzeć gdzieś przed siebie, może

dlatego nie zauważył, jakim sposobem i kiedy banknoty wpadły do trzymanej na

brzuchu sztywnej kasy na pasku, na której wieczku mundurowy przybił pie-

czętkę na karteczce. Podał ją Krystianowi, wykonując gest, jakby wpisywał na

niej faliste linie.

-

Proszu zapolnit' - powiedział wyraźnie. - *Wsie rubriki.*

„Jak się mówi wyraźnie, to wszystko można zrozumieć, tak sobie myśli” -

pomyślał Krystian, odebrał karteczkę, skinął głową, sięgnął po długopis.

Pieczętka była postawiona na sztorc.

Czterdzieści minut później podjechali pod szlaban autostrady, zapłacili osiem

dolarów i ruszyli kompletnie pustą szeroką, asfaltową, ale noszącą ślady czasu,

czasu - nie zużycia, drogą.

Niemiec nie nazwałby jej autostradą.

-

Tak zwana E30 - powiedział Krystian do Sandry. - Zbudowali ją energowcy na olimpiadę w Moskwie, w tysiąc dziewięćset... osiemdziesiątym? - zawahał się.

-
A dlaczego do Mińska? - zapytała Sandra, grzebiąc w torbie z kanapkami i owocami.

187

Mieli zapas na cztery dni.

-
Bo dalej nie zdążyli - roześmiał się Krystian. - Wybrano Niemców jako tych najbardziej niezawodnych, a oni zawiedli, albo umyślnie, albo po prostu przekraczało to ich możliwości techniczne. Do Mińska jest niecałe sześćset kilometrów, do Moskwy - dobrze ponad tysiąc. Nie dokończyli dzieła i nie chwalili się oczywiście za bardzo tą drogą. Z Polski do Mińska niewiele samochodów wtedy jeździło, droga mało potrzebna.

-
A teraz? Tak pusto?

Jechali już pół godziny i nie wyprzedzili ani jednego samochodu, nikt ich nie dogonił, nikt też nie jechał z naprzeciwka.

-
Obok chyba jest podobna, bezpłatna, wszyscy jadą tamtędy. Tą tylko obcokrajowcy. I wszyscy wiedzą, że nie należy przekraczać dozwolonej prędkości, bo sypią takie mandaty, że hej. I że przy każdym posterunku należy zwalniać do przepisowych czterdziestu, bo po prostu mogą sypnąć serią z kara-

binu maszynowego. To taki ichni sposób na kontrolę ruchu - kierowca zwalnia, oni mają czas się przyjrzeć, wycelować, gdyby zaszła potrzeba, i strzelać.

-

Nie żartuj! - Sandra wyjęła batonik owsiany i odwinęła opakowanie.

-

Nie żartuję. Jeśli ktoś przejedzie obok posterunku drogówki szybciej, z niedozwoloną prędkością, to już mają powód, żeby go ścigać albo zatrzymać na następnym punkcie, a poza tym - jeśli ktoś zadziera tym sposobem z milicją, widać ma powody. A oni mają też powód do interwencji.

Pokręciła głową.

-

Chciałaś egzotyki? - uśmiechnął się. - Tu jest jej dużo. Zobaczysz szerokie na sto metrów aleje, puste. Śmigają po nich tylko wozy zagranicznych turystów, miejscowych notabli i przestępców, zwyczajni Białorusini nakrywają swoje bryki pokrowcami, stawiają na cegły i uruchamiają raz na miesiąc. Zapytani odwracają spojrzenia i mówią, że transport państwowy jest tańszy i oni wolą jechać z grabiami i wiadrami na dach trolejbusem. Ech... No nic, to ich sprawa, ich problemy...

-

Oni kochają tego swojego prezydenta?

-

Czy ja wiem? - Wzruszył ramionami. - Chyba nie? Jest taki dowcip, opowiadał mi pewien znajomy, był tu załatwiać kontrakt na plastikowe okna.

Więc tak: jedzie prezydent przez wieś, pod koła wpada wieprzek, przejeżdżają

go. Łukaszenka mówi do kierowcy: „Idź, zapłać za tę świnię, nie możemy

188

pozbawiać jakiegoś biedaka jego dorobku”. Kierowca bierze pieniądze i znika.

Wraca po trzech godzinach kompletnie pijany. Gdy wściekły prezydent pyta, co się stało, kierowca odpowiada: „Wszedłem do knajpy, mówię: «Jestem kierowcą Łukaszenki i to ja zabiłem tę świnię», to całe towarzystwo rzuciło się do stawiania mi kolejki”...

Sandra zakrztusiła się batonikiem, musiał, prowadząc jedną ręką, drugą klepnąć ją między łopatki.

-

No tak... kochają... - powiedziała w końcu, ocierając łzy.

Krystian pomyślał, że inna na jej miejscu wyglądałaby teraz jak z reklamy kiepskich kosmetyków: rozmazane oczy, spływający po policzkach tusz, czerwony nos. Sandra używała bardzo dobrych kosmetyków, więc mogła, nie korzystając nawet z lusterka, otrzeć oczy i nadal wyglądać jak modelka przed wyjściem na wybieg.

-

O! Patrz! - Duża tablica informowała po rosyjsku i białorusku o zbliżaniu się do posterunku milicji drogowej. Zaraz potem pojawił się znak ograniczenia prędkości do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, potem kolejny i kolejny. Po zejściu do czterdziestki pojawiły się na poboczach, z prawej i lewej, piętrowe budynki z tarasami, z których gapiły się w przejeżdżających okrągłe gały reflektorów. Na tarasach po obu stronach szosy siedzieli milicjanci z kałachami opartymi o barierki, przy każdym budynku stało po kilka samochodów, od sko-

rodowanych ład począwszy po bmw, starszawych, ale rasowych i wyglądających na sprawne aż do przesady. Sandra pomachała palcami do wpatzonego w nią milicjanta. Nie poruszył nawet brwią. - Nie rób tego. Oni, gdy są w mundurach, są idiotycznie poważni i wyczuleni do absurdu na kpiny, a za kpinę mają wszystkie uśmiechy. Mundur zmienia ich w jakieś bestie nie z tego świata...

-

Hm... Nie będę więcej. - Opuściła rękę na kolano. - Ale nie strzelał! - powiedziała po chwili, kiedy minęli znak kasujący ograniczenie prędkości. Zerknęła w lusterko boczne. - Chyba... dzwoni gdzieś.

-

Nie dziwię się - stwierdził poważnie Krystian. - Pewnie telefonuje na następny posterunek: „Zatrzymajcie ich, to obejrzycie sobie na żywo Iżę Sco-rupco”.

-

Nie żartuj! - poprosiła po chwili Sandra.

-

Nie żartuję.

-

Czy to ma być taki bardzo zawoalowany komplement?

189

-

Komplement powinien być zawoalowany, musi być widoczne staranie komplementującego. Podobno najpiękniejszym komplementem jest jakiś z XIX wieku: „Czy mogłaby pani wyjść ze mną do ogrodu? Chciałbym pokazać panią

swoim różom”.

-

Czuję się zatem dobrze komplementowana.

-

Bardzo dobrze. - Popatrzył na nią. „Kto by chciał strzelać do tak pięknej kobiety?” - Żartowałem. Z tym strzelaniem - nie strzelają, chyba dla swojego widzimisię, dla sportu. Ale to, co mówiłem o mundurze, to serio. Zresztą, tu tak jest... a przynajmniej było, że każdy, kto ma choć odrobinę władzy, musi ją manifestować.

-

Dlaczego?

-

A ja wiem? Kompleksy? Opowiadał mi młody chłopak, niedawno gościł pod Kijowem, w jakimś małym kinie był z dziewczyną na filmie i całowali się. Nagle zapaliło się światło i jakaś stara wredna bileterka podeszła do nich i wycedziła, że to nie burdel, a kino! Wyobrażasz sobie?

-

E?

-

Serio. - Spojrzał w lusterko. Na drodze nadal było pusto. Na pasie bujnej trawy między nitkami autostrady pasł się koń. Krystian zwolnił do dwudziestu kilometrów na godzinę, zjechał maksymalnie na prawo, obawiając się, że koń się spłoszy i skoczy pod koła. Ale zwierzę, zainteresowane soczystą trawą, nawet nie zastrzygło uszami, gdy je mijali. - Czy jeszcze muszę mówić, że to egzotyczny

kraj? - Wskazał osłupiałej Sandrze brodą konia.

* * *

Wjechali do miasta późnym popołudniem, drogą P122, po lewej minęli cegielnię, potem miasteczko przysunęło się do przelotowej drogi, zgodnie z otrzymanymi jeszcze na granicy instrukcjami skręcili w lewo i po kilkuset metrach znaleźli się w centrum miasta.

-

Zobacz. - Krystian zatoczył koło palcem po mapie. - O tym, że to centrum, świadczą nazwy ulic: Lenina, Pionierska, Radziecka, Październikowa, Proletariacka... Bo Puszkina jest już dalej.

-

To nie ty powiedziałaś, że to skansen ZSRR?

-

Nie ja, ja tylko powtórzyłem, ale się zgadza. Idziemy się przejść. Hotelu, jak wiemy, tu nie ma albo nie polecają.

190

-

Chętnie rozprostuję kości.

Wyszli i ruszyli przed siebie, po prostu, żeby się przejść. Już po dwustu metrach, na rogu Lenina i Pionierskiej, odkryli hotel. Czteropiętrowy budynek musiał mieć ze czterdzieści lat i przez tyleż nie był remontowany. Wejście ozdobione były solidną sprężyną, zamykającą je samoczynnie, między skrzydła drzwi włożono solidny wałek z brudnej szmaty, widać ich huk przeszkadzał obsłudze.

-
Coś mi się nie podoba ten hotel... - mruknął Krystian. - Jak nic niefor-
malna centrala konfidentów pol... milicji czy innego GPU. Każą się meldować i
mamy ogon jak marzenie. A do tego kiepskie jedzenie i wilgotna pościel.

Poczuł, że ręka Sandry drgnęła. Pościel, zrozumiał, ją dobiła.

Skierował się Lenina w stronę Kalinina. Rzeka Basia, w futerale gęstego
dzikiego parku, rozdwojona w tym miejscu, oddzielała centrum Czaus od Za-
rzecza, gdzie, jak im powiedziano, znajdują na pewno przytulny pokoik. Przerwali
spacer, żeby wypić kawę i zjeść lody.

-
Chryste, nie jadłam lepszych! - powiedziała Sandra, szeroko otwierając
oczy. - Wyjeżdżamy, bo wbiję sobie w biodra kilka centymetrów. Jakie gęste,
aksamitne, ukręcone na masło... - wyliczała, wpatrzona w pucharek Krystiana, w
którym czekało jeszcze kilka łyżeczek delikcji.

Uśmiechnął się i podsunął jej pucharek.

-
Dobra, skoro nalegasz - zgodziła się szybko. - Tylko dzisiaj. I pobiegam
wieczorkiem! - obiecała.

-
Akurat na to się nie zgodzę, ja z tobą biegać nie będę, ale ponieważ po-
biegnie za tobą połowa miasta... Sama rozumiesz, mieliśmy nie przyciągać za
bardzo uwagi.

-
Myślisz, że pobiegliby? - Od razu sprecyzowała, która część miasta po-

biegłaby.

-

Na pewno. - Wyjął papierosy i zapalił. - Ja bym pobiegł.

-

Ale już czujesz się zwolniony z obowiązku, co? - Pochylona nad pucharkiem, zerknęła na niego spod grzywki.

„Odebrałbym to jako kokieterię - pomyślał. - Gdyby nie jej preferen...”

-

Słucham? - Wyrwany z krótkiego zamyślenia, odruchowo rozejrzał się dokoła. Kelnerki siedziały w kąciku i gorączkowo szeptały do siebie, przesadnie poruszając mocno pomalowanymi ustami, jakby odbywały ćwiczenia ze

191

scenicznej wymowy: „da-be-do-di-du-do-di-de...”. - Coś mówiłaś?

-

Już nic - powiedziała tonem urażonej damy. - Trzeba było słuchać. -

Odsunęła pucharek. - Pff... Skoro nie mamy tu już nic do roboty...

Poderwał się i szarmancko odsunął krzesło Sandry, wyszli na ulicę, wkroczyli na most, potem przeszli kawałek wału i drugi most. Gdzieś, w ni to parku, ni to lesie, płonęło ognisko i słychać było gitarę, kilka osób śpiewało coś skoczego i wesołego „na ludowo” - na dwa głosy z charakterystycznymi wysokimi kobiecymi popiskiwaniami.

-

Chciałaś prymitywu - powiedział Krystian, zataczając ręką półokrąg nad Basią i lasem.

-
Mnie się tu bardzo podoba - oświadczyła Sandra. - Pewnie - niektóre rzeczy mnie drażnią, ale te są akurat najłatwiejsze - WC, hotele, sklepy... Ale ludzie są tacy... szczerzy, mają na twarzach wypisane to, co naprawdę czują i myślą. Idę ulicą i wiem, komu jest ciężko, kto się martwi, kto dostał awans... Nie maski, gładkie, zadowolone niby, zaspokojone...

Przespacerowali się zasypiającymi już powoli albo szykującymi się do snu uliczkami. Doszli do końca ulicy Kalinina, zerknęli na cmentarz po lewej i zawrócili.

Przy trzecim od cmentarza domu malowała furtkę starsza pani o posturze oficera dragonów, nawet z ciemnym meszkiem nad górną wargą.

-
Kogo iszczetie? - zapytała po rosyjsku niskim głosem, niemal basem.

-
Nie kogo, a czego - odpowiedział Krystian. - Pokoju na kilka nocy.

Słowa, których odpowiedników rosyjskich nie znał, wypowiadał po polsku, tylko wyraźniej i głośniej. Przypomniawszy sobie białoruskiego celnika i omal się nie roześmiał.

-
Kilka? A ile? - I widząc, że Krystian zastanawia się nad odpowiedzią, szybko dodała, odłożywszy pędzel do słoika z wodą: - Bo jak na więcej niż pięć - muszę zameldować.

-
Nie, my na dwa-trzy dni - zapewnił ją Krystian.

-
A-a, to inna sprawa. - Wytarła dłonie w poplamioną farbą ścierkę, potem podeszła do przymocowanego do słupka pojemnika wielkości małego wiadra ze sterzącym z dna trzpieniem, od spodu podniosła go do góry, a wtedy z wiaderka

192

zaczęła po trzpieniu spływać woda. Kobieta szybko namydliła dłonie, umyła je, wytarła w śnieżnobiały lniany ręcznik, wiszący z boku słupka. Dopiero teraz podeszła do furtki, do czekających Niemców. - Jak do pięciu dni, to można i u mnie - zaproponowała. Popatrzyła na coś za plecami Sandry i dodała znacznie ciszej: - Jak więcej - też, ale już po cichu.

-

Więcej się nie da, musimy tu gdzieś postawić samochód - uśmiechnął się

Krystian. - Jak nas pani ułoży?

-

No jak? Po carsku! - parsknęła basowym śmiechem gospodyni. - Łoże

mam jeszcze po dziadkach, oni niekiedy spali w sześć osób, na nim czasem człowiek własnej nogi szuka pół godziny. Chodźcie, pokażę.

Krystian zerknął na Sandrę, szukając podpowiedzi, czy jeden pokój, jedno, nawet ogromne łoże wystarczy, ale kobieta była zajęta przyglądaniem się kwiatowemu ogródkowi przed domem. Wiejski krajobraz...

Pokój był spory, czysty, zazdrostki na oknach, wielka trzydrzwiowa szafa na bardzo wysoki połysk, stół i trzy krzesła, wszystkie przykryte szarymi lnianymi pokrowcami. Rzeczywiście - ogromne łoże, chyba trzy metry na dwa. Dwie piramidy z poduszek, każda składająca się z pięciu elementów, nabitych pierzem

tak, że niemal się nie ugiwały pod swoim ciężarem.

-

Łazienka jest w domu - powiedziała gospodyni. - Z ubikacją - dodała z lekką dumą. - Dlatego nie mogę mniej niż pięć euro za dzień wziąć. Ja bym i wzięła mniej, jak to mówią: pozbieram grosze i już innych o nic nie proszę. Ale sąsiedzi by mnie wyklęli.

-

Dobrze. - Krystian zastanawiał się chwilę, ale jego rosyjski nie pozwalał na przesadnie wyrafinowaną konwersację. Popatrzył na Sandrę, ta pokiwała głową. - To ja skoczę po samochód - powiedział do gospodyni, i do Sandry: - Idę po wóz.

-

Pójdę z tobą.

-

Boisz się jej?

-

Nie, coś ty! Ale tu jest dziwnie pachnące powietrze... I w ogóle...

Nie rozwinęła myśli.

Bez pośpiechu wrócili do centrum miasta, już w zmroku. Towarzystwo nad rzeką śpiewało nadal, ale nieco inaczej - przewodził solista, chórek włączał się tylko w refrenie, głosy niosły się ponad wąskim lustrem wody. Było idyllicznie,

193

pachniał dym i szczebiotały jakieś ptaki. Czausy zyskiwały w sztucznym oświetleniu, które wygładzało bruk, maskowało liszaje na tynku domów i ostre proste

kanty powojennych budynków.

-

Zjemy tu kolację? - zapytała Sandra. - Bo mamy kanapek na kilka dni.

-

No to kanapki. Ta dama od huzarów zrobi nam herbaty, na pewno. Herbata jest jakby wpisana w elementarną wschodniosłowiańską gościnność.

Mylił się.

Gdy wrócili na kwaterę, na patelni skwierczały już nieznośnie apetyczne plastry ziemniaków na boczku, na stole w zdobionych rustykalną polewą miskach połyskiwały mokrymi bokami kiszony pomidory, ogórki, czosnek, obok chleba, ciemnego i pachnącego domem, choć niemal na pewno nie był w domu pieczony, leżały świeżo opłukane rzodkiewki i szczypior. Krystian poczuł, że ślinotok pozbawia go możliwości rozmawiania. Zastanawiał się chwilę, ale - jak się okazało - o tym samym myślała i Sandra.

-

Nie wyjmujemy naszych paskudnych butterbrotów - syknęła. - To by było bluźnierstwo!

-

Zgoda. - Odwrócił się do gospodyni, ubijającej coś w kamionkowej misie. - Jak mamy się do was zwracać?

-

Jak? - prychnęła. - Jekatierina Fiodorowna, jak inaczej? - Potem potrząsnęła głową. - Ot, durna ja. A skąd wy, Niemcy, macie wiedzieć, jak mnie zwać? Stara głupia baba, całkiem zdziczała... Siadajcie, przekaście coś, zaraz bliny

będą.

-

O ja... cię przepraszam! - rozpromienił się Krystian. - Będą bliny... Już choćby dlatego... - jęknął z rozkoszą, wodząc wzrokiem po suficie. - Niech mnie ktoś uszczypnie!...

I tak się stało.

* * *

Bramę obejmowały dwie małe budowle ze spiczastymi dachami, które Krystian nazwałby kapliczkami, gdyby nie było bezsensu budowanie kapliczek przy wejściu do pustelni. Może kiedyś mieściły się tam strażnice albo brat furtian pilnował wejścia do klasztoru. Przyszło mu do głowy słowo „kordegarda”, ale

194

chyba te zakończone spiczastymi daszkami budki nie zasługiwały na takie pretenjonalne miano.

Za kutą bramą z prętów zakończonych grotami o kształcie i fakturze liści wznosił się właściwy budynek klasztoru: na wprost bramy część z dużymi oknami, zakończona spiczastą wieżyczką, kojarzącą się Krystianowi generalnie ze wschodniosłowiańską architekturą sakralną i warowną - takie zwieńczenia pamiętał choćby z wież-elementów muru kremlowskiego. Po obu stronach tej wyraziście wydzielonej, najważniejszej części budynku znajdowały się skrzydła, na których mieściło się po sześć okien w dwu kondygnacjach. Oba skrzydła zawijały się, klasztor miał więc plan albo czworokąta, albo podkowy. Na pewno były tu i ogród, i sad, i jakieś zabudowania gospodarcze. Według informacji otrzymanych od Jekatieriny Fiodorowny przebywało tu około pięćdziesięciu

mnichów. Co robili - nie wiadomo, oprócz tego oczywiście, że się modlili i pracowali przy zabezpieczeniu sobie bytu. Raz na jakiś czas ktoś telefonicznie zamawiał bieliznę, skarpety, pościel... Podobno widziano też jakiś samochód ze sprzętem AGD, jak wjeżdża na teren pustelni. Musieli więc mieć mnisi lodówkę albo odkurzacz, albo telewizor. Mikrofalówka jakoś do pustelni nie pasowała.

-

No, ciekawa jestem.

Sandra wczoraj po raz pierwszy wyraziła wątpliwość co do ewentualnych korzyści z wizyty w klasztorze. Nastąpiło to po rozmowie z gospodynią, która wyraźnie nie chciała za dużo mówić o pustelni, a może po prostu nie chciała pokazać, jak mało wie. Jekatierina Fiodorowna, już żegnając się z gośćmi, nagle powiedziała cicho:

-

Ja meldować nie muszę, do pięciu dni - nie muszę, ale swojemu posterunkowemu muszę... tak „po cichu”, po sąsiedzku zgłosić. Bo wy wyjedziecie, a mi żyć nie dadzą, że nie jestem lojalną obywatelką. A tu teraz się wszyscy porobili tacy poważni - atomową stację elektryczną będą budować, to i pilnują, żeby szpiony nie wleźli.

-

Ależ proszę zgłaszać - rzucił niedbale Krystian. - My się nie ukrywamy, przyjechaliśmy w poszukiwaniu moich korzeni, podobno moja ileś tam prababcia pochodzi stąd. I tyle tylko chcę wiedzieć. A o atomowej elektrowni piszą w gazetach, tylko co tu śledzić, jak jeszcze nie wiadomo, czy i gdzie będzie? Zresztą - ja z atomem nie mam nic i mieć nic nie chcę.

-

No to dobrze, to dobrze! - pośpiesznie zapewniła go gospodyni i nie precyzując, co miała na myśli: dobrze, że babcia pochodziła stąd, czy dobrze, że tylko takie pytania ich dręczą, zniknęła w swojej sypialni.

Rano zza jej drzwi Sandra usłyszała, wracając z łazienki, jak rozmawia z kimś.

Wcześniej na pytanie o telefon zamachała rękami: - A skąd tu, na Zarzeczu?!

-

A komórka? *Mobilnik*?

Zastanawiała się chwilę, potem zrobiła minę, jakby pytał ją o ukrytych w piwnicy faszystowskich zwiadowców.

-

A u mnie skąd takie pieniądze, co? I po co mi? Moi znajomi mieszkają tu, jak zechcę, to z ganku zawołam i przyjdą wszystkie - roześmiała się głośno.

Odrobinę za głośno, dlatego trochę nieszczerze.

Zatrzymali samochód z boku wysypanej grubym żwirem drogi. Wyszli i podeszli pod bramę. Na murze obu budyneczków znajdowały się tablice z plastrów betonu z identycznym napisem:

Чауская Предтеченская

Пустынь

-

Ciekawe, jak można przywołać kogoś? - zapytał i przespacerował się od „wartowni” do „wartowni”, usiłując zajrzeć do znajdujących się na ścianach od

strony wjazdu okienek. Nie wyglądało, by ktoś tam czuwał. - Mogliśmy podjechać na pocztę i spróbować znaleźć numer telefonu do nich.

-

No to zadzwoń - zaproponowała Sandra.

Pokręcił głową.

-

Nie dogadam się z białoruską informacją przez telefon, aż tak dobrze języka nie znam... - Patrzył chwilę na puste, czyste, odbijające przedpołudniowe pochmurne niebo szyby. - Poczekaj, zerknę z boku.

Szybko ruszył w lewo, Sandra odczekała chwilę i ruszyła w prawo. Kilka minut potem spotkali się znowu pod bramą: Krystian zobaczył szeroki rów, którego nie przeskoczyłby, a którego błotniste brzegi uniemożliwiały sforsowanie,

196

Sandra natrafiła na połączenie kutego płotu z podrdzewiałą, ale szczelną siatką, ciągnącą się aż do lasu.

-

Trudno, będę dzwonił - powiedział, wyjmując komórkę.

Najpierw zapalił, potem zajął się wyszukiwaniem pożytecznych telefonów w stosie SMS-ów, przysyłanych po przekroczeniu granicy.

-

Cenniki, cenniki... Ambasada... Numery alarmowe...

-

Zadzwoń do ambasady... - zaczęła Sandra i przerwała. Trąciła go lekko w pierś. - Nie musisz, nasz upór został nagrodzony.

Odwrócił się.

Od budynku wolno, długimi miarowymi krokami, dostojnie, chciałoby się rzec, zmierzał w ich kierunku bardzo wysoki, chudy mnich. Ciemnobrązowy, tak ciemny, że aż niemal czarny habit wisiał na nim, wyraźnie szyty na kogoś szerszego w barach. Kaptur zasłaniał twarz, dodatkowo mnich szedł z pochyloną głową, przez co kompletnie nie było wiadomo, z kim będą mieli do czynienia. Zbliżywszy się na kilka kroków, zakonnik powiedział coś chrapliwym głosem. Nie był to rosyjski ani białoruski. Krystian, bardzo powierzchownie przygotowany na taką ewentualność, osądził, że raczej starocerkiewno-słowiański. Po co użył archaicznego języka, o którym wiadomo, że znają go tylko naukowcy i prawosławni słudzy boży? Krystian odchrząknął.

-

Dzień dobry, ojciec - powiedział po niemiecku i przeszedł na łamany rosyjski. - Jesteśmy z Niemiec, ale ja jestem Polakiem. Po śmierci mojej matki natrafiłem w domowym archiwum na dokument, który mówi, że moja prapraprababcia pochodziła z Czaus. Ponieważ była... zamożna... pochodziła z rodziny, która miała tu majątek, to pomyślałem, że w tych murach... w bibliotece klasztoru może być coś o mojej rodzinie... - Usiłował zajrzeć pod kaptur, ale żeby dojrzeć oblicze chudego mnicha, musiałby chyba przykucnąć - mnich stał o dwa metry od kraty, głowę nadal trzymał pochyloną. - Byłbym wdzięczny za umożliwienie mi przejrzenia ksiąg... - Nie wiedział, jak są po rosyjsku księgi parafialne, wieczyste czy jakiegokolwiek spisy. - Ksiąg, gdzie by mogła wystąpić moja rodzina...

Umilkł i zerknął na Sandrę, która uśmiechnęła się, dodając mu otuchy, i pu-

ściła oko.

-

Kak zwat' babuszkú-to? - odezwał się nagle głośno i wyraźnie mnich. -

Pokażytie dokument! - zażądał.

197

Ucieszony Krystian szybko wyjął oba paszporty i otworzywszy je, przysunął do kraty. Mnich wyciągnął rękę, ale od razu opuścił. Zrobił krok, drugi, pochylił się jeszcze bardziej. Krystian, korzystając z okazji, podniósł oba dokumenty wyżej, zmuszając mężczyznę do uniesienia głowy. Zrobił to, ale twarzy nie pokazał: od góry zakrywała ją cienka ciemna tkanina z dużymi otworami na oczy, której brzeg wchodził pod wykończenie wełnianego swetra, co nie dawało żadnych szans ujżenia oblicza pustelnika. Tylko wyblakłe oczy na krótko zatrzymały się na twarzy Krystiana.

-

Babcia się nazywała Fiejaska. Nic więcej nie wiem. Martyna Fiejaska.

Wyszła za mąż za Sommera i wyjechała stąd, może odwrotnie - najpierw wyjechała, potem wyszła za mąż. Tego nie wiem. W ogóle nic więcej o niej nie wiem.

-

Fi-jej-ska? - zapytał pustelnik.

Tkanina na jego twarzy zatrzepotała, gdy wymawiał nazwisko na trzy tempa.

-

Fiejaska. Fiej-ska - poprawił go Krystian.

Zakonnik cofnął się o krok, sięgnął gdzieś w fałdy szaty, wyjął archaiczną nokię, jeszcze z czarno-białym wyświetlaczem, i wdusił dwa klawisze, potem

odsunął się znowu o krok i odwrócił bokiem do gości. Rzucił do mikrofonu kilka słów, słuchał chwilę, znowu rzucił kilka słów i znowu czekał, tym razem znacznie dłużej. Potem nagle rozłączył się, wsunął komórkę do jakiejś kieszeni w szacie, odwrócił się do bramy.

-

Przyjdziecie jutro o pierwszej po południu. Powiem wam.

-

Co nam powiesz... ojczy? - zapytał Krystian.

-

Nie wiem jeszcze. Może powiem, że możecie wejść, może, że nie możecie. Może co innego.

-

To ja mogę zadzwonić - zaproponował Krystian. - Proszę mi podać nu...

-

Nie rozmawiamy przez telefon z nikim spoza pustelni! - przerwał zakonnik i odwróciwszy się niemal z furkotem, ruszył z powrotem do budynku.

-

I co? Wracamy? - zapytała niecierpliwie Sandra.

-

Cśś! - rzucił, nie rozchylając niemal warg, Krystian. - Chyba ktoś nam się przygląda przez okno na piętrze. Odegrajmy scenkę z filmu *Rozpaczliwie poszukując Susan*.

-

Jezu, jaką? - dostosowała się do niego i mówiła, nie poruszając ustami.

-
Taką, że zależy nam, że patrzymy z prośbą i nadzieją. - Odczekał chwilę.

Pustelnik zniknął w drzwiach. Jeszcze dwie sekundy. - Dobra, idziemy.

Postanowili nie jechać do miasteczka. Skierowali się w przeciwnym kierunku, na Czerikow, ale nie był to dobry pomysł, droga rozjeżdżona i zajędzona okrutnie, samo miasto kompletnie wypłowiałe i bez życia, Czausy, czy to ożywione perspektywą budowy elektrowni, czy po prostu dysponujące jakimś większym żywotnym potencjałem, wyglądały przy Czerikowie kwitnąco. Na obiad wrócili więc do Czaus. Co prawda Jekatierina Fiodorowna napomykała, że obiad może przygotować w *tri miga*, ale Krystian uznał, iż zbyt nie spoufalanie się z gospodynią, która przyznawała się do obowiązku donoszenia na nich milicji, nie sprawia mu przyjemności.

-
No coś ty! - broniła kobiety Sandra. - Przecież mogła nam nic nie powiedzieć!

-
Wiesz co - uśmiechnął się krzywo. - Za mojej młodości opowiadało się dowcip, jak to Lenin kochał dzieci. Pewien staruszek tak opowiadał dziennikarzowi, że niby Lenin golił się przy studni, a dzieci go otaczały kręgiem. Na to dziennikarz pyta, gdzie tu jest miłość do dzieci? Na to staruszek: „No jak to? Przecież mógł im gardła popodrzynać!”.

Sandra zmarszczyła czoło i przyglądała mu się chwilę.

-

Jesteś piekielnie inteligentnym facetem - powiedziała poważnie. - Szybka

riposta obudowana przykładem to dla mnie dowód na lotność.

Ucieszył się, że prowadzi i nie może oderwać wzroku od przypominającej zbombardowany szlak bojowy asfaltowej szosy. Asfaltowej kiedyś, kiedy asfaltu było więcej niż dziur.

-

No tak - rzucił. - Jesteśmy lotni, to wiemy od zawsze.

W Czausach byli przed drugą, Sandra zażyczyła sobie spaceru i lodów. I potem znowu spaceru, żeby spalić kalorie. Zdobyli się więc po lodach na wycieczkę do miejscowego muzeum krajoznawczego. Obejrzelikrosna i tary do prania, kilkadziesiąt fotografii, poczytali o świętym Marcinie, którego wizerunek widniał na starym herbie Czaus. Zastanawiali się chwilę, czy związki popularnego we Francji świętego z Czausami mają jakieś templariuszowskie konotacje, do żadnych wniosków nie doszli, ale zgodnie uznali, że to interesujący temat i należy to sobie zapamiętać.

199

-

A to co? - Na ścianie wisiała seria obrazków, malowanych w konwencji fałszywego „prymitywizmu ludowego”. Mocarny kowal na tle swojej radosnej kuźni, z czeladnikiem promiennie uśmiechniętym, pracującym przy miechach, potem kowal, kujący wieprzka, na następnym obrazku trzymający kota, którego na ostatnim przywiązał do płotu łańcuchem, domyślnie - własnej roboty.

Кавалю Марціну,

Падкуй ты мне свіню

Бо зіма падходзіць,

Свіня боса ходзіць

Падкуй ты мне ката

А калі не ўмееш –

Прывяжы да плота.

-

przeczytał Krystian na głos, potem przełożył sobie na polski: - „Kowalu

Marcinie, podkuj mi świnię, bo zima nadchodzi, świnia boso chodzi”... - przerwał

i wytrzeszczył teatralnie oczy. Chodząca za nimi dyskretnie po skrzypiącym

parkiecie kostyczna staruszka zacisnęła usta. - Wyszło mi z rymem! - powiedział

po niemiecku i przetłumaczył raz jeszcze. - A potem: „Podkuj mi też kota, a jak

nie potrafisz, to przywiąż do płota”... - Po polsku znowu się rymowało, po nie-

miecku nie.

-

Dobra, chodźmy już stąd, bo staruszka wypali nam dziury w plecach -

powiedziała Sandra, patrząc na stojący w kącie pług.

Skierowali się do centrum, natrafiwszy na lokal o nazwie „Basia”, zdecy-

dowali się na obiad. Około czwartej stanęli przed dość ponurym brakiem pomy-

słu na spędzenie popołudnia i wieczoru.

-

Zawsze możemy pojechać do Mohylewa - zaproponował bez przekonania

Krystian.

-

I pójdziemy na dyskotekę!?

Krystianem wstrząsnął dreszcz.

-

Nie, proszę. Ty będziesz tańczyć, potem mołojcy zaczną cię zapraszać, a mnie mordę bić z zawiści.

200

-

Żartowałam. Nie znoszę dyskotek - poklepała go uspokajająco po ręce.

Nie przekonała go. „Niemożliwe, żeby tak atrakcyjna kobieta nie chciała pobrylować, a to są miejsca, gdzie obłąkanie jest najszybsze, najpewniejsze, najpełniejsze. Ale, na Boga, co ja o niej wiem?! Może są i takie piękne kobiety, które nie muszą tandetnie się utwierdzać w tej pewności? Wygląda, że są, miałem szczęście”.

-

A możemy pójść nad rzekę? - zapytała.

„Tam też mogę zgubić kilka zębów - pomyślał. - A co do kobiet...” -Wiesz, może krzywdzę Białorusinów, zwłaszcza czausian, ale... diabli wiedzą - parki, alejki... - nie dokończył.

-

Krzaki!... - dopowiedziała. Zmarszczyła nosek. - W takim razie proszę zapewnić mi rozrywkę, bezpieczną i na poziomie.

-

Proponuję kino! Grają hit sprzed dwu lat, co prawda, ale na pewno nie widziałaś.

Sandra spojrzała ze zdziwieniem.

- "Bumier", czyli „Beema”. „Bi-em-dablju”. Taki tam... Gangsterska odyseja, bandycki romans - oni przestępcy, ale mili, a kara - trudno, być musi. I tak dalej...

-
No to f-f-fajne! Idziemy.

Chwyła go pod ramię i pociągnęła w kierunku kina, obok którego przechodzili dwie godziny temu.

* * *

Goście Jekatieriny Fiodorowny osłupieli, wchodząc do kuchni na śniadanie. Zarówno liczba dań, jak i ich rozmiary sugerowały, że za chwilę zwali się tu połowa dzielnicy na jakieś poprawiny weselne. Krystian niemal czuł na swoim uchu spojrzenie Sandry, ale udawał, jako uznany w tym gronie znawca słowiańszczyzny, że wszystko jest w porządku. Wytrzymał dwie minuty, potem zerknął na wpatrującą się osłupiałym wzrokiem w stół kobietę i powiódł spojrzeniem po suficie.

-
Jekatierina Fiodorowna? Czy mamy dzisiaj jakieś święto? - zapytał gospodynię, która bynajmniej nie zamierzała na tym poprzestać i coś smażyła na kuchence, zerkając co i rusz pod pokrywki dwu garnków.

-
Nie, a dlaczego?

201

-
No bo to jest ilość na dwanaście osób, nie dla dwóch...

Och, wczoraj byłam nieprzygotowana - machnęła ręką gospodyni.

Co ciekawsze, wcale nie zabrzmiało to fałszywie, wcale się nie krygowała.

Szczerze uważała, że dopiero dziś serwuje śniadanie jak przystało.

Dla sześciu drwali.

Krystian szybko przetłumaczył Sandrze krótki dialog, wymienili spojrzenia spod uniesionych brwi i zabrali się do skubania poszczególnych dań. Skubanie miało zaspokoić głód, jednocześnie wykazać zainteresowanie pitraszeniem Jekatieriny Fiodorowny, miało też być hołdem.

-

Jeśli zjem po kęsie, to już się nigdzie dziś nie ruszę... - mruknął Krystian,

przegryzając kiszoną czeremszą połówkę jaja na twardo w gipsowo gęstej

śmietanie. - Jakie, cholera, żółtko - aż pomarańczowe, widać, że kury jadły nie

popioły... - chciał dodać „swoich pechowych kuzynek”, ale powstrzymał się - ...a

zieloną paszę, zboże i... - urwał znowu.

-

Robaki? Prawda? Wygrzebują je z ziemi. Widziałam.

-

Na Discovery? - zakpił Krystian, starając się głosem złagodzić szyder-

stwo.

-

Na Animal Planet - odcięła się i dołożyła sobie jeszcze jedno jajo.

Gospodyni zwała na duży talerz jajecznicę, pływającą w pryskającym

smalcu, wytopionym z obecnego w jajecznicy w postaci skwarków bekonu.

-

Spokojnie... - powiedziała, stawiając talerz - ...możecie jeść... Choćby i do obiadu...

Krystian wytrzeszczył oczy.

-

A... dlaczego?

-

Bo i tak dzisiaj nie macie po co jechać do pustelni - oznajmiła spokojnie gospodyni. Nie zwracając uwagi na osłupiałego gościa, wytarła ręce w fartuch. -

Może winka domowej roboty? Albo - horyłeczki?

-

Zaraz, przepraszam, ale skąd pani wie, gdzie mamy dzisiaj pojechać i

dłaczego nie mamy po co tam jechać? - Nie odwracając wzroku od Jekatieriny

Fiodorowny, wytłumaczył w kilku słowach sedno zaistniałej sytuacji Sandrze.

Zesztywniała, widelec zawisł nad ćwiartką jajka.

-

A! - prychnęła gospodyni, nie zauważając zdumienia gości. Wyglądało,

że dla niej sytuacja jest aż nadto zwyczajna i klarowna. Tak było, tak jest i

202

pewnie będzie. - Taż całe Zarzecze, a może i więcej wie! Tu takich gości nie

było... za przeproszeniem... od wojny! - Uśmiechnęła się szeroko. - *Uczastkowy*

dzwonił do mnie, powiedział, że do niego dzwonił igumen...

-

Nie rozumiem! Dlaczego igumen dzwonił do dzielnicowego?

-

A gdzie miał dzwonić? Ja telefonu nie mam... - Zobaczyła minę

Krystiana, zmitygowała się, westchnęła: - No dobrze, mam, ale tylko odbieram, sama nie dzwonię, a batuszka, widać, chciał, żeby wszystko było grzecznie i ładnie, żeby nie było na niego, że coś przed władzą ukrywa, że coś mataczy z obcymi... No, wiadomo, że pustelnia dziś jest, jutro może jej nie być... Po co się ma narażać?

-

To jest coś, czego już nie rozumiem - mruknął Krystian do Sandry. -

Wszystko pod kontrolą, a oni uważają to za rzecz zwyczajną: władza musi wszystko wiedzieć, boby nie była władzą. Jakby sami wybierali sobie ciemności i jeszcze się z tego cieszyli. Przecież władza nie jest jakąś cechą życia daną... od góry? Przez Boga? Ma służyć im, a nie kontrolować ich, rządzić nimi, dla samego rządu, dla przyjemności urzędników różnego szczebla. - Pokręcił głową.

-

Czy to jakoś się do nas odnosi? Wpłynie na nasze... działanie?

-

Nie wiem. Ale to nauczka. Nawet tu, przy przemiłej gospodyni, nie rozmawiamy o niczym ważnym. Mówiła, że nie ma telefonu, przed chwilą się przyznała, że jednak ma. I to bez skrępowania, bez szczególnego zawstydzenia. Może też ma jakiś znakomity magnetofon i mały mikrofonik? - uśmiechnął się z goryczą. - W każdym razie - nawet jeśli nie mamy nic do ukrycia - powiedział, już jakby do hipotetycznego mikrofonu - nie widzę powodu, żeby pozwalać małomiasteczkowej milicji grzebać się w moim życiu.

-
Okej. Tak ustalamy. - Sandra wróciła do konsumpcji. - To co możemy tu
robić dzisiaj?

-
O, to jest dobre pytanie - przyznał Krystian. - Albo drzemka do obiadu,
potem drzemka do kolacji, i drzemka przed snem... albo Mohylew? - Odwrócił
się do gospodyni. - Czy w Mohylewie jest co oglądać?

-
Ta pewnie! - pokiwała z zapalem głową. - Przecież to duże miasto!
Sklepy jakie! I wszystko...

203

-
Poleca nam sklepy w Mohylewie - powiedział z poważną miną po nie-
miecku. - I całą resztę.

Sandra przełknęła kęs, rozejrzała się po stole, dołożyła sobie jajecznicę.

-
No to jedziemy.

22. 21 KWIETNIA, 12.06

Mnicha, nawet zakapturzonego i z płatem tkaniny na twarzy, o tak charak-
terystycznej sylwetce nie dałoby się pomylić z innym. Przyszedł do bramy, pod
którą od kilku minut demonstracyjnie nerwowo przechadzał się Krystian z pa-
pierosem w ręku. Na widok zmierzającego w ich kierunku, powiewającego na
mocnym dziś wietrze habitem, pustelnika, demonstracyjnie układnie podszedł do
samochodu, zgasił papierosa w tekturowym kubeczku, kubek postawił na pod-

łodze, zamknął drzwi i zamek samochodu.

-

Dobryj dzień - powiedział zakonnik, wyjmując spomiędzy fałd stroju dwa klucze na kółku. - Proszę wejść.

Krystian z trudem powstrzymał się od kpiącego pytania: „A co - władza pozwoliła?”.

-

Dzień dobry - niemal chórem odpowiedzieli petenci. Skrzydło bramy uchyliło się bezszelestnie.

-

Proszę o dostosowanie się do naszej klauzury - powiedział mnich. - Nie wolno tu niczego fotografować, nagrywać, wnikać do pomieszczeń niedozwolonych...

„Wnikać? - pomyślał Krystian. - Przenikać, węszyć, szpiegować... To ten zakres. Im wolno, nam - nie”.

-

Nie mamy ze sobą aparatury do szpiegowania - nie wytrzymał.

-

A komórki? - zapytał pustelnik.

Lekko odwrócił głowę, zadając to pytanie. Szybko, przygotowany na taką ripostę.

-

No tak... To mamy - przyznał od razu Krystian.

-

Nie szkodzi. Zaraz... - jakby nie dokończył albo zapomniał, co chciał powiedzieć.

204

-
Pewnie każą nam zostawić komórki. - Wyjął swoją motorolę, tę „zwy-
czajną”, i wyłączył ją.

Zakonnik obejrzał się przez ramię, słysząc pożegnalny pisk aparatu.

-
To nie było konieczne - powiedział. Podeszedł do drzwi prowadzących do
prawego skrzydła, otworzył je kluczem, wszedł pierwszy, rzucając przez ramię: -
Spadek za progiem, proszę uważać.

Rzeczywiście, za progiem podłoga była niżej w stosunku do poziomemu przed
progiem. Goście ostrożnie wkroczyli do pachnącego kurzem i suchym gazeto-
wym papierem pomieszczenia. Były tu tylko dwa stojące kawiarniane wieszaki i
mały stolik z dwoma krzesłami.

-
Proszę tu zostawić wszystko - nakazał zakonnik. - Wszystko, co może
posłużyć do nagrania, sfotografowania, skopiowania...

Krystian posłusznie wyjął komórkę, położył na stole, potem, trochę złośliwie
i kpiąco, dołożył długopis, lecz jeśli czekał na coś w rodzaju „Ależ to przesada!”,
to się pomylił. Sandra po prostu położyła na stoliku całą swoją torebkę, na wie-
szaku powiesiła prochowiec, została w dość obcisłym sweterku, spódnicy i
wysokich kozakach. Mogłaby mieć szpiegowskie urządzenia w bransolecie czy
klamrze paska, ale Krystian wiedział, że nie miała. Pustelnik nie domagał się

zdjęcia biżuterii. Krystian poklepał się po kieszeniach kamizelki, odgiął jej poły, pokazując brak sprzętu. Pustelnik skinął głową.

-
Ojciec igumen będzie z wami rozmawiał.

Nie położył specjalnego nacisku na te słowa, ale nie powiedział też tego ot, tak sobie.

-
Dziękujemy.

-
Proszę za mną. Schody ciemne, ostrożnie.

Schody prowadziły na piętro, nie były ciemne, po adaptacji wzroku w ciemnej „szatni” bez trudu i potknięć dotarli do kolejnych drzwi. Te zostały otwarte, mnich się odsunął, wpuszczając gości, sam nie wszedł, zamknął drzwi, usłyszeli jego kroki na schodach.

Rozejrzeli się. Krzyż z Ukrzyżowanym, mały czerwony kaganek oliwny pod nim, płomyk niemal się nie poruszał, jakby wykazując bezruch powietrza w pomieszczeniu.

-
Będziemy rozmawiali z przeorem klasztoru - powiedział Krystian.

-
Czy to coś oznacza?

205

-
Nie mam pojęcia. Może tylko on ma prawo rozmawiać z ludźmi z ze-

wnątrz? Może jest ciekawy? Może nikt inny nie chce, a on ma to przypisane do obowiązków, a może - jednak - waga czy powaga sytuacji? Nie wiem.

Czekali, stojąc nieruchomo na środku pokoju. Okna były szczelnie zasłonięte, światło dawały dwa żyrandole z czystymi kloszami i żarówkami, ale o wybitnie słabej mocy. Dziesięciowatowe, o ile w ogóle takie były produkowane. Pod jednym z żyrandoli stał prostokątny stół, przykryty aksamitnym obrusem koloru burgunda. Przy dłuższym boku stołu stały dwa krzesła, naprzeciwko - jedno.

Po minucie otworzyły się drzwi po prawej od krucyfiks, z kompletnego mroku wyłonił się mężczyzna w wysokim nakryciu głowy, czarnym, tak samo jak cała szata, z ciemnoszarą przesłoną na twarzy.

Krystian przypomniał sobie oglądany w dzieciństwie z poogryzanymi do krwi paznokciami francuski serial *Belfegor, upiór Luwru*, w którym ów upiór bezszelestnie płynął nad podłogami sekretnych korytarzy nocnego muzeum. Wyglądał bardzo, bardzo podobnie.

Przybyły bez słowa wskazał ręką krzesła, sam podszedł do stołu i uprzejmie poczekał, aż goście zajmą miejsca.

-

Czy możesz, bracie, powtórzyć to, co powiedziałaś bratu furtianowi? -

zapytał po rosyjsku igumen.

Krystian odetchnął i w kilkunastu słowach streścił to, co mówił już wcześniej.

Igumen słuchał z przymkniętymi powiekami. Szczupłe wąskie dłonie z długimi palcami pianisty leżały grzecznie na obrusie. Paznokcie, jak od razu odnotowała Sandra, starannie przycięte i ładnie spiłowane, skórki dokładnie wycięte.

Igumen dbał o swoje dłonie. Albo ktoś dbał o dłonie igumena.

-
Jesteśmy pustelnikami, ale nie dzikusami - powiedział igumen, gdy

Krystian umilkł. - Od czterech lat wprowadzamy dane z ksiąg ziemskich, klasztor-nych i innych do pamięci komputerów. Świadczymy już nawet usługi innym klasztorom, ale nie to jest ważne. - W otworach przesłony dopiero teraz podniosły się powieki i pojawiły ciemne, płonące energią, wręcz fanatyczne oczy. - Mówię to nie dlatego, że chcemy się pochwalić przed gośćmi z cywilizowanej zachod-niej Europy, nie. - Dłonie rozjechały się o kilka centymetrów na boki i wróciły na swoje miejsca, wygładziwszy nieistniejące zmarszczki. - Chcę wyjaśnić, jak

206

było możliwe przeszukać w ciągu dwóch dni dostępne nam materiały. Żebyście nie mieli, siostrzo i bracie, wątpliwości co do naszych dobrych zamiarów i wła-ściwego potraktowania waszego zapytania. - Dwa palce wskazujące podniosły się, zawisły na chwilę w powietrzu i opadły. Krystian wpatrywał się w oszczędny spektakl pantomimiczny jak zaczarowany. - Otóż nie mamy w naszych księgach, żadnych - jeden palec uniósł się wyżej, drugi, lewy, opadł na stół - ani jednego wystąpienia takiego nazwiska. Fiejski. Fiejska. Nie ma. Nie występowało tu i nie występuje.

Igumen umilkł. Krystian oderwał wzrok od spoczywających teraz nieru-chocho dłoni przełożonego pustelni. Przełknął ślinę. Przewidywał różne warianty - opór pustelników, interwencję władz, ignorancję, brak ksiąg, ale nie takiego zdecydowanego zaprzeczenia.

-
A... czy możliwe są... braki w latopisach? - wykrztusił.

- Nie. Mieliśmy tu, co prawda, trochę wojowniczych okresów, ale cały rejon jest raczej spokojny. Pokróćce - w drugiej połowie I tysiąclecia mieliśmy tu jeden z plemiennych ośrodków Radymiczy. Od XII do XVI wieku między wsiami Radomia i Aleksandrowka istniał tu stary zamek, ziemia znajdowała się najpierw we władaniu Rusi Kijowskiej, potem księstwa smoleńskiego i mściławskiego. Od XII do XVII wieku, co was powinno zainteresować, w składzie Wielkiego Księstwa Litewskiego Rzeczypospolitej. To zresztą polski król Zygmunt w 1604 roku nadał Czausom status miasta. Z tego też czasu pochodzi stary herb miasta, znacie go - święty Marcin. - Palce znowu uniosły się na sekundę i opadły. - Nowy to skrzyżowane szpada i miecz w laurowym wieńcu, z XVII wieku. W połowie XVII wieku naród ukraiński i białoruski wspierany przez Rosję wywalczył sobie niezależność od Rzeczypospolitej. Podczas II wojny światowej Czasy były okupowane od połowy czerwca 1941 do końca czerwca 1944... Tak... - Dłonie leżały nieruchomo. Krystian zaczął sądzić, że ten minispektakl dłoni ma jakieś znaczenie. - Mówię to nie po to, żeby was zanudzić historią małego miasteczka, tylko po to, by uświadomić, że mamy sporą wiedzę o historii tej ziemi. Nie zagięły nam żadne istotne kroniki czy księgi. Skoro więc mówię, że nie ma wpisu z nazwiskiem Fiejski - to znaczy, że nie żyli tu tacy ludzie. I mówiąc „tu”, mam na myśli naprawdę rozległy obszar. - Złączone palce dłoni nagle uniosły się razem i trzy razy lekko, bezgłośnie, opadły na obrus. - Jedyne, co mogę poradzić,

207

to przejrzenie jeszcze raz posiadanego przez was dokumentu... - Dłonie igumena nagle zniknęły ze stołu. Krystian mrugnął kilka razy, dłonie zniknęły tak nagle, że nie mógł powiedzieć, iż widział ich ruch. - Tak, dokumentu. - Dłonie pojawiły się

na stole, przyklapnęły bezgłośnie obrus i znowu zniknęły.

-

To godne pochwały, młody człowieku - powiedział igumen, a może kto inny, kto ukrywał się pod płócienną maską. - Wiedza o korzeniach to wiedza o sobie. Jeśli znasz siebie, nie popełniasz grzechu pychy, albowiem musisz wtedy widzieć swoje słabe strony i swoje zalety, a przez to możesz prawdziwie, rzetelnie, bezbłędnie oceniać innych. To jest sposób na głębsze przeżywanie świata.

Dłonie leżały nieruchomo, a igumen mówił coraz bardziej zawile. Krystian odchrząknął i pokiwał głową.

-

Ja panimaju... - zaczął i umilkł, nie wiedząc, co mógłby jeszcze powiedzieć. Trop urywał się tu. Albo i nie prowadził tu w ogóle. Zrobił mądrą minę. - Niepotrzebnie tu jechaliśmy - uśmiechnął się z przymusem.

-

To błędna myśl - stwierdził igumen, zdejmując kolejny raz dłonie ze stołu. Krystian zerknął na Sandrę, ciekaw, czy i ona zwróciła uwagę na ni to nerwowe, ni to bezmyślne poruszenia rąk pustelnika. - My na Rusi mówimy: *Czto Boh dajot, to k łutszemu*. Rozumiesz tę mądrość, synu?

„Synu? Wcześniej «bracie», teraz «synu». I te ręce...”

-

Ojczy, czy mogę przetłumaczyć mojej towarzyszce, o czym tu mówimy?

- Mnich skinął głową w wysokim nakryciu. - On mówi - szybko powiedział po niemiecku Krystian - że tu nie było i nie ma nikogo o takim nazwisku. - Chciał dodać, że dziwi go balet dłoni, ale w ostatniej chwili, kierując się niezrozumiałym

dla samego siebie odruchem, przemilczał to. - Ale jednocześnie dodaje, że nie przyjechaliśmy tu na próżno, że niby co Bóg daje, to prowadzi tylko do lepszego. Powiedzonko takie czy przysłowie, nie pamiętam. - Odwrócił się od Sandry. - No to my... dziękujemy ojcu za pomoc, za... informację... - uśmiechnął się. - Czy możemy złożyć jakiś datek, który...

-

Nie. - Igumen pokręcił energicznie głową. - To kompletnie zbyteczne.

Nie brakuje nam tu niczego, jesteśmy samowystarczalni. Strawa dla ciała i dla ducha. Innych nam nie trzeba. Dobra techniczne mamy w wystarczającej ilości - telefony, komputery... - I znowu dłonie wykonały skok na kolana, jak grzeczne kotki, chcące się położyć na udach pana. - Przestrzegam tylko przed ocenianiem

208

waszego tu przyjazdu jako zbytecznego, niepotrzebnego. Pan kieruje naszymi krokami, On w łaskawości swojej udziela i nam części swojej wiedzy, trzeba w nią wierzyć, a będzie można jej zaznać, zobaczyć ją, poczuć...

Igumen wstał, wyciągnął dłoń i złączonymi trzema palcami przeżegnał gości.

Sandra poderwała się pierwsza, pochyliła głowę, Krystian poszedł w jej ślady.

Igumen skinął głową, odwrócił się z furkotem habitu i otworzywszy drzwi, bez wahania wsiąkł w mrok za progiem.

-

No to by było tyle - powiedział Krystian i zrobił minę, którą Urszula nazywała „emotikonem antysmile'a” - podkówka i zmarszczone czoło.

Podeszli do drzwi, otworzyły się, zanim Krystian wyciągnął rękę, stał w nich brat furtian, bez słowa odwrócił się i poszedł w dół schodami. Ostrożnie stąpając

po ciemnych stopniach, dotarli do pomieszczenia, w którym czekały na nich zostawione w depozycie przedmioty. Krystian bez słowa wpiął motorolę w kaburze w pasek, pomógł Sandrze włożyć prochowiec, przepuścił ją w drzwiach.

Gdy mijała go, syknął:

-

O niczym ważnym nie gadamy...

Sandra przeszła obok, nie poruszywszy nawet brwią, przez sekundę zastanawiał się, czy wystarczająco głośno syczał, ale potem, ciągle w myślach, popukał się w głowę: „Jest tu kto? Sam każę jej milczeć, a potem czekam na jakies sygnały odbioru!”.

Furtian otworzył bramę, usunął się.

-

Dziękuję... hm... ojcie - powiedział Krystian. - Wszystkiego dobrego! - przypomniał sobie klasyczne rosyjskie pożegnalne życzenie.

-

Niech was Bóg, Bóg prawdziwy prowadzi w waszej sprawie. - Furtian również przeżegnał gości.

Ci uśmiechnęli się na pożegnanie i wyszli za bramę. Seat czekał. Brama zamknęła się bezgłośnie, ale gdy skrzydła zetknęły się ze sobą - brzęknął metal, szcęknął rygiel.

Wsiedli i ruszyli w drogę powrotną. Sandra .siedziała za kierownicą.

-

No to mamy to załatwione - stwierdził ponurym głosem Krystian.

-

Trochę sobie pojeździliśmy po Europie Wschodniej to jakby jedyny

zysk z tego przedsięwzięcia.

Sandra chwilę rozważała jego słowa.

209

-

Mnie się podoba - oświadczyła ostrożnie.

-

Mnie też.

Włączył radio i chwilę szukał jakiejś muzycznej stacji, w końcu udało się znaleźć coś spokojniejszego, nie hip-hopowego, popowego, bitowego. Ktoś w kwartecie obrabiał ludowe motywy na jazzowo, szablonowe, ale strawne. Przejechali sześć kilometrów, zbliżyli się do żywiołowo powstałego placu parkingowego - plamy polany na obrzeżu lasu.

-

Zatrzymajmy się - zaproponował Krystian. - Zapalę sobie.

Sandra skinęła głową, zwolniła, potem zjechała i zatrzymała samochód, wyłączyła silnik. Gdy sięgnęła do radia, Krystian pomachał palcem.

-

Ładnie tu - powiedział i wysiadł.

Zapalił, odszedł od samochodu.

Ktoś kiedyś przywiózł tu kilka zużytych opon z ciężarówki, ułożył dwa stosy po cztery sztuki, ktoś inny albo ten sam położył z góry ciężkie metalowe gładkie drzwi. Powstał niezwykle stabilny stół. Dokoła w czterech mniejszych stosach leżały opony osobówek. Dwa starannie obłożone otoczkami popieliska wska-

zywały, gdzie odbywało się kucharzenie. Krystian przycupnął na jednym stosie wymytych przez deszcze, wypalonych przez słońce opon. Zaciągnął się dymem, poczekał, aż Sandra się zbliży.

-

No i jakie wrażenia? - zapytał.

-

Coś nie tak - odpowiedziała od razu.

Pokiwał głową.

-

A dlaczego?

-

Głos...

-

Ręce! - rzucił. - Ten taniec rąk był znaczący. Poruszał dłońmi, gdy mieliśmy szczególnie uważać, a gdy je chował, mieliśmy uważać w dwójnasób.

Zastanawiała się chwilę.

-

Masz rację - przyznała. - A kiedy tak poruszał?

-

Raz, kiedy mówił, że takiej rodziny nie było tu. Kiedy namawiał do przeczytania dokumentu raz jeszcze, czyli sygnalizował, że jest ważny z jakiegoś powodu. Gdy powiedziałem, że żałuję, że tu przyjechaliśmy. Nie, inaczej - gdy powiedziałem, że niepotrzebnie tu przyjechaliśmy. Czyli - jego zdaniem - potrzebnie. Bo potem jeszcze raz już sam powiedział, że nie powinniśmy postrzegać

przyjazdu jako zbędnego. - Zaciągnął się mocno, ocenił papierosa, strzelił niedopałkiem w popielisko, od razu wyjął paczkę i zapalił następnego. - I jeszcze coś było, muszę sobie przypomnieć...

W kaburze odezwała się komórka Krystiana - Keith Richards, zwany też Keefem Riffhardem, energetyzował otoczenie swoim najsłynniejszym, najbardziej rozpoznawalnym riffem wszech czasów – *I Can't Get No Satisfaction*.

-

Tak? Ula? Tak, to ja - przeszedł na niemiecki, żeby Sandra mogła choć częściowo uczestniczyć w rozmowie. - U nas nie najlepiej - list babci okazał się jakąś pomyłką, nie ma tu naszej rodziny i nigdy nie było... Tak... Nie, jestem pewien, to znaczy - materiały źródłowe są, bez wątplenia. - Słuchał chwilę, zrobił minę świadcząca o tym, że starsza siostra wsiadła na ulubionego konika - pouczanie. - Nie wiem. Może jest inna rzeka Pronia. Nie szukałem, może to miało być miasto Pronia... No skąd mam wiedzieć? Nie sprawdzałem, sprawdzę teraz w sieci, ale może babcia była pod wpływem tego Niemca, co wszystko chowa... Jez-zu, Alzheimera! Nie znasz tego dowci... No to już znasz. Dobra, Ula, nie chce mi się gadać, zrobiłem tutaj to, co mogłem, i na tym koniec. I wiem, że ty byś zrobiła lepiej, ale - trudno, Stwórca pokarał cię takim bratem idiotą. Nie?... No to się cieszę. Okej, jakbym tylko coś wiedział... Stop! Przed chwilą wyszedłem z klasztoru, kiedy miałem dzwonić?... - Słuchał chwilę, odsunął słuchawkę od ucha, pomachał nią w powietrzu, potrząsając z dezaprobatą głową. Głos w telefonie umilkł. - No dobrze, ja ciebie też kocham, siostrzyczko. Pa! Tak, przekażę... - pokiwał głową. - Powiem jej. Pa.

Złożył telefon.

-

Dzwoniła do ciebie, ale nie odbierasz, powiedziała.

Sandra rzuciła okiem na samochód, pokiwała głową i poszła po torebkę.

Wracając, manipulowała przy telefonie.

-

Bateria padła... - mruknęła. - Dziwne, rano miała ponad połowę... -

Wpisała kod PIN, odczekała kilka sekund. - A nie! W porządku jest. To czemu się wyłączył? No, nieważne. - Wrzuciła komórkę do torebki. - Przypomniałeś sobie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

-

Nie wiem, co robić - przyznał. - Powrót jakoś mi się nie podoba... Ale siedzenie tu też nie ma sensu. Moglibyśmy... - zamilkł, rozważając coś w głowie.

- Nie, nie ma sensu iść do jakiegoś urzędu. Igumen mówił, że nie brakuje im

211

dokumentów, brakuje w nich śladów Fiejskich.

Przysiadła się do niego, po chwili trąciła go lekko barkiem.

-

Czy mi się wydaje, czy podłamałeś się jakoś?

-

Chyba tak. Dotąd wszystko szło gładko... - Odwrócił głowę, żeby nie wypuścić dymu w stronę Sandry. - Tu mi się kończą pomysły.

„Zostają tylko te cylindry - pomyślał. - Ale... Albo ten znajomy Uli to cholerny amator i stąd całe to jego gadanie, że to pozornie aramejski, ale udawany

albo dodatkowo zaszyfrowany, lub zupełnie nieznyany język na bazie aramejskiego... Dla niego może to i odkrycie, może zostanie profesorem, ale nie to mnie interesuje”. Odwrócił się do Sandry, chcąc podzielić się myślami.

-
Mnie też coś męczy - zaskoczyła go. - Kręci się tuż pod powierzchnią - zgiętym palcem postukała się w czoło - ale się nie wynurza. Ale wynurzy się, znam ten stan. Czasu. Czasu potrzebujemy.

-
Czasu, czasu - powiedział po polsku Krystian. - Jak jarmużu bedłki, tak czasu pragnie lud...

Zgasił niedopałek o dolną oponę i wstał.

-
Proponuję zostać tu tyle, ile możemy bez zawracania głowy milicją, meldunkami i całą tą... resztą...

Skrzywił się, jakby wertowane myśli bolesnym echem odbijały się gdzieś w organizmie.

-
Czyli do kiedy?

-
Chyba do jutra. Osiem godzin przed północą trzeba by wystartować. -

Przeciągnął się. - Tylko nie wiem, co można tu robić jeszcze całą dobę.

Odpowiedziała mu cisza. Odwrócił się do Sandry. Pokręciła głową.

-
No właśnie. - Zerknął na jej stopy. Miała pantofle na płaskiej podeszwie,

ale cienkiej, raczej nie nadawały się do spacerów po lesie. - Możemy uciąć sobie spacer po parku, przed południem elementy niepewne chyba jeszcze śpią?

-

O, dobry pomysł - powiedziała, ale bez entuzjazmu. Jakby informowała:

„O, asfalt jest tu szary, asfaltowy”. Jakby brak bliskiego celu działania podziałał destrukcyjnie na jej zapał, pozbawił ją energii.

Krystian otworzył usta, ale szybko je zamknął. Co mógł powiedzieć? Co innego amatorskie, ale jednak, śledztwo w dość egzotycznym kraju, co innego kompletny brak motywacji do działania, celu działania, potrzeby działania...

212

-

No to wracamy?

-

Wracamy... - westchnęła Sandra.

-

Dlaczego nie mam przekonania do tego pomysłu? - zapytał Krystian, kierując się do wozu.

-

Właśnie.

Ruszyli, rozpedzili się do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, stopa przestała dociskać pedał gazu, jechali, jakby mieli na ogonie patrol milicji. W Czausach wolno przetoczyli się przez peryferie, zatrzymali w pierwszym odpowiednim miejscu i wysiedli.

Spacer, niestety, ich rozczarował. Oboje myśleli o czymś, rzeka byłaby może

i urokliwa, gdyby nie była tak niepozorna. Może jej podział na dwa nurty, może pojawiające się od czasu do czasu śmieci, ślady pikników i ognisk, zepsuły wrażenie. W każdym razie Krystian wypalił cztery papierosy i kończąc trzy pierwsze, miał ochotę, na złość sobie i komuś innemu, cisnąć niedopałek w leniwy nurt. Czwartego papierosa wypalił do połowy i nagle stanął jak wmurowany, a połówka papierosa wyprysnęła z jego palców i poleciała do wody.

-

Stop, stop, stop! - wyszeptał. - Fiejski...

Wpatrywał się w coś, co zawisło między nim a obłokami, tylko on to widział.

Sandra odruchowo, choć wiedziała, że nic tam nie zobaczy, zerknęła w górę.

-

Jemu chodziło... jemu chodziło... - Przyszła jej do głowy jakaś dowcipna

kwestia, coś w rodzaju: „Zaciąłeś się?”, ale nie otworzyła nawet ust. Stała nie-

ruchomo, żeby nie spłoszyć myśli. Krystian powiedział: „Ha!”, odwrócił się,

chwycił ją za ramiona i ścisnął. - Ten balet rąk był po to, żebyśmy na coś zwracali

uwagę, a na resztę tego, co mówił - nie. - Uśmiechnął się szeroko. - Fiejski! To

coś znaczy. Nie nazwisko, a może i nazwisko, ale nie w takim znaczeniu, jak

sądziłem, że wiesz - pokażą mi pałacyk, w pałacyku będzie piwnica, w piwnicy

kolejny... - roześmiał się trochę nienaturalnie - ...skarb... Hura! - wykrzyknął i

nagle chwycił dłoń Sandry i ucałował. - Nie masz pojęcia, jak koszmarnie się

czułem...

-

Ale... poczekaj! - Stała i nie usiłowała uwolnić rąk. Dmuchięciem od-

garnęła włosy z czoła. - Jesteś pewien?

Ale Krystiana już obok niej nie było. Znajdował się przed nią skamieniały człowiek, którego umysł całkowicie zaabsorbowała zaskakująca myśl, Sandra

213

trwała więc nieruchomo, jedynie uśmiechając się coraz szerzej. Dobre dwie minuty stali bez ruchu, poruszały się tylko ich powieki i przez czoło mężczyzny przebiegały krótkie skurcze.

Puścił ją, odsunął się o krok i unióśł palec. Potem wolno spod poły kamizelki wyjął z kabury swoją motorolę. Przyłożył palec do ust, odwrócił telefon i zdjął klapkę osłaniającą baterię.

-

Poczekaj, sprawdzę, czy nie było połączeń... - powiedział ni w pięć, ni w dziewięć, ale Sandra już zrozumiała jego intencje.

-

Dobra, nie śpieszy mi się, jak spacer to spacer...

-

Cholera, chyba w coś wdepnąłem! - warknął, wpatrzony we wnętrze swojej komórki. Podważył paznokciem baterię, pokręcił głową i pokazał telefon Sandrze.

Pod baterią znajdował się płaski kawałek plastiku, wielkości małego znaczka pocztowego, na granatowym prostokątku leżał zwój cieniutkiego jak pajęczyna drutu. Bateria przykrywała całkowicie niemieszczące się w specyfikacji telefonu urządzenie. Krystian delikatnie włożył baterię na miejsce, założył klapkę, włączył telefon i wstukał kod PIN. Potem rozejrzał się i umieściwszy aparat na pniu, pokazał Sandrze, żeby zrobiła to samo. Kobieta po prostu zdjęła z ramienia torebkę i położyła ją na ziemi. Starając się nie hałasować, odeszli piętnaście

kroków od pieńka.

-

Do mojego telefonu nie było problemu włożyć - ja go wyłączyłem. A twój był wylogowany dlatego, że musieli przy wkładaniu pluskwy go wyłączyć - powiedział cicho, patrząc ponad jej ramieniem na torebkę i telefon, jakby spodziewał się, że motorola nagle się przesunie, żeby mieć ich w zasięgu mikrofonu.

-

Tak, tak, też mi to przyszło do głowy. W ogóle mogli naszpikować moją torebkę - wyszeptwała.

-

Zgadza się, mogli. Sprawdzimy potem telefon, jeśli nic tam nie będzie, to źle, to znaczy, że gdzieś coś jest, ale nie wiemy, gdzie.

Pokręciła głową.

-

Jeśli nawet jest, to nie wiemy, ile i czego nam dołożyli. A w samochodzie?

Krystian pokiwał głową.

-

Tak. Samochód pewnie już naszpikowany, może być z nadajnikiem -

będą nas mieli na patelni przez cały czas... Szkoda... - uderzył powietrze pięścią -

...że nie pojechaliśmy wypożyczonym, można by było oddać i wypożyczyć inny.

214

Ale trudno - jest jak jest.

-

I - w domu! - trąciła go palcem w mostek. - Nasze rzeczy są w domu. Też

mogą być już naszpikowane nie wiadomo czym.

I uśmiechnęli się nagle oboje.

-

Ale historia! - szepnęła Sandra. - Aż ciarki po plecach... Chyba mniej się bałam tam w klasztorze.

Przechyliła lekko głowę, rozchyliła wargi, jakby chciała coś powiedzieć.

Albo żeby ją pocałował.

Ale nie powiedziała nic.

A Krystian jej nie pocałował.

* * *

-

Myślę, że powinniśmy umyć samochód - powiedział Krystian, gdy wracali z obiadu. - Widziałem zupełnie niezłą myjnię, pod ciśnieniem umyją całe auto, podwozie też, z błota, odkurzymy, co?

-

Dobrze - zgodziła się Sandra.

Rozumiała dobrze intencje Krystiana - być może strumień wody pod ciśnieniem uszkodzi albo wręcz wyrwie nadajnik, jeśli im go podczepiono. Odkurzanie też nie zaszkodzi.

Zjechali z Lenina na Rewolucjonistów. Nie sprecyzowano, o jaką rewolucję chodzi.

W myjni panowała cisza, pracownicy: młoda dziewczyna w sukience w duże maki, sympatyczna dziewczuszka z zadartym noskiem, i niespuszczający z niej oka młodzieniec z grzywą lnianych włosów - „Matko, jakie włosy! Dlaczego ja nie

mam takich?!” - jęknęła na widok szopy Sandra - wymienili zdziwione spojrzenia.

-

Dobryj dien'? Można pomytsa? - wesoło zaczął Krystian.

-

Konieczno! - równie wesoło odparła dziewczyna, poderwała się z plastikowego krzeselka i wskazała otwarte drzwi. - *Pożalusta!*

-

Cały samochód - powiedział Krystian, siadając przed biurkiem. - Wnętrze, podwozie, silnik. Jutro wracamy, kawał drogi, jakby coś się stało - niech przynajmniej będzie czysty - wyjaśnił.

215

Dziewczyna pokiwała głową, zajęta wpisywaniem na kwitku numerów rejestracyjnych. Manewry biurokratyczno-rachunkowe trwały dobre pięć minut, ale od trzeciej minuty dziewczuszka krzyknęła do partnera:

-

Griszula?! Kompleksnaja mojka, wsio! - zerknąwszy na Krystiana, dodała: - *Bież szuchiera, kak dla siebia!*

-

Ponia!

Chłopak włączył agregat, gestem szarmancko zaproponował Sandrze wycofanie się do biura i strugą wody potraktował dach wozu.

Krystian nie chciał odchodzić daleko, zwłaszcza - tak sobie zaplanował - przy myciu podwozia. Chciał widzieć, co ewentualnie odpadnie od blachy wozu.

„Pewnie, to by było dość naiwne, gdyby się udało oderwać jakiś nadajnik, ale gdyby - nie chciałbym, żeby chłopak włożył go z powrotem. Bo to, że pewnie zamelduje, gdzie trzeba, to inna sprawa. A może nie? Może to nie jest, jak nam wmawiają, totalnie milicyjna kraina? To, że żyją nieco inaczej, to jedno, a to, że nie są durniami, to kompletnie inna sprawa. Owszem, są trochę jak w monarchii - władca wie najlepiej, co ludowi trzeba, ale czy nasz kanclerz nie zachowuje się, jakby też posiadał wszystkie mądrości? I nie zostawił już nic dla innych? No nic, zobaczymy”.

-
Wosk? - zapytał chłopak.

-
Tak. Full. - Dwoma zamaszystymi ruchami ręki pokazał, że życzy sobie wszystko, czym może służyć myjnia. Podjechał jakiś peugeot, kierowca wysunął głowę przez okno i wywrzeszczał coś, czego Krystian z powodu niewyraźnej mowy i hałasu agregatu nie zrozumiał, ale można było się domyślić, że Griszula przewidywał dobre pół godziny na załatwienie *czużestranca*.

Kierowca peugeota rzucił radosne i wcale nie wrogie *job twoju mat'* i z rykiem silnika wycofał się z podwórka.

Obłok pyłu wodnego unosił się nad mytym samochodem, wiatr na szczęście nie kierował go w stronę biura, Krystian zerknął na skalę agregatu. Można było podnieść ciśnienie. Gdy chłopak skończył mycie nadwozia i przesunął agregat, żeby zejść do kanału, Krystian pokazał manometr i powiedział:

-
Maksymalnie, pożałujcie.

-
A on, blin, mozet otorwat' prowoda, nie stoit!

-
Niczego, niczego. Nie otorwiot, garantiruju.

216

-
Kak chotitie - wzruszył ramionami Griszula i zwiększył ciśnienie.

Obłok wodnego pyłu trysnął na wszystkie strony. Nie sposób było zbliżyć się do kanału, a tym bardziej wejść doń. Krystianowi zrobiło się żal chłopaka, który musiał pobierać w nim niezłą kąpiel. „Dlatego nie chciał zwiększać ciśnienia!” - domyślił się Krystian. Trudno. Wynagrodzi mu to. Chłopak coś krzyknął z dołu, Krystian zrozumiał, że każe mu się odsunąć, przeskoczył przez kanał na drugą stronę, usiłował wypatrzyć coś w środku. Bezskutecznie. Trudno. Odsunął się na bezpieczną odległość, potem odsunął się jeszcze bardziej, tknięty nagłym pomysłem, podszedł leniwym krokiem do wjazdu na teren myjni i zlustrował ulicę w obu kierunkach. Była pusta.

„Co się jeszcze robi w takich sytuacjach? W filmach? - pomyślał. - Zakładam, że mamy pluskwy, że mamy jakiś nadajnik... Czyli nie musimy mieć widzianego gołym okiem ogona. Ale - na Boga! - po co by białoruskie siły wywiadowcze czy jakieś tam inne miałyby nas śledzić? Jakie? Polskie? Chyba mają z Białorusią raczej toporki wojenne na podporządku. Niemieckie? A co by tu robiły? Kto by im pozwolił? Inne to już w ogóle jakaś karkołomna kombinacja - Amerykanie? Rosjanie? Do czego? A co ja tu robię? Ja?!”

Agregat przycichł raptownie. Grisza wychodził z kanału, niosąc w ręku

ogrodową lancę, potrząsnął głową, włosy miał mokre, ciemniejsze. Krystian zobaczył, jak przez szybę patrzy na chłopaka Sandra i kręci głową. Jeszcze zmierzył wzrokiem obie perspektywy ulicy i wrócił do samochodu. Chłopak wyciągał już odkurzacz, Krystian zerknął do kanału, ściany i posadzka lśniły, ale kałuż nie było; wszedł i zaczął oglądać podwozie seata. Nie oczekiwał, że na ciemnej blasze zobaczy nagle czarną kasetkę z jarzącym się pulsującą czerwienią prostokątnym wyświetlaczem, ale sądził, że musi być łatwo dostrzec „obce ciało” na dość znanej powierzchni podwozia. Choćby dlatego, że większość widocznych elementów powtarzała się w parach, oprócz pewnie tylko rury wydechowej, katalizatora i tłumika.

Nie było nic. Nie zobaczył też niczego na wilgotnej posadzce, wyłożonej drobnymi kafelkami, dwa centymetry na dwa.

-
Silnik też?

Krystian zastanawiał się chwilę.

-
Nie.

217

Przestał widzieć szansę na wykrycie nadajnika. Przypomniawszy sobie jednocześnie, że woda w przewodach może być przyczyną wielu nieprzyjemnych chwil.

-
Nie, dziękuję.

Wszedł na betonowe podwórko. W kantorze Sandra spokojnie przeglądała kolorową prasę, poza cyrylicą niczym nieróżniącą się od niemieckiej i polskiej.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, odpowiedział spokojnym, beznamiętnym wzrokiem, co miało dać jej znak, że nic się nie wydarzyło. Białośrusinka bąknęła coś i wyszła z biura, na zewnątrz Griszula hałasował odkurzaczem, w kantorze grało radio. Krystian uznał, że to wystarczające tło akustyczne. Przysiadł się do Sandry.

-

Nic nie ma - szepnął.

Odpowiedziała krótkim uśmiechem: „Trudno, nie zawsze się udaje”. Krystian wskazał ucho, potem jej torebkę. Oboje zapomnieli sprawdzić, czy w komórce Sandry też jest plastikowy płatek z pajęczynką. Sandra popatrzyła przez okno. Chłopak był zajęty odkurzaniem, do dziewczyny ktoś zadzwonił i pobiegła ze swoją komórką na zaplecze myjni, gdzie hałas nie przeszkadzał jej w rozmowie. Komórka Sandry pojawiła się na stoliku, właścicielka popatrzyła na Krystiana, pokiwał głową. Szybko odwróciła telefon, otworzyła pokrywę i podważyła paznokciem baterię.

Identyczny płatek leżał grzecznie pod baterią. Natychmiast go zakryli. Krystian wyjął swoją motorolę, włożył do torebki Sandry i gestem zaprosił ją do wyjścia. Ominęli buczący odkurzacz i przystanęli pod drzewami na drugim końcu placu. Krystian zapalił.

-

Widziałem po drodze reklamę kawiarenki internetowej. Może lepiej tam poszukać niż za pomocą laptopa? - powiedział, patrząc na krzątającego się w samochodzie Griszulę.

-

Myślisz, że mogli dołożyć do laptopa coś, co pozwoli nas śledzić? - za-

pytała.

-

A czy ja wiem? Ale ja sam korzystam z programu do śledzenia i sterowania moim komputerem na biurku na dystans. Mogę sobie pojechać na drugi koniec świata i kazać defragmentować dysk, na przykład, czy posłuchać muzyki z własnego dysku. A oni musieliby zrobić tylko tyle, żeby ta opcja była przede mną ukryta.

Zmarszczyła czoło.

218

-

Poważnie? To jest możliwe?

-

Tak, i to nie jest żadna nowość. Nawet Windows zapewnia taką opcję.

-

No to musimy przyjąć, że laptop jest nie do użytku. Mam na myśli - nie do użytku w określonych sytuacjach. Tak więc podjedziemy, pójdziesz do kawiarenki, może uda ci się nie zwrócić na siebie uwagi, a ja przyjadę za... Za ile?

-

Wyślę ci pikacza, jak będę kończył. - Widząc, że nie rozumie tego terminu, wyjaśnił: - Jeden sygnał. Nie odbieraj. Ale jak zobaczysz, że się do ciebie dodzwoniłem - to jest znak. Pikacz.

-

Pikacz... - powtórzyła. - A dlaczego się tak śmiesznie nazywa?

-

Pikać to robić „pi-pi”!

-

Aha!

Odkurzacz ucichł, odwrócili się oboje. Griszula z mokrymi włosami dowcipnie zsalutował i wskazał samochód. Wrócili, po drodze Krystian wyjął z portfela dziesięć baksów dla chłopaka, wręczył mu, uśmiechając się szeroko.

-

Spasiba!

-

Oj, eto ja blagodariu! Bolszoje spasiba!

W kantorze Krystian uregulował śmieszny, mniej więcej czterodolarowy rachunek. Dał dziewczynie dziesiątkę i podziękował. Sandra siedziała już w samochodzie, zręcznie i bez wahania czy lęku zjechała z kanału i wyjechała na ulicę. Krystian wcześniej wskazał kierunek w lewo.

Zostawiła go pod długą, niezgrabną i nieproporcjonalną trzypiętrową kostką, w której piwnicy mieściła się kawiarenka.

Kilka minut później zaparkowała przed dobrze już znaną lodziarnią i zaczęła wybierać długo i dużo.

* * *

Sandra poprosiła Krystiana, żeby przetłumaczył Jekatierinie Fiodorownie jej prośbę o jakąś nie za ciężką kolację. Potem oboje starannie przejrzeni swoje ubrania, wybrali świeże, zostawili w pokoju komórki, zegarki, biżuterię i tak, w lekkim przekonaniu, że zrobili, co mogli, wyszli na spacer po Zarzeczcu. Jekatierina Fiodorowna, słysząc, że dziś nie jedli obiadu, plasnęła w dłonie i rozjęczała

się, kiwając głową, a słysząc podkreślenie: „*Pożalusta - logkij użyn!* ” - zama-
chała rękami: „*Znaju, znaju, znaju!* ”.

219

-
Nie damy rady jutro wyjechać - mruknęła Sandra, wychodząc za furtkę.

Na ulicy chwyciła Krystiana pod rękę i poszli po kostropatym chodniczku, od-
prowadzani niemaskowanymi spojrzeniami w większości staruszek. Na dodatek
każda uważała za swój obowiązek pozdrowić przechodzących, a ponieważ były
staruszkami, Krystian zaczął z daleka witać się z nimi. Dziękowały mu za to
szerokimi uśmiechami. - Jak zjem cztery bliny, to pękam.

Krystian nie chciał pozbawiać jej złudzeń - dojrzał w kuchni dojrzewające w
misce pod lnianą ściereczką drożdżowe ciasto i domyślał się już, do czego będzie
użyte.

Trafili na kilka domów, których właściciele nie siedzieli na przyzbach.

-
Wiesz, czego się dogrzebałem w Internecie? - retorycznie zaczął Kry-

stian. - Otóż Fiejski to nie nazwisko, choć może i takie gdzieś występuje. Ale
przede wszystkim to jest Bogrodice-Fiejskaja Mużskaja Pustyń. Czyli kolejna
pustelnia. Ale już - i tu mamy problem - nie na Białorusi, tylko w Rosji. Wizy? -
Popatrzył znacząco na Sandrę. - To znaczy - wizy nie są wielkim problemem, ale
wiesz, ile to kilometrów? Powrót i znowu jazda, od Mińska jakieś pięćset, to jest
między Smoleńskiem a Moskwą.

-
Oj, oj! - powiedziała tylko. Widać było, że przez chwilę sumuje całą

trasę. - To będzie niemal dwa tysiące kilometrów w jedną stronę do Berlina?! -

jęknęła cicho.

-

I tyleż z powrotem. To tylko jeśli wrócimy, żeby załatwić wizy. Teraz

dolicz nasz powrót i jazdę tu, wyjdzie nam z pięć tysięcy w ciągu - ilu? - dzie-

sięciu dni? Wsiądą nam kręgosłupy. No i... - ściszył głos, przyciągnął do siebie

kobietę - ...takie miotanie się tam i z powrotem na pewno ściągnie uwagę ichnich

podejrzliwych służb.

Sandra pocmokała i pokręciła głową.

Szli w milczeniu kilkadziesiąt metrów. Miejska zabudowa skończyła się

raptownie, domy odsunęły się od jezdni, która niezauważalnie przeszła w szosę.

Pojawiły się pola, kilka krów, gdzieś zarżał koń.

-

Skoro trzeba - odezwała się po kilkadziesiąciu krokach.

-

No... wiesz, jesteś wymarzoną towarzyszką - powiedział Krystian. Od-

ważył się i pogłaskał ją po spoczywającej na jego łokciu dłoni. - Ale mnie też to

daje w kość. Dwa dni w jedną stronę, potem cztery z powrotem, i zawsze jest

220

możliwość, że to pomyłka albo fałszywy trop - i wtedy kolejne cztery dni w

samochodzie. A jeśli nawet nie pomyłka, to i tak powrót, przecież nie po mie-

siącu, bo co byśmy tam robili?

-

Ale po co by ta twoja prapraprababcia umieszczała list z nieprawdziwymi

danymi? Dowcip po dziesięcioleciach? Po co? Własnym wnukom?

-

No i tu dochodzimy do jeszcze jednego punktu - powiedział wolno Kry-
stian. Zaintrygowana Sandra wyprzedziła go o pół kroku i zajrzała w oczy. - Za-
czynam się zastanawiać, czy to naprawdę moja pra-rodzicielka. Czy to nie jest
tylko element jakiegoś szerszego... spisku? - Kopnął kawałek cegły. - Ktoś po coś
kieruje kogoś w jakąś stronę... Szczyt precyzji, nie? - uśmiechnął się z przymusem.

-

A zależy ci na tym, żeby dotrzeć do tego monastynu? - zapytała Sandra.

Przeszedł kilka kroków, nie odpowiadając.

-

Wiesz... Z jednej strony - nie wiem, co jest grane. Z drugiej, zabito moją
matkę, dobrą czy złą, wyrodną czy bohaterską - zabito. Czuję się, jakbym był w
kłębku szpagatu - chwytam jakieś nici, ale żadnej nie mogę pociągnąć, bo się
plącze z innymi. Coś się dzieje, w to coś już wdepnąłem... wdepnęliśmy... Nie
bardzo potrafię sobie wyobrazić, że nagle się usuwam i macham ręką: a niech się
tam dzieje, co chce, mnie to nie obchodzi. Będzie mnie to uwierało do końca życia.

-

No to nie ma co kombinować! - od razu powiedziała Sandra. - Trzeba tam
pojechać i już.

-

Tak po prostu? - prychnął.

-

Może nie po prostu, ale trzeba. Zaczniemy od tego. - Sięgnęła do kieszeni

i wyjęła małą nokię. - Prosto ze sklepu, nowiutka, bez kontaktu z kimkolwiek.

Musi być jeszcze w tej chwili czysta, prawda?

Oślupiały Krystian zastanawiał się chwilę, potem niezdecydowanie wzruszył ramionami.

-

Na - jak to się mówi po polsku - chłopski rozum: powinno być bezpieczne. Nie mogą chyba podsłuchiwać nas satelitarnie? Bo i po co? Ale jaki masz pomysł? Jak nam to może pomóc?

Puściła rękę Krystiana i zaczęła wystukiwać numer.

-

A jak zdobyłam wizy tu? Tak samo może uda się zdobyć do Rosji?

-

E tam!... - powiedział lekko rozczarowany Krystian. Nie potrafił uświadomić sobie, czego oczekiwał, jakiego rozwiązania problemu, ale takie wydawało

221

mu się to nierealne, nie do zrealizowania, niemożliwe po prostu. Rozejrzał się dokoła. Było pusto, jakiś ciągnik warczał na polu, tak daleko, że nie widać było nawet, kto nim kieruje. - Nie wiem, czy istnieje możliwość załatwienia wiz...

- Halo? - rzuciła Sandra do słuchawki.

Odszedł kilkanaście kroków, żeby pozwolić jej spokojnie porozmawiać. Nie wiedział w końcu, kim jest ten znajomy, który w trybie pilnym załatwił im wizy na Białoruś, w jakich pozostaje stosunkach z Sandrą. Zapalił i zaczął pogwizdywać, uczciwie nie podsłuchując rozmowy. Nie udało się nie usłyszeć jednak kilku wesoło rzuconych słów Sandry. Dialog przebiegał, o dziwo, w wesołej i

pogodnej atmosferze. Wypalił całego papierosa, z okrzyków wnosząc, że Sandra zachwala przez telefon białoruskie lody.

„Jeśli się nie uda - pomyślał - to trzeba będzie wracać. Czy będzie mi się chciało jechać jeszcze raz? A jej? Na pewno nie. Mnie, w końcu, popycha jakaś tam rodzinna ciekawość, może możliwość zemsty? A właśnie - co kieruje Sandrą? Wymusiła urlop, pakuje się w wydatki... Okej, stać ją, jest niewątpliwie bogatą, bardzo bogatą kobietą. Musiałaby być tak ciekawska, jak bogata, żeby tylko ciekawością można było usprawiedliwić jej udział w tej aferze... Ta-a-ak... W dobrym sensacyjnym filmie musiałyby się tuż przed końcem okazać, że jest agentką Mossadu albo CIA, a w naszym układzie geopolitycznym - Stasi czy jej jakaś młodsza siostra. - Prychnął krótkim śmieszkiem. - Wykluczone i niemożliwe. To my do niej przyszedliśmy po prośbie, ona się nie pakowała z radami i pomocą. Czyli albo Stasi musiałyby mieć w swoich szeregach wszystkich Niemców, albo musiałyby ją, albo jej klon, zwerbować zaraz po mojej pierwszej rozmowie z Ulą. Nie, to kompletny absurd... No i dlaczego niby Stasi? Jeśli już, to raczej BND! - Obejrzał się na Sandrę, stała odwrócona plecami i słuchała. Coś nieprzyjemnie ukłuło Krystiana gdzieś pod mostkiem. Szybko wyjął kolejnego papierosa. - Szacuje się, że z 18 milionów Niemców z NRD jakieś 170 tysięcy było konfidentami Stasi, czyli - co setny. Ale co - komu mieliby teraz donosić? Pewnie jakąś część wchłonęły BfV, MAD, co tam jeszcze? ZNBw! To za duża gratka - mieć taki kontyngent wyszkolonych i oddanych ludzi i zrezygnować z nich? W życiu! Na pewno sporo ich działa, rozjeżdżają się po świecie, zwłaszcza po Niemczech... Nieważne. To nie moje zmartwienie. Moje, przyznaję się, to chęć działania z nieocenioną Sandrą. - Zaciągnął się mocno i długo wypuszczał dym

ustami. - Powiniennem jej coś powiedzieć, coś właśnie o tym, że...” Drgnął, gdy poczuł na ramieniu rękę Sandry.

-

Nie ma problemu! - oświadczyła radośnie, odrzucając drugą ręką włosy z czoła.

-

J-jak to?... - zająknął się. - Nie żartuj!

-

Nie żartuję. To prostsze, niż sobie wyobrażaliśmy. Na granicy kupimy vouchery i już.

-

Czyli? Nie rozumiem.

-

Taka metoda na wjazd bezwizowy. Kupujesz vouchery i po kłopotcie.

Trzeba tylko nimi gdzieś zapłacić, trzeba się też zameldować w jakimś hotelu, chyba takie prywatne kwatery wykluczone. Ale czy to problem?

-

No nie!

„Czyli jedziemy?”

-

To co - jedziemy? - Pokiwała radośnie głową. - Znaczy, wiesz... Ja muszę, bo...

-

Już! Cisza na pokładzie! Jedziemy. Mnie od tej historii nie odciągniesz
wołami. Aha: gdyby były jakieś problemy na granicy, mamy się powołać na
majora Siergusza. Zapamiętasz? Czy zapiszemy sobie?

Zawahał się.

-

Zapiszemy... - powiedział w końcu, ale bez specjalnego przekonania. -

Przecież są gdzieś granice paranoi?...

-

No to piszę. - Uruchomiła notatnik w telefonie i wstukała coś. - Wpisałam

„Sehr Gut - Sier Gush”, mało sensu, ale zakamuflowane, prawda?

Chwycił ją za rękę i ucałował dłoń.

-

Mata Hari mogłaby brać u ciebie lekcje!

-

Kpimy sobie, co? - Postukała czubkiem buta o płytę chodnika.

Na horyzoncie pojawił się jakiś pojazd. Krystian puścił dłoń Sandry.

-

Nie. Nie z ciebie. Jesteś skarbem!

Wyglądało, że Sandra czeka na ciąg dalszy, ale pojazd zbliżał się, z tyłu

rozległ się warkot, jakaś ciężarówka opuszczała Zarzecze i Czausy.

Nie umawiając się, zawrócili w kierunku miasteczka.

-

Ale serio - muszę ci powiedzieć, że... Bo wiesz, ja nie mam przyjaciół.

Nie wiem, dlaczego tak się stało, mam tylko znajomych, dobrych, wszyscy są

znajomymi od lat, wspaniali ludzie. Ale nie przyszłoby mi do głowy zapraszać kogokolwiek z nich do tej... afery. A ty wskoczyłaś w to z taką łatwością, jakbyś codziennie kręciła się koło morderstw, policji, kałasznikowów i tak dalej.

-

To jest nagana czy pochwała? - Zrobiła dwa szybkie kroki, wyprzedziła Krystiana, odwróciła się i idąc tyłem, mierzyła go wzrokiem spod złączonych brwi.

-

Ależ pochwała! Ogromna pochwała, sama chwała i cześć. Bez ciebie już bym dawno machnął ręką i po prostu utknął. Powiedziałbym, że to ty jesteś Sherlockiem, a ja Watsonem.

-

Oj, uważaj, bo przesadzony komplement traci na wartości! - Pogroziła mu palcem, obejrzała się i widząc czekający ich nierówny kawałek drogi, przeszła na drugą stronę chodnika i chwyciła Krystiana pod łokieć. - Ale się cieszę. Bo ja, nie wiem dlaczego, tak się tą sprawą przejęłam... - powiedziała, patrząc przed siebie. - Nie wiem. Nie prowadzę przecież jakiegoś wyjątkowo nudnego życia, żeby przy pierwszych oznakach sensacji tak się angażować. Ale - nieważne. Cieszę się, że się przydadę, i skończmy na tym. Idziemy na lekką kolację.

-

Akurat, wierzysz w tę lekkość? Pewnie będzie to kolacja tak lekka, jak lekki czołg pływający - zakpił.

-

No to się umówmy, że jutro ja będę prowadziła, a ty rozłożysz sobie fotel i będziesz odbywał sjętę.

Kilka kroków zrobili w milczeniu.

-

Nie uda się... - oświadczył w końcu Krystian.

-

Wyjedziemy po południu, do granicy mamy blisko, prawda? Grunt, żeby przed północą przekroczyć ją, potem jest jakieś miasto?

-

Tak, po stu kilometrach mamy Rosław1, powinny tam być hotele albo możemy stamtąd skoczyć na północ, do Smoleńska. Tam to już na dwieście procent są. A i tak, i tak musimy przeciąć drogę Mińsk - Moskwa, czy zrobimy to później, czy pojedziemy nią i potem zjedziemy - chyba bez znaczenia. Ta do Smoleńska wygląda na ważniejszą.

-

No to już wiemy, jak pojedziemy. Co to jest dwieście kilometrów?!

Po chwili namysłu Krystian powiedział z wahaniem: - To jakaś ważna droga...

- A gdy Sandra popatrzyła na niego z zaciekawieniem, dodał: - Skoro Okudźawa

224

o niej napisał piosenkę... *Po smolenskiej dorogié sniega, sniega, sniega...* - zaczął.

Sandra uniosła brew, Krystian skonfundował się, puścił do niej oko i udał, że uważnie wybiera drogę.

Chodnik był wyjątkowo, jak na złość, gładki...

23. 19 KWIETNIA, 20.33

Pomieszczenie było ciemne i duszne. W eleganckiej rezydencji trudno było się spodziewać podobnej izby. A jednak istniała. Znajdowała się w podziemiach, w samym ich centrum. Aby się tutaj dostać, trzeba było zejść krętymi, ciasnymi schodami głęboko w dół, a potem różnymi przejściami w głąb prawdziwego labiryntu korytarzy. Pokój został ukryty w grubych ścianach, sprawiał wrażenie, jakby wycięto go w licu starych, średniowiecznych murów. Może zresztą właśnie tak było. Stół był jasno - nawet za jasno - oświetlony skoncentrowanym, nienaturalnie białym światłem, przez to reszta pomieszczenia tonęła w gęstym, piekielnym mroku.

Azrak starał się przebić wzrokiem ciemną zasłonę. Zdawał sobie sprawę, że pokój nie może mieć wielkich gabarytów - na to sprawiał zbyt klaustrofobiczne wrażenie - ale siedząc przy stole, nie umiał dostrzec ścian. Zupełnie jakby pośród głębokiej, pochmurnej nocy zasiadł na bazaltowej półce skalnej, trzymając w ręku jedynie cieniutką świeczkę, jakie wierni zwykli stawiać przed świętymi obrazami w cerkwiach. Tutaj światło było równie skąpe, płynęło od niewielkiej lampki, ustawionej na samym środku okrągłego stolika.

- Będziemy wywoływać duchy? - spytał drwiąco. - Podobno do tego potrzebny jest jeszcze talerzyk. I więcej niż dwie osoby. Od razu mówię, że na medium zupełnie się nie nadaję.

Miał zachrypnięty, niski głos, w którym od czasu do czasu coś nisko zgrzytało, podobnie jak w nienasmarowanym drewnianym kole starego powozu. W sumie kojarzyło się to bardziej z niedogaszonym pożarem niż z wozem. Jakby gardło mężczyzny zostało wystawione przez długi czas na suche, gorące powie-

trze, które zniszczyło struny głosowe.

225

-

Cerkiew potępia podobne procedery - doleciało z ciemności. Ten głos z kolei ostro kontrastował ze skrzypieniem Azraka. Był głęboki, aksamitny, wręcz kojący.

-

Cerkiew wiele rzeczy potępia, a jednak musi je czasem robić i brać udział w rozmaitych niegodziwościach.

-

Aż tak nienawidzisz prawosławia?

-

Nienawidzę i prawosławia, i całego katolicyzmu, a także innych większych i mniejszych religii.

-

Nie wierzysz w Boga?

-

Wierzę. Wiarę traciłem i wracałem do niej, ale te powroty nie są zasługą kapłanów. Przez was można jedynie zwątpić. Nie darmo Chrystus rzekł, iż głosami duchownych będzie wybrukowane piekło.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je wreszcie pogrążony w ciemnościach człowiek.

-

Za co?

-
O co pytasz?

-
Za co tak nas zniechędziłeś?

Azrak splunął w mrok.

-
Za Afganistan. Za trupy moich przyjaciół. Za okrucieństwa. Za kalekich rosyjskich żołnierzy i kalekie afgańskie dzieci. Mam za co, prawda?

-
Cerkiew nie może przecież odpowiadać za zbrodnie sowieckich przywódców.

-
A gdzie była ta wielka Cerkiew, kiedy wojska radzieckie równały z ziemią nędzne wioski? Gdzie był patriarcha, gdy trupy Rosjan wyścielały pola bitew? Kiedy mudżahedini wypruwali z nich flaki, palili i torturowali schwytanych jeńców? Czy sprzeciwiliście się choć jednym słowem?

-
Pamiętaj, jakie to były czasy. Komunistyczna władza trzymała nas w szachu, czuliśmy na karku twarde buty.

Azrak prychnął pogardliwie.

-
Jednak gdy zaczęła się wojna w Czeczenii, tego zagrożenia już nie było.

Czy choć raz patriarchowie wyraźnie sprzeciwili się władzy? Czy powiedzieli głośno i wyraźnie, że rosyjscy chłopcy idą na zatracenie w nikomu niepotrzebnej

wojence? Nie. Bo wy po prostu macie w dupie własnych wiernych!

Ukryty w mroku mężczyzna wciągnął głośno powietrze.

226

-

Waż ostrożniej słowa, żołnierzu! Pamiętaj, gdzie się znajdujesz.

-

To ty chciałeś mnie widzieć, nie ja ciebie.

-

Chciałem, bo mam zadanie. Ważne zadanie, które może przynieść korzyść

nie tylko Cerkwi, ale i całej Rusi, które uratuje naszą świętą matkę, a jeśli dobrze

wykorzystamy owoce swoich działań, otrzymamy broń, którą będziemy w stanie

szachować naszych katolickich wrogów. Ale zdaje mi się, że w sercu skłaniasz się

raczej ku Watykanowi, a takiemu sprzymierzeńcowi ufać nie możemy.

-

Ja i Watykan? - zaśmiał się gorzko Azrak. - Dlaczego? Nie są w niczym

lepsi od was, ojczulku. A może i gorsi, bo ich nigdy nic nie krępowało oprócz

aliansów politycznych i strachu przed kompromitacją.

-

Nie rozumiem cię, człowieku - mruknął duchowny.

-

Bo mnie zrozumieć może tylko drugi Afgańczyk, ktoś, kto przeżył to

samo, widział te same zbrodnie i sam brał w nich udział. Ty, klecho, siedziałeś

całe życie na tyłku, nie wiesz nawet, z której strony trzymać karabin, jak zao-

strzyć granat, jak zatamować silny krwotok. Nie wiesz nic.

-
O wojnie mam rzeczywiście mgliste pojęcie - odparł spokojnie niewi-
doczny mężczyzna. - Ale wiem, jak używać miecza duchowego, a ten potrafi
zadać rany straszliwsze niż cała wasza broń.

-
A jednak potrzebujesz kogoś, kto potrafi się posługiwać tym pogardza-
nym orężem.

Coś zaszeleściło w ciemnościach, Azrak był przekonany, a wyostrzone zmysły
nie mogły go oszukać w tak oczywistej ocenie, że to szelest gwałtownie porusza-
jących się szat. Odruchowo napiął, po czym od razu rozluźnił mięśnie, w każdej
chwili swego obecnego życia spodziewał się zaskakującego ataku i zawsze w takiej
chwili jak ta się rozluźniał. Żeby lepiej odpowiedzieć na atak. W krąg ostrego
chirurgicznego światła wsunęła się brodata twarz, pokryta siatką zmarszczek.
Mężczyzna widocznie pochylił się, żeby pokazać twarz, jakby wysuwał ją na
deszcz, resztę ciała chroniąc pod szczelnym dachem werandy. „Albo wkładając
twarz do wody, żeby ochłodzić bądź zmyć łzy” - pomyślał Azrak.

-
Dlaczego chcesz mi pomóc, Stiepanie Fiodorowiczu, skoro nienawidzisz
prawosławia na równi z katolicyzmem?

-
Mam na imię Azrak, patriarcho - rzucił ostro żołnierz. - Pamiętaj o tym.

Stiepan Fiodorowicz Umajew zmarł w Afganistanie.

Azrak - powtórzył duchowny. - To chyba arabskie imię. Przeszedłeś na islam?

Wszedł cały w jarzący się slup. Spokojnie podszedł do stołu i usiadł na krześle, którego ani nie odsunął, ani nie przysunął. Stało w idealnej odległości od stołu.

Po co? - prychnął znów Afgańczyk. - To tak samo podła wiara, jak i wasza. Moje imię znaczy po arabsku po prostu „Niebieski”.

Niebieski? To jakiś symbol?

Zgadza się. W armii nosiłem beret tej barwy. Byłem w wojskach desantowych - dodał, widząc, że starzec nie pojmuje.

Dobrze, Azraku. Powiedz mi zatem, dlaczego godzisz się pomagać temu, kogo nienawidzisz. Muszę to wiedzieć, jeśli mam powierzyć ważną misję komuś takiemu.

Azrak przymknął oczy, na jego ustach zagościł lekki uśmiech.

Może to zabrzmie pompatycznie, ale taka jest prawda. Kocham Rosję, popie. - Zerknął bystro na rozmówcę, żeby sprawdzić, jak zareaguje na nazwanie go tak, jak zwyczajnego duchownego z podrzędnej świątyni. Twarz patriarchy nawet nie drgnęła. W napięciu czekał na dalsze słowa weterana. - Tak, kocham Rosję - podjął Azrak. - Tę Rosję, która rodzi największych artystów i najwięk-

szych zbrodniarzy, ten kraj, w którym krew przelewa się łatwiej niż wodę, gdzie cierpią całe narody, a jednocześnie urządza się wielkie uroczystości i defilady.

Kocham tę niewdzięczną ojczyznę... A silna i bezpieczna Cerkiew to jedna z gwarancji silnej i bezpiecznej Rosji. Rozumiesz, starcze? Jesteś w stanie w ogóle to pojąć?

W pełnych pasji słowach brzmiała szczerłość i prawda. Patriarcha czuł całym sobą emocje, jakie targały jego gościem. Jeśli do tej pory miał wątpliwości co do jego intencji, teraz się ich pozbył.

-

Ufam ci - powiedział miękko. - A sprawa jest w istocie rzeczy niezwykle ważna. Dlatego rozmawiamy właśnie tutaj, a nie w sali audiencyjnej...

-

Podłuch? - zaśmiał się krótko Azrak. - Jesteśmy w monitorowanej, bezpiecznej kryjówce? Tutaj odbywasz najważniejsze narady?

-

Zgadza się.

-

I naprawdę uważasz, że FSB nigdzie tutaj nie wcisnęła mikrofonów?

228

-

Jestem pewien, że aż się od nich roi. W końcu to ludzie budowali ten pokój, a w naszej ojczyźnie na trzech robotników pracujących przy podobnych inwestycjach jeden współpracuje ze służbą bezpieczeństwa, jeden jest jej etatowym pracownikiem, a jeden reprezentuje GRU.

-
W takim razie...

-
W takim razie oznacza to tylko jedno: to, czego w tej chwili słuchają oficerowie FSB, to zupełnie inna rozmowa niż ta, którą prowadzimy. My też mamy swoich fachowców, a niektórzy z nich są nawróconymi inżynierami radzieckiej KGB, którzy postanowili z różnych względów poświęcić się życiu klasztornemu. I nie dlatego stosuję zabezpieczenia, żebym miał coś przeciwko wiedzy FSB na temat tej akurat misji, ale dlatego, by nie popsuli wszystkiego, jak to często im się zdarza, kiedy się zanadto śpieszą. Mnie przede wszystkim chodzi o to, żeby o zadaniu nie dowiedziały się inne agentury, a szczególnie Polacy, Niemcy i - tradycyjnie - Amerykanie. O Watykanie nawet nie wspominam, bo to oczywiste samo przez się. Zresztą na wszelki wypadek...

W stronę Azraka pofrunęła koperta. Mężczyzna przechwycił ją, złożył na pół i schował do kieszeni koszuli na piersi.

-
Tam masz wszystkie dane osób, o które nam chodzi - powiedział patriarcha.

-
Dane to bardzo pożyteczna rzecz, ale nadal nie mam pojęcia, jakie jest moje zadanie.

-
Pewien Polak, którego personalia znajdziesz w kopercie, może wiedzieć coś, na czym nam zależy. A jeśli nie posiada pełnej wiedzy, jest w stanie zdobyć

pewne materiały. W ostatnim czasie dotarł do informacji, które są dla nas nie-
słuchanie ważne. Poszukujemy czegoś, co zostało w spadku po templariuszach.

Weteran zmarszczył brwi, spojrzął na rozmówcę z niedowierzaniem.

-

Templariuszy zlikwidowano bardzo dawno - zauważył.

Patriarcha musiał wyczuć ironię tkwiącą w użyciu takich a nie innych słów.

-

Zgadza się. Prawie siedemset lat temu. Jednak zostały po nich różne ta-
jemnice. Pamiętaj, że byli rycerzami strzegącymi interesów Królestwa Jerozo-
limskiego, uwikłanymi w wielką politykę międzynarodową. Przypisuje się im

229

ukrycie świętego Graala, według niektórych mieli być strażnikami Arki Przy-
mierza...

-

To bajki - zaśmiał się Azrak. - Bzdury dobre dla pospólstwa.

-

W każdej legendzie jest ziarno prawdy - odparł poważnie duchowny. - W
opowieściach o templariuszach także. Może nie chodzi o świętego Graala czy
legendarną broń Mojżesza i Izraelitów, ale należy pamiętać, iż zakonnicy byli w
posiadaniu różnych dokumentów, w tym dotyczących podstaw naszej wiary.

Azrak w zamyśleniu wydobyl kopertę, zaczął jej rogiem stukać w nadgarstek.

-

A konkretniej? - spytał po chwili.

-

A konkretniej - wiemy o istnieniu pism pochodzących z czasów bliskich Jezusowi, a ukrytych przez templariuszy. Wiemy też, że można w nich znaleźć fakty, które mogłyby wstrząsnąć podstawami wiary chrześcijańskiej.

-

A co ma do tego ten Polak?

-

Ten Polak zaczął ostatnio sporo węszyć. Złapał jakiś ślad. Mamy doniesienia, że wybrał się na Białoruś w poszukiwaniu pewnego monasteru.

Azrak zmarszczył brwi, pokręcił głową.

-

Białoruś? Coraz mniej rozumiem.

Patriarcha westchnął ciężko.

-

Musisz wiedzieć, że właśnie na terenie obecnego królestwa Aleksandra Łukaszenki w średniowieczu znajdowały się silne komandorie Zakonu Ubogich Rycerzy Świątyni, bo tak brzmi pełna nazwa templariuszy. I właśnie tam, w obliczu zagrożenia kasatą zgromadzenia, przeniesiono z Zachodu najważniejsze dokumenty, najcenniejsze, najbardziej newralgiczne zbiory archiwów.

Azrak patrzył prosto w oczy duchownego.

-

Rozumiem - powiedział powoli. - Mam wam wystawić tego Polaka?

-

Masz go śledzić - odparł niecierpliwie patriarcha. - Dowiesz się wszystkiego, co możliwe. Masz być jego cieniem, jego nieodłącznym towarzyszem.

Kiedy dotrze do celu... jeśli dotrze do celu, ty powinieneś pierwszy o tym wiedzieć i odebrać mu zdobycz. Jeśli to zrobisz, do końca swoich dni nie będziesz musiał się martwić o środki do życia. Wystawnego życia.

230

Afgańczyk nie spuszczał wzroku z twarzy rozmówcy.

-

Co to ma być? Ta zdobycz? Jakaś skrzynia, papiery, może nagrania...

-

Miej oczy i uszy otwarte, a sam się wszystkiego domyślisz. W mojej kancelarii wydadzą ci paszport na nazwisko Nikołaj Bielinin, otrzymasz także gotówkę, czeki i kartę kredytową. A to, co dałem ci w kopercie...

-

Wiem, wiem. Mam zniszczyć natychmiast po przeczytaniu.

-

I zapamiętaniu - uściślił starzec. - Nie musisz tego drzeć na strzępy czy palić. Wystarczy, że wrzucisz papier do wody. Rozpuści się bez śladu w ciągu kilkunastu sekund.

* * *

Pocisk wybuchł tuż obok jego stanowiska. Trzeba przyznać, że brodacze walili celnie. Od czasu do czasu rozlegał się jęk ranionego albo okrzyk konania. Piekło. Tylko tak można było określić to, co działo się dokoła. Skalisty grunt gotował się od wybuchów. Umocnienia, które mieli zdobyć, okazały się szeregiem jam wydrążonych w pagórkach odległych jakieś sto metrów od miejsca, w którym zalegli. Ten, który dowodził po drugiej stronie, był naprawdę dobrze

wyszkolonym oficerem. Stiepan podejrzewał, a nawet był pewien, że ktoś taki zdobywał wiedzę w najlepszych szkołach Związku Radzieckiego. Może jakiś renegat? Jakiś rosyjski Pasztun, który postanowił wspomóc rodaków w walce z czerwonym imperium? Gniazda oporu były ze sobą powiązane, wspierały się nawzajem ogniem i nawet zdobycie któregoś z nich nie gwarantowało uchwycenia przyczółka, nie można się było tam utrzymać, gdyż zdobywcy z miejsca byli ostrzeliwani z trzech stron, po kolei wyłuskiwały ich mordercze salwy. Należało zdobyć wszystkie ważniejsze punkty albo przynajmniej większą ich część, żeby można było poprowadzić atak w głąb umocnień. A i tam czekała następna fala mudzahedinów, ukrytych w załomach skalnych, pieczarach, pojawiających się nagle za plecami, gotowych popełnić samobójstwo, byle tylko pociągnąć za sobą choć jednego przeciwnika. Nienawiść i fanatyzm.

Stiepan przywykł już do sposobów walki Afgańczyków, ale nieodmiennie podczas starć czuł mimowolny, pełen niechęci podziw. Dziś jednak w sercu

231

miał tylko zapiekłą złość. Rano, gdy szli na podstawę wyjściową do szturm, natknęli się na pozostałości obozu muzułmanów. Na samo wspomnienie można było dostać mdłości. Rosjanin, wbity na pal i wykastrowany, patrzył w dal krwawymi oczodołami. Zeschnięte, poczerniałe gałki oczne leżały opodal. Jądra wciśnięto nieszczęśnikowi w nozdrza, a penis tkwił pośrodku wnętrzości, ułożonych w kształcie wieńca na ziemi. Drugi z żołnierzy spoczywał obok, z podkurczonymi nogami, rękami wciśniętymi między uda. Nie, nie rękami - kikutami, bo dłonie mu odrąbano i porzucono przy ciele. Sądząc ze śladów, wykrwawił się na śmierć. Kolejny Rosjanin miał odciętą głowę. Skręcone w przedśmiertnym

spazmie, pokryte pręgami cięć ciało mówiło wyraźnie, iż przed śmiercią cierpiał straszliwe katusze, może nawet śmierć była dla niego ulgą. „Kurwa - powiedział na ten widok kapitan - jak dopadniemy chujów, zatańczymy z nimi po naszymu”.

Azrak się ocknął. Stukot kół po szynach sprawił, iż przez chwilę był pewien, że znajduje się w eszelonie zmierzającym ku granicy z Afganistanem. Czuł się zupełnie ogłuszony i oszołomiony, jakby ten przeklęty granat mózdzierzowy rzeczywiście rozerwał się tuż przy nim dosłownie przed sekundą. Wspomnienia koszmaru wracały nieproszone, niechciane, wiecznie czyhały gdzieś w zakamarkach umysłu, by zaatakować z furją, niosąc obrazy, których wcale nie miał ochoty oglądać. Osunięcie się w świat okrutnych przeżyć mógł spowodować byle drobiazg, choćby taki jak jazda pociągiem. Z jednej strony mężczyzna pragnął wyzwolić się od tych myśli, z drugiej jednak pozwalał się im opanowywać, zupełnie jakby w strasznych wspomnieniach chciał coś odnaleźć. Coś, a może kogoś? Czyżby samego siebie? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Odkąd odszedł z armii, przeczytał mnóstwo książek, próbując sam sobie pomóc. Na ratunek ze strony psychologów i psychiatrów wojskowych nie liczył. Mogli co najwyżej przepisać mu leki uspokajające albo w ogóle pójść po linii najmniejszego oporu i wsadzić pacjenta do psychuszki dla weteranów. Dlatego pilnie studiował pozycje nie tylko z dziedziny psychologii, ale z czasem wziął się także za filozofów. Początkowo niewiele z tego rozumiał i nic dziwnego - był przecież w sumie prostym chłopakiem z niewielkiego miasteczka u stóp Uralu. Do nauki nigdy się specjalnie nie przykładał, miał więc spore braki. Okazał się jednak na tyle pojętym młodym człowiekiem, żeby u „desantczików” dość szybko

dochrapać się stopnia starszego sierżanta. Tak... początkowo niewiele rozumiał. Podczas samodzielnych studiów zetknął się z zagadnieniami, których nie potrafił rozgryźć do dzisiaj. Ale jednego z filozofów pojmował doskonale - Kartezjusza. Może nie wszystkie jego poglądy w pełni docierały do umysłu i przekonania twardego mężczyzny, ale na pewno mógł zrozumieć, skąd wzięło się twierdzenie: „Myślę, więc jestem”, które Azrak sparafrazował na „Wątpię, więc jestem”.

Kartezjusz brał udział w wojnie trzydziestoletniej. Koszmarne przeżycia, okrucieństwa, jakich był świadkiem, odcisnęły tak wielkie piętno na wrażliwym umyśle młodzieńca, że płacił za to do końca swoich dni. Nieszczęśnik miał sny tak wyraźne, że nie potrafił ich odróżnić od rzeczywistości. Nie miał pewności, czy leżąc we własnym łóżu, jest właśnie pogrążony w marzeniu sennym i śni o ciepłym domu, a realnie przebywa na zimnym polu wśród towarzyszy broni, czy też miniony sen, w którym widział wojenną pożogę i nieludzkie zbrodnie, jest właśnie najprawdziwszą rzeczywistością. Broniąc się przed szaleństwem, opracował metodę radzenia sobie z tym stanem. Odkrył bowiem, że przebywając w krainie snu, nie potrafi podać otaczającej go rzeczywistości w wątpliwość. Jedynie czuwając, był w stanie zawiesić wiarę w świat rozciągający się dokoła i w zachodzące w nim procesy, tylko na jawie umiał zwątpić w świadectwo zmysłów.

Dzięki inteligencji i mądrości filozof przekuł w broń to, co dla kogoś innego mogło się okazać największą słabością. Bo przecież prosty człowiek niechybnie mógłby oszaleć w przekonaniu, że jedyny realny byt to ten, w którym przeżywa nieustający koszmar, skoro nie potrafi w nim niczego zmienić, musi się godzić z każdym obserwowanym zjawiskiem. Może dlatego aż tylu weteranów popadało w choroby psychiczne? Chyba każdy żołnierz śni o wojnie.

Azrak, przeczytawszy biografie Kartezjusza, poczuł nagłą ulgę. To znaczy, że nie tylko on... To znaczy, że inni także przeżywają coś podobnego, a może nawet gorszego.

Przymknął oczy. Nie wiedział nawet, kiedy znów zapadł w sen.

Śmiał się na całe gardło. Rechotali wszyscy dokoła, cały pluton. Przerażony afgański chłopak biegał wokół drzewa, a niebieskie berety pokładały się ze śmiechu. Michaił pędził wyrostka, nie szczędząc mu razów i wyzwisk, a żołnierze czerpali ogromną, okrutną radość, patrząc, jak przez wycięty w pępku

233

otwór wysuwa się czerwona, parująca kiszka. To była jedna z ulubionych zabaw rosyjskich komandosów: wyciągnięty przez niewielki otwór w brzuchu jeńca kawałek jelita przybijało się do drzewa. A potem trzeba było tylko gada pogonić, żeby ozdobił pień girlandą flaków. Zadziwiające, jak długo człowiek potrafi cierpieć podobną torturę. Na Stiepana spojrzały pełne bólu i wyrzutu oczy.

Wzruszył ramionami. „Jak mnie złapiecie, twój brat, wuj, dziadek czy starsza siostra - pomyślał - zrobicie to samo albo jeszcze coś gorszego”.

Matka chłopaka padła zemdlona, widząc, co dzieje się z jej potomstwem. Nie wzruszył jej zbiorowy gwałt, zdawała się nie zwracać uwagi na korzystających z jej ciała żołnierzy. Przez cały czas patrzyła w stronę dzieci, niczym suka, której chcą odebrać szczeniaki. „Trzeba było nie pomagać bandytom - warknął porucznik do jeńców. - Spotka was zasłużona kara”. Sam nie brał udziału w ogólnej wesołości. Siedział z boku na pieńku do rąbania drzewa i czytał jakąś książkę.

Stiepan podejrzwał tytuł: *Idiota* Dostojewskiego. Jak oficer mógł tak zupełnie odciąć się od wydarzeń, wrzasków i błagań o litość? To było po prostu nies-

mowite, bodaj jeszcze bardziej zadziwiający i... tak, bardziej zwierzęcy, niż to, co wyprawiali rozpasani wojacy.

Znów się ocknął, odsunął z twarzy płaszcz, wyrzucił przez okno, za którym wstawał świt. Trawy bezkresnych stepów posiwiały od porannego szronu, niebo stało się sine, gwiazdy przyblakły.

Właściwie do dzisiaj nie wiedział, czy już wtedy, gdy ujrzał obojętnego oficera, zapiekło się w nim serce, czy nastąpiło to później, kiedy rozstrzeliwali jeńców, nie bacząc, że wśród nich znajdują się także dzieci. W każdym razie zupełnie stracił rozeznanie, zaczął popełniać czyny, o których nie chciał potem pamiętać. Ten okres życia odbierał jako mętne pasmo walk, okrucieństw, korzystania z wszelkich dostępnych uciech... To wtedy musiał po raz pierwszy zażyć heroinę. Kto mu ją podsunął? Usłużny kolega czy zawzięty wróg? Zanim się zorientował, wpadł w szpony nałogu. Wiedział jedno - przestał być człowiekiem bardziej jeszcze niż do tej pory. Karmił się nienawiścią, pławił we krwi i zaspokajał coraz silniejszy narkotyczny głód.

Paradoksalnie to właśnie nałóg przywrócił go do życia. A właściwie niemożność jego zaspokojenia, bo w pewnym momencie zabrakło heroiny. Znalazł się z całym oddziałem w okrążeniu, nie było możliwości niczego zorganizować.

234

Musieli spędzić prawie tydzień, odpierając ataki brodaczy. Stiepan cierpiał katusze, pocił się, skręcało mu wnętrzności, ale musiał mimo wszystko walczyć.

Może właśnie atmosfera ciągłego zagrożenia sprawiła, że jakoś przez to przeszedł, w okropnych warunkach odtruł organizm, zaczął nieco trzeźwiej patrzeć na świat. Brzydził się samym sobą, swoimi towarzyszami broni, brzydził się krajem,

w którym przyszło mu walczyć, i jego mieszkańcami. Nigdy później nie spojrzął nawet w stronę heroiny. Ludzie zażywają narkotyki, bo kojarzą im się z zapomnieniem, rozkoszą, ekstazą. Jemu przypominałyby tylko o zbrodniach i wyrzutach sumienia. Wtedy też zmienił imię na Azrak. Wrócił do Rosji z piersią pełną odznaczeń i martwą duszą. Nie chciał już niczego od armii, zaczął pracować na własny rachunek. Zawsze znajdą się ludzie, którzy potrzebują usług takiego człowieka jak on.

Potrząsnął głową, wstał, rozprostował ramiona. Nie chciał już spać. Zapalił lampkę nad głową, wyjął z plecaka małą Biblię i zagłębił się w lekturze.

24. 22 KWIETNIA, 9.40

Jak przykładni turyści, których ze dwa tuziny kręciło się po muzeum, zwiedzili majątek Gribojedowów, wysłuchali nasyconej sztucznymi emocjami opowieści przewodnika... siedemnasty wiek, dziadek wielkiego dramaturga... upadek... władza radziecka... ostatnie trzydzieści lat. Uprzejmie podziękowali za propozycję zwiedzenia innych wsi, tworzących cały kompleks Chmielity, nad rzeczką Chmielitką, o brzegach niegdyś jakoby porośniętych gęstymi zaroślami chmielu. Znaleźli się przed szerokim frontonem głównego budynku posiadłości rodziny Gribojedowów i oboje drgnęli, gdy odezwał się telefon Krystiana, ten „tajny”.

-

Krystek? - Ula nazwała brata imieniem, którego nie używała od dobrych kilku, może kilkunastu lat. - Mam pewne wiadomości...

-

O mamie wiem! - przerwał jej Krystian. - Poczekaj, teraz nie mogę. Do-

słownie dwie minutki i zadzwonię do ciebie!

-

No dobra... - powiedziała jakby urażonym tonem Urszula.

Krystian szybko schował telefon, Sandra już podawała mu kupioną w Czau-
sach komórkę. Dotychczas nieużywaną, zakładali więc, że nienamierzoną.

235

Wystukał numer „sekretny” komórki siostry.

-

Uleńko... - powiedział, gdy się zgłosiła. Przeszedł na niemiecki, żeby

uniemożliwić albo zwyczajnie utrudnić życie ewentualnemu podsłuchującemu. -

Proszę cię, teraz i na przyszłość, nie dziw się moim głupim odzywkom. Wydaje
nam się, a nawet jesteśmy pewni, że ktoś się nami zainteresował. Mówiąc „ktoś”,

mam na myśli pewnie służby specjalne, bo odkryliśmy, że jesteśmy podsłuchi-

wani, może inwigilowani. Więc - rozumiesz? Teraz używam nowiutkiej komórki,

moja właściwa na pewno jest namierzana, co do tej „tajnej” też mam pewne

wątpliwości... - odetchnął, bo mówiąc szybko i dużo, aż się zasapał. - Teraz więc

mów, a następnym razem, jeśli idiotycznie zveksluję rozmowę - wiedz, że to coś

znaczy, a nie że jestem pijany. Okej?

-

Krystek, matko! W co ty... wy się pakujecie? Gdzie jesteście? Wracajcie,

do cholery, i w diabły z tymi tajemnicami. Proszę cię!

-

Uliś, nie histeryzuj. Może oni wszystkich tak obserwują, a my, goście z

zagranicy, może jesteśmy przy tym nietypowi, więc nam się przyglądają. No,

nieważne. Teraz nie wrócę, bo jesteśmy o krok od właściwego celu wyprawy.

Pogadamy z mnichami i wracamy. Już tu więcej pewnie nic nie zwojujemy. I spokojnie. To nie jest jakaś wojna Bourne'a z powieści Ludluma! - pośmiał się do mikrofonu, mając nadzieję, że odległość zniekształci głos i zniweluje w nim fałsz. - A co chciałaś powiedzieć?

-
No o tym przekładzie z butelki czy tam z butelek... Ten mój przyjaciel dostał kota! Jak mu nie dam wszystkiego, to gotów nasłać na mnie urząd podatkowy czy inną cholerę... Formalnie dostał zajoba! Mówi, że tekst jest raz aramejski, ale szyfrowany, na drugim pojemniku - greka, też szyfrowana, na trzecim - koptyjski czy jakoś tak. I też szyfrowany. Czyli ktoś, jego zdaniem, chciał coś przekazać, żeby na pewno dotarło, ale nie było komu, nie każdemu prostakowi z ulicy. Powtarza się określenie „Złota Głowa”, przy czym on twierdzi, że to nie chodzi dosłownie o złotą głowę ani w sensie, że taka mądra, ani że pozłocona, tylko oznacza to coś bardzo ważnego, najistotniejszego, najwyższego... To jest jakiś testament... Podał mi terminy, ale, oczywiście, zgubiłam kartkę... Zaraz...

W słuchawce stuknęło, widocznie Urszula odłożyła słuchawkę i poszła szukać kartki. Krystian szybko szeptem zrelacjonował Sandrze nowiny z Niemiec.

236

Mieli na sobie starannie przejrzone ubrania, dodatkowo przeprasowali je starannie, chichocząc na myśl, że właśnie zapiekają jakieś mikrochipy w szwach swojego odzienia. Komórki z podsłuchowymi albo namiarowymi „wkładkami” starannie zapakowali w kilka warstw ligniny, a potem w szczelne woreczki ze

strunowym zapieciem. Co jakiś czas wyjmowali je, na zmianę albo jednocześnie, pozwalając podsłuchującym nagrać błahe turystyczne rozmowy. Wcześniej odbyli rozmowę o zasadności oszczędzania i niekorzystania z komórek z powodu niebotycznie wywindowanych przez operatorów cen za usługi. Tyle mogli i potrafili zrobić.

-

Halo? - Komórka w ręku Krystiana odżyła.

-

Tak? - rzucił szybko.

-

No więc... Nie mam. Posiałam. Ale to nie było specjalnie ważne. Ważniejsze jest co innego. On wie, że to napis z opakowania, namawia mnie, a właściwie gwałci, żeby mu dać resztę, znaczy środek.

-

Wykluczone! Słyszysz, Ula? Wy-klu-czo-ne! Z kilku powodów, to może być spora kasa, nie widzę powodu, żeby ktoś się na tym obłowił. Powiedz mu, że - zresztą zgodnie z prawdą - że nie masz tego... tego czegoś. I już. Niech czeka na nasz powrót. Już nie wspomnę o tym, że to cholernie niebezpieczna rzecz, nie chcę, żebyś się w to zbytnio mieszała. Wiesz przecież, że już kilka osób przypłaciło ochronę tego skarbu życiem. Jeśli nasza matka... - Poczul nagły i zaskakujący spazm w gardle. Z trudem przepchnął kulę w dół. - Nie po to matka się poświęciła, żeby owoce zgarniał kto inny. Rozumiesz?

-

No tak, nie jestem dzieckiem. - Głos siostry zafalował - oddalił się i po-

wrócił. To mogło być zwyczajne osłabienie sygnału, ale Krystianowi nagle wydało się, że za długo już rozmawiają tak otwartym kodem. - Uła, kończymy.

Niech gość sobie działa z tym szyfrem, niech milczy! Ani pary z gęby, bo go odetniemy od reszty dokumentu, tak mu powiedz. Że albo milczy, albo - jeśli chce się chwalić - to powiemy, że nic o sprawie nam nie wiadomo, że to mistyfikacja, że fałszerstwo i kropka. A jeśli wytrzyma i będzie przydatny - chwała czy jej część może spłynąć też na niego. Tyle. Pa. Nie dzwoń bez wyraźnej potrzeby.

-

A dobrze ukryłeś to... No wiesz?

-

Tak, sejf bankowy, nie do sforsowania. Nic się nie bój!

Pomyślał, że tak właśnie należało zrobić, a nie powierzać skarb zwojowi ze śpiwora.

237

-

Pa! Pamiętaj - ostrożnie, czujnie, inteligentnie!

Tak dodawali sobie ducha podczas zabawy w chowanego albo policjantów i złodziei - podsłuchane od rodziców słowo „inteligentnie” bardzo im imponowało, używali go gdzie tylko się dało wcisnąć.

-

Pamiętam. Cześć, braciszku!

Rozłączyli się jednocześnie.

Krystian popatrzył na Sandrę.

-

Nic więcej ciekawego nie powiedziała - oznajmił. - Najważniejsze, że ktoś zadał sobie trud szyfrowania wiadomości z pokrywy... znaczy - z tych cylindrów...
Jeśli hipoteza tego tłumacza jest słuszna... - Do szerokich schodów zbliżała się grupka młodzieży szkolnej, przywiezionej tu pewnie ze Smoleńska. - Chodźmy... -
Zagarnął Sandrę i poprowadził w dół, do zaparkowanego na ulicy samochodu. -
Jeśli więc, jak mówię, on ma rację, to ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby napisać tekst w trzech językach, co wyraźnie znaczy, że nie chciał, by zaginął czy nie został odczytany tylko z powodu nieznamomości języka. Musiał to być ktoś wykształcony, skoro znalazł trzy ówczesne języki, pewnie najpopularniejsze.

-
Mógł zlecić komuś przekład? - podpowiedziała Sandra.

-
Tak, mógł. Ale jeśli zadał sobie trud zaszyfrowania tego tekstu - a podobno zadał - to widocznie nie chciał, żeby po prostu każdy jako tako czytający mógł zapoznać się z treścią. Czyli - treść jest ważna, ale nie dla każdego przeznaczona. Dlatego tak sobie pomyślałem, że musiał to być człowiek wykształcony, znający te trzy języki, no i jako tako biegły w szyfrowaniu. Dzisiejszy naukowiec ma problemy z odczytaniem kodu, więc nie jest to zwyczajna dziecinna szyfrowanka.

Podeszli do samochodu.

-
Chcesz dzisiaj jechać do tej pustelni? - zapytała Sandra.

Stał i myślał, wpatrzony w równy, niedawno wybrukowany chodnik. Westchnął i rozłożył, a następnie złożył ręce.

-
Nie... Chyba nie... Nie czuję się gotowy...

-
No to chodźmy na obiad. Bliny?

Nowy konik Sandry. Która może zjeść wszystko i w każdej ilości.

-
Bliny... Tak... Tak!

* * *

238

Od asfaltowej szosy w lewo odchodziła gruntowa droga, wysypana pozyskanym gospodarczym sposobem tłuczniem, koła samochodu podrygiwały na plamach czerwonych pokruszonych cegieł, by po chwili wjechać na szarą plamę betonowego gruzu, po czym następowały odcinki żółtawe czy nawet jasnoblękitne. Z góry droga musiała wyglądać malowniczo. Ale koła przeciętnego samochodu, a zwłaszcza jego opony, ciężko odchorowały sześciokilometrowy odcinek od szosy Wiaźmia - Rzew. Klasztor Mikołaja Prieobrażenskigo we wsi Fiejskij Gud wyglądał jak wycięty i przeniesiony z innej planety: na lekkiej wypukłości terenu, otoczony złocistymi w tej chwili polami, stał ogromny kompleks opasany ciemnoczerwonym murem, w kilku miejscach połączony innymi kolorami cegieł, w plamach jakby po wystrzałach. Z witryny „Klasztory prawosławia” Krystian wiedział, że zaraz za bramą trafią na mały dziedziniec przed cerkwią Mikołaja Błogosławionego. Ale to jest tylko jedna dwudziesta wielkiego zestawu budynków - na Rusi albo coś uderza w obcego swoim ogromem i rozmachem, albo wprawia w rozczulenie ubóstwem, prostotą, wyrachowaną małością... Tu wszystko, może

oprócz samej cerkwi, było duże: za murem oddzielającym cerkiew od klasztoru właściwego znajdował się czworobok budynków, których ślepe ściany tworzyły jednocześnie wysokie ogrodzenie. Budynki od kompleksu oddzielał podwójny szpaler sosen, w samym wnętrzu znajdował się duży, ponad półtorahektarowy park będący zarazem ogrodem i sadem. Z prawej strony, w części, która kiedyś była hotelem dla władających kompleksem czekistów i enkawudzistów, a potem ich następców, widniał - widocznie ważny, bo zaznaczony na planie - okrągły skwer, a raczej trawnik z ogromnym wiekowym różanecznikiem.

Zbliżyli się do wysokiej, zdobionej wygiętymi łukami szczytu murowanej bramy, w której nie było kutych wierzei. Po obu jej stronach znajdowały się furtki, dziś nieczynne, w których zagnieździły się zwyczajne furty z nieheblowanych desek. Furty były niepotrzebne, skoro nic nie zamykało dziedzińca cerkwi przed wiernym ludem. Oprócz seata Krystiana stały tu biały ford sierra, też kombi, i renault 19.

-

Zauważyłeś, że nie ma prawie małych samochodów? - zapytała Sandra, gdy wysiedli i się rozglądali.

-

Pragmatyzm. Jak już jeździć, to tak, żeby i świniaka przywieźć, i pół kopy siana, i lodówkę.

239

Wystająca ponad mury cerkiew miała jedną wieżę z dzwonnica i zieloną kopułą nad murami z tej samej barwy cegły, druga wieża stała za nią, bez prześwitów dzwonnicy i nieco niższa, również pod krzyżem miała zieloną kopułę.

Krystian przyznał w duchu, że to charakterystyczne dla prawosławia zestawienie kolorów białego i zielonego, białego i czerwieni, czerwieni i zieleni bardzo mu odpowiada, kojarzy się z naturą, uspokaja, a jednocześnie przyciąga wzrok, nie pozwala przejść obojętnie.

-

Chustka, pamiętasz? - zapytał Sandry.

Ta, teatralnie przewróciwszy oczami, wyjęła z torebki chustkę i nałożyła na głowę.

-

Naprawdę chodzi o to, że kobieta to naczynie diabła i dlatego nie powinna się pokazywać przed obliczem boskim z gołą głową?

-

Nie wiem, czy to prawda. Tak mi ktoś powiedział - wzruszył ramionami.

Przyjrzał się Sandrze. Wyglądała pięknie. „Jak Audrey Hepburn w najlepszym okresie, choć kompletnie inna w stylu, urodzie i zachowaniu. Ale Audrey to prostu mój wzorzec, etalon, wieża z kości... No i - dodał szybko w myślach - Romy Schneider! Sandra w jakiś niezwykle nieuchwytny, nieokreślony sposób łączy oba te ideały. Żebyż ona...”

-

Słucham? - Potrząsnął głową, gdy dotarło do niego, że kobieta mówi coś, patrząc na ozdobnie murowaną bramę.

-

Mówię, że skoro rezydowali tu żołdacy przez kilkadziesiąt lat, aż dziw, że nie zniszczyli tego klasztoru.

-
Może woleli pokazywać sobie i innym, że teraz oni tu pany, a sponiewierany wróg jest tak niegroźny, że nie muszą nawet burzyć jego świętych miejsc. No i historia wykręciła im niezłego psikusa.

-
Historia wykręca też psikusa Kościołowi, który triumfalnie po trupie komunizmu wkroczył do życia, a teraz nie bardzo wie, jak ten zajęty plac zagospodarować... - powiedziała cicho.

Krystian popatrzył na nią zaskoczony.

-
Mam podobne...

Przerwał mu dźwięk dzwonu. Dźwięk był silny i czysty, ale - czy to za sprawą kunsztu budowniczych, czy ludwisarzy, a może jednych i drugich - nie ogłuszał, a jednocześnie dawał pewność, że sięga po daleki widnokrąg.

240

Sandra zrobiła dwa kroki, obejrzała się na Krystiana i widząc, że ruszył za nią, wolno poszła po wysypanej tłuczniem dróżce w kierunku bramy. Weszli na teren klasztoru przez bramę i głęboki cień, rzucany przez rozłożysty kilkusetletni dąb. Z cerkwi zaczęli wychodzić ludzie - zaczęli i od razu przestali: wyszło raptem osiem osób, akurat na dwa samochody. Krystian z Sandrą minęli ich, obrzuceni zaciekawionymi, ale nie wrogimi spojrzeniami, weszli po siedmiu schodkach do cerkwi. Obeszli z obu stron mały prostokątny basenik, suchy i pusty.

Za drzwiami znajdowało się pomieszczenie, w którym centralne miejsce zajmował ogromny okrągły stół, zasypany kilkoma tysiącami małych, na ćwierć

strony karteczek. Sandra zatrzymała się, a Krystian nawet wziął kilka do ręki.

Standardowe prośby do Pana Boga: o zdrowie dla chorej wnuczki, o szczęście dla syna w wojsku, o pogodę dla zbiorów, o zdrowie dla męża, o zdrowie dla służebnicy bożej Agłai... Odłożył karteczki, weszli do cerkwi.

Od wewnątrz cerkiew była otynkowana i pobielona. Dlatego światła świec i dwóch elektrycznych kandelabrow wystarczały do oświetlenia świątyni. Przy wejściu głównym w okrągłych, wypełnionych piaskiem misach płonęło kilkadziesiąt cieniutkich paschałek. Nawa cerkwi była pusta, zaledwie kilka ławek stało pod ścianami. Gdzieś z góry skierowane reflektory oświetlały ikonostas, carskie wrota, umieszczone, jak zwykle w cerkwi na kierunku wschodnim. Po lewej, wrota północne, po prawej - wrota południowe. Pomędzy carskimi wrotami a wrotami północnymi znajdowała się ikona Matki Boskiej z Dzieciątkiem w przedstawieniu Eleusa - Matka, z głową pochyloną tak, by policzkiem przytulić się do policzka Syna, który obejmował Ją ręką za szyję. Po prawej stronie carskich wrót, między nimi a wrotami południowymi, umieszczony został wizerunek Chrystusa Nauczającego, błogosławiącego prawą ręką, w lewej trzymającego otwartą księgę. Klirosy, podwyższenia przed ikonostasem, i ambonę, z której udzielano komunię wiernym, przykrywały czerwony mięsisty chodnik. Poza tym miejscem podłoga wyłożona była chłodnym gładkim kamieniem, najwyraźniej już najnowszym, oprócz elektrycznego oświetlenia, elementem cerkwi. Krystian i Sandra stali zapatrzeni w proste rysy świętych na ikonach, gdy z boku otworzyły się wąskie, niskie drzwi i do świątyni wszedł duchowny. Musiał się mocno pochylić, żeby przeszedł kamelaukion, wysokie czarne nakrycie głowy z fiole-towym denkiem. Krystian przez chwilę się zastanawiał, kim w hierarchii

prawosławia może być ten człowiek, ale od razu uznał, że kimkolwiek jest, musi mieć dostęp do igumena. Starając się stąpać cicho, ruszył w kierunku mężczyzny, ten - widząc Krystiana - zatrzymał się i uśmiechnął na powitanie.

-

Witaj, ojcie - zaczął Krystian. - Jestem Polakiem, z Niemiec... Bardzo chciałbym... chcielibyśmy... - poprawił się od razu. Było to umyślne zagranie, chciał skierować uwagę mężczyzny na niezwykle atrakcyjną Sandrę, mało kto miał ochotę i siłę w czymkolwiek jej odmawiać. - ...Porozmawiać z przełożonym klasztoru. Z igumenem, jeśli dobrze znam hierarchię...

-

Syn moj... - powiedział z lekkim zdziwieniem duchowny. - Znajdujemy się w pustelni, braciszku nie widują się z nikim ze świata zewnętrznego. Krystian pokiwał głową, potem pokręcił.

-

Nie jesteśmy turystami, ciekawymi życia za klasztornym murem - oświadczył. - My szukamy... czegoś, nie wiemy czego, trochę jak w bajce, ale czegoś, co istnieje... To długa i zawiła opowieść...

-

Teraz nie mogę wysłuchać. - Pop skorzystał z zawieszenia głosu i wszedł mu w słowo.

-

Nawet o to nie proszę, bo nic ojcu nie powiem - oświadczył Krystian. -

Proszę tylko o przekazanie igumenowi tego listu i zdjęcia. Poczekamy pod dębem

na odpowiedź.

Niemal wcisnął w dłoń popa niezamkniętą kopertę. Znajdował się w niej krótki list i zdjęcie „trojaków”.

Szanowny Ojczy!

Nazywam się Krystian Sommer, jestem synem Malwiny Kłodzińskiej, której rodzina miała posiadłość we wsi Chwarszczany, znanej z tego, że osiedli tam templariusze. Matka moja, która ponad dwadzieścia lat temu, po - jakoby! - samobójczej śmierci ojca, poszła do klasztoru, została dwa miesiące temu zamordowana, wraz z dwiema przypadkowymi siostrami. Bezwzględny morderca najprawdopodobniej chciał z niej wyciągnąć jakieś dane. Nie udało mu się, ale ja odnalazłem to, czego chyba on szukał. Na zdjęciu jest ten przedmiot. W trzech językach zaszyfrowano na nim wiadomość, że wewnątrz zawiera ogromnej wagi dokument. Jeszcze go nie odczytaliśmy, ale to kwestia dni, najwyżej tygodni,

242

jednocześnie inne tropy wiodły mnie na Białoruś, do Czarus i tamtejszej pustelni, a w sumie - doprowadziły mnie tu, jestem przekonany, że wszystko to jakoś się wiąże, że moja matka, moja rodzina, jest powiernikiem jakiegoś starego średniowiecznego sekretu, o ogromnej wadze. Nie wiem, jaka to tajemnica, czego dotyczy, ale otaczają ją okrutne zabójstwa, bezwzględni ludzie, którzy i mnie mało co nie porwali, by zabić albo wydobyć coś torturami.

Bardzo bym chciał porozmawiać, może coś wyjaśnić. Dyskretnie oczywiście.

Nie mam zamiaru działać ani pochopnie, ani głupio. Czegokolwiek się dowiem, zostanie między nami, aż do uzgodnienia dalszych kroków.

Serdecznie proszę o godzinę na rozmowę.

Pop ścisnął chwilę kopertę, jakby chciał poprzez ocenę grubości przeniknąć do zawartości. Potem podniósł i niemal wyciągnął rękę, żeby ją zwrócić, Krystian odruchowo się odsunął.

-

Nie, nie! Proszę, to naprawdę nie jest banalna sprawa, to nie szukanie elementów drzewa genealogicznego ani danych do odzyskania majątku zagarniętego przez komunistów. To jest bardzo ważna dla wielu ludzi sprawa, nie można jej po prostu odrzucić, tylko i wyłącznie z powodu ścisłego przestrzegania procedur klasztornych. Proszę!

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Sandra już czekała pod drzwiami do *pri-tworu*, przedSIONKA, pociągnął drzwi, jęknęła sprężyna, wyszli do przedSIONKA i na zewnątrz.

-

Dlaczego tu wszystkie sprężyny jęczą? - zapytała Sandra, unosząc twarz do słońca.

-

Może taki zastępczy alarm? Zamiast dzwonka?

Sandra przejechała ręką po obrzeżu kamiennego zbiornika.

-

Co to jest?

-

To, na czym stoimy, to tak zwana *papiért'*, czyli zewnętrzny *pritwor*. Tu zawsze stali żebrzący i pokutnicy. A w tym zbiorniku była woda, w której wie-

rzący myli twarze i dłonie przed wejściem do cerkwi. Z tego można wnosić, że miejsce jest starsze, niż sądziłem. - Zerknął do góry, na wieżę. - Obecnie też tu stoją żebracy, zresztą jedna z wersji pochodzenia słowa *papiért'* to ta, że pochodzi

243

od łacińskiego słowa *pauper* - biedny. To miejsce, będące pierwszym cerkiewnym wzniesieniem, symbolizuje duchową wzniosłość cerkwi w stosunku do świata, tu też wychodzą ludzie przed postrzyżynami, symbolicznym zrzeczeniem się świata zewnętrznego. Tyle encyklopedia. - Ukłonił się i zszedł pierwszy po schodach.

-

Brawo! - Sandra zaklaskała cicho.

Ławeczka pod dębem była zakurzona, drobne listki, gałązki i opadłe przedwcześnie żołądzie świadczyły, że wierni rzadko tu siedzieli. W tygodniu śpieszyli do domów, do zajęć, do pracy, do odpoczynku, a niedziela była pięć dni temu. Kilka chusteczek higienicznych pozwoliło doprowadzić ławkę do stanu bezpiecznej dla ubrań używalności. Usiedli, ale Krystian po kilku sekundach poderwał się.

-

Idę zapalić.

-

Tu nie wolno?

Rozejrzał się.

-

Nie wiem. Popielniczek nie widzę, nie będę się narażał - wydał usta.

-
A w jakiej odległości od świętego miejsca już można palić? - zapytała

lekko kpiącym głosem.

-
Nie wiem - powtórzył. - Nie jestem zbyt gorliwym wyznawcą wiary.

Odwrócił się i poszedł w kierunku bramy, po drodze oklepując kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Pomyślała, że mówi, jakby nie cieszył się z tego faktu. Ale nie miała zamiaru go o to pytać. Odchyliła się na ławce, uniosła głowę i przymknęła oczy. Mogłoby wyglądać na kobietę opalającą się, wbrew zaleceniom dermatologów, ale przecież siedziała w gęstym cieniu, a i w słońcu nie spiekłaby się przesadnie - prześwitywało przez cienką, ale szczelną błonę rozproszonych obłoków, zasnuwających całe niebo. Nieśmiały wiaterek subtelnie wnikał w gęstwinę starego drzewa, potem, jakby wystraszony własną odwagą, wymykał się na zewnątrz, pozostawiając po sobie tylko znak w postaci szelestu, skrzypienia jakiejś gałęzi i kilku stuknięć strąconych w wyniku tych psot żołądzi. Sandra po chwili zapadła w jakiś rodzaj snu, drzemki, wsączyła się w szelest, myśli wygasły, otoczyła ją cicha wełniana kurtyna, w której szybowiała, nie wykonując żadnego ruchu, nic nie widząc i nie słysząc, po prostu niesiona i unoszona.

244

Ocknęła się po... nie wiedziała po jakim czasie. Nic się nie zmieniło, cerkiew stała i dąb cicho się opędzał od namolnego łotrzykowatego wietrzyka. I Krystian siedział na trawie przed ławką, obok mało wydeptanej, niemal niewidocznej ścieżki od ławki do bramy.

-

Co? - Potrząsnęła głową. - Drzemałam? Chrapałam?

-

Tak. Żołędzie się sypały od twojego chrapania. - Siedział nadal i wpa-
trywał się w nią. Znała to spojrzenie, w końcu nie od tygodnia była piękną ko-
bietą. - Wyglądałaś na... zadowoloną z życia - powiedział, zaskakująco kończąc
zdanie. Spodziewała się czegoś w rodzaju: „wyglądałaś tak pięknie” czy „wy-
glądałaś cudownie, oszałamiająco”. Przechyliła głowę i pytająco zmarszczyła
czoło. - Taki leciutki uśmiech, i czasem jakbyś... kręciła głowę z niedowierza-
niem.

-

To nie jest godne dżentelmena, podglądanie śpiącej kobiety! - pogroziła
mu palcem.

-

Nie jest - zgodził się bez oporu.

Jego spojrzenie uciekło nagle w bok. Sandra się obejrzała.

Zza cerkwi, gdzie jej wschodni koniec zrastał się z murem otaczającym
właściwą pustelnię, szedł w ich kierunku młody chłopak w jasnej, lnianej chyba
szacie. W ręku niósł prawosławny sznur modlitewny, idąc, przebierał węzłki na
sznurze, odpowiedniku katolickiego różańca.

-

Ojciec Kiprian przyjmie was - oznajmił adept, wchodząc w cień dębu. -

Może wysłuchać was. Może z wami porozmawiać - dokończył.

Albo miał problemy z układaniem sensowych komunikatów, albo był przejęty
ponad miarę, albo należał do tych miłych, łagodnych, pogodnych młodzieńców, o

których mówi się, że muchy nie skrzywdzą, a oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko zwyczajne opóźnienie w rozwoju.

Młodzieniec czekał. Chyba bez nakazu nie wykonywał żadnej czynności.

-

Jesteśmy wdzięczni - powiedział Krystian, nie bardzo wiedząc, jak uruchomić przewodnika. - Proszę nas do niego zaprowadzić.

Dobrze wybrał - młodzian odwrócił się i pomaszerował, znowu przebierając supełki na modlitewnym sznurze. Okazało się, że na styku muru i cerkwi znajduje się wąska, ale ciężka i solidna furtka z grubego metalu, wzmocnionego i ozdobionego fantazyjnie kutymi sztabami z guzami nitów. Przewodnik zdjął z szyi cienki sznurek z dużym kluczem i otworzywszy furtę, wszedł pierwszy.

245

Zaraz za murem znajdował się gęsty żywopłot z czarnego bzu, zza którego wystawał szpaler dwukrotnie wyższych, z rozmysłem gęsto posadzonych sosen. Szli w tunelu między starym, grubym murem, pamiętającym zaprawę na jajach i niewolników na rusztowaniach, a młodymi stosunkowo drzewami i krzewami. Co kilkanaście metrów, we wnękach, dobitnie świadczących o grubości muru, widniały głowy naturalnej wielkości, zapewne świętych i patriarchów Cerkwi. Wyraźnie były nowsze niż mury, młodsze nawet od krzewów.

Krystian pomyślał, że na pewno nie było ich tu za czasów, gdy klasztor był placówką *Czriezwyczajnoj Komissiji* czy *Komitiięta Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*, ba - gdyby były, co najwyżej mogłyby posłużyć za cele na strzelnicy dla podchmielonych i zwyczajnie pijanych czekistowskich notabli. Może tak i było, a te rzeźby przedstawiają głowy rozstrzelanych patriarchów i świętych?

Przejście, najwyraźniej właśnie dla gości, doprowadziło ich do czegoś, co Krystian nazwałby bastionem - wysokim na trzy piętra wąskim budynkiem, przylegającym tyłem do muru. Wrażenie militarnego przeznaczenia budowli potęgowały wąskie okna, co prawda szersze niż strzelnice, ale i tak znacznie węższe niż takie przeznaczone do codziennego pokojowego użytku.

-

Wejdiesz na piętro, drzwi otwarte - powiedział wolno przewodnik, patrząc gdzieś ponad głowami przybyłych. Palce nizały kolejne supełki, sznur szybko przewijał się w dłoni. - Usiądziesz i poczekasz, nie wstawaj, nie zagłądaj, nie hałasuj.

Odwrocił się i pomaszerował z powrotem. Sandra odprowadziła wzrokiem przewodnika.

-

Co powiedział?

-

Że mamy wejść na piętro. - „Cholera, użył liczby pojedynczej! Ale może to taki styl? Trudno, idziemy razem. Kobieta w pustelni?...” - Tam ktoś do nas pewnie przyjdzie.

-

Ja też? - wątpliwości targały też Sandrą.

-

Chyba tak. - Wzruszył ramionami. - Nie zakazali.

Wszedł pierwszy w mroczne, suche powietrze baszty. Schody były zaniedbane, jakby umyślnie miały swym widokiem odstręczać od wizyt. Gołe deski

stopni na środku starte były do połowy grubości. A drewno było przecież dobre, bez sęków i pęknięć, po prostu wytarło się po dziesięcioleciach, a może wiekach

246

używania. Weszli na piętro, schody zakręcały i prowadziły wyżej, ale tu były wspomniane otwarte drzwi. Uchylone raczej niż szeroko, gościnnie otwarte.

Pchnięte zaskrzypiały, ale otworzyły się bez oporu, przeciągły, wysoki, ale niezbyt głośny jęk niczym nożem po szkle przemknął po mózgach gości, oboje się wzdrygnęli.

W środku stały trzy kinowe krzesła, bordowy plusz wytarł się na brzegach, na miejscu numerków na oparciach widniały owalne wgniecenia. Za skrawkiem kinowego rzędu stał wysoki, pięciosegmentowy parawan. Nad drzwiami, przez które Sandra i Krystian weszli do środka, paliła się maleńka, słabiutka żarówka, może dziesięciowatowa. Za parawanem natomiast płonął kaganek, przez lnianą czy konopną tkaninę widać było obrys ciemnych drzwi, a obok nich fotel - wysoki, imperialny, niemal tron. Krystian podszedł do krzeseł, dotknął rzędu, były przykręcone do podłogi. No to już wiadomo, jak mają usiąść.

Usiedli, jednocześnie odwrócili się do siebie, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, pełne zwątpienia i lekkiego zniechęcenia. Kolejna rozmowa, kolejne tłumaczenie, prezentacja spraw, nie do końca zrozumiałych, ba - niemal wcale niezrozumiałych!

Pomyśleli to samo jednocześnie, Sandra odezwała się pierwsza, półgłosem:

-

Pewnie zażądamy opowieści, kto - co - dlaczego?

-

Pewnie...

Skrzypnęły drzwi za plecami. Krystian nie dokończył.

-

Bóg z wami, mili goście. - Głos był niski, przyjemny, dźwięczny. Nawet w tym zasuszonym, przypudrowanym pyłem pomieszczeniu brzmiał dostojnie, godnie i władczo. Nie po carsku-bojarsku, autokratycznie, ale dostojnie, jakby człowiek nim władający dzierżył rząd dusz z nadania boskiego, nie ludzkiego, nie z nadania dynastii czy buntu lub rokoszu... Krystian szybko wyobraził sobie wysokiego, dostojnego patriarchę, z długą ciemną brodą, poprzątaną pasemkami siwizny. Czyli dość sztamowo. - Jeśli mogę w czymś pomóc waszym skołatanyom duszom, mówcie. Słucham...

-

Ojczy, przybyliśmy tu z daleka, przyprowadziły nas... - „Jak są po rosyjsku tropy? Nieważne!”... - ...ślady... Jesteśmy z Niemiec. Ja się nazywam Krystian Sommer, to moja przyjaciółka, koleżanka, pomocnica w pewnej sprawie. - Zaczerpnął powietrza i mówił szybko, najszybciej jak umiał w obcym

247

języku, który i tak przypomniał sobie w zadziwiająco dużym zakresie: - Moja matka ponad ćwierć wieku temu przekazała mnie i siostrę swojemu bratu, a sama poszła do klasztoru, wcześniej samobójstwo, które teraz nie wydaje mi się samobójstwem, popełnił mój ojciec. Przez dwadzieścia lat z okładem nic się nie działo. Niedawno, kilka miesięcy temu... Nie, nawet krócej, pod koniec marca w Berlinie nagle ktoś chciał mnie porwać, w biały dzień, z ulicy. Potem ci sami ludzie chcieli mnie zabić za pomocą samochodu, a jeszcze później pognali za

mną do mieszkania, przypadkiem i szczęśliwym zbiegiem okoliczności unikną-
łem wszystkich tych zamachów. Powiadomiłem policję. Ci sami ludzie zaraz
potem uciekli do Polski i zabili moją matkę i dwie inne siostry karmelitanki.
Uciekając, spowodowali wypadek i zginął jeden z trójki... Potem skądś zdobyli
adres mojej matki... Trochę mi się płacze, to dość niezwykle, jak na mnie... No,
jeszcze później, po pogrzebie matki uderzyli jeszcze raz we mnie, ale policja była
przygotowana i schwytała tę dwójkę. Siedzą w polskim więzieniu.

Przerwał, oblizał wargi, odchrząknął.

-

Ja w tym czasie, po pewnych... - „Tropy? Nie *tropa*, bo to ścieżka...” -

...śladach i znakach dotarłem do domu mojej prababci, która ukryła w kominie
młyna pewną rzecz. Mianowicie to jest coś, co ukryli tam templariusze, bo to
było miejsce ich osiedlenia... Inne jeszcze znaki skierowały nas do Czaus, na
Białoruś, a stamtąd przybyliśmy tu...

-

A ten... dokument templariuszy, synu? - Głęboki głos brzmiał jak wcze-
śniej, ale pytanie padło szybko, jakby gospodarz tylko czekał na przerwę w
słowotoku Krystiana.

-

Jeszcze nie znam treści. To jest w futerale, pokrytym tym samym tekstem
w trzech językach. Tekstem zaszyfrowanym, na dodatek. To jest bardzo stare, i
ta... - „«Inskrypcja» - jak to jest?» - ...ten napis mówi, że... chyba tak mówi, że to
jest jakaś Złota Głowa...

Zza ich pleców rozległ się zgrzyt nóg fotela po drewnianej podłodze, jakby

igumen drgnął całym ciałem, a drgnienie przeniosło się na cały mebel, albo jakby odepchnął się stopami od podłogi. Dodatkowo coś stuknęło. „Upadło? Stuknęła laska? Popi często chadzają z jakimś pastorałem nie pastorałem?” - pomyślał Krystian.

248

Zapadła cisza. Sandra i Krystian wymienili zaniepokojone spojrzenia, ale żadne nie odwróciło głowy na tyle, by popatrzeć przez tkaninę na igumena, o ile to był on. Z tyłu rozległo się długie przeciągłe tłumione westchnienie.

-

Mów, synu... - Teraz ten dźwięczny baryton brzmiał inaczej, jakby mówiącemu brakło tchu do modulowania głosu.

-

Właściwie to wszystko... Mogę pokazać fotografie tego naczynia, tego pojemnika, w którym znajduje się właściwy dokument. On nie jest jeszcze przetłumaczony... Z różnych powodów, między innymi z powodu tego mordercy, który mnie... nas ściga. Nie wiem, czy jemu właśnie nie chodzi o ten dokument...

-

Dlaczego przywiązujesz taką wagę do jakiegoś pergaminu, synu? - cicho, niemal szeptem zapytał igumen.

-

Bo jestem kompletnie... *ni pri czom*... Nie wiem niczego takiego, co mogłoby zainteresować mordercę... Albo to jakaś koszmarna pomyłka, a ten dokument jest jakimś niewiarygodnym zbiegiem okoliczności, albo... to właśnie jest jego cel, a ja jestem tylko przewodnikiem... Miałem być przewodnikiem?

Może chciał szantażować moją matkę porwaniem syna? Nie wiem...

-

Nie wiesz - z tyłu odezwał się głos, potem igumen odchrząknął. Najwyraźniej nie bardzo wiedział, co powiedzieć, ale kończyć rozmowy też nie chciał.

-

Nie wiem, jestem zwyczajnym człowiekiem, średnio wykształconym, niemającym... Nie tropię żadnych sekretów historycznych, nie mam wiedzy o okultyzmie, sektach, misteriach... Zastanawiałem się nad tym wielokrotnie, ale nic mi nie wychodzi. Moja osoba nie jest tu ważna, a w takim razie co innego może być ważne?

-

A twoja towarzyszka?

-

Ależ nie! Skąd? Ona... weszła... wprowadziła się... - Przez chwilę szukał w umyśle rosyjskiego odpowiednika, w końcu przypomniał sobie. - ...nie - wdepnęła w tę aferę już po atakach na mnie, przypadkowo, chciała mnie zawieźć na pogrzeb matki... I potem już była, jak i ja, w centrum wydarzeń. Pomyślałem, że... - „Oj, czy na pewno tylko to pomyślałem?” - ...może jej grozić większe niebezpieczeństwo, jak zostanie sama, pozornie z dala od wydarzeń, że może lepiej razem...

249

-

Człowiek, synu - głos igumena okrzepł, jakby uchwycił znany sobie wątek, znany temat - sam jest pyłkiem miotanym przez wichur. Razem, z kimś,

staje się opoką, lubą Bogu...

Zapadła cisza. Krystian znowu zerknął na Sandrę. Siedziała wyprostowana i wpatrzona w sufit jak człowiek, który nic nie rozumie, ale chce, stara się zrozumieć obcy język. Miała taki piękny, spokojny, chłodny, idealny profil. Krystian stłumił westchnienie.

-

Synu, czy możesz tu zostać... jakiś czas? Kilka dni?

-

Tu? Przecież tu pustelnia... - Krystian podkurczył nogi i wyprostował się w krześle.

-

Tak. I dlatego lepiej tu niż w świecie. Bezpieczniej, i w ogóle. - Igumen milczał chwilę. Chyba ta pauza miała podkreślić wagę komunikatu. - Ja to muszę przemyśleć i muszę porozmawiać z... pewnymi osobami... Na to potrzebuję czasu. A potem i ty możesz się czegoś cennego dowiedzieć...

-

Ja... chwileczkę... - Odwrócił się do Sandry i szybko przetłumaczył jej propozycję igumena.

Skinęła głową.

-

Oczywiście. Jedziemy przez pół Europy właśnie po to, żeby czegoś się dowiedzieć, prawda?

Za parawanu dobiegło ich dyskretne kasznięcie, umilkli, wymienili trochę bezradne spojrzenia, odwrócili głowy. Przez gęstą naturalną tkaninę widać było

tylko ciemną rozmazaną sylwetkę.

-

Nie możemy, synu, pozwolić kobiecie na mieszkanie w naszej pustelni -

powiedział przepaszającym tonem igumen lub ktoś, kto za niego się podawał.

Albo tylko sugerował, że jest igumenem.

-

No to trudno, ja jej nie zostawię na zewnątrz. Jeśli dobrze, ojcze, zro-

zumiałem twoją aluzję, to tam nie jest dla nas bezpiecznie, jak więc możesz

żądać, bym zostawił ją samą? O ile ja wiem niewiele, ale jestem w coś wciągnięty

z powodów chyba rodzinnych, o tyle ona kompletnie nic nie jest winna, trochę się

poświęciła dla mnie, obcego w sumie człowieka, i nie mogę... - Potrząsnął głową,

jakby rozmówca mógł go widzieć. - Nie mogę... Bez niej nie zostaje...

-

Dobrze. - Igumen jakby poczuł ulgę, jakby się ucieszył, że został posta-

wiony pod murem, przymuszony do ustępstwa. - Zostajecie w jednym

250

pomieszczeniu, nie mamy pokoi gościnnych, zwłaszcza odizolowanych od bra-

ciszków. Tak zrobimy. - Szurnęły nogi krzesła na posadzce, szelest szaty zdra-

dził, że igumen podniósł się z krzesła. - Zaraz przyjdzie do was ktoś... - Ostatnie

słowo dziwnie zawisło w powietrzu.

„Jakby w ostatniej chwili powstrzymał się od nazwania tej osoby” - pomyślał

Krystian.

Ale nie miał racji. Igumen po ulotnej pauzie mówił dalej:

-

Przyjdzie ktoś, ale mam pytanie... Czy macz jakieś potwierdzenie tego, co mi opowiedziałeś?

Krystian uśmiechnął się w duchu. Z jednej z wielu kieszeni bluzy wyjął złożone kartki z umyślnie niezbyt wyraźnymi zdjęciami trójelementowego pojemnika. Niezbyt wyraźnymi, ale niewykluczającymi odczytanie tekstu. Wstał i uniósł rękę z trzema arkusikami sztywnego papieru, przełożył je ponad górną krawędzią parawanu, ktoś wyjął mu arkusze z palców. Usłyszeli po chwili: „Hghmm...”. Potem:

-
Czekajcie.

Igumen na pewno był wzruszony. W każdym razie zachrypnięty głos załamał się mu na kilku sylabach.

Usłyszeli kroki, suchy, szeleszczący odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Zostali sami.

25. 19 KWIETNIA, 00.41

„Rubik”, Jerzy Laudański, w rzeczywistości Janusz Lirink, siedział spokojnie na pryczy w jednoosobowej celi. Dzisiejszy rytuał przesłuchania już odbyli. Rechotał w duchu nad naiwnością śledczego, który sądził, że tym sposobem, z podręcznika „Młodego, acz aktywnego dochodzeniowca”, złamie gościa, bezskutecznie łamanego już przez Mossad i komórki służb bezpieczeństwa państw islamskich, przesłuchiwanego bez skutku przez speców z KGB i wywiad francuski. Starał się dyskretnie, bardzo dyskretnie cieniować swoje zachowanie, łudzić Nieskobę, że się łamie: nieruchome kiedyś spojrzenie najpierw dwa czy trzy razy podczas seansu kierował w lewo, co według psychologów miało znaczyć,

że szuka kłamstwa. Czyli mięknie. Potem zwiększył ilość zerknięć w bok, w kierunku okna - co mogło dodatkowo sugerować, że tęskni do wolności, a potem, kiedy Nieskoba już zacierał ręce, przez dwa seanse siedział nieruchomo jak Sfinks z Gizy. A podczas trzeciego - zaczynała mu drżeć lewa powieka.

Nieskoba z trudem ukrywał radość.

Czynił to niezręcznie. Lirink - inaczej, ukrywał tak, że nawet geniusze polskiej sceny teatralnej, Woszczerowicz, Holoubek czy Łomnicki, pozazdrościliby mu umiejętności aktorskich. Wyglądał na załamującego się oprycha, mordercę, który pod wpływem pytań policjanta i własnego sumienia zaczyna kruszeć.

Potem wyglądał na takiego, który jeszcze raz zmobilizował swoje siły życiowe, by następnego dnia ponownie pokazać pęknięcia w murowanej albo żelbetowej psychice. Nieskoba zacierał ręce.

-

Stary, on się chwieje, kiwa - raz w tę, raz w tamtą stronę. Takie rozchwierutanie psychiki to prosta droga do załamki. Mam go!

-

Też tak sędzę. Gratul, chłopie. - Kmita uniósł rękę. - Przybij. A ten ranny?

-

Nieprzytomny nadal i bardzo niepewnie się trzyma życia.

Przybili „piątkę”. Potem Nieskoba „przesłuchał” zatrzymanego. Ten zachowywał się jeszcze inaczej, przede wszystkim raz czy dwa popatrzył w oczy aspiranta Nieskoby, jakby... szacująco? pytająco? badawczo? jakby chciał zapytać: „A co dostanę w zamian?”. Nieskoba przygotował sobie kilka wersji

odpowiedzi, od warknięcia: „Nic, gnoju! Strzelałeś do policjantów!”, do: „Dogadamy się, ale do tanga trzeba dwojga”, i kilka pośrednich. Przede wszystkim zaś nastawił się na to, że kiedy już „Rubik” zacznie mówić, zbagatelizuje jego zeznanie, odchyli się na krześle, pogapi się w sufit, bąknie coś w stylu: „To już wiemy, potrzebuję czegoś nowego, nowego i świeżego, człowieku!”. Może odeśle zatrzymanego „na dojrzewanie”? A sam pójdzie do domu, wymoczy się w wannie z butelką piwa, jedną butelką, z planszetą, na której spisze nowe, zaskakujące pytania, potem przejrzy jeszcze raz teczkę i włączywszy podświadomość, uda się do chłodnego łóżeczka. A rano wstanie i zanotuje kilka sensownych pytań oraz zaskakujących zdań, z którymi uda się na przesłuchanie. Tak współpracował ze swoją podświadomością aspirant Filip Nieskoba, i - jak mówił przyjaciółom przy wódce - dobrze im się współpracowało. Co przekładało się na wyniki i pozycję aspiranta w Komendzie Miejskiej.

252

Aspirant Nieskoba miał więc już plan.

Tymczasem Janusz Lirink siedział spokojnie w celi i dopiero rozpracowywał swój. To znaczy jego część, bo wstęp już rozpracował i zrealizował - rozbudził w policjancie nadzieję, czyli to nie on, wbrew temu, co było oczywiste dla postronnych obserwatorów, prowadził rozgrywkę.

Janusz Lirink myślał... Opuścił dwa seanse łączności, jego przełożeni i zleniodawcy wiedzieli więc, że z jakiegoś powodu wycofał się z gry. Co dalej? Pomyślał, że mają tylko, czy może aż, dwa wyjścia: wyrwą go stąd albo zabiją. Kiedyś przeczytał, że prawdziwi, cynicznie mówiąc, „rasowi” psychopaci tym się różnią od większości zdrowej ludzkości, że naprawdę w pogardzie mają

śmierć. Dlatego mogą z takim lodem w sercu zabijać i zabijać, roztrzaskiwać główki dzieciom, ciąć brzuchy ciężarnym, wycinać wątroby. Nie wierzą w magię śmierci, nie wierzą, że to ważne wydarzenie. Dlatego własna ich nie przeraża, jak normalnego człowieka.

Lirinka nie przerażała. Zadał śmierć tylu osobom, że myślał o niej jak o dokuczliwej tylko niedogodności, złościła go myśl, że może mu ona nie pozwolić dokończyć jakiejś sprawy, że przeszkodzi, a wiedział, że to jedna z niewielu rzeczy, z którymi sobie nie poradzi.

„Co mogą zrobić? Przedrzeć się tu i zabić mnie. Tak... Ale jeśli już się przedrą, to mogą uznać, że lepiej mnie mieć żywego. Czyli każdy wchodzący do celi może przynieść zarówno kulkę, jak i kluczyki. Co prawdopodobniejsze? Mimo wszystko uwolnienie. Po zabójstwie w areszcie zaczyna się dochodzenie mające na celu wykrycie sprawcy. Po ucieczce - też, ale odruch jest jednak taki, że przede wszystkim należy zbiega schwytać, a wyjaśnienie, kto pomógł, kto zdradził, kto się sprzedał - zostawia się na potem. Może zresztą uciekinier naprowadzi. Jeśli tak myślą, a powinni, to pomoc przyjdzie raczej prędzej niż później”.

Przespacerował się po celi, dziesięć minut stał niemal nieruchomo, wykonując izometryczne ćwiczenia prawie wszystkich mięśni, nawet języka. Kilka pompek, na końcu stanął na rękach i pozwolił, by krew spłynęła do głowy. To był jego własny patent na zdrowie i sprawność: albo pęknie naczynie w mózgu i skończą się problemy z życiem, albo nie pęknie, ale krew przemknie po wszystkich naczyniach. Nie przejmował się tym, że żadna ze szkół walki, żadne kendo, dżiu-dżitsu, żadna capoeira, wushu czy krav maga nie przewidują takiego

ćwiczenia jako cennego samego w sobie. On się po tym dobrze czuł - czuł bu-
zującą w głowie krew, czuł serce bijące w nieco szybszym rytmie, śpieszące
rozprowadzić krew po organizmie zgodnie z układem żył, tętnic, komórek,
grawitacją i logiką Natury.

Położył się i nakazał sobie sen. I zasnął.

Obudził się, gdy za oknem, przekreślonym kratami i niemal zasklepionym
gęstą siatką, panował gęsty mrok. Nie potrafił jak książkowy Simon Templar
odczytać na wewnętrznym zegarze czasu z dokładnością do sześciu minut, ale
musiało być po północy; kilka godzin spał. Lirink miał organizm, który pozwalał
mu obejść się kilka dni niemal bez snu, a zarazem zregenerować się w ciągu kilku
godzin.

Ktoś stał pod jego celą. W irytująco mdłym świetle widział drzwi i zobaczył,
jak w Judaszu zmieniło się światło. Miał rację, myśląc, że klawisze umyślnie
zawsze głośno szczękają zamkami i klapkami Judaszy. Tak, żeby zatrzymani i
aresztowani sądzili, że nie da się inaczej. Tymczasem - dało się. Światło bez-
szelestnie zmieniło się jeszcze raz, trzpienie i rygle zamka poruszyły się niemal
niedosłyszalnie, Lirink raczej wyczuł ich przesuwanie się w mechanizmie, niż je
usłyszał. Poruszyły się tylko jego dłonie, którymi chwycił brzegi koca. Mało
poręczna broń, ale innej nie miał - gdyby ktoś wszedł i wycelował w niego broń,
uniósłby koc i pod nim przemieścił się zwinnie i szybko jak rozjuszony wąż.
Drzwi poruszyły się, otworzyły ostrożnie.

-

Wstawaj - powiedział cicho strażnik.

Miał spokojną twarz, ale gdy tylko zamknął usta, pod kośćmi jarzmowymi

nabrzmiały guzki napiętych mięśni. Mężczyzna był bardzo zdenerwowany.

Lirink nie odrywał wzroku od oczu strażnika, ale widział wszystko - odpiętą kaburę archaicznej tetetki, za ciasną koszulę, niedopiętą pod szyją, odprasowane spodnie, ale z widocznymi poprzecznymi pręgami - po długim leżeniu, może na magazynowej półce...

-

Chodź. Rusz się - syknął, niemal nie rozwierając zaciśniętych ust, strażnik. - *Badrahi-yn.*

Badrahi-yn. Nieistniejące słowo, nie reagowały na nie wyszukiwarki. Wielojęzykowe słowniki krzywiły się i podsuwały inne zbitki liter, w nadziei, że to człowiek popełnił błąd, że poda inny, choć podobny zestaw liter. Na to nieistniejące słowo miał reagować tylko jeden człowiek - Janusz Lirink.

254

Zareagował. Odrzucił koc i się podniósł. Wsunął stopy w ustawione obok pryczy buty bez sznurówek. Jakby nie mógł sobie podrzeć rękawa, gdyby chciał się powiesić! Wstał. „Strażnik” sięgnął do pasa z boku, wyjął z zaczepu parę kajdanek i podał zatrzymanemu, ten obejrzał je, znalazł cynowe dwa ogniwa, skinął głową i podał ręce do skucia. Chwilę potem wyszli z celi. W niemal paralizującym świetle jarzeniówek Lirink zmrużył oczy, ale nie zamknął ich do końca, pomrugał szybko, czekając, aż strażnik dyskretnie zamknie celę. Nie odwracał się, mimo hasła, plecami do pomocnika. Ten ostrożnie wyjął klucz z dziurki, chwycił dłonią cały pęk kluczy, żeby nie dzwoniły, i wsunął je do kieszeni, dopiero gdy ułożyły się, miękkim ruchem wyjął dłoń z kieszeni, podszedł do Lirinka i wziął go za łokieć.

-
Idziemy... - powiedział tak cicho, że chyba sam tego nie usłyszał.

Ruszyli korytarzem. Lirink znał tę drogę, prowadziła do schodów, a te do bocznego zakończenia długiego, przecinającego całe piętro korytarza. Na końcu było wyjście na parking, jak się domyślał Lirink - do wykorzystania w odbywającej się właśnie operacji. I tak się stało. Nie spotkali nikogo po drodze, niemal bezgłośnie dotarli do parteru, strażnik otworzył drzwi pojedynczym, widocznie przygotowanym wcześniej kluczem, wyszli w noc. Parking był dobrze oświetlony, ale niemal pusty. Pod murem stały dwa furgony z uniesionymi na dach kratami, pod przeciwległym murem trzy volkswageny, wszystkie wozy drzeмиące, pobłyskujące rytmicznie niebieskimi światłkami alarmów. Blżej bramy stał samotny polonez, do niego skierował się „strażnik” z Lirinkiem.

„Policjant” otworzył tylne drzwi, „włożył” konwojowanego do wozu, z lekka przyciskając mu głowę ręką. Zatrzasnął drzwi i wsiadł za kierownicę. Po chwili byli już za otwartą na oścież bramą komendy. Ruszyli w prawo.

Lirink szarpnięciem pozbył się łańcuchów.

-
Kluczyk!

„Policjant” wyjął z kieszeni na piersi kluczyk i podał do tyłu. Lirink odpiął kajdanki i zręcznie przeniósł się na przednie siedzenie.

-
Co dalej?

-
Mamy na peryferyjnym osiedlu poloneza pod pokrowcem, nieruszany od

lat. Postawimy tam tego, a odjedziemy...

-

Ruszy? - przerwał „Rubik”.

255

-

Tak, wczoraj go odholowaliśmy, wtrysnęliśmy eter i kilka innych preparatów, kilka kilometrów przejedzie. Tyle trzeba.

-

Dobrze. Co dalej?

-

Z prawej na podłodze masz teczkę. Dokumenty, pieniądze, karty, telefon, broń. Nic trefnego. Ale będziesz bardzo intensywnie poszukiwany.

-

Wiem. - Milczał chwilę. - Meta?

-

Wynajęte mieszkanie na drugim końcu miasta. Proponujemy, żebyś tam przeczekał kilka dni. Pojutrze ruszą z poszukiwaniami w teren, zmień wygląd. I - najważniejsze - czekaj na instrukcje. Kontakt nastąpi wkrótce. Nie lekceważ tego.

- Odwrócił na chwilę wzrok od pustej, jak każdej nocy, jezdni. Lirink zauważył, że gule pod kośćmi jarzmowymi nie zniknęły. Pomocnik ciągle był spięty, wystraszony, może bliski hysterii. Niedobry pomocnik. - Będą dalsze polecenia. O

ile wiem, sprawa się nie skończyła. Ale to już nie moje zmartwienie... - Zwolnił i zatrzymał się za „zakapturzonym” polonezem. - Nie mój poziom.

-

Tak, nie twój - zgodził się Lirink. - Co z gliniarzami? - Kierowca od-

wrócił się i jakby zawahał. - Pytam o załogę tego wozu.

-

W bagażniku.

-

Rozumiem. Dobra, idę uruchomić tamtego grata.

Wysiadł, rozejrzał się i zerwał oba koguty. Potem podszedł do ukrytego pod pokrowcem samochodu i ściągnął brezent, chwilę potem polonez zjechał z kra-

wężnika, na jego miejsce natychmiast wsunął się policyjny wóz, kierowca wyłączył silnik, wyrwał pęk przewodów, prowadzących do radia, wytarł chustką

kierownicę, wysiadł. Lirink w tym czasie wyjął z radiowozu torbę i przesunął się do tyłu.

-

Pokaż mi ich - zażądał.

Kierowca jakby się zawahał, ale posłusznie otworzył pokrywę bagażnika.

Dwa umundurowane ciała spoczywały beładnie wciśnięte, wbite w przestrzeń bagażnika. Fałszywy policjant wskazał coś palcem i mówiąc: - To jest interesujące - odsunął się o pół kroku.

Lirink upuścił torbę, podszedł do samochodu i wykonał ruch, jakby się pochylał nad bagażnikiem.

Intuicja go nie zawiodła, niuch drapieżnika, wyczucie mordercy - „policjant”

wykonał szybki ruch ręką, którego zakończeniem miało być uderzenie wypro-

stowaną dłonią w kark Lirinka. Ale ten momentalnie uniósł górną połowę ciała,

uniknął ciosu, zaskoczony napastnik zachwiał się; budował swoją postawę na spodziewanym oporze przy uderzeniu, gdy jednak w przewidywanym miejscu zabrakło ciała Lirinka, impet stał się wrogiem - ręka pociągnęła go do przodu. Chcąc uniknąć upadku, przesunął nogę, gdy jednak oderwał ją od ziemi, Lirink podbił ją i pchnął do przodu, aż goleń „policjanta” uderzyła w plastikowy zde-
rzak, „Rubik” natychmiast kopnął pod kolano drugiej nogi, „policjant” odchylił się do tyłu, rozpaczliwie machając rękami, żeby utrzymać równowagę. Ale Lirink nie musiał machać rękami w tym celu, stał pewnie na nogach, przekręcił się, żeby wzmocnić uderzenie. I było mocne - gdy jego pięść trafiła „policjanta” w skroń, rozległ się suchy trzask pękającej kości. Ciało opadło bezwładnie, Lirink przy-
klęknął na jedno kolano, chwycił mężczyznę za brodę i energicznie przekręcił w prawo. Dał się słyszeć drugi trzask, teraz tłumiony przez tkanki osłaniające przesuwane względem siebie kręgi. Nogi mężczyzny jeszcze drgały, gdy Lirink chwycił go za klapy munduru i pociągnął do tylnych drzwi. Ciało powędrowało na tylne siedzenie. W bagażniku nie było już miejsca.

Jeszcze plandeka i brzęczący blachami polonez wolno, ale dość głośno potoczył się po osiedlowej jezdni.

W torbie był też zegarek. Wskazywał trzecią pięćdziesiąt dwie.

Lirink skorzystał z prostego odcinka ulicy - przytrzymując kierownicę kolanami, sprawdził broń, wsunął za pasek spodni pistolet, komórkę włożył do kieszeni bluzy. Potem, widząc pęk kluczy z przypiętą kartką, zatrzymał się i sprawdził adres na leżącym w kieszeni drzwi planie miasta. Cicho pogwizdując pod nosem, ruszył w odpowiednim kierunku. Dwadzieścia minut później penetrował lodówkę, wystawił na stół w kuchni niemal całą jej zawartość, uszczelnił

żałujże, napelnił szklanę soplicą i wypił duszkiem połowę. Zjadł raczej różnorodny niż obfity posiłek, zapalił papierosa.

- Ciekawe - powiedział na głos. Trochę ucieszyła go możliwość mówienia, bez mała tydzień milczenia odczuwał jako wyraźny dyskomfort. - Ciekawe... - powtórzył. - Skoro miał mnie zabić, dla kogo przygotował tę chatę? Z żarciem, alkoholami i papierosami? Może wpadną tu panienki?

Wstał i poszedł do pokoju, gdzie zostawił broń. Wrócił do kuchni, pedantycznie posprzątał po kolacji, potem z soplicą w szklance, popielniczką i pistoletem wrócił do pokoju i położył się na kanapie.

257

W zamku drzwi tkwił od środka klucz. Na kluczu leżał znaleziony na półeczce w przedpokoju żeton do wózka. Odgłos spadającego żetonu, jak wiedział Lirink, będzie wystarczającym budzikiem.

Zasnął.

Spał, odpoczywał.

Czekał.

* * *

Komórka zabręczała niskim tonem, podrygując na blacie stołu. Lirink obudził się błyskawicznie, sięgnął po telefon i nie trując się sprawdzaniem połączenia, wdusił klawisz z zieloną słuchawką. Przyłożył aparat do ucha.

- Twoja monetka została zneutralizowana - powiedział ktoś. - To już zużyty numer. Mógłbym wejść, ale nie chciałem cię budzić w nerwowej... - rozmówca jakby zastanawiał się chwilę nad odpowiednim słowem - ...atmosferze...

Mówił po polsku dobrze, nawet bardzo dobrze, ale wyczułone ucho albo ucho

osoby, która go znała, słyszała głębsze samogłoski, śpiewność właściwą językom słowiańskim: rosyjskiemu, ukraińskiemu, serbskiemu, bułgarskiemu.

-
Atanas, wchodź - powiedział Lirink i rozłączywszy się, odłożył słuchawkę.

Pistolet nadal leżał na stoliku, Lirink nawet go nie odbezpieczył. Jeśli zapadł wyrok, to czy zabije gościa, czy nie, i tak zginie przy próbie opuszczenia mieszkania, a jeśli nie - po co się bawić bronią. Broni, jak go nauczono, używa się do ataku i obrony, nie do straszenia, zastraszania, grożenia. Do tego celu służy co innego. Ręce.

Zamek szcęknął cicho, Lirink nawet nie sprawdzał, co się stało z żetonem i kluczem. Wypchnięte, leżą na miękkiej, wsuniętej podkładce na podłodze? Wiszą na nitce kleju? Może zamek już wcześniej był spreparowany? Co za różnica?

Wychylił się, ciekaw, czy Atanas przyszedł sam. Sam. Niezbyt wysoki, pulchny i łysiejący brunet, spokojnie się poruszając, zdjął połyskującą sztucznie, ale miękką i nieszeleszczącą kurtkę, powiesił na wieszaku, zerknął do lustra, przyglądał najpierw wianuszek ciemnych włosów, potem wąs, każdą połowę

258

w odpowiednią stronę, i posławszy swojemu odbiciu lekki i krótki uśmiech, ruszył w stronę salonu.

Lirink omal się nie roześmiał. Atanas udawał, że nie widzi w szparze drzwi jego oka, udawał znakomicie.

-

Brawo, mistrzu! - powiedział cicho gospodarz. - Tu jestem, i ty to wiesz
chyba lepiej ode mnie.

-

Ach?! - fałszywie zdziwił się gość. Zatrzymał się w pół kroku. - Już idę.

Albo chodźmy do kuchni, zrobimy herbatki... My, Słowianie, lubimy siedzieć w
kuchni. Wiesz, ognisko domowe, Westy, te klima-a-aty...

Lirink wstał i wyszedł do przedpokoju, gość zniknął już w drzwiach kuchni.

-

Westa była jedna - mruknął do jego pleców.

-

Wiem.

-

Wiem, że wiesz. - Wszedł do kuchni i zapatrzył się w lufę beretty.

Broń wycelowana była nie w głowę, nie w czoło czy oko. Po co?

Wylot lufy znajdował się na wysokości mostka, pocisk strzaskałby go, a
uderzenie miękkiego kawałka ołowiu cisnęłoby Lirinkiem o ścianę.

-

Tak? - powiedział.

-

Co się dzieje? - zapytał człowiek o imieniu Atanas. - Gdzie... ten?...

„Policjant”?

-

Wiesz tak samo dobrze jak ja, że miał mnie wyprowadzić i zabić. Nie
udało mu się. Wybrałeś go celowo? Takiego nieudolnego?

-
Żebyś wiedział! - warknął Atanas. - Siadaj!

Lirink spokojnie, wolno, z opuszczonymi, niemal bezwładnie majtającymi się rękami podszedł do krzesła, przesunął je trochę i usiadł przodem do gościa. Ten się cofnął, opuścił pistolet, nie chowając jednak, podniósł się na palcach i przycupnął na brzegu kuchennego blatu.

-
I mów - zażądał.

-
Namierzyłem obiekt bez trudu - powiedział Lirink. - Krystian Sommer.

Mieszka z siostrą w Berlinie. Odenwaldstrasse 18. Gdybym był moją ciotką, powiedziałbym o nim „trzpiot”, ponieważ nie jestem, powiem „obibok”. Taki gamoniowaty... - „Żle - gamoń wodzi za nos gwiazdorów służb bardzo specjalnych?!” - pomyślał, ale mówił gładko dalej: - Bardzo fartowny. Moja wina, że go zlekceważyłem przy pierwszym podejściu, niespodziewanie pojawili się świadkowie, musieliśmy przerwać akcję. Potem też dopisywało mu szczęście.

259

-
Janik, ty przecież wiesz, że nie ma fartownych ludzi. Są dobrze przygotowani. I źle przygotowani.

-
Tym razem mamy do czynienia z takim, któremu sprzyjało szczęście, a ja byłem źle przygotowany.

-

Dobrze, co dalej?

-

Wykonaliśmy do niego trzy podejścia. Nie rozumiem sam, jakim cudem wszystkie trzy spaliły na panewce. Rutyna mnie zgubiła i zapewne, jak już mówiłem - zlekceważenie klienta. Narobiło się sporo zamieszania w Berlinie, pojechaliśmy więc do jego matki, która ćwierć wieku wcześniej poszła do klasztoru. Teraz sądzę, że to była zagrywka odwracająca uwagę od jej dzieci, że - jak to się mówi patetycznie w kolorowych pismach - poświęciła się dla dzieci. W każdym razie - przesłuchiwałem ją, choć, przyznaję, bez wiary - nie podziałała na nią demonstracyjna śmierć dwóch koleżanek. Chyba po prostu nastawiła się kiedyś na wytrwanie i zapiekła w uporze. Na dodatek, znowu niefortunnie, wróciło kilkadziesiąt zakonnic, nie mogliśmy wymordować wszystkich... Usunęliśmy się na bok, niestety Nawfal okazał się fatalnym kierowcą, spowodował idiotyczny wypadek, w którym sam zginął. Natomiast podczas decydującej akcji wpakowaliśmy się w pułapkę policji. Zastrzeliłem, to znaczy myślałem, że zastrzeliłem Owrama...

-

Zastrzeliłeś. Policja robiła cię w bambuko. Żyje, ale jakby nie żył. Może już nawet?

-

Aha. - Skrzywił się. To bez znaczenia. - Ale sprytnie zrobili, uczą się...

-

Bardzo się starają. W tej sprawie - powiedział wolno Atanas.

-

No i to już właściwie wszystko.

-

Nie.

-

Nie - zgodził się od razu Lirink. - Jeszcze Kraków, ale to pewnie wiesz.

-

Wiem. Wygląda, że trochę przetrzebiłeś służby kościelne Polski. Trzy zakonnice, sekretarz biskupa... Czy może jeszcze jakiś sługa boży napatoczył ci się pod rękę?

Lirink wolno - umyślnie, wręcz demonstracyjnie wolno - przeniósł spojrzenie na swobodnie spoczywający w ręku pistolet. Trzymający go mężczyzna wyglądał dobrodusznie, jak zabiegany akwizytor ubezpieczeniowy, ale bułgarskie służby

260

specjalne miały na koncie wiele spektakularnych sukcesów, przypisywanych potem „możnym” tego świata: Mossadowi, M5, KGB, nawet skompromitowanemu wielokrotnie i ostrzeliwanemu z każdej możliwej strony FBI, i już to oznaczało, że działają bardzo dobrze. No, może nie poszło im dobrze z Janem Pawłem II, ale tu też przede wszystkim przypadek uratował papieża.

-

Nie, to - na razie - wszystko.

„Na razie” zabrzmiało jak pytanie. I było pytaniem. Albo Atanas da mu jeszcze jedną szansę, albo ktoś się zdziwi, wyłamując za tydzień drzwi, spod których wali potworny fetor...

-

Czy my się jakoś zbliżyliśmy do sedna? - zapytał Bułgar.

Lirink zastanawiał się chwilę, choć odpowiedź była jedna, a targowanie się z Atanasem samo w sobie już było niemal wykonanym wyrokiem śmierci. Nie mógł jednak się powstrzymać, by nie powrócić do przeszłego zdarzenia.

-

Nie za bardzo - przyznał. - Myślę, że jedynym zyskiem jest wypuszczenie na trop tego Sommera, który - jak przypuszczam - coś wie, i to jest dobra wiadomość, bo bałem się, że wraz ze śmiercią matki urwie się jeszcze jedna nić.

Atanas gwałtownie uniósł rękę, tak szybko, że serce Lirinka nie zdążyło nawet wykonać jednego dodatkowego skurczu, i... Włożył broń do kabury pod pachą.

-

Rób herbatę - zażądał.

Gospodarz, nie okazując ani ulgi, ani ostentacyjnie jej braku, podszedł do elektrycznego czajnika i nie sprawdzając poziomu wody, wylał ją, nalał świeżej i włączył urządzenie. Z pudełeczka z saszetkami herbaty wyjął cztery i wrzucił do dwóch kubków z reklamą - paradoksalnie - kawy. Milczeli obaj.

-

Co proponujesz? - zapytał Atanas po dwóch minutach, kiedy czajnik zaburczał, zaperlił się bąbelkami wrzątku, a potem pstryknął wyłącznikiem.

-

Iść śladem Sommera.

-

A wiesz, gdzie jest? Gdzie może być?

-
Nie mam pojęcia - przyznał Lirink.

-
W Rosji.

Uniósł brew.

261

-
Przyjaciele z białoruskiego MSW pasą ich. Jest tam ze wspaniałą laską.

-
A tak... Widziałem, rzeczywiście...

-
Kto to?

-
Nie wiem - powiedział Lirink.

-
Janik?! Co się z tobą dzieje? - Atanas nie podnosił głosu, zapytał tak, jakby pytał, gdzie jest spodek na zużyte saszetki. Ale już to, że chciało mu się pytać, stawiało Lirinka w bardzo niepewnym położeniu.

-
Same ogólniki, same uniki, same pudła... - Atanas zeskoczył z blatu, wziął jeden z kubków i nie trując się wyjmowaniem saszetek, łyknął trzy razy wrzątku. Raz po razie, zachłannie, jak narkoman. Chociaż - krążyły słuchy - już z tego wyszedł. Kolejny raz. - Masz coś czy tylko dupę zawracasz?

-

Dupę zawracam.

-

To czemu ja jeszcze ciebie słucham?

Siorbnął jeszcze raz. W kubku została połowa zawartości.

-

Bo wprowadzanie innych sił ma jeszcze mniejszy sens niż zlikwidowanie mnie. Zwyczajny rachunek-szacunek i kalkulacja.

-

Masz rację. Ale teraz jest „takaja tiochnika”, że się przeszacowuje w try miga. Wiesz?

-

Wiem - skinął głową Lirink.

Dopiero teraz wziął do ręki kubek. To znaczy - chciał wziąć. Lewa ręka

Atanasa wystrzeliła w bok z prędkością atakującej kobry. Ręka Lirinka została unieruchomiona o centymetry od ucha kubka.

-

Skoro wiesz - korzystaj z tej wiedzy, Janik. Korzystaj, bo krucho u ciebie z czasem.

Puścił dłoń gospodarza i po prostu wrócił do picia herbaty. Zanim Lirink zdążył wypić dwa dobre łyki, Bułgar przechylił mocno kubek, zadarł głowę i wciągnął ostatnie krople naparu. I odessał go z saszetki.

„Może teraz udałoby mi się wyjąć spluwę? - pomyślał Lirink. - Pewnie nie, ale jeśli kiedyś, to w takim momencie, kiedy ma odsłonięte podgardle”.

Atanas odstawił kubek. Bezszelестnie, choć ruch był zamaszysty i można było

być przez chwilę pewnym, że naczynie z impetem trzaśnie o blat stołu.

262

-

Mój nauczyciel - powiedział, patrząc ponad głowę Lirinka - nauczył mnie, jak prowokować niepewnych czy podejrzanych ludzi do działania, do odsłonięcia się. Wiesz jak?

Lirink uśmiechnął się słabo, skinął głową. Już wiedział.

-

Właśnie tak - podpuszczając do zaatakowania bezbronno albo pozornie bezbronno - mimo to dokończył Atanas.

Lirink zrozumiał, że Bułgarowi zależy na przyswojeniu przez niego lekcji.

-

Nie łudzę się, że dałbyś się zaskoczyć...

Atanas pokręcił głową z nikłym uśmiechem, potem wykonał dość szybki ruch lewą dłonią w górę, nie wiadomo skąd i jakim sposobem trzymał już w niej wąskie, czarne ostrze, wyglądało na kruche i cienkie. Cienkie było, to Lirink wiedział, Gorsden & Bug produkowali noże wyglądające na wątko, ale co najmniej dwie kategorie ludzi wiedziały, że to tylko pozory: użytkownicy noży i ofiary noży.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Lirink dopił swoją herbatę, bez siorbania. Patrzyli sobie w oczy, dwaj zawodowi mordercy, dwaj bezlitośni oprawcy, dwie potencjalne, wzajemnie się wykluczające ofiary. Lirink chętnie zabiłby Atanasa, choć to nie zmieniłoby jego życia - piekło było mu sądzone od dawna. Atanas chętnie zabiłby Lirinka, bo ten podważał jego kompetencje selekcyjona i status

przełożonego, nie mordowali się więc tylko z wyrachowania, choć znali się od dobrych siedemnastu lat i wiele razy ratowali sobie wzajemnie skóry.

-

Dobrze, Janik. Co proponujesz? - powiedział w końcu z westchnieniem

Atanas i chyba po raz pierwszy od przeniknięcia do mieszkania naprawdę się rozluźnił. Ale układając ręce na stole, nie zapomniał wykonać lekkiego gestu lewą ręką - jakby przesuwając luźny zegarek na przegubie, tymczasem zegarek nosił na prawej ręce, pancerny stockfish, którym całkiem dobrze wybijał zęby i wgniatał nosy. - Powiedz mi, co byś zrobił na moim miejscu?

-

Wysłałbym mnie tropem Sommera. Będę ich pasł aż do...

-

Pasą ich towarzysze z Białoruskiego Ka! Giebe... - na dwa tempa po-

wiedział Atanas, przy czym to „ka” miało służyć za skrót od określenia profesji i charakteru kobiet lekkich obyczajów.

-

Usunę ich. Poczekam, aż Sommer zrobi swoje - naprowadzi na kogoś, podpowie coś, podsunie myśl... Wtedy go usunę. - Atanas uniósł brew. - Znaczy

263

- ich! - uśmiechnął się Lirink. - I przejmę obiekt.

Atanas chwilę trawił jego projekt. Potem wyciągnął rękę, chwycił kubek Lirinka palcami od góry, jakby chciał chwycić lekkoatletyczną kulę, uniósł naczynie i odstawił je na blat kuchenny. Gdy ręka zawisała nad blatem, rozległ się suchy przenikliwy trzask i spod palców Atanasa prysnął porcelit, jedna trzecia kubka z

dnem huknęła w dno blaszanego zlewozmywaka, górna część kubka, ta zgnieciona w potwornych palcach Bułgara, prysnęła na wszystkie strony, przez chwilę po podłodze kuchni i trochę po meblach toczyły się drobne odłamki porcelitu.

Potem wszystko ucichło.

-
Janie - powiedział Atanas, porzucając zabawę w przekręcanie imienia

Lirinka - to jest najważniejsza sprawa twojego życia. Najważniejsza sprawa mojego życia, które cenię znacznie wyżej. Ponieważ nie do końca wszystko wiesz, to nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak wielką sprawę prowadzimy.

Fun-da-men-talną! Dla twojej ojczyzny, dla Europy i dla - ośmielę się powiedzieć z patosem - dla całego globu. I - zauważ - nie wstydzę się tego patosu. Bo to jest sprawa globalna. Gdy ją zakończymy, świat się zakołysze, kiwnie potężnie i albo się zawali, albo i wróci do jakiejś tam równowagi, ale... - wychylił się i przeszedł na chrapliwy szept - nie będzie już taki sam. Runą jedne wartości, wzniosą się pod niebiosa inne, upadną autorytety - urosną inne. I nie będzie - pomachał przecząco palcem w przestrzeni między sobą a słuchającym go uważnie Lirinkiem - że błogosławieni cisi, albowiem i tak dalej. Nie. Z hukiem runą wielkie sprawy, z trzaskiem wyniosą się inne.

Odchylił się nagle na krześle do tyłu, wyjął białą chusteczkę w grubą granatową kratkę i otarł nią twarz.

„Kto jeszcze używa chusteczek do nosa? - pomyślał nagle Lirink. - Oprócz Rumunów, Bułgarów? Mój ojciec używał... Zawsze w lewej kieszeni, zawsze złożona, udająca czystą, najczęściej rzeczywiście czysta...”

-

Dobra, Janik. Przebieraj się... Wolno, nie śpiesząc się, zmieniaj swój *image*. - Wymówił to słowo nie po angielsku: „imidż”, a z francuska: „ima-a-ż-ż”.
Sięgnął do kieszeni i podał Lirinkowi gruby notes. - Tu masz swój wygląd, dokumenty, fabułę... Ale spokojnie. Nie ruszasz się stąd przez dwa dni. Niech psy poobsikują swoje trawniki, niech się nabreszą... czy nabrechają? - Przekręcił głowę, jakby na słuch sprawdzając prawidłowość użytego niepospolitego czasownika. -

264

Niech się oddalą, wtedy wyjdiesz. Ruszysz tropem Sommera. I dalej - jak powiedziałeś: trzymasz się ich ogona, w odpowiedniej chwili wkraczasz. Jedna sprawa - bez nadmiernego ryzyka, bez zbędnych trupów, elegancja-Francja. Bez efektownych wybuchów, spektakularnych egzekucji. Bo mam przecucie, że - paradoksalnie - ten Sommer może być po naszej stronie. Może nieświadomie, ale mnie gównie obchodzi, czy ludzie mi pomagają świadomie, czy z głupoty, czy z miłości do mojej dupy.

Wstał i podszedł do siedzącego ciągle Lirinka. Wyciągnął dłoń. Gospodarz wstał wolno i podał mu swoją, uścisk był mocny. I tyle.

Po chwili cicho trzasnął język klamki.

Janusz Lirink został sam.

„I - patrzcie: żyję!?” - pomyślał. - A to ciekawostka przyrodnicza!”

26. BRAT IŁLARION, KLASZTOR W CZAUSACH

Iłlarion siedział przy stole. Wyglądał, jakby spał: oparł łokcie na blacie, twarz ukrył w dłoniach, oddychał miarowo. Małeńka lampka oświetlała skrawek przestrzeni, wydobywała z mroku biel nowego papieru i stary pergamin koloru sepia.

Mnich jednak nie spał. Pod zasłaniającymi twarz rękami wargi poruszały się

w bezgłośnej modlitwie. Wreszcie podniósł głowę, spojrzął na dokumenty i westchnął ciężko.

- Za każdym razem, kiedy odczytuję tę część zapisków, muszę zebrać się na odwagę, by dokończyć to, com zaczął. Dziś znów, jak zwykle, poprosiłem Ducha Świętego o siłę i determinację. Zaczynamy, przyjacielu.

Podjął zapisany gęsto pergamin, przysunął go bliżej siebie. Bez trudu, płynnie odczytywał greckie pismo. Na zapisywanie i dokładne, drobiazgowo sprawdzenie wierności przekładu będzie czas później.

Poszedł się zatem modlić w Ogrójcu. Zapytywał Ojca, czy aby na pewno musi się dopełnić przeznaczenie, czy śmierć nie może być dlań łaskawsza. Im dłużej i żarliwiej się modlił, tym okrutniejsza była świadomość przyszłych wydarzeń.

265

Wzniósł oczy do nieba i rzekł: „Gdyby jakikolwiek człowiek miał doznać tak wielkiego bólu i tak wielkiej klęski, umarłby ze zmartwienia, zanim zaczęłoby się wypełniać proroctwo. Lecz Ty dajesz mi siłę, bym mógł przejść przez mękę z podniesionym czołem, to dzięki Tobie uczynię dzieło stworzenia bliższym doskonałości”. Lecz zaraz, niczym powiew znad gorącej pustyni, nadleciała fala zwątpienia. „A jeśli nie uwierzą? Jeśli mimo całego poświęcenia pójdzie ono na marne?” Rozłożył szeroko ręce. „Ojcze mój! - zawołał. - Ty jeden potrafisz odmienić serca i umysły ludzi. Dlaczego skazujesz swojego syna na tak straszne męki?” Niebiosa milczały, ale duch niepokorny odpowiedział sam sobie: „Muszą sami dojrzeć, niczym winne grono. Słońce i deszcz są jedynie pomocnikami w akcie jego wzrostu. Człowiek jest tylko narzędziem, które z owocu uczyni aromatyczne wino. Tak i ja jestem dla ludzi tylko owym słońcem i deszczem. Moja

krew napoi ich pragnienie, ciało zaspokoi głód, aby mogli rosnąć i rosnąć, by wreszcie wydali owoc, który przybliży ich do Boga ,,,

Zaś apostołowie czekali na Niego, jednak pospali się, strudzeni po całym dniu, jedynie Judasz nie pozwolił się ogarnąć zmęczeniu, ale ostrożnie oddalił się, by pójść do jonatana Annasza, który przystąpił do Sprzysiężenia Czterech, zapominając na ten czas o niesnaskach z Szymonem Gorliwym. Kiedy Jezus zszedł zastał ich śpiących, odczuł wielki żal i smutek, gdyż oto On miał się poświęcić dla zbawienia ludzi, zaś Jego uczniowie nie potrafili pokonać najdrobniejszej ludzkiej słabości. I czynił im wyrzuty, oni zaś zbudzili się, zawstydzili i jęli gorliwie się modlić. Ledwie jednak Nauczyciel oddalił się, by rozmawiać sam na sam z Ojcem, znów legli na ziemi, gdzie który stał, i pogrążyli się we śnie.

Dalej brakowało fragmentu tekstu. Iłarion znów poczuł żal, że nie jest w posiadaniu aramejskiego oryginału, ale z dalszych słów mógł wywnioskować, co się stało.

- Zatem Judasz formalnie wydał Pana za sumę trzydziestu srebrników i sprowadził siepaczy na miejsce zgromadzenia apostołów. Nie zachowała się rozmowa zdrajcy z arcykapłanem. A może wcale jej nie zapisano? Może było w niej coś takiego, że nikt nie odważył się nawet spekulować, jak przebiegała? Jak myślisz, przyjacielu? - Spojrzał w ciemność, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, powrócił do lektury.

266

A kiedy przebywał z uczniami i żegnał się z nimi, nadszedł Judasz wraz ze zbrojnymi sługami świątyni. Złożył pocałunek na ustach Pana, witając się z nim po bratersku, a On wiedział już, iż jest to pocałunek śmierci. „Dziękuję ci, bracie,

albowiem za twoją przyczyną wypełni się to, co ma się wypełnić”. Zaś Judasz odparł, odwracając oczy: „Wypełni się za moją przyczyną, bo Ty jesteś Mesjaszem, a ja prochem u Twych stóp”. I odszedł zasmucony, a inni złorzeczyli mu i opluwali jego ślady. Jezus zakazał im tego, mówiąc: „Zostawcie go w spokoju, albowiem ciężkie jest brzemie, które mu przyszło udźwignąć. Niewielu z ludzi potrafiłoby stawić czoła temu, co uczynił i temu, co go jeszcze czeka”. Lecz uczniowie nie przestawali złorzeczyć Judaszowi. Dopiero żołnierze rozpędzili ich i wzięli Jezusa, by zaprowadzić Go przed oblicze arcykapłana.

- Jak myślisz, druhu - spytał cicho Hłarion - czy jeśli przyjmiemy tę księgę za wiarygodną, możemy słowa Chrystusa uznać za wyraz litości czy raczej szczerego, pełnego zrozumienia współczucia dla losu nieszczęsnego Judasza? Czy spisek apostołów był koniec końców częścią boskiego planu, czy też raczej szatańską intrygą?

A kiedy Go prowadzili do Jonatana Annasza, wyszło spośród przydrożnych zarośli czterech mężczyzn i zbliżyło się do strażników. Byli to Tadeusz, Szymon Gorliwy, zwany Magiem, Judasz Iskariota i człek nieznanego imienia, który przedtem chodził z Janem Chrzcicielem. Judasz rzucił żołnierzom sakiewkę brzęcząca srebrem i wyrzekł te słowa: „Czy uprzedzono was, iż w tym miejscu porzucicie tego, którego ujeliście pośród uczniów, a weźmiecie innego, który go zastąpi?”. Zaś zbrojni odpowiedzieli: „Tak, mówił nam o tym arcykapłan, ale obiecał za milczenie nie jedną, lecz trzy sakiewki srebra”. „I tyle otrzymacie, gdy doprowadzicie do świątyni tego, którego w tej chwili weźmiecie w pęta. Zaś te srebrniki to zapłata ode mnie, byście tym gorliwiej wypełniali rozkazy”.

A Jezus, gdy to usłyszał, zaczął wołać wielkim głosem, lecz nikt Go nie słyszał

prócz spiskowców i strażników, ci zaś ostatni wżruszali ramionami, mówiąc: „A cóż to za szaleniec, który nie chce być wybawiony od sądu i niechybnego wyroku?”.

I stało się tak, że miejsce Nauczyciela zajął Judasz Iskariota jako najbardziej ze wszystkich podobny do Pana, i oddalił się ze strażnikami, podczas kiedy Szymon, Tadeusz i człek nieznanego imienia trzymali Jezusa, nakładając Mu pęta.

267

Hłarion odetchnął głęboko. Doskonale rozumiał, dlaczego Kościół zabrania ujawniania podobnych dokumentów, a jednocześnie czuł żal, że ludzie nie dowiedzą się nigdy, iż mógł istnieć spisek najbardziej wpływowych apostołów, że droga Męki Pańskiej mogła się okazać znacznie dłuższa i trudniejsza, niż się powszechnie przypuszcza.

-

Widzisz, przyjacielu? Judasz, jeśli wierzyć słowom zawartym w tych zapiskach, nie zdradził Zbawiciela dla korzyści czy powodowany zawiścią i wrogością. Uczynił to z miłości do tego, którego nazywał bratem. Nie wiem, czy w rzeczywistości byli spokrewnieni, ale wynika z tego, co można odczytać z pergaminów, iż na pewno byli do siebie podobni. Tak więc Iskariota, zwolennik zbrojnego powstania, porzucił drogę miecza, aby oddać życie za Mesjasza. Był gotów ponieść męczeńską śmierć, żeby tylko zachować Chrystusa przy życiu. Ludzie w owych czasach nie pojmowali do końca potęgi samopoświęcenia. Nie wiedzieli, że zgon jednego człowieka może zapoczątkować prawdziwą rewolucję serc. Naprawdę szkoda, że ludzie nie poznają tej pięknej historii, która opowiada o tym, jak ludzie wątpiący w potęgę boską czynią wszystko, aby uratować Syna Bożego.

Zaprowadzili więźnia przed oblicze Annasza, ale ten, zgodnie z tym, co ustalono, nie chciał podjąć żadnej decyzji, odesłał go więc do arcykapłana Kajfasza, gdzie człowiek mieniący się Synem Bożym został przesłuchany. Bili go też okrutni strażnicy i sprawili, że krew zalała mu twarz, i wyrwali mu pół brody, i szydzili z niego. On zaś stał przed nimi z dumnie podniesioną głową i nie chciał ukorzyć się przed ziemską władzą.

W tym czasie Tadeusz, Szymon Gorliwy oraz człowiek nieznanego imienia zaprowadzili Jezusa do piwnicy opuszczonego domostwa niedaleko miejsca, gdzie odebrali Go strażnikom. Była to zaś piwnica wykuta w skale, z której nie było innego wyjścia prócz grubych drzwi. Związane go ułożyli na pościeli, pozostając głuchymi na jego błagania. Zamknęli dokładnie komorę, założyli przygotowaną żelazną sztabę, a Tadeusz odcisnął na niej pieczęcie zabrane ze świątyni. Szymon pozostał na straży, zaś pozostali oddalili się, by być świadkami tego, co miało się wydarzyć w Jerozolimie.

268

-
Właśnie. Ewangelie opowiadają, jak prowadzali Jezusa od Annasza do Kajfasza, od Kajfasza do Heroda, by wreszcie oddać Piłatowi. Bito go i poniżano. Jeśli tak to zostało ustalone przez spiskowców i Judasz wiedział, czego się może spodziewać, należy podziwiać hart ducha i determinację w chęci zastąpienia Mesjasza w drodze na Golgotę. A jeżeli Annasz wiedział o tym spisku i należał do niego, widać również cenił Chrystusa na równi z apostołami. Kto wie zresztą, według niektórych źródeł także on zaliczał się w poczet dwunastu wybranych i znany nam jest pod imieniem Jakuba. Skomplikowane to i proste zarazem, nie

uważasz, przyjacielu? Wszyscy, którzy mieli styczność z Jezusem, pozostawali pod jego przemożnym wpływem. Musiał posiadać niesamowitą, niespotykaną charyzmę i umiejętność zjednywania sobie ludzi. Kto wie, może decyzja Judasza, aby zastąpić Go na krzyżu, brała się nie tylko z czystej miłości, ale także z uczucia pewnej zawiści? Szczególnie jeśli rzeczywiście mieliby wspólną matkę. Zazdrość o brata... Kto wie... Człowiek zawsze pozostanie tylko człowiekiem. Tak czy inaczej, zabrali go na przesłuchania, a tłum domagał się widowiskowej kąpieli bluźniercy, który mienił się Synem Bożym i królem żydowskim. Mamy tu nawet interesujący fragment, który tłumaczy nam, dlaczego Poncjusz Piłat mógł ulec namowom, by zabić człowieka, w którym przecież nie znalazł winy. Dumni Rzymianie nie musieli podporządkowywać się naciskom, tym bardziej że po zakończeniu święta Paschy Sanhedryn mógł orzec wyrok skazujący na własną rękę. Żydzi mieli prawo karać śmiercią. Przeszkodziło im tutaj jedynie ważne święto religijne.

Wszedł namiestnik do tłumu i uniół ręce, by przemówić. Delegacji kapłanów odmówił wydania więźnia na męki, gdyż świadectwa przeciwko niemu nie były przekonujące. Lecz wówczas zbliżył się do niego namówiony przez spiskowców doradca, który szepnął mu na ucho, kim jest ten, który podaje się za Jezusa syna Józefa.

-

Właśnie. To by tłumaczyło dość nagle w sumie zmianę decyzji cesarskiego urzędnika. Jeśli się dowiedział, iż sądzony jest zniechęconym zelotą,

mógł się nie tyle nawet ugiąć, ile z zadowoleniem nakazać egzekucję. Doradca

zapewne powołał się na Annasza. Piłat wołał z kolei nie wchodzić zbyt głęboko w wewnętrzne sprawy arystokracji Izraela. - Hłarion potarł skronie, przesunął opuszki palców na oczy i przez chwilę je masował. Odetchnął głęboko i wyprostował na prostym drewnianym krześle. Skrzypnęło, jakby skarżąc się na nie-dbałe traktowanie po tylu latach wiernej służby. - Wystarczy już pracy na dzisiaj. Czytając tę historię od tego miejsca, trzeba być wypoczętym, mieć trzeźwy umysł i ostry osąd.

Mnich się przeżegnał, przez chwilę modlił bezgłośnie, po czym usiadł przy stole. Mrok celi, jak zawsze, rozpraszało jedynie słabe światło małej lampy.

- Męka Pańska to rozdział życia Zbawiciela, który posiada wiele znaczeń - zamruczał. - Ludziom się zdaje, że umarł na krzyżu i to wszystko. Ale ważna była przede wszystkim pora tej śmierci, zbliżał się bowiem wielkimi krokami czas, kiedy proroctwo o nadejściu mesjasza miało się, jak by to powiedział dzisiejszy człowiek, zdezaktualizować. Jeszcze dosłownie parę dni, a dla Żydów męczeńska śmierć Jezusa przestałaby cokolwiek oznaczać. I tak naród wybrany niedługo po ukrzyżowaniu zaczął utrzymywać, że Jezus dopełnił swego losu zbyt późno, by można było uznać Jego nadejście za przyjście Mesjasza. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak wielką rolę odgrywają tutaj daty związane z proroctwem, na które powoływali się zwolennicy Chrystusa. Ale posłuchaj dalej.

Ukrzyżowano ich we trzech. Pośrodku Judasza, a dwóch skazańców po jego bokach. Zaś żołnierze szydzili z tego, który mienił się królem żydowskim. Zaś on powtarzał bezustannie: „Moja krew i rany są dla Ciebie, Panie. Niech moje cierpienie stanie się początkiem Twojej wielkiej chwały”. A jego towarzysze w niedoli, słysząc to, zadziwili się. I jeden z nich jął szydzić za przykładem straż-

ników, i wołał ze swojego krzyża: „Jeśli jesteś królem, gdzie twoje wojska, gdzie zastępy, które powinny stanąć w twojej obronie? Gdzie korona? Chyba że chcesz tak nazwać ów wiecheć, wciśnięty dzisiaj na twoje skronie”. Lecz Judasz nie zwracał uwagi na jego słowa. Wtedy odezwał się drugi z ukrzyżowanych i rzekł: „Zostaw w spokoju tego człowieka. Czy nie widzisz, że cierpi bardziej od nas?”.

Lecz tamten nie ustawał w drwinach, aż stało się tak, że brakło mu tchu i zwiśł

270

bezwładnie. Wówczas strażnicy podtrzymali go, aby się zbyt szybko nie udusił.

Zaś drugi towarzysz niedoli odezwał się w te słowa: „Widzę, że duch w tobie upada, nieszczęśniku. Czy nie lepiej było wyprzeć się swojej prawdy i zachować życie?”.

A Judasz spojrział nań przez gryzący pot zmieszany z krwią, które ściekały mu do oczu, i odpowiedział: „Nie wiesz nawet, jak bardzo chciałbym zejść z

tego drzewa i oddać to miejsce temu, kto na nie bardziej zasłużył”. Nie liczył, że

towarzysz niedoli pojmie jego słowa, ale tamten zapytał: „Czyżbyś wyglądał

nagrody za swój uczynek, czy raczej potępienia?”. Judasz nie odpowiedział,

skłonił tylko głowę na ramię. „Jeden nam los pisany - rzekł skazaniec po jego

prawicy - obaj dziś umrzemy”. Judasz spojrział w niebo, które zasnulo się ciem-

nyimi chmurami, i odpowiedział: „Obaj po śmierci pójdziemy w to samo miej-

sce”. A miał na myśli to, iż zostanie skazany na potępienie, jako że podając się za

Mesjasza, popełnił grzech śmiertelny. A jego towarzysz odparł: „Znajdziemy się

razem, ty i ja, u boku Najwyższego”. Zaś Judasz popatrzył na niego i rzekł:

„Może ty, bo dobry z ciebie człowiek, choć nie wiem, jaką zbrodnię popełniłeś, że

wbito cię na krzyż, ale ja z pewnością jestem przeklęty”. „Nikt nie jest przeklęty -

odparł tamten - i może odmienić swój los, dokąd się w nim jeszcze kołacze cho-

ciaż ostatni oddech. Co uczyniłeś, zrobiłeś z miłości”. „Wszak nie znasz moich uczynków, by je osądzać - tak odpowiedział Judasz - i nie potrafisz zajrzeć w moje serce”. A skazaniec milczał długo, zanim odpowiedział: „Ludzki umysł nie potrafi ogarnąć boskiego zamysłu. Co się dokonało, dokonało się przez ciebie i twoje cierpienie. Stało się to, co najważniejsze, a owoc, jaki wyda twoja krew, która wsiąkła w ziemię, jest błogosławiony. Myślisz, że jesteś sam, że cierpisz w osamotnieniu. Lecz przy tobie jest ten, którego tak usilnie wyglądasz”. Słyszac te dziwne słowa, Judasz zwrócił się ku mówiącemu i zobaczył, że tamten musiał skonać dobrą chwilę wcześniej, gdyż muchy pokryły jego nieruchomą twarz gęstą zasłoną. I w tej chwili zrozumiał. Wzniósł oczy do nieba, wołając: „Boże mój, czemuś mnie opuścił”. A potem na jego twarzy zagościł uśmiech, skłonił głowę i skonał.

Ostatnie zdania Iłlarion odczytywał głosem łamiącym się ze wzruszenia.

- Widzisz, przyjacielu? - rzekł, gdy już nieco się uspokoił. - Słyszałeś?

Jakże inaczej brzmią ostatnie słowa Ukrzyżowanego, jeśli spojrzymy na to przez

271

pryzmat tej ewangelii. Ileż razy ludzie się zastanawiają, dlaczego Jezus tuż przed śmiercią zadał to pytanie. Dlaczego Syn Boży uznał, iż Ojciec się od niego odwrócił? Tutaj zaś mamy rozpacz człowieka, który ledwie przed sekundą zdał sobie sprawę, że pozostał sam. Nie osamotniony, ale sam w chwili śmierci. Bo tak naprawdę każdy z nas umiera w samotności, nawet jeśli otoczmy się tłumem bliźnich. A zarazem dotarło do niego, że świat dokoła wygląda zupełnie inaczej, niż mu się do tej pory zdawało. Wiem, co chcesz powiedzieć. Że ten dokument może nie mówić prawdy o tamtych wydarzeniach. Ale jest tak porywający, tak

prawdziwie pokazuje cierpienie i rozterki człowieka, że musi w nim tkwić jakieś ziarno prawdy. Prawdy o tym, jacy jesteśmy. Jak bardzo nie potrafimy zaufać Bogu, jak wątpimy w Jego wszechmoc, nawet jeśli On ukaże nam swoją siłę. Jesteśmy niczym ów Jakub, który walczył z aniołem i choć z góry był skazany na porażkę, zdołał wymóc na przeciwniku ustępstwa.

Długo milczał, wreszcie się podniósł, nabrał głęboko powietrza, rozprostował ramiona jak ptak, który zbiera się do lotu.

-

Kończymy, mój drogi. Jeszcze zapewne nieraz wrócę do tych zapisków, jeszcze poprawię to i owo, ale dziś zakończymy pracę, zamkniemy ten rozdział naszego życia, a rękopis wróci do najgłębszego zakątka klasztornej biblioteki, do żelaznej skrzynki okutej srebrną blachą. Zapewne ojciec Kirył nakaże zamurować ją w ścianie, jak i poprzednim razem. Igumen to święty człek, jednak zbyt mało w nim wiary, zbyt przywiązany jest do spraw ziemskich, by potrafił pogodzić się z przekazem, który jest zawarty w tym dokumencie, by potrafił go właściwie odczytać. Zgodzisz się ze mną?

Podszedł do ciemnego kąta. Kiedy znalazł się poza kręgiem światła lampy, bez trudu dostrzegł zarys wózka inwalidzkiego, na którym siedział mężczyzna z szeroko otwartymi oczami.

-

Towarzysz mi cierpliwie, Micheju, wysłuchujesz moich wywodów.

Ale tak do końca nigdy nie wiem, co naprawdę myślisz. Gdy czytam ci to, co przetłumaczyłem, widzę w twoich oczach raz wzruszenie, innym razem zdumienie, oburzenie, a nawet strach. Są jednak chwile, kiedy zdaję się słyszeć twoje

myśli. Tak jak teraz. Uważasz, że ojciec Kirył ma rację, ukrywając ten dokument.

Zgadzasz się z nim, iż jeszcze jest zbyt wcześnie, by ujawniać podobne pisma.

Czy tak?

272

Michej przymknął oczy, poruszył gwałtownie rękami. Oderwał je od poręczy, a następnie zwinął w dziwnym, nierytmicznym geście.

- Los dotknął cię straszliwie - powiedział cicho Iłarion. - Od dziecka cierpiełeś katusze przez swoją chorobę. Ale jakże musi być ci ciężko od czasu, gdy utraciłeś nawet mowę... Tak sobie czasem myślę, że ukrzyżowanie jest niczym w porównaniu z dołą ludzi tak pokrzywdzonych przez los. Ono trwało chwile, minuty, może godziny, a ty musisz się męczyć w swoim ciele dziesiątki lat. Czy nigdy nie przeklinałeś Boga za to, co cię spotkało? Czy nie zadawałeś sobie pytania, czemu właśnie ty jesteś ofiarą choroby? Wielu ludzi w podobnym położeniu traci wiarę. A ty? Nie napinaj się tak, przyjacielu - zawołał, widząc kolejną gwałtowną reakcję kaleki. - Wiem, że wiara jest w tobie głęboka, o wiele więcej warta, niż w przypadku tych, którym niczego w życiu nie brakuje. Łatwo bowiem pogodzić się z Bogiem, kiedy wszystko idzie gładko. Gorzej, jeśli trzeba znieść cierpienie i okrutne męki.

Wziął ze stołu notatki, podszedł z nimi do małego okienka.

Złożyli go w grobie, który oddał im pewien człowiek. Obmyli ciało, namaścili olejkami i owinęli w całun. A następnie wejście do grobowca zostało zasłonięte kamieniem, na którym złożono pieczęcie, a przed nim postawiono strażę. Zaś tego dnia miało miejsce zaćmienie Słońca, nagle grzmoty i podobne gwałtowne zjawiska.

Tadeusz oraz człowiek nieznanego imienia podążyli ku opuszczonemu domostwu, aby zdać sprawę z wydarzeń Szymonowi Gorliwemu. Po drodze napotkali apostoła Łukasza, który oznajmił im, iż ponoć Judasz Iskariota, dręczony wyrzutami sumienia, powiesił się tej nocy, której wydał Mesjasza na mękę. Wystuchawszy, co ma do powiedzenia, wysłali go, aby odszukał innych i zgromadził ich w miejscu zwanym wieczernikiem, by tam czekali na wieści od nich. Sami zaś udali się w dalszą drogę. Przybyli do Szymona i rzekli: „Oto się dokonało, co miało się dokonać, Judasz umarł na krzyżu, zaś my dzięki jego ofierze mamy wśród nas Mesjasza. Pora oznajmić to Nauczycielowi”.

-

Zastanawiam się zawsze, myśląc o tym fragmencie, jakiej reakcji Jezusa spodziewali się spiskowcy. Przecież zniewolili Go, uniemożliwili dopełnienie

273

posłannictwa. Liczyli zapewne na to, iż pogodzi się z faktami i mimo wszystko podejmie swoją rolę.

Zerwali zatem pieczęcie, odrzucili żelazną sztabę i weszli do piwnicy, by opowiedzieć Mu o wszystkim. Lecz w środku nie zastali nikogo. Tadeusz i nieznanego człowieka czynili wyrzuty Szymonowi, że wypuścił Nauczyciela, lecz on bronił się, mówiąc: „Jakże miałbym tego dokonać nie naruszając znaków pieczęci, które zabraliście ze sobą? Jak mógłbym poradzić sobie z oderwaniem owej ciężkiej żelaznej sztaby bez pomocy? Pamiętajcie, że to za moją przyczyną uprowadziliśmy Mesjasza w drodze do kapłanów”. A oni przestali nań nastawać, bo ujrzeli leżące na ziemi więzy, których pętle nie zostały przed zrzuceniem rozplatanie, i krew, która spłynęła na ziemię i zdążyła już zaschnąć. Padli na

kolana i zaczęli się modlić, albowiem zrozumieli, iż ich zamierzenia mogą się nie spełnić, skoro ten, którego uwięzili, zdołał się uwolnić w niepojęty sposób. I żaden z nich nie odważył się wypowiedzieć głośno słów, które cisnęły im się na usta.

-

Tu się kończy zapis dziejów Pańskich - rzekł w zamyśleniu Marion.

Spojrzał na towarzysza. - Jak ci się zdaje, to naprawdę koniec czy brakuje jeszcze czegoś?

Człowiek na wózku otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydobył z gardła jedynie krótkie skrzeczenie.

-

Może ojciec Kirył ma jednak słuszość - ciągnął mnich. - Ludzie jeszcze nie dojrzeli dostatecznie, aby przedstawić im podobne pismo.

Ale z drugiej strony, gdyby duchowieństwo od początku nie ukrywało pod korcem podobnych zapisów, ale przedstawiało je wiernym w postaci legend, nikt by się nimi nie zgorszył. Przecież wokół każdej wielkiej postaci i wielkich wydarzeń narastają różne opowieści. Niektóre są wręcz trudne do strawienia, nawet nie z uwagi na obrazoburczość, ale formę.

Michej przymknął oczy, ręce opadły na poręcze wózka. Wyglądało to, jakby zasnął, jednak Iłlarion wiedział, iż jego podopieczny słucha uważnie. Zajmował się nieszczęśliwym od przeszło pięciu lat, umiał doskonale odgadnąć jego potrzeby i stan ducha. Niepełnosprawny mnich został przyjęty do monasteru, gdy jeszcze potrafił samodzielnie poruszać się na elektrycznym wózku, lewą rękę

niał bowiem na tyle sprawną, by obsłużyć sterownik. Poza tym mówił. Mówił dużo i z sensem, gdyż szeroki umysł, uwięziony w kalekim ciele, miał czas na przemyślenia, zgłębianie myśli filozofów, poznawanie najnowszych odkryć nauki. Ale pewnego dnia przyszło nieszczęście - udar mózgu. Co jeszcze było jako tako sprawne, przestało funkcjonować. Trzeba się było zająć Michejem, być z nim przez całą dobę. Nic dziwnego, że tego zadania podjął się Iłarion, który z racji swoich zainteresowań i tak najczęściej przebywał z kalekim mnichem, prowadził z nim długie dysputy. Teraz obaj byli skazani na dosyć jednostronny kontakt, ale Iłarion cenił sobie obecność przyjaciela, niemego świadka swoich odkryć.

-

Tak - powiedział przeciągle. - Różne mamy opowieści. Pamiętasz na pewno apokryf, w którym znajdowała się ta okropna historyjka. Jak to szło? Chrystus stanął na jakiejś górze, bodaj nad Jerozolimą. Ze swego boku wyciągnął niewiastę, która okazała się Jego matką, i jął z nią współżyć na owej górze. Aż ciarki przechodzą, kiedy się tego słucha, prawda? Z miejsca człowiek zadaje sobie pytanie, dlaczego ktoś wymyślił tę obrzydliwą, z gruntu złą opowieść? Pamiętasz, do jakich wniosków doszliśmy? To wynaturzony wyraz tęsknoty niedoskonałego umysłu, aby przedstawić Boga jako jedność, jako istotę zawierającą pierwiastek męski i żeński. To coś jak mitraistyczne przedstawienie bożka Aiona jako lwa owiniętego przez węża. Lew to symbol solarny, charakterystyczny dla mężczyzn, wąż zaś wodny, lunarny, oznaczający kobiety. Dążenie do jedności, zespalanie w całość przeciwnych pierwiastków... Co ciekawe, ten obsceniczny apokryf nie został zniszczony, zatarty w pamięci ludzkiej. Może dlatego, że jest tak bardzo niemożliwy i nieprawdziwy. Zwyczajnie nieprawdo-

podobny. Uczeni w Piśmie zaś boją się raczej tego, w co lud mógłby uwierzyć.

Spojrzał na rozłożone na stole papiery - pożółkły pergamin i wypełnione pięknym, kaligraficznym charakterem pisma kartki brulionu, luźne notatki, zapiski na małych świstkach.

-

Lata pracy, dociekań, nieprzespane noce, niespokojne myśli, a wszystko tylko po to, aby cały ten trud został zamknięty w skrzyni i ukryty przed światem, być może na wieki. Czy ktoś kiedyś odważy się ujawnić treść tego, co nazwalibyśmy ewangelią Józefa z Arymatei? Czy też hierarchowie rzymscy i ojcowie naszej świętej Cerkwi zechcą na zawsze pozbawić wiernych możliwości poznania tej pięknej opowieści?

275

Zaczął zbierać kartki, zamknął brulion, uporządkował karty pergaminu, odłożył je starannie na bok. Westchnął ciężko.

-

Wiele bym dał i modłę się codziennie do Boga, by, nim opuszczę ten świat, pozwolił mi poznać oryginał tego dokumentu. Rzecz jasna, jeśli w ogóle istnieje. Chciałbym zagłębić się w prawdziwe znaczenie aramejskich słów.

Niewykluczone, iż mogłoby to wiele wyjaśnić. Grecki skryba bowiem tłumaczył wiele terminów wprost, w dodatku w taki sposób, w jaki żądano tego w jego czasach. Może dlatego postać Annasza jest tak niewyraźna? Może słowo „przeciwnik” użyte w odniesieniu do jego stosunków z Szymonem Gorliwym oznacza trochę coś innego? Może wskazuje, że ci dwaj, formalnie walcząc o wysoki urząd, w istocie rzeczy ukrywali w ten sposób swoje prawdziwe zamiary? Boże

mój - wzniosł oczy do nieba - wysłuchaj modlitwy swojego sługi...

Michej się poruszył. Kiedy Hłarion na niego spojrzał, zobaczył szeroko otwarte oczy, w których błyszczało coś na kształt uśmiechu. Życzliwego uśmiechu pomieszanego z lekką drwiną.

-

Tak, masz rację, przyjacielu. Prawdy, całej prawdy, i tak dowiemy się dopiero po śmierci. Mam przynajmniej taką nadzieję...

* * *

Nigdy przedtem zaciszna cela nie wydawała się tak ciasna, ciemna i zimna. A przecież powietrze było ciepłe, by nie powiedzieć duszne, światło zachodzącego słońca pieściło mury klasztoru, sącząc łagodny, czerwonawy poblask przez grube szyby niewielkiego okienka.

-

Wielki świat - powiedział Hłarion. - Jego blichtr i lśnienie stają się zgubą dla człowieka szukającego spokoju, zapomnienia i pogrążenia w rozmyślaniach.

Obcy przyszli i odeszli. Przynieśli ze sobą zapach ulic wielkich miast, delikatną, ledwie uchwytną woń przygody oraz perfum zmieszanych z oparami benzyny. Przynieśli strach i niepokój, ale nie były one - wbrew temu, czego można by oczekiwać - przykrym doznaniem. Mnich z zaskoczeniem stwierdził, że poczucie niebezpieczeństwa, pewnego zagrożenia stało się źródłem jakiejś dziwnej przyjemności, rozbudziły tęsknotę za światem, który gdzieś tam, za ogrodzeniem monasteru, gnał na złamanie karku aż do... Właśnie, dokąd?

-

Ech, przyjacielu - odwrócił głowę w stronę nieruchomej postaci na wózku

- może trzeba było za młodu wybrać życie wagabundy, wiecznego tułacza, poszukiwacza prawdy nie poprzez stare pergaminy, ale w sposób żywy, o wiele prawdziwszy. Może lepiej sięgnąć istoty Boga własną dłonią, niż próbować dotknąć go umysłem? Jak myślisz?

Milczał przez chwilę, zasłuchany w głos serca, zatopiony w takiej burzy uczuć, jaka nie stała się jego udziałem od kilkadziesiąt lat, a może nawet od zawsze...

-

Tak, wiem, co byś powiedział, gdybyś mógł. To wszystko przejdzie, krew przestanie się burzyć, a ja znów pograżę się w pracy. Jednak zważ, iż mój trud stracił sens. Nie rozumiesz? Ci obcokrajowcy zabrali tajemnicę ze sobą. Dokąd tkwiła tylko w mojej głowie, dokąd wiedziałeś o niej jedynie ty i igumen, byłem kimś wyjątkowym. Tak, wiem! - podniósł głos, jakby oczekiwał, że towarzysz zechce mu przerwać. - Wiem, że przemawia przeze mnie pycha, że słowa moje świadczą o zupełnym braku pokory i bojaźni Bożej! Ale każdy chce być kimś więcej, niż jest, pragnie zostać namaszczonej, choć raz poczuć się wyjątkowo! Zamilkł, oddychał głęboko, starając się uspokoić bijące szybko i mocno serce.

-

Widzisz? Wystarczy muśnięcie skrzydłem innej rzeczywistości, aby zmącić rozsądek, wzburzyć myśli. Przepraszam, przyjacielu. Podniosłem głos, choć nigdy przedtem tego nie robiłem. To dlatego tkwimy odcięci od świata, skazani jedynie na własne towarzystwo. Tylko to jest w stanie zapewnić nam należyte warunki do medytacji i modlitw...

Tak, trzeźwy umysł podpowiadał jedno, ale serce mówiło zupełnie co innego. Będzie musiał znaleźć sobie teraz nową pracę, nowe zajęcie, aby wrócić do równowagi. Lecz cóż może zastąpić obcowanie z wielką tajemnicą? Co może odwrócić bieg myśli raz puszczonej z rwącym nurtem rzeki zdarzeń? Może zamiast ślęczeć nad papierami, poświęci się pracy w sadzie, pielęgnacji kwiatów?

Kiedyś przeczytał myśl filozofii zen, która utkwiała mu w pamięci na zawsze:

„Chcesz być szczęśliwy dzień - upij się. Chcesz być szczęśliwy rok - weź sobie żonę. Chcesz być szczęśliwy całe życie - hoduj kwiaty”. Może chiński mędrzec miał rację, udzielając takich rad? Kwiaty nie zdradzą, nie wsączą w duszę niepokoję, a przy tym są piękne. Są piękne, nie oczekując przy tym podziwu, nie żądając w zamian niczego oprócz odrobiny troski... W dodatku wyszłoby to na

211

zdrowie i jemu, i nieszczęsnemu kalece.

Drzwi celi uchyliły się cichutko. Dawniej zapewne nawet nie zwróciłyby na to większej uwagi, a w każdym razie czekałyby cierpliwie, aż pojawi się gość. Nie żaden tajemniczy przybysz, ale któryś z braci lub przełożonych. Jednak po ostatnich wydarzeniach odwrócił się gwałtownie. Serce zabiło mocniej, wstąpiła w nie nadzieja.

Zaraz wszystko zgasło. To był ojciec Kirył. Wśliznął się cichutko do izdebki, stanął przy drzwiach, zapatrzony w czerwony promyk słońca oświetlający krzyż na stole. To dla Hłariona także było coś nowego, zaskakującego. Jeszcze niedawno sam by zwrócił uwagę na urodę zjawiska, ale pogrążony w myślach jakoś je przeoczył.

Wstał, złożył ręce.

-
Witaj, ojcie igumenie - powiedział.

Zapadła cisza. Mnich czekał na słowa przełożonego, nietaktem byłoby dopytować, co go sprowadza. Zresztą jedyne, czego mógł się spodziewać, to albo prośba o wykonanie jakiejś pracy, albo wieści związane z życiem zakonnym.

A ojciec Kirył stał, z rękami ukrytymi w szerokich rękawach habitu. Wreszcie drgnął, spojrzał przytomniej.

-
Niespokojny jesteś - stwierdził łagodnie.

Mnich skłonił głowę, unikając przenikliwego spojrzenia igumena. Może on sam posiadał wielką wiedzę, potrafił odczytać manuskrypty w starożytnych językach, ale to przełożony znał się na ludziach. Dlatego postawiono go na czele zgromadzenia. Lecz trzeba było coś odpowiedzieć, wymagał tego szacunek i reguły posłuszeństwa.

-
To tylko lekkie drżenie duszy. Przejdzie, gdy minie trochę czasu, kiedy w pamięci zatra się kontury wydarzeń i rysy twarzy.

-
To nie tylko drżenie duszy - odparł surowo Kirył. - Przypuszczam, że w pewnej mierze odczuwam to samo, co ty, bracie. Gdzieś tam na granicach świadomości czai się przekonanie, że oto powinniśmy zrobić coś więcej, niż robimy. Że to, co dzieje się za murami monastynu, jest równie ważne, o ile nie ważniejsze od naszych rozmyślań i modłów. Mylę się?

Iłarion przełknął ślinę. Igumen wypowiedział głośno to, o czym on nie od-

ważył się nawet pomyśleć. Tak, to prawda! Wmawiał sobie, że to dotyk świata

278

zakłóca mu sen, że to ludzkie pragnienie przygody jest źródłem niepokoju. Ale prawda była o wiele prostsza, a zarazem bardzo głęboka.

-

Zapewne masz rację, ojcze - powiedział cicho. - Cóż jednak możemy zrobić? Tajemnica przestała być naszą własnością, już nic nie zależy tylko od nas, naszej woli i rozsądku.

Igumen uśmiechnął się niespodziewanie. Pokryta zmarszczkami twarz się wygładziła, przybrała taki wyraz, jakie miewają na obrazach oblicza świętych.

-

Tajemnica to nie tylko skrawek papieru. Tajemnicą prawdziwą są zamiary Najwyższego. Ten może powiedzieć, że otarł się o nią, kto choć na mgnienie oka mógł dostrzec boski plan.

-

To znaczy nikt, kto chodził po tym świecie.

-

Tak, nikt, kto chodzi i chodził po tym świecie. Jedyne Chrystus miał o nim pojęcie. Ale Zbawiciel był wszak Synem Bożym. Chyba nie zacząłeś w to wątpić, obcując ze starożytnymi pergaminami?

Iłarion pokręcił przecząco głową. Ojciec Kirył zbliżył się do stolika, usiadł na krześle, gestem wskazał mnichowi, aby także spoczął.

-

Doskonale.

Dobry nastrój igumena był dla uczonego mnicha zaskoczeniem. Po ostatnich wydarzeniach powinien być raczej przestraszony, zdetonowany, ale na pewno nie pozytywnie nastawiony do rzeczywistości. W końcu przeżył swoje.

-
Wiele myślałem o tym, co nas ostatnio spotkało. - Kirył spoważniał, stał się dawnym surowym, ale sprawiedliwym przełożonym. - To, co dzieje się na świecie, mogło nie obchodzić naszych świętych braci jeszcze przed pół wiekiem, kiedy wszystko wyglądało nieco inaczej. Któż bowiem, oprócz okolicznych chłopów i władzy ludowej, pamiętał o zakonach kontemplacyjnych? Świat nie dobijał się do nas, żeby zaś uzyskać o nim jakąś wiedzę, sami musieliśmy wychodzić za mury lub godzić się na wpuszczenie do środka powiewu stamtąd. Dziś jednak, jak sam mogłeś się przekonać, nasza izolacja powoli staje się utopią. Zbyt wiele można bowiem uzyskać informacji, zbyt szybki jest postęp, aby można przejść obok tego obojętnie. Ale też musimy być bardzo uważni, zachować najdalej posuniętą ostrożność. Tak łatwo popełnić błąd, uczynić coś, czego już niepodobna cofnąć.

279

Zamilkł, zapatrzył się na krucyfiks, z którego spełzały powoli słoneczne promienie. Przeniosły się na ścianę, omijając maleńką ikonę, która wyglądała teraz niczym czarny otwór w murze.

„Jak okno do innego wymiaru - pomyślał Hłarion. - Tylko do jakiego?”

Milczenie się przeciągało. Mnich miał nieodpartą ochotę usłyszeć, co ma do powiedzenia igumen. Wiedział już, że będzie to coś ważnego. Może decyzja o przeniesieniu do jakiejś zupełnej głuszy, gdzie nikt go już na pewno nie znajdzie.

Chociaż to „na pewno” też jest patykiem na wodzie pisane...

-

Tak. - Ojciec Kirył się ożywił. - Jakkolwiek by na to spojrzeć, coś powinniśmy uczynić. Zaniechanie jest tak samo ciężkim grzechem jak działanie nieprzemyślane. Nie tylko pistolet potrafi zgładzić, bezczynność także.

Wyjął dłonie z rękawów. W lewej trzymał niewielką tubę z doskonale znanymi Hłarionowi ornamentami. Mnich wstrzymał oddech.

-

To brakująca część ewangelii Józefa z Arymatei - oznajmił igumen. - Ta część w zbiorach została oznaczona jako najściślej strzeżona tajemnica, której nie wolno było pokazywać nigdy i nikomu.

Hłarion patrzył na przełożonego szeroko otwartymi oczami.

-

Nigdy i nikomu - powtórzył. - To oznacza, że powinna zostać zapomniana na wieki.

-

Zgadza się. Ale chcę, żebyś do niej zajrzał, abyś uzupełnił, co wymaga uzupełnienia.

Mnich odetchnął głęboko.

-

Już pokazując mi ten przedmiot, złamałeś zakaz, ojcze - rzekł zduszonym głosem. - Naruszyłeś śluby posłuszeństwa, najświętsze nakazy...

-

Spodziewałem się po tobie większego entuzjazmu, bracie - przerwał mu

Kirył z rozdrażnieniem. - Zakazy i nakazy tego rodzaju wymyślił człowiek, nie Bóg. I zawsze musi nadejść wreszcie ta chwila, w której człowiek również zdecydjuje, iż powinny zostać złamane. Czy uważasz, że podjąłem tak ważką decyzję, nie prosząc o radę i zgodę tych, którzy stoją na czele świętej Cerkwi?

Iłarion spojrzał przełożonemu prosto w oczy.

- Tak, ojciec - mruknął po chwili. - Tak uważam. Nie uzyskałeś zgody, a to, co robisz, wynikło z twej własnej rozmowy z sumieniem.

280

Igumen uśmiechnął się lekko, zmrużył oczy.

-

Tak czy inaczej, powinieneś być rad, bracie. Bardzo przecież pragnąłeś poznać zaginione fragmenty ewangelii.

-

Lecz nie wiem, czy nadal tego chcę - odparł szczerze mnich.

Ojciec Kirył wstał.

-

W takim razie rozmów się z samym sobą. Pozostawiam tutaj zapieczętowane pisma i zostawiam decyzję tobie, powierzam rzecz twemu rozsądkowi i rozeznaniu.

27. 22 KWIETNIA, 18.30

Przybyli po nich dwaj młodzi adepci, z którymi Krystian poszedł do samochodu, by zabrać walizki; jeden z milczących młodzieńców poprosił o kluczyki - gdy Krystian wchodził z walizką na dziedziniec, usłyszał pomruk silnika i odwróciwszy się, zobaczył, że seat odjeżdża. Drugi młodzieniec cicho wyjaśnił, że

samochód będzie wprowadzony na teren pustelni, ale nieosiągalny dla Krystiana.

Pokonawszy znaną już sobie trasę w kanionie między murem i krzewami, doszli do niepozornych drzwi w niskim długim budynku. Na końcu korytarza, z którego odchodziły drzwi do co najmniej sześciu pokoi, znajdowały się szersze i pomalowane na biało, chyba dla odróżnienia od innych, szarych.

Krystian obawiał się zaproponowanego przez przełożonego klasztoru lokum, wyobrażał sobie ponure zimne mury, wąskie okna, skromne umeblowanie - kulawy stolik, dwa drewniane krzesła, wąskie prycze. Brak łazienki, może nawet WC - miska i dwa dzbanki z wodą, lustro, w którym szare okrągłe plamy wyzarły pająki.

Zaskoczenie było spore. Jeden ogromny pokój, trzydziestokilkumetrowy, drugi mniejszy, w nieśmiałym zamierzeniu kuchnia, raczej jednak pokój, bo funkcję sprzętu kuchennego pełniły: mała dwupalnikowa kuchenka, zasilana gazem z butli, dwie szafki i zlewozmywak. Do tego była wyraźnie szpitalnego charakteru prycza i cztery nowe drewniane taborety przy starszym stoliku na żelaznych nogach.

W niemal tak dużej jak „kuchnia” łazience królowała wielka, chyba ponad dwumetrowa wanna. Na jednym taborecie wznosiła się sterta ręczników, na

281

drugim wyłożono nowiutkie mydła, szampon, owinięte w folie szczotki i myjki z kęp roślinnych włókien. Na wręcz monumentalnej umywalce stały w żołnierskim ordynku dwa opakowania dezodorantu tej samej marki, ale męski i dla kobiet, oraz dwa opięte celofanem mydła. W dużym pokoju dwa dość szerokie łóżka przedzielone wspólną szafką nocną. Na szafce lampka, brakowało oczywistego w tym miejscu Pisma Świętego. Nad głowami łóżek dyskretnie czerwieniły się

malutkie lampioniki pod obrazami przedstawiającymi Chrystusa i Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku.

-

Które wolisz? - zapytała Sandra, stając przed łózkami.

Zaskoczony Krystian właśnie otwierał usta, żeby zadać to samo pytanie.

-

Z brzegu! - wypalił.

-

To dobrze, bo ja nie znoszę z brzegu. - Sandra spokojnie przeturlała swoje dwie walizki na lewą stronę lewego łóżka. Nie odzywając się ani nie odwracając, wyjęła z jednej sporą kosmetyczkę i małą miękką torbę. - Zajmuję łazienkę, a ty zsuń je.

Wyszła, pozostawiając Krystiana w osłupieniu, zdziwieniu, oszołomieniu.

Chwilę patrzył na zamknięte drzwi, potem podszedł do swojej torby, wyjął swoje kosmetyczne utensylia, poszukał szybko czystego T-shirta i bokserek, które - uznał - mogą pełnić funkcję przyzwoitej pidżamy. Potem wysunął szafkę, zsunął łóżka, ustawił szafkę i chichocząc w duchu z własnej naiwności, związał zapasowymi sznurowadłami nogi łózek, żeby się nie rozsunęły.

„To jest jakiś numer - pomyślał. - Nie, taka kobieta? Ciągnie mnie do łóżka?

Za czto? Cha, cha!... Po prostu - boi się... Albo marznie”.

Po kwadransie zaczął ogryzać paznokcie, potem szum wody ustał, popłynął drugi kwadrans. Krystian z nudów przejrzał pościel, gładka wyprasowana bawełna, poduszki wypełnione pierzem. Drgnął, gdy szcęknęła kłamka, odskoczył od łóżka, jak przyłapany na przeglądaniu ojcowych pisemek sztabak.

Sandra weszła nie w przeźroczyściej peniarze, nie naga. Szczelny mnisi szlafroczek z cienkiej, ale zwartej, niezdradzającej niczego z kształtów, bawełny od kolan w górę krył ją przed spojrzeniem Krystiana.

-

Nie próbuj wylegiwać się w wannie z książką - powiedziała spokojnie, jakby nie zauważając - ale na pewno zauważając - jego skonfundowanego i

282

niepewnego spojrzenia. - Napelnianie jej potrwa tydzień.

Usiadła na łóżku i rzuciła mu spokojne spojrzenie.

-

No? - zapytała tonem oschłej emerytowanej nauczycielki historii.

Runął do łazienki, migiem wyskoczył z ubrania i stanął w śliskiej ogromnej wannie.

„Jak Jonasz w brzuchu wieloryba - pomyślał. - Ale co potem? Czy to naprawdę się dzieje?”

Uszczypnął się w biceps. Zabolało. Czyli wszystko było rzeczywiste.

Mydlił się i spłukiwał trzy razy, zastanawiając się i rozważając, przewidując i wspominając. Potem uświadomił sobie, że prowizoryczną pidżamę zostawił w pokoju. W przestrzeń starej pustelni poleciało kilka nieprzyzwoitych, ale niewymówionych myśli. W końcu, machnąwszy ręką, owinął się prześcieradłem kąpielowym i w takiej „todze” wrócił do pokoju.

-

Zawsze mnie śmieszyła - powiedział od progu, usiłując z marszu stłumić niepokój i zamaskować zmieszanie - czeska gorliwość w dubbingowaniu filmów.

Wiesz, wchodzi Rzymianin, staje i mówi: „*Ave Cezarea. Jako se počivas?* ” czy

coś w tym stylu...

-

A mnie zawsze śmieszyli gadatliwi kochankowie - rzuciła spokojnie

Sandra.

-

Ja nie jestem gadatliwy... - zawiesił głos i ruszył w obejście łóżek.

-

A kochankiem dopiero będziesz - dokończyła Sandra. - Wiem. Ale będziesz. Choćbyś tego nie chciał.

-

Och, będę się starannie bronił... - powiedział, stając przed łóżkiem.

-

Akurat. - Ułożyła się na boku, poklepała łożę przed sobą. - Długo tak będziemy gaworzyli? To marnowanie czasu.

-

Tak... - bąknął.

Nie za bardzo wiedział, co zrobić z prześcieradłem kąpielowym, jak wśliznąć się pod kołdrę, nie obnażając się, nie wymachując tym wielkim ręcznikiem, kapą... W końcu udało mu się niemal bez zbędnej krzątaniny wsunąć pod kołdrę, odrzucając jednocześnie ręcznik. Przysunął się do Sandry, przeniknął pod jej kołdrę. Wolno wysunął rękę i dotknął jej ciała pod kołdrą. Jej twarz znajdowała się o kilkanaście centymetrów od jego, usta, oddech pachniał miętą i czarną porzeczką gumy do żucia...

-

Co to jest? - szepnął, wyczuwając pod palcami tkaninę tam, gdzie już się jej nie spodziewał.

-

A co myślałeś? - szepnęła. - Myślałeś, że bez pracy skosztujesz kołaczy? I tak ci odpuściłam zdobywanie, podpuszczanie, namawianie.

Krystian delikatnie odrzucił kołdrę. Sandra leżała w szyfonowym kwiecistym peniuarze z dużym dekoltem, tasiemka związana we wzorcową kokardkę. Wolno przejechał spojrzeniem w dół. Wypukły pępek jakoś łobuzersko i lekkomyślnie lypał spod rozcięcia peniuaru. Czarne figi z gęstej koronki miały kształt, którego nie potrafiłby określić: ni to skąpe szorty, ni to obfite stringi: zakrywały wszystko i jednocześnie sugerowały i kusiły, i namawiały, i... zapierały dech. Do tego pończochy („Kiedy zdążyła... Musiała je włożyć, jak się kąpałem, przecież nie przysła w nich z łazienki!”) w kolorze, który określiłby jako o ton ciemniejszy od hiszpańskiej czerwieni. Agresywne i podniecające, ale nie jarmarczne.

„Boże! Taka piękna ko...”

Przysunęła się i pocałowała go.

Przestał myśleć, słyszał tylko bicie serca i pulsowanie krwi w skroniach.

Sandra zamknęła oczy, ale potem otworzyła je. Dopiero teraz odnotował, że ma je ciemnozielone... Nie, ciemnozielone ma teraz, wcześniej miała je znacznie jaśniejsze! Czy to możliwe, taka zmiana barwy pod wpływem emocji?

Chrystus z ikony nad łóżkiem spokojnie patrzył nad splecionymi w miłosnym spazmie ciałami, spokojnie i z niemaskowaną aprobatą.

A co w tym dziwnego?

W końcu On namawiał do miłości, nie do zabijania...

28. 22 KWIETNIA, 17.15

Lirink, aktualnie Józef Lisiec, odwiedził kawiarnię w centrum Czaus dwukrotnie: rano, zaraz po rozmowie z mohylewskim „kolegą”, i drugi raz, na dwie godziny przed spotkaniem.

Zmieniła się obsada przy kasie i zniknęły kelnerki. Kasjerka niezbyt radziła sobie z wydawaniem reszty, zresztą - nie korzystała z funkcji wydawania reszty, oferowanej przez kasę. Kelnerzy byli zręczniejsi. Lirink-Lisiec podejrzewał, że

284

są po prostu wzięci z jakiegoś kagiebowskiego kasyna, w którym pracowali po niezłym i systematycznym przeszkoleniu. Spokojnie zamówił kawę i duży kawałek sernika, wyjął gazetę i zaczął ją czytać uważnie, ale nieprzesadnie - nudy, nudy i jeszcze raz nudy. Oczywiście - kolumna sportowa! Tu „bat'ka” Łukaszenka miał spore pole do popisu, usłudźni potakiewicze z grona dziennikarzy rozpływali się w opisach, jak to ojciec narodu dba o kadrę piłkarską, jak sugeruje - co znaczy „wskazuje” - konieczność zmian w pierwszym garniturze piłkarskim po niezbyt udanym występie z Irlandią. Wskazani przez niego piłkarze, skazani tak naprawdę już na grę w drugiej lidze albo - jeśli uda się wyżebrać placet - za granicą, gorliwie polewani byli pomyjami: rozliczeniem ze strzelonych i puszczonej bramki, lenistwa na zgrupowaniu, pijaństwa, nieudanego życia rodzinnego, podstawy przeciw formy piłkarza.

Kasjerka często, za często patrzyła w okno, co i rusz włączała komórkę, wysyłając krótkie SMS-y, a przecież - Lirink już to odnotował - Białorusini nie

bawili się komórkami tak często i chętnie jak Irlandczycy, Niemcy czy Polacy.

„Sak - pomyślał. - Sieć, łapka, zorganizowana do dupy, to moje szczęście”.

Spokojnie zaczął siorbać swoją kawę, przegryzając dużymi kęsami dobrego sernika. „Siedzę w saku. To wiadomo. To było oczywiste, pytanie tylko takie: to sieć profilaktyczna czy chcą mnie capnąć? A jeśli capnąć, to po co - zlikwidować czy wykorzystać? Do czego? A może chcą pomóc?... No nie - «pomoc» białoruskiego KGB? Strzeż Boże!”

Dopił kawę, zawołał kelnera, przeliczył resztę i wyszedł na ulicę. Na chodniku przystanął, rozejrzał się, ostentacyjnie poklepując zrolowaną gazetą po udzie, odnotował trzy samochody z dwoma znudzonymi mężczyznami w środku, co najmniej jeden był ba-a-a-ardzo podejrzany. Ruszył przez skwer, na którym był widoczny jak karp na plaży, co powinno odwrócić od niego potencjalną uwagę coraz mniej potencjalnych, a coraz bardziej rzeczywistych „bezpieczników” Białorusi. Na przeciwległym końcu skweru usiadł na ławce, zasłonił się gazetą i wystukał numer do „kolegi” z Mohylewa.

- Przenosimy spotkanie - powiedział, gdy tamten się odezwał. - Pod kinem „Zwiewda”, za pół godziny. Zostałem przymuszony. Koniec.

285

Z radością odnotował, że dwie minuty później wóz, który obstawiał, odjechał w kierunku kina, potem z kawiarni wyszli dwaj „kelnerzy” i ruszyli - oddzielnie, ale w jednym kierunku - z podobną prędkością. Odczekał minutę, żeby wszyscy obserwatorzy i uczestnicy pułapki zniknęli z placu Lenina, i jednym przyciskiem uruchomił wybieranie numeru „kolegi Mohylewskiego”.

-

Przyjedź pod kawiarnię, ale sam! - powiedział. - Już znam twoich gastronomicznych pomocników. Sam albo się nie spotkamy.

Rozłączył się i czekał, niedługo - dwie minuty. Pięćdziesiąt metrów od kawiarni zaparkował biały *bumier*, zadbany i pewnie podrasowany do granic wytrzymałości technicznej, technologicznej i inżynieryjnej. „Kolega” Mohylewski był szczupłym mężczyzną z gładko wygoloną głową, chyba wysokim, sądząc po tym, jak wysoko sięgała jego głowa. Spokojnie rozejrzał się dokoła. Lirink wyjął komórkę, udawał, że wybiera numer, potem, z telefonem przy uchu, lekko chwiejnym krokiem, poruszając ustami, jakby rozmawiał z kimś, ruszył po przecinającej skwer po przekątnej alejce w stronę bmw. Upewnił się, że został zauważony przez kierowcę, i jednym nieznacznym ruchem kciuka uruchomił wybieranie numeru, a potem od razu odczytanie nagranej wcześniej wiadomości. Nadal, słysząc swój nagrany tekst, poruszał ustami i zbliżał się do wozu kagiebisty. Ten odebrał telefon, potulnie słuchał:

-

Nic nie mów, słuchaj uważnie...

Potem następował nieważny i kompletnie zmyślony gorączkowy komunikat o zdradzie, pułapce, zasadzce przygotowanej przez Rosjan. Kierowca słuchał, Lirink, potknąwszy się, dotarł do wozu. Tak jak się spodziewał - blokady w drzwiach były opuszczone. Zabelkotał głośniejszym, zachwiał się i oparł o karoserię, zagarniając ręką automatycznie wysuwaną antenę. Trzasnęło, zgrzytnęło. Kierowca cisnął słuchawkę na siedzenie obok i szarpnął klamkę. Gdy drzwi się uchyliły, a kierowca odwrócił się, by wyskoczyć i zmalretować pijaczka, ten wystrzelił nogą w jego kierunku i bezbłędnie trafił go w żuchwę, przesuwając ją

nieco w bok. Ośrodki nerwowe posłusznie przeniosły bodziec do mózgu, znokautowany podbiciem stopy mężczyzna runął na kierownicę, pechowo uderzywszy tyłem głowy w klakson, ten krótko wrzasnął, ale nie zainteresował nikogo - większość białoruskich kierowców uważało sygnał dźwiękowy za coś naturalnego, używając go bez większych skrępowań.

286

Lirink błyskawicznie schował telefon, chwycił nieprzytomnego kierowcę za kolana i bezwzględnie przerzucił ponad kierownicą na fotel obok. Mężczyzna zgiął się wpół, miękko przetoczył na miejsce, zwałił na podłogę, nogami blokując dźwignię zmiany biegów. Lirink niespiesznie przeszedł na drugą stronę auta, spode łba obserwując otoczenie. Nadal nikogo nie interesowały jego działania. Przemknęło mu przez myśl, że pospolici przechodnie, zwyczajni ludzie, wiedzieli, że nie należy się wtrącać do spraw ludzi jeżdżących białymi *bumierami*. Otworzył drzwi po drugiej stronie, ujął mężczyznę pod pachy i szarpnąwszy do góry usadowił w fotelu. Szybko zapiął mu pasy, obszedł samochód, wsiadł i odjechał. Prowadził, dzieląc uwagę między przednią szybę i lusterko, w pierwszej cichej uliczce na peryferiach zrewidował jeńca, odebrał mu pistolet, berettę 92S, i ogromny telefon, który już po pobieżnym badaniu okazał się palmtopem o najwyższym poziomie wyposażenia elektronicznego. Kajdanki znalazły się na podłodze za fotelem pasażera.

- Przygotowane dla mnie? - zapytał przez zęby Lirink ciągle nieprzytomnego pasażera.

Nie otrzymał, oczywiście, odpowiedzi. Nie dbając specjalnie o wygodę jeńca, spiął mu ręce, przełożywszy kajdanki pod udami. Ruszył przed siebie i kilka

minut później opuścił Czausy. Skierował się ku granicy, kwadrans później zjechał w las, przejechał kilkaset metrów, do najbliższej przecinki, minął skrzyżowanie gruntowych, ale szerokich dróg i skręcił w lewo, zatrzymał się w krzakach za gęstym parasolem ogromnego starego dębu. Nie miał złudzeń - wóz prawie na pewno wysyłał sygnał lokalizujący go, ale miał nadzieję, że rozmowa nie potrwa długo, no i że dach z gałęzi i listowia wytłumi albo odetnie sygnał. Mogło też być tak, że sprawa nie zyskała priorytetu w umysłach i na listach działań KGB.

Lirink podniósł powiekę mężczyzny i niedbale stuknął opuszką w gałkę oczną. „Ściśnij kobietę za cycki, żadna nie wytrzyma i nie oszuka, że jest nieprzytomna” - przypomniał sobie słowa instruktora, ukrywającego się pod ksywką Gara. „A faceta za jaja?” - zapytał wtedy młody Lirink. „Jak lubisz - wzruszył ramionami Gara. - Ale wystarczy puknąć go w gałkę oczną, na pewno drgnie, jeśli udaje”. „Hej, a nie można kobiety też puknąć w gałkę?!” - zaprotestował Lirink. „Można, ale małe przyjemności nam się też należą, *n'est-ce pas?*” - rzucił kpiąco Gara.

287

Siedzący obok Lirinka mężczyzna nie zareagował na kontakt suchej gałki ocznej z opuszką palca. Czyli albo był nieprzytomny, albo białoruski Korpus Ochrony Porządku Społecznego odkrył sposób na oszukiwanie testujących. Lirink wysiadł i szybko spenetrował bagażnik, znalazł w nim między innymi dwie butelki wódki i pół butelki ciepłej wody mineralnej. Wodą chlusnął w twarz mężczyzny, odczekał, aż ten zamruga, szybko otworzył butelkę, wcisnął szyjkę w usta mężczyzny i wlał w niego pół szklanki wódki. Ten rozkaszał się, spryskał ciepłą wódką własną pierś i deskę rozdzielczą.

-
Pij grzecznie albo zatkam ci nos i wleję gorzałę z bólem! - ostrzegł go

Lirink.

Mężczyzna potrząsnął głową i wychrypiał:

-
Co ci jest? Przyszedłem ci z pomocą!

-
Dobra, dobra! Twoja pomoc to jak leczenie kataru za pomocą ukąszenia

kobry - prychnął Lirink. - Połowa rynku to twoi ludzie, a ty mi...

-
No to gdzie są? Daliby mnie porwać, gdyby naprawdę tam byli?

-
A kelnerzy? Kasjerka?

-
Zwyczajna obstawa, przecież ja ciebie też nie znam, nie?

-
Dobra, jak nie masz nic do ukrycia - pij, pogadamy, jak będziesz spo-

kojny.

Mężczyzna splunął niedbale przed siebie, na deskę z napisem „air bag”.

-
Dawaj! - rzucił niespodziewanie.

Lirink włożył mu szyjkę w rozchylone usta.

„Albo nie ma nic do ukrycia - myślał, obserwując bąble powietrza wlatujące

do butelki przez strumień wylewającej się wódki - albo cholernie mocny łeb, albo

to nie wódka. Nie, wódka - odrzucił trzecią możliwość, wciągnąwszy powietrze. -
Może się czymś naszprycował, żeby nie dać się upić? Może miał taki sam zamiar
w stosunku do mnie - wlać we mnie gorzałę, tylko pokojowo, i *pogoworit' po
duszami*".

Kiedy odjął butelkę od ust, mężczyzna odetchnął głęboko, potrząsnął głową.

-
Ciepła - powiedział. - Znasz to? *Stakan wódki w takuju żaru?!! S uda-
wolstwijem!*

-
Jak mam się do ciebie zwracać? - zapytał Lirink.

-
Nikołaj.

288

-
Dobra, Nikołaj, gdzie jest nadajnik?

-
Pod skrytką jest przełącznik. Ale za cholere nie wiem, w jakiej jest po-
zycji. - Zmarszczył brwi. - Chyba jak się pstryknie w lewo, to się uruchamia, ale -
przysięgam - nie jestem pewien. Bo nie używam tego.

Lirink przyłożył lufę beretty do prawego kolana Nikołaja, pochylił się i wy-
macał dłonią przycisk, podważył go kciukiem, odkleił od tapicerki, szarpnął i
oderwał. W samochodzie śmierdziało rozgrzanym alkoholem. Niemal jakby ktoś
zwymiotował dopiero co wypitą wódką, co zresztą było bliskie prawdy. Lirink
obszedł wóz i usiadł za kierownicą, nie zamykając drzwi.

-
No to słucham.

-
Ja wiem tyle: poszukiwana przez ciebie para była w Czausach, odwiedziła klasztor, właściwie pustelnię, i wyjechała do Rosji. Tam ich pasą nasi kumple z VII wydziału KGB.

-
Siódemka? Co to jest twoim zdaniem?

Nikołaj zerknął na Lirinka z politowaniem. Czknął.

-
Ideolo - rzucił.

Lirink myślał chwilę.

-
Chcesz jeszcze? - zapytał, podnosząc trzymaną w ręku butelkę.

-
Tak, i *oguriec w żopu!* - rzucił szczerze podirytowany jeniec.

Lirink rozejrzał się dokoła.

-
Co najwyżej szyszkę mogę ci zaproponować - powiedział.

-
Job twaju mat'! Dawaj! - szybko zgodził się Nikołaj.

Wypił znowu ponad pół szklanki, chuchnął mocno, pokręcił głową.

-
Przez ciebie przestanę lubić jedyną rzecz, którą w moim kraju lubiałem -

powiedział.

-

Polubisz inną albo zmienisz kraj - rzucił odruchowo Lirink, myśląc o czymś innym.

Przyjrzał się uważnie Nikołajowi. Mężczyźnie opadały powieki albo Lirinkowi wydawało się, że opadają. Albo Nikołaj udawał, że opadają. W każdym razie - marszczył czoło i unosił z wysiłkiem powieki. Lirink brutalnie szturchnął Nikołaja lufą w zębra, tamten jęknął i popatrzył na oprawcę z wyrzutem.

-

Mówię ci prawdę, chłopie - rzucił lekko płaczącym się językiem. - Naprawdę tylko wódkę tu lubię. Nawet baby mi się nie podobają...

-

Zamknij się. Dlaczego szukaliście tej pary?

289

- Nie szukaliśmy, aż wyjechali. Inaczej - podkablował ich igumen. Ig!...

gumen! - czknął znowu. - Oczywiście, on musi nam zgłaszać takie wizyty. Łaski nie robi... Najpierw usiłował coś mot!... tać! - Nikołaj uśmiechnął się ni to z politowaniem, ni to z rezygnacją. - Ale przyciśnięty od razu powiedział: szukają jakichś rodzinnych tropów, chyba mają nadzieję, że dysponują mapą skarbu czy czegoś takiego. On ich pogonił, nie podając żadnej informacji.

Lirink myślał chwilę. Podrapał się niedwuznacznie lufą beretty za uchem.

Wyciągnął rękę i sięgnął po stojącą na podłodze między jego nogami butelkę, ujął za szyjkę i łyknął. Odsunął od ust i płynnym, błyskawicznym ruchem trzasnął nią w nos Nikołaja.

Czerwone bryzgi prysnęły na boczną i przednią szybę, głowa uderzonego poleciała do tyłu, uderzyła w zagłówek, opadła bezwładnie na pierś, ze zmiażdżonego nosa popłynęła gęsta, zmieszana ze śluzem krew. Lirink cisnął butelkę na podłogę pod nogi Nikołaja i wysiadł z wozu, trzaskając z całej siły drzwiami. Przespacerował się wzdłuż samochodu. Po trzeciej rundzie wyjął pistolet, sprawdził magazynek i przeładował. Przeszukał jeszcze raz nieprzytomnego Nikołaja, ale bezpiecznik nie raczył wziąć ze sobą zapasowego magazynka. Lirink chwycił mężczyznę za brodę oraz tył głowy i gwałtownym ruchem, znanym z dziesiątków hollywoodzkich filmów, skręcił mu kark. Zakrwawiony palec otarł o tapicerkę.

Nagle czujnie poderwał głowę, wsłuchał się w otaczający go delikatny szelest lasu, szybko przymknął drzwi i skoczył w gęstwinę. Po kilku krokach zniechęcił na chwilę, namierzył cichy, ale narastający odgłos pracy silnika i pomknął pochylony w jego kierunku. Minutę później, widząc, że w tym miejscu krzewy dochodzą do samego szlaku, skorzystał z konfiguracji zieleni i zbliżył się do przesieki i przecinającej ją drogi. Zbliżała się do niego dość stara granatowa łada z dwoma mężczyznami, w których rozpoznał „kelnerów” z zamienionej w zasadzkę kawiarni. Pasażer wychylił głowę i wpatrywał się z natężeniem w drogę. Nie był to szczęśliwy dla niego pomysł. Pocisk z beretty spowodował, że głowa szarpnęła mu się do tyłu, uderzył nią o ramę okna, szarpnął do przodu, znowu do tyłu i wpadł do kabiny, osuwając się na zaskoczonego kierowcę. Lirink miał już plan co do łady, nie zamierzał więc strzelać przez szybę, niestety wtedy,

gdy łada zrównała się z nim i mógł oddać strzał przez otwarte okno, trup pasażera

dokładnie zakrył kierowcę. Może zresztą to on skorzystał z ciała kolegi jak z tarczy. Lirink błyskawicznie oszacował wszystkie możliwości, dwa pociski w przednie prawe koło rozerwało starutką oponę, długi czarny wijący się flak stoczył się z felgi i rozłożył na gruncie.

Silnik wozu ryknął, kierowca, przywalony trupem, nie widząc widocznie szans na podjęcie skutecznej walki, usiłował odjechać, ale wóz na trzech kołach rył w piasku i wzbijając w powietrze masę piachu i pyłu, posuwał się z prędkością biegacza. Lirink bez trudu dogonił ładę, szarpnął drzwi od strony kierowcy i uskoczył do tyłu, widząc, że w jego kierunku, niemal już celnie patrzy lufa trzymanego w konwulsyjnie szarpiącej się dłoni pistoletu. Huknęło trzy razy.

Lirink przerzucił pistolet do lewej dłoni, żeby mieć lepszy kąt, i wystrzelił też raz, ciągle biegnąc na wysokości bagażnika samochodu. Nagle łada podskoczyła na wyboju, piasta, która ryła w piasku, skręcała kierownicę, tłumiała prędkość i zmuszała kierowcę do trzymania z całej siły kierownicy, uwolniła się na chwilę z koleiny, wóz gwałtownie skoczył do przodu, zostawiając Lirinka od razu dobre dziesięć metrów z tyłu. Kierowca, korzystając z chwili ulgi, odrzucił ciało kolegi - błąd: wóz przechylił się na prawą stronę i znowu zwolnił. Ale kierowca nie dbał już o ładę, trącił barkiem drzwi i popisowo wyrzucił ciało ze znajdującego się w ruchu samochodu. Lirink runął na ziemię, przewidując, co się wydarzy.

I tak było.

Kierowca już w locie przekręcił się i wyszukał cel, z jego pistoletu wytrysnęły trzy pociski, ale przeleciały tuż nad Lirinkiem. Ten poderwał się, rzucił w prawo, w kierunku lasu, przeturlał się po piasku, potem mchu i na końcu trawie, wreszcie rzucił się szczupakiem w krzewy. Kopnął w pień parzydła leśnego, ściągając tam

uwagę przeciwnika. Sam zaczął przedzierać się w przeciwnym kierunku, ale bardzo szybko go zmienił, po kilku krokach padł na ziemię i znieruchomiał.

„To musiał być makarow, osiem pocisków, cztery wystrzelo...”

Huknęło.

„Ha! Piąty strzał - pomyślał. - Dobrze. On ma trzy pociski i magazynek, zakładamy, że ma. Ja mam cztery i nie mam zasilania. Dobrze...”

291

Przesunął się o kilka metrów i nasłuchiwał chwilę. Nic nie płoszyło nagle zapadłej ciszy. Silnik łady zgasł, zapewne stłumiony po wjechaniu w krzaki, przeciwnik nie poruszał się albo czynił to bezszelestnie. Lirink posłał w poszycie wilczy uśmiech i wolno, na palcach przesunął się w bok, znieruchomiał, posłuchał, ruszył dalej. Po kilkunastu metrach skręcił gwałtownie - musiał szybko pozbyć się ostatniego przeciwnika, bo przecież ten pewnie już dzwonił do kolegów z żądaniem wsparcia. Łada moment nad głową rozlegnie się wizg turbiny śmigłowca lub śmigłowców; przebył biegiem, bezgłośnie dzięki mchom, owalną polankę, po kilku metrach zobaczył znowu drogę. Teraz padł na poszycie i niemal jak wąż przesuwał się wolno w stronę stojącej nieruchomo łady. Gdy uznał, że robi się niebezpiecznie, znieruchomiał i wszystkie zmysły skoncentrował na słuchu. Uczyli go tego przez kilka lat: udaj ślepcę, przestań analizować doznania węchowe, smakowe, oderwij się od ziemi - tylko słuchaj, słuchaj, słuchaj... Był niemal pewien, że wróg nie rozmawia w tej chwili z kolegami, mógł co najwyżej wysyłać SMS-y. Dobrze wytrenowany, a może nawet tylko średnio wyćwiczony bezpiecznik może, nie patrząc, wysłać szybki komunikat z małą ilością błędów i jednocześnie nie spuszczać z oka najbliższego otoczenia. Lirink

rozważał jeszcze raz, co bardziej mu się opłaca - dotrzeć do samochodu, przejąć broń zabitego i wyposażony w większą siłę ognia, wszczać poszukiwania wroga czy czekać na jego ruchy. Przeciwnik pomógł mu podjąć decyzję - poruszył gałęziami krzewu przy drodze. To działanie nie było ani wyrafinowane, ani skuteczne - Lirink wiedział, że żaden krzew wokół niego nie może drzeć z naturalnych przyczyn. Poruszył go za pomocą paska lub gałęzi jego nieprzyjaciela, który zapewne znalazł jakiś dół chroniący go przed ostrzałem i czekał na ruch Lirinka. Ten leżał nieruchomo i również czekał. Nie mógł jednak, w przeciwieństwie do Białorusina, czekać w nieskończoność - czas pracował nie dla niego. Wolno obmacał poszycie przed sobą, znalazł kawałek miękkiej spróchniałej gałęzi, odczekał chwilę i cisnął ją w lewo od siebie. Szelest był nikły, ale musiał dotrzeć do przyczajonego wroga, nieważne, co sobie pomyślał, chwilę zajęty był tym odgłosem. Lirink poderwał się i skoczył do łady, obiegł ją i przykucnął przy uchylonych drzwiach. Trup ni to siedział, ni to leżał, oparty bokiem głowy o szybę, z dużej rany na tyle głowy przestała już sączyć się krew.

292

„Wziął pocisk na twarz, powiedziałby Atanas - uśmiechnął się w duchu Lirink. - Ale nie umiał, jak mnisi z Shaolin, chwycić kul zębami!”

Nagle zobaczył na podłodze pulsującą zieloną diodą komórkę.

„No nie! Taki fart?! Facet nie ma komórki?! - pomyślał, czując, jak bije mu serce. - Czyżbym odzyskiwał poparcie Wszechmocnego?”

Bezgłośnie, kompletnie bezgłośnie zachichotał.

29. 22 KWIETNIA, 17.32

Siedział w samochodzie, rozparł się wygodnie w fotelu. Pozostawało teraz

tylko czekać. Ulicą szedł mężczyzna po trzydziestce, trzymając za rękę kilkuletnią dziewczynkę. Nagle dziecko potknęło się o jakiś wystający kamień, a może po prostu straciło równowagę i upadło. Zamyślony mężczyzna szedł jeszcze przez chwilę, zanim poczuł opór i usłyszał krzyk. Zaraz ukucnął przy córeczce, przytulił ją do piersi, a potem oboje zaczęli uważnie oglądać starte kolanko.

Azrak poczuł szarpnięcie w głębi piersi. Ojciec. To właśnie prawdziwy ojciec, taki, co nie zlekceważy małej tragedii dziecka, którego dotyk potrafi ukoić ból, który nigdy nie skarci bez powodu, nie zdenerwuje się, bo dzieciak przysporzył problemów.

Jego ojciec też taki był... Był, zanim został zamieniony w krwawą miazgę.

Azrak ze wszystkich sił starał się zapamiętać go jako wąsatego, uśmiechniętego „parienia”, chłopaka z przedmieść - trochę cwaniaka, trochę bandytę, ale o złym sercu, który mógł okraść, mógł nawet pobić, jeśli klient zanadto się stawiał, ale prawdziwej krzywdy nie robił. A jeśli było trzeba, jeśli ktoś poprosił o pomoc, nigdy nie odmawiał, nawet obcym. Milicjantowi by podał rękę w potrzebie. Tak w każdym razie mówiła matka. Kochała go. Nic dziwnego, bo kochały się w nim wszystkie kobiety. Jednak Fiodor Pawłowicz Umajew oddał serce tej jednej jedynej, na inne nawet nie patrzył. Odwdzięczała mu się, jak potrafiła najlepiej - ślepą miłością i takimż przywiązaniem.

Ojciec nieraz wychodził z domu na całe noce, a oni drżeli w oczekiwaniu, czy powróci, czy nie dosięgnie go jakaś zła kula, czy chciwy towarzysz napadu nie wbije noża w plecy. Mały Stiopa nieraz był świadkiem rewizji, po których trzeba

było sprzątać wiele godzin, często nawet dwa albo i trzy dni. Ojciec się śmiał, że

chłopak od urodzenia jest oswojony z tą robotą, bo kiedyś ukryto w jego pieluszkach złoto pochodzące z akcji u jubilera. Młodziutkiemu porucznikowi, którego przysłano wtedy z ekipą, nie przyszło do głowy sprawdzać noworodka. Łóżeczko tak, ale rozbierać dziecka nie kazał. Potem dopiero, jakieś pół godziny od zakończenia akcji, wpadł i kazał matce rozwinąć malca. Widać któryś z przełożonych natarł mu uszu za zbytnią delikatność. Ale złoto było wtedy już zupełnie w innym miejscu, a ojciec udawał ogromne oburzenie.

Takim właśnie pragnął go zapamiętać dorosły Azrak. Z czasów gdy oglądał świat z wysokości ojcowych ramion. Pamiętał to uczucie łaskoczącego lęku, kiedy silny mężczyzna podrzucał go wysoko pod sufit, żeby zaraz potem miękko złapać. Dziecko ma nieograniczone zaufanie do rodzica, ale łaskotanie mimo wszystko było. Podobne uczucie towarzyszyło chłopakowi podczas skoków z transportowca albo helikoptera. Podczas tej części szkolenia desantowego najbardziej lubił swobodny spadek, bez wymuszonego otwarcia spadochronu. To przypominało nieco zabawy z ojcem - z jednej strony wiedział, że wystarczy ruch ręką, szarpnięcie, żeby otworzyła się bezpieczna czasza, ale z drugiej pozostawała niepewność. Zawsze coś może pójść nie tak. Splątana linka, źle złożony jedwab... Przecież ojciec też mógł go wypuścić, nie zdążyć złapać.

Za co go zabili, dowiedział się po dłuższym czasie. Nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. Ważne było, kto to zrobił. Widział, jak na zwolnionym filmie, nóż wbijający się w brzuch ojca. Jakby ktoś przesuwiał obraz klatka po klatce. Zdawało mu się potem, że trwało to wieki. Zaskoczone, szeroko otwarte oczy ojca, uchylone usta. A potem potężny mężczyzna zgiął się wpół, żeby po chwili zebrać siły, wyprostować się i uderzyć napastnika łokciem w twarz.

Tamten wrzasnął, zatoczył się do tyłu. Wtedy przyskoczył drugi, pchnął ojca w rękę, która sięgała za pasek spodni po broń. Mały Stiepan rzucił się na napastnika, ale natychmiast odleciał na bok, odrzucony silnym pchnięciem. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to nie wróg go uderzył, ale właśnie ojciec. Nie chciał, żeby syn otrzymał przypadkowy cios.

Trysnęła krew. Ojciec z jękiem chwycił się za rozerżnięte przedramię. Spośród palców spływała czerwona struga. A tamci zaczęli go bić. Bez litości.

294

W Afganistanie Azrak widział trzech rosyjskich żołnierzy, którzy katowali jakiegoś wyrostka. Stał jak urzeczony, chłonąc wzrokiem scenę. Nie mógł się ruszyć, nie potrafił zdobyć się na działanie. A tamci kopali skulonego człowieka, twardymi czubami wojskowych butów masakrowali mu nerki, wątrobę, a jeśli któryś zdołał trafić w usta, rozlegał się triumfalny ryk. Azrak w tamtej chwili stał się na powrót małym, przerażonym Stiepanem, leżącym pod ścianą i patrzącym, jak z ojca stopniowo uchodzi życie. Żołnierze zostawili nieruchomego Afgańczyka pośrodku kamienistej drogi. Zadowoleni, rechoczący, poszli pić wódkę. Poszedł za nimi. Miał w plecaku dwa litry spirytusu. Przyjęli go chętnie - proszę, towarzysz broni z desantu, a nosa nie zadziera, chce się podzielić dobrem ze zwykłymi piechocińcami. Najpierw wypili to, co tamci mieli przy sobie, a potem zabrali się za Azrakowy spirytus. Z początku rozcieńczali go wodą, ale później wlewali już w gardła czysty.

Zostawił ich leżących jeden na drugim. A następnego dnia sowiecki komentant wysłał karną ekspedycję do wioski, aby pomścić śmierć żołnierzy. Azrak zrozumiał wówczas z całą mocą, że nie ma takiego podłego uczynku, który nie

pociągnąłby za sobą jakiegoś nieszczęścia. Sprawiedliwość, jaką wymierzył, obróciła się przeciw tym, w których imieniu to zrobił.

Ojca skłuli nożami gęsto, rana przy ranie. Zadali chyba ze trzydzieści ciosów.

A potem kopali go z całej siły, jak popadło. Krew lała się na posadzkę w ciemnej bramie, a oni zachowywali się, jakby w morderczym zapamiętaniu chcieli wcisnąć ofiarę w szczeliny między kamiennymi płytkami. Stiepan patrzył na to wszystko znieruchomiały. Widział wszystko, każdy szczegół, zupełnie jakby mrok korytarza rozjaśniało niewidzialne dla innych światło. Wtedy nie znał tego określenia, ale jakieś dziesięć lat później zdał sobie sprawę, że widział całą scenę niczym w świetle stroboskopu. Uświadomienie przyszło podczas wypadu z koszar na dyskotekę w centrum Riazania. Odbywała się w klubie przypominającym zachodnie przybytki tego typu - pośrodku sali wisiała lustrzana kula, migały różnokolorowe światła, a w pewnym momencie didżej włączył lampę stroboskopową. W tym momencie wspomnienia powróciły. Na krótko, bo Stiepan był już oszołomiony alkoholem, ruchem i bliskością chętnej dziewczyny, ale na mgnienie oka zeszywniał, ujrzał zalaną krwią twarz ojca.

295

Wybili mu chyba wszystkie zęby. Jeden skakał po skłutym wąskimi ostrzami brzuchu, drugi zmiażdżył podkutym butem nos, najwyraźniej starał się połamać kości czaszki. Stiopa był pewien, że jego też za chwilę wykończą. Ścisnął małe piąstki, przygotowywał się, żeby stawić opór. Ale nie ruszyli go. Jeden tylko splunął w jego kierunku. „Wyrośnie na takie samo ścierwo, jak stary - rzucił pogardliwie. - Do widzenia, szczeniaku. Kiedyś się pewnie zobaczymy”. Wtedy zrozumiał, że to byli milicjanci. Potem, kilka lat później, dowiedział się, o co

mogło pójść. Ojciec nie zapłacił haraczu, działki po ostatnim skoku. Miejscowy komendant wysłał więc dwóch chłopaków, żeby nauczyli moresu ociągającego się przestępcę, a przede wszystkim dali przykład innym, by nikt więcej nie miał ochoty oszukiwać wszechwładnego kacyka.

Azrak poszedł do komendanta w mundurze, w niebieskim berecie desantowca. „Skurwysynu, jak wrócę z wojny, zrobię tak, że będziesz szukał zębów w dupie”. Milicjant był przerażony. Zaczął coś bełkotać o przestrzeganiu prawa, ale chłopak go nie słuchał. Zamiast siedzącego za biurkiem, spoconego i bladego funkcjonariusza zobaczył zakrwawionego, zmasakrowanego ojca. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wiedział, że nie wróci do rodzinnego miasta. Przyjedzie tylko po to, by dokonać zemsty. Widok zwierzęcego lęku na tłustym obliczu marnego majorzyny spowodował, iż poczuł niesmak. Zrozumiał, że zabicie tego gada niczego nie zmieni, bo takich gnojów są tysiące, może nawet miliony w całej Rosji. Ale i tak go zabił. Tamten już zapomniał o rozmowie, a może miał nadzieję, że młody Umajew poległ na wojnie, jak tylu innych. Tym bardziej był przestraszony, gdy pewnej nocy zobaczył nad sobą wykrzywione oblicze i błyszczące niczym w gorączce oczy. Po wszystkim Azrak odjechał kilkadziesiąt kilometrów i upił się w samochodzie. Nie mógł odnaleźć sensu w tym, co zrobił. Twarz ojca prześladowała go w każdym miejscu, wszędzie, gdzie miał do czynienia z krwią i krzywdą. I było jeszcze wspomnienie matki... Piękna, zwiewna istota zamieniła się po stracie męża w ordynarną, otyłą dziwkę. Musiała utrzymać siebie i syna, *poszła na paniel* - sprzedawała się więc za pieniądze byle komu i piła, żeby zapomnieć o upokorzeniu. Piła coraz więcej, a w miarę jak pogłębiał się nałóg, traciła zainteresowanie chłopakiem. Nadszedł wreszcie taki

czas, że nie wracała do domu przez kilka dni, czasem nawet tydzień. Stiepan

296

nauczył się radzić sobie samemu. Nieraz słyszał brutalne słowa, że jest synem złodzieja i prostytutki. Zamykał się w sobie. A kto niby zrobił złodzieja z jego ojca? Kto sprawił, że matka stała się zwyczajną tanią kurwą? Ci wszyscy tak zwani uczciwi ludzie nic nie wiedzieli o prawdziwym życiu.

Jednak do matki miał żal. Wszak nie tylko ona uprawiała nierząd, ale jej koleżanki po fachu potrafiły zadbać o rodzinę, troszczyły się o dzieci. Ona zaś zachowywała się tak, jakby śmierć Fiodora pogrzebała wszystko inne, pokryła cały świat ponurym, nieprzenikalnym całunem, jakby dziewięcioletni Stiopa umarł razem z nim. Dlatego odkąd poszedł do wojska, nie odwiedził jej. Zresztą chyba nawet tego nie oczekiwała ani nie potrzebowała. Nigdy nie dostał od niej paczki z jakimiś drobnymi prezentami czy choćby listu. Był sam, nauczył się funkcjonować na podobieństwo samotnego wilka. Nie szukał przyjaciół, a ludzie unikali go, czując, że jest inny. W wojsku było podobnie. Ale tutaj przynajmniej przełożeni docenili jego twardość i nieustępliwość. Umajew zaś najbardziej na świecie nie chciał być nigdy więcej bezradny, nie chciał odczuwać tej bezsilności, która mu towarzyszyła, kiedy musiał patrzeć na śmierć ojca. Azrak leżał wtedy oszołomiony, doskonale wiedząc, iż nie jest w stanie nic zrobić, niczemu zapobiec.

Tak bardzo chciał zapamiętać ojca jako żywego, pełnego radości człowieka...

A jak na złość, kiedy o nim myślał, zawsze nadlatywało wspomnienie tych ostatnich chwil. Nawet gdy przychodził we śnie, najpierw do małego synka, a potem do twardego, dorosłego mężczyzny, zawsze miał twarz zalaną krwią.

Przypominał trochę Chrystusa z dawnych obrazów - po policzkach ściekały mu strużki krwi, jakby na skroniach miał wbitą niewidzialną koronę cierniową.

Tej nocy, której zabił okrutnych żołnierzy, Azrak po raz pierwszy zdał sobie sprawę, czego boi się najbardziej. Przecież nie śmierci ani bólu. Widział i zaznał zbyt wiele, aby odczuwać tak zwyczajny strach. On najbardziej obawiał się pustki. Takiej pustki jak ta, która go opanowała po zakończeniu krwawej roboty. Od dzieciństwa żył właściwie tylko pragnieniem zemsty, a ta za każdym razem okazywała się nie tyle nawet gorzka, ile najzwyczajniej pusta. Co innego mieć cel w życiu, dążyć do niego choćby po trupach, a czym innym jest obrać sobie za cel odebranie komuś życia. Może dlatego, nawet w chwilach największego zwątpienia, nigdy nie próbował popełnić samobójstwa. To byłoby zbyt żalosne -

297

mścić się na samym sobie za to, kim się stał, kim uczynili go inni. Kiedyś przeczytał sentencję wziętą od jakiegoś francuskiego czy skandynawskiego filozofa, tego dokładnie nie pamiętał. Mówiła ona, iż piekłem są dla człowieka inni. Azrak długo nad tym myślał, rozważał tę prostą i jakże celną myśl. Wreszcie doszedł do wniosku, że może to i prawda, ale nie można się z nią zgodzić do końca. Piekło człowiek stwarza sam sobie, a inni mu tylko w tym pomagają.

Odetchnął głęboko. Teraz miał zadanie do wykonania. Podobno niesłychanie ważne, jedno z najdonioślejszych, jakie można sobie wyobrazić. Jemu to jednak nie imponowało, nie sprawiało, że krew zaczynała żywiej krążyć. Myślał już o tym, co będzie, kiedy misja dobiegnie końca i znów nadejdzie uczucie pustki. Może wtedy wreszcie zdecyduje się podnieść na siebie rękę? Tak żalosne życie powinno się równie żałośnie zakończyć.

„To by było śmieszne, bardzo śmieszne, gdyby Pan Bóg właśnie teraz zaczął mi sprzyjać! - pomyślał i szeroko się uśmiechnął. - Czy to jakiś rodzaj hysterii? Czy może w wódce było coś, co mnie teraz rozsadza? Nie-e-e... Dobra, wracajmy do naszego barana: on ma jedenaście pocisków, co najmniej. I - raczej nie pozwoli mi spokojnie wymienić koła i odjechać... Zatem?...”

Przezołgał się bezszelestnie w lewo, nie dbając o to, że czubki jego butów zostawiają głębokie dołki w miękkim poszyciu i kępach mchu, dziś, teraz nie przerabiali lekcji tropienia, tylko podchodzenia, a tu ślady aż tak ważne nie są. Można nawet oberwać pocisk w kręgosłup, jak się człowiek zapatrzy na cudze tropy. Zbliżył się do dębu, takiego na dwa męskie objęcia. Wdrapałby się nań, nawet nie bacząc na wysoko umieszczone pierwsze gałęzie, ale nie dziś, nie z „kagiezbirem” za plecami. Za dębem usiadł, oparty plecami o dający poczucie bezpieczeństwa pień, zerknął na komórkę, na wszelki wypadek otworzył klapkę z tyłu, wyłuskał baterię i wszystko razem wrzucił niedbale do kieszeni wiatrówki. Broń... W dobrym stanie, lufa czysta, magazynek bez zmian - cztery pociski...

298

Co można - udać ucieczkę i zaczekać przy wozie?

Nie udawać ucieczki, tylko zwiać?

Zacząć się na wóz nieopodal? Nie, droga, jak każda niemal, prowadziła w dwie strony, dwukierunkowa, a jakby nawet była jednokierunkowa, nikt przecież by się tym nie przejął. Tylko... Tylko że czas pracował na korzyść trupa i ukrywającego się w lesie żywego. Nawet jeśli nie miał komórki, to mógł oczekiwać za jakiś czas alarmowego wsparcia. Lirink nie mógł liczyć na nikogo oprócz siebie. I

nie miał tyle czasu, i nie miał tylu naboí...

Zastanawiał się chwilę, czy tak właśnie myśli przeciwnik, że czas działa na jego korzyść, więc nie będzie się angażował w niebezpieczne akcje, i uznał, że istnieją wszelkie podstawy do takiego myślenia i takiego założenia. Czyli atak będzie, powinien być jakimś zaskoczeniem. „Tak więc zrobimy!” - zdecydował.

Wszłuchał się w głos lasu, w delikatny szmer liści. Czyhał na najmniejszy dysonans w ich szeleście i w końcu wydało mu się, że usłyszał go. Zacisnąwszy zęby, zmusił się do wyłączenia wszystkich zmysłów oprócz słuchu, odczuł metafizyczną łączność z lasem, podłożem, krzewinkami, liśćmi i fauną, zyskał niemal pewność - słyszy oddech tamtego, „zobaczył” go, jak przycupnął za krzakiem kaliny i oddycha przez szeroko otwarte usta. A potem usłyszał coś, co mógł usłyszeć tylko las i on: cichy szczęk wyskakującego magazynka.

I usłyszał cichy szczęk wkładanego magazynka, i był pewien, że to ta sama tonacja. Magazynek nie był pełny.

Wróg miał tylko trzy naboje!

Zobaczył obok swojej nogi całkowicie zmurszałą gałąź z trzema bułami huby. Odłączyły się od gałęzi bezdźwięcznie. Lirink podniósł się, nie wysuwając się zza pnia, po czym cisnął jedną hubę, tę największą, wysoko ponad krzewami przed siebie, w kierunku przeciwnika, zanim doleciała i zaszeleściła, opadając, rzucił drugą w lewo i zaraz po niej trzecią - w prawo. Niech wróg myśli, że nic poza banalnymi chwytami rodem z Karola Maya nie może mu przyjść do głowy. Zbutwiałą, miękką gałąź cisnął za dąb, szybko przewrócił kurtkę na lewą stronę, żeby potem, po pomyślnym rozwiązaniu problemu z nieprzyjacielem, nie pokazywać się z zielonymi łokciami, i ułożywszy się na ziemi, zaczął pełznąć na lewo

od domniemanej kryjówki wroga.

299

Pokonał w ten sposób, zataczając łuk, dobre sześćdziesiąt metrów, potem zacieśnił pętlę, co kilka, pięć-osiem metrów, nieruchomiał i nasłuchiwał.

„Albo moje zmysły robią mi śmiertelne «ziaziu», albo wyczuwam gnoja - pomyślał. - Ale to przecież miejski łapacz, „kagiezbir” od siedmiu boleści, znawca plotek, postrach dysydentów od siedmiu boleści i tych, co opowiedzieli dowcip o Łukaszence, a teraz nie mogą wyjść z ciągu alkoholowego ze strachu przed konsekwencjami mniej pijanego i gorliwszego kompana. Co on wie o lesie? O tym, jak pachnie wilgotna ziemia spod świeżo wydartego płatu mchu? Jak płynie woń przewróconych zbutwiałych liści? Jak moż... O!?”

Cichutko, ale niewystarczająco cicho, syknęła odgięta i puszczone nieuważnie gałązka, „oper” musiał ją odsunąć i wymknęła mu się z palców - banalny błąd: chcąc delikatnie poruszyć gałęzią, trzymał ją również delikatnie, i ta nie- zbornosc się zemściła! Lirink już wiedział, gdzie jest wróg, a ten, uciekając - chyba w lekkiej panice - z miejsca wpadki, prowadził go znakomicie.

Na dodatek zbliżał się!

W zasięgu dłoni Lirink znalazł odpowiedniej grubości i wagi brzozy drąg, już sięgał po niego, ale potem pomyślał, że skoro tu leży, to pewnie nie utrzymał ciężaru własnego czy gałęzi.

„Dobra, polegamy na własnych rękach! Gdzie światło?” - rozejrzał się szybko, światło też mu sprzyjało: idący musiał rzucać cień przed siebie. Lirink skoczył za gruby pień, ustawił się tak, by być maksymalnie zasłoniętym, i czekał. Zbliżający się przeciwnik starał się, często przystawał, nasłuchiwał... Lirink

niemal czuł woń strachu, jaką emitował, ale nie odczuwał litości. Za dużo dusz wyprawiał w ostatnią podróż, by teraz, w obliczu kolejnej, poddawać się rozterkom.

Czekał dobre siedem minut. Rozluźniony, odprężony, zastosowawszy kilka ćwiczeń statycznych, czaił się, czyhał... I los, fortuna czy czart byli dziś po jego stronie: kątem oka, nie poruszając głową, zobaczył jakieś niemal nieuchwytnie poruszenie, był już tuż-tuż. Lirink wyraźniej zobaczył wysuniętą do przodu dłoń z pistoletem, potem cień, nieważne, że rozmyty, zmysły Lirinka wyostrzyły się do niewiarygodnego poziomu, podpowiedziały mu, że w drugim ręku napastnik trzymał teleskopową pałkę z ołowianą kulką, obciążoną skórą. Lirink omal się

300

nie skrzywił, gdy do jego nozdrzy dotarła kwaśna, zimna, obrzydliwa woń spoczonego, przerażonego mężczyzny.

Przylgnął do pnia drzewa, nie ryzykował poruszenia się i zaalarmowania czujnego przecież przeciwnika.

Ale gdy ten wszedł w pole widzenia i na dodatek rzucił kose spojrzenie w lewo, z jego prawej strony wyprysnął jasny cień i wpił mu się w prawą rękę. Oba ciała zaczęły opadać na ziemię i nikt nie mógł tego powstrzymać. Przeciwnik Lirinka, niewysoki łysol z niedobrze wygoloną resztką włosów, zamiast spróbować trafić napastnika kulką pałki - „wyeksportować w pizdu, czyli zaświaty”, jak mawiał Atanas - zaczął używać lewej ręki do odzyskania równowagi, potem do łagodzenia skutków upadku. Już było za późno. Lirink przeczytał kiedyś, że sławetny atak węża jest o połowę wolniejszy od szybkiego ruchu ludzkiej ręki, nie wnikał w ten komunikat, po prostu działał niezwykle szybko, przerażająco

prymitywnie i śmiertelnie skutecznie: chwyciwszy przedramię przeciwnika w cęgi swoich palców, nie bawił się w żadne skręcanie i łamanie, nie było na to czasu, zbliżył przedramię do swojej twarzy i wpił się w nie zębami. Poczł przez warstwy tkanin kurtki i koszuli rozstępującą się tkanę kończyny, potem zęby oparły się o kość. Wciąż jeszcze nie upadli na ziemię. Mężczyzna już wrzeszczał przeraźliwie, upuścił pałkę i rozpaczliwie szukał twarzy Lirinka, chcąc pewnie wyłupić mu oczy. Tak go nauczyl - jakby co, atakuj oczy. Tego nie wytrzyma nikt. Ale nikt mu nie powiedział, co zrobić, jeśli przeciwnik oczu nie ma, a Lirink, nie dbając kompletnie, jak upadnie na miękką przecież ściółkę, przekręcił się, wykręcił rękę nieszczęśnika i ukrył przed nim swoją twarz.

Pistolet wypadł ze sparaliżowanej potwornym bólem ręki przeciwnika. Lirink wyczuł to od razu, jeszcze raz szarpnął nim, zaatakował czołem jego twarz... W tym momencie wreszcie grawitacja doprowadziła do zderzenia ciał ludzkich z łonem Matki Ziemi. Twarde czoło Lirinka uderzyło przeciwnika w kość jarzmową, złamało ją, pozbawiło przytomności zaatakowanego. Oprócz pierwszego syku, oprócz zachłyśnięcia się bólem nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Lirink poderwał się i z całej siły wbił pięść w pachwinę nieprzytomnego. Nie poruszył się.

- Dobrze! - skostatował zwycięzca.

Przykucnął przy nieprzytomnym człowieku. Spod prawego mankietu ręki, niechący ułożonej na brzuchu, wypływała jasna krew, musiał w szale ataku

301

przegryźć mu jakąś żyłę. Janusz wstał, kopniakiem strącił rękę z korpusu, obszedł mężczyznę i wymacał jego dokumenty. Wyszarpnął z jego kieszeni zmiętą chusteczkę do nosa, owinął nią dłoń i sięgnął po *bumażnik*, wyjmując go, niechący

rozszerzył szczelinę jego rozpiętej teraz niemal do pasa koszuli. Pod lewym barkiem łysek miał wytatuowany tygrysi łeb, pod groźnie szczerzącym kły kotem był napis: „Tygrys, jak wszyscy w naszej rodzinie”.

-
O matko! - Lirink teatralnie przewrócił oczami. - Co my tu mamy? Dowód osobisty człowieka, który nazywał się Pietro Baran.

-
Bardzo trafnie.

Legitymacja na to samo nazwisko, tyle że z innym zdjęciem. W dowodzie potulny księgowy w koszulce w kratkę, nic więcej nie było widać, ale Lirink nagle parsknął nieco histerycznym śmiechem, wyobraziwszy sobie Barana łożącego po mieszkaniu z puszką piwa w ręku, w szarych, powyciąganych niemal do kolan gaciach. Ale na zdjęciu z legitymacji służbowej, którą okazywał pewnie niedbale, samą butą wzbudzając lęk, postarał się o „tygrysi” wygląd: ostre spojrzenie, głowa lekko pochylona, ale bardziej jak łeb barana niż tygrysa, nozdrza rozdęte.

-
Pewnie od razu przystępowałeś do szturchania kobiet w piersi, a potem gwałciłeś je, warcząc do ucha, że inaczej mężulo wyląduje w pierdłu na kilka lat i wtedy będzie musiała iść *na paniel*, żeby utrzymać dwójkę dzieci... - mruknął do siebie Lirink.

Nie obawiał się swojego głosu, las okazał mu przychylność, wsparł go i na pewno nie zamierzał zdradzić, tłumiąc odgłosy nadciągającej odsieczy. Portfel wrócił do kieszeni, innej - na piersi koszuli. Wyszarpnął pasek i nie dbając o stawy Pietra Barana, wykręcił mu ręce na plecy i bezlitośnie skrępował. Potem

chwycił go za kostki nóg i pociągnął do wozu. Z bagażnika wyjął parę rękawic roboczych, odruchowo przetarł welurową powierzchnią klamkę bagażnika i krawędź klapy, potem pół butelki ciepłej wody wylał na twarz nieprzytomnego. Ten poruszył powiekami i nagle wrzasnął z całej siły, zaczął się wić, jakby uderzenie w pachwinę dopiero teraz dotarło do niego.

-

Nie drzyj się! - rzucił spokojnie Lirink. - Nie ma tu nikogo... -Wzruszył ramionami. - Tylko my dwaj, niedługo pewnie zostanie jeden... - westchnął nieco teatralnie. - Dzisiaj czuję się dziwnie krwiożerczy - przyznał się mężczyźnie. - Chyba kogoś zabiję albo zrobię coś gorszego.

302

Mężczyzna wył cicho.

-

Zamknij się - rzucił Lirink. - Bo cię zabiję dla komfortu ciszy.

-

Popatrzył uważnie na wroga, który przez chwilę, jak ogłuszony, beznamiętnie wył cicho, po ostatnim słowie Lirinka, zachlipał, pociągnął głośno nosem.

-

Bo-o-ooo-szsz...

-

Zamknij się! - Pod rozdartą na plecach koszulą zobaczył czubek ciemnoniebieskiego nosa tygrysa. - Ty?! - rzucił z pogardą. - Tygrys? Domowy? Wiesz, co mówił mój dziadek? „Chcesz czuć się jak tygrys - żyj jak tygrys!”

Rozumiesz?

Lirink kłamał, w każdym razie lekko nagiął prawdę do swoich potrzeb:

dziadek nie widział w życiu tygrysa czy lwa. Kiedy mały Januszek opowiedział dziadkowi, co wie o wielkich kotach, ten zastanawiał się chwilę, a potem powiedział: „A na cholere komu takie wielkie kociska? Chyba że...” - nie dokończył. A potem dziadek milczał chwilę i powiedział: „Chcesz czuć się jak niedźwiedź - żyj jak niedźwiedź”.

-

Czego chcesz, człowieku? - przez zęby wydusił Baran.

-

Zeznań. Jak mnie zadowolisz - zostawię cię i pojedę w cholere. Ale jak mnie wkurzysz, czeka cię wielki ból przed śmiercią.

-

Co ci mam... powiedzieć?

-

Prawdę.

Lirink porzucił wykrzywioną, krwawiącą ofiarę, podszedł do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera, niedbale, jedną ręką wyszarpnął ciało na drogę, pociągnął do lasu, między krzewy, zostawił tam, a wracając, zaciągnął dwie bruzdy pozostałe po wlokących się bezwładnie stopach gałęzią, którą porzucił obok drogi. Potem wyjął z bagażnika foliową torebkę z nowiutkim chińskim T-shirtem, udającym wyrób Reeboka. Wytarł nim krew z bocznej szyby i kokpitu. Chwilę się zastanawiał, nie zwracając uwagi na posykującego z bólu Barana, potem popatrzył na niego przez ramię, wyjął z kieszeni jego pistolet.

-
No?

-
Przecież wiesz - posłał nas Panochin, Nikołaj - wystękał jeniec. - Żadnych konkretów nie podał, nie musi... musiał... To dowódca naszej *jaczejki*.

Powiedział, że jakiś Polaczek szarogęsi się na naszym terenie, że musimy mu trochę przytrzeć rogów. Dowiedzieć się, czego tu szuka.

303

-
A co z Niemcami?

-
Niemcami? - Mężczyzna przestał się wiercić, wytrzeszczył na Lirinka ze szczerym zdziwieniem oczy.

Ten błyskawicznie odbezpieczył pistolet i wycelował w głowę mężczyzny, ręka mu drgnęła, jakby po strzale. Baran wrzasnął przenikliwie:

-
Nie, błagam! Nie! Nie chcę umierać przez jakichś Niemców i bezpieczeńkę!

-
No to gadaj, tygrysie... - Lirink splunął z pogardą. - Baranie?...

Załamany perspektywą śmierci i własnym tchórzostwem Baran zakrztusił się śliną, rozkaszał, chyba szczerze, nie żeby zyskać na czasie, ale Lirink i tak zrobił dwa kroki i kopnął go w bok.

-
Gadaj, gadaj, bo mi się kończy czas i cierpliwość!

-
Jest tu... była para Niemców... Ale to jakaś podpierducha - oni łążą po
mieście, spacerują, nie kryją się... Odwiedzili pustelnię, rozmawiali z igume-
nem... o jego prababce jakiejś... Igumen zawsze nam mówi, co się dzieje...

-
Wszystko?

-
Nie wiadomo, wystarczająco, żeby nie móc go oskarżyć o nielojalność,
ale co zataja - nie wiadomo. I nie bardzo się przejmujemy tym... To gównno, nie
pustelnia!

-
I co jeszcze?

-
Oni wyjechali... - Baran był nieco spokojniejszy - zeznawał, więc będzie
żył - do Rosji, Panochin się lekko wpieprzył, ale potem powiedział, że kij z nimi.
A potem zaraz ty się odezwałeś do niego. Był niezadowolony, myślę, że on
myśli... myślał, że coś na niego masz... - Baran, który chciał być tygrysem,
rozgadał się na całego. Słowotok albo wynikał z histerycznego lęku, przerażenia,
paniki, albo stanowił wyrachowaną grą, której celem mogło być zatrzymanie
Lirinka w jednym miejscu, do przybycia odsieczy. - On zmontował zasiadkę bez
wiedzy przełożonych, z samych kumpli... I... - Mężczyzna zachłysnął się obficie
wydzielaną śliną, odkasznął kilka razy, kręcąc głową, niezadowolony, że kaszel
przerywa mu zeznania. - Chciał się dowiedzieć, o co chodzi z tymi Niemcami,
żeb...

-
Dokąd pojechali Niemcy?

Przeczący ruch głowy.

-
Nie wiem.

Zobaczył wyrok w oczach Lirinka, który nie czuł się zmuszony do udawania.

304

-
Błagam!!! - ryknął Baran na cały las. Las umilkł i z obrzydzeniem patrzył na mężczyznę, który przekręcił się, klęknął i szlochając, wrzeszczał: - Nie chcę umierać dla pieprzonej pracy!... Nie, proszę. Moja matka się załamie, jestem jej jedynym synem... Ja...

-
Chcesz czuć się jak tygrys, żyj jak tygrys... - powiedział wolno Lirink.

Baran na pierwszy dźwięk z jego ust umilkł i wpatrywał się z nadzieją w oczy oprawcy. Chciał usłyszeć: „Dobra, żyj sobie, gnido!”, ale Lirink dokończył: - I umrzyj jak tygrys!

-
Nie chcę!...

Po twarzy „kagiezbira” płynęły obfite łzy, z nosa wypłynęły dwie strugi gęstej wydzieliny, zalały usta, nie zauważył tego, nie poczuł, bełkotał, a na wargach tworzyły mu się obrzydliwe mętne bąble. Lirinkiem wstrząsnął dreszcz. Bez pośpiechu, ale i nie napawając się widokiem rozdygotanego skazańca, uniósł pistolet i wystrzelił. Pocisk trafił Pietra Barana w nasadę nosa, odłamki kości

wysadziły lewe oko, usta rozchylił bolesny i niemożliwy do wykonania za życia skurcz. Baran zwałił się na plecy, ale stawy kolanowe nawet po śmierci nie pozwoliły mu złożyć się jak szmaciance, runął więc na bok. Lirink wydał wargi i chwilę myślał, potem chwycił Pietra Barana, „tygrysa domowego”, za ręce i powlókł do lasu, gdzie złożył obok Panochina. Nie zawracał sobie głowy zacieraniem śladów, poprzednio zrobił to tylko na psychologiczny użytek Barana, kolein na drodze, wrytych przez trzy opony i felgę, nie był w stanie zamaskować. Albo znajdą ich od razu, albo nie.

Wsiadł do łady, uruchomił silnik i zjechał z drogi. Może grzybiarze nie zwrócą uwagi? Nieważne.

Wrócił do „beemy” Panochina, przeszukał bagażnik, nie znalazłszy wody, wywlókł z wozu ciało, zaciągnął w krzaki, resztą wódki umył szyby, zostawił na chwilę otwarty samochód, żeby się przewietrzył. Zapalił papierosa i wypalił go w wielkim skupieniu, jakby miał być ostatnim w jego życiu. Ani Panochin, ani Baran nie powiedzieli nic istotnego, ale też byli to ludzie z niższego szczebla peryferyjnego *zacholustnego* okręgu KGB.

Krystian poczuł nagle powiew chłodnego powietrza. Okno było zamknięte, drzwi również.

305

„Przeciąg - pomyślał. - Takie stare budowle nawet projektowane były tak, by powstawały naturalne przewiewy, skuteczne na smród stęchlizny, pleśni, brudu...” Ale zerknąwszy na przesłaniającą drzwi portierę, odrzucił to przypuszczenie: tkanina, owszem, ciężka, ale wisiała spokojnie, żadne falowanie nie zakłócało ospałych pionowych fałd, mających właśnie chronić mieszkańców

przed niepożądanymi powiewami przeciągu. „Kto to mi mówił, że Rosjanie mają po prostu obsesję na punkcie przeciągu, że gdzie tylko mogą, zabijają, zakręcają, zaklejają okna, jakby sądzili, że więcej ofiar pochłonęły przeciągi niż obozy koncentracyjne?... Nieważne, tu przeciągu nie ma!” Podniósł głowę i wsłuchał się. Za podwójnymi szybami toczyło się normalne gospodarskie życie: zabręczał jakiś łańcuch, potem chwilę terkotał mały silniczek, może jakoś połączony z łańcuchem studziennym? Trzasnęły głośno jakieś drzwi, i to trzy razy z rzędu; albo wychodzili przez nie trzej mnisi, otwierający je kopniakami, albo w tę i we w tę biegał jeden braciszek z kiepską pamięcią.

Pamięć...

Coś się skojarzyło Krystianowi z tym słowem. Coś ważnego, coś z pamięcią...

Chwilę wyteżał umysł niemal fizycznie, ale nie mógł wrócić do ulotnej myśli, która przemknęła przez mózg, pozostawiając tylko po sobie trop w postaci smugi w pamięci.

„No nic - pomyślał. - Wróci. Jak psotnik, który widzi, że nikt nie nadepnął na torbę z gniazdem os - musi wrócić i patrzeć, choćby to było niebezpieczne. I z powodu os, i tego, który tę torbę kopnie”.

Kątem oka zobaczył, że Sandra otworzyła oczy.

Błyskawicznie spocił się, przynajmniej w duchu.

„Matko, co ja jej powiem?!! Jakies banały, że ją kocham? No - kocham, wiadomo, ale - Boże, pomóż! - coś miłszego!... Szybko!”

- Kocham cię - powiedziała.

Poczuł, że zalewa go fala gorąca. Zaparło mu dech w piersiach. Przełknął ślinę.

„Nie wyczyściłem zębów! - pomyślał. - Co za idiota, o zębach? Teraz?!!”

Delikatnie wsunął lewą rękę pod szyję Sandry, przysunął się, wtulił nos w szyję, skubnął konchę ucha.

306

-

A ja nawet nie wiem, jak to powiedzieć... Jak wyrazić to, co czuję... -

wyszeptał. - Słabo znam niemiecki - dodał, żeby nie było tak patetycznie i tak banalnie.

-

Używaj prostych słów - odparła. - Proste słowa rozumiem we wszystkich dialektach i narzeczach.

-

Kocham cię - powiedział nieco głośniej. - To nic trudnego, to najprostsza rzecz z najprostszych - zakochać się w tobie, kochać ciebie. Jesteś... taka...

-

No? Słucham?! - ponagliła go, gdy zamilkł na kilka sekund, szukając odpowiednich słów.

-

Piękna, inteligentna...

-

Tak? - rzuciła tonem rozpieszczonej kokietki.

-

Lotna, dowcipna, odważna! O, odważna!

-

Bo cię kocham, głupku! - Odwróciła się na bok, chwyciła go za kark i

przysunęła jego twarz do swojej. - Boję się jak nigdy w życiu, ale nie zostawię

przecież mężczyzny swojego życia na pastwę jakichś szpiegowskich siatek!

-

Bo mnie kochasz... - powtórzył oszołomiony. - Ja... mi... jestem...

-

Nieważne, kim jesteś! - Odsunęła się i zmarszczyła nosek. - Ważne, że

mamy niewyczyszczone zęby, a to podstawa!

Wyskoczyła z łóżka i naga pomknęła do łazienki. Krystian pośpieszył za nią,

po drodze wciągając zaimprovizowaną pidżamę.

„Nie wyglądam nago tak oszałamiająco jak ona! - wytłumaczył sobie swoje

postępowanie. - Nie wyglądam, że tak sobie zażartuję, zgoła oszałamiająco...

Och...”

Sandra stała oparta pupą o umywalkę, czyściła energicznie zęby, sutki na

jędrnych piersiach zataczały energiczne, oszałamiające w zarysie elipsy. Krystian

stanął w progu, ale czując, że wygląda idiotycznie, wszedł, zamknął za sobą

drzwi, poprawił nie wiadomo po co rękaw.

-

Nie sztójk tak jak posząg! - rzuciła Sandra.

-

Szandro... Tfu, co ja... Sandro... - parsknął śmiechem.

-

Czo sie ształo? - Odwróciła się, wypłukała usta i szczoteczkę i zupełnie

nieskonfundowana podeszła do niego, zarzuciła ręce na ramiona, pocałowała

lekko w usta. - Dlaczego się śmiałeś?

-

Ja... Mam taką kretyńską cechę, przez którą już miałem sporo niemiłych

307

chwil. - Przytulił ją i mówił w przestrzeń za nią. - Jak widzę kogoś, na przykład w metrze czy U-Bahnie, z dziwną miną czy stojącego albo siedzącego nienaturalnie, odruchowo przybieram jego minę albo staję krzywo jak ktoś na drugim końcu wagonu. Potem łapię się na tym, że stoję z otwartymi ustami i wysuniętym językiem albo na jednej nodze. To jest... nie wiem, jakbym chciał poczuć, dlaczego ten człowiek stoi tak dziwnie... Kilka razy ten naśladowany przechwycił moje spojrzenie i było... głupio... Kilka razy mnie obsztorcowano... A tu... - Pokręcił głową. - Sepleniałś, to i ja...

-

Szandro?

-

Właśnie.

-

No to idź umyć zęby. - Ukąsiła go wcale nie słabo w ucho, ale spodobała mu się ta pieśczoła, miły dreszczyk przemknął po plecach.

-

Idę.

Czyszcząc zęby, usłyszał plusk wody w wannie, Sandra ustaliła ciepłotę strumienia i rozsiadła się po przeciwnej od kranów stronie. Widząc jego spojrzenie, poklepała dłonią w zalane cienką warstwą wody dno. Nagle zamknęła

oczy i oparła głowę na krawędzi wanny.

-

Już nie patrzę - oświadczyła. - Boże, gdzie tacy dżentelmeni się rodzą?

Gdzie się kryją przez całe życie?...

-

Chyba jednak to cecha Słowian - powiedział półtorej godziny później, gdy, już w bieliźnie, stali przy oknie i przez gęste franki przyglądali się fragmentowi dziedzińca - najwyraźniej małej szkółce sosnowej.

-

Co - Słowian?

-

Oj tam, nieważne - machnął ręką. - Subtelność, delikatność, czułość...

-

A, ty o dżentelmenach... - Podeszła do otwartej walizki, wyjęła spodnie rybaczeki, bluzkę, krytycznie przyjrzała się fałdkom na tkaninie, poruszyła ramieniem i zaczęła wkładać bluzkę. - Ja wiem, gdzie oni się rodzą, już wcześniej wiedziałam, dlatego się wczepiłam w pierwszego wolnego słowiańskiego dżentelmena. - Uśmiechnęła się filuternie.

-

A wiesz... - Uznał, że przesadą byłoby rozpytywanie kochanki i uko-
chanej, jak się okazało, o preferencje seksualne. Jakoby przez kobiety, zdaniem Uli, zdeterminowane. - Nieważne!

Uniosła nogę, zamierzając włożyć spodnie, i znieruchomiała w tej pozycji,

potem roześmiała się głośno, przypomniała sobie, gdzie się znajdują i szybko zasłoniła usta. Trwała w tej niewygodnej pozycji długą chwilę, potem włożyła spodnie. - Chodzi ci, jak się domyślam, o to, czy jestem lesbijką albo czy byłam lesbijką, zanim cię poznałam. No więc - nie byłam i nie jestem, chociaż kilka razy spałam z kobietą, raczej tylko spałam, były tylko pocałunki i nieśmiałe pieszczoty. - Wsunęła stopy w buty, przyklękła i zawiązała sznurówki. - Ty nie wychodzisz? - zapytała przekornie, patrząc na niego z dołu.

-

Już, już! - otrząsnął się z wrażenia, jakie na nim wywierała tak swobodnie mówiąca o krępujących sprawach Sandra.

Wyszli razem z pokoju po pięciu minutach, dziesięć minut przed umówionym, zapowiedzianym przez alumna spotkaniem. Czekał na nich na dziedzińcu przed drzwiami. Popatrzył ponad ich głowami na dach budynku i na dodatek stwierdził:

-

Osiem minut musimy poczekać.

-

Poczekamy - uspokoił go Krystian.

Odczekali tylko pięć, potem alumn westchnął, jakby mu było żal biednych Niemców, wolno się odwrócił, żeby zrozumieli jego intencje, i nie śpiesząc się, poprowadził ich do głównego budynku. Przecięli po przekątnej duży, pokrojony na cztery trójkąty prostokątne, skwer, właściwie trawnik, z ogromnym różanecznikiem na środku. Dokoła krzewu ustawiono ławki, napawanie się imponującym rododendronem musiało być powszechną rozrywką w monasterze. Może

jedyną.

Krystian podzielił się swoją myślą z Sandrą.

-

Krzew piękny, ale czy chciałabym przez całe życie siedzieć pod nim i napawać się jego widokiem?

-

I aromatem?

-

O, nie! Ten różanecznik nie pachnie. Azalia ma słodki zapach.

-

Ja bym nie chciał... - Nagle wydało mu się, że w jednym z siedzących braci tak naprawdę widzi tego blondyna, który... Szurnął stopą na żwirze, zachwiał się. - Chol-l...

-

Ćśś! Święte miejsce przecież! - syknęła, uśmiechając się, nieświadoma jego przerażenia Sandra.

-

Tak, tak! - szepnął, trochę jakby prowadząc inny dialog. - Już idę!

309

Zerknęła na niego spod oka, ale się nie odezwała. Nie kryjąc tego, wpił się spojrzeniem w mężczyznę, który wydał mu się podobny do „Rubika”, ale już po drugim spojrzeniu zobaczył, że to kompletnie inna osoba, może tylko wąski nos przypominał nieco mordercę z Zakliczyny.

Na ławkach siedziało kilku mnichów, żaden nie podniósł spojrzenia, nie ode-

rwał oczu ani od krzewu, ani od przesuwanych w palcach „czotek”, czyli różańca. Gdy alumn obszedł połowę trawnika, na którym kokosił się rododendron, pojawiła się dziwna para. Na ławce siedział wysoki, szczupły mnich z dziwnym wianuszkiem włosów: czarnych z pasmami siwizny. Krystian przypomniał sobie przyjaciela pewnego znajomego, który bardzo podobnie siwiał, mówił o tym, że pasma siwizny pojawiają mu się po dniach katastrofalnych, po niemiłych wydarzeniach, po zawodach miłosnych i porażkach na wyścigach chartów. Czym natomiast miałby się martwić i aż tak bardzo przejmować, żeby siwieć, mnich w odludnej pustelni? Obok jego ławki stał wózek inwalidzki, na którym zasiadł jeszcze jeden mnich, najwyraźniej z porażeniem mózgowym lub jakąś podobną straszliwą chorobą - dłonie wykrzywione pod nienaturalnym kątem, palce ułożone na kształt ramion płynącego kalmara, stulone czubkami-opuszkami, przekrzywiona głowa, puste spojrzenie, utkwione w czystym, świeżo wygrabionym żwirze alejki. Wysoki mnich, jakby wstydząc się za kalekiego druha, zerknął na niego, szybko wyjął z kieszeni habitu oślepiająco białą chusteczkę i otarł nią usta kaleki. Ten, czy to pod wpływem zbyt mocnego dotknięcia ręki, czy kątem oka widząc niezwykle widok: kobietę w męskiej pustelni, podniósł głowę i nawet utrzymał ją niemal nieruchomo przez kilka sekund. Potem majtnęła mu się, jakby ułożona na rozchwierutanych przegubach, i omal nie opadła do tyłu - mnich z czarno-białymi włosami zdążył podtrzymać ją, ustawić w zwykłej chyba pozycji - pochyloną, lekko przekrzywioną - i dopiero wtedy popatrzył na Sandrę, która zwolniła wyraźnie, stając między dziwną parą i różanecznikiem. Popatrzył jej w oczy, powstrzymał się od tego, od czego nie potrafiła powstrzymać się większość mężczyzn - nie zlustrował całej jej nienaganej niemal sylwetki, przeskoczył wzrokiem na Krystiana, skinął lekko

głową, jakby byli znajomymi. Zaskoczony Sommer znowu szurnął podszwą, wymruczał jakieś przywitanie, ni to: „Niech będzie pochwalony”, ni to: „Zdrowia życzę, ojczu”. Kaleka nie zwrócił na niego uwagi. Krystian minął parę, dogonił Sandrę. Wtedy usłyszał z tyłu:

310

-
Od... wagi...

Nie do końca tak to zabrzmiało, raczej: „hy-od-ddy-wa-a-gi-y-yhy...”, musiał to wypowiedzieć siedzący na wózku inwalida, Krystian powstrzymał się od odwrócenia głowy, choć sam nie potrafił sobie wytłumaczyć dlaczego. Dogonił tylko Sandrę i szybko, po niemiecku, przekazał jej życzenie kaleki. Kolejny raz zadziwiło go opanowanie Sandry, jej umiejętność wzniesienia się ponad stereotypowe: „Niemożliwe?!”, „A co to może znaczyć?!” czy banalne do bólu: „Patrzcie, kaleka, a jaki życzliwy!”. A może w ogóle to nie było „odwagi”, tylko coś zupełnie innego, i na dodatek kierowane nie do nich, ale do opiekuna?

Weszli do obszernego holu, a raczej pomieszczenia, które stało się holem, recepcją, przedsionkiem do pokoi hotelowych „bezpieczników”, ozdobionych specyficznymi radzieckimi marszczonymi, jasnymi zasłonami, żywcem z epoki leninowskiego Kremla. Przewodnik bez słowa skierował się ku prowadzącym na górę schodom po prawej stronie, ale tuż przed pierwszym stopniem gwałtownie skręcił w prawo, jakby dopiero tu przypomniał sobie o właściwym kierunku, i podszedł do drzwi, nad którymi przebiegały schody. Drzwi były zamknięte, alumn wyjął klucz, otworzył je, cofnął się i wskazał Sandrze wejście. Gdy kobieta i za nią Krystian przekroczyli próg, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Sam nie przekroczył progu korytarza.

Krystian i Sandra zostali sami, korytarz był jasno oświetlony, nad karnymi szeregami drzwi świeciły lampki, które miały chyba pomóc utrudzonym rozrywkami prominentom bezpieki sforsowanie bez szwanku drzwi swoich pokoi. I nie swoich. Krystian przechwycił pytające spojrzenie Sandry, wzruszył ramionami i objąwszy ją ruszył do poprzecznie przyklejonego korytarza. Gdy dotarli do niego, zerknął w lewo, ale pociągnięty za rękaw, szybko odwrócił głowę w prawo. Z lewej zresztą nic ciekawego nie było: pusty korytarz, z prawej zaś kończył się on otwartymi drzwiami, przez których prostokąt przeszedł mężczyzna w habicie - szarym z amarantowymi szerokimi mankietami. Mężczyzna szybko odwrócił głowę w stronę gości i równie szybko wyprostował kark, co mogło być odebrane jak zwyczajne skinienie albo wskazanie kierunku. Krystian poczuł nagle wzbierającą w nim irytację. W jednej chwili poczuł się urażony, i przez to, że jakiś blond zbir zabił mu matkę i czyhał na jego zdrowie, i że jacyś policjanci, zarówno niemieccy, jak i polscy, korzystali z jego wiedzy, nic w

311

zamian nie dając, i przez to, że jego spokojne jednak, stateczne, mieszczańskie i wygodne życie zostało zburzone, skręcone, posplatane z wątkami życiowymi innych, nieznanym mu ludzi, a przede wszystkim przez to, że musiał się ciągle podporządkowywać: a to ludziom, a to okolicznościom, a to jednemu i drugiemu...

Warknął jakieś pytanie, ale mnich już zniknął za futryną i ścianą. Sandra wysunęła się o ćwierć kroku i zajrzała mu w oczy.

- Co jest? - zapytała szeptem. - Co cię rozjuszyło?

-
Wszyscy nami sterują, kierują tam, gdzie im wygodniej! - syknął. - I

nadal nic nie wiemy, mało się domyślamy, a przez takie prowadzenie za rączkę przez kolejnych wujków jeszcze się wściekam. Oby ten mnich nie był tym, który zbierze wszystkie... gniewne słowa... jakie mi się cisną na usta.

Uśmiechnęła się i przelotnie musnęła ustami jego wargi. Pomogło. Krystian westchnął i pokiwał głową, bezgłośnie informując, że już mu lepiej, już przeszło.

Doszli do pokoju, Krystian przytrzymał Sandrę i wszedł pierwszy.

Z prawej strony, tam, gdzie przeszedł mnich, stał niski stolik i dwa fotele przed nim, cały zestaw pamiętał chyba czasy Breżniewa, a na pewno Jelcyna, solidne drewno i gruba warstwa politory, na której zęby połamałyby sobie wszystkie korniki i termity świata.

Dokoła stolika i foteli zwiisały od sufitu, przypięte do niespotykanych, pewnie wykonanych na zamówienie kolistych szyn, ciężkie szare zasłony z gęsto tkanego lnu. Krystian pomyślał, że musiały do czegoś służyć czekistom, do czegoś interesującego, zaskakującego. Striptizu z podglądaniem? Orgii, też z podglądaniem? Przecież czemuś te portierey musiały służyć?

-
Sadities', dieti moi... - rozległ się głos zza zasłony.

Szeleszczący i jakby utkany z wyłącznie bezdźwięcznych głosek, musiał należeć do szczupłego starego osobnika, o szarej cerze i pergaminowych ustach.

Przed oczami Krystiana stanął William Hickey z *Honoru Prizzich*, kompletnie nieprzystający do utrwalonego w wyobraźni ludzkiej widoku prawosławnych duchowych - obfitych, dostojnych, mówiących basem mężczyzn z bujnymi

włosami i brodami, których pozazdrościłby Karol Marks.

Dłoń Sandry w jego palcach drgnęła.

312

-

Mamy usiąść - powiedział po rosyjsku, umyślnie głośno, żeby pokazać, że nie da sobie narzucić atmosfery tajemnicy, konspiracyjnej zakulisowej rozmowy. - Czy musimy rozmawiać w takiej niemiłej dla nas... - chciał powiedzieć „atmosferze”, ale w ostatniej chwili uznał, że o atmosferze nie wie zbyt wiele, dopiero przecież wszedł do tego pomieszczenia - ...takim niemiłym otoczeniu?

-

Postaramy się... - zaszemrał głosik - ...jeśli uznamy, że możemy sobie ufać, wzajemnie ufać, usunąć wszystkie zasłony...

-

Dobrze. Choć wolałbym, skoro jesteśmy partnerami, żebyśmy też mieli coś do powiedzenia - parł Krystian, znowu rozeźlony na sytuację, otoczenie, niewidocznych - bo wyczuwał, że za kurtynami siedzi więcej ludzi - rozmówców czy może tylko słuchaczy. - Tu jesteśmy postawieni w roli... - szukał odpowiedniego słowa, nie znalazł rosyjskiego odpowiednika słowa „petent”, użył innego - ...klienta. - „Niedobrze, ani trafne, ani grzeczne” - pomyślał. - Kogoś proszącego, chciałem powiedzieć. Ale ja mam wrażenie, że dokoła nas dzieją się jakieś ważne sprawy, że możemy być tym płatkim śniegu... - brnął w objaśnienia, coraz bardziej zły na siebie, że oddala się od sedna tematu - ...który upadnie i wywoła lawinę...

-

Co masz na myśli, synu? - gwałtownie wtargnął do rozmowy ktoś trzeci,

na pewno lepiej niż Hickey zbudowany.

Krystian szybko wrócił do swoich własnych słów, zaintrygowany, co wzbudziło dość energiczną reakcję rozmówcy.

-

Kompletnie bez mojej wiedzy... bez żadnych z mojej strony ruchów, zostałem wciągnięty w jakąś aferę, której wagi i rozmiarów mogę się tylko domyślać... - powiedział. - Dokonano kilku zamachów na mnie, na moje życie, potem została zamordowana moja matka, zakonnica - dodał i od razu rozzłościł się, że wykorzystuje matkę do załatwienia swojej sprawy. - Ale to nie ma nic do rzeczy - dodał szybko. - Została zamordowana przez tego samego człowieka, który chciał mnie porwać albo zabić. Został, na szczęście, schwytany i siedzi w więzieniu. Ale to też niewiele mi daje, bo... - odetchnął głęboko, szukając najlepszego wątku i najcelniejszych słów - ...bo zaintrygowany postępowaniem tego człowieka, tych ludzi, bo było ich trzech, ale potem jeden zginął, tak więc...

-

A możemy wprowadzić do naszej rozmowy trochę elementów dyscyplinujących, logicznych i uporządkowanych? - przefrunął ponad kotarami, bo przebić ich chyba nie był w stanie, głosik pierwszego dyskutanta.

313

Krystian odetchnął jeszcze raz.

-

Dobrze, opowiem, jak umiem najlepiej w tym języku, który znam słabo, niestety... - Powiódł wzrokiem po suficie. - Mój ojciec popełnił samobójstwo, gdy miałem pięć lat, dwadzieścia osiem lat temu. Moja matka nagle się nawróciła

i poszła za klasztorne mury. Ja i starsza o cztery lata siostra zostaliśmy oddani bratu mamy, wujowi, który mieszkał w Niemczech. Po kilkunastu latach wuj zmarł, nadal mieszkamy z siostrą w Niemczech, mam dwa obywatelstwa. Miesiąc temu napadli na mnie trzej mężczyźni, uciekłem im, usiłowali mnie potem przejechać samochodem, a w końcu gonili za mną do mieszkania. Udało mi się uniknąć spotkania z nimi. Ci sami ludzie, jak się dowiedziałem później, zabili trzy zakonnice w Zakliczynie, w tym moją matkę, najwyraźniej była torturowana, żeby wydobyć z niej jakieś dane. Te inne siostry podobno zginęły przypadkowo, może mordowano je, by zmusić matkę do mówienia. Potem ci ludzie jechali samochodem i mieli wypadek, jeden zginął. W dniu pogrzebu matki pozostali dwaj zaatakowali nas, moją siostrę i mnie, jeden został ranny albo zabity, nie wiem, a ich przywódca siedzi w polskim więzieniu. Wcześniej ja, zaciekawiony całym tym zamieszaniem, i trochę kierując się chęcią zemsty albo przynajmniej wyjaśnienia powodów śmierci matki, udałem się do domu, który wiele lat temu należał do mojej rodziny, i znalazłem tam pewien tajemniczy przedmiot...

-

Czy twoja siostra może potwierdzić to, co zostało przez ciebie powiedziane? - odezwał się drugi głos, ten pełniejszy.

-

Tak, tylko że ta kobieta, która jest ze mną, nie jest moją siostrą. - Zerknął na Sandrę. - To moja narzeczona. Siostra jest w Niemczech i... - „Powiedzieć? Cholera, znowu się odślaniam...” - ...stara się o przekład dokumentu, jaki znalazłem.

-

Dokumentu?!

-

Dokumentu?!!

Ten chyba cherlawy okazał się odrobinę szybszy, za to drugi głos, ten znacznie silniejszy, pokrył szelest pierwszego.

-

Tak. Znaleźliśmy dokument w trzech językach, mamy nadzieję, podpie-
rając się nimi wzajemnie, odcyfrować cały zapis. Zakładam, że to jest ta rzecz,
której uparcie... szuka ten morderca...

314

-

Chwileczkę... Poczekaj synu... - zaszeleścił głos.

Za kotarami odbywała się narada, słyszeć było stłumione szepty, czasem
młaśnięcie języka, Krystian szybko pochylił się do Sandry i - nie kryjąc się
specjalnie - pośpiesznie streścił jej treść rozmowy, uniknął tylko wyjaśnienia jej
roli przy swoim boku.

Z tyłu, zza kotar wyłonił się alumn, chwycił skraj portiery i energicznie po-
ciągnął za sobą. Wszystkie ściągnął w jeden koniec elipsy na suficie, odsłaniając
całkowicie pomieszczenie.

Za kotarami zasiadali trzej bardzo starzy mnisi, najchudszy musiał być po-
siadaczem specyficznego syczącego szeptu, dwaj inni byli mniej więcej jedna-
kowej postury, przeciętni. Jednym z nich był opiekun kaleki z wózka. Sprawiał
wrażenie, jakby nie uczestniczył w gorączkowej naradzie za zasłonami - wpa-
trywał się w Krystiana smutnymi zaczerwienionymi oczami, oczami zawziętego

bibliotekarza, w marnym świetle ślęczącego nad katalogowymi fiszkami. W błyszczących załzawionych oczach widniał smutek, jakby właśnie się zorientował, że cała jego praca poszła na marne, że katalogował nieistniejący księgozbiór albo biblioteka spłonęła.

Posiadacz dźwięcznego głosu pogłaskał się po piersi.

-
Chcielibyśmy zobaczyć to twoje znalezisko... synu - dodał po ułamku sekundy wahania.

Głos jego brzmiał dość twardo, ale nie był to człowiek nawykły do wydawania niemiłych poleceń. Na pewno jednak zadrzał z pragnienia zapoznania się ze „znaleziskiem”.

Odczekawszy chwilę, Krystian sięgnął do kieszeni i wyjął grubą kopertę.

Znajdowały się w niej dwa tuziny ściągniętych z Internetu fotografii: gliniane tabliczki, skorupy z różnego rodzaju napisami, powierzchnie naczyń pokrytych runami. Między innymi było tam zdjęcie dwu z trzech boków „trojaka” - obrobione za pomocą komputera tak, by krawędzie zostały zatarte i nie zdradzały prawdziwego kształtu naczynia. Krystian zastanawiał się chwilę, po czym wstał i podał wszystkie zdjęcia temu najbardziej postawnemu. Dwadzieścia cztery.

Mnich rzucił okiem na pierwszych kilka zdjęć, potem rozłożył je w wachlarz, zdradzając niezłą wprawę karciarza. Chwilę wpatrywał się w „talię”, potem

315

gwałtownie podał je „skrybie”. Ten wziął plik, spokojnie przełożył kilka kart, wyjął jedną, zawahał się, czy poświęcić uwagę tej właśnie, przejrzał do końca plik, wyjął drugą kartę i położył obok pierwszej na kolanie. Resztę przejrzał

jeszcze raz i oddał hierarsze. Dwom wybranym poświęcił dobre dziesięć minut.

W tym czasie pozostali wstrzymali oddechy, Krystian zajął się wpatrywaniem w szyny na suficie, przelotnie spojrzął na Sandrę, ta kątem oka zobaczyła ruch jego głowy, odwróciła się i posłała mu pełen otuchy uśmiech. Nagle poczuł, że cała ta sprawa, tajemnice, ucieczki, zagrożenie, śmierć matki nawet, odchodzą na dalszy plan. Krew uderzyła mu do głowy, przypomniał sobie noc, całą noc, bo zasnęli dopiero wtedy, gdy za oknami mdło rozjarzył się świt i sygnaturka gdzieś na terenie monasteru jękliwie wybrzęczała godzinę piątą. A Sandra...

Coś wklinowało się w jego sprośne, z powodu lokalizacji, myśli.

-

Da?

-

Pytam, skąd masz to? - Mnich-opiekun niepełnosprawnego trzymał w dłoni zwrócone w stronę Krystiana fotografie.

Bez błędnie wybrał z pliku te dwa, które - jak sądził już niezachwianie Krystian - spowodowały lawinę koszmarnych wydarzeń. Zapytany przełknął ślinę, skinął głową, zorientował się, że nie chodziło o potwierdzenie.

-

To było w skrytce po jakichś moich praprapradziadkach. Był też list, napisała w nim chyba moja praprababcia, że to sekret rodziny, wywodzący się z... - pomachał palcami, szukając odpowiedniego rosyjskiego słowa, i nie znalazłszy, dokończył po prostu: - ...z historii. Templariusze, tajemnica ponura i ważna, jakiś straszny sekret, ale nie wiem jaki. Do tego było to - wskazał ruchem głowy fotografie.

-
Tylko to? Te teksty? - łagodnie zapytał mnich.

-
Nie. To tylko fragment... opakowania. Właściwy tekst... jest... - Krystian
wzruszył ramionami.

-
Tylko nie to!... Boże! - jęknął indagujący zakonnik.

Fotografie wypadły mu z rozcapierzonych spazmem palców, starzec wychylił się do przodu i, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, runął na kolana, zasłaniając sobie jednocześnie twarz rozłożonymi dłońmi. Krystian rzucił spojrzenie na Sandrę, ale ta patrzyła na hierarchów, przeniósł i on wzrok. Reakcja obu mnichów była zadziwiająca i zaskakująca: ten chudszy patrzył na Krystiana,

316

nie na klęczącego brata, patrzył na Krystiana! Z nadzieją?! Jak na zbawcę, na tego, kto przynosi ulgę, ukojenie, pocieszenie, spokój wreszcie. Drugi, ten basujący, patrzył na Krystiana krańcowo odmiennie. W jego wzroku dominowała zwyczajna nienawiść, zwyczajna, ale silna, rozległa i bezwzględna jak ocean. Klęczący jakby zrozumiał zaskoczenie tak odmiennymi reakcjami, podniósł twarz, odsłonił ją i ukazał jeszcze jeden wariant reakcji na słowa Krystiana: radość. Tym niezwyklejszą, że to on powiedział: „Tylko nie to”...

„Teraz muszę to rozegrać mądrze i dobrze” - pomyślał Krystian. Znowu rzucił okiem na Sandrę. Ta popatrzyła na niego, spokojnie i łagodnie, i wydało mu się, że jest w tym spojrzeniu przypomnienie.

-

Gdy interlokutorzy się podniecą, zachowaj cyniczny chłód i spokój, wyzyskaj, wykorzystaj ich podniecenie, niech oni mówią, a ty tylko kiwaj głową i rzucaj mądre uwagi, podniecające i oszałamiające, jak strzępy mięsa do basenu z rekinami - powiedziała mu, gdy rzucił w przestrzeń, że nie wie, jak poprowadzić rozmowę - tak, by nie zdradzić, że niewiele wie, a zasugerować coś kompletnie przeciwnego. - W mojej pracy - wyznała Sandra, przelotnie pocałowawszy go w usta - często siadam do stołu negocjacji, nie mając żadnych danych albo niewiele. I potrafię...

-

Ba, ty! - roześmiał się Krystian. - Piękna kobieta... Wystarczy... Hej, chodzisz na takie spotkania w bluzce z dekoltem?

-

Oczywiście, mam to zapisane w zakresie obowiązków służbowych!

-

No! Wystarczy, że sięgniesz do stojącej przy krześle torby, żeby interlokutorzy stracili wątek, a potem na wyścigi usiłowali go odzyskać albo wręcz wyskoczyć przed nie tak szybkich kolegów. I po chwili masz na tacy wszystkie dane. Czyż nie tak?

Z fałszywą albo raczej teatralną skromnością zatrzepotała rzęsami.

-

Najchętniej tobie bym powierzył prowadzenie rozmowy - westchnął Krystian.

-

Nie, to, niestety, z wielu względów, niedobry pomysł - również wes-

technęła Sandra.

Przez długą chwilę w pomieszczeniu panowała dziwna ruchliwość: każda z uczestniczących w rozmowie osób jakby nagle otrzymała inny program, obejmujący ruchy, miny, gesty, ale nie otrzymała głosu, komendy uruchamiającej

317

słowny przekaz. Monachowie kiwali się i usiłowali porozumieć się za pomocą spojrzeń, Krystian wahał się między ponagleniem mnichów, przyspieszeniem działania i spokojnym „punktowaniem”, gdy tylko się odsłonią. Klęczący zakonnik chyba szlochał z twarzą ukrytą w dłoniach, jego „zwierzchnik” gniewnie albo rozpaczliwie pomrukiwał i „hmykał”, przenosząc wzrok z płaczącego na Krystiana, by skończyć na szczupłym kapłanie, który był - po Sandrze - najmniej ruchliwą osobą w pokoju: chwycił łapczywie powietrze, z szelestem wpuszczał je do płuc i z innym szelestem wypuszczał.

W końcu ten klęczący przetarł oczy, oderwał dłonie od twarzy, patrzył chwilę na Krystiana, potem sięgnął do tyłu, znalazł podłokietniki swojego drewnianego krzesła, wczepił się w nie, poderwał z wysiłkiem i usiadł.

-

Kak tiebia zawut, syn moj? - spytał po rosyjsku.

-

Krystian - odpowiedział zapytany.

-

Cristianus... Oznaczające „chrześcijanin, należący do Chrystusa” - rzekł pustelnik. - To może...

-

Przepraszam, ale powiedzmy to sobie od razu - eksplodował Krystian.

Czuł, że nie postępuje właściwie, politycznie, ale napięcie minionych tygodni, upychane pod bieżące wydarzenia, nagle wygrzebało się spod przykrycia i zażądało energicznych działań. - Jestem niewierzący, nie wojujący ateista, ale raczej agnostyk, a jeśli źle rozumiem to słowo, to po prostu - nie wierzę w Boga, przynajmniej takiego, jakiego przedstawiacie nam wy, siwego staruszka siedzącego na obłoku z pękiem piorunów w lewej dłoni i sercem w prawej, nie wierzę w waszą liturgię, rodem z ciemnego średniowiecza, w blichtr, złotogłów, kapy, monstrancje i dzwonienie i pienia, pienia, pienia, te same, te same durne błagalno-proszalne teksty, przeprasające diabli wiedzą za co. Jak ma nowoczesny fizyk, który rozwała atomy na strzępy, wierzyć, że Bóg stworzył świat? Pewnie może, może powiedzieć: kwarki, owszem, ale to Bóg je stworzył. Ale ja tego nie kupuję!

-

Krystian! - głośny szept Sandry przerwał jego filipikę. - Krzyczysz? Co krzyczysz?

Odetchnął głęboko. Potrząsnął głową.

-

Niepotrzebnie... Uniosłem się. Oni sugerują, że moje imię ma jakieś znaczenie w tej sprawie. Co to - mam prowadzić krucjatę? Może zostać papieżem?

318

Ten najchudszy chyba rozumiał niemiecki, bo zatrzepotał ręką, ale jednocześnie rozkaszał się potężnie, sycząco-chrypiąco... Krystian uniósł rękę w przepaszającym geście.

-
Synu... jestem ojciec Kirił - powiedział nagle ten najlepiej zbudowany.

Zaskoczony nagłą zmianą tematu rozmowy, Krystian wpatrywał się w niego oszołomiony. - Igumen tej pustelni. Ze mną są dwaj mnisi: ojciec Fieodosij... - wskazał wzrokiem pokaszującego cherlawego braciszka - ...i brat Iłarion, nasz bibliotekarz, skryba, tropiciel tajemnic, kronikarz... - Mówiący łagodnie złożył dłonie i takim klinem z palców pomachał w tę i z powrotem. - Proszę, daj mi coś powiedzieć, synu... - Wciąż trzymał ręce złożone w ostrą piramidkę na wysokości piersi. - Myślmy, konkretnie brat Iłarion myśli, że masz w ręku największą tajemnicę Kościoła, sekret wiary...

-
Kod Leonarda? - prychnął Krystian.

-
Kod Leonarda to nędzna plotka w porównaniu z tym, co, jeśli się nie mylimy, zawiera ten... pojemnik.

-
Zołotaja Gołowa - wysyczał brat Fieodosij.

-
Może właśnie to - skinął głową nieskończenie cierpliwy ojciec Kirił.

-
Chodzi o rzeźbę? - zapytał z głupia frant Krystian, pamiętający, co powiedziała przez telefon Urszula.

-
Nie, nie, nie! Tu chodzi o coś niezmiernie ważnego, w tym sensie jest to

rzecz pierwszorzędnej wagi, najważniejsza, o kapitalnym znaczeniu. Dokument, zapis, kronika. Nazywane jest to testamentem Baphometa...

-

A dlaczego to was tak interesuje? - drażył Krystian. Miał wrażenie, że w tej chwili panuje w tym pomieszczeniu, że jest najważniejszy, że to on tasuje i rozdaje karty, przypierał więc do muru starców prawosławnych. - Jeśli się nie mylę, to nie ma większej zgody między Cerkwią prawosławną i Kościołem katolickim?

Ojciec Kirył przez kilka chwil się zastanawiał, poruszając w sposób niezbyt skoordynowany wargami.

-

Wiara to wiara... - bąknął w końcu, sam niezbyt przekonany do swoich słów.

-

Ale papież Jan Paweł II dosolił wam nieźle, co? - rzucił Krystian przekonany, że przygwoździ tym prawosławnych

319

Cała trójka zareagowała zgodnie i zupełnie nie tak, jak tego oczekiwał Krystian.

-

Ty masz, synu, kompletnie wypaczone spojrzenie na tę sprawę - bąknął w końcu Fieodosij. - Wam, Polakom, wydaje się, że pozyskaliście cały świat? Tak? - Krystian wzruszył ramionami. Tak mu się wydawało. - Otóż jesteście w olbrzymim błędzie i niedługo się o tym przekonacie. Przesada w każdą stronę jest

ryzykowną rzeczą, wy zaryzykowaliście i przegraliście. Utknęliście w średnio-wieczu, reszta Europy się z was śmieje...

-

A prawosławie to niby nowoczesne? - patriotycznie obraził się Krystian.

-

Prawosławie może i nienowoczesne, ale ono adresowane jest do innych ludzi, długo jeszcze nie grożą nam wstrząsy, a jeszcze po waszym krachu...

-

Jakim krachu? - zmarszczył czoło Krystian. - O czym my mówimy?

Ojciec Kirił popatrzył na brata Iłariona, skinął ledwie widocznie głową. Iłarion westchnął, wciągnął dolną wargę i trzymał ją chwilę uwięzioną między zębami. Potem westchnął raz jeszcze, wypuścił wargę i zaczął:

-

Dysponujemy dokumentem, który może być odległą, niepełną i może nawet przekłamaną, umyślnie lub nie, kopią tego, co ty znalazłeś. Mówi się w nim o rzeczach, które katolikowi przejść przez gardło nie mogą...

-

Cóż takiego? - zapytał szybko Krystian. - Jeśli katolicy zaczytywali się powieścią, w której mowa jest o żonie Chrystusa, to co może być jeszcze bardziej bulwersujące dla przeciętnego wierzącego? - Uśmiechnął się. - Może tylko informacja, że Chrystusa wcale nie b y ł o, że nie istniał!?

Prychnął i przejechał spojrzeniem po całej trójce monachów. Ci patrzyli na niego uważnie. Uśmiech spelzł Krystianowi z twarzy.

-

Nie mówcie... że... poważnie...

-

Nie - westchnął znowu Iłarion. - Nie mówimy. Nie mówimy, że Chrystus jest postacią fikcyjną, nie... Ale...

W kieszeni Krystiana zadygotała komórka i buchnął radosny i jakoś tu nie-stosowny riff z *Ticket to Ride* The Beatles. Klepnął się w kieszeń, najpierw zamierzając wyjąć i wyłączyć telefon, ale zaraz po klepnięciu zmienił zdanie.

„Dlaczego ja, dorosły, pełnoprawny człowiek, mam ulegać zachciankom jakiegoś eremity? Nic mi nie mówią, nie podpowiadają, nie traktują jak współ-nika, tylko wyciągają ze mnie, co mogą, co i m potrzebne, kompletnie się nie

320

zastanawiając, czy mi to do czegoś potrzebne. Nie obchodzi ich moje zdrowie, życie, nic - ich cholerne sekrety są najważniejsze. Czy Chrystus umarł w cnocie, czy Urban XXXIV wyleczył hemoroidy, czy matka Renata miała sześć palców u stóp, czy tylko płaskostopie... Odbiorę, niech nie myślą...”

Wydłubał komórkę z niewygodnej kieszeni.

-

Tak? Słucham?

-

Pan Sommer?

-

Tak... - odparł lekko zdziwiony, nie poznając głosu.

-

Prowadzący pana sprawę w Niemczech to Kornhause, Kornbaum czy

Kroswitz? To takie pytanie kontrolne. Jeśli nie może pan mówić, proszę powiedzieć, że Kornhause i poprawić się. Jeśli może pan mówić swobodnie - od razu właściwe nazwisko?

-

Kornbaum... - padła szybka odpowiedź.

-

Dobrze. Czyli z panem wszystko w porządku?

-

Tak - odparł zdziwiony coraz bardziej Krystian. - Czy coś się stało?

-

Tak. Stało, i wbrew regulaminowi i instrukcjom chcę pana o tym powiadomić. Mianowicie - nasz blond gangster uciekł z aresztu. Niestety, ktoś się przebrał za policjanta, wykorzystał nieuwagę dyżurnego i wyprowadził tego pańskiego „Rubika”.

-

Bez żartów, panie... - zgubił się w gąszczu stopni i funkcji - proszę pana!

Jak to uciekł?

-

Przecież mówię, miał współnika. I już. Więcej nic panu powiedzieć nie umiem i nie mogę, i zresztą nie chcę. Tyle się panu należy, więc powiadamiam pana.

-

To szczyt!... - sapnął oburzony i wystraszony Sommer. - Taki człowiek?

Poczwórny czy diabli wiedzą ilokrotny morderca, i wy go puszczacie wolno?!!

-
Nie puszczaamy, tylko uciek! - warknął rozeźlony już nieźle Nieskoba. -

Zdarza się w najlepszych więzieniach, a nasze najlepsze nie jest!

-
Tak, ciągle o tym czytam: to wam jakiś „Baranina” ucieka, to inny „Po-
łeć”, a wy...

-
Proszę pana! Zaczynam żałować, że w ogóle panu o tym powiedziałem.

Nie było moją intencją straszyć pana...

321

-
Dlaczego pan myśli, że jestem wystraszony? - wycedził przez zęby Kry-
stian.

-
Bo tak się zachowuje człowiek przerażony - padła zdecydowana odpo-
wiedź. - A pan nie ma powodu do niepokoju.

-
Tak? - zjadliwie zapytał Krystian. - A na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Że niby ten już sobie da spokój, bo się - może!? - was wystraszą...

-
Nie! - niemal krzyknął Nieskoba. - Ścigamy go i dopadniemy, zabił po-
licjantów, za to musi odpowiedzieć...

-
Aha! - też krzyknął Sommer. - Jak zabije cywila, to nie musi, a jak stróża

cholernego porządku - to tak!

-

Tak! Musi! I odpowie. Jak go schwytamy. Na razie niewiele możemy zrobić, bo zwiął na Białoruś. Dlatego może pan spać spokojnie! - wysyczał Nieskoba. Najwyraźniej planował dodać coś jeszcze, może o Sandrze, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. - Do widzenia panu!

W słuchawce melodyjnie zaplumpkał dźwięk rozłączenia.

Krystian siedział skamieniały z oczami wbitymi w ścianę nad głowami pu-
stelników i nie zauważał ich. Z trudem dotarło doń, że ktoś go ścisnął za łokieć i szarpie z narastającą siłą. Oderwał ciężkie ołowiane spojrzenie i popatrzył na Sandrę.

-

Ten morderca... uciekł... - wychrypiał. Cała jego hardość, z jaką chwilę temu rozmawiał z mnichami, ulotniła się w mgnieniu oka, pozostawiając lęk, zdumienie, niedowierzanie. - Zabił jeszcze policjantów, naraził się jeszcze mocniej, ale zabił i uciekł.

-

Co za kanalia! - powiedziała po prostu. Wychyliła się i pogłaskała Krystiana po głowie. - Nie przejmuj się tak bardzo, ten człowiek...

-

Idzie naszym tropem! - eksplodowało mu w głowie i nie utrzymało się tam. Wskoczyło i w ustach, na języku, nabrało dźwięku. - Pojechał podobno na Białoruś!

-

Co się stało, synu? - zainteresował się igumen. - Otrzymałeś niedobre wieści?

-

Bardzo niedobre - powiedział, siląc się na spokój, Krystian. Zawahał się, czy podzielić się z braciszkami ponurymi wiadomościami, ale Sandra położyła mu rękę na udzie i nacisnęła. „Im też może grozić niebezpieczeństwo!” - powiedziała tym sposobem. Sommer skinął głową.

322

-

Człowiek, który zabił moją matkę i usiłował zabić mnie, uciekł z więzienia. Jest bezwzględny mordercą, opętany jakąś pasją, ukierunkowanym na jakiś jeden cel, związany ze mną. - Poczuł, że serce mu łomocze jak w stanie przedzawałowym, przerwał, odetchnął kilka razy głęboko. - I teraz wiemy, że ten człowiek pognał naszymi śladami na Białoruś. Może być niedaleko, może być za plecami...

-

Może też ma tam coś innego do zrobienia? - odezwał się przenikliwym szeptem ojciec Fieodosij. - Może w ogóle jest z ichniego KGB?

-

Bardzo mało szans. - W głowie Krystiana huczało i łomotało, ale zmuszał się do myślenia o sprawie, do logicznego, wyrachowanego, wyrozumowanego, jak mawiała jego starsza siostra, myślenia. - Takie przypadki zdarzają się tylko w niezdarnych scenariuszach z Indii albo... Boż-że, co ja plotę?

-

Kris?... O czym mowa? - Sandra nie wypuszczała łokcia Krystiana.

-
Przepraszam. - Uniósł rękę i powstrzymał pytanie milkiwego eremity.

Tamten uśmiechnął się porozumiewawczo, pokiwał głową i jakby się cofnął.

Gdyby stali, już byłby o dwa kroki od Krystiana. - Muszę wprowadzić w okoliczności narzeczoną.

Po raz pierwszy szczerze się ucieszył, że Sandra nie zna rosyjskiego. Przetłumaczył jej wszystko. Zdziwiła się, ale nie przesłoniła ust dłonią.

-
Podąża za nami... - stwierdziła. - Dlaczego? Masz jakiś pomysł?

-
Tylko ten - pokręcił głową - że zdobyliśmy coś, co on chciał zdobyć.

Albo co musi zdobyć. Było ich kilku, to już jakby załążek bandy albo jakiegoś komanda do specjalnych poruczeń. - Poruszył ręką, jakby opędzał się od dwóch natrętnych much, tam i z powrotem. - Myślę, że powinniśmy teraz jednak się rozstać, Sandro...

Otworzyła usta, ale gwałtownie pomachał ręką.

-
Poczekaj. To nie jest miejsce, może i nie czas, ale kocham cię, i dlatego nie możesz być ze mną. Przecież wiesz, że jeśli ten drań przystawi ci lufę do skroni, zrobię wszystko, ma więc nas w rękę. Wiem, ty też tak postąpisz, czyli jesteśmy ugotowani.

-
A gdyby...

-

Gdybyśmy mu oddali to, czego chce i zwiali gdzie pieprz rośnie? - za-

pytał, nie doczekawszy się końca pytania. - Nie, to nie przejdzie. My mu nie jesteśmy do niczego potrzebni, trzepnie nas jak muchy.

323

Zastanawiali się chwilę nad jego słowami. Nie można było nic z tym zrobić.

Sandra dwa razy nabierała powietrza i dwa razy wypuszczała je bez dźwięku.

Najwyraźniej zamierzała protestować, ale logika i rozsądek brały górę nad emocjami.

Krystian poczuł, że rozpiera go duma. I rozczulenie.

Brat Fieodosij zasyczał coś do swojego przełożonego, ale ten z uwagą śledził przebieg rozmowy pary z Niemiec. Jakby znał ich język bardzo słabo i musiał się mocno nagimnastykować, żeby zrozumieć. Albo „wręcz naprzeciwno”, jak powiedziała kiedyś Sandra, nie znał języka kompletnie, ale usiłował coś zrozumieć z min, gestów, intonacji. Czując na sobie badawcze spojrzenie Krystiana, zacisnął na chwilę usta, potem poprosił:

-

Powiedz nam o nim coś...

-

Wygląda jak... Możecie sprawdzić, jak wygląda polski kompozytor Piotr

Rubik? - Ojciec Fieodosij skinął głową. - Kiedy go widziałem, wyglądał jak jego

kopia, bliźniak. Tyle że miał zimne, bezwzględne oczy, nie myślałem, że takie

mogą w ogóle być. - Zastanawiał się chwilę, popatrzył na Sandrę: - Jak byś

scharakteryzowała tego człowieka, który nas ściga?

-

Lodowiec. Zmienny. Bezlitosny.

-

A wygląd? - zmarszczył brwi. - Pokazywałem ci Rubika... - powiedział cicho skonfundowany Krystian. Dla niego morderca matki miał jedno stałe oblicze. Nie istniał w innej postaci.

Pokręciła głową:

-

Ma twarz nijaką. Robioną. On ją robi. Nie zdziwię się, gdy pojawi się w postaci dziewczyny, starca, Murzyna czy garbusa.

-

No nie, chyba przesadzasz. - Spróbował się uśmiechnąć, ale nie za bardzo mu to wyszło. - Nie dam rady przełożyć tego na rosyjski.

Sandra się uśmiechnęła. Uczyniła to lepiej niż Sommer. Wskazała oczami milczących w napięciu mnichów.

Krystian zebrał siły oraz słówka i zaczął przekładać rysopis bandziora, kompilując wersję swoją i Sandry. Ojcowie słuchali w napięciu, najwyraźniej przejęci sytuacją i głównym jej aktorem, człowiekiem przypominającym jakiegoś muzyka, przypominającym, zdaniem Sandry, tylko do chwili, kiedy uzna, że lepiej będzie, jeśli upodobni się do kogoś innego. Po wysłuchaniu kulawego opisu

324

oprawcy pustelnicy wymienili pełne bezradności i zdziwienia spojrzenia.

-

Myślisz, że może was wytropić? - zapytał ojciec Kirył.

Lęk w jego głosie nagle rozzłościł Krystiana. Poczul się... zdradzony. Po-

rzucony, opuszczony w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

-

Każdy, kto interesuje się tą cholerną tajemnicą, gdy dochodzi co do czego, ucieka, podciągając, cholera, obsrane gacie! - warknął do siebie po polsku.

- Ojczulkowie prezentują - przeszedł na niemiecki - moralność egocyniczną:

chcieliby się pobawić sekretem, ale jak tylko się dowiadują, że nadchodzi ktoś z bacikiem w rękę - dają nogę.

-

Dlaczego tak sądzisz?

-

Nie słyszysz, jak mu drży głos? - unikał wskazania igumena Kiryła spojrzeniem. - Pyta zalekniony, czy ten „Rubik” może tu dotrzeć naszym śladem.

-

A myślisz, że może?

-

Serio - to tak myślę. To zawodowa maszyna do zabijania, jeśli rzucił się na Białoruś, to przecież nie na urlop.

-

Nie pomyślałeś, że on ucieka? Musi uciec z kraju, gdzie zabił kilka osób...

„Dobrze, że nie powiedziałem o policjantach! - pomyślał Krystian. - Ale coś w tym i tak jest - musi wiać. Zwłaszcza gdy przelała się krew stróżów prawa. Na całym świecie policja staje na głowie, gdy chodzi o zemstę za kolegów. Złoczyńcy muszą wiedzieć, że podniesienie ręki na policjanta karane jest obcięciem

ręki do łokcia”.

-

...do wyboru albo Czechy, albo Niemcy - ciągnęła Sandra, nie wiedząc, że Krystian przeniósł się do biblioteki ze swoimi myślami - ...albo Ukraina. Z tego, co wiem, Białoruś ma najgorsze oficjalne stosunki z Polską. Też bym wybrała kraj, z którego mnie szybko nie deportują. Kraje Unii: Litwa, Czechy, Niemcy, muszą przestrzegać pewnych procedur, Białoruś nie.

Podrapał się po karku.

-

Może masz rację. - Myślał chwilę. - Pewnie masz rację. No tak - gdzieś uciec musiał, w Polsce paliło mu się pod nogami szczególnie mocno. -

Uśmiechnął się - miał nadzieję - krzepiąco.

„To nie może być takie łatwe i proste. Albo inaczej - pomyślał - nie wolno nam myśleć, że to jest łatwe i proste. To tak, jakby się miało nadzieję, że śmierć

325

przepije swoją kosę albo ją zastawi, albo zgubi, albo nagle zastrajkuje na wiek?!

A my musimy działać, jakbyśmy czuli zimny oddech tego drania na swoich plecach”.

Przetłumaczył teorię Sandry mnichom, czując, jak wzbiera w nim niechęć do nich, do ich radości, gdy dotarło do nich, że skoro okrutny złoczyńca nie zmierza do ich pustelni, to mogą przestać przejmować się problemem.

„Jak dzieci!” - pomyślał.

Skarcił się za niecne myśli - w t y m miejscu, dotyczące tych osób.

Ale widząc ich miny, miny trzech spiskowców, knujących coś za plecami

gości, rozeźlił się ponownie.

Wstał.

-

Myślę, że wszyscy potrzebujemy kilku godzin na rozmyślania, na za-
stanowienie się. Proponuję, żebyśmy się spotkali... - Popatrzył na zegarek, -

Dochodzi jedenasta, O pierwszej?

Ojciec Kirił pokręcił głową.

-

Bogosłużeniye. O drugiej?

-

Proponuje spotkanie o drugiej, wcześniej mają mszę - wyjaśnił Krystian
problem Sandrze.

-

Dobrze.

-

Czy ktoś może sprawdzić rozkład jazdy z... jakiejś najbliższej stacji? W
obu kierunkach: do Moskwy i do Polski - poprosił Krystian.

Igumen skinął głową.

-

Posadzę kogoś z młodych przy komputerze - powiedział, dziwnie wy-
mawiając słowo „komputer”. - Przygotuje pełny wykaz. A ja mogę użyć swoich
wpływów na kolei...

-

Ale proszę o kogoś dyskretnego - powiedział Sommer. - Żeby nie było

tak, że ten drań ruszy za nami bezzwłocznie...

-

Bez obawy - zapewnił go ojciec Kirył. - Jeden jest i bystry, i dyskretny.

Sam bym skorzystał z tych jego cech...

-

No to do zobaczenia o drugiej. - Krystian dotknął ramienia Sandry. Ta

wstała, uśmiechnęła się do mnichów. Powiedziała: - *Da swidanije?*

-

Na końcu „a” - mruknął pod nosem Krystian.

326

Obdarzył pożegnalnym uśmiechem całą trójkę, w milczeniu i nieruchomo obserwując wychodzących gości.

„Jak to jest po rosyjsku? Takie ładne słowo, coś jak bałwan, ale nie śniegowy, tylko obelisk kultowy... *A! Istukan! Tri istukana!* ”

Do swojej kwatery doszli w kilka minut.

W pokoju, nie zrywając się ani nawet nie rozmawiając, bez słowa rzucili się na siebie. Ubrania zległy na podłodze, w ukośnych promieniach słońca wirowały nieważkie srebrzyste drobiny kurzu.

Chrystus nadal nie wydawał się zgorszony.

„A powinien być! - pomyślał nagle Krystian Sommer. - Szykuje się jakiś zamach na Niego, a On sobie spokojnie... Spokojnie wisi na krzyżu...”

31. 22 KWIETNIA, 23.30

Pociąg. Znow pociąg. Dla Azraka, jak dla większości Rosjan, ten środek lokomocji był czymś tak oczywistym, jak woda i powietrze. Nie w sensie życio-

dajnej siły, ale czegoś, co jest tak naturalne, że prawie się tego nie zauważa. Rosja podróżuje głównie koleją, żelazne drogi są dla tego kraju niczym żyły i arterie dla ludzkiego organizmu.

Ale tamten pociąg był inny.

Azrak pomacał zęby przez opuchnięty lekko policzek. Szóstka lekko się ruszała, bolało. Do gardła spłynęło kilka kropel krwi. Przełknął. Pod marynarką, po wewnętrznej stronie ramienia, czuł chłodną już, zastygającą posokę. Nie swoją.

Ruszył w stronę ciemnego lasu.

Pociąg... Kojarzył się Azrakowi ze sławetną grą w rosyjską ruletkę, tyle że rolę bezdusznych kul grali tutaj żywi ludzie. Wprawdzie równie bezdusznymi jak te kule, ale jednak żywi i dlatego o wiele groźniejsi, funkcję zaś komór magazynku pełniły w pociągu wagony. Różnica była jeszcze taka, że o ile rewolwerowe pociski czyhają na człowieka, o tyle te tutaj polowały na siebie nawzajem.

Azrak pochwycił trop. Śledził i był śledzony. Co więcej, zdawał sobie doskonale sprawę, iż zarówno obiekt jego zainteresowania ma świadomość, iż

327

jest obserwowany, jak i ten, który podążał jego śladem, wie doskonale, że weteran nie oślepnął nagle, nie uległ gwałtownej demencji i musiał dostrzec nieomyślne symptomy inwigilacji. Ale obaj nie wiedzieli jednego - że samotnemu mężczyźnie od dawna jest tak wszystko jedno, iż stał się bardziej niebezpieczny niż przyczajony wśród traw, wygłodniały grzechotnik.

Wszyscy reprezentowali sprzeczne interesy, lecz pragnęli tego samego. Ale w tym towarzystwie tylko jeden z nich był wojownikiem. Prawdziwym wojowni-

kiem. Jednak Azrak zbyt długo już był tym, kim był, aby pozwolić sobie na luksus niedoceniań przeciwnika. Zawsze istnieje zagrożenie, że mniej doświadczonemu żołnierzowi dopisze szczęście, że zdoła zaskoczyć starego wyjadacza. Dlatego nie wykonywał gwałtownych ruchów. Właściwie nie wykonywał żadnych ruchów. Czekał. Trwał w przedziale niczym pajak w sieci, licząc na to, że zdobycz sama wpadnie mu w ręce.

Nie pomylił się. Była dokładnie dwudziesta trzecia piętnaście, kiedy usłyszał delikatne skrobanie. Ktoś usiłował bezszelestnie otworzyć zamek solidnych drzwi przedziału sypialnego. Rzecz jasna, nie było to trudne, gdyż stosunkowo prosty mechanizm nie mógł stawić długiego oporu. Dla kogoś nieprzygotowanego te machinacje byłyby niesłyszalne, utonęłyby bez reszty w monotonnym stukocie kół.

„Afganiec” położył się, rozluźnił mięśnie, przymknął powieki, zaczął oddychać równo, leciutko pochrapując. Drzwi uchyliły się powolutku, w szczelinie ukazało się czujne oko. Azrak skrzywił się nieznacznie, poruszył ręką, przekręcił nieco głowę w stronę ścianki działowej. Tego nie uczono chyba w żadnej szkole wywiadu, ale major Staczenko, lis nad lisy, wpajał żołnierzom pewne zasady, wyjawiał tajemnice, przelewał wiedzę zdobytą przez lata praktyki zarówno podczas wojen, jak i tajnych misji. Któż bowiem lepiej niż zawodowy zabójca wie, jak oszukać ofiarę... Leżenie zupełnie bez ruchu było bardziej podejrzane, niż właśnie takie drobne czynności, po których człowiek pograża się w jeszcze głębszym śnie.

Intruz najpierw zamarł, a potem śmieiej otworzył drzwi. Azrak wiedział już, że zyskał pewną przewagę. Może niewielką, ale w takich okolicznościach liczy

się każdy, najdrobniejszy nawet atut, każde uderzenie serca. Tamten zamierzał go

328

zabić. Przez przymrużone powieki Rosjanin widział walec tłumika, kierującego się w jego głowę. Zachował spokój, wciąż czekał. Pociąg właśnie wjechał na most, zaczęło trochę mocniej bujać. Palec zaczął bardzo powoli ściągać spust. Cichutki strzał pyknął niespodziewanie. Intruz się zwinął, otworzył usta do krzyku. Nie zdążył jednak wydobyć głosu, bo potężne kopnięcie w splot słoneczny wyparło zeń dech. Azrak natychmiast rzucił się ku drzwiom i zatrzaskał je. Podniósł do góry głowę napastnika, spojrział prosto w zamglone bólem oczy, odłożył na bok broń. Z roztrzaskanego kulą kolana płynęła krew. Mężczyzna dusił się, walcząc o łyk powietrza. Azrak pokręcił głową. To był ten, który za nim chodził. Dziwne. Przez cały czas był przekonany, że agent ma go tylko pilnować, zobaczyć, dokąd się uda. Widać jego mocodawcy uzyskali już dość informacji, i to zapewne takich, których wciąż jeszcze nie posiadał stary żołnierz. Ale ten tutaj nic wiedzieć nie mógł - zwykły, tępawy cyngiel, jakich pełno po wszelkich policjach. Pewnie były funkcjonariusz, obyty z pracą operacyjną i zapewne sprawdzający się doskonale przy podobnych okazjach. Lecz tym razem nie miał do czynienia z nieświadomą, zaskoczoną bądź przestraszoną ofiarą.

Chyba że... Azrak oblizał wyschnięte nagle wargi. Była jeszcze jedna możliwość. Przecież ten, kto zlecił zadanie, musiał zdawać sobie sprawę, że do pokonania weterana potrzeba kogoś więcej! Ten biedak miał być tylko mięsem armatnim, wysłanie go było manewrem odciągającym, może zabezpieczeniem... Wprawnym ruchem wydobył z pochwy nad kostką nóż, i równie zręcznie odchylił głowę napastnika w stronę przeciwległej ściany. Krew trysnęła purpu-

rowym, w niepewnym świetle prawie czarnym strumieniem. „Afganiec” szybko się obrócił, żeby zdążyć do drzwi, zanim te odskoczą z trzaskiem, a do kabiny wedrze się...

Suchy grzechot serii rozdarł ciszę. Azrak chwycił krawędź półki, zgiął się wpół, uderzył obcasami w sufit. Strzelający podążył za ruchem, postąpił o krok - i to był wielki błąd. Gdyby skupił się na samym przeciwniku, a najlepiej wypuścił cały magazynek w to samo miejsce, w które celował na początku, stojąc na korytarzu, musiałby trafić weterana, który już opadał z powrotem, a nie miał dokąd odskoczyć. Ale w chwili, kiedy znalazł się wewnątrz i zadarł lufę, był pokonany. Stopy Azraka opadły prosto na pistolet maszynowy. „Skorpion” upadł

329

na podłogę, a niedoszły zabójca uderzył plecami w okno na korytarzu. Wysokie kopnięcie minęło jego twarz o włos, gdy odruchowo odchylił się w bok. Jednak drugie okazało się o wiele celniejsze i bardzo dotkliwe. Kość piszczelowa zapłonęła żywym ogniem. Azrak chwycił wroga za barki, wciągnął do przedziału, zatrzasnął drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką sobie życzył, było ściąganie na siebie natychmiastowej uwagi pasażerów, a co za tym idzie - również obsługi pociągu. Od chwili gdy wybrzmiała seria do zamknięcia przedziału minęło nie więcej niż dwie sekundy. Ledwie puścił klamkę, usłyszał, jak na korytarz wyskakują ludzie. Uderzył prześladowcę hakiem pod żebra, prosto w wątrobę, potem naciągnął na kolano wykrzywioną bólem twarz. Tamten okazał się nadspodziewanie twardy. Oddał. Miał pociągnięcie, to doświadczony wojak, musiał przyznać. Właśnie ten cios rozpaczy spowodował pewne spustoszenie w jego ustach. Ale też i odpowiedział zaraz solidnie. Musiał się powstrzymać, żeby nie zatłuc wroga.

A zabić go nie mógł, przynajmniej na razie. Potrzebował informacji.

-

Mów - warknął prosto w rozbitą twarz. - Gdzie jest ten, którego szukam?

Tamten splunął śliną zmieszaną z krwią.

-

Pierdol się - wykrztusił z trudem. Azrak otarł policzek rękawem.

-

Powiesz, robaczku, powiesz wszystko.

-

Pierdol się.

„Afganiec” pomyślał przelotnie, że agent rządowy powinien dysponować bogatszym słownikiem.

-

Jak chcesz.

Bez ostrzeżenia uderzył znowu w wątrobę. Zdawało się, że nieszczęśnik z bólu zwinie się tak mocno, iż sam sobie połamie żebra. Azrak rzucił go na wąskie łóżko, podniósł mu rękę, oparł o ściankę, z krótkim rozmachem wbił nóż w nadgarstek. Raniony zawył, ale głos stłumił kawał szmaty wetkniętej do ust.

Weteran miał dosłownie dziesięć-piętnaście minut, zanim biegający w popłochu ludzie sprowadzą kogoś, kto zacznie metodyczne dochodzenie w sprawie niedawnego hałasu.

-

Teraz pogadamy. - Wprawnie wbił igłę strzykawki w żyłę na wolnym przedramieniu ofiary.

A potem, po wszystkim, musiał wyskoczyć przez okno, gdy konduktor zaczął dobijać się do drzwi. Był oczywiście w stanie sterroryzować pasażerów i obsługę, zatrzymać pociąg i uciec, ale w tłumie zawsze może znaleźć się jakiś niewczesny bohater. Na dziś miał dość rozlewu krwi. A poza tym, wcale nie mógł być do końca pewien, czy tych dwóch to wszyscy. FSB i GRU potrafiły zaskakiwać nawet tych, którzy doskonale znali ich metody.

Szedł w stronę drzew. Gdzieś w dali zapiszczały hamulce pociągu. Konduktor wdarł się wreszcie do środka i zobaczył jatkę.

Azrak uśmiechnął się pod nosem. Teraz już wiedział dostatecznie dużo, żeby podjąć dalsze działania.

32. 24 KWIETNIA, 10.50

Szosa była niedawno poprawiona, wylano nowy asfaltowy dywanik, poboczy jeszcze nie obrobiono, nierówno zachodziły na żwir, czasem nawet, jak na słynnym obrazie Salvadora Dalego, tym ze spływającym przez krawędź stołu zegarem, przelewały się do rowu. Ale było gładko, więc wypożyczony w smoleńskim oddziale Hertza citroen raźnie śmigał w kierunku granicy z Białorusią. Krystian długo się wahał, zastanawiali się oboje na dworcu w Smoleńsku, ukryci w małym barku biało-seledynowego budynku w stylu sowieckiego „art deco” - wieżyczki, kolumny, ogromna czerwona gwiazda miasta-bohatera ZSRR obok herbu miasta na frontonie - czy powinien wracać do Niemiec krótszą drogą przez Białoruś, czy względnie bezpieczniejszą, bo z małym prawdopodobieństwem spotkania z jasnowłosym mordercą, przez byłe republiki nadbałtyckie. Stańło jednak na białoruskiej trasie - tym sposobem Krystian miał szansę, jadąc z ma-

lymi przerwami, w ciągu kilkunastu godzin znaleźć się pod opieką polskiej policji. Rozstrzygnął telefon do Nieskoby, który - zdenerwowany informacją o miejscu pobytu Sandry i Krystiana - niemal zażądał możliwie szybkiego powrotu do Polski. Obiecał nawet, że na granicy z Polską poda Krystianowi telefony do kolejnych komend, które roztoczą nad samochodem Krystiana pewien, możliwie skuteczny, nadzór.

Pożegnawszy się z Sandrą na peronie i odczekawszy, aż odjedzie pociąg, do

331

którego nie wsiadł nikt przypominający mordercę, Krystian wskoczył do samochodu i ruszył z maksymalną dozwoloną prędkością przez miasto. Nie miał szans wyprzedzić pociągu, ale udawał przed sobą, że jest to możliwe, na szosie wyprzedzał wszystkie pojazdy, tylko kilka bogato wyposażonych nowobogackich maszyn pędziło jeszcze szybciej niż on.

Nawigator podpowiedział, że minął Gusino, gdzie pociąg miał pierwszy przystanek po Smoleńsku, Sandra była tu dwadzieścia kilka minut temu. Zapalił kolejnego papierosa, choć poprzedniego zgasił, nie dopaliwszy nawet do połowy z powodu drapania w gardle. Widząc przydrożny motel, „Tbilisi”, nie budkę z pierożkami i lurowatą kawą, zdecydował, że wstąpi na szklankę soku, kawę, może jakiś lekki posiłek, z rozsądku, żeby nie palić na czczo. Włączył kierunkowskaz i zwolnił, zjechał na prawy pas, potem na parking przed motelem.

Wysiadł z wozu, otworzył bagażnik i długą chwilę bobrował w torbie, zerkając na szosę. W najbliższym otoczeniu nie działo się nic, co mogłoby wzbudzić w nim zaniepokojenie.

Uruchomił alarm, skierował się do motelu. Wszedł po schodach do holu,

gdzie recepcjonistka o urodzie gruzińskiej księżniczki, o kruczoczarnych włosach upiętych w imponujący kok i smoliście czarnych oczach, zapytana o restaurację, wskazała drzwi i odprowadziła go spojrzeniem aż do progu. Krystian przypomniał sobie starą piosenkę Ałły Pugaczowej, której tekst - jakoby - inspirowany był prawdziwym zdarzeniem: zakochany na zabój mężczyzna zakupił milion róż i rozrzucił je w nocy na placu pod oknami sypialni ukochanej.

„To musiała być ta kobieta - pomyślał. - Albo jej babcia. Nie sposób nie zakochać się w takiej urodzie”.

W menu królowała gruzińska, jak sądził, kuchnia: zupa *charczo*, *cza-*

chochbili, kurczak *tabaka*, niemający, jak wiedział, nic wspólnego z tytoniem, tylko będący wariantem kurczaka, przepołowionego, rozbitego tłuczkiem i

smażonego pod ciężkim przykryciem albo w specjalnej patelni z przykręcaną pokrywką. Nagle poczuł głód i napływającą do ust ślinę. Zamówił sok z granatów, kurczaka i mocną, podwójną herbatę, zdecydowany zachować gruzińską konwencję kulinarną. Z głośników sączyła się ludowa muzyka we współczesnych aranżach, ni to discopolowych, ni to nowofolkowych. Wypił pół szklanki

332

soku, skrzywił się w duchu - nie był to sok ze świeżo wyciśniętych owoców, co najwyżej ze świeżo otwartego kartonu. Wyjął z kieszeni koszuli GPS i chwilę przeglądał zaproponowaną trasę. Mapa Rosji nie oszołamiała bogactwem szczegółów, właściwie oferowała tylko najważniejsze drogi, lepiej było ze stolicami: starą, Sankt Petersburgiem i nową, Moskwą, ale te okolice przecież go nie interesowały.

Kelnerka, ruda i ze sporą nadwagą, niepasująca do gruzińskich klimatów

lokalu, ale sympatycznie się uśmiechająca, postawiła na stole podgrzany talerz z

płatami miękkiego płaskiego placka, z przypieczonymi bąblami na powierzchni, i trzy miseczki z sosami. Krystian oderwał kawałek placka, skosztował po kolei wszystkich sosów, za najlepszy uznał czosnkowy.

„Nie będę się całował, mogę cuchnąć czosnkiem” - pomyślał.

Sięgnął po kolejny kawałek placka, zdecydowany zapytać o jego nazwę, gdy na stolik padł cień. Krystian podniósł głowę, przekonany, że kelnerka przyniosła mu zupę *charcio*.

Przy stoliku stał wysoki mężczyzna, z ręką na piersi, pod tweedową marynarką. Zaskoczony Sommer otworzył usta, ale ten pokręcił znacząco głową.

-

Nic nie mów, po prostu się nie odzywaj - powiedział po polsku.

Krystian poczuł, że w przełyku rodzi się kwaśna czosnkowa kula, omal nie zwymiotował na stół. Zakrztusił się i rozkaszał.

Po głosie rozpoznał mężczyznę, który w Berlinie kilka tygodni temu kazał mu wsiąść do samochodu.

Po głosie i po oczach - zimnych, lodowatych kamiennych, bezdennych oczach.

„Jak to?... Przecież inny... Kompletnie inaczej wyglą...”

-

Siedź spokojnie, tylko wskaż mi krzesło, ja siądę i będziemy jeść i rozmawiać. Dobrze?

Krystian wykonał rozkaz.

„Sandra mówiła, że wygląda tak, jak chce... Kameleon!... Czego chce?”

-

Nie próbuj żadnych numerów ze mną. To jest kraj, gdzie ludzie na odgłos strzału padają na podłogę i nie wzywają milicji, dopóki nie są pewni, że przestępcom już ona nie zagraża. Bandyści skutecznie wyedukowali Rosjan: nie

333

wtrącaj się pomiędzy lepszych od siebie i lepiej uzbrojonych. - „Rubik”, czyli teraz krótko ostrzyżony szatyn z lekko posrebrzonymi skrońmi, bakami i krótkim szorstkim wąsem, rozsiadł się wygodnie, poruszył palcami pod marynarką.

-

Jak się słusznie domyślasz, mam tam broń. Możesz nie wierzyć i rzucić się do ucieczki. Wtedy się przekonasz, ale będzie za późno. - „Rubik” rzucił krótkie spojrzenia w prawo i lewo, sala była kompletnie pusta, kelnerki też nie było widać. Płynnym ruchem wysunął rękę spod marynarki, coś szcęknęło, ręka nabrała przyspieszenia, wyprostowała się. Skamieniały Krystian patrzył na dłoń, dopóki nie usłyszał soczystego stuknięcia.

W brzeg wielkiej donicy, z której wyrastała metrowej wysokości agawa, wbił się ciężki, czarny, ponuro wyglądający nóż.

„Rubik” wolno się odwrócił i zimno uśmiechnął się do Krystiana. Potem wstał i nie spuszczać z niego wzroku, podszedł do donicy i wyszarpnął z niej nóż. Za jego plecami pojawiła się kelnerka, poruszała się bezszelestnie po grubym chodniku, ale morderca jakoś ją wyczuł: odwrócił się i skinął głową.

-

Zupy nie będę jadł, ale kurczaka poprosimy na dwie połowy, dobrze?

Kelnerka uśmiechnęła się z lekkim przymusem, zatrzymała, okręciła na pięcie i zniknęła za filarem, skąd głośno krzyknęła do kucharza zapewne, żeby

podzielił „ptaka” na dwie porcje.

„Rubik” wrócił do stołu, rzucił Krystianowi znaczące spojrzenie: „Wypróbujesz mnie?”, i usiadł przy stole.

-

Będziemy tu chwilę siedzieli, ale i tak powiem krótko: masz coś, co tobie nie jest potrzebne, a jest potrzebne mnie. To sprawa gardłowa, życia i śmierci, śmiertelnie poważna i ważna, i jak tylko chcesz ją nazwać. Żeby to zdobyć, nie cofałem się przed niczym, wiesz to. - Nie uśmiechnął się do Krystiana, ale na mgnienie oka wykrzywił usta, poruszył wargami, rozciągając je i ściągając niemal w tym samym momencie. Pochylił lekko głowę w stronę skamieniałego, zahipnotyzowanego jak pliszka przez kobrę, Sommera. - A tylko rusz się, zrób coś głupiego. I tak cię stąd wywlokę, bez względu na ilość trupów, a potem porozmawiamy. I do tego ta twoja Szwabka... - Przez chwilę uważnie wpatrywał się w Krystiana. - Nie myśl, że udało ci się mnie wyrolować, dopadnę ją bez trudu, znam adres, znam...

„Mówi, że zna, ale nie udowodnił... - pomyślał spanikowany Sommer. - Do

334

granicy jeszcze półtorej godziny jazdy pociągu... Ale?!! Przecież skoro on jest tu, to Sandra jest bezpieczna!”

-

Pewnie się, gnoju, spodziewasz, że będę kręcił, że nic nie mam, że nie wiem, że nie mam nic wspólnego... - Usłyszał słowa ulatujące z własnych ust i nagle, paradoksalnie, ucieszył się z własnej odwagi. I - jakby za dotknięciem magicznej różdżki - ustał łomot serca i przestały się kleić do siebie wyschnięte

złodowaciałe wargi. - No to ci powiem, że mam coś. Pewnie to jest to, czego tak śmiertelnie pragniesz. Wsadź sobie te pragnienia w zadek. Nic z tego. Może byś coś i wyciągnął ze mnie, gdyby tu była... - „Żadnych imion, nic, co by mogło mu pomóc, nic!” - ...ta, jak to elegancko ująłeś, Szwabka!

„Rubik” wziął do ręki platerowany nóż, Krystian uśmiechnął się z wyższością: „Wiem, możesz mnie dźgnąć. Tylko na tyle cię stać?!”. Morderca wprawił nóż w ruch wirowy, niemal zrobił z niego śmigło, i nagle spokojnie odłożył go na stół.

-

Powiem tak... - przerwał, widząc zbliżającą się kelnerkę, odczekał, aż postawiła talerz z mocno czosnkową i ziołową pomidorową przed Krystianem, przesunęła miseczkę z grubo posiekаныmi ziołami: kolendra, bazylią, koperkiem.

- Jedz spokojnie. A ja wracam do sprawy.

Krystian przysunął talerz do siebie. Błysnęła myśl, że może chlusnąć gorącą zupą w twarz zabójcy, ale potrawa była ledwie dobrze ciepła. Parzyła z powodu ziół i pieprzu. Zjadł kilka łyżek. Postanowił przeciągać, ile się da, pobyt w lokalu, dając Sandrze kolejne kilometry na szerokotorowym szlaku rosyjskich kolei państwowych. Dosypał ziół, podszczypnął kawałek placka.

-

Nie masz pojęcia, jak ważne jest to, co masz. Dla całego świata. Dla jednej połowy będzie to zapasć ich ideologii, ich przekonań, ich modelu życia, sposobu na życie. Dla drugiej - będzie to triumf. Do tej części ja należę, chcę triumfować, i będę.

-

A dla trzeciej połowy będzie to? Tak? - Sommer wybrał pęczek ziół z miseczki, strzepnął wodę i nonszalancko zaczął pogryzać liście. Chwilę wcześniej błysnęła mu myśl, że mimo tego, co mówił, „Rubik” nie może go zabić w tym lokalu, a więc będzie żył tak długo, jak długo się tu utrzyma. - Może ja jestem w tej trzeciej połowie i dla mnie to też ważne?

335

-

Nie rznij mi tu zucha z drużyny Wesołych Marchewek! - warknął rozmówca. Po raz pierwszy Krystian widział go zdenerwowanego. Uśmiechnął się, prowokując mordercę do działania.

I ten zadziałał.

Niewiarygodnie szybkim ruchem chwycił tępy nóż i zanim Sommer zdążył mrugnąć okiem, wykonał nim ruch, po którym Krystian powinien runąć na podłogę z rozchlastanym gardłem. Nie runął, tylko zachrypiał spazmatycznie - „Rubik” uderzył go w grdykę płasko, po prostu uderzył, nie przeciął nawet skóry.

Gdy Sommer złapał w końcu oddech i otarł łzy, drań zmierzył go ironicznym spojrzeniem. Po raz pierwszy w jego oczach pojawiło się jakiegokolwiek uczucie.

-

Tyle osób jest w to zaangażowanych, takie siły i środki, że już w tym kontekście ty, twoja siostra i twoja dziewczyna zupełnie się nie liczycie. Wiesz, jak śmierć trzech mrówek z gigantycznego mrowiska, liczącego kilka miliardów osobników. Rozumiesz? Dla mrowiska nic one nie znaczą, są ważne tylko dla siebie. Tylko dla siebie. - Zakręcił nożem na palcu. - Jedz swoją zupkę, nie mówię, że to ostatni posiłek, ale musisz być świadom istnienia takiego wariantu. -

Chwilę milczał. Krystian uznał, że niejedzenie będzie świadczyło o lęku, zjedzenie - przeciwnie, że się nie przejmuje groźbami „Rubika”. - Co wiesz o tym swoim skarbie?

-

Niewiele - powiedział Krystian, elegancko otarłszy usta białą wykrochmaloną, sztywną jak kirys serwetką. - Mam coś, co cholernie podnieca braciszków w tutejszych pustelniach, co - postanowił zablefować - wyrzywa ze snu naszych kościelnych hierarchów, mam nadzieję zdyskontować to znalezisko.

-

Ta-ak? A jak?

-

Zwyczajnie. Brutalnie, cynicznie i banalnie. Szmal! Rozumiesz? - Zjadł kilka łyżek, znowu otarł usta. - Nie chcę do końca życia wisieć na garnuszku siostry.

-

Twoje życie może potrwać tak krótko, że twoja siostra nawet nie zauważy, jak w tym czasie obciążasz jej budżet - powiedział cicho „Rubik”.

-

Ja to wiem z filmów, ale ty, taki kizior, powinieneś wiedzieć z życia - człowieka można przestraszyć do pewnego poziomu, nagiąć do pewnego łuku, potem już się nie boi, już się nie ugina. Ja się ciebie bałem przez dwa miesiące,

336

już mi zbrzydło to banie się. Będzie to, co być musi. Jak mnie zabijesz, to gówno zyskasz. Zabezpieczyłem się prymitywnie, ale - zapewniam cię - skutecznie.

-
A ty nie wiesz, jak skuteczne bywają tortury, jak łamią się ludzie, zawodowcy, fanatycy, psychopaci, porąbani w jednym temacie. Każdego można złamać... Igły, noże, wiertła w zębach, i te lepsze - neuroleptyki i ponad dwa tysiące wynalazków z laboratoriów służb bezpieczeństwa i armii całego globu.

-
Twoich kolegów? - Krystian znieruchomiał z łyżką w połowie drogi do ust, potem odłożył ją na talerz, a talerz odsunął. Odnotował z przyjemnością, że nie drżą mu palce. Jest spokojny jak głaz. Zimny głaz. „Może mogilna płyta?” - pomyślał. - Kim wy, do cholery, jesteście? Komusze KGB? Co wy macie do klasztorów, kościołów, zakonnic, ścierwa jedne, do Chrystusa? Gnoju!
Kelnerka, z daleka widząc napięcie panujące przy stoliku, odkaszlnęła dwa razy. Mężczyźni odsunęli się od stołu. Na środku stanęła na żeliwnym trójnogu skwiercząca patelnia. Kelnerka odkręciła pokrywę, odłożyła na drugi stół, zręcznie przełożyła na talerze po połowce ciemnozłocistego kurczaka, rzuciła, że już donosi resztę, niemal pobiegła na zaplecze i wróciła z ogromną tacą „garniru”: ziemniaków, frytek, ciemnego ryżu, kilku surówek i wszechobecnych zielonych ziół. Krystian nagle powziął szalony pomysł: wstanie i odejdzie niby do WC, w rzeczywistości rzuci się do recepcji i zażąda przyjazdu policji albo wręcz skoczy na recepcjonistkę i zacznie ją całować. Ta narobi wrzasku, zbiegnie się obsługa, kucharze z nożami, ochroniarze, kelnerzy, palacz... Napiął mięśnie ramienia, żeby zwrócić uwagę kelnerki, żeby stworzyć sytuację, w której „Rubikowi” nie będzie łatwo uderzyć go, spętać, w ogóle - zaatakować.

-

Rusz się tylko! - wycodził morderca. - Zabiję najpierw ją, potem tę gru-

zińską kniahinię z holu, ciebie nie, bo ciebie potrzebuję.

Odczekał chwilę, potem zajął się kurczakiem.

Krystian poczuł, że cała odwaga, jaką był do tej chwili przepelniony, znik-

nęła. Siedzący po jego prawej ręce człowiek czytał w jego myślach, jak gdyby

były spisane na ogromnym plakacie, zawieszonym na pobliskiej ścianie. Prze-

widywał jego reakcje i zapobiegał im za pomocą kilku słów, kilku słów ważkich i

ciężkich, jakby wypowiedzianych przez samą Śmierć. Teraz, gdy sięgnął po

widelec, nawet ślepy zobaczyłby, że palce mu drżą. Apetyt, stracony w tym

337

samym momencie, gdy zobaczył nieznanego przez chwilę mężczyznę, teraz

odleciał całkowicie; Krystian zdołał jednak chwycić sztucce i zaczął gmerać w

apetycznie przyrumienionym, pachnącym ziołami i przysmażonym tłuszczem

mięsie. Oprawca - przeciwnie, jakby dopiero teraz się rozluźnił, raźnie pochłaniał

kurczaka, umyślnie omijając spojrzeniem Krystiana. To była gra, demonstracja -

„Patrz, kompletnie się ciebie nie boję, panuję nad sytuacją, zawsze zdążę wy-

konać kontrruch”.

Pozornie, patrząc z boku, para bardziej lub mniej przypadkowych znajomych

pochłaniała, pewnie ze skąpstwa, jednego kurczaka na dwóch. Nie rozmawiali,

nawet na siebie nie patrzyli. Jeden jadł z apetytem, przegryzał szczypiorem i

bazylią, nie ruszał kolendry, drugi gmerał w mięsie, wydawało się, że nie je, tylko

niszczy porcję, żeby kucharz nie wcisnął nikomu innemu niedojedzonej czy

nawet nienaruszonej porcji. Potem ten niejedzący, widząc skinienie głowy

głodnego towarzysza, przywołał ruchem ręki kelnerkę i pomachał do niej kartą.

Skrzywiła się lekko, wolała gotówkę, bo i napiwki, i mniejsza odpowiedzialność

- zdarzały się rachunki płacone „lewymi” kartami, a wtedy ruszał na personel szef, który musiał na kimś wyładować swoje frustracje. Przyniosła terminal i uważnie wpatrywała się w płacącego cudzoziemca.

Zostawił spory, nadspodziewanie duży napiwek.

Krystian zostawił jej niemal równowartość rachunku. Żeby zapamiętała go, żeby w razie czego...

-

Idziemy. - Bandyta uśmiechnął się lekko do kelnerki, poklepał się po marynarce na piersi, jakby sprawdzał, czy ma portfel na miejscu. - Nie wiem, po co, ale jeszcze raz ci powiem: bez numerów, bo pożałujecie, cała trójka. A dodam ci, że wasze życie jest dla mnie gówniecznie ważne, dlatego mogę też je wam podarować. Bo potem nie będziecie nikomu do niczego potrzebni. Tego się trzymaj, to przeżyjesz. Przeżyjecie.

Wyszli do holu, kniahini przeniosła na nich ciemne góralskie spojrzenie węgli spod smolistych brwi, ale oszczędziła sobie i im swojego książęcego uśmiechu.

Na zewnątrz „Rubik” klepnął wierzchem dłoni Krystiana w pierś.

-

Kluczyki! - Przekręcił dłoń i pomachał palcami.

Krystian posłusznie sięgnął do kieszeni i włożył w dłoń mordercy kluczyki z brelokiem Hertza wielkości krążka hokejowego. Nerwowo rozejrzał się po

338

parkingu, ale był niemal pusty: jego citroen, zszargana łada niva, malowana zapewne pędzlem i chyba przez pijaną babcię właściciela, białe bmw, brudne i

leciwie. Żadnego człowieka, a już na pewno nie widział oddziału specnazu, a tylko taki widok wprowadziłby go w dobry albo choćby lepszy nastrój.

-

Idziemy.

Ruszyli w stronę Citroena, „Rubik” wyprzedzał Krystiana, ale szedł tylko o włos przed nim, świetnie wiedział, jakim samochodem przyjechał Sommer. Tuż przed wozem podał kluczyki Krystianowi.

-

Prowadzisz. Poczekaj z zapalaniem silnika.

Bolesnie dźgnął wyprostowanym wskazującym palcem biceps prawej ręki Sommera. Począł, aż Krystian wsiadł, szybko obszedł wóz od tyłu i wsiadł.

„Mogłem zapalić i uciekać! - pomyślał zrozpaczony Krystian. - „Już za późno... A może i nie było szans, zastrzeliłby mnie albo rozwalił opony”.

Posłusznie począł na polecenie, włączył zapłon i wolno ruszył w kierunku wyjazdu.

-

W prawo.

Czyli w kierunku granicy. Ale Sandra już jest za granicą. Co prawda tylko białoruską, ale i tak lepsza taka granica niż żadna, lepsza taka odległość...

-

Ta twoja panienka... - rzucił niedbale morderca. - Gdzie ją ukryłeś? Wyślałeś do kraju?

-

Tego to się akurat nie dowiesz! - warknął Krystian przez zęby.

-
Akurat - tak! - roześmiał się „Rubik”. - Neuroleptyki działają wybiórczo,
a niektóre są tak wyspecjalizowane, że wyciągają z człowieka właśnie te naj-
bardziej strzeżone sekrety. Im mocniej są strzeżone, tym lepiej się wyciągają. -
Rozparł się wygodnie w fotelu.

Krystian rozpaczliwie nacisnął pedał hamulca, jednocześnie uderzając z całej
siły ciosem przeciwnym do sierpowego pięścią w twarz pasażera. Jego przed-
ramię natrafiło na blokadę z twardych jak bukowe stylisko kości przedramienia
„Rubika”. W następnej chwili pięść tamtego wbiła się w bok Krystiana, z trza-
skiem łamiąc żebro albo dwa. Sommer wrzasnął, pochylił się, uderzając twarzą w
klakson. To znaczy uderzyłby, gdyby nie dłoń napastnika, która powstrzymała
jego nos o centymetry od środka kierownicy.

339

-
No, no! Bez hałasu - dobrodusznie rzucił „Rubik”. - Klakson nam nie-
groźny, ale i niepotrzebny. Jedź. Dwanaście kilometrów. Przed miastem zwol-
nisz do pięćdziesiątki i zjedziesz w lewo, pokażę ci. Tam się ulokujemy. - Roz-
parł się wygodnie i wskazał palcem przestrzeń przed przednią szybą. - A! Byłbym
zapomniał - sam czujesz, że boli, ale boli upiornie, jak się w to samo miejsce trąci
nawet palcem, nie wspomnę o kolbie pistoletu. Wiem, co mówię.

Bezczelnie puścił oko do wykrzywionego w spazmie bólu Krystiana. Potem
wyjął z kieszeni komórkę i zajął się ni to pisaniem bardzo długiego SMS-a, ni to
grą w kulki czy Arch Angel. Sommer zacisnął zęby i pokonując ból, otarł
wierzchem lewej dłoni oczy, prawą dłonią nie trzymał kierownicy, tylko trzymał

się jej. W prawym boku szalało piekło bólu, każdy ruch, nawet stopą na pedale gazu, koszmarnym echem odbijał się w obejmie ciała od pasa w górę.

Wyjechał na szosę i rozpędziwszy wóz na pierwszym biegu aż do wycia silnika, wrzucił od razu trzeci bieg, żeby zaoszczędzić sobie przeokropnego bólu, wywoływanego ruchem prawej ręki. Po długiej chwili wrzucił „piątkę”, wczepił się w kierownicę.

Kompletnie załamany, już się niecieszący, że Sandra bezpiecznie przekroczyła granicę, uświadomił sobie, że po pierwszym oszołomieniu, w jakie wprawił go stojący obok stolika „Rubik”, zastanawiał się, czy morderca działa sam. I założył pesymistycznie dla siebie, że nie.

Teraz zaczął sądzić, że to był jego dobry dzień.

W tym sensie, że dość dobrze rozszyfrował możliwości mordercy.

Zachowywał się zatem tak, jakby miał wsparcie.

Bo tak musiało być.

Miał wsparcie.

* * *

-

Teraz mnie posłuchaj...

-

Nic innego nie robię, tylko słucham twoich paranoicznych tekstów -

wykrztusił Krystian. Siedział niewygodnie skrzywiony w twardym drewnianym fotelu, do którego podłokietników oprawca przymocował mu ręce za pomocą jednorazowych opasek do kabli. Wcześniej wprowadził go do tego pomieszczenia,

boleśnie wykręcając rękę, z tego powodu Krystian nie mógł siedzieć wygodnie, czuł się tak, jakby ktoś wyszarpnął mu dwa stawy. Dlatego mimo opasek siedział wykrzywiony, ale w takiej pozycji najmniej bolała go lewa ręka. - Nie uczyli cię w twojej szkole... - chciał powiedzieć „oprawców”, ale tym samym jakby przyznawał się, że bandzior jest skuteczny - porąbanych szpiegów?

„Rubik” nie zwracał nań uwagi. Stał przy oknie małego pokoju i przez firanek przyglądał się ulicy.

Dom, do którego wprowadził Krystiana i w którym czuł się jak gospodarz - nie wiadomo, czy dlatego, że wynajął go, otrzymał w prezencie od kolegów po fachu, czy po prostu się do niego włamał - był mały, cuchnęło w nim stęchlizną i jakimś rodzajem kwasu. Bez słowa odwrócił się do Sommera, chwilę taksował go spojrzeniem. Następnie podszedł do szafki i wyjął dwie kasetki. Krystian, nie wiadomo dlaczego, uznał, że wyglądają wyjątkowo profesjonalnie, i takie były: wszystkie zamki, rygle, szufladki działały znakomicie, otwierając się, odsłaniając swoje wnętrza, w którym znajdowały się strzykawki, igły, waciki, fiołki z aplikatorami i atomizerami w jednej oraz dziesiątki, jeśli nie setki małych fiołek w drugiej.

Gospodarz irytująco spokojnie i beznamiętnie wyjął strzykawkę, dołożył drugą, uzbroił je w igły, potem chwilę zastanawiał się nad drugą kasetką.

-

Zaproponuję ci coś *special extra*! Bo musisz wiedzieć - mówił niemal jak do siebie, krzątając się przy kasetkach, nabierając i mieszając jakieś ciecze z fiołek - KGB, FBI, Mossad czy MI5 i inne Security zostały zdetronizowane! Otóż na światowym rynku pojawił się niedoceniany jeszcze nie tak dawno gracz -

uwaga, niedoszacowany Qingbaobu, czyli Wydział Wywiadu Chin. Albo i sam Wydział IX - do spraw antydefetyzmu i inwigilacji. To dopiero są fachowcy - widziałeś, co się działo na olimpiadzie w Pekinie? Skosili wszystko, co mogli i co chcieli, i nikt im niczego nie zdołał udowodnić. A my - odwrócił się i rzucił przez ramię do Krystiana - korzystamy pełnymi garściami z osiągnięć chińskich kolegów. Wyciągają z delikwenta takie niuanse!... - pokręcił w podziwie głową. - Myślę, że gdyby chcieli, to mogliby zrobić z ciebie... - Zerknął ponad własnym ramieniem na bladą ofiarę. - Lubisz latawce? - Krystian nie odpowiedział. - Jeśli nie lubisz - bierzesz dwie iniekcje i stajesz się wielkim miłośnikiem latawców w kształcie krowy. Tak, tak! Bo oni działają niezwykle precyzyjnie, z chińską pieprzoną precyzją.

341

Odwrócił się do Krystiana z dziwną, podwójną strzykawką w ręku. Dwa zbiorniczki z tłokami uruchamianymi jednym przyciskiem i dwie igły - jedna złota, druga srebrna. W zbiorniczkach kołysały się dwa słupki cieczy, purpurowy i szmaragdowy.

-

Ot, choćby to. - Podniósł i wysunął w stronę Krystiana dziwaczną strzykawkę. - Chiński katamarán, czyli *Jiyng-Ona-Soi*! Kto by pomyślał, że wprowadzanie do organizmu składowych w odstępie ułamka sekundy, w ściśle określonych proporcjach, zmienia radykalnie działanie specyfiku. - Zrobił krok i zatrzymał się. - Powiem ci, że - tak sędzę - chinole zakatowali bliżej nieznaną, ale wielką i przerażającą liczbę własnych obywateli, zanim odważyli się wypuścić to między białych ludzi. - Pokiwał głową. - Tak, pewnie brali setki czy wręcz

tysiące więźniów, dysydentów czy jak ich tam sobie nazwali, i wstrzykiwali to, co za chwilę wchłoniesz i ty, ale już nie królik doświadczalny, nie! W pełni świadoma i odważna *mencizna!* - Dopiero na końcu pozwolił sobie na lekkie zabarwienie głosu kpina, wcześniej wszystko mówił ze śmiertelną powagą. - Ostatnia uwaga i szansa: albo gadasz i mogę jeszcze odłożyć dawkę za jakieś dwa tuzeny jurków, albo się stawiasz i wtedy to pójdzie w żyłę, skąd już nie odzyskamy ani pieniędzy, ani preparatu! - zagroził.

Krystian zacisnął zęby.

-

A wiesz, że z bólu ludzie wyłamują sobie stawy? - zapytał beznamiętnie

„Rubik”, ruszając znowu w stronę Krystiana. - Takie spazmy, że ręka w łokciu wyłamuje się w drugą stronę!

-

Piep... rzę... cię...

-

Och! Zabolało mnie! - Niczym Nicholson w roli Jokera wierzch dłoni

przyłożył do czoła, zamknął oczy i pokiwał głową. Potem odsunął rękę. - Jedziemy - rzucił przerażająco obojętnie, jakby mowa była o ruszeniu spod kompletnie niepotrzebnie palących się w głuchej wsi w nocy świąteł.

Krystian zacisnął zęby jeszcze mocniej. „Rubik” podszedł i szarpnął mankiet koszuli, guzik prysnął, Krystian jak zaczarowany patrzył, jak skacze, odbijając się od podłogi, i na końcu turla pod szafę.

-

Powiem! - wykrztusił. - Dokument ukryłem w Berlinie, oczywiście.

„Rubik” zatrzymał dłoń ze strzykawką w połowie ruchu, przekreślił głowę i jakby nasłuchiwał. Westchnął. Świetnie się bawił, trzymając swoją ofiarę w

342

profesjonalnie wyostrzonych szponach.

-

A dokładniej? To jest trochę miasta do przeszukania, nie sądzisz? - W

piwnicy... Nie powiem czyjej! - wrzasnął Krystian. – Żebym zdechł - nie powiem.

Ale jak przyjedziemy na miejsce i przekonam się, że Marcie nic nie grozi - oddam ci to i rób sobie, co chcesz!

-

Jakiej Marcie? - zapytał oprawca, marszcząc czoło. - Ach, rozumiem:

żart, *joke*, *szutka*, *Witz*? Śmieszne, tak, śmieszne i zabawne - dokończył tonem

otępiałego ze zmęczenia grabarza. - Sprawdzasz, czy wiem, kogo ścigam... -

westchnął. - Marta jeszcze się nie przewinęła przez naszą opowieść. Chyba że...

Nieważne.

„Chyba że jedna z sióstr w Zakliczynie miała na imię Marta” - dokończył za niego w myślach Krystian.

„Rubik” stał o krok od niego i - chyba - naprawdę się zastanawiał. Widocznie jednak uznał, że wydobyte siłą czy przy pomocy farmakologii zeznania przyniosą więcej kłopotu niż dobrowolne, cofnął się i uważnie przyjrzał Krystianowi.

-

Dobra. Na razie wycofujemy się z chińskiego katamaranu. Ale dostaniesz co innego, żeby ci nie chodziły po głowie głupie myśli...

Wrócił do swoich kuferków i zajął się przygotowaniem innej mieszanki. Po-

tem podszedł do Krystiana i bez słowa, obojętnie, wbił igłę strzykawki w biceps.

„Jakby owcę zaszczepił” - pomyślał Krystian.

Nie poczuł żadnej szczególnej reakcji organizmu na wstrzyknięty preparat.

„Rubik” spakował swoje kasetki, włożył je do sakwojażu i skierował się do drzwi, od progu obrzucił go badawczym spojrzeniem, ale nie odezwał się i wyszedł. Nie było go kilka minut, w trakcie których Krystian usiłował zerwać albo przynajmniej poluzować więzy. Bezskutecznie.

„Kanałię, który wymyślił te gówna, powinno się posadzić na moim miejscu” - pomyślał z rozpaczą Krystian. Przestał się szamotać, żeby kat nie zauważył jego przyśpieszonego oddechu i potu.

Morderca wrócił po dobrych dziesięciu minutach. Bez słowa nałożył Krystianowi kajdanki i sięgnąwszy cążkami do pęt, przeciął je na przedramionach.

Cisnął cążki na kolana Krystiana.

-

Przetnij na nogach. I idziemy. Spotkamy się z pewnymi ludźmi, bardzo chcą cię poznać. Trzymaj to. - Wskazał swój sakwojaż.

343

W korytarzu dodał mu jeszcze małą walizkę. Oba bagaże nie były ciężkie, ale konieczność niesienia ich przed sobą w wyprostowanych niemal rękach spowodowała, że Krystian poczuł pot na czole. Pomyślał, że to może być wynik nie tyle wysiłku, ile wstrzykniętego „czegoś”.

Wyszli przed dom. Był jasny, ale chłodny wieczór. Na ulicy, o cztery czy pięć domków dalej, przy furtce stali trzej młodzieńcy, nie zwracali uwagi na mężczyzn zbliżających się do małego citroena. Z drugiej strony zbliżała się kobiecina

w chustce na głowie i wielkich ciemnych okularach, w ręku niosła dwie torby z wielkimi zielonymi znakami firmowymi jakiejś rosyjskiej sieci handlowej.

-

Ty prowadzisz, wóz otwarty, wsiadaj.

-

Otwórz bagażnik? Czy jak?

„Rubik” mruknął coś pod nosem, sięgnął do kieszeni, wyjął kluczyki, podszedł do klapy bagażnika. Kobieta z zakupami tupąła chodnikiem, młodzieńcy roześmiali się głośno. Krystian rozejrzał się dokoła. Wydało mu się, że świat nagle poszarzał, jakby stracił kilka kolorów, a pozostałe się zmieniły, jakby spłowiały, poszarzały, zneutralizowały się.

Kobieta zrobiła jeszcze kilka kroków, kątem oka Krystian zobaczył, że przekłada torbę z ręki do ręki. Odwrócił się w stronę młodzieży, mając nadzieję, że tamci zwrócą uwagę na jego kajdanki, choć nagle przeleciało mu przez myśl, że może to jest dom jakiegoś milicjanta, chciał unieść ręce do góry, ale poszarzały świat na dodatek się zakolysał. Przyszło wspomnienie jednego jedyne wypalonego w Amsterdamie jointa, kiedy odebrało mu władzę w nogach, stracił poczucie równowagi, i - co najgorsze - był świadom własnej niemocy, ale przez godzinę nic z tym nie mógł zrobić.

Przestąpił z nogi na nogę.

W pole widzenia wpadła kobieta niosąca do domu reklamówki z zakupami. W ręku miała tylko gruby kołek, którego koniec ulokowała na karku „Rubika”.

Przedtem kołek ze świstem przeciął powietrze. Na tyle głośno, że zaatakowany niemal uniknął ciosu, odwracając się i uchylając jednocześnie. Jednak trafiony w

kark szarpnął się, wyprężył, zwałił na kolana... Wtedy kobieta niemal golfowym uderzeniem, z dołu do góry, trafiła go kołkiem w twarz. Wyprostował się i zwałił na bok.

344

Zrzuciła okulary, chuścinę, szarpnęła guziki burego prochowca. Podskoczyła do Krystiana.

-

Kochany!?! - wyszeptała. - Jak się czujesz?

-

Ja? Czuję się... Sandra? Nie, Marta?... - zabełkotał.

-

Wsiadaj, błagam, szybko, wsiadaj, ja poprowadzę! - Chwyciła go pod ramię i zaczęła wlec do drzwi pasażera. „Rubik” poruszył ręką i kopnął stopą krawężnik. - Szybko!!!

Wrzuciła niemal Krystiana do wozu, sama obiegła samochód od przodu, wskoczyła do środka.

-

Matko, kluczyki! - jęknęła, widząc pustą szczelinę stacyjki.

-

Ja... mam... - Wyprostował ręce i otworzył dłoń. Była pusta, otworzył drugą. Były tu. - Prosz-szę...

Wyszarpnęła kluczyk, wbiła niemal w stacyjkę, zapaliła, ruszyła do przodu.

Krzywo siedzący na fotelu pasażera Krystian odwrócił się - z ziemi, podpierając się rękami, niezgrabnie gramolił się, podnosił i znowu opadał niedawny oprawca.

-
Skąd ty... t-tu? - wystękał.

-
Co ci zrobił, kochany? - Oderwała na pół sekundy wzrok od jezdni. Mijali właśnie trójkę młodzieńców, ci nawet nie zauważyli, że coś się wydarzyło na ich ulicy. Lusterko drżało na nierównym bruku, nie widać było, co się dzieje za lekkomyślnie bujającym się na wądołach wozem. - Napoił cię wódką? - Odwróciła twarz w stronę Krystiana, patrzyła jednak na jezdnię. Wciągnęła kilka razy powietrze nosem. - Naszprycował cię czymś?

-
Szprryca... - przytaknął Krystian.

Tuż przed skrzyżowaniem Sandra gwałtownie zahamowała.

-
Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytała.

Pokręcił głową.

-
Zabrał mnie z Gruzji... Z gruz... jińskiej... hotelu...

Sandra popatrzyła w lusterko i jęknęła: - Czy on jest robotem?!

Wdusiła gaz i skręciła w prawo. W uliczce na wprost widniały jakieś barierki sugerujące roboty drogowe albo i kompletne zamknięcie ulicy. W prawo można było jechać dwieście metrów, potem, sto metrów za ostatnim domem, asfalt nagle się skończył, przeszedł w gruntową drogę.

-
Bydlak! - rzuciła, zerknąwszy jeszcze raz w lusterko. Przełożyła bieg na

niższy, zwolniła, ale i tak rzucało nimi pod sufit.

345

Przed sobą mieli tory kolejowe, droga wspinała się na dość niski nasyp, potem znikwała za garbem. W lewo tory mknęły do podwójnego mostu kolejowego przykrytego łukowymi przęsłami. Sandra wycedziła coś przez zęby, z lekkim zgrzytem zredukowała bieg do pierwszego, podjechała pod nasyp i nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu Krystiana, skręciła gwałtownie w lewo. Citroen omal nie spadł z nasypu na drugą stronę, Krystianem kiwnęło mocno, uderzył głową w boczną szybę. Zachichotał.

-

Ale jaj-ja! - powiedział do siebie.

Z podziwem.

Citroen pędził po torach.

Pędził - to za dużo powiedziane, ale koła trójki świetnie zmieściły się między szerokim, ponad półtorametrowym rozstawem szyn po radzieckich, a może nawet carskich kolejach.

-

Samochodem przez mos-st?! - zdziwił się Krystian.

Sandra przyhamowała lekko, widząc wystający wyraźnie ponad inne podkład.

Krystian znowu poleciał bezwładnie, tym razem do przodu, huknął głową o szybę, otrzeźwiało.

-

Kur-r-rczę... Sandra... gdzie my? Dokąd my jedziemy?

-

Uciekamy, a goni nas cholerny morderca! - zająknęła się na innym

wyboistym podkładzie. Zbliżał się most, właściwie para, oba przykryte łukowatymi przęsłami, do których pod kątem przynitowane były dźwigary i tężniki, a do nich właściwy podkład mostu, tory...

Tuż przed mostem podkłady jakby zapadły się w podłoże, niemal nie wystawały, samochód pędził szybciej i prawie bez wstrząsów. Krystian potarł stłuczone czoło.

-

A jak z naprzeciwka nadjedzie pociąg? - zapytał i nagle sam się wystraszył swoich słów, wpił się wzrokiem w przestrzeń przed sobą.

-

Módl się, żeby nie nadjechał!

Musiała zwolnić, byli w jednej trzeciej długości mostu, nad sporą rzeką, podkłady nagle znowu wystawiły swoje grzbiety wysoko ponad podłoże. Koła samochodu tłukły się na uwięzi amortyzatorów i sprężyn, hurkot, głośny, werblowy, wypełnił wnętrze.

-

Nie przejmuj się samochodem, Sandro! - wrzasnął Krystian. - Wal do przodu! Nieważne, czy się rozwalą, czy nie!

346

-

Ważne, przejedziemy most i musimy dalej uciekać! - wycodziła głośnie. –

Nie możemy uciekać na piechotę...

Krystian zapał się mocno o deskę rozdzielczą i oparcie fotela, odwrócił się i

usiłował wypatrzeć coś przez drgającą i podskakującą tylną szybę. Nie widział dużo, ale to, co zobaczył, sprawiło, że resztki odurzenia wyparowały mu z głowy.

„Rubik” sadył za nimi długimi krokami, pędził, przeskakując po cztery podkłady, rytmicznie wymachując ugiętymi w łokciach i niemal przyciśniętymi do korpusu rękami jak tłokami - przód-tył, przód-tył...

Chyba ich doganiał.

-

Kochanie... pędź... - syknął Krystian.

Napadł go atak mdłości, zwymiotował na tylne siedzenie, w głowie huczało, nie potrafił określić, czy to z powodu zaaplikowanego preparatu czy dwu uderzeń głową o szybę samochodu. Usta wypełnił mu obrzydliwy kwaśny posmak, usiłował skoncentrować się na podrygującej, rozmazanej niemal sylwetce za tylną szybą, ale potrafił tylko określić, że istnieje i że - chyba - powiększa się z każdą chwilą.

-

Goni nas! - jęknął.

Sandra popatrzyła w boczne lusterko, potem we wsteczne nad głową, ale w obu skaczący na podkładach wóz rozbijał widok na jakieś fantasmagoryczne kadry, niczym wzięte żywcem z awangardowego, buntowniczego i niezrozumiałego filmu kina niezależnego. Zagryzła wargę i od razu pożałowała tego, przygryzając ją do krwi na kolejnym wyskoku samochodu. Zacisnęła zęby i wdusiła gaz.

-

Spróbuj zobaczyć, czy nie ma tam nikogo więcej! - zawołała, przekrzy-

kując ryk silnika i dudnienie zawieszenia.

Wczepił się w oparcie jej fotela jedną ręką, objął swój zagłówek i postarał się zsynchronizować ruchy swojego ciała ze spazmatycznymi konwulsjami samochodu. Udało się o tyle, że zobaczył wykrzywioną wściekłością twarz „Rubika”, białe zęby, szczerzące się w rozchylonych z wysiłku wargach. Po raz pierwszy zobaczył emocje na obliczu mordercy. I to jakie! Teraz już za nic nie chciałby dostać się w łapy oprawcy, teraz nie byłoby pseudopsychologicznej zabawy z ofiarą, kruszenia jej, łamania za pomocą ruchów wyprzedzających i niwelujących niemrawy opór ofiary.

347

Krystian zaczął gorączkowo szukać czegoś, co mogłoby być jakąkolwiek bronią, co dałoby się użyć w bezpośrednim starciu z mordercą, ale pałka Sandry została na ulicy, może w bagażniku znalazłby się klucz do opon czy korba podnośnika, ale były nieosiągalne z wnętrza wozu, a już na pewno nie w tych okolicznościach.

-

Zablokuj drzwi! - wrzasnął do Sandry.

Przez hurkot i wycie silnika usłyszał szcęk zamków. Już odwracał się, by usiąść twarzą do kierunku jazdy, gdy zobaczył za sadzącą susami sylwetką „Rubika” coś jeszcze.

Po pokładach mknął, podskakując, motocykl. Jadący na nim mężczyzna stał na podnóżkach, neutralizując drgania maszyny. Wyglądał jak ludzki żyroskop - nogi ugiwały się rytmicznie w kolanach, ręce w łokciach, głowa niemal się nie poruszała, prawie jak lufa nowoczesnego czołgu, który pędzi po wądołach pola

walki, nie tracąc celu, do którego mierzy.

-

Ktoś inny jeszcze nas goni! - krzyknął i spadł w fotel.

-

To dobrze! - odparła z wyraźną ulgą. - To pomoc.

-

Jaka pomoc? Skąd?

-

Opowiem tam - wskazała brodą wylot mostu. Kilkadziesiąt metrów za

nim przechodziła przez nasyp i tory identyczna polna droga, ze szczątkami szlabanu i metalową skrzynią na jakieś łącznościowe kolejowe bambetle.

Sommer obejrzał się jeszcze raz. Ścigający ich morderca chyba usłyszał za sobą wycie silnika motocykla, spojrzął przez ramię i nagle uskoczył z torów, zrobił kilka kroków i sięgnął pod połę marynarki. Potknął się jednak i musiał wymachami rąk pomóc sobie w odzyskaniu równowagi. Jadący na motocyklu wybił się nagle w powietrze i przeleciawszy kilka metrów w powietrzu, efektownie majtając nogami, chyba dla wydłużenia lotu, wpadł na „Rubika”. Niemal wpadł - ten uskoczył w ostatniej chwili, ale kopniak motocyklisty sięgnął jego ręki. Obaj mężczyźni upadli na obrzeże torowiska, poderwali się niemal jednocześnie i rzucili na siebie. Osłupiały Krystian, z karkiem niemal skręconym przez ciągłe podrygi wozu, chwycił się podłokietnika, spudłował, palce omsknęły się, silny ból zrywanego paznokcia spowodował, że odwrócił się od bójki na torowisku.

Dojechali do drogi, Sandra zahamowała gwałtownie, potem skręciła mocno

kierownicę i - gdy lewe przednie koło dotknęło szyny - wdusiła gaz do oporu.

Silnik ryknął, wóz podskoczył najpierw na jednym kole, potem na drugim przednim, a wreszcie na tylnych.

Znaleźli się na drodze.

-

Stój! - krzyknął Krystian.

Oceenił, że byli na tyle daleko od miejsca bójki, iż mogli sobie pozwolić na czekanie na wynik pojedynku. Poza tym chciał się dowiedzieć, kim jest ich sprzymierzeniec, a może nawet i zbawca. Wyskoczył z wozu, mimo że Sandra krzyknęła: „Nie!”.

Na moście trwała walka w stylu amerykańskiego filmu akcji: przeciwnicy byli profesjonalistami i używali do walki pięści i noży. Widocznie „Rubik” albo tylko blefował, sugerując, że ma w kieszeni broń, albo niespodziewany pomocnik Sandry wytrącił mu ją z ręki, gdy Krystian wpatrywał się w drogę i modlił, by udało im się zjechać z „kolein” szyn. Sommer stał przy otwartych drzwiach i ponad dachem patrzył na uskakujących i zadających ciosy mężczyzn. Pochylił się lekko i nie odrywając wzroku od mostu, zapytał:

-

Kto to jest, Sandro?

W końcu zdecydowała się na wyjście z samochodu, stanęła zaraz przy swoich drzwiach i nie odwracając spojrzenia od walczących, powiedziała:

-

Dopadł mnie w pociągu. Najpierw myślałam, że to jakiś pomocnik tego bydlaka, ale to nie Polak, zna niezłe angielski. Powiedział, że jego mocodawcy

kazali mu nas chronić.

-

Uwierzyłaś? Powiedziałaś mu coś?

Potrząsnęła głową, rzuciła krótkie spojrzenie przez ramię.

-

Nie pytał, nie powiedziałam nic. Tylko o tym, który nas ściga.

Krystian milczał chwilę.

Na dobrą sprawę powinni wskoczyć do wozu i uciekać gdzie pieprz rośnie, w tym wypadku taką ojczyzną pieprzu były Niemcy albo przynajmniej Polska. Ale rozgrywająca się na ich oczach walka, najwyraźniej na śmierć i życie, nie pozwalała oderwać od siebie wzroku.

Nieznajomemu najwyraźniej udało się zneutralizować prawą rękę „Rubika”, może sięgnął jej nożem, połyskującym ponuro i groźnie nawet z tej odległości kilkudziesięciu metrów potężnym ostrzem. Sandra też to zauważyła.

-

To bydlę ma złamaną rękę?!

349

„Rubik” trzymał nóż w lewej dłoni, co nie przeszkadzało mu w atakach, widocznie był oburęcznym nożownikiem, ale zasłony prawą wykonywał z wysiłkiem i raczej preferował uniki. Gdyby drugi z walczących był lepszym wojownikiem, walka dawno zostałaby rozstrzygnięta na jego korzyść, ale nawet dyletanci widzieli, że jego domeną jest raczej boks - usiłował trzymać nożem w szachu przeciwnika, jednocześnie lewą pięścią szukając dojścia do jego twarzy. Silnik leżącego w poprzek jednej szyny motocykla zawył przejmująco i zgasł.

Nastąpiła cisza. Krystian zrobił krok w kierunku tyłu wozu. Pod stopą zgrzytnął kawałek blachy. Spłoszona Sandra gwałtownie odwróciła głowę.

-

Co robisz?

Jej pytanie zmobilizowało Krystiana do działania. Ruszył w stronę bagażnika.

-

Otwórz. Muszę znaleźć coś...

-

Co chcesz zrobić? - W jej głosie zabrzmiała niemaskowana panika.

-

Powinienem pomóc temu motocykliście - odpowiedział. - Jeśli wygra

ten...

-

Przestań! - Po raz pierwszy, poza namiętnymi chwilami w łóżku, ode-

zwała się z taką mocą, z taką ekspresją. - A jeśli podejdziesz, a ten... „Rubik”

wygra? Może udaje, że walczy jedną ręką? Będzie cię miał w zasięgu ręki.

„I gdzieś tam może leżeć pistolet czy co on tam miał... Jeśli miał” - pomyślał

Krystian.

-

Ale jeśli przegra, będziemy go mieli...

-

Zabijesz go? - Sandra szybko obiegła samochód i wczepiła się w ramiona

Krystiana. - Czy pomożesz zabić?

„Rany boskie! Ona ma rację - pomóc w tej bójce to pomóc w zabójstwie!

Wtedy i tylko wtedy mielibyśmy go z głowy! Ale jeśli on zadźga tego z motoru...

To co - wsiadać i uciekać? Przecież on ma jakiś samochód, czymś mnie dogonił!

Uciekać! Tak, zawiadomimy policję!”

-

Chodź, pojedziemy po policję! Szybko!

Rzucił się do drzwi, dopadł ich i obejrzał się na Sandrę. Kobieta stała w tym samym miejscu, ale patrzyła w przeciwnym kierunku. Sommer otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, dotarło do niego, co zaprzęta uwagę Sandry: odgłos nadjeżdżającego pociągu. I od razu rozległ się rozdzierający ryk syreny lokomotywy. Odwrócił głowę w tym samym kierunku, co Sandra.

350

Tory po lewej prowadziły do mostu łagodnym łukiem. Kierujący pociągiem maszynista jeszcze chwilę temu mógł nie widzieć tego, co rozgrywa się na torach - z powodu krzywizny torowiska walkę na moście przesłaniały szerokie, gęsto nitowane przęsła i dźwigary. Teraz musiał zobaczyć, co się dzieje na moście, i rozpaczliwie sygnalizował, że pędzi w kierunku ludzi, którzy nie powinni byli znajdować się na moście, a już na pewno nie powinni byli skakać po torach, wymachując nożami. No i leżący na jednej z szyn motocykl.

Maszynista uruchomił hamulce, chociaż rozpędzony towarowy skład nie miał szans na wyhamowanie przed mostem.

Walczący nie zwracali uwagi ani na nieustanny już ryk syreny, ani na wizg hamulców: nie trzeba było być mistrzem sztuk walki, żeby mieć pewność, że ten z nich, który pierwszy przestraszy się pociągu - zginie. „Rubik” nagle odzyskał sprawność w prawej ręce, zablokował cios noża, zadał sam, ale chybił, trafiony

pięścią w mostek. Odrzuciło go do tyłu, uderzył plecami w dźwigar i jakby wykorzystując impet, uchylił się od kolejnego cięcia, które miało otworzyć mu jamę brzuszną. Sam zadał cięcie, i to doszło celu. Jego rywal wygiął się w bok, ale nie uniknął chłaśnięcia po lewych żebrach. Pociąg z niewiarygodnym hałasem przemknął obok Citroena i siejąc kometami iskier spod kół elektrowozu, wpadł na most. Nieznany sojusznik Sandry i Krystiana uskoczył do tyłu, na drugą stronę torów. „Rubik”, wbrew oczekiwaniom Krystiana, który błyskawicznie uznał, że przeciwnicy, rozdzieleni pociągiem, wykorzystają przejazd na przegrupowanie, na chwilę oddechu, skoczył za nim.

„No tak, ten motocykl, uderzony kołami, może wyprysnąć na boki i zabić bydlaka! Albo chce wykorzystać osłabienie raną”.

I pociąg z impetem uderzył w leżący motocykl, przepołowiona maszyna wystrzeliła w powietrze i uderzyła może niedokładnie w to przęsło, na którego tle stał „Rubik”, ale fruujące na wszystkie strony kawałki metalu na pewno pokieroszowałyby mordercę. Sandra odwróciła się do Krystiana i coś krzyknęła, ale nie miał szans usłyszeć. Energicznym ruchem głowy wskazała wewnątrz wozu. Pokręcił głową, chciał wiedzieć, jak się skończył pojedynek na moście. Podbiegła więc do niego i przywarła ustami do jego ucha:

- Uciekajmy! Nie wiesz, czy nie zabił tamtego i nie biegnie w naszą stronę!!!

351

Musiał uznać jej argumenty. Chciał usiąść za kierownicą, ale jego partnerka energicznie pchnęła go na fotel pasażera i znowu pokręciła głowę. Potem pokazał ręką, że kręci mu się w głowie, musiał przyznać jej rację. Zablokował więc drzwi.

Sandra w tym czasie obiegnęła samochód, wsiadła, również zablokowała drzwi od jej strony. Zapaliła silnik, ruszyła. Odjechali pięćdziesiąt metrów, ryk pociągu ustał, ucichł też wizg hamulców. Oboje odwrócili się i w napięciu czekali, aż ostatni wagon minął barbarzyński niestrzeżony przejazd. Ostatni wagon, zachlapaną białą farbą cysterna, minął drogę, potem wjechał na most, a następnie odsłonił cały obiekt...

Most był pusty.

Jaskrawoczerwone strzępy motoru leżały po prawej stronie torów. Płonęły. Z rozwalonego zbiornika wyciekło paliwo, iskry spod kół krzeszały ogień. Ale była to tylko niska, choć dość rozległa plama ognia.

Po lewej, gdzie powinni znajdować się mężczyźni, nie było ich.

Pusto.

Sandra ze świstem wciągnęła powietrze. Krystian odkaslnął.

-

Pójdę... - zachrypiał, odchrząknął i powtórzył: - Pójdę zobaczyć... co tam jest...

-

Nie i nie! - rzuciła Sandra. - Nie ma mowy.

-

Ale muszę...

-

Nic nie musisz! - powiedziała zdecydowanie. Wyciągnęła do tyłu rękę i znalazła po omacku jego dłoń. Właściwie - podsuniętą jej dłoń.

-

Nie możesz, proszę cię. Skąd wiesz, czy on nie wdrapie się nagle spod mostu, może tam wisiał i czekał, aż pociąg przejedzie?

-

Ale tym sposobem nie będziemy wiedzieli, czy żyje i mamy się czego bać, czy może zdechł w końcu i...

-

Niczego się nie boję. Z tobą, Krystianie Sommer. Ale jak cię zabije, to będę się bała. - Odwróciła się doń i wpiła ustami w jego usta. Pocałunek trwał dobrą minutę. Potem Sandra oderwała się i powiedziała:

-

Tak nie wolno!

-

Czego nie wolno? Całować się? - zdziwił się Krystian.

-

Nie wolno się całować i patrzeć ponad głowę kobiety na coś innego!

Zaczerwienił się i zachichotał sztucznie. Odczekali dziesięć minut, Krystian

352

zapalił papierosa, którym poczęstowała go Sandra. Potem ruszyli drogą, ale gdy

ta przytuliła się do rzeki, Krystian wymógł na Sandrze, żeby się zatrzymała.

Wysiadł, stanął na brzegu i wypalił jeszcze jednego papierosa.

Gnuśny nurt wypełniał czterdziestometrowej szerokości koryto.

Nie płynęło nim żadne ciało.

Nie było plam krwi.

Tylko woda.

33. 26 KWIETNIA, 16.00

-

Pana wersję wydarzeń w pewnym sensie potwierdza maszynista - powiedział kapitan Sinicyn.

„Całe szczęście, że nie dało się usunąć szczątków motoru - pomyślał Krystian. - Inaczej facet w ogóle by się nie przyznał”.

-

Szcątków ludzkich nie znaleziono, ani na moście, ani w rzece. Ekipa nurków spenetrowała dno i nurt i nie znalazła żadnego potwierdzenia obecności ludzi. Ale na moście znaleźliśmy pistolet, bez pańskich odcisków palców.

-

To dlaczego informuje mnie pan o tym takim tonem, jakbym okłamał połowę rosyjskiej milicji? - nie wytrzymał Krystian.

Dwie doby w hotelu miernej klasy, z tłustym jedzeniem, zupełnie inaczej smakującym w wariacie domowym, nerwowa atmosfera i koszmary senne jego i Sandry spowodowały, że palił dużo, poruszał się mało (milicjanci uprzejmie i stanowczo proponowali spędzić jakiś czas tylko na terenie hotelu), czuł się jak po wyjściu z wyżymaczki starej wirnikowej pralki. Dwa, czasem trzy razy dziennie proszono ich do samochodu i przewożono do smętnego szarego budynku komendy miejskiej, gdzie rozmawiano z nimi o wydarzeniach ostatnich tygodni. Zgodnie opowiadali wszystko to, co opowiedzieli wcześniej Nieskobie, pomijając wszystko, co było związane z dokumentem od prababci, pojemnikiem i - oczywiście - bronią.

Nie wiadomo, dlaczego ten człowiek chciał mnie porwać, nie wiadomo,

dlatego zabił moją matkę, dlaczego ścigał nas po Rosji, porwał. I tym bardziej nie wiadomo, kim był nieznany obrońca. To była linia obrony, linia tłumaczenia Sommera.

353

-
Znajetie, pan - powiedział Sinicyn. - Chcę wierzyć we wszystko, co mi pan i pana narzeczona opowiedzieliście, ale nie wierzę w to, że zawodowy morderca poświęca czas na ściganie przez pomyłkę jakiegoś niewinnego człowieka. Poza tym, powiem szczerze, wiele rzeczy w opowieści pana i narzeczonej się nie pokrywa, w kilku miejscach są luki, które ja, człowiek z profesjonalnym niuchem, wyczuwam na... Co wy tam w Niemczech macie - mile? Nie, żartuję, żartuję! Byłem w Niemczech, wiem - kilometry. Mój dziadek też był w Niemczech. W innym czasie - uśmiechnął się szeroko. - I nie na wycieczce. Wie pan, że po tej swojej wycieczce zacząłem szanować Niemców? Nie zgadnie pan za co. Za to... Byłem na zwiedzaniu Reichstagu. Wie pan - ta szklana kopuła Forstera, wchodzę na górę, taras - i co widzę? Na starym murze wydrapane rosyjskie napisy! Pomyślałem, że nasi to nawet tam napaskudzą, zrobiło mi się wstyd za Rosjan. Ale słyszę przewodnika, który mówi, że to są autentyki z czasów wojny, czyli zaraz po wojnie. Osłupiałem. U nas wszystkie ślady Niemców w ZSRR zostały wytrawione kwasem do ósmej warstwy. W Polsce też - ani śladu radzieckich okupantów, ani niemieckich. Zero. A wy uznaliście, że to też historia, suka historia, ale jest. Nie zlikwidowaliście nazwy placu Róży Luksemburg, ulicy Thälmana, placu Marksa i Engelsa. Tak... - Wyjął papierosa z ogromnej paczki z napisem „Biełomorkanał” i mapką „skanalizowanego” fragmentu ZSRR. Obo-

jętnie, ale chyba świadomy zdumienia Krystiana, wypracowanym ruchem przygryzł kartonowy ustnik i zgniół ustnik pod kątem prostym w stosunku do zębów.

-

Przepraszam - nie wytrzymał Krystian. - Od kiedy zobaczyłem pierwszy raz te papierosy, dręczyło mnie pytanie, po co się robi taką „służbę” na tutaj?

Opowiadano mi różne bzdury, na przykład, że dym musi się na czymś zagiąć...

Sinicy zapalił i wyjął papierosa z ust, przyjrzał mu się jakby zdziwiony.

-

Dym? Zagiąć? Ależ skąd! Chodzi o to, żeby tytoń nie wpadał do ust! Kto zaciągnie się, nie zgniatając ustnika, ma połowę tytoniu w ustach. Tylko tyle. To jest prawdziwie radziecki papieros, nigdzie indziej takich nie robią i nie robili. -

Uśmiechnął się nagle, zupełnie niesłużbowo. - Do tego do kompletu należy rosyjskie strzepywanie popiołu. - Trzymając bielomora między kciukiem i trzecim palcem, pstryknął weń wskazującym, popiół opadł jak zestrzelony. - No dobrze. Pogadaliśmy i wystarczy. - Wstał, obszedł biurko i wyciągnął do

354

Krystiana rękę. - Wszystkiego dobrego. Do zobaczenia... gdzieś, kiedyś...

Wymienili uściski dłoni. Krystian wyszedł na korytarz. Czekala tam na niego młoda „hostessa”, która przywiozła go z hotelu. Zrobiła pytającą minę.

-

Już - poinformował ją Krystian. - To był ostatni raz. Nie będę już pani odrywał od pracy.

Po drodze dowiedział się, że bilety na dzisiejszy pociąg, ten o czternastej osiem, czyli za półtorej godziny, są wykupione, mają *kupe*, czyli przedział

pierwszej klasy. Milicja rosyjska pokrywa koszty z tym związane i w ogóle - jest dobrze.

W hotelu krótko streścił Sandrze rozmowę z kapitanem. Byli właściwie spakowani, zeszli do baru, gdzie z prawdziwą przyjemnością wypili po dwa kieliszki bardzo zmrożonej stolicznej, Sandra po pięćdziesiątce, Krystian pozwolił sobie na dwie setki.

Czterdzieści minut później pożegnali się z „hostessą”, której przypisywali stopień porucznika, kupili po lodzie w czekoladzie. Wyszli, ciągnąc swoje walizki na kółkach, na peron. Do odjazdu pociągu mieli czterdzieści kilka minut. Milczeli i pochłaniali swoje lody.

-

Wiesz co? - odezwała się Sandra.

Nie zdążyła dokończyć. Znieruchomiała i przeniosła wzrok z Krystiana na coś za jego plecami. Błyskawicznie wróciły wszystkie lęki, uśpione albo i zdechłe demony z rechetem i wizgiem wypadły z zakamarków umysłu. Serce skoczyło i zaczęło wystukiwać pośpieszny i mało zrozumiały komunikat swoistym alfabetem Morse'a: bum-bum-bum-bum! Krystian przemógł się, odwrócił, od razu szukając spojrzeniem milicjanta, który nie tak dawno, zaledwie chwilę temu, kiwał się z czubków butów na pięty na krawędzi peronu.

Z holu dworca wyszła para młodych ludzi, energicznych, ze wzrokiem poważnym i przepełnionym chęcią wykonania postawionego przez kogoś czy samym sobie zadania. Podeszli do skamieniałego Krystiana.

-

Herr Sommer? Bardzo pana prosimy do pokoju, na chwilę rozmowy z

kimś bardzo zainteresowanym pańską osobą.

-

Na pewno nie! - warknął Krystian. - Rozmawiałem już z waszą milicją, zostałem oczyszczony z wszystkich domniemyanych zarzutów...

355

-

To nie jest to, o czym pan myśli - zapewniła go również czystą, choć słowiańsko brzmiącą niemczyzną dziewczyna. - To osoba oficjalna, bardzo wysoko w hierarchii... - zawahała się. - Tu nie powinnam niczego mówić, ale...

-

Droga pani, nie wejdę do żadnego pomieszczenia, nawet żeby tam czekał prezydent Miedwiediew, a siłą nie dam się...

-

Nie, nie! - Dziewczyna zamachała ręką. - Dobrze, zrobmy to inaczej. -

Popatrzyła na chłopaka, ten skinął głową. - Pański pociąg stoi na bocznicy, tam jest pana wagon, numer dziewięć, przedział numer dwa. - Chłopak nagle odwrócił się na pięcie i szybko, niemal biegiem odszedł. Zniknął w budynku dworca. - W wagonie w tej chwili jest jeszcze kilku pasażerów, za parę minut zostaną usunięci pod pozorem zagrożenia pożarowego. Nie będzie tam nikogo, nawet konduktora. Będzie pan i ta osoba.

-

Nie. Będę ja i moja towarzyszka. - Chwycił Sandrę pod łokieć. - Chcę widzieć tam kilku milicjantów, zwyczajnych normalnych gliniarzy, nie tajniaków czy specnazowców. Ta ważna osoba pokaże się w oknie, wszystkie przedziały

mają być otwarte, a ja muszę mieć możliwość sprawdzenia z peronu, że są puste.

Sprowadźcie jakiś wózek czy coś podobnego. - Wzruszył ramionami.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i zastanawiała się chwilę. Potem wyjęła z torebki jakiś dziwny pulpit, niemal mały laptop albo duży palmtop, i z niezwykłą sprawnością napisała kilkadziesiąt znaków. Chwilę czekała na odpowiedź, potem dodała jeszcze jakiś komunikat. Powtórzyło się to cztery razy.

-

Dobrze. Tak będzie. Wszystkie pana postulaty zostaną spełnione.

Idziemy?

Krystian myślał chwilę. Mógł odmówić, ale znajdował się w kraju, o którym się mówiło, że służby policyjne są tu ciągle siłą, której sprzeciwić się mogą tylko inne „siły porządkowe”. Zwykły obywatel jakoby niewiele ma do powiedzenia, a jeszcze mniej ma możliwości spierania się z milicją, służbami bezpieczeństwa, armią. Jeśli więc zaprze się i odmówi spotkania z „hierarchą”, kimkolwiek jest, nieważne z jakiego resortu siłowego, mogą po prostu i zwyczajnie zgarnąć ich pod byle pozorem z dworca, zaginą w aresztach, sądach, więzieniach... Co prawda Nieskoba był dość dobrze zorientowany w sytuacji, w jakiej znalazła się

356

Sandra z Krystianem, ale obu krajów nie łączyła w danym momencie historycznym szczególnie sympatia. Czy Rosjanie zechcą współpracować z polską policją uczciwie i aktywnie? Czy nie zgłoszą bezczelnie zaginięcia dwojga obywateli obcych państw na rozległym terytorium swojego kraju?

Postanowił spróbować zabezpieczyć się, naiwnie może, ale zabezpieczyć, innym sposobem. Oby zaskakującym i skutecznym.

-
Gdyby coś się stało, powiadom wiesz kogo, nie zdradzając tu i teraz nikomu - powiedział po polsku do Sandry.

Tak jak się spodziewał, otworzyła szerzej oczy i wpatrzyła się w niego, szukając wyjaśnienia. Miał nadzieję, że wykazawszy się nie raz nieprzeciętną lotnością, i tym razem zrozumie. Zrozumie, że przemawia do niej po polsku nie dlatego, iż zapomniał, w jakim języku się porozumiewają. I tak się stało. Sandra pokiwała znacząco głową, dziewczyna z dziwacznym komunikatorem zmarszczyła czoło.

-
Przepraszam? Ale...

-
To nie dotyczy pani - przerwał obcesowo Sommer. - Ja nie ufam tu nikomu, muszę się zabezpieczać przed... powiedzmy łagodnie, niespodziankami.

-
Przecież powiedziałam panu, że nic wam nie grozi - powiedziała z wyrzutem w głosie młoda łączniczka.

-
Tak? To samo pewnie mówi rzeźnik opierającej się owcy. - Ponad ramieniem dziewczyny rzucił spojrzenie na peron, dwaj milicjanci pędzili na elektrycznym wózku, rozganiając pasażerów migotaniem pomarańczowego „koguta”. - Dobrze, zaufam pani i pani mocodawcy. Idziemy wszyscy, ale jeśli zobaczę cokolwiek, co uznam za niedopełnienie warunków naszej umowy, przestaję współpracować. I żadna już siła nie zmusi mnie do ponownych... ne-

gocjacji czy jak to sobie nazwiemy.

Dziewczyna skinęła głową, wskazała kierunek, popatrzyła na walizkę Sandry.

-

Pomogę pani - zaproponowała.

-

Nie, dziękuję. Kółka mi wystarczą. W tej sprawie pomocy nie potrzebuję.

A co do innych - powiedziała z naciskiem Sandra - chętnie skorzystamy z pani pomocy, ale szczerzej i bez żadnych ukrytych intencji.

Dziewczyna zrobiła lekko urażoną minę.

357

-

Nie wiem, kto was skrzywdził, nie wiem jak, ale my nie przygotowujemy żadnych pułapek, nie zamierzamy uczynić nic złego, ani w imieniu ludzkim, ani...

Nie dokończyła.

„Znowu Kościół?! - zdziwił się w duchu Krystian, ciągnąc za sobą walizkę. -

Hierarcha Cerkwi? Igumen Kirył czy inny? Ale za dużo tu szumu, cała ta otoczka, milicja, wyładowanie wagonu?... Wysokie progi...”

Przemierzyli długi i szeroki na pół boiska piłkarskiego pierwszy, główny peron, obsługujący pociągi zagraniczne: do Polski, Niemiec, Francji. Przebili się przez mały tłumek ludzi bez walizek, ubranych lekko, jakby przed chwilą na moment wyskoczyli z wagonu. Musieli to być pasażerowie pechowego dla nich wagonu numer dziewięć. Tłum od wagonu oddzielali dwaj, widziani przez nich wcześniej, milicjanci.

Za nimi był już tylko samotny pulman. Najbliższy wagon właśnie odjeżdżał,

dzieliło je już sto pięćdziesiąt metrów i dystans stale się powiększał. Przy wagonie obok zwyczajnego pocztowego wózka stał energiczny, znany już Krystianowi młodzieniec. Prowadząca małą kawalkadę dziewczyna przyśpieszyła, podeszła do wózka i wysłuchiwała krótkiej relacji chłopaka.

-

Proszę - wskazał Krystianowi miejsce na platformie wózka.

Krystian postawił walizkę, wskoczył na wózek i wolno przejechał wzdłuż wagonu. Był, oczywiście, świadomy, że gdyby ktoś bardzo chciał, ukryłby się bez trudu, na górnych półkach, na podłodze korytarza, ale w gruncie rzeczy w głębi ducha nie wierzył już w żadne wrogie wymierzone w siebie akcje, a całe to zamieszanie wywołał tylko po to, by zmanifestować, że nie jest bezwolnym pionkiem.

Na końcu wagonu, w drugim od początku ciągu przedziale siedział potężny mężczyzna. Miał na głowie czarny kapelusz, na oczach ciemne okulary, brodę zakrywał lekki moherowy szalik. Nie przypominał zupełnie „Rubika” ani żadnego ze znanych Krystianowi jego kompanów. Skierował twarz w stronę Krystiana i jakby lekko się skłonił. Sommer zeskoczył z platformy, popatrzył na Sandrę i skinął uspokajająco głową. Wszedł do wagonu, stanął w progu przedziału.

-

Mienia zawut Krystian Sommer - powiedział. - Wy chotieli so mnoj gorit?

-

Da. Jestem Aleksy II. Piastuję funkcję...

-

Wiem - przerwał mu dość obcesowo Krystian. - Patriarcha Wszechrosji.

Jestem zaszczycony, ale i zdumiony, i...

-

Pewnie nie chciałby pan w ogóle się ze mną widzieć - westchnął Aleksy.

-

Na pewno nie w tych okolicznościach - powiedział Krystian.

Już po drodze zdecydował, że nie będzie przed nikim się płaszczył, chylił

kornie głowy, i prosi - sam patriarcha Wszechrosji siedzi w jego przedziale!

-

Wiem. Nie wiem, czy pan mi uwierzy, ale jestem szczerze zatroskany

pana peregrynacjami i ogromnie zadowolony, że wszystko skończyło się dobrze.

- Krystian miał wrażenie, że rozmówca - zdejmował w tej chwili kapelusz i

okulary, szal zakrywający rozłożystą, patynowaną srebrem brodę zdjął już

wcześniej - zadaje mu pytanie. - Nie? Nie skończyło się?

-

Nie wiem - odparł ostrożnie Sommer. - Tu - tak. Ścigający mnie zabójca,

morderca mojej matki i kilku innych osób, nie żyje, ten drugi, który niespo-

dziewanie wdał się w całą tę aferę i pomógł nam, może nawet uratował życie,

też... W każdym razie wszystko na to wskazuje... - Wzruszył ramionami. - Mam

takie pewne poczucie, że choćby jego śmierć nie powinna pójść na marne, no i

przypominam, że trzy siostry zakonne zostały okrutnie zaszlachtowane. Jedną z

nich była moja matka.

-
Ja też boleję niezmiernie nad tymi niepotrzebnymi śmierciami. Proszę mi
wierzyć, nie były one nikomu potrzebne, i ja to wiem bardzo dobrze. Jedyna
pociecha, że w ogrodach Pana jest dla nich miejsce, i nie wątpię, że tam właśnie
znajdują się te dusze.

-
Może ten gad też tam jest? - wycedził niegrzecznie wściekły Krystian.

-
To grzesznik i... Dobrze! - Patriarcha uniósł rękę, widząc, że rozmówca
otwiera usta. - Ale ten wasz... obrońca... Na pewno jest, jeśli zginął, bo zginął w
obronie niewinnych dusz.

-
O nim nie mówię - po chwili, podczas której uspokoił się nieco, powie-
dział Krystian. - Nic o nim nie wiem, nie wiem, co tam robił. Na pewno był z tak
zwanej firmy, jak mówią ci ludzie o swoich instytucjach.

Aleksy westchnął znowu.

-
Nie był z firmy. Chyba że firmą nazwie pan Cerkiew prawosławną.

359

-
I widząc osłupienie na twarzy Sommera, kontynuował: - To był mój
człowiek. Nieszczęsny, zbolały, zrozpaczony Rosjanin, którego dusza zgorzała w
Afganistanie, który nawrócił się, stał się ofiarnym wykonawcą... różnych prac dla
mnie.

-
To... to... nieludzkie! - wykrztusił Krystian. - Pan, głowa Cerkwi, przy-
znaje, że ma... że miał na usługach zawodowego mordercę?! Jak pogodzić
dogmaty...

-
Dogmaty? Drogi panie, synu, nie był moim mordercą, uchwaj Boże! Ale
- co mamy zrobić, jeśli w jakimś *zacholustnym*... peryferyjnym miasteczku,
którym rządzi mafia lub poradzieccy bonzowie, ktoś regularnie bije popów albo
porywa córki czy wymusza haracz? Mamy iść na milicję? Która dobrze wie, kto
to robi, bo komendant, radziecki pułkownik, sam szczuje miejscowych zbirów do
tych działań. Azrak jechał tam, robił wywiad i rozmawiał ze sprawcami, na różne
sposoby. Czasem, rzadko, ale zdarzało się, musiał wracać po jakimś czasie. Ale
nie zabił już po Afganistanie nikogo. - Hierarcha wstał i rozpiął płaszcz. - Gorąco
tu, a powinniśmy porozmawiać rzeczowo, niekoniecznie krótko. Pozwoli pan, że
wydam polecenie, by pana towarzyszkę wprowadzono do wagonu? Po co ma tam
stać, wzbudzając niezdrową sensację podnieconych pasażerów? Pana proszę,
żeby potwierdził moje zaproszenie, dobrze?

Krystian skinął głową, wyszedł pierwszy na korytarz, szarpnął dźwignię ok-
na, ale było zaryglowane.

„No tak, ci Rosjanie... Więcej ludzi zabił przeciąg...” Wyszedł do przed-
sionka, wychylił się i pomachał do Sandry. Chwyciła swoją walizkę i ruszyła w
jego kierunku z pytaniem w oczach.

-
Wszystko w porządku, dziwnie, ale w porządku! - powiedział, gdy się

zbliżyła. Wskoczył i wniósł walizkę do wagonu, jego walizkę niósł już młodzieniec z platformy. - Możemy rozmawiać razem, tylko że... - zrobił przeproszącą minę - ...po rosyjsku. A na tłumaczenie nie będzie czasu.

-
Będzie, synu. Będzie, pociąg poczeka - uspokoił go po niemiecku Aleksy, stojący w przedsionku. - Znam ten język, ale proponuję jednak rosyjski. Mnie będzie łatwiej. - Uśmiechnął się do Sandry. - Witam panią serdecznie i przepraszam, że na gościnnej zawsze ziemi rosyjskiej spotkało panią tyle przykrości.

360

Gdybym mógł to jakoś wynagrodzić... Ale o tym później, dobrze? Zapraszam. Co prawda do pani przedziału, ale jestem najstarszy, pewne przywileje mi się należą. Weszli wszyscy do przedziału, Sandra usiadła przy drzwiach i z ciekawością przyjrzała się patriarsze.

-
Mogę powiedzieć, z kim mamy do czynienia? - raczej nie zapytał, tylko zaproponował Krystian. - Muszę ją uspokoić.

-
Oczywiście, oczywiście!

Krystian szybko przedstawił Sandrze rozmówcę i streścił dotychczasowy przebieg rozmowy, przede wszystkim wyjaśniając rolę nieznanego obrońcy.

-
Dobrze, to wracamy do sedna - powiedział Aleksy, gdy Krystian umilkł. -

Tak więc, jeśli chronologicznie... Azrak otrzymał ode mnie polecenie wyjaśnienia pewnej tajemnicy. Chodziło o to, że wierny syn Cerkwi, wysoko postawiony

w hierarchii służbowej, bardzo wysoko postawiony, niemal już na samym szczycie, człowiek, powiadomił mnie, że - nazwijmy ich tak - pewne koła w południowej Europie zaczynają rozgrywkę mającą na celu dyskredytację chrześcijaństwa, całego. Ale z naciskiem na Kościół katolicki, niesłuchanie umocniony za pontyfikatu Jana Pawła II. Z jednej strony byłoby to nam na rękę, przyznaję. Jesteśmy w niezbyt dobrych stosunkach z katolikami. Nie czas i nie miejsce na rozważania, kto zawinił, kiedy, dlaczego i dlaczego nie da się tego... zniwelować. Przyjmijmy, że się nie da i już. Dla prostoty sprawy. Upadek katolicyzmu byłby więc nam na rękę, ale implikacje tego upadku, niczym kręgi na wodzie, rozpląnęłyby się na wszystkie strony, a fale zalałyby cały świat chrześcijański. Dlatego wysłałem Azraka, by przeszkodził w działaniach owych pewnych kół i nie dopuścił do Dnia Sądu Ostatecznego. Bo taki by nastąpił. Patrzmy zatem, co się dzieje: chrześcijaństwo upadło. Rozumiecie? - Aleksy w zapale perory zapomniał, że mówi po rosyjsku, i popatrzył po kolei na Krystiana i Sandrę. I nie zdając sobie sprawy, że kobieta nie rozumie, kontynuował: - Natura, jak wiemy, próżni nie znosi. W miejsce religii chrześcijańskiej natychmiast wklinowują się najprzeróżniejsze sekty, od schronisk dla łagodnych idiotów po koszarne wschodnie sekty typu Moon czy inne kościoły zjednoczenia, naprawy, świetliste i promieniste. Zagarniają ludzi, ich majątki i - co najważniejsze! - ich dusze. Ale to margines, mimo wszystko - margines. Bolesny, ale tak by było.

361

Ale inne religie? Hinduizm, buddyzm, islam, taoizm, shinto i kilkanaście innych, tylko tych najważniejszych - wszystkie one runą na ogołocoony z wiary, z kośćca duchowego, z ostoji ludzkiej świat. Przy okazji walki o dusze zaczną wściekle i

zaciekle walczyć o ciała, o ich mienie, o ziemię, pieniądze, miasta, kraje. Nie można do tej apokalipsy dopuścić! - Aleksy odruchowo przeżegnał się. - Nie mogłem dopuścić, dlatego spuściłem z łańcucha swojego najwierniejszego psa, najzacieklejszą bestię, i tym razem dałem mu przyzwolenie na wszystko, z mordowaniem włącznie. To grzech, wiem... *Świat, świat, świat!* - Przeżegnał się jeszcze raz, by odpędzić szatana. - I poszedłbym na ten grzech jeszcze raz, gdyby było trzeba, i jeszcze raz, i wiele innych razy. Cokolwiek by mówić, lepiej przelać mało krwi niż jej rzeki. - Znowu popatrzył na słuchaczy i znowu nie uświadomił sobie, że Sandra nie rozumie ani słowa z jego wywodu. - To wszystko, co mówię, jest straszne, jest grzeszne, jest niewybaczalne. Ale co miałem zrobić? Pozwolić, by świat spłonął?

-

Nie sądzę, by wizja tej apokalipsy była realna - powiedział ostrożnie

Krystian. - Świat to również cała masa ludzi niewierzących, których upadek chrześcijaństwa mógłby mało co obejść. - Omal nie dodał: „Mnie, na przykład”. -

Nie przeszliby do sekt, na judaizm, rastafarianizm czy do scjentologów.

-

Ci niewierzący, synu, to przecież dusze, które również mogłyby zasilić szeregi chrześcijan, ale skoro nie ma chrześcijaństwa, to potencjalnie są łupem innych religii.

-

No dobrze, nie zgadzam się z tym, ale na chwilę, dla dobra rozmowy, mogę przyjąć pana punkt widzenia. Tylko co dalej?

-

Dalej... Dalej następuje wypuszczenie owego *gospodina* Lirinka. Ma on dotrzeć do osób, które w jakiś sposób znalazły się w kręgu zainteresowania owych kół. Wyrusza na krucjatę z chrześcijaństwem, szuka pewnego dokumentu.

- Aleksy potarł dłonie, jakby mu zmarzły. - A my, grzeszni butą i zadowoleni przez chwilę, pozwalamy mu na to, nawet się z tego cieszymy. Ale Pan szybko naprowadził nas na właściwą drogę, a orężem jego działania stał się Azrak.

-
Chodzi o Złotą Głowę? O testament Baphometa? - zapytał Krystian, ciekaw reakcji hierarchy.

362

Ten, ku jego zdziwieniu, nie poderwał się, nie wytrzeszczył oczu, nie zachłysnął się. Pokiwał ze smutkiem głową.

-
Tak. O to wszystkim chodzi. Tym ludziom, ich wilkowi, Lirinkowi... - zamilkł na chwilę. - Grzeszny jestem, synu. Mnie też o to chodzi. O przejęcie, ukrycie, zabetonowanie w uranowym mogilniku. O spalenie wreszcie, na wieki wieków, amen...

-
Ale co to jest?

-
To jest dłuższa opowieść... Na pewno chcesz... - urwał i uniósł głowę, przekręcając ją lekko. Wsłuchał się w komunikat, zimnym, wyraźnym głosem emitowany przez dworcowe megafony. Kobięcy głos informował pasażerów pociągu numer dziewięćdziesiąt jeden o opóźnieniu. - Może zaufasz mi, że to jest

bardzo ważny dokument, życiowo ważny...

-

Proszę mi wybaczyć, ale ten „Rub...” Lirink? - Aleksy skinął głową. -

Lirink też mówił o życiowo ważnej misji.

-

Wierzę. Wierzę też, że dla niego było to coś ogromnie ważnego. On po prostu zblądził, nie wiedział tak naprawdę, co czyni...

-

No przepraszam! Ja nie mam dla niego chrześcijańskiego wybaczenia! -

Krystian poczuł, że krew uderza mu do głowy, usprawiedliwianie wielokrotnego mordercy wydało mu się przesadą. Żeby zyskać na czasie i uspokoić się, powiedział: - Przepraszam, przetłumaczę w kilku słowach mojej narzeczonej...

Patriarcha skinął głową. Spokojnie czekał minutę, aż Sandra przytaknęła, że rozumie i jest na bieżąco.

-

Wracam do Złotej Głowy... - powiedział. Znowu zatarł dłonie. Miał je duże, nawet bardzo duże, pasujące do całej masywnej sylwetki. Na palcach, gdzie zazwyczaj znajdowały się jakieś pierścienie, widniały jaśniejsze plamy. Gdy zobaczył, że Krystian przygląda się jego dłoniom, splótł palce, oparł dłonie o stół. - To jest to, czego szukał Filip Piękny, dla Złotej Głowy wszczął krwawą rozprawę z templariuszami. Nie z powodu pieniędzy, jak się powszechnie sądzi.

-

Historycy... - zaczął Krystian.

-

Synu - przerwał mu Aleksy - dane świeckie są skąpe, niepełne. Dane kościelne w tej materii są znacznie bardziej szczegółowe i wiarygodne. Szukano przede wszystkim Złotej Głowy, przy czym szukający rozpowszechniali plotkę, że chodzi o zwyczajny, nieczysty złoty skarb. To było bardzo szczwane

363

pociągnięcie: z jednej strony uruchomiło hordy poszukiwaczy, co spowodowało, że do liczego grona agentów Filipa dołączyło wielu amatorów, powstała gęsta sieć, ale jednocześnie agenci nie musieli sami szukać skarbu, musieli, i czynili to, inwigilować środowiska poszukiwaczy, a to było znacznie łatwiejsze i efektywniejsze. Zakładano, chyba słusznie, że ktokolwiek znajdzie prawdziwy skarb, odrzuci go jako coś bezwartościowego, bez znaczenia handlowego, a skoncentruje się na złotej głowie, ludzkiej czy zwierzęcej. Jednocześnie pewnie się pochwalą, że coś takiego znalazł - teczkę, zwój, kasetę, z bezwartościowymi papierami, dokumentami, aktami. Ale cała ta wspaniale przemyślana, zaplanowana i wykonana akcja spaliła na panewce. Odzyskano, co prawda, sporo skarbów templariuszy, co wykorzystano w faktografii wydarzeń, ale Złota Głowa, czymkolwiek była, nie została odnaleziona, dla spokoju sumienia Filip nakazał kolportować plotkę, że czegoś takiego nigdy nie było. *S gładz doloj, iz sierca won.* Tymczasem duchowni wiedzieli, że to nieprawda, zwłaszcza że istniały mniej lub bardziej wiarygodne dokumenty, będące swoistymi kopiami tych akt. Zapisane ze słuchu, z opowieści z trzecich czy piątych źródeł, nieudolne translacje i tak dalej. Taką dysponuje nasza święta Cerkiew.

Krystian uniósł brew, potem przeprosił gestem dłoni i przetłumaczył Sandrze słowa hierarchy.

-
Najlepiej zorientowanym w tym jest brat Iłlarion, którego poznaliście.

Niemal przez całe życie pracuje nad tym tekstem. Oczyszcza przekład z naleciałości, zafałszowań, niezborności, niedokładności i zwyczajnych konfabulacji.

Zbiera po okruchu, po strzępku wiedzy z tysięcy innych, czasem jeszcze nie-tłumaczonych tekstów, skleja, montuje, interpretuje wreszcie. Nie mamy wątpliwości, że udało mu się w końcu otrzymać tekst niemal kanoniczny, skończony, jak tylko może być skończone coś, co u źródła było już nie do końca wiarygodnym zapisem wydarzeń. Bardzo istotnych, kapitałnych, ważących na całym świecie, do dziś ważnych.

Aleksy umilkł. Potem nagle wstał i sięgnął na półkę, gdzie stał sakwojaż, czarny, skórzany, bez żadnych ozdób i oznaczeń, ale wyglądający na najdroższy sakwojaż świata. Postawił go na stole, wyjął butelkę martella.

-
Nie jest to hennessy beauté du siècle za sto pięćdziesiąt tysięcy euro.

Wydaje mi się zbyt wulgarny jak na tę okazję, choć nie pożałowałbym tych

364

pieniędzy, gdyby pozwoliły nam osiągnąć cel - powiedział Aleksy, a Krystian zrozumiał, że jest to bardzo delikatna aluzja, *namiok*. Zaproszenie niemal do negocjacji. - Martell jest moim ulubionym trunkiem. Po rosyjskiej wódce z naszej destylarni, rzecz jasna - zastrzegł od razu. Wyjął z wnętrza trzy kieliszki i napełnił je w jednej trzeciej. - Proszę. *Prosit!* - Podał jeden Sandrze, drugi Krystianowi.

-
Pociąg nie odjeżdża? - zapytała Sandra.

-
Nie. Może nie do końca zdajemy sobie sprawę, ale, kochanie, jesteśmy gośćmi osoby ważnej może jak Putin - powiedział Krystian, zerknąwszy na patriarchę. Ten wznosił oczy do góry z miną „przesada, przesada!”. Ale się nie odezwał. - Wygląda na to, że pociąg nie ruszy, póki nie dokończymy tej rozmowy. - Wyjął papierosy, ale uświadomiwszy sobie, w jak małym pomieszczeniu się znajdują, postanowił schować je, a potem rozmyślił się, wstał i wyszedł na korytarz. Stał w drzwiach. - Przepraszam, ale głód nikotyny doskwiera mi bardzo, a w sytuacji stresowej jeszcze bardziej.

Aleksy uśmiechnął się nagle, zerknął na okno. Sommer się zdziwił.

-
Pan pali?

-
Nie. Nie stale, ale wiem, co to papieros, i w sytuacji stresowej też sięgam.

Poczęstujesz mnie, synu?

-
Ależ proszę bardzo. - Krystian wszedł do przedziału, szarpnął rączkę okna, o dziwo otworzyło się. Poczęstował Aleksego.

-
To ja też poproszę.

-
Nic mnie już chyba nie zdziwi - powiedział zdumiony Krystian.

Podał Sandrze papierosa.

Zapalili, kłębiaste obłoki dymu leniwie poszybowały do góry, potem, z

ociąganiem, ale jednak, popłynęły w kierunku okna.

-

Powiedzmy sobie otwarcie - zaczął patriarcha. - Od pana wszystko zależy, to pan tu rozdaje karty, ale mam bardzo silne przekonanie, że nie jest pan szulerem. Tylko dlatego zdecydowałem się na szczerą rozmowę. Oczywiście apeluję, by zachował pan dyskrecję. Dla dobra mojego, Cerkwi, Kościoła... - zawiesił głos i nie dokończył zdania.

-

Chciał pan powiedzieć też, że mojego? Naszego?

Aleksy pokiwał głową, wziął do ręki kieliszek, trzymając go w tej samej dłoni, co papieros, pokołysał lekko naczyniem, umoczył usta w koniaku.

365

-

Niestety, tak jest. To, że zniknął z życia pański największy obecny wróg, Lirink, pański rodak, nawiasem mówiąc, nie znaczy, że ustaną wszystkie wymierzone w pana działania owych „pewnych kół”. Co prawda, my też, a mówiąc „my”, nie mam na myśli tylko Cerkwi, podjęliśmy działania..

-

Odwetowe?

-

Nie, wyprzedzające. Musimy wyeliminować tych przywódców, którym mila jest myśl o Dniu Ostatecznym, Ragnaröku, o trzykrotnym „Biada” wykrzykniętym przez orła. Nie musi to być eksterminacja biologiczna, bardzo bym chciał, by nie doszło do tego, ale... - Aleksy nagle spojrział w oczy Krystiana i ten

zobaczył, że przepełnione są determinacją, nie fanatyzmem, jak w przypadku ścigającego ich po moście Lirinka-”Rubika”, ale silnym imperatywem. Pomyślał, że patriarcha Wszechrosji może być niebezpieczny, tak samo jak i Lirink. - Ale jeśli zajdzie taka konieczność - nie zawahamy się. Zakładamy jednak, że wystarczą inne metody, też nieeleganckie, ale znacznie łagodniejsze: dyskredytacja, oderwanie od innych członków, wywiezienie w bezludne okolice, osadzenie w odosobnieniu, zastraszenie, szantaż. Cóż, takie czasy, takie okoliczności, takie metody. Mówię szczerze, zdając sobie sprawę, że może to wami, dzieci moje, wstrząsnąć, może was zbrzydzić. Wiem...

-

Doceniam pańskie skrupuły, ale zastanawiam się ciągle, co ja mogę mieć z tym wszystkim wspólnego.

Łyknął koniaku, przyjemne aromatyczne ciepło spłynęło z kieliszka do przełyku.

-

Już za chwilę wyjaśnię, choć sędzę, że masz, synu, na tyle już sporą wiedzę, że domyślasz się wszystkiego, może tylko bronisz się przed tą wiedzą, brzemieniem, jakie niesie ona ze sobą. - Aleksy podniósł kieliszek do ust i wypił całą zawartość. - Brat Hłarion przekazał igumenowi, ten mnie, a ja z kolei Świętemu Synodowi, i to nie całemu, jak również Departamentowi Współpracy z Siłami Zbrojnymi i MSW, treść ewangelii, której nawet nie nazwaliśmy.

-

Jak coś nie ma nazwy, to nie istnieje? To brak desygnatu, to brak obiektu?

- zmarszczył brwi Krystian.

-
Może i tak. Boimy się nazwać ten przekaz, tak. Ale istnieje... I o co nam

idzie... - Patriarcha sięgnął po butelkę i dolał wszystkim. Od razu wypił połowę

366

swojej porcji. - Mówi się w niej, że Judasz, owszem, zdradził Chrystusa, ale niemal od razu, może po jakiejś iluminacji, skruszony i przerażony konsekwencjami swojego czynu, podał się za Chrystusa, dał schwytać i ukrzyżować. To on

poniósł śmierć na krzyżu, podczas gdy Chrystus, obezwładniony przez kilku

najwierniejszych uczniów, leżał w komorze, spętany, zamknięty, nie mając

możliwości sprostowania czynu Judasza i poniesienia męczeńskiej śmierci, tak

ważnej dla całego chrystianizmu. Rozumiecie, dzieci, implikacje tej nowiny? -

Ręka Aleksego zadrżała, gdy unosił kieliszek do ust. - Nie Chrystus, Syn Boży, a

zdrajca, jeden z uczniów, niegodziwiec i zdrajca, którego imię przetrwało w

tradycji co najmniej tak samo trwale, jak imię samego Chrystusa, poniósł sym-

boliczną dla nas śmierć na krzyżu! Bo przecież każdy zapytany o apostołów w

pierwszej kolejności wymieni Judasza, a dopiero potem innych, tych zacnych,

pocziwych, wiernych. Wali się cała koncepcja, cała historia, tradycja. To koniec

Kościola chrześcijańskiego. Dla nas to pewne.

-

Ale ten dokument, ta wiedza jest waszą własnością - wzruszył ramionami

Krystian. - Wystarczyło nic mi o tym nie mówić, utajnić dokument, tak jak był

utajniony, niedostępny dla pospólstwa, znaczy wiernych, i...

-

A Złota Głowa? - przerwał mu z goryczą Aleksy.

-
Co - Złota Głowa?

-
Jej nie utajnimy, bo nie mamy do niej dostępu. I nie odważymy się poświęcić nikogo z ufnych i niewinnych dla ukrycia tej wiadomości.

-
Aha, czyli mnie ze strony Kościoła nic nie grozi?

-
Ze strony Cerkwi - nie.

-
Rozumiem. I?

-
Złota Głowa, jeśli wierzyć innym dokumentom, które do tej pory lekceważyliśmy, uważając je za wyssane z palca bzdury, potwierdza dane z beziemiennej ewangelii. Co gorsza - uzupełnia ją, podnosi rangę i jest najważniejszym orężem sił dążących do Dnia Sądu Ostatecznego. Podważa podwaliny historii o Chrystusie, sam początek jego życia... Och, to trudne... - Postukał paznokciem w bańkę kieliszka. - Naprawdę chcesz wiedzieć, synu? Wiedza nie musi przynosić ulgi, ukojenia. Może stać się udręką.

-
W moim przypadku chyba nie, bo nie jestem wierzący.

367

-
To buta, synu. Tak to nazwę, niepotrzebna. Możesz żyć szczęśliwie w

niewierze, ale potem? No, nieważne. Chodzi o to, że... - przerwał, zerknął na butelkę z koniakiem, ale nie poruszył ręką.

Krystianowi mignęła myśl, że teraz on powinien nalać trunku i uwolnić patriarchę może od grzechu opilstwa, ale się nie poruszył. Serce waliło mu mocno - spokojne i beznamienne wypowiedzi stały w jaskrawej sprzeczności z tym, co przeżywał naprawdę. Oto miał się dowiedzieć, dlaczego został wciągnięty w wir śmiertelnie niebezpiecznych wydarzeń, w trakcie których stracił matkę i zyskał miłość.

-
Chodzi więc o to, że wszystko wskazuje, iż Złota Głowa to jeszcze jeden dokument, który można by nazwać ewangelią zbiorową. Nie spisana trzysta lat po śmierci Chrystusa, nie wątpliwą Ewangelią Judasza, tak popularną od pewnego czasu, ale wspólnym zapisem, autentycznym i niepodważalnym, o ostatnich zwłaszcza dniach przed Ukrzyżowaniem i po nim.

-
Ale co tam jest?

-
Szymon, Tadeusz i jeszcze jeden uczeń, może Piotr, nie jest to pewne, wiedząc, że Judasz zdradził Pana, schwytali go i spętanego umieścili w komorze... - Aleksy zmarszczył brwi. - Ach, przecież to już powiedziałem. Tak więc Chrystus jest w komorze, Judasz na krzyżu. Chrystus znika z komory, szczelnie zamkniętej i opieczętowanej, a nierozwiązane pęta uczniowie tną na kawałki i te relikwie zabierają ze sobą. Ale dlaczego Judasz tak postąpił? Dlaczego zdradziwszy swojego Nauczyciela, nagle Go zastępuje? Nawet widzenie, iluminacja

nie tłumaczę tego do końca. Dobrze, nie do końca, ale niech będzie: objawił się anioł, wytłumaczył mu, kolokwialnie rzecz ujmując, niewłaściwość postępowania, zawstydził, wywołał skruchę. Ale jak mógł Judasz zastąpić Chrystusa?

Człowieka znanego w całej Jerozolimie? Którego słuchały tłumy, którego nie nawidził Sanhedryn, a zatem śledził, obserwował, pilnował... I nagle nikt nie zauważa, że zupełnie inny człowiek podszywa się pod Nauczyciela?

-

Zbiorowy... sterowany omam? - odpowiedział ostrożnie Krystian.

-

Sam pan w to nie wierzy! - pokręcił głową patriarcha. - Nie. Po prostu wiadomo od dawna, że Chrystus miał brata Judasza. Innego. Tyle wiadomo.

Natomiast w Żłotej Głowie znajdują się jakoby dowody na to, że miał Judasza, brata... - zamilkł i odetchnął głęboko.

368

-

Bliźniaka! - rzucił Krystian z niedowierzaniem.

-

Tak... Tak... I jednego z braci ukryto, ukryto przed trzema monarchami, gdy przyszli z hołdem, ukrywano długo, a potem wychowywano wśród kuzynów.

Potem, gdy chłopcy dorośli, nikt już nie pamiętał, a na pewno o tym nie mówił, że są braćmi. Umyślnie odziewano ich różnie, inaczej strzyżono, przeznaczono do różnych zawodów. Chrystusa kształcono, Judasza - nie. Jakby od urodzin jednemu przeznaczono los Proroka, drugiemu - bezsilnego obserwatora. To musiało spacyfikować charakter Judasza, gdy Chrystus zaczął nauczać, uzdrawiać, poznał w

jakiś sposób Jego i swoją tajemnicę, i może wtedy też zrodziła się zazdrość, zawiść, może i silniejsze uczucia. W końcu dopiekło mu to tak, że zdecydował się na krok potworny, haniebny, podły. A może właśnie wtedy dowiedział się, że jest bratem Chrystusa? To bardzo prawdopodobne.

-

To... niezwykle... - powiedział po chwili Krystian i chcąc zyskać na czasie, zrelacjonował po niemiecku Sandrze to, czego się przed chwilą dowiedział od Aleksego II, patriarchy Wszechrosji.

Wysłuchawszy, pokręciła głową.

-

Nie wiem, co powiedzieć. - Wyraźnie oszołomiona rozłożyła ręce, w jednej trzymała niedopałek papierosa, który zgasł na filtrze, w drugiej niemal opróżnioną koniakówkę. - Ani nie wiem, jak to się może odbić...

-

Właśnie... - Krystian odwrócił się do patriarchy. - Oszołomił mnie pan, mimo wszystko. Rozumiem, że dla wiernych to może być szok... Chyba...

-

Tak będzie. O ile się tego dowiedzą. I jeszcze jedno, może rzecz najważniejsza. - Aleksey przyłożył dłonie do skroni i palcami zaczesał włosy do tyłu.

- Możesz mi nalać, synu?

Krystian dolał wszystkim. Od razu wypił połowę swojej porcji. Patriarcha i Sandra upili znacznie mniej.

-

Chrystus... On może być... Wiesz coś o Ahaswerusie? Tym Żydzie, który

zelił Chrystusa idącego na Golgotę?

-

No tak, odźwierny Poncjusza Piłata, Rzymianin imieniem Cartaphilus

popchnął Jezusę i zakpił, że za wolno idzie?

-

Ahaswer... Tak. Za to został ukarany tym, że zgubił swoją śmierć i ma się

tułać po świecie aż do dnia Sądu Ostatecznego.

369

-

Powiedział pan: „może być”?! Czy to Jezus ma być owym Żydem

Wiecznym Tułaczem?

-

Wedle Złotej Głowy - tak. Trzej uczniowie, którzy Go zamknęli, którzy

widzieli pustą kryjówkę, potem ujrzeli Go i od Niego dowiedzieli się o zgoto-

wanym Mu losie.

-

Rozumiem... To rzeczywiście kapitalne odwrócenie historii: nie Jezus

zginął na krzyżu, Judasz nie był podłym zdrajcą i nie jakiś paskudny Rzymianin

został Ahaswerem... Rozumiem - powtórzył Sommer. - Chyba, gdybym był

wierzący, uderzyłoby mnie to bardzo. Oraz to, że Kościół, jako instytucja, przez

dwadzieścia wieków igrał z uczuciami wiernych, że ich oszukiwał, nieważne, czy

w dobrej intencji.

Zapadła cisza i po chwili Krystian zrelacjonował Sandrze ostatnie rewelacje.

Milczeli wszyscy. Potem Sandra zapytała:

-
A jeśli w Złotej Głowie nie ma niczego takiego?

Aleksy uśmiechnął się smutno.

-
Zbyt wiele wskazuje na to, że nie możemy się ludzić. - Odetchnął głę-

boko. - Jeśli to prawda, to ja też będę załamany, jak szeregowy wierny. Jeśli nie jest prawdą, a wyjdzie na jaw - będę załamany jako hierarcha Kościoła, który upaść musi. - Podniósł wzrok na Krystiana: - Ty, synu, musisz zdecydować. Jeśli dysponujesz Złotą Głową, rozstrzygnij w swoim sercu i sumieniu, jak należy postąpić. Tylko od ciebie, od was, dzieci moje, zależy wynik rozgrywki mocy, które najchętniej nazwałbym piekielnymi, z całym chrześcijańskim światem, z tym, co wiele razy ratowało ludzkość, dawało poszczególnym jednostkom siłę do przeżycia, do życia... Do bycia człowiekiem...

-
Nie za wiele składasz, ojcze, w ręce agnostyka? - Krystian ze zdumieniem usłyszał, że nie zwraca się do hierarchy *per pan*. - Nie boisz się, że z głupoty, lekceważenia problemu czy zwyczajnej chęci zaistnienia globalnego zdecyduje się na ruch, którego tak się obawiasz?

-
Synu, jestem już zmęczony. Ten sekret brzemieniem swoim przygniata mnie od kilkadziesiąt lat. Chętnie złożę go na inne barki. Może tak powinno być, że nie dogmatyk, fanatyk, wierzący, ale zwykły, uczciwy, niezaangażowany człowiek musi zdecydować o losie świata. Najchętniej bym uznał, że rewelacje z tego dokumentu nie mają znaczenia, że nic się nie stanie, że nikogo nie poruszą...

Gdyby doszło do publikacji, tak się postaramy, mówię uczciwie i szczerze, tak

370

będziemy działali - dyskredytując wagę dokumentu, głosząc, że jest wyrazem żądzy sławy i pieniędzy jakiegoś małego człowieczka. Ale czy się uda? Nie wiem. Dzisiejsi wierzący to nie tylko babcie pokółchozowe, ale też ludzie światli, wykształceni, nowocześni. Fizycy i filozofowie, biznesmeni, lekarze, aktorzy... Oni myślą. Szacują, ważą. Oni mogą uwierzyć nie nam...

Znowu w przedziale zaległa cisza. Spikerka jeszcze raz przypomniła o opóźnieniu pociągu do Warszawy i Berlina. Krystian poczęstował Sandrę papierosem, odmówiła, Aleksy zapalił. Dym tym razem w ogóle nie chciał wylecieć przez okno, jakby bał się opuścić pomieszczenie, w którym padły tak ważne słowa.

Milczeli wszyscy. Mężczyźni wypalili papierosy do połowy, niemal jednocześnie, a może któryś naśladował pierwszego, zgasili je. Aleksy wstał. Pochylił głowę w ukłonie przed Sandrą, potem wyciągnął dłoń do Krystiana. Wymienili uściski. Patriarcha Wszechrosji nałożył kapelusz, płaszcz, owinął się szalikiem.

-

I co? Wychodzi ojciec? - zapytał zdumiony Krystian.

-

Tak. Co miałem powiedzieć, powiedziałem. Ty zostajesz ze swoją odpowiedzią. Nie udzielaj mi jej. Dowiem się szybko, co zdecydowałeś - jeśli się dowiem. Jeśli nie będzie znaku, będę szczęśliwy. A wy bądźcie szczęśliwi już. - Pobłogosławił obecnych znakiem krzyża. Bokiem wyszedł na korytarz obok stojących Sandry i Krystiana. - Zostańcie z Bogiem, dzieci. *Wsięgo choroszego* -

dokończył po świecku.

Zostali sami w przedziale. Patrzyli na siebie w milczeniu dobrą minutę. Potem

Krystian westchnął i zwalił się na kanapę.

-

Sakwojaż - powiedziała cicho Sandra. - Zostawił ci swój koniak.

Krystian popatrzył na stolik. Poderwał się.

-

I to!

Zza sakwojażu wyciągnął spory krzyż. Ciężki, masywny, wysadzany kamieniami, które nie połyskiwały pospolicie. Miały w sobie blask i wagę starych, ogromnie cennych kamieni. W tej samej chwili rzucili się do drzwi. Sandra pierwsza wyskoczyła na peron. Krystian za nią.

Na peronie nie było już widać ani patriarchy, ani wózka pocztowego, ani pary emisariuszy Aleksego. W kierunku wagonu pośpiesznie zmierzali jego pasażerowie. Dwaj milicjanci gapili się na parę pasażerów, dla których został zatrzymany międzynarodowy pociąg.

371

Krystian szybko ukrył krzyż w kieszeni.

-

Zostawił nam... Jako datek? Nagrodę?

-

Może przypomnienie? Memento?

Sandra odwróciła się, żeby podejść do stopni wagonu. Krystian ruszył za nią.

-

Wiesz, że to wszystko wydaje mi się...

Chciał powiedzieć „snem”.

I ten sen się ziścił. Koszmar, makabra, piekielna fantasmagoria stała się ciałem, stała się rzeczywistością.

Zza końca wagonu, opierając się o bufor, wyłoniło się widmo.

„Rubik”-Lirink, trzymając się za zakrwawiony brzuch, runął do przodu. W jego lewej ręce błysnął nóż. Ominął zmartwiałą Sandrę, kierując się ku dokładnie tak samo skamieniałemu Krystianowi. Dwa kroki przed nim ugięły się pod nim kolana, ale rozpaczliwym wyrzutem rąk do góry złapał resztki równowagi i poderwał ciało do pionu, wyprostował się.

Wszystko działo się szybko, a jednocześnie cały czas świata zwolnił bieg, zadygotał i stanął w miejscu.

Poruszał się tylko morderca, zrobił jeszcze jeden krok, cofnął lewą rękę i wyrzucił całe ciało do przodu, wysuwając jednocześnie uzbrojoną dłoń przed siebie.

„Boże!” - zdążył pomyśleć Krystian.

I nic więcej.

Już nic więcej nie zdążył zrobić.

Sandra wytrysnęła nagle zza pleców mordercy, wyciągnęła obie ręce, chcąc uchwycić wysuwającą się do przodu rękę zabójcy, udało jej się.

Szarpnęła ją do siebie, Lirink stracił ostatecznie równowagę, okręcił się na załamującej się prawej nodze, zdumiony popatrzył na Sandrę.

I dźgnął ją. I zwałił się na plecy, z potwornym trzaskiem uderzając głową o asfalt peronu.

Sandra chwyciła się za bok, otworzyła usta jak do krzyku, odwróciła głowę w stronę Krystiana i osunęła na ziemię.

Krystian Sommer runął na kolana i pochylił się nad Sandrą.

Otworzyła oczy i nagle się uśmiechnęła. Poruszyła ustami.

Nad ich głowami pękło niebo.

372

Huk wystrzału dźwięcznym echem przemknął nad dworcowym placem i peronami.

Krystian z wysiłkiem odwrócił głowę. Milicjant dobiegł do leżącego Lirinka, wystrzelił raz jeszcze i jeszcze raz.

Ciało mordercy drgało lekko po każdym uderzeniu pocisku. Nic poza tym nie wskazywało, że milicjant trafił w cel.

- Sandro... - wyszeptał Krystian.

Miała zamknięte oczy, ale brwi lekko drgnęły.

„Boże! Czy to... ostrzeżenie? Błagam! Błagam... Zrobię... wszystko... Boże!”

Spis treści

Prolog. 27 marca, 17.44

5

CZEŚĆ PIERWSZA - ŚMIERTELNY DOTYK TAJEMNICY . . 11

1. 19 marca, 8.11

11

2. 23 marca, 15.13

18

3. 23 marca, 18.34

28

4. 23 marca, 20.02

31

5. Brat Marion, klasztor w Czausach

37

6. 27 marca, 7.11

43

7. 3 kwietnia, 12.55

53

8. 4 kwietnia, 10.09

61

9. Brat Hilarion, klasztor w Czausach

65

10. 29 marca, 19.40

72

11. 5 kwietnia, 14.14

79

12. Brat Hilarion, klasztor w Czausach

84

13. 6 kwietnia, 17.01

90

14. 7 kwietnia, 13.18

100

15. 5 kwietnia, 22.30

107

16. Brat Hilarion, klasztor w Czausach

115

17. 8 kwietnia, 9.32

121

18. 8 kwietnia, 14.20

143

CZEŚĆ DRUGA - SZATAŃSKI SPISEK

161

19. 13 kwietnia, 18.12

161

20. 15 kwietnia, 8.55

177

21. 17 kwietnia, 9.12

184

22. 21 kwietnia, 12.06

204

374

23. 19 kwietnia, 20.33

225

24. 22 kwietnia, 9.40

235

25. 19 kwietnia, 00.41

251

26. Brat Hilarion, klasztor w Czausach

265

27. 22 kwietnia, 18.30

281

28. 22 kwietnia, 17.15

284

29. 22 kwietnia, 17.32

293

30. 22 kwietnia, 18.20

298

31. 22 kwietnia, 23.30

327

32. 24 kwietnia, 10.50

331

33. 26 kwietnia, 16.00

353